

Ewa Skarżyńska

BOLESIA

Opowieść o niezwykłych losach
bł. Bolesławy Lament



Bł. Bolesława Lament w towarzystwie s. Lucji Czechowskiej (po jej lewej stronie)
i s. Anny Czerniłowskiej-Sokół podczas pobytu w Rzymie w roku 1925

Książka wydana z okazji 150-lecia urodzin bł. Bolesławy Lament
Założycielki Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny
(1862-2012)

Ewa Skarzyńska



BOLESIA

Opowieść o niezwykłych losach
bł. Bolesławy Lament

Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny



Zimowy zmierzch

Tekst:
Ewa Skarżyńska

Ilustracje:
Paweł Kołodziejski

Skład i opracowanie:
Dariusz Krajewski

Copyright © by Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny, 2012

ISBN 978-83-257-0375-2



Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu
ul. Żeromskiego 4, 27-600 Sandomierz
tel. 15 64 40 400, fax 15 832 77 87
e-mail: zamowienia@wds.com.pl
www.wds.pl • www.rodzinakatolicka.pl

Był rok 1872.

Od upadku powstania styczniowego minęło już osiem lat, a ludzie o niczym innym nie mówili jak tylko o tym, ile to się znowu polskiej krwi przelało, ile młodzieży wyginęło, ile sierot przybyło w ojczystym kraju, który – rozdarty między trzech zaborców – w jeszcze większej się pogrążył żałobie.

Pomstowali ludzie na tych, którzy obiecywali pomoc, a nie dotrzymali słowa, i ze smutkiem przystawali przy powstańczych mogiłach ukrytych głęboko w lasach. Albo zbierali się potajemnie, by rozprawiać o utraconej nadziei i krzepić serca wiarą, że Bóg ich przecież nie opuścił i przywróci Ojczyźnie upragnioną wolność. Byleby jej tylko sobie z serca nie pozwolili wyrwać.

Ptaki zaczęły dziwnie wcześniej tego roku odlatywać do ciepłych krajów, wcześniej też niż zwykle zaczęła się zima. W połowie listopada sypnęło śniegiem, zerwał się północny wiatr. Kto miał dach nad głową, czuł się szczęściarzem. A jeśli miał jeszcze co do garnka włożyć, zimy bać się nie musiał.

Biało się zrobiło nagle dokoła i tak jakoś świątecznie. Znikły rozchlapane drogi i błotniste kałuże. Stare chałupy wystroili się w śniegowe czapy, zagracone podwórka przykryły miękkie śniegowe dywany. Mróz kreślił na szybach bajeczne esy-floresy, a słońce patrzyło na to wszystko leniwym okiem i spać chodziło zaraz po obiedzie.

Na rynku w Łowiczu zapalano właśnie miejskie latarnie, a zegar wybijał godzinę czwartą po południu, kiedy znowu zaczął padać śnieg. Opadał wolno ciężkimi płatkami, zagładając do mieszkań, w których tu i ówdzie migotały jasne światła lamp. Do mieszkań ludzi zamożnych i sytych, i tych, którzy nie mieli jeszcze tego dnia niczego w ustach. Do mieszkań, w których rozbrzmiewały dźwięki fortepianu i takich, w których koncertował jedynie świerszcz za kominem. Do domów stojących dumnie przy ratuszu i do pochylonych pokornie chat, przy których nie świeciła już żadna latarnia, jedynie księżyc w srebrzystej poświacie.

Tam, gdzie miasto się prawie kończyło, ale gdzie nie zaczynały się jeszcze wiejskie chałupy, na przedmieściu Łowicza zwanym Bratkowice, miał swój dom szewc Marcin Lament. Dom solidny, zbudowany z drewnianych bali, z gankiem, przy którym rosła stara rozłożysta grusza. Dom ślicznie z łowicka na kolor nieba pomalowany. Bo chociaż trosk Marcinowi i jego rodzinie nie brakowało, w miłości i zgodzie żyli, niczym w malutkim niebie.

Marcin był majstrem szewskim. Tytuł ten mocno sobie cenił, gdyż dorobił się go w pocie czoła, przybywszy do Łowicza przed laty za namową ojca z ubogiej wioski spod Turku. A że jego matka była z domu Trzewik, ku szewskiemu się skłonił rzemiosłu. Tak przynajmniej lubił opowiadać, podkreślając węża, gdy mu humor dopisywał. Z natury był bowiem człowiekiem nieskorym do żartów i oszczędnym w słowach.

Ożenił się, będąc jeszcze czeladnikiem, a za żonę wziął sobie prawdziwie drogocenny klejnot. Tak gospodarną, pobożną, urodziwą i kochającą małżonką okazała się panna Łucja Cyganowska. Obdarzona wieloma zaletami, mogła poszczycić się również nie małą jak na owe czasy wiedzą, zdobytą na pensji siostr bernardynek. Stało się to możliwe, kiedy rodzice – po sprzedaniu gospodar-

stwa w podłowickim Chąśnie – przenieśli się do Łowicza. Nawet po francusku potrafiła mówić ku radości matki i ojca, który na te jej nauki ciężko pracował w pobliskiej cegielni.

Jak się młodzi poznali, nietrudno zgadnąć. Przyszła pewnego razu panna Łucja do zakładu szewskiego trzewiki obstałować i tak jej młody czeladnik przypadł do serca, a ona jemu, że niebawem przed ołtarzem stanęli w kościele Świętego Ducha, by sobie i Panu Bogu życie wspólne ślubować aż do śmierci. Oboje w wierze katolickiej wychowani, to jedynie mieli odtąd na względzie, by we wzajemnej miłości sobie służyć.

Służyli więc sobie, a ich gospodarstwo piękniało z każdym rokiem. Kiedy bowiem Marcin całymi dniami w zakładzie szewskim uczciwie i sumiennie pracował, Łucja dom ogarniała, a z czasem i dzieci. Energiczna i obdarzona zmysłem praktycznym, miała też na skrawku ziemi za domem najpotrzebniejsze warzywa, a wśród nich rozmaite nowości, których nasiona bystrym okiem potrafiła na jarmarku wypatrzeć. Nic dziwnego, że spiżarnia Lamentów zawsze była pełna, na co niejedna sąsiadka patrzyła zazdrosnym okiem.

Jedenaście lat minęło już od tamtego pamiętnego dnia zaślubin, a oboje małżonkowie wciąż tak samo serdecznie o sobie myśleli i z tą samą troską spoglądali na siebie, gotowi w każdej chwili przychylić sobie nieba.

I teraz, gdy śnieg znowu zaczął padać o zmierzchu, myśli ich pomknęły ku sobie przez okienne szyby lodem pokryte. Jedne – wychodzące z zakładu szewskiego na ruchliwą ulicę, drugie – z domu pełnego dziecięcego gwaru na sad biały, pola i łąki.

Pani Łucja odwróciła się od okna i spojrzeniem pełnym miłości ogarnęła pokój, nazywany przez domowników szumnie bawialnią. Dzieci lubiły przebywać w nim zwłaszcza zimą, ze względu

na duży kaflowy piec, z którego rozchodziło się miłe ciepło. Po przeciwnej stronie pokoju stała drewniana skrzynia z żelaznymi okuciami, zamknięta na kłódkę. Skrzynia ta była dla dzieci tak samo niezwykła jak piec, a zawierała przechowywane z wielkim pietyzmem rodzinne pamiątki. Była ona ponadto jednym z nielicznych sprzętów, które pamiętały dawne chałśnińskie czasy.

Przy stole, zajęta odrabianiem lekcji, siedziała Bolesława, najstarsza córka Lamentów, nazywana przez nich – Bolesią. Była to ciemnowłosa, ładna dziewczynka o migdałowych oczach, odznaczająca się niezwykle żywym temperamentem. Jej pogodne usposobienie oraz wyjątkowy jak na dziesięcioletnie dziecko instynkt opiekuńczy sprawiały, że przebywanie w jej towarzystwie było dla młodszego rodzeństwa szczególnie przyjemnością. Nawet kiedy czasem dochodziło do konfliktów, tak potrafiła wszystkim pokierować, aby i te najbardziej przykre nieporozumienia stały się dla każdego okazją do szybkiej i gruntownej poprawy.

Bliżej pieca, zagrzebana w pościeli, spała Stasia, osłabiona trwającym już od kilku dni paskudnym przeziębieniem. Jej lekko zaróżowiona twarzyczka i popielate włosy, rozrzucone niedbale na poduszce, przypominały główkę anioła z obrazka, jaki dziewczynki dostały niedawno od babci Marianny. Młodsza od Bolesi o dwa lata, nie była wcale podobna do siostry ani z urody, ani z usposobienia. Z natury nieśmiała i płaczliwa, potrafiła jednak dzięki ustawicznym zabiegom Bolesi nie tylko uśmiechać się od czasu do czasu, ale nawet śmiać się całkiem głośno.

W pokoju brakowało jedynie najmłodszej pociechy, dwuletniego Marcinka.

Pani Łucja spostrzegłszy to, zajrzała do sypialni, gdzie obok łóżka stała duża kołyska, i – tam go znalazła. Zajęty usypianiem drewnianego konika, nawet nie zauważył wejścia matki.

– Konik śpi? – zapytała cicho.

Kiwnął głową, po czym sam, trochę nieudolnie, zaczął się pakować do kołyski.

– O, nie! – zaprotestowała tym razem żywo, biorąc malca na rękę. – Marcinek nie będzie teraz spał! Marcinek zaczeka na tatusia...

Słowo „tatuś” poskutkowało. Malec zsunął się z rąk matki na podłogę i wyciągnął z kąta inną ulubioną zabawkę. Był nią drewniany bąk pomalowany w kolorowe paski. Już po chwili bąk kręcił się, a Marcinek podskakiwał zadowolony. Pani Łucja patrzyła na synka z zachwytem. Nosiła pod sercem kolejne dzieciątko i czuła się ogromnie szczęśliwa.

Z kuchni rozchodził się zapach gotowanych ziemniaków i żuru przyprawionego czosnkiem, nieomylny znak, że obiad blisko. Widząc, że Marcinek świetnie się bawi, usiadła przy lampie obok Bolesi i zabrała się do cerowania dziecięcych ubranek. Co pewien czas zerkała jednak na córkę z wyraźnym upodobaniem. Jej wzrok mówił wtedy: „Tak, tak, ja też byłam kiedyś taka pilna, też lubiłam się uczyć, też byłam najlepszą uczennicą w klasie”.

Bolesia, która kończyła już za kilka miesięcy dwuletnią szkołę elementarną, w skupieniu odrabiała zadaną pracę domową. Nowa stalówka, o którą postarał się tata, nie skrobała już tak głośno po papierze jak poprzednia. Jej zeszyt mógł uchodzić za wzór staranności. Nie było w nim ani jednego kleksa, a wszystkie literki stały na baczność jak dobrze wyćwiczone wojsko. Jak rosyjskie wojsko, gdyż literki pochodziły z rosyjskiego alfabetu.

– *Alfawit uże my znam, uże piszem i czytajem, i wsje bukwy po pariadkie biez aszybki nazywajem!*¹ – wyrecytowała, po czym gwałtownie zamknęła zeszyt.

¹ Wyjaśnienie znaczenia słów i pojęć pisanych pochyłym drukiem znajduje się w Słowniku na końcu książki.



Pani Łucja westchnęła głośno.

Wiele dałaby za to, żeby jej córka mogła uczyć się w polskiej szkole, jest przecież taka zdolna. Niestety, car kazał pozamykać polskie szkoły, a wszelkie przejawy polskości tępił z całą bezwzględnością. Na lekcje prowadzone przez prywatnych nauczycieli Lamentowie nie mogli sobie pozwolić, sama uczyła więc Bolesię języka polskiego, ojczyściej historii i katechizmu. Uczyła ją tego, co zapamiętała z pensji sióstr bernardynek i cieszyła się, że jej córka chłonie wiedzę z tak zadziwiającą łatwością.

– Siergiej Kargiłow powiedział, że w domu też mamy gawarit’ po ruski – oświadczyła Bolesia w pewnej chwili, wykrzywając zabawnie usta.

– Co takiego?!

– No... powiedział wyraźnie, że mamy mówić cały czas po rosyjsku, żeby nie wyjść z wprawy. Ale my – tu spojrzała na matkę wymownie – wcale nie będziemy słuchać Siergieja Kargiłowa! Nikt nas do tego nie zmusi, prawda? Nasz język jest przecież taki piękny!

Odrzuciła do tyłu warkocze, objęła matkę ramionami i zanuciła radośnie:

*Płynie Wisła, płynie, po polskiej krainie,
po polskiej krainie,
zobaczyła Kraków, pewnie go nie minie...*

Słyszac śpiewanie siostry, Marcinek wgramolił się szybko na jej kolana i zaczął uderzać piąstkami o stół w rytm melodii. Robił to z takim zacięciem, że obudził w końcu chorą Stasię.

– Patrzcie no, jaki zdolny! – roześmiała się pani Łucja. – Jeszcze nam z niego jakiś muzykant wyrośnie!

Stasia wodziła przez pewien czas po pokoju nieprzytomnym wzrokiem, wreszcie wyszeptała:

– Mamuś... pić!

Pani Łucja przyniosła z kuchni kubek z rumiankową herbatą.

– Ej, lepiej ci już chyba córuchno – zauważyła, zaglądając jej głębooko w szarzielone oczy. – Widzę przecież, że lepiej.

Ale Stasia nadal pokwękiwała, skarżąc się na nudności i ból głowy.

Wtedy Bolesia, która biadolenia siostry miała już dosyć, postanowiła odwrócić jej uwagę od przykrych dolegliwości i zaczęła, niby od niechcienia, opowiadać o Kaziku, chłopcu z sąsiedztwa, z którym obie przyjaźniły się od dawna. O tym, jakie to mu brat zrobił piękne sanki z drewna, i jak to sobie na nich świetnie zjeżdżali z górki, jak obrzucali się śnieżkami i lepili bałwana, którego Łatek najpierw się okropnie wystraszył, a potem bardzo śmiesznie obszczekiwał.

Sposób okazał się skuteczny. Stasia w jednej chwili zapomniała o chorobie. Siedziała na łóżku zaciekawiona i wpatrywała się w siostrę błyszczącym wzrokiem.

– I co? Co dalej? – pytała niecierpliwie.

– Co dalej? – roześmiała się Bolesia. – Sama zobaczysz! A teraz – wstawaj! Dosyć już tego chorowania!

Jednak Stasia wcale nie miała zamiaru wstawać z łóżka, jeszcze szczerzej owinęła się kołdrą.

– Ty piecuchu! Jak ci nie wstyd! – Bolesia próbowała ściągnąć kołdrę z siostry, ale ta trzymała ją kurczowo zaciśniętymi piąstkami.

Po krótkiej, lecz nader gwałtownej szarpaninie policzki Stasi zrobiły się nagle mokre od łez.

– A jeśli ja nie wyzdrowieję? – zapytała płaczącym głosem.

Słowa te, tak smutne, że wręcz tragiczne, wydały się Bolesi czymś niedorzecznym.

– Nie wyzdrowiejesz? Co znowu! Oczywiście, że wyzdrowiejesz! Już prawie jesteś zdrowa!

I pragnąc poprzeć swoją diagnozę jakimś konkretnym argumentem, stwierdziła:

– Ja też byłam chora, pamiętasz, na ospę, a wyzdrowiałam!

Argument ten nie przekonał Stasi.

– Ty, to co innego – upierała się, pozwalając płynąć łzom. – Ale ja... Ja mogę przecież umrzeć, jak Lodzia. Już o niej zapomniałaś?

Bolesia nie zapomniała. Jakże mogłaby zapomnieć. To było raptem rok temu. Lodzia miała już prawie sześć lat i była najmilszą siostrzyczką na świecie.

Pani Łucja, chcąc przerwać żałobny nastrój, jaki w sposób dość nieoczekiwany wtargnął do mieszkania, odłożyła robótkę i zbliżyła się do dziewczynek.

– Lodzia – zaczęła pogodnie – była naszym jasnym słońcem na ziemi, a teraz jest naszym słodkim aniołkiem w niebie. Tak jak wcześniej została nim Helenka. A ciebie, Stasienko – zwróciła się do córki energicznie – chcę jutro widzieć ubraną, uczesaną i zdrową. Bolesia ma rację, dosyć już tego chorowania!

Czy to słowa matki miały taką niezwykłą moc, czy też choroba sama się cofnęła, nie wiadomo. Faktem jest, że kilka dni później Stasia zjeżdżała z górki wraz z Bolesią na sankach Kazika.

Kazik miał na nazwisko Ucieklak. Był od Bolesi starszy o dwa lata, ale nie potrafił jeszcze ani pisać, ani czytać. Zgodził się więc pożyczyć jej sanki, ilekroć tylko zechce, pod warunkiem, że nauczy go tej trudnej sztuki.

Bolesia przystała chętnie na tę propozycję. Także pani Łucja nie sprzeciwiła się ugodzie dzieci. Lubiła Kazika i uważała go za pojętnego i inteligentnego chłopca. Spędzał więc Kazik odtąd w domu Lamentów wszystkie niedzielne popołudnia, zaliczając przy okazji smaczne podwieczorki, a jak czas pozwalał przychodził także w tygodniu. Prawie zawsze siadała wtedy przy nich Stasia ze swoim zeszytem. Bolesia, która posiadała niemałe zacięcie pedagogiczne, czuła się w roli nauczycielki wyśmienicie. Sprawdzała prace domowe swoich uczniów, przepytывała ich z przerobionego materiału, wystawiała oceny. Była to zatem całkiem poważna nauka.

Wszyscy troje, bardzo ze sobą zżyci, trzymali się zawsze razem. Podczas Mszy Świętej w parafialnym kościele Świętego Ducha także stawali obok siebie i z tym samym przejęciem na twarzach słuchali niezrozumiałych łacińskich słów, które ksiądz wypowiadał ze czcią, a które w ich uszach brzmiały niczym tajemnicze zaklęcia.

Kazik miał mamę, babcię i starszego brata, który po ojcu zesłałym na Syberię przejął warsztat stolarski i w ten sposób zarabiał na chleb dla całej rodziny. Sześć lat już prawie minęło od czasu, gdy widział ojca po raz ostatni, a wciąż miał w pamięci tamtą straszną scenę, kiedy to – szarpany przez carskich żandarmów i skuty żelaznym łańcuchem – został wyrwany nagle siłą z jego dziecięcego świata. Od tamtej pory czekał cierpliwie na powrót taty i często wyglądał na drogę, żeby sprawdzić czy nie nadchodzi. „Może na Wielkanoc wróci” – myślał. – „Może na Boże Narodzenie...”

Zbliżało się kolejne Boże Narodzenie i serce Kazika skakało znowu jak młody żreback, a duszę zalewała co jakiś czas błoga nadzieja. Nie zdradzał się z tym jednak przed nikim. Modlił się, milczał i czekał. A taki był zawzięty na wszystko co carskie, że nieraz potarzał:

– Ja to bym tym Moskalom...

I pojąć nie mógł, dlaczego Bolesia uczy się ich języka. Wymyślał im też w cichości od najgorszych. Dobrze, że w cichości. Zdarzyło się bowiem raz, gdy się bawił z chłopakami w wojnę, że mu się nagle żandarm zza płotu pokazał. Widać było, że mieli już oni rodzinę Ucieklaków dobrze na oku.

Pewnego dnia, tak jakoś z końcem Adwentu, pani Łucja wysłała dziewczynki po suszone grzyby na barszcz wigilijny do babci Kazika, która zbierała je nieraz do późnej jesieni. Poszły chętnie, mimo mrozu. W ciepłych kurtkach na watolinie, w skórzanych botkach przez ojca ślicznie uszytych, patrzą – a tam Kazik w lichej kapocie, wiatrem jedynie podszytej, drwa rąbie przed domem. Pożałowały go, że tak ciężko musi pracować, a on jak się nie roześmiej na to ich gadanie:

– Dajcie spokój! Pracy mam się bać?! Toż tatko...

Chciał powiedzieć: „Toż tatko nigdy żadnej pracy się nie bał”, ale – nie dokończył. W tej samej bowiem chwili ujrzał w oddali postać jakąś dziwną, obszarpaną, która mu się na pierwszy rzut oka obcą wydała i do nikogo niepodobną. Obcą, a przecież... rzucił się w jej kierunku co sił w nogach jak oszalały. W ramionach się jej znalazł wychudłych, w dziadowskie łachmany przyodziane, do piersi przylgnął zapadłej, do serca, które jak jego własne uderzało mocno i radośnie.

– To wy, tatulu!... To wy!... – wołał głosem urywanym, zmienionym jakimś, nieswoim. – Wiedziałem, że Najświętsza Paniienka was uratuje... Wiedziałem... – A prowadząc ojca do domu skakał prawie, tak ukontentowany był z jego powrotu i szczęśliwy.

Uczestniczące w tym podniosłym wydarzeniu dziewczynki zapomniały nie tylko o suszonych grzybach na wigilijny barszcz, ale i o całym świecie.

Wieczorem udał się Marcin Lament osobiście do sąsiada, którego pomyślny powrót do domu hucznie obchodzono w okolicy. I nic dziwnego, że hucznie, gdyż dobry był z niego człowiek i przez wszystkich ogromnie lubiany. Maciej miał na imię. W powstaniu styczniowym walczył w oddziale Wawrzyńca Rykały, póki go Moskale pod Bolimowem nie ujęli. Uciekł im, ale i tak go w końcu wytropili. Żał było Marcinowi sąsiada. Żał także poległego pod Bolimowem Staszka Romanowskiego, który podobnie jak on był szewcem. Sam do powstania się nie przyłączył ze względu na żonę. Pani Łucja patrzyła trwożliwym wzrokiem na jego konspiracyjne spotkania i drżała na myśl, że mógłby ją opuścić, i to, nie daj Boże, na zawsze. Miała przy pierśi roczną Bolesię i spodziewała się drugiego dziecka. Tak więc, chociaż serce Marcina rwało się do walki, rozum kazał pozostać przy żonie.

Prawie do północy świeciło się w oknach u Ucieklaków, a i następnego dnia opowiadaniom nie było końca. Marcin przekazywał żonie szczegółowe relacje z tych spotkań. Przysłuchiwały się im także dziewczynki, chłonąc słowa ojca z wypiekami na twarzach. Zwłaszcza kiedy była mowa o wyrębie syberyjskiego lasu przy trzydziestostopniowym mrozie, do której to pracy pędzono nie tylko mężczyzn, ale również kobiety i dzieci.

– To cud, że stamtąd wrócił – powtarzał Marcin raz po raz. – Prawdziwy cud. Podobno Kazik mu ten cud wymodlił, za co przyobiegał Najświętszej Paniencie, że... księdzem zostanie.

Bolesia, która składała akurat z matką do kosza wysuszoną bieliznę, zamyśliła się.

„Kazik – księdzem? Czy to możliwe? Ależ... tak! – ożywiła się nagle. – Czyż nie widziałam go w kościele wiele razy tak rozmownego, że zdawał się być jakby nieobecnym? Może już wtedy roz-

mawiał o swoim powołaniu ze świętymi? Może to wtedy właśnie ofiarował się Najświętszej Paniencie...”

Myśl ta wydała się jej nagle tak niesamowicie piękną i wzniosłą, że niewiele myśląc złapała za rękę małego Marcinka i zaczęła się z nim kręcić w kółko graniaste znowu, i znowu, wykrzykując za każdym razem ku jego wielkiej radości ostatnie słowa piosenki: „a my wszyscy: bęc!”.



Niefortunny incydent

Na rynku panował gwar. Zewsząd słychać było brzęczenie dzwonek przy saniach, rzenie koni i nawoływania woźniców. Mimo tego mrozu na ostatni targ przed świętami Bożego Narodzenia ściągnęło do miasta wielu kupców i handlarzy. W większości byli to Żydzi, którzy Łowicz, leżący na ważnym szlaku handlowym, szczególnie sobie upodobali. Wielu osiedliło się w nim na stałe, otwierając mniejsze lub większe sklepiki i zakłady rzemieślnicze. Handlowali sukniem, odzieżą, żywnością i drewnem. Stanowili w mieście już prawie czwartą część mieszkańców, a ciągle przybywali następni.

Zjeżdżali zwykle na cotygodniowe targi albo na słynne łowickie jarmarki, i to często z odległych stron. Przywozili wówczas ze sobą moc wykwintnych towarów, rozchwytywanych przez zamożne mieszczaństwo: paryskie perfumy, angielską garderobę, italską biżuterię, miśnieńską porcelanę i najmodniejsze zagraniczne obuwie.

Patrzył na to Marcin Lament krzywym okiem, bo mu Żydki zaczęły nieoczekiwanie wchodzić w paradę. Trzewiki łowickie, które do niedawna w całym Królestwie Polskim – Kongresówką przez niektórych nazywanym – nie miały sobie równych, stały teraz na półkach i zbierały kurz, a majątni obywatele do tych zagranicznych ciągnęli coraz śmielej ku jego strapieniu.

Nie wspominał o tym żonie, gdyż nie chciał jej martwić. Ona natomiast niczego się nie domyślając, wdzięcznym sercem przy-

mowała jego pomoc w pracach gospodarskich i nie pytała ani dlaczego tak wcześnie wraca z zakładu, ani czemu tak niespiesznie się do niego udaje. Znając dobroć męża była przekonana, że to wyłącznie troska o nią i mające się urodzić dziecko każe mu więcej czasu spędzać w domu.

Wychodził Marcin pewnego dnia po wodę do studni, kozuch narzuciwszy jedynie na plecy, kiedy natknął się w sieni na Joachimka, który przybiegł do pani Łucji z pilną wiadomością. Był to czternaścieletni, mocno już wyrosnięty chłopak, najmłodszy syn krawca Zelmana, Żyda z tej samej ulicy.

Z Zelmanem łączyły Marcina dobre stosunki sąsiedzkie. Do Łowicza przybył on jeszcze przed Lamentami, bodajże z Niemiec. Czemu osiedlił się w dzielnicy bratkowickiej, a nie na Glinkach, jak większość Żydów, nikt go nie pytał. I bez tego uchodził za dziwaka. Dla własnych ziomków dlatego, że trzymał się od nich z daleka, dla łowiczian – ponieważ jak wszyscy starozakonni nosił czarny chałat, pejsy i długą brodę. Marcin przyczyn sąsiedztwa Zelmana nie dociekał, a jego dziwactwa nic a nic mu nie przeszkadzały. Pracowity był i solidny. Wszyscy jego synowie, a miał ich czterech, czuli mores przed ojcowskim pasem. A tak wrósł w polską ziemię, że nawet do manifestacji patriotycznych się przyłączał, gdy zaś powstanie styczniowe upadło, grzywnę musiał płacić zaborcy za szycie żołnierskich mundurów. Jego zakład, nastawiony na średniozamożną klientelę, specjalizował się głównie w odzieży wierzchniej. Szyto w nim palta, płaszcze i pelisy, ale przyjmowano także zamówienia na różnego rodzaju przeróbki.

Joachimek tak był zdyszany, że go Marcin do mieszkania szybko wpuścił, buty mu każąc jedynie przedtem ze śniegu miotłą dobrze oczyścić. Zaraz się też na jego widok odezwało w domu wiele przyjaznych głosów, z których najdonośniejszy należał do Marcinka.

Malec rzucił drewnianą szabelkę i zaczął domagać się jak zwykle, żeby mu Joachimek swoją jarmułkę dał na głowie ponosić. Prośba musiała być spełniona natychmiast, inaczej bowiem podniósłby się wrzask i Joachimek żadną miarą nie mógłby przekazać pani Łucji wiadomości, z którą przyszedł.

– Chodzi o moją suknię? – domyśliła się od razu.

– Ojciec wykonał już poprawki według życzenia i zaprasza po odbiór.

Pani Łucja odetchnęła z ulgą. Poprawki były niezbędne, gdyż inaczej nie miałyby się w co ubrać w święta. Trzeba było przede wszystkim poluznić szwy, żeby się w tej świątecznej sukience i matka zmieściła, i dziecko.

Kuchnia, do której zaproszono Joachimka, pachniała miodem i korzennymi przyprawami. Pani Łucja piekła pierniki, które Bolesia ze Stasią wycinały z ciasta specjalnym radełkiem. Joachimkowi na widok upieczonych pyszności oczy się zaśmiały. Jedne pierniki miały kształt serduszek, inne gwiazdek, jeszcze inne zwierzątek, najwięcej zaś było kogutków, o które z oślim uporem dopominał się Marcinek.

– Poczęstuj się, proszę – pani Łucja odezwała się do Joachimka zachęcająco. – I niech ci będzie na zdrowie. To już na Boże Narodzenie.

Słyszając to, chłopak cofnął rękę.

Wówczas ona popatrzyła mu łagodnie w oczy i powiedziała:

– To prawda: wy macie swoje szabaty, my nasze Boże Narodzenie. Ale Ojca w niebie mamy tego samego, czy nie tak? Możesz więc chyba spróbować piernika?

Tym razem nie trzeba go już było namawiać.

Zajadał pierniki z apetytem, aż mu się uszy trzęsły. Nagle drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Marcin Lament z wiadrem peł-

nym wody, wpuszczając zimna co niemiara. Sam też zmarznięty, począł rozcierać przy piecu zgrabiałe ręce. A widząc, że chłopak pałaszuje pierniki ze smakiem, zawołał:

– O ho, ho! Coś mi się zdaje Joachimek, że jeszcze zrobisz ojcu psikus a zamiast zostać, jak on, krawcem, otworzysz cukiernię w Łowiczu!

Joachimek zaczerwienił się, ale języka w ustach nie zapomniał.

– Ojciec jest krawiec, to i ja będę krawiec, bo to piękne zajęcie – odparł z właściwą sobie fantazją. – A do pieczenia – żonę sobie wezmę!

Tu na Bolesię spojrział, jakby chciał sprawdzić, czy w razie czego mógłby na nią liczyć. Ale Bolesia, zajęta wycinaniem aniołka z ciasta, uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

– Nie zapomnij wziąć po pierniku dla Róży i Rebeki.

Obie ze Stasią lubiły córeczki najstarszego brata Joachimka, Daniela, i nieraz latem bawiły się z nimi oraz z innymi dziećmi z sąsiedztwa aż do zachodu słońca. Ależ to były wspaniałe zabawy! Nic dziwnego, że zaraz po jego wyjściu, zaśpiewały zgodnym chórem:

Jedzie, jedzie pan Zelman,

Jedzie, jedzie jego pan,

Jedzie, jedzie cała rodzina jego...

Ogromnie podobała im się ta zabawa. Ten, kto był panem Zelmanem biegał w kółko, śpiewając: „Jedzie, jedzie pan Zelman”, a kiedy zawołał: „Jedzie pani Zelmanowa!”, osoba wyznaczona wcześniej na jego żonę, kładła mu z tyłu ręce na ramiona i biegali tak jakiś czas razem, śpiewając. Potem dołączali kolejno pozostali członkowie rodziny – synowie, córki, wnukowie i kuzyni – i biegali za panem Zelmanem w różne dziwne strony po najdzikszych

wertepach, śmiejąc się i wywracając na zakrętach, co było zawsze niezwykle pociesznym widowiskiem.

Po wyjściu Joachimka Marcin Lament siadł za stołem i powiedział do żony:

– Porządny chłopak.

Potem zwrócił oczy na Marcinka i westchnął ciężko.

– Dałby Bóg, żeby i z niego taki wyrósł szybko. Zakład byśmy we dwóch poprowadzili, jak się patrzy, trzewiki do Warszawy ślali, a każdy kto by je raz kupił, już by w innych nie chciał chodzić, tylko o te od Lamentów rozpytywał.

– Dałby Bóg... – powtórzyła pani Łucja. – A może i jeszcze jednego da nam chłopaczka, żebyś go szewskiego wyuczył rzemiosła? – dodała, obejmując z miłością dzieciątko, które nosiła pod sercem.

Bolesia podziwiała matkę.

Nigdy nie widziała, żeby się na coś skarżyła albo żeby miała z kimś zatarg. Nawet gdy jej zdanie różniło się od innych, tak potrafiła je przedstawić, aby nikogo nie urazić, nikomu nie sprawić przykrości. Przychodziło więc do niej po radę chętnie wiele kobiet w przekonaniu, że nikt im lepiej od Marcinowej żony, czy jak mówiono między sobą „szewcowej żony”, nie doradzi. Czy na chorobę, czy na zmartwienie, zawsze miała gotową receptę. A że pisać i czytać jeszcze potrafiła, co należało ciągle do rzadkości, zaglądali do niej także ludzie z pismami urzędowymi, żeby im zechciała je objaśnić. Wówczas Marcin, który pisać i czytać podobnie jak oni nie umiał, zapalał fajkę, podkreślał węża i z taką dumą na żonę spoglądał, jakby i on na te nauki do sióstr bernardynek razem z nią niegdyś chodził. Przekonawszy się, jak ważną rzeczą jest posiadanie podstawowej wiedzy i jakim kalectwem jest jej brak, nigdy się w tym względzie żonie nie sprzeciwiał i za naukę Bolesii w szkole elementarnej płacił zawsze bez słowa.

Bolesia była wdzięczna rodzicom za tę naukę, jednak dużo bardziej cieszyło ją to, co od małości przekazywała jej matka. Wzrastała zauroczona opowiadaniem biblijnymi, pięknem polskich legend i wierszy, bogactwem śpiewanych przy różnych okazjach pieśni i piosenek. Obie ze Stasią uczyły się ich na pamięć, a potem same chętnie je powtarzały. Obowiązywała jedna ważna zasada: pieśni, zwłaszcza patriotyczne, mogły być śpiewane wyłącznie w domu. W okolicy nie brakowało bowiem niegodziwców, którzy dla podłego zysku gotowi byli donieść o takim fakcie carskim urzędnikom, narażając niewinnych ludzi na poważne szkody.

Marcin Lament ostrzegał córki szczególnie przed Katką, z którą dziewczynki nieraz ganiały po łące za motylami, a która włóczyła się często bez celu niczym bezpański pies.

– Diabeł nie śpi – mówił Marcin. – A ona, choć koleżanka dla was może i serdeczna, wystarczy, że w domu powtórzy coś niechcący z waszej rozmowy i bieda gotowa.

Mówił tak, ponieważ Katka i jej rodzina, o czym Bolesia i Stasia dobrze wiedziały, byli wyznania prawosławnego. Władzom byli posłuszni, a cara czcili jak największą świętość.

Bolesia, najstarsza i stawiana zawsze rodzeństwu za wzór posłuszeństwa, ostrzeżenie ojca bardzo sobie wzięła do serca, ale – jak to czasem z dziećmi bywa – raz jeden o nim zapomniała. Było to latem, kiedy obie ze Stasią wypatrywały przy polnych drózkach „przydrożniaków”, niedużych płowych grzybów, które ogromnie lubiły wyławiać potem z zupy. Dzień był piękny, słoneczny, ale zbiory znikome. Fakt ten tak rozżłościł Bolesię, że wpadła w pewnym momencie w nastrój prawie bojowy. Najpierw po cichu, a potem coraz głośniej zaczęła wyśpiewywać refren „Warszawianki”, ulubionej pieśni dziadka Piotra, który ostro bił się z Moskalami w powstaniu listopadowym.

*Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo! Polsko żyj...*

Śpiewała ochoczo, jakby sądziła, że już na sam dźwięk tych żołnierskich tonów grzyby zaczęły wyskakiwać z ziemi jeden po drugim, salutując. A ponieważ wkrótce istotnie znalazły kilka, śpiewały odtąd we dwie z jeszcze większą werwą. Nie tylko śpiewały, ale i maszerowały jak prawdziwi żołnierze, a Łatek, który im towarzyszył, poszczekiwał wesoło. Wtedy zza krzaka – wyskoczyła nagle Katka. Zaśmiała się głośno tym swoim cienkim bezrozumnym śmiechem i zaczęła je naśladować, wymachując niezdarnie chudymi nogami.

Ależ były przerażone.

– Módlcie się, żeby z tego co złego nie wynikło – mruknął wieczorem Marcin Lament, spoglądając na córki groźnie spod ściągniętych brwi.

Stały przed nim skruszone ze spuszczonej nosami. Winę wyznały, czekały już tylko na przebaczenie, ręce ojcowskie ze czcią całując.

Kto wie, jak zakończyłby się ten niefortunny incydent, gdyby Katka rzeczywiście opowiedziała rodzicom o tym, co widziała, albo co gorsza sama zaczęła maszerować i śpiewać „Warszawiankę”. Ale Katka nie opowiedziała, bo nie była skarżypytą.

Te i inne sprawy powierzała Bolesia Matce Bożej z domowego ołtarzyka, przybranego z łowicka kwiatami z kolorowej bibułki. Ołtarzyk należał niegdyś do prababki Bolesi, która myślała podobno w panieństwie o życiu zakonnym, ale ją rodzice za mąż siłą wydali. Czasem, gdy modliła się szczególnie żarliwie, miała wrażenie, że czuje obecność prababki i towarzyszący jej niewidzialny uśmiech, zachęcający do postępu w cnotach.

Do praktykowania cnót zachęcała obie swoje córki przede wszystkim pani Łucja. Niełatwa to jednak była praktyka. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Bolesia, kto nie potrafił zbyt długo usiedzieć w jednym miejscu, zawsze miał dużo do powiedzenia i nie był pozbawiony próżności i egoizmu. Matka pomagała jej wyzbyć się tych przykrych wad łagodnością i konsekwentnym uporem. Ojciec, z natury bardziej gwałtowny, nieraz rzucił ostrzejsze słowo. Bolesia z reguły przyznawała ojcu rację. Ale zdarzało się i tak, że potrzebowała pomocy z nieba, żeby się pogodzić z ojcowską wolą. Klęczała wówczas przed ołtarzykiem dotąd, aż doświadczyła tej upragnionej i niepodobnej do niczego innego słodczy uspokojonego sumienia, które, będąc takim właśnie, pozwalało iść dalej odważnie i z lekkim sercem.



Anielska muzyka

Zaraz po zajęciach w szkole Bolesia wracała zwykle prosto do domu, jednak tego dnia postanowiła wstąpić do kościoła Świętego Ducha, który mijiała po drodze, i pomodlić się w intencji mamusi. Pani Łucja była wyraźnie przepracowana przedświątecznymi porządkami, co Bolesia, mająca dobre i kochające serce, natychmiast spostrzegła i mocno się tym zmartwiła.

Kościół Świętego Ducha, otoczony drzewami i wysokim murem, był w Łowiczu najstarszym murowanym kościołem i był tym kościołem, w którym Bolesia została ochrzczona wkrótce po przyjściu na świat. Pobudowany został jeszcze przed słynną bitwą pod Grunwaldem, a mieszcząca się w nim kaplica Świętych Kryspina i Kryspiniana należała do cechu szewców, którego członkiem był Marcin Lament.

Pewna, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, śmiało chwyciła mosiężną klamkę. Gdy jednak weszła do kruchty, trochę się przelekła. Tak było w niej ciemno. Zostawiła więc szparkę w drzwiach, a wtedy wśliznęła się przez nią do środka smużka słonecznego światła.

Postąpiła kilka kroków, i jeszcze kilka, i nagle poczuła uderzenia własnego serca. Uczyniła znak krzyża świętego. Co było potem, nie pamiętała. Znalazła się bowiem w obecności Matki Boskiej Pocieszenia, która – będąc piękności niepojętej – patrzyła na nią czule

z obrazu w głównym ołtarzu. Patrzyła na nią Matka Boska, patrzyli święci i aniołowie, i Bolesia wiedziała, że nic już nie musi mówić, o nic prosić, bo Ona, Matka, wie o wszystkim. Wie i – bardzo ją kocha.

Kiedy wyszła z kościoła, świat skąpany był w słońcu, a naprzeciw niej szedł...

– Ksiądz German! – zawołała zaskoczona i natychmiast przyspieszyła kroku. – Chrzestny ojciec przyjdzie do nas w święta? – spytała z nadzieją w głosie.

Ksiądz German Grabowski roześmiał się na jej widok. Był młodym wikarym, kiedy starsi państwo Cyganowscy poprosili go, żeby został ojcem chrzestnym ich wnuczki. Lat miał tyle co Marcin Lament, ale nie był tak jak on skryty i zamknięty w sobie. Przeciwnie, chętny do rozmowy, nikomu nie żałował krzepiących słów, a z dziećmi nieustannie dowcipkował. Nawet katechizmu uczył je, żartując. Niejedną też rodzinę wyciągnął z biedy. Żałowali więc parafianie, gdy im władze duchowne zabrały go z Łowicza do Warszawy, gdzie jako pisarz i kaznodzieja zasłynął w krótkim czasie.

Bolesia bardzo była dumna ze swego chrzestnego ojca. Także on cieszył się z tego szczególnego ojcostwa i zawsze o niej pamiętał. To obrazek jej jakiś ofiarował, to różaniec ze szklanych paciorków, to znów figurkę świętego Antoniego.

Stała teraz przed nim roześmiana i szczęśliwa, przytupując dla rozgrzewki, a on mrugał zabawnie powiekami i nos miał czerwony od mrozu niczym śniegowy bałwanek.

– Widzę, że do kościoła panienkę ciągnie – odezwał się żartobliwym tonem. – To dobry znak! Może mi to święty Piotr za zasługę zapisze, kiedy będę przekraczał bramę nieba? A jak tam w domu, wszyscy zdrowi?

– Zdrowi, tylko mamcia...

– Oho! Pewnie szykuje wam nową niespodziankę – roześmiał się szeroko. – Brata albo siostrę, zgadłem?

Skinęła głowę.

– To i ja się za nią pomodłę – odezwał się tym razem poważnie. – A ty pędź już, bo mi się jeszcze przeziębisz. I powiedz rodzicom, że przyjdę świątecznego makowca spróbować!

Raźniej zrobiło się Bolesi od razu na sercu i tak jakoś lekko, że poczuła się nagle jedną z wirujących w powietrzu śnieżynek. Słyszała, że modlitwa kapłańska ma wielką moc, jednak teraz dopiero dotarło do niej, że ksiądz German taką właśnie modlitwą otacza ją i jej rodzinę, i że jest to szczególne wyróżnienie. „A ja? Czy nie powinnam odwdziżyć się księdzu Germanowi swoją modlitwą?” – pomyślała i aż przystanęła na środku chodnika, tak jej się ta myśl wydała ważną, a chwila uroczystą.

W tym samym momencie ujrzała przy kościelnym murze dwoje żebraków – starca i małą dziewczynkę. Dziewczynka owinięta w podartą chustę, wyciągała w stronę przechodniów rękę, na którą opadały białe śniegowe gwiazdki.

Bolesia wzdrygnęła się. Sięgnęła do kieszeni zimowego płaszcza, lecz kieszeń była pusta. Znaczyło to, że rozdała już ubogim wszystkie pieniądze, jakie dostała od ojca w tym miesiącu. Dostawała je na własne potrzeby, ale rzadko kupowała coś dla siebie. Dużo więcej radości sprawiało jej uszczęśliwianie innych. Ojciec wiedział o tym, a przecież ani razu jej za to nie zganił. Mało tego. Słyszała, jak któregoś dnia powiedział do mamci z dumą: „No, no, nasza córka gromadzi sobie skarby – w niebie!”

Jeśli Bolesia wyobrażała sobie niebo, było ono dla niej przede wszystkim miejscem, w którym żebracy tańczyli wesoło w rytm anielskiej muzyki. Aby przybliżyć im to niebo już tu, na ziemi, go-

towa była do znacznych poświęceń. Nic też nie mogło odciągnąć jej od raz powziętego postanowienia, jeśli dotyczyło ono szczęścia innych ludzi.

Tak było i tym razem.

Podeszła do dziewczynki zdecydowanym krokiem i powiedziała:

– Nic dla was nie mam, ale nie martwcie się, zaraz coś wymyślę! Kilka minut później była już przed zakładem szewskim ojca.

Marcin Lament bez trudu odczytał z twarzy córki cel wizyty, ale nie dał tego po sobie poznać. Popatrzył na nią karcącym spojrzeniem i stwierdził:

– No ładnie, ładnie... To tak się wraca ze szkoły prosto do domu?

Po czym wrócił do przerwanej pracy, wcale się nią nie zajmując.

Bolesia nie miała zamiaru rezygnować. Chcąc zdobyć ojca dla swojej szlachetnej sprawy, tak jak się zdobywa warowną twierdzę, bez wahania przystąpiła do szturm.

– Tatku – zaczęła przymilnie. – Dlaczego właściwie ludzie muszą żebrąć?

Marcin zdjął z kołka kawał skóry i obmyślając, jak by z niego wykroić parę damskich bucików, odezwał się niespiesznie:

– Pracy nie mają, pieniędzy nie mają, a żyć muszą... dlatego żebrzą. Ale czasem – dodał podnosząc ostrzegawczo głos – umyślnie się w łachy przebierają, bo im się pracować nie chce!

Słowa te zabolaty Bolesię.

– Tatko ze złością to mówi, a przecież zawsze im coś daje – zauważyła.

– Daję – przyznał – bo mnie Matka Boża o to w sercu prosi. Wola boska im żebrąć, wola boska nam strzec się, żeby z głodu nie pomarli przez nasze niedbalstwo.

Dwaj uczniowie, których Marcin Lament przygotowywał do zawodu, a którzy już nieraz byli świadkami podobnych rozmów



pryncypała z córką, szeptali między sobą z boku rozbawieni. Wiedzieli doskonale, jak skończy się ten rodzinny dialog i z niecierpliwością czekali na finał.

A finał nie kazał na siebie długo czekać.

– Tatuśku złoty! – zawołała nagle Bolesia rozpromieniona. – Nie uwierzysz, ale mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Mam cię pozdrowić od księdza Germana! Tak, widziałam go! Obiecał, że przyjdzie do nas w święta! Czy więc... z okazji tych świąt właśnie... świąt Bożego Narodzenia... nie mogłabym cię prosić... prosić cię o pięć... albo dziesięć *kopiejek* – zakończyła, patrząc ojcu w oczy z ufnością.

Zaśmiał się głośno, po czym zawinął fartuch i sięgnął do kieszeni spodni. Twarzyczka Bolesi pojaśniała od razu, a w jej oczach pokazały się radosne błyski.

– Tatku, to naprawdę wyjątkowa sprawa – zapewniała, ściskając w dłoni otrzymane grosiaki. – Wyjątkowo wyjątkowa, daję ci na to wyjątkowe słowo – paplała, a język plątał jej się ze szczęścia.

– Tak, tak – kiwnął głową. – Już ja się dobrze znam na tych twoich wyjątkowo wyjątkowych sprawach.

Patrzył jak dygnęła w stronę uczniów, a zaraz potem tak gwałtownie pomknęła do drzwi, że omal nie przewróciła stołka. Wątku było z niej dziecko i chorowite, a tak wiele radości sprawiało obojgu zapracowanym rodzicom.

Oplątek roznosił tego roku po domach organista, pan Walerian, człowiek stateczny i pocziwy. Przepytał przy okazji Bolesię i Stasię z Modlitwy Pańskiej i pochwalił obie za śliczne wycinanki, które zrobiły dla przystrojenia domu, a Marcinka za grę na trąbce.

– Słyszałem, że pogrzeb Stanisława Moniuszki przerodził się w Warszawie w wielki wiec – zwrócił się do pani Łucji, gdy dzieci

się nieco oddaliły. – Mnóstwo ludzi przyjechało, żeby odprowadzić go na miejsce wiecznego spoczynku.

– O, to było już dawno, chyba tak jakoś w czerwcu – przypomniała sobie. – Pisała mi o tym nasza kuzynka z Warszawy. Taki utalentowany muzyk. Taki wielki Polak...

Bolesia przysunęła się niepostrzeżenie. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o wielkim Polaku, gdyż sama zamierzała zostać w przyszłości wielką Polką. O to się modliła i wierzyła, że Pan Bóg wysłucha jej modlitwę. „Z pomocą Bożą nie powinno to być trudne – myślała odważnie. – Wielkim kompozytorem nie będę, bo mam po ospie przytępiony słuch, ale mogę być wielką nauczycielką, pisarką albo – misjonarką!” – ucieszyła się, gdyż miała niedawno okazję słyszeć o misjach w Afryce, które wydały jej się czymś niesamowicie ekscytującym.

Dla kogoś, kto ma dziesięć lat wszystko wydaje się proste. Nic dziwnego, że i Bolesia była święcie przekonana, że wystarczy jedynie czegoś pragnąć i mocno do tego dążyć, by cel został osiągnięty.

Pan Walerian uśmiechnął się dobrodusznie do tych jej myśli, które tak wyraźnie miała wypisane na twarzy, a zaraz potem dziwnie zmarkotniał. Odżyła mu bowiem w pamięci uboga chata, którą odwiedził, zanim zastukał do Lamentów. Mieszkała w niej stara wdowa po kowalu z wnukiem Józefkiem, sierotą. Chłopak miał sześć, może siedem lat i trzymał się kurczowo babcinej spódnicy.

Pani Łucja znała Józefka i jego schorowaną babkę. Nieraz zanosila im warzywa, jaja czy kawałek słoniny. Ale ostatnio tak była zajęta trójką własnych dzieci i tym czwartym, które miało się urodzić, że całkiem o kowalowej babce i jej wnuczku Józefku zapomniała.

Kiedy tylko organista zatrzasnął za sobą drzwi sieni, wyjęła z komody płócienną ściereczkę i ułożyła na niej kawałek świętecznego placka, pęto kiełbasy i bochenek chleba.

Bolesia obserwowała matkę i zastanawiała się, jak też ona zanie sie ten skarb babce kowalowej, skoro sama od dwóch dni niedomaga i z trudem się porusza. W tej samej chwili doznała olśnienia.

– Mamciu – szepnęła przymilnie. – Niech mamcia pozwoli, że bym to ja z tym gościńcem poszła...

– Ty?

– Tak, ja! To wcale nie tak daleko, a poza tym skończyłam przecież w lipcu dziesięć lat!

Pani Łucja spojrzała na córkę, na jej drobną twarzyczkę okoloną aureolą puszystych włosów, które wymykały się niesfornie z warkoczy.

– Mamcia pozwoli?

Więc – pozwoliła.

Bolesia czuła się szczęśliwa. Mogła nareszcie wyręczyć matkę w naprawdę ważnej sprawie. Dużo ważniejszej niż mycie naczyń czy zamiatanie izby. Oto zanie sie ludziom trochę serca, myślała uradowana. A może zapyta przy okazji, czy jeszcze czegoś nie potrzebują.

Szła znaną sobie drogą, zrytą mocno płozami sań, i uważała, żeby się nie pośliznąć. Zza płotów zwieszały się ku niej gałęzie drzew pokryte koronkową szadzią. Niezwykle pięknie wyglądały w promieniach słońca. Znajdowała się mniej więcej w połowie drogi, kiedy naraz z mijanego obejścia wyskoczył wprost na nią groźny, ujadający wściekle pies. Przytuliła węzełek, lecz pies, czując zapewne zapach kiełbasy, jeszcze głośniej zaczął szczekać, i z jeszcze większym impetem skakać na nią, warczeć i tarmosić za rękaw paltocika.

– Idź sobie! – zawołała przestraszona, czując, że łzy napływają jej do oczu. – Idź natychmiast, bo... Bo powiem wszystko Matce Boskiej!

W tym samym momencie na podwórzu pojawił się gospodarz. Pies na jego wołanie zawrócił posłusznie ku domowi.

„Ach, jak to dobrze mieć takiego niezawodnego obrońcę jak Matka Boża” – pomyślała i poczuła, że jakieś miłe ciepło przejmuje ją i napełnia wielkim pokojem.

Chata babki kowalowej nie różniła się prawie niczym od innych ubogich chat. Prowadziła do niej nie uczęszczana od dawna, zawiata śniegiem ścieżka. Bolesia podeszła do drzwi i zastukała raz, i drugi. Dopiero po dłuższym czasie ukazała się w nich przygarbiona staruszka w baranym serdaku i wypłowiałej chustce na głowie. Jej widok speszył nieco Bolesię.

– Pochwalony Jezus Chrystus – odezwała się niepewnym głosem.

– Na wieki wieków. Amen – odparła babka przyglądając się jej z zaciekawieniem. – A dokąd to Pan Bóg prowadzi?

– Do was, babciu. Z gościńcem od Lamentów.

Teraz ją dopiero kowalowa babka poznała i do chaty zaprosiła, na węzełek zerkając łakomym wzrokiem. Także Józefek zlął z pieca i na gościa się gapił, jakby nie dowierzał własnym oczom.

Bolesia położyła węzełek na stole i, nie bardzo wiedząc, co ma dalej ze sobą począć, uśmiechnęła się do babki serdecznie i szczerze. Na ten uśmiech coś staruszkę za serce chwyciło. Ujęła ręce Bolesi w swoje, zniszczone od wyplatania wiklinowych koszy, i powiedziała:

– Uśmiech i dobre słowo więcej znaczą, niż najhojniejszy dar. To sobie zapamiętaj i niech ci Pan Jezus do końca życia będzie przyjacielem.



Wigilijny wieczór

Na wieczerzę wigilijną przyjechali saniami jak zwykle dziadkowie Cyganowscy, rodzice pani Łucji. Babcia Marianna, promienna i pełna werwy, i dziadek Piotr, z sumiastym wąsem, tak wysoki, że się nie mieścił w drzwiach, więc się w nich musiał nisko kłaniać, ilekroć przekraczał próg. Oboje mieli ogromne poczucie humoru, toteż wnuki dosłownie za nimi przepadały. Babcia Marianna była niezastąpiona do zabawy w ślepą babkę, a dziadek Piotr wymarzoną niedźwiedzią do piosenki „Stary niedźwiedź mocno śpi”.

Jednak tego wieczoru nikt nie myślał ani o ślepej babce, ani o niedźwiedziu-śpiochu. Wszyscy odświętnie ubrani czekali na pojawienie się na niebie pierwszej gwiazdki, by zgodnie z tradycją rozpocząć uroczystą wieczerzę. Czekali na gwiazdkę, która miała im przypomnieć tę Betlejemską Gwiazdę sprzed dwóch tysięcy lat, obwieszczającą narodziny Mesjasza, Jezusa Chrystusa – Zbawiciela świata. Tego, który od tamtej pory każdego roku rodzi się na nowo w ludzkich sercach podczas tej niezwyklej nocy.

– Nawet teraz, kiedy Polska jest pod zaborami? – zapytała Stasia, siedząc wygodnie na kolanach dziadka.

– Nawet teraz.

– A jak On wchodzi do serca? – chciała koniecznie wiedzieć. – Przez sionkę, jak my do mieszkania?

Dziadek uśmiechnął się i przygarnął wnuczkę do piersi.

– W sercu też jest taki przedsiónek – powiedział z tajemniczą miną. – Pan Jezus przystaje w nim i czeka, aż Mu ktoś otworzy.

– A jak Mu ktoś nie otworzy? – pytała dalej Stasia. – Musi Mu być wtedy bardzo smutno, prawda?

– Zgadza się. Dlatego...

– Wiem! – zawołała zeskakując na podłogę. – Trzeba mieć te drzwi w sercu cały czas otwarte! – dokończyła zadowolona.

Bolesia, która wraz z matką ustawiała na stole salaterki i półmiski z potrawami, przystanęła i popatrzyła na siostrę z wyrozumiałością.

– Jeszcze trochę i do twojego serca też przyjdzie Pan Jezus – oznajmiła. – Przyjdzie w Pierwszej Komunii Świętej, a wtedy przekonasz się, jaka to wielka radość.

Umocowana nad stołem podłóżniczka pachniała lasem. Była to duża sosnowa gałąź zwinięta w wieniec i przybrana szyszkami, orzechami, rajskimi jabłuszkami i ozdobami ze słomy i kolorowej bibułki. Powiadano, że jeśli podłóżniczka zachowa świeżość do Nowego Roku, okaże się on pomyślny i szczęśliwy dla domowników.

Stół był nakryty białym obrusem. Pod obrusem, na środku, leżała wiązka siana, a na wierzchu poświęcony opłatek. Żywczy zapach lasu mieszał się z zapachem smażonej ryby, kapusty z grochem, barszczu i pierogów z grzybami.

W pewnej chwili przy oknie rozległy się wesole dziecięce okrzyki, co oznaczało, że gwiazdka na niebie już się pojawiła. Zaraz potem rozległy się słowa piosenki:

*Witaj Gwiazdo Betlejemska,
tak oczekiwana!*

*W twoim blasku chcemy dziś
śpiewać na cześć Pana...*

Nastąpił dawno oczekiwany moment. Cała rodzina zgromadziła się przy stole, a kiedy już się uciszyło, dziadek Piotr poprosił o głos.

– Bóg stał się człowiekiem – powiedział – aby nas zbawić i dać nam życie wieczne. Otóż wierzę głęboko, że wybawi również i naszą umiłowaną Ojczyznę z tej okrutnej niewoli, jaką zgotowali jej zaborcy, nasi sąsiedzi. Co, daj Boże. Amen.

– Amen – powtórzyli wszyscy chórem i odmówili pacierz.

Po skończonej modlitwie Marcin Lament wziął w ręce opłatek.

– Tego wam tylko życzę, ale za to szczerze i prosto z serca – odezwał się – abyśmy doczekali szczęśliwie następnej Wigilii, i żeby nam się przez ten czas dobrze wiodło.

I przełamał się opłatkami najpierw z żoną, a potem cała rodzina przełamywała się nim, życząc sobie zdrowia i Bożej opieki i przebacząc sobie wzajemnie doznane przykrości. A gdy już wszyscy pojednali się ze sobą, zrobił się przy stole wielki ruch. Pilno było zwłaszcza dzieciom skosztować wigilijnych potraw.

Pani Łucja obdzielała pociechy sprawiedliwie, ale i tak omal nie doszło do sprzeczki o pieroga. Aż ich ojciec musiał upomnieć.

– Ej, huncwoty! W dzień Adama i Ewy daruj bliźniemu gniewy! – przypomniał stare ludowe porzekadło i natychmiast spory ucichły.

Jedno tylko nakrycie przy stole pozostawało ciągle nietknięte. To, które było przewidziane dla niespodziewanego gościa. „Ciekawe, czy przyjdzie tym razem” – zastanawiała się Bolesia. Słyszała już mnóstwo niesamowitych opowieści o gościach zjawiających się w wieczór wigilijny. Raz był to Pan Jezus przebrany w łachmany,

innym razem znikający nagle święty wędrowiec, a jeszcze innym razem niecny włóczęga, który skradłszy coś gospodarzom, zamienił się za karę w miotłę, pogrzebacz albo gliniany garnek. Dziwne to były historie i mało prawdopodobne, a przecież wszyscy powtarzali je sobie chętnie, nie posiadając się za każdym razem ze zdumienia.

Śpiewali akurat kolędy, kiedy za oknem rozległo się najpierw szczekanie Łatka, a jakiś czas później stukanie do drzwi.

– Gość w dom, Bóg w dom! – zawołał Marcin Lament wstając od stołu.

Bolesia pobiegła do sionki za ojcem z bijącym sercem.

Nie był to jednak włóczęga ani wędrowiec, lecz ksiądz German, który złapawszy wolną chwilę przed pasterką, postanowił odwiedzić przyjaciół. Zabrali się więc znowu do zajadania wigilijnych przysmaków, a potem dziewczynki urządziły koncert piosenek patriotycznych, w którym wziął udział również Marcinek. Maluch nie nadązał wprawdzie za siostrami, ale za to całkiem niezłe wymachiwał szabelką i podrygiwał w rytm melodii.

– Kiedy myślę o Świętej Rodzinie z Nazaretu – odezwał się nagle ksiądz German – przychodzi mi zawsze na myśl wasza rodzina...

Zdziwiło to Stasię.

– Ale przecież święty Józef był stolarzem, a nie szewcem, jak nasz tatko! – wykrzyknęła z rozbijającą szczerością.

Ksiądz German roześmiał się wesoło.

– To prawda – przyznał. – Jednak nie to miałem na myśli, porównując waszą rodzinę do Świętej Rodziny z Nazaretu. Chodziło mi raczej o to, że się u was zawsze dobrze czuję, że macie w sercach prawdziwie Bożą radość.

Bolesia zauważyła, że oczy mamy, która już lada dzień miała urodzić im małego „lamencika”, zaszklily się niespodziewanie

łzami wzruszenia. Zauważyła też, że otarła je spieszenie, po czym, aby zmienić temat, zapytała z uśmiechem:

– A co tam w wielkim świecie? Jak się księdzu Warszawa podoba?

Pytanie, choć z pozoru błahe, wprawiło księdza w zakłopotanie.

– Piękne miasto – odparł. – Szkoda tylko, że w obcych rękach. A z nowości – tu zwrócił się do dzieci – chyba to, że coraz więcej zamożnych ludzi ubiera sobie pruskim zwyczajem na święta Bożego Narodzenia... choinkę!

– Choinkę? Takie drzewko? – zdziwiła się Bolesia.

– Właśnie – odparł. – Najczęściej jest to mały świerczek, na którym mocują lichtarzyki ze świeczkami. A stroją podobnie jak wy podłazniczkę: w jabłka, orzechy, pierniki, cukierki i łańcuchy ze słomy, a także w koszyczki z kolorowego papieru, w których ukryte są różne niespodzianki.

– Koszyczki z niespodziankami? – zainteresowała się Stasia. – Chciałabym, żeby i u nas w domu było takie drzewko!

Marcin Lament uznał za stosowne ostudzić jak najprędzej zapal córki.

– Tego by tylko brakowało – burknął, rozglądając się za fajką. – Mało to choinek rośnie za domem? Trzeba by serca nie mieć, żeby takie śliczne drzewko na jeden wieczór ścinać dla próżnej zachcianki. Toż ono w kilka chwil zmarnieje!

– To może – wtrąciła Bolesia – chociaż te koszyczki z niespodziankami zawiesimy za rok na podłazniczce? Po jednym koszyczku dla każdego z nas i jeden – dla Pana Jezusa! – zakończyła z rozbijającym uśmiechem.

Tym razem i ojciec się uśmiechnął. Oznaczało to, że sprawa została załatwiona pozytywnie.

Ksiądz German pochwalił rybę w galarecie, która była specjalnością gospodyni, a następnie powiedział poważnie:

– Mówią, że arcybiskup Ledóchowski zmienił ostatnio swój stosunek do władz pruskich. Podobno ostro zaprotestował na wiadomość, że mają zamiar zabronić katechizowania naszych dzieci w ojczystym języku.

Słowa te wszystkich niezmiernie poruszyły.

– Jak to?! To i pacierz miałyby mówić po niemiecku? – oburzyła się babcia Marianna. – Tego to i sam Pan Jezus już by chyba nie ścierpiał!

Dziadek Piotr, który od dawna nosił w sercu żal do arcybiskupa za jego sprzyjanie Prusom, tym razem całkiem szczerze i po chrześcijańsku się o niego zaniepokoił.

– Szlachetnie to ze strony arcybiskupa Mieczysława – stwierdził – bo jużem myślał, że się ze wszystkim Prusom poddał, boję się jednak, żeby mu to protestowanie zanadto na złe się nie obróciło...

– Wola Boża – westchnął ksiądz.

Na pasterkę o północy wybrali się wyłącznie dorośli. Do kolegiaty, którą nazywano prymasowską, gdyż niejednego prymasa już gościła w swoich murach i niejednen arcybiskup spoczywał w jej kamiennym grobowcu. Szły na pasterkę kobiety ubrane w łowickie pasiaki, ciągnęły powozami wytworne damy. Zdążali zewsząd mieszczanie, kupcy i rzemieślnicy. Szli na spotkanie z małym Jezusem, po Jego błogosławieństwo.

Zaraz po Bożym Narodzeniu mróz się zrobił wielki i wiatr zaczął dąć porywisty, w kominach zawodząc nieznośnie. Mimo tych niesprzyjających warunków kolędnicy wędrowali jak co roku z gwiazdą od domu do domu, życząc gospodarzom zdrowia, szczęścia i pomyślności.

Łatek siedział w kuchni pod ławą, kiedy pokazali się za oknem. Marcinek wystraszony widokiem obcych, złapał fuzyjkę i czmych-

nął czym prędzej w ramiona ojca. Nadbiegły zaciekawione dziewczynki.

*W źłobie leży, któż pobieży
kolędować Matemu...*

Co najmniej dziesięciu chłopaków ubranych w paradne kapoty, czapki i odwrócone włosom na wierzch baranie kozuchy wyśpiewywało z weselem, zerkając czujnie na drogę, czy nie widać na niej żandarma. Najstarszy trzymał długi kij z gwiazdą, w której migotał płomyk świeczki. Gwiazda obracała się wesoło, a chłopcy przytupywali trochę do rytmu, a trochę dla rozgrzewki.

Pani Łucja wyciągnęła ze spiżarni kilka jabłek i struclę z makiem, zaś Marcin Lament, któremu to kolędowanie jego własne chłopięce lata przypomniało, dorzucił od siebie jeszcze nieco drobników. Cieszyli się kolędnicy i pięknie, z pokłonem, dziękowali gospodarzom za szczodropliwość i hojną „kolędę”.

– Był z nimi Kazik, tatku, widziałeś? – wykrzyknęła Bolesia, gdy chłopcy już się oddalili.

Ojciec skinął wprawdzie głową, ale jego twarz zasepiła się niespodziewanie.

– Co się tam teraz u tych Ucieklaków porobiło, strach myśleć – powiedział do żony. – Wszystko przez ten Sybir. Na umysł się chyba Maciejowi rzuciło, nic go nie cieszy. Ani syn pierworodny, co się o dyplom mistrzowski wystrzał w ciesielskim rzemiośle, ani gospodarna żona, ani ten dzieciak, co mu wymodlił szczęśliwy powrót. Wszystko przez ten Sybir... – powtórzył z rezygnacją i fajkę znowu napełnił tytoniem.

Posmutniała Bolesia, słysząc te słowa. Żal jej się zrobiło Kazika.

Nowy rok 1873 zaczął się od zamówień na trzewiki, co Marciniowi zdecydowanie poprawiło humor. Zamawiano wytworne półbuty z barwionej kozłej skóry i buty z cholewami, kierpce, chodaki i zwykłe trepy. Nucił więc coraz częściej pod wąsem, fałszując okrutnie, gdyż ani słuchu, ani głosu za grosz nie posiadał. Zaś w samo Święto Matki Boskiej Gromnicznej po felczera musiał gnać co sił w nogach, bo mu żona rodzić zaczęła. Drugiego syna powitali z radością, a na imię dali mu: Antoni.

– No i sprawdziła się przepowiednia! – śmiała się pani Łucja tułac rozkrzyczane niemowlę. – Na Święto Matki Boskiej Gromnicznej słyhać śpiew – pierwszego skowronka!

Został zatem Antoś „skowroneczkiem”.

Cieszył się z braciszka Marcinek, cieszyły się siostry. Bolesia, najstarsza, przejęła od razu rolę „mateczki”, jednak najwięcej czasu z Antosiem i tak spędzała Stasia. Nie odstępowała go prawie na krok. I bardzo się złościła, kiedy mówiono, że od nowego roku szkolnego rozpocznie naukę w szkole elementarnej.

– Przecież mamcia wie, że ja nie mam żadnych zdolności – protestowała z uporem. – A poza tym... Po co właściwie mam się uczyć pisać i czytać po rosyjsku? Czy to mi będzie do czegoś potrzebne? Co innego Bolesia. Ona pewnie nie tylko szkołę elementarną, ale i gimnazjum rosyjskie skończy z wyróżnieniem!

Napotykać na tak zdecydowany opór ze strony córki, którego niemal każdy wybuch kończył się potokiem łez, pani Łucja przestała w końcu nalegać. Zaczęła za to poświęcać więcej czasu na jej domową edukację.

Bolesia niecierpliwiła się, kiedy Stasia nie umiała poprawnie odpowiedzieć matce na zadane pytanie, albo nie potrafiła czegoś zapamiętać. Niecierpliwiła się także, gdy siostra odrzucała jej pomoc.

– Nie, to nie! – wołała wówczas i chowała zeszyty obrażona.

Pani Łucja nieraz zwracała mężowi uwagę na porywczosć Bolesi, ale on zawsze brał ją w obronę.

– Moja krew – mówił z dumą. – Przynajmniej dojdzie do czegoś w życiu!

Kiedy żyła jeszcze Lodzia, sprzeczki między młodszymi siostrami zdarzały się często. Wtedy Bolesia występowała w roli „świętej sprawiedliwości”. Strofowała Stasię i Lodzię surowo i zawstydziała je, używając przy takich sposobnościach słów, jakich zwykle używała matka. Mówiła na przykład: „Moje siostry, przestańcie się kłócić. Nie zasmucajcie Pana Jezusa”. Albo: „Bardzo brzydko tak się sprzeczać. Zróbcie przyjemność Panu Jezusowi i ucałujcie się szybko na zgodę”. Po śmierci Lodzi przestała być już „świętą sprawiedliwością”.

Ze Stasią kłóciła się ciągle, przeważnie o głupstwa, ale kochała ją niezmiernie. A tak głęboko przeżywała jej Pierwszą Komunię Świętą, że już miesiąc wcześniej przygotowywała się wraz z nią na to wydarzenie. Nieraz znikwały w ogrodzie i, zajęte braciszkami, rozmawiały o różnych ważnych sprawach. O niebie, w którym mieszkają wyłącznie dusze czyste, i o piekle, w którym cierpią potępione. O tym, jak piękny świat stworzył Pan Bóg, i o hufcach anielskich, które Mu służą. O świętym Stanisławie Kostce, który został świętym mając zaledwie osiemnaście lat, i o świętym Franciszku z Asyżu, który porzucił dla Chrystusa bogactwa tego świata. A tak były uszczęśliwione tymi rozmowami, że całkiem zapomniały o zabawach, jakim dzieci w ich wieku chętnie się oddawały. Kiedy zaś nie potrafiły sobie czegoś wytłumaczyć, jedna z nich zostawała z chłopcami, a druga biegła do matki po wyjaśnienie.

Pierwsza Komunia Święta Stasi bardzo zbliżyła dziewczynki. Obie nagle wydorosły. Widać to było zwłaszcza po młodszej

Lamentównie. Do niedawna marudna i płaczliwa, stała się dziewczynką uśmiechniętą i pełną radości. Siostry połączyły ponadto sekretne zwierzenia i doświadczenia związane z praktykowaniem cnoty. Z miłości do Pana Boga postanowiły bowiem ćwiczyć się w przełamywaniu własnej woli, okazując posłuszeństwo woli rodziców. Potknięcia, które zdarzały się niemal każdego dnia nie zniechęcały ich, lecz skłaniały do podejmowania kolejnych prób. Bolejąc nad własną słabością, nie traciły ducha walki, a wspierając się wzajemnie, robiły coraz większe postępy.

Szkołę elementarną ukończyła Bolesia, tak jak przewidywała to młodsza siostra, z wyróżnieniem. Fakt ten stał się przedmiotem dłuższej rozmowy rodziców, w wyniku której zapadła decyzja o posłaniu córki do rządowego progimnazjum.

Bolesia skakała z radości. Bardzo pragnęła uczyć się dalej. „I co z tego, że po rosyjsku – mówiła sobie. – Ważne, żeby umieć jak najwięcej, żeby poznawać rzeczy nowe”. Na samą myśl o tym, że po wakacjach przekroczy mury słynnego łowickiego progimnazjum, do którego również z Warszawy zjeżdżało wiele panienek, serce jej przepełniała duma.

– Już po wakacjach – powtarzała, obsypując matkę pocałunkami.

Jednak wakacje, tak oczekiwane i pełne najwspanialszych nadziei, przysłoniła niespodziewana żaloba – śmierć Marcinka. Dziwna choroba, na którą nie było lekarstwa sprawiła, że kolejna, trzecia już dziecięca trumienka spoczęła w rodzinnym grobie Lamentów.

Sąsiedzi przychodzili, kiwali głowami. A Marcin Lament i jego żona mówili:

– Wola Boża...

„Wola Boża – myślała Bolesia. – Jakaż to wielka tajemnica...”



Uwłócone trzewiki

Na świętego Mateusza, który to dzień wypada co roku 21 września, zjechały na jarmark do Łowicza takie tłumy, że okoliczne karczmy i zajazdy pękały w szwach. Rynek i przylegające do niego uliczki zastawione były ciasno kramami. Stragany uginały się od towarów, a ludzie kłębili się przy nich, targując się zapamiętale. Wiele też było przy tym gwaru, śmiechu i pokrzykiwania.

Przyjeżdżały na jarmark zamożne gospodynie po chusty i węgelniki. Przyjeżdżali gospodarze po narzędzia i zwierzęta domowe, albo żeby sobie dobrego parobka wyszukać. Młode panny wypatrywały koralu, sznurowanych bucików i przyszłego męża, a dzieciarnia kręciła się przy handlujących watą cukrową, obwarzankami i sercami z piernika. Wielu ciekawskich gromadziło się przy katarzyniarzu wystrojonym w czarny frak i cylinder, który kręcąc korbką wydobywał z drewnianego pudła wesołe melodyjki. Na pudle siedziała papuga i za drobny pieniążek wyciągała z koszyka kartki z zabawnymi rymowankami lub torebki z pierścionkami dla dziewczynek. Wszędzie słychać było dźwięki gwizdków, piszczałek i grzechotek wykonanych z gliny lub drewna.

Bolesia wybrała się na jarmark ze swoją chrzestną matką, panią Katarzyną Pomorską, szlachcianką z dziada pradziada. Była to kobieta niemłoda, ale ciągle jeszcze atrakcyjna i niezwykle ruchliwa, która do Bolesi miała wyjątkową słabość. Jeśli pojawiały się w domu

Lamentów książki, które opowiadały o dziejach ojczystych, działo się to głównie za jej przyczyną.

Dumna była pani Katarzyna ze swojej chrześnicy, toteż kiedy tylko dowiedziała się, że została przyjęta do rządowego progimnazjum, natychmiast zapragnęła to uczcić. Nie zważając na panującą w domu Lamentów żalobę po śmierci Marcinka, postanowiła zabrać ją ze sobą na jarmark. Pani Łucja nawet specjalnie nie protestowała. Doceniała pomoc córki i chciała chociaż w ten sposób wynagrodzić jej nadmiar codziennych obowiązków.

Bolesia uściskała matkę z wdzięcznością, lecz gdy znalazła się na jarmarku, poczuła nagle nieoczekiwany zawrót głowy. Tyle tam było cudowności, a wszystkie same pchały się do oczu. Dobrze, że matka chrzestna szła tuż obok i trzymała ją mocno za rękę.

– Taka ładna panna powinna być ładnie ubrana – szepnęła jej w pewnej chwili do ucha i zatrzymała się przy stoisku bławatnym, pełnym barwnych tkanin.

A kiedy Bolesia, zgodnie z jej życzeniem, wybrała materiał, który podobał jej się najbardziej, oświadczyła:

– Uszyjemy z niego prześliczną sukienkę, zobaczysz. Będziesz w niej wyglądała jak księżniczka!

Bolesia spuściła wzrok. Była tak onieśmielona, że nie potrafiła wydobyć słowa. Ona, która zwykle tyle miała do powiedzenia, stała teraz sztywna niczym kołek w płocie i czuła palące rumieńce na policzkach. Nikt dotąd nie mówił jej, że jest ładna. Sama też nigdy się nad tym nie zastanawiała. Gdy jednak nieco później przymierzała przed lustrem zgrabny słomkowy kapelusz z karminową wstążką musiała przyznać, że wygląda w nim naprawdę czarująco.

Zamysł matki chrzestnej udał się znakomicie i Bolesia wracała do domu w wyjątkowo dobrym humorze. Tymczasem Stasia, jej ukochana Stasia, zaskoczyła ją niemiłym powitaniem.

– Myślisz, że taka wystrojona będziesz miłsza Panu Jezusowi? – odezwała się drwiąco, spoglądając na prezenty, jakimi została obdarowana.

Słowa te zabrzmiały w ustach Stasi tak obco, że Bolesia miała ochotę rozplakać się z żalu. Nie uczyniła tego jednak, lecz objęła siostrę ramieniem i powiedziała:

– Stasiu, siostrzyczko, posądzasz mnie o próżność, czy to możliwe? Przecież ktoś, kto ładnie wygląda wcale nie musi być próżnym. Ważne, żeby jego serce nie było próżne.

Ale Stasia odepchnęła siostrę, nadąsana.

Nie było wątpliwości, że zanoszą się na sprzeczkę i że jest to szatańska sprawa.

Bolesia, przekonana, że tak właśnie jest, zapytała:

– A może ty jesteś po prostu zazdrosna?

– Zazdrosna?! Ja miałabym być zazdrosna? Chyba żartujesz! – oburzyła się Stasia.

Oburzenie to nie trwało na szczęście długo. Już po chwili ścisnęła Bolesię, a przy wieczornym pacierzu wyznała ze skrucą swoją winę.

Antoś, który potrafił już samodzielnie siedzieć i był dzieckiem zdrowym i radosnym, przyglądał się siostrze z wyraźnym zainteresowaniem. A chociaż przepadał za obiema, bardziej zżył się ze Stasią, gdyż Bolesia spędzała coraz więcej czasu poza domem.

Pani Łucja z niepokojem żegnała córkę każdego ranka i z jeszcze większym czekała na jej powrót. Tyle nasłuchiwała się w ostatnim czasie okropności na temat metod nauczania stosowanych w szkołach, że gotowa była zatrzymać ją w domu, gdyby tylko nauka miała odbić się niekorzystnie na jej zdrowiu. Znała Bolesię i wiedziała doskonale, że tym, co czyniło ją mocną, były wyłącznie odwaga

i upór w dążeniu do celu. W rzeczywistości była dzieckiem słabym i chorowitym, jak wszystkie jej dzieci.

Bolesia, podobnie jak większość uczennic, doświadczała w szkole wielu różnych upokorzeń, rzadko jednak skarżyła się z ich powodu. Lubiła za to opowiadać o zabawnych wydarzeniach i nowych koleżankach. Były wśród nich i takie, które na córkę szewca patrzyły z niechęcią i traktowały lekceważąco, ale Bolesia nie miała im tego za złe. Nie czuła się też od nich gorsza. Nie przeszkadzało jej, że były starannie ubrane i uczesane, że używały ładniejszych przyborów do pisania i wtrącały do rozmowy francuskie słowa. Według niej wszystkie uczennice, a było ich w trzech klasach gimnazjalnych około sześćdziesięciu, łączyła przede wszystkim wspólna niedola. Tak bowiem można było, jej zdaniem, określić najkrócej czas spędzany codziennie w ponurym budynku przy kolegiacie, będącym niegdyś własnością ojców pijarów.

Aby nie spóźnić się na pierwszą lekcję z położonych na przedmieściu Łowicza Bratkowic, musiała wstawać znacznie wcześniej niż jej koleżanki. Zdarzało się, że wpadała do klasy w ostatniej chwili, tuż przed dzwonkiem, nie zdążywszy zmienić obuwia. Na szczęście woźny, zacny i wąsaty pan Jędrzej, który miał do niej ojcowską słabość, umyślnie opóźnił moment dzwonienia, ratując ją w ten sposób przed przykrą naganą.

Nagana spotkała jednak Bolesię i tak, skoro tylko zaczęły się jesienne pluchy. Pewnego ranka inspektor Iwanow, który był zastępcą dyrektora odpowiedzialnym za dyscyplinę w szkole, idąc korytarzem już po dzwonku zauważył na lśniącej posadzce ślady ubłoconych trzewików prowadzące do klasy Anatolija Siemiejko. Widok ten wstrząsnął nim do tego stopnia, że szarpnął gwałtownie za klamkę i bez uprzedniego pukania wtargnął do środka.

Nagle i nieoczekiwane pojawienie się inspektora sprawiło, że w klasie zapanowała natychmiast śmiertelna cisza. Anatolij Siemiejko zbladł i zaczął nerwowo poruszać węsami. Dziewczęta były bliskie omdlenia. Tymczasem Iwanow, nazywany z uwagi na srogi wygląd również Iwanem Groźnym, przeszedł między rzędami stojących obok siebie ławek raz, i drugi, po czym zawołał:

– Szko-ła e-to nie *chlizw!*

I kazał Bolesii wyjść na środek i pokazać wszystkim swoje ubłocone buciki.

Więc wyszła. I pokazała. Ale odwaga wcale jej nie opuściła. Nawet wówczas, gdy inspektor wykrzyknął:

– Wot i uczenica progimnazjuma! *Gospody, pomyluj!*

Następnie polecił Anatolijowi Siemiejce, aby niezdiscyplinowanej uczennicy nakazał uprzątnięcie korytarza i udzielił surowego połajania. Uprzątnęła więc korytarz i przyjęła z kamienną twarzą publiczne połajanie, jakiego nauczyciel udzielił jej w ostrych słowach przed całą szkołą. Była przekonana, że po tej aferze koleżanki, nawet te, które darzyły ją sympatią, odwrócą się od niej na zawsze. Jakże się więc zdziwiła, kiedy stało się całkiem odwrotnie. Grono jej koleżanek powiększyło się niespodziewanie, i to znacznie.

– Nie wiem, ale ja na twoim miejscu chyba bym się rozplakała – stwierdziła Julka, patrząc na nią z podziwem.

– A ja przeciwnie, nagadałabym mu pewnie do słuchu! – przerwała jej bojowo Emilka. – Może dlatego, że w moich żyłach płynie książęca krew. Nie jest to wprawdzie krew Radziwiłłów, ale...

– Błagam, nie słuchaj tego, co mówi Emilka! – prosiła, śmiejąc się Jadwisia. – Ja ją znam, skończy na tym, że jej prababka przyjaźniła się z Anną Orzelską, wiesz, tą ukochaną córką króla Augusta II, której portret wisi w Nieborowie, a ona sama straszy podobno po nocach...



Bolesia słyszała o portrecie i piękności Anny Orzelskiej od babci Marianny, która zabrała ją kiedyś do Nieborowa bryczką. Pałac książąt Radziwiłłów wydał jej się niezwykle okazały, a park piękny jak z bajki.

– A ja – odezwała się Bolesia unosząc dumnie głowę – nie nagałam Iwanowi Groźnemu, bo po pierwsze: moje trzewiki rzeczywiście były ubłocone, a po drugie: w moich żyłach płynie nie książęca, ale – królewska krew!

Dziewczynki zaniemówiły z wrażenia. Wtedy Bolesia kazała im podejść bliżej.

– Nie domyślcie się, jaką to królewską krew mam na myśli? – spytała. – Oczywiście... Pana Jezusa!

Pogodna i serdeczna, szybko zaskarbiła sobie sympatię koleżanek. A ponieważ z nauką nie miała żadnych problemów i niemal przy każdej odpowiedzi otrzymywała oceny celujące, chętnie służyła pomocą innym. Z Jadwisią rozwiązywała zawiłe zadania matematyczne, z Emilką powtarzała gramatykę, a z Julką ćwiczyła akcentowanie rosyjskich słówek.

Szczególnej przyjemności sprawiała jej nauka języków obcych. Zachwycała się zwłaszcza językiem rosyjskim i, choć był to język zaborcy, starała się go polubić dla niego samego i korzystać dzięki niemu z wiedzy, której tak bardzo była spragniona.

– Skoro Pan Bóg dał mi akurat taką „łyżkę” do czerpania wiedzy – żartowała – nie powinnam okazywać Mu niewdzięczności.

Machała więc tą „łyżką” z właściwym sobie temperamentem jak tylko potrafiła najlepiej. Doceniał to Anatolij Siemiejko i inni nauczyciele progimnazjum, doceniały dziewczęta z klasy, dumne, że mają taką zdolną koleżankę. Także Wierka Morozowa, córka carskiego urzędnika, spoglądała na nią z sympatią, nie zważając na za-

kazy surowego ojca. Bolesia odnosiła czasem wrażenie, że Wierka zwyczajnie się go wstydzi. Tego, że jest rewizorem i że gnębi ludzi wymuszaniem łapówek.

Mając naturę lękliwą i skłoną do depresji, ulegała Wierka często zmiennym nastrojom, co nie przysparzało jej, rzecz jasna, przyjaciół. Tym bardziej podziwiała Bolesię. Imponowała jej energią i naturalną pewnością siebie. Otoczona zawsze koleżankami, potrafiła w jakiś przedziwny, sobie tylko wiadomy sposób zmieniać zwykłą, szarą rzeczywistość w radosną i pełną głębszego sensu. Podziwiała także jej odważne wystąpienia w obronie Ojczyzny, do jakich ona, Wierka, wiedziała o tym dobrze, nie byłaby na pewno zdolna. Szczególnie jedno z tych wystąpień, które miało miejsce na lekcji geografii tuż przed końcem roku szkolnego, mogło przysporzyć Bolesii naprawdę poważnych kłopotów.

Tego pamiętnego dnia Anatolij Siemiejko, mając za plecami portret cara Aleksandra II, mówił wyjątkowo źle o Polakach, nazywając ich ludem leniwym, buntowniczym, niewdzięcznym i niezdiscyplinowanym. Ludem, zamieszkującym... Prywiśliński Kraj.

Bolesia, dla której ta obraźliwa mowa była zbyt wielkim upokorzeniem, wstała w pewnej chwili z ławki i, patrząc nauczycielowi prosto w oczy, zapytała z niewinną miną:

– *Wasze błagarodje, Anatolij Siemiejko, prastitie pażalujsta. Paczemu wy nazywajecie naszą Polszu Prywiślińskim Krajem? Wiet' takowo niet na nika-koj kartie w celom mirie...*

Trzeba było widzieć twarz Anatolija Siemiejko i jego zatrwożony wzrok utkwiony w drzwiach. Myśl, że ktoś poza nim mógł usłyszeć tę zuchwałą wypowiedź, paraliżowała jego umysł. Czas jakiś wpatrywał się w Bolesię, ocierając chustką spocone czoło i usiłując zebrać myśli, a kiedy wszystkie dziewczęta były już niemal pewne, że zaraz padną tak dobrze im znane słowa: „bunt” i „won”, rów-

noznaczne z natychmiastowym wyrzuceniem ze szkoły, on zwiesił niespodziewanie głowę i powiedział prawie szeptem:

– Nu... *charaszo*.

Po czym przeszedł jak gdyby nigdy nic do omawiania znaczenia wielkiego Imperium Rosyjskiego dla świata i dobroci *batiuszki cara* dla jego licznych poddanych.

Wierka była tak przerażona, że omal naprawdę nie zemdląca. Nie mogło się to jednak w żaden sposób równać z tym, co przeżyła innym razem, a co miało związek ze śpiewaniem na lekcji patriotycznych piosenek.

Było tak: Inspektor Iwanow zjawił się któregoś dnia i oświadczył, że został właśnie poinformowany przez „zaufaną osobę” o tym karygodnym występkę. Nazwał go „ohydną prowokacją” i zażądał, aby osoba, która śpiewała na lekcji „Jeszcze Polska nie zginęła” i zachęcała innych do śpiewania tej zakazanej pieśni, natychmiast się do tego przyznała. Błyskał przy tym gniewnie wzrokiem, a gdy dziewczęta nadal siedziały jak skamieniałe, zawołał:

– *Ja znaju, kto eto! I to wam skazu: prowodyrow nam nielzja!*

Wierka dostała nagle pąsowych rumieńców.

Wydało jej się, że wszystkie koleżanki patrzą na nią, przekonane, że to ona właśnie złożyła donos. Że ona jest tą „zaufaną osobą” Iwanowa. Bo skoro jej ojciec nią jest, to... Ale ona przecież – nie doniosła. Dostyc miała już niesprawiedliwości. Tej w szkole, i tej we własnym domu. Czy nie modli się w cerkwi już od dawna, aby Pan Bóg dał ojcu nawrócenie, a jej samej pozwolił zakosztować wreszcie prawdziwej przyjaźni?

Czas upływał, a „prowodyr” się nie zgłaszał.

Zgłosiła się Bolesia.

– *Izwinitie, wasze błagarodje* – odezwała się lekko drżącym głosem. – *Ja dumaju, szto praizaszlo niepriyatne niedorozumienije. Diejstwitelno, my*

pieły polskije piesni, no tolko patomu, szto Anatolij Siemiejko sprasił nas: „Kakich piesien’ niezia wam piet?”. Tak i my jemu... zapieły, eto wsjo!

– *Małczil!* – wykrzyknął inspektor.

Biedny Anatolij Siemiejko omal nie dostał palpacji serca.

Zaraz potem obaj panowie opuścili salę, a dziewczęta odetchnęły z ulgą. Odetchnęła także Wierka. Honor klasy został uratowany dzięki odwadze i trzeźwemu rozumowaniu Bolesia.

Nie zawsze jednak było tak różowo. Zdarzało się, że Bolesię spotykały wyzwiska, że kazano jej zostawać po lekcjach w „areszcie”, gdzie za karę musiała pisać po kilkaset razy bzdurne zdania w rodzaju: „Boże, chroń cara, naszego wielkiego dobroczyńcę”.

Jak to się działo, że te przykre zajścia kończyły się dla niej zawsze szczęśliwie, nie wiedziała. Czuła, że otacza ją jakiś niewidzialny opiekuńczy płaszcz, a głos w głębi duszy zachęcał nieustannie do męznego stawiania czoła przeciwnościom. Z tych najbardziej intymnych poruszeń serca zwierzała się czasem Stasi, która doskonale ją rozumiała. Matki, krzątającej się od świtu do nocy, wolała nie absorbować stanami swej duszy, ani tym bardziej zasmucać szkolnymi niepowodzeniami.

– Nie trzeba martwić mamci – przekonywała siostrę. – I bez tego ma dosyć zmartwień...

Po wakacjach, które spędziła ze Stasią częściowo u dziadków Cyganowskich, wróciła do szkoły z jeszcze większą chęcią do nauki. Pobyt u dziadków wzmocnił ją, słońce opaliło. Nie wszystkie dziewczęta były tak opalone jak ona. Miejskie panny uważały opaleniznę za defekt i nigdy nie wychodziły na ulicę bez parasolki. Były też dziewczęta blade z powodu anemii, wynikającej głównie z niedożywienia. Taką anemiczną dziewczynką, co zawsze Bolesię mocno dziwiło, była Wierka, której w domu niczego przecież nie brakowało. Niczego – oprócz miłości.

Lekcje dawno się już skończyły, a ona stała któregoś dnia przed szkołą i najwyraźniej kogoś wypatrywała. Wkrótce okazało się, że tym kimś była Bolesia, której wymierzono akurat tego dnia karę trzech kwadransów „aresztu”. Wierka uśmiechnęła się na jej widok spod płowych rzęs, a następnie towarzyszyła jej w drodze do domu. Mówiła przy tym strasznie dużo, jak nigdy dotąd, głównie o sobie. O tym, że uczy się gry na skrzypcach i że lepi z gliny bajkowe stworki. Że lubi poezję i sama też pisze wiersze. Była tak rozgadana, że Bolesia w ogóle jej nie poznawała.

Trudno się było temu dziwić. Przepaść, jaka dzieliła katolików i prawosławnych kazała jednym i drugim trzymać się od siebie z daleka. Była to przepaść wzajemnej wrogości między Kościołem Zachodnim – rzymskokatolickim, a Kościołem Wschodnim – prawosławnym, trwająca już ponad osiemset lat. Wrogości zapoczątkowanej w roku 1054 przez papieża Leona IX i patriarchę Konstantynopola Cerulariusza, którzy – mając odmienne zdanie w pewnych kwestiach – obrzucili się wzajemnie klątwami.

Dla Polaków pozostających już od stu lat w niewolniczej zależności od cara, któremu Cerkiew prawosławna była we wszystkim bezwzględnie posłuszna, wrogość ta łączyła się dodatkowo z przemocą, jakiej dopuszczał się rosyjski zaborca. Podręczniki szkolne, z których korzystała Bolesia, a które opracowywane były przez władze carskie, roiły się od kłamstw. Oczerniano w nich Kościół i papieża. Uczniów zmuszano do udziału w nabożeństwach prawosławnych, podczas których oddawano cześć carowi i jego rodzinie. Słyszając o tym, Marcin Lament nieraz zaciskał gniewnie pięści. Raz chciał już nawet zabrać Bolesię ze szkoły. Ona jednak tak długo prosiła go ze łzami, aż w końcu uległ, widząc, że takim posunięciem wyrządziłby jej tylko jeszcze większą krzywdę.

Uczestnictwo w nabożeństwach prawosławnych przestało być dla Bolesi upokarzającym obowiązkiem od chwili, gdy odnalazła w nich Boga. Od tej pory nie koncentrowała się już na przesadnym bogactwie i okazałości tych ceremonii. Poddając się podniosłemu nastrojowi i rzewnej słodyczy prawosławnych pieśni, włączała się coraz śmielej w przeżywanie Bożych tajemnic własną gorącą modlitwą, a cerkiewne śpiewy napełniały jej wrażliwe serce jeszcze większą tęsknotą za Bogiem.

Zachwycaly ją także barwne ikony pisane, jak powiadano, sercami artystów.

– Ikony – tłumaczyła jej Wierka – są żywą obecnością Boga. Ale żyją tylko wtedy, gdy ludzie Go w nich adorują. Jeżeli tego nie robią, ikona umiera.

Bolesia zdziwiła się bardzo.

– Ikony może i umierają – odparła bez przekonania – ale przecież święte osoby, które są na nich żyją nadal, i to wiecznie! A my te osoby właśnie mamy czcić i kochać, a nie kawałek płótna albo drewna!...

Nagle zatrzymała się.

– O rety, Wierka! Pomyśl tylko! – zawołała. – Czy Maryja z waszych ikon i z naszych obrazów nie jest t a s a m a Maryją? Czy nie jest tą samą, moją i twoją, Matką?

Policzki Wierki zaróżowiły się, a oczy zajaśniały jakimś szczególnym blaskiem.

Żegnały się już, kiedy powiedziała z pewnym wahaniem:

– Masz takie niespotykane imię: Bolesława. Nie znam nikogo poza tobą, kto by je nosił.

Bolesia uśmiechnęła się.

– Bardzo je lubię – stwierdziła. – To stare piastowskie imię. A Bolka brzmi prawie tak samo jak Polka, no nie? – roześmiała się. – Nosił je pierwszy polski król – Bolesław Chrobry!

Wspomnienie polskiego władcy, który zajął niegdyś Kijów i wyszczerbił sobie miecz na jego Złotej Bramie nie spodobało się chyba Wierce, bo zamilkła niespodziewanie i spuściła wzrok. Tak więc, chociaż obie cieszyły się z wcześniejszej rozmowy, rozstawały się w smętnych nastrojach.

Mijał drugi rok nauki Bolesi w progimnazjum. Ojciec doceniał jej wysiłki i, choć z zasady unikał prawienia komplementów, coraz częściej mówił z dumą o niej przy różnych okazjach. Był przekonany, że chociaż urodę i zdolności odziedziczyła po matce, upór w dążeniu do celu ma bez wątpienia po nim.

Lubił, gdy szła obok niego ulicą swobodna i roześmiana, i kiedy starym zwyczajem odwiedzała go czasem w warsztacie. Zauważył też, że czeladnicy zerkają w jej stronę z większym niż dotąd zainteresowaniem. Nie było w tym nic dziwnego, wyrosła bowiem i wysmukłała. Matka chrzestna obiecała jej na trzynaste urodziny złotą bransoletkę, a Anka Lesznerówna, która podobnie jak ona należała do grona najlepszych uczennic, zaprosiła ją na swoje urodzinowe przyjęcie z tańcami.

Bolesia dobrze zapamiętała to zaproszenie. Po pierwsze dlatego, że była przerażona, bo nie potrafiła tańczyć, a po drugie, że tatko, dowiedziawszy się kto ją zaprosił, zabronił jej kategorycznie bywać w tej „heretyckiej”, jak się wyraził, rodzinie. A na koniec jeszcze dlatego, że całkiem nieoczekiwanie zmarł dziadek Cyganowski i w domu zapanowała żałoba.

Na świecie królowała wiosna, a serce Bolesi przepełnione było od pewnego czasu uczuciem tęsknoty, jakiej dotąd nie znała.

Joachimek coraz częściej zaglądał jej w oczy. Także pewien cichy wielbiciel z męskiego gimnazjum, które mieściło się w tym samym budynku co żeńskie, próbował już kilka razy zagadnąć do

niej przed szkolną bramą. Nazywał się Janek Oleński i był synem aptekarza oraz starszym bratem Jadwisi, jej serdecznej przyjaciółki. Unikała go dość skutecznie, zasłaniając się koleżankami albo przyspieszając kroku, by się z nim nie spotkać. Znacznie bardziej lubiła towarzystwo Kazika, któremu nawet wiosna nie zawróciła w głowie. Przeciwnie, wydawał się być jeszcze bardziej utwierdzony w powołaniu. Problem miał tylko jeden: jak je zrealizować, a przede wszystkim – do kogo się z tym zwrócić.

– Do kogo? – zdziwiła się. – Do księdza Germana, oczywiście! Ma przyjechać na Boże Ciało. Nie martw się, jakoś to załatwimy!

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Ale... nikomu ani słowa? – szepnął prosząco.

– Ani słowa – przytaknęła po przyjacielsku.



Wieczorek taneczny

Ksiądz German Grabowski przybył do Łowicza pod koniec maja, kilka dni przed Uroczystością Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zwaną powszechnie Bożym Ciałem. Przybył, skoro tylko zapadła decyzja, że procesja, pomimo wyraźnego zakazu władz carskich, nie tylko się odbędzie, ale będzie miała jeszcze bardziej podniosły charakter. Wiązało się to z przetrzymywaniem już od roku w pruskim więzieniu prymasa Polski, kardynała Mieczysława Ledóchowskiego. Szykowała się więc okazała manifestacja, która była jednocześnie sposobnością do zademonstrowania wiary i więzi narodowej Polaków.

Już od rana przy kolegiacie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i świętego Mikołaja, jednym z najpiękniejszych kościołów gotyckich Mazowsza, gromadziły się tłumy wiernych. Byli wśród nich członkowie bractw kościelnych i przedstawiciele cechów rzemieślniczych. Był wśród nich także Marcin Lament.

Wewnątrz kolegiaty stały już gotowe do wymarszu sztandary, chorągwie i *feretrony*. Ustawiała się dęta orkiestra strażacka. Bielanki napełniały koszyki wonnymi płatkami kwiatów, a dziewczęta ubrane z łowicka trzymały kolorowe wstążki przy chorągwiach albo poduszki z symbolami trzech głównych cnót: wiary, nadziei i miłości. Wielobarwne pasiaki mieszały się ze śnieżną bielą bluzek i koszul. Bolesia i Stasia, również z łowicka tego dnia

ubrane, trzymały wstążki przy chorągwi przedstawiającej Chrystusa Króla.

Nagle rozległ się dzwon z kościelnej wieży. Zagrzmiały trąby, bębny i puzony. Dołączyła kanonada ministranckich dzwonek. Ruszyła procesja za Chrystusem Zmartwychwstałym, niesionym przez kapłana w złotej monstrancji. Wzniosła się do nieba eucharystyczna pieśń, śpiewana przez wielotysięczny chór:

*Bądźże pozdrowiona Hostyjo żywa,
w której Jezus Chrystus bóstwo ukrywa...*

Moc tej pieśni była tak wielka, że Bolesia poczuła się nagle tak, jakby była przez tę pieśń unoszona. Przymknęła powieki, a wtedy dane jej było poznać, że w tej uroczystej procesji towarzyszą jej nie tylko zwykli ludzie, ale i aniołowie, i że ci aniołowie wyśpiewują najgłośniej chwałę Bogu. Uczucie wszechogarniającego szczęścia zalało jej duszę. „Jezus... M ó j J e z u s ...” – powtarzała bezwiednie, idąc po Jego niewidzialnych śladach, tak bliski się jej nagle wydał i kochający. Nie miała wątpliwości. On – Król wszechświata – kocha ją, łowicką pannę i szewską córkę. To Jego miłość zalała jej serce. To Jego serce wzywa jej serce do wzajemnego miłowania. Wzywa w sposób tak prosty i oczywisty.

Kiedy otworzyła oczy, pierwszą osobą jaką zobaczyła był Janek Oleński. Szedł już od jakiegoś czasu obok niej, czego nie zauważyła, zajęta własnymi myślami. Z początku wcale go nie poznała, nie miał bowiem na sobie gimnazjalnego mundurka, lecz elegancko skrojony garnitur. Wyglądał w nim tak poważnie, że gdy się skłonił, miała nieodpartą ochotę odpowiedzieć: „Dzień dobry, panu”. Nie odpowiedziała jednak, tylko odskłoniła się równie dyskretnie, po czym nie spojrzała już na niego ani razu.

Ale los uwziął się najwidoczniej na nią, bo kilka dni później Jadowsia, młodsza siostra Janka, zaprosiła ją na swoje urodziny. Bolesia

na próżno próbowała się wymówić. W końcu pani aptekarzowa Oleńska zjawiła się w warsztacie Marcina Lamenta osobiście i pod pretekstem jakiejś drobnej szewskiej naprawy ponowiła zaproszenie, gratulując mu wyjątkowo udanej córki. Marcin, zakłopotany, poczuł się tak zaszczycony, że obiecał zająć się sprawą natychmiast.

Bolesia była załamana.

– Tatku, zrozum – szepnęła błagalnie. – To będzie wieczorek tańeczny, a ja nigdy nie uczyłam się tańców.

Wymówka ta nie wydała się ojcu wystarczającą przeszkodą.

– A ile czasu zostało do tego wieczorku? – zapytał rzeczowo.

– Dwa tygodnie.

– W takim razie macie, ty i twoja siostra, dwa tygodnie, żeby się tej sztuki nauczyć. Bardzo to się wam obu przyda.

I uważając sprawę za załatwioną, udał się na zebranie cechu szewców do kościoła Świętego Ducha.

Chodziły zatem panny Lamentówny do pani Eleonory, która w Łowiczu niedaleko rynku prowadziła z dużym powodzeniem lekcje tańca i nienagannych manier. A że obie przejawiały w tym względzie niemały talent, na efekty nie trzeba było długo czekać.

Ojciec, który towarzyszył Bolesii podczas urodzinowego wieczoru w domu państwa Oleńskich musiał przyznać, że pieniądze wydane na naukę tańca nie poszły na marne. Musiał też przyznać, że nie było wśród dziewcząt panny prezentującej się lepiej niż jego córka. A przypatrując się jej z boku i dostrzegając nie bez wzruszenia jak coraz bardziej przypomina matkę, doszedł do wniosku, że będzie się musiał niedługo za jakimś kandydatem na męża dla niej rozejrzeć.

Otoczona od pierwszej chwili serdecznością, czuła się Bolesia w tej całkiem nowej dla siebie roli nad podziw dobrze. Stwierdziła



przede wszystkim z wyraźną ulgą, że na przyjęcie przybyło wiele osób, które znała i darzyła sympatią. Szybko znikły wcześniejsze obawy. Mogła być sobą, a to wydało się jej najważniejsze. Będąc zaś radosną w tańcu i taktowną w rozmowie, zwróciła na siebie już od początku zycziwą uwagę zarówno bawiącej się młodzieży, jak i szacownych gospodarzy.

Państwo Oleńscy, ludzie zacni i ogromnie w mieście szanowani, słynęli z dobroci serca i patriotycznego ducha. Pochodzili z możnej rodziny szlacheckiej, ale żyli skromnie, jedynie na kształcenie dzieci nie żalowali środków. Można się było o tym przekonać podczas tej miłej uroczystości. Jadwisia, która miała ładny głos i z wielkim wyczuciem grała na fortepianie, wykonała kilka utworów Fryderyka Chopina, a Janek zebrał ogromne brawa za wspaniałą recytację poezji Adama Mickiewicza.

Sympatyczny ten młodzieniec kończył właśnie piątą klasę sześćioletniego męskiego gimnazjum i, co się Bolesi w nim najbardziej podobało, był podobnie jak ona gorącym patriotą. Kiedy w przerwach między posuwistym walcem a skoczną polką rozmawiano o sprawach Ojczyzny, Janek miał zawsze najwięcej do powiedzenia, a jego wypowiedzi były za każdym razem przemyślane i nad wiek dojrzałe. Dobrze więc czuła się w jego towarzystwie i nie boczyła się już więcej z powodu jego wcześniejszych niewinnych zalotów.

W Łowiczu poza kolegiatą i kościołem Świętego Ducha dostępny był nadal dla katolików jedynie kościół sióstr bernardynek. Pozostałe kościoły i znajdujące się przy nich klasztory – ojców bernardynów, dominikanów oraz pijarów – spotkał ten sam tragiczny los: wszystkie zostały zlikwidowane. Na parterze kościoła dominikanów Moskale zaraz po upadku powstania listopadowe-

go urządzili salę balową, a w dwóch innych kościołach – cerkwie prawosławne.

Oprócz cerkwi był w Łowiczu żydowski dom modlitwy przy ulicy Browarnej i świątynia, w której gromadzili się luteranie. O ile jednak do domu modlitwy przy ulicy Browarnej ściągaly tłumy Żydów, to do okazałej murowanej świątyni luterkańskiej, znajdujacej się przy zbiegu ulic Podrzecznej i Browarnej, przychodziła na nabożeństwa jedynie nieliczna grupa wiernych, głównie zamożnego mieszczaństwa. Przychodziła i Anka Lesznerówna z rodzicami, których Marcin Lament nazwał „heretycką” rodziną.

Bolesia pamiętała, jak wołał rozgniewany:

– Z tą heretycką rodziną nie chcę mieć nic wspólnego! Sakramentów świętych, psie wiary, nie uznają! Świętych pańskich mają za nic! Zabraniam ci! Rozumiesz – zabraniam!

Pani Łucja, która jak prawdziwa chrześcijanka nastawiona była przyjaźnie do wszystkich, powiedziała wtedy spokojnie, lecz stanowczo:

– Mój Marcinie, wiesz dobrze, że gniew to zły doradca. Czy nie uczono nas od dziecka, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga i mamy się miłować jak bracia?

Bolesia, która bardzo lubiła Ankę Lesznerównę, była matce ogromnie wdzięczna za te słowa. Także ojciec, jakby się pomiarkował. Podszedł do żony, ucałował jej ręce i stwierdził:

– Konia z rzędem temu, kto mógłby się poszczycić równie mądrą i roztropną żoną. Prawdziwie los w niebie wygrałem na loterii!

Bolesia i Anka znajdowały się w ścisłej czołówce klasowej, ale żadna z nich nie zadzierała nosa. Nigdy też nie rywalizowały ze sobą. Anka chciała zostać w przyszłości sławną aktorką, jak Helena Modrzejewska. Bolesia nie miała jeszcze sprecyzowanych planów. Żyła dniem dzisiejszym przekonana, że pełnienie woli Bożej to najpewniejszy

sposób na szczęście. A ponieważ dni upływały jej w atmosferze rodzinnej harmonii przepełnionej duchem świętego Franciszka z Asyżu, wyniesionym przez matkę z pensji sióstr bernardynek, nie wybiegała myślą zbyt daleko. Nawet kiedy ojciec wtrącał czasem w rozmowie jakieś słówko, że i ona założy pewnie niedługo własną rodzinę, śmiała się beztrosko, prosząc, aby jej przedwcześnie nie postarzał.

Zdolności pedagogiczne Bolesi, tak wyraziste i nie podlegające żadnej dyskusji, podsunęły pani Łucji myśl, by po ukończeniu gimnazjum podjęła pracę nauczycielki. Odczekała kilka dni, tak by jej modlitwy dotarły do niebiańskich adresatów, po czym zapytała córkę, czy nie miałaby ochoty poświęcić się temu szlachetnemu i pożytecznemu zajęciu.

– Zabór, zaborem – powiedziała z przekonaniem – ale są przecież tu i tam pensje dla dziewcząt, w których, jak słyszę, lekcje prowadzone są w języku ojczystym. Na sposób tajny, to oczywiście, ale... Na przykład w Warszawie. Pamiętasz, co pisała nasza kuzynka Celina? Pensje dla dziewcząt poszukują dobrych nauczycielek...

Bolesia, która wycinała akurat Antosiowi z papieru kolekcję zwierzątek, spojrzała na matkę zaskoczona.

– Miałabym się przenieść do Warszawy? – zdziwiła się.

– Czemu nie? Nasza kuzynka tyle razy już zapraszała nas do siebie. A teraz, kiedy owdowiała, czuje się pewnie samotna.

– A więc to jej pomysł? – przerwała Bolesia.

– Pragnie pomóc sobie i nam, cóż w tym złego? Poza tym...

– Poza tym po ukończeniu gimnazjum będę mogła uczyć dzieci w szkole elementarnej tu, w Łowiczu! – oświadczyła Bolesia kategorycznie, chcąc zakończyć niewygodny temat.

Ale myśleć o tej całkiem nowej perspektywie nie przestała. Zwierzyła się z niej nawet kiedyś Kazikowi, mając nadzieję, że ją poprze

w zamiarze pozostania w Łowiczu, lecz ten, czego zupełnie się po nim nie spodziewała, zawołał zachwycony:

– Serio?! Moglibyśmy się w takim razie nadal spotykać!

– Jak to n a d a l? – zapytała, nie rozumiejąc.

– Ano tak! – roześmiał się. – Bo widzisz, ksiądz German kazał mi przyjechać na wiosnę do Warszawy. Obiecał się mną zająć i zrobić ze mnie księdza.

Bolesia aż usiadła z wrażenia.

– No i widzisz! – zawołała. – Wiedziałam, że na księdza Germana można liczyć. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę. Jeśli jednak chodzi o ten mój wyjazd, to... nie jestem pewna.

– Może za mało się modlisz? – uśmiechnął się. – Jestem przekonany, że Pan Bóg ma i dla ciebie równie wspaniały plan.

Też była o tym przekonana. Tyle że z tego przekonania nic, niestety, na razie nie wynikało.

– Zazdroszczę ci – odezwała się po chwili milczenia. – Po prostu: zazdroszczę.

Fakt. Kazik dosłownie wariował ze szczęścia.

Bolesia widziała jak to szczęście emanuje z jego piegowatej twarzy, jak ją opromienia. Zmizerniał w ostatnim czasie, to prawda, ale nic dziwnego. Pracował przecież ze zdwojoną energią. Wikary z kolegiaty, któremu ksiądz German powierzył przygotowanie chłopaka do seminarium, już od kilku miesięcy uczył go łaciny. Kazik przychodził punktualnie, lekcje miał zawsze odrobione, a Pan Bóg uzupełniał wszelkie braki swoją łaską.

Wiosną 1876 roku rodzice dali Kazikowi na drogę torbę z prowiantem i swoje błogosławieństwo. Miał jechać do Warszawy dyliżansem pocztowym. Zanim jednak pocztylion wygrał na trąbce znajomy sygnał przed odjazdem, wyciągnął rękę do Bolesi w serdecznym geście i zawołał z uśmiechem:

– Memento mei!

Po łacinie znaczyło to: pamiętaj o mnie.

– Będę. Na pewno – odparła. – W modlitwie.

I podała mu mały drewniany krzyżyk. Przyjął ten dar mocno wzruszony, ale nie chciał, żeby to zauważyła.

– Szczęściarz ze mnie! – roześmiał się. – Dostałem krzyżyk na drogę!

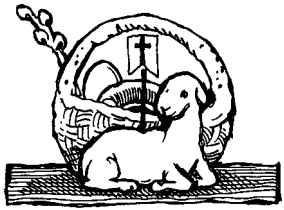
Stała i patrzyła jak dyliżans znika powoli w lipowej alei. Po pewnym czasie znikły także rozwiane końskie grzywy, umilkł stukot kopyt i ożywiony gwar ludzkich głosów. Został tylko zapach jaśminu, dochodzący z pobliskich ogrodów.

W domu czekali na nią ci, których kochała. Nie tylko Stasia z Antosiem, ale także mała, bo zaledwie kilkumiesięczna Marysia, siostrzyczka, Maniusią przez wszystkich nazywana.

Zbliżał się czerwiec. Kwitły kasztany, nieomylny znak, że lada chwila zaczną się wakacje.

Gimnazjum ukończyła z wyróżnieniem.

Janek czekał przed budynkiem szkolnym z gratulacjami. W mundurku gimnazjalisty, w czapce zsuniętej zawiadacko na tył głowy. Czekał na nią i na swoją siostrę Jadwisę. A chcąc uczcić w jakiś szczególny sposób to wydarzenie, zaprosił obie – na ciastka do cukierni.



Przyjaciółki

Skończył się dla Bolesi czas noszenia szkolnego fartuszka, odrabiania lekcji i dzwigania ciężkiego tornistra z książkami. Czas karcenia, nagan i upokorzeń. Nastaly wakacje, a ona mogła wreszcie zakładać kolorowe sukienki, śmiać się do słońca i cieszyć pięknem przyrody. Mogła też uwolnić Stasię od niektórych domowych obowiązków, przede wszystkim od pilnowania rozbrykanego Antosia i wszędobylskiej Maniusi. Ale Stasia z pilnowania młodszego rodzeństwa wcale nie miała zamiaru rezygnować. Spędzały więc od-tąd całe dni razem, doglądając maluchów.

Czasem brały z podwórka nieduży drabiniasty wózek, pakowały do niego dzieci i, trzymając dyszel z obu stron, gnały hen, daleko, przez łąkę, w towarzystwie Łatka polującego na świerszcze. Najczęściej zatrzymywali się nad rzeką albo zaglądali wesołą gromadką do babci Cyganowskiej na chleb z cukrem i śmietaną.

Zdarzało się, że gdy były zajęte zrywaniem owoców, bądź piele-niem warzyw w ogrodzie, wpadała Jadwisia z Emilką, by opowie-dzieć im ostatnie nowinki. Maluchy dostawały przy takiej okazji zwykle jakieś smakołyki, z czego najbardziej cieszył się Antoś. Obie panny były zawsze ślicznie ubrane, a ich sukienki pachniały delikatnie perfumami. Stasia rysowała potem te sukienki z pamięci w specjalnym zeszycie, a z czasem sama zaczęła wymyślać wła-sne, niemniej piękne fasony.

Pani Łucja przeglądając kiedyś zeszyt Stasi, uznała jej pomysły za wyjątkowo udane. A ponieważ i do szycia miała lekką rękę, po-stanowiła, po uprzedniej naradzie z mężem, skierować córkę na naukę do jakiegoś zakładu krawieckiego. Zakładu takiego nie trze-ba było daleko szukać. Wystarczyło całą sprawę uzgodnić z sąsia-dem, Jakubem Zelmanem. Uzgodniła więc, i od tej pory stała się Stasia w pracowni Zelmanów częstym i mile widzianym gościem. Okazała się też nad podziw pojętną i uzdolnioną uczennicą.

– Taki talent do Warszawy musowo trzeba zawieźć – przekonywał panią Łucję Zelman. – Tam są wielkie salony, tam są wielkie krawce, tam i dyplom dostanie, a ja, cóż, niczego już jej więcej nie nauczę...

Długo zastanawiała się pani Łucja nad tym, co jej stary Zelman powiedział, zanim odważyła się porozmawiać z mężem. Wiedzia-ła, że na taki wyjazd potrzebne są pieniądze, tymczasem wydatków i bez tego nie brakowało. Jakże się więc ucieszyła, kiedy Marcin nie tylko pochwalił projekt, ale i mocno się nim ucieszył.

Skoro zatem Stasia ukończyła czternaście lat, pani Łucja napisa-ła do kuzynki Celiny list z prośbą o pomoc w znalezieniu dla niej w Warszawie odpowiedniego zakładu krawieckiego. Nie minęły dwa tygodnie, a nadeszła odpowiedź. Kuzynka Celina, niewiasta obeznana w interesach i, mimo przekroczonej już sześćdziesiąt-ki, ciągle jeszcze „na chodzie”, przystąpiła do działania z wielką ochotą. Osobiście pofatygowała się do znanego warszawiakom Magazynu Mód Damskich i Męskich przy ulicy Senatorskiej 10, a pan Bogusław Herse, właściciel firmy, zapewnił ją, że chętnie przyjmie jeszcze jedną uczennicę i przekona się o jej krawieckich umiejętnościach.

Po wyjeździe Stasi, Bolesia po raz pierwszy poczuła się osamot-niona.

Wcześniej nie znała tego uczucia. Ani wyjazd Kazika do Warszawy, ani nieco późniejszy Emilki do Drezna i Janka na studia farmaceutyczne do Krakowa nie wywołały w niej tak silnej nostalgii jak nieobecność ukochanej siostry. Nic dziwnego. Dzieliły ze sobą wszystkie najskrytsze myśli, miały ten sam świat marzeń i wartości. Świadomość, że nagle została sama z tym wszystkim, co tak głośno grało jej w duszy, była czymś nieznośnym i trudnym do zaakceptowania.

Jadwisia, na którą w jakimś sensie liczyła, zajęta była własnymi sprawami i umówienie się z nią graniczyło z cudem. Przeżywała pierwszą młodzieńczą miłość i prawie cały wolny czas przeznaczala na pisanie wierszy.

Bolesia rzadko wychodziła z domu. Prowadziła z matką gospodarstwo i, podobnie jak jeszcze niedawno Stasia, nie rozstawała się z igłą. Ciągle coś szyła, cerowała. Antoś, który miał już pięć lat, bez przerwy darł spodenki, a Manusia szybko wyrastała z sukienek. Naszywała więc bratu ozdobne łąty i stroiła siostrzyczkę w haftowane fartuszki. Uprosiła też matkę o materiał na zimową *mufkę* dla siebie. Stasia pisała, że wszystkie warszawianki noszą je z nastaniem chłódów i przysłała nawet kilka ładnych wzorów.

Pomimo ciągłego zabiegania, czekanie na powrót siostry dłużyło jej się okropnie. Zaczęła więc za namową matki edukować Antosia. Po nauce pacierza przyszła kolej na prawdy wiary i historie biblijne. A ponieważ Antoś był chłopczykiem rezolutnym i zadawał mnóstwo pytań, uczenie go stało się dla Bolesi już wkrótce szczególną i nadzwyczaj pocieszną rozrywką.

„A co Pan Bóg robi przez cały dzień?” – pytał na przykład zaciekawiony, albo: „A ilu ludzi uzdrowił Pan Jezus?”, albo: „A kto pilnował owieczek i baranów, kiedy pasterze poszli do Betlejem?”. Bolesia nie pozostawiała żadnego pytania bez odpowiedzi, jej au-

torytet rósł więc w oczach brata z każdą chwilą. Słuchał się też Bolesi bardziej aniżeli matki. A gdy go prosiła, by nie przeszkadzał jej w jakimś zajęciu, szedł grzecznie pilnować kur w ogrodzie.

Niekiedy wychodziła na samotny spacer, zabierając jedynie Łatka. Szła wtedy w stronę malowniczych ruin zamku, nad rzekę Bzurę, albo do babci Cyganowskiej, która odzyskiwała humor w miarę jak mijała żałoba po dziadku. Dzielna ta kobieta przez całe życie wypełniała sobie czas wyłącznie pożytecznymi zajęciami. Także teraz, kiedy siły już ją zaczęły opuszczać, nie pozostawała beczynna. Z pasją zabrała się do robienia wycinanek i zabawek z kolorowego papieru. Zajęcie to, ogromnie popularne w łowickich stronach, sprawiało jej niesłychaną przyjemność, a grosz jaki z tego tytułu wpadł do kieszeni przeznaczala na cukrowe łąkocie w celofanowych rożkach dla ukochanych wnuków.

Przy takim właśnie kolorowym zajęciu zastała Bolesia babcię pewnego kwietniowego przedpołudnia 1879 roku. Zbliżała się Wielkanoc, więc zapotrzebowanie na tego rodzaju ozdoby było większe niż zazwyczaj. Na stole oprócz wycinanek pełno było również innych cudeniek, a wśród nich zdobionych kolorowym papierem wydmuszek. Takich do zawieszenia na nitce, albo do ustawienia na papierowej podstawie w charakterze dzbanuszków.

Bolesia brała te cacka w ręce, zachwycona. Dawno już chciała nauczyć się tej trudnej sztuki. Powiedziała o tym babci Mariannie, ale ta, obrzuciwszy wnuczkę czujnym spojrzeniem, odgadła bez trudu, że to nie kolorowe wycinanki są przyczyną jej nagłej wizyty, ale zadra jaką w sercu nosi.

– Tato namawia mnie – wyznała w końcu ze łzami – żebym pojechała do Warszawy, jak tylko wróci Stasia, i zrobiła tam ten sam kurs krawiecki, co ona.

Babcia Marianna zdziwiła się tak, że aż okulary zjechały jej na czubek nosa.

– Sądziłam, że chcesz zostać nauczycielką – odezwała się z pewnym wahaniem. – Także twoja matka była za tym. Skąd więc ta zmiana?

– Nie wiem. Tatko mówi, że zakład krawiecki nam otworzy, jeśli się obie dobrze spisujemy. O niczym innym nie mówi, tylko o tym. A babcia wie, jak tatkowi trudno się sprzeciwić. Zresztą, chce dla nas na pewno jak najlepiej...

Sięgnęła odruchowo po jedną z wydmuszek i zaczęła przymierzać do niej leżące na stole miniaturowe wzorki.

– Tak, tak... – zamyśliła się babka. – No cóż, zakład krawiecki to poważne przedsięwzięcie. Trzeba sprowadzić maszyny, wynająć lokal... Ale skoro ojciec rzecz przemyślał i chce wam obu w ten sposób zabezpieczyć przyszłość, to...

– To mam być krawcową?! Przez całe życie?! – wykrzyknęła Bolesia. – Nie lubię szyć! Nigdy nie lubiłam! A poza tym – nie nadaję się do tego!

Babcia Marianna odgarnęła jej z czoła rozwichrzone włosy i uśmiechnęła się. Ten dotyk i ten uśmiech w tym właśnie momencie okazały się dla Bolesi prawdziwie kojącym balsamem.

– Z tego, co wiem – mówiła dalej babka – jesteś osobą wszechstronnie uzdolnioną, więc...

Bolesia zaczęła się na nowo niecierpliwić.

– To może powinnam się w takim razie zatrudnić w fabryce naczyń kamionkowych Weksteinów?! – zawołała. – Otworzyli ją właśnie i potrzebują pracowników. Dopiero by się tatko ucieszył!

Wytarła łzy i zamierzała dokleić na wydmuszcze kolejny fragment wycinanki, kiedy ta pękła nieoczekiwanie.

– Ależ jestem uzdolniona! Sama widzisz babciu, jaka jestem!

I rozplakałaby się pewnie na dobre, gdyby nie skowronek, który całkiem niespodziewanie odezwał się za oknem. Jego wdzięczny, melodyjny śpiew uspokoił jej wzburzone myśli i serce. Był to śpiew istoty prawdziwie wolnej, śpiew pełen nadziei. Tak słodki, jakby pochodził z innego świata.

– Babciu? – odezwała się po chwili. – Powiedz mi, ale szczerze: czy ty widzisz mnie w roli krawcowej?

Staruszka zdjęła okulary i, licząc najwyraźniej na pomoc z nieba, zwlekała jakiś czas z odpowiedzią.

– No wiesz... – odezwała się w końcu. – Rodzice, podobnie jak Pan Bóg, kierują się dobrem swoich dzieci. Wprawdzie wsłuchują się w każdą ich prośbę, jednak nie wszystkie mogą spełnić. Twoi rodzice...

– Nie o to pytałam, babciu – przerwała Bolesia stanowczo. – Chcę wiedzieć, czy ty, babciu, widzisz mnie w tym zawodzie. Czy ty...

– Ja, dziecko, nie jestem jasnowidzem – usłyszała w odpowiedzi. – Ale uczono mnie od maleńkości, że trzeba być posłusznym rodzicom, bo oni wiedzą lepiej.

Babcia Marianna miała rację i Bolesia wiedziała o tym doskonale.

„A więc znowu: posłuszeństwo?” – pomyślała. Dotąd dotyczyło ono rzeczy błahych, wypełniania zwykłych codziennych poleceń. Teraz odnosiło się do niej samej, już prawie siedemnastoletniej. „Czy nadal mam we wszystkim wykonywać polecenia rodziców?” – myślała, buntując się całą swoją młodzieńczą istotą.

Tuż przed Wielkanocą otrzymała list od Kazika. Krótki, ale jakże oczekiwany. Pisał, że jest zadowolony i że prosi o modlitwę w swojej intencji. Ją, Bolesię, o to prosił. „Czyżby wierzył, że moja

modlitwa naprawdę może mu pomóc? – zastanawiała się zaskoczona, obiecując sobie, że tym razem naprawdę się do niej przyłoży.

Natomiast w Wielką Sobotę wybrała się z Antosiem i Maniusią do kościoła Świętego Ducha, żeby poświęcić świąteczne pokarmy. Świąconkę, umieszczoną w koszyku i przykrytą haftowaną serwetką, niosła prawie cały czas Maniusia, gdyż Antos zajęty był zupełnie innymi sprawami. Najbardziej interesowali go strażacy, pełniący wartę honorową przy Grobie Pańskim, w którym umieszczona była duża figura Pana Jezusa. Pan Jezus, zdjęty z krzyża, leżał wśród białych, niebieskich i różowych hortensji, a strażacy w pięknych mundurach i lśniących hełmach stali obok, na baczność. Każdy z nich miał przy skórzanym pasku siekierkę i toporek, które stały się odtąd wyłącznym marzeniem Antosia.

– To może zobaczymy jeszcze, jak wygląda grób w kolegiacie? – zaproponował, gdy Bolesia chciała już wracać do domu.

– A nóżki nie będą was bolały? – zapytała. – Dacie radę wrócić o własnych siłach?

Wobec solennego zapewnienia obojga, zgodziła się spełnić ich prośbę.

Zbliżali się do kolegiaty, kiedy nieoczekiwanie wyszedł z niej – Janek. Także ze święconką, ale nie sam. Był w towarzystwie uroczej nieznamoj, która wspierała się dość pewnie na jego ramieniu. Widok ten, tak zaskakujący i nieoczekiwany, sprawił Bolesię w chwilowe zakłopotanie. Jakiś dziwny smutek zalał nagle jej duszę. Skinieniem głowy odpowiedziała na jego serdeczne słowa powitania, po czym weszła szybko z dziećmi do kościoła.

Pan Jezus leżał w grobie, a ona – tak przynajmniej jej się wydawało – leżała obok Niego.

„Więc tak wygląda początek dorosłego życia?” – myślała, usiłując się skupić i poukładać sobie w głowie najważniejsze wydarze-

nia ostatniego okresu. Nie chciała być krawcową, nie chciała wychodzić za męż... Naraz przypomniała sobie uśmiechniętą twarz Kazika.

„O, gdybym potrafiła tak jak on kochać Jezusa! – zawołało nagle jej serce spragnione miłości. – Tak kochać, żeby pójść za Nim wszędzie, gdzie tylko zechce. Na dobre i złe”...

W tym samym momencie uprzytomniła sobie ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że to jest możliwe. Że s t a n i e s i ę, jeśli tylko zacznie się więcej modlić. Jeśli będzie – posłuszna.

Jeszcze tego samego dnia oznajmiła rodzicom, że rozpocznie naukę krawiectwa u pana Zelmiana, a po powrocie Stasi pojedzie do Warszawy, aby uzyskać dyplom mistrzowski.

Nie skarżyła się już babci Mariannie. Starła się ją raczej utwierdzić w przekonaniu, że i krawiectwo może stać się całkiem ciekawą przygodą. Tak też starła się o nim myśleć, przesiadując w zakładzie pana Zelmiana. Zakład nosił teraz nazwę: „Pracownia Krawiecka Jakub Zelman i Syn”, gdyż Joachimek, skończywszy dwadzieścia lat, stał się jego współwłaścicielem. Nadal też był cichym wielbicielem Bolesi, czego ona konsekwentnie starła się nie dostrzegać.

Zajęta szyciem, domowymi pracami i rodzeństwem, na rozrywki i spotkania towarzyskie nie miała praktycznie czasu. Dawne koleżanki też jakby o niej zapomniały. Ucieszyła się więc, kiedy któregoś dnia zobaczyła na ulicy Jadwisię.

– Co za suknia! Bolesiu, wyglądasz w niej po prostu bosko! – usłyszała z ust przyjaciółki słowa pełne zachwyty pod adresem uszytej przez siebie skromnej sukienki. – Zawsze uważałam, że prostota to podstawa elegancji!

Sama miała na sobie zwiewną kreację w kolorze brzoskwiniowym i atlasowe wstążki we włosach. Nie była już jednak tą samą Jadwisią, co dawniej. Jej drobna, nie pozbawiona próżności twarz

wyglądała trochę jak buźka porcelanowej lalki. Pociągająca i pełna uroku, była Jadwisia, o czym Bolesia nie miała pojęcia, otoczona coraz liczniejszym gronem adorujących ją wielbicieli.

– Ach, żebyś wiedziała, jakie to męczące! – zwierzyła się Bolesi w pewnym momencie tonem rozkapryszonej panienki. – Tak myśleć ciągle o jednym tylko chłopcu, podczas gdy serce rwie się do wielu. A cóż dopiero to pisanie wierszy, które jest w istocie tak niezmiernie nudnym zajęciem! Czy którykolwiek z tych młodzieńców wart jest takiego zachodu?

Bolesia, której obce były tego typu rozterki, słuchała słów przyjaciółki z coraz większym zażenowaniem. Miała wielką ochotę powstrzymać potok jej dalszych wynurzeń, gdy nagle usłyszała:

– O, jakże odmienną jestem od Janka!... Tak zakochał się w naszej kuzynce Zofii, że świata poza nią nie widzi. Chce się z nią związać na całe życie! Ja tego nie rozumiem. Może nie spotkałam jeszcze kogoś takiego. A ty co o tym myślisz?

– Ja? – policzki Bolesi oblał nieoczekiwane rumszyskie rumieńce. – Myślę, że Janek dokonał dobrego wyboru. Miałam przyjemność widzieć pannę Zofię i wydała mi się osobą miłą i dla niego odpowiednią.

Jadwisia zmarszczyła brwi.

– Ale przecież... – przypomniała sobie nagle. – On był zajęty tobą! Mamcia nieraz mówiła, jaka to z was piękna para...

– Nic mi o tym nie wiadomo – przerwała szybko Bolesia. – A twoją matkę zawsze serdecznie wspominam. Pozdrów ją ode mnie koniecznie. I Janka też. Ja... wyjadę pewnie niedługo do Warszawy.

– Do Warszawy?! – podchwyciła Jadwisia z ożywieniem. – Ach, byłam tam niedawno z rodzicami! Tatko potrząsnął sakiewką, mogliśmy więc obie z mamuszką nieco poszaleć! Byłyśmy nawet w tym słynnym domu mody... Jakże się on nazywa?...

– Magazyn Mód Damskich i Męskich Bogusława Hersego?

– Właśnie! Ależ tam mają asortyment! Ta sukienka – zakręciła się w kółko – też od Hersego! Kosztowała majątek. Nic dziwnego, że jego stałymi klientami mogą być wyłącznie tacy bogacze jak Lubomirscy, Radziwiłłowie i Potoccy. A jakie toalety sprowadza ten Herse z Paryża! Mówią, że to jego żona Filipina decyduje o wszystkim. Trzeba przyznać, że gust ma wyborny. Nawet nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia wyborny...

Bolesia roześmiała się niespodzianie.

– Może będę miała okazję ją poznać – powiedziała z tajemniczą miną.

– Ty?!

– No, wiesz... Kurs krawiecki u Hersego trwa prawie dwa lata, sądzę więc, że powinno mi się to udać, nie uważasz?

Teraz dopiero Jadwisia zrozumiała, jaki jest właściwy cel wyjazdu przyjaciółki do Warszawy. Zrozumiała też jak niestosowna była jej paplanina, jak błahe i bez znaczenia problemy.

– Zawsze cię podziwiałam. Wybacz... – szepnęła przy pożegnaniu, przytulając Bolesię mocno do serca. – I nie przejmuj się, proszę, tym moim gadaniem.

Nowy Rok 1880 zaczął się od nieudanego zamachu na życie cara Aleksandra II. Car był znakiem hańby dla wszystkich Polaków, nie wszystkim jednak podobały się rewolucyjne zapędy rosyjskich „narodowców”, właściwych sprawców tej nieudanej akcji, która miała miejsce w Petersburgu. W napięciu czekano więc na dalszy przebieg wydarzeń.

Po tym zamachu Wierka zaczęła wyraźnie unikać Bolesi. Tknięta jakimś niedobrym przeczuciem, zapytała ją kiedyś na ulicy czy nie jest chora, ale Wierka nie była chora. Niczego też więcej nie

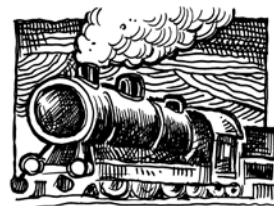
udało się Bolesia od niej dowiedzieć. Nie chciała, czy też nie mogła mówić, trudno dociec. Jednak ze smutku w jej oczach można było wyczytać, jak wiele ją to milczenie kosztuje i jak wielkim jest dla niej dramatem.

Bolesia wiedziała: Rosja carska prześladowała katolików, ale prześladowała również tych prawosławnych, którzy przechodzili na inne wyznanie. Karała ich za to jak za zdradę państwową. Już samo okazywanie sympatii katolikom mogło być powodem nieprzyjemności. Czy mogła zatem dziwić się Wierce, że woli trzymać się od niej z daleka? „Biedna Wierka – myślała, szczerze jej współczując. – Biedna Wierka”... – powtarzała, czując w sercu za każdym razem ten sam niewypowiedziany smutek.

Stasia przyjechała do Łowicza w Niedzielę Palmową, a zaraz po Wielkanocy Bolesia miała udać się do stolicy. Niewiele więc miały siostry czasu, żeby się sobą nacieszyć.

Zmieniona z racji modnego stroju i uczesania, była Stasia nadal tą samą kochającą i szczerą duszą. Z zapałem opowiadała o swoim pobycie w Warszawie i z przyjemnością popatrywała to na Antosia, to na Maniusię, którzy nadspodziewanie szybko uporali się z przywiezionym przez nią pudełkiem czekoladowych cukierków firmy Wedel.

Rodzice byli zadowoleni. Ich pierwsze oczekiwania spełniły się. Mogli już teraz myśleć poważnie o zakładzie krawieckim dla swoich córek.



Ach, ta Warszawa

W podróż do Warszawy Bolesia wybrała się w towarzystwie swojej chrzestnej matki, Katarzyny Pomorskiej, którą w stolicy czekała jeszcze przesiadka na pociąg do Wilna. Wybrała się koleją warszawsko-wiedeńską, a że Warszawa oddalona jest od Łowicza zaledwie o jakieś osiemdziesiąt kilometrów, podróż nie wydała się jej ani długa, ani męcząca. Już sama jazda pociągiem stanowiła niemałą atrakcję. Dysząca lokomotywa, stukot pędzących kół, snopy iskier i zmieniające się za oknem krajobrazy, wszystko to wraz z perspektywą czekających ją nowych, nieznanych wrażeń sprawiało, że czuła się mocno podekscytowana.

Kuzynka Celina Pawlicka, korpulentna starsza pani, która w pobliżu Nowego Świata zajmowała trzypokojowe mieszkanie w dwupiętrowej kamienicy, przyjęła Bolesię z otwartymi ramionami.

– *Ma chérie!* – powitała ją z francuska, pozując na światową damę. – Jestem taka szczęśliwa! Czekają nas cudowne chwile! Przechadzki, spektakle i wystawy, *n'est-ce pas?* Jestem pewna, że ci się u mnie spodoba!

Pogodne usposobienie i spory majątek, jaki przed kilkoma laty pozostawił jej w spadku małżonek, przenosząc się do wieczności, uczyniłyby jej życie całkowicie beztróskim, gdyby nie migreny, z powodu których cierpiała często i boleśnie. Własnych dzieci Pawliccy nie mieli, jednak pani Celina nie czuła się osamotniona.

Odwiedzana przez liczne grono kuzynek i kuzynów, znała dogłębnie wszystkie rodzinne tajemnice, a rozczytując się w „Kurierze Warszawskim”, była doskonale zorientowana w tym, co dzieje się na świecie.

Pokrewieństwo między nią a Lamentami było tak dalekie, że śmiało można by je określić jako przysłowiową piątą wodę po kielichu. Była bowiem cioteczną siostrą babki Bolesi, Marianny Cyganowskiej, i jej najlepszą przyjaciółką z dziecięcych lat. Niezmiernie lubiła wspominać tamte dawne chańskie czasy i dosyć często odwiedzała Mariannę. Tylko jej samej nie potrafiła w żaden sposób ściągnąć do Warszawy. Cieszyła się więc, że chociaż wnuczki może gościć u siebie.

Stolica, znana dotychczas jedynie z opowieści, przypawiła Bolesię o istny zawrót głowy. Powodem były najpierw pędzące dorożki i ruch na ulicach, a teraz – pokój, w którym miała zamieszkać. Nieduży, ale jakże przytulny.

– *Voilà!* Oto i twoje królestwo! – śmiała się Celina, widząc zachwyty na jej twarzy.

Tak zaczął się w Warszawie pobyt Bolesi, który wbrew oczekiwaniom poczciwej kuzynki, nie koncentrował się bynajmniej wokół przechadzek, wizyt towarzyskich i rozrywek.

Już następnego dnia udała się na ulicę Senatorską, gdzie w dawnym pałacu Olbromskich mieścił się luksusowy sklep z konfekcją, prowadzony przez Bogusława Hersego.

Po drodze mijala licznych przechodniów. Byli wśród nich ludzie ubodzy, byli żebracy, nie brakowało też kobiet i mężczyzn ubranych z przesadnym przepychem. Nieraz już słyszała o tak zwanej „próżniaczej klasie”, która większość czasu spędzała w salonach, poddając się bezmyślnie ogłupiającej „nerwozie błyszczenia”. Ci, którzy do niej należeli, z reguły sami nie pracowali. Żyli z pracy rąk innych

ludzi, oddając się przyjemnościom i wydając na nie zawrotne sumy. Powiadano, że niektóre elegantki płaciły za strój balowy na jeden tylko wieczór nawet 150 rubli, podczas gdy robotnik, żeby zarobić 16 rubli musiał pracować cały miesiąc. Oburzało to zwykłych ludzi. Wielu nie miało bowiem nawet paru kopiejek na chleb, wielu mieszkało pod gołym niebem albo w zatęchłych suterrenach.

Magazyn Mód Damskich i Męskich odnalazła Bolesia bez trudu. Gdy jednak miała przekroczyć próg tej ekskluzywnej firmy, na nowo ogarnęły ją wątpliwości. „Czyżby to miejsce miało rzeczywiście zadecydować o mojej przyszłości? – myślała gorączkowo. – Czy naprawdę tego chcę?”... Wzrok jej zatrzymał się mimo woli na własnym odbiciu w szybie wystawowej. Zaraz potem zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i weszła do środka.

Sklep sprawiał miłe wrażenie. Był jasny i przestronny. Na półkach leżały bele różnobarwnych tkanin. Ustawione przodem do ulicy manekiny prezentowały najmodniejsze stroje, a ubrani w jednakowe uniformy subiekt z uśmiechem obsługiwali klientów.

Bolesia wpatrywała się w dużą oszkloną gablotę z dodatkami, z których najbardziej zachwycające wydały jej się rękawiczki z cienkiej popielatej skórki, gdy nagle usłyszała niezwykle uprzejmie:

– Pozwoli pani sobie doradzić?

– Och, nie! – odparła speszona, uśmiechając się do młodzieńca, którego ruda czupryna wprawiła ją w jeszcze większe zakłopotanie. – Ja... jestem umówiona z panem Herse. Z panem Bogusławem Herse – powtórzyła dla pewności.

Młody człowiek posmutniał.

– Przykro mi, ale...

– Pan Herse obiecał mnie przyjąć – przerwała mu bardziej stanowczym tonem, nie przestając się uśmiechać. – Przyjechałam do niego specjalnie z Łowicza.

– Przykro mi, ale pan Herse... nie żyje – stwierdził z bolesnym wyrazem twarzy. – Zmarł dwa dni temu. Spóźniła się pani o dwa dni.

Wiadomość była tak porażająca, że Bolesia poczuła w nogach dziwną słabość.

– Ależ to...

Chciała powiedzieć „niemożliwe”, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Młodzieniec odgadując, że panna nie czuje się najlepiej, wskazał jej fotel wyściełany pluszem, a sam ruszył pospiesznie w kierunku drzwi. W tej samej chwili do sklepu weszła smukła i wytworna kobieta w żałobnym stroju. Jej twarz ukryta pod delikatną mgiełką czarnej woalki, wywarła na Bolesi silne wrażenie. Był w niej kamienny spokój i jakaś niesłychana przytomność umysłu.

Kobieta zatrzymała się, a spostrzegłszy siedzącą w fotelu Bolesię, zwróciła się do rudzielca:

– Adasiu... Czy to jest może ta panna, która miała przyjechać z Łowicza? Jeśli tak, to zaprowadź ją, proszę, do pracowni krawieckiej. Pan Kłodziński się nią zajmie. Poza tym – nie ma mnie dzisiaj dla nikogo.

To powiedziawszy, oddaliła się w stronę gabinetu, w którym pan Herse jeszcze niedawno przyjmował interesantów.

Pan Kłodziński, zgodnie z tym, co opowiadała Stasia, był niskiego wzrostu i miał o sobie wysokie mniemanie. Ogarnął krytycznym spojrzeniem kostium Bolesi, który kosztował ją maksimum twórczego wysiłku, po czym powiedział:

– No... zgoda. Możemy spróbować.

I polecił jej, żeby zgłosiła się za tydzień.

– Teraz mamy co innego na głowie, rozumie panienka – stwierdził dość obcesowo, zaraz jednak dodał: – Biedny pan Herse, miał



dopiero czterdzieści lat. A pani Filipina – taka młoda i już wdowa. Widziała ją panienka?

Skinęła głową.

– Pogrzeb odbędzie się za trzy dni, to może by panienka po tym pogrzebie do nas zajrzała – powiedział mniej kategorycznie.

Kiedy znalazła się na ulicy, świeciło wiosenne słońce.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że idzie w niewłaściwym kierunku. Miała zamiar zawrócić, gdy nagle po przeciwnej stronie zobaczyła kościół. Był to kościół świętego Antoniego Padewskiego, tak chętnie odwiedzany niegdyś przez rezydującego tuż obok, w pałacu Morsztynów, króla Jana III Sobieskiego. Przeszła przez jezdnię i już niebawem znalazła się w jednym z dwóch bocznych kruzganków prowadzących do drzwi frontowych. Ściany kruzganka, wypełnione pamiątkowymi tablicami, przemawiały echem ojczywej historii, przypominały tych, którzy zginęli w narodowych powstaniach. Na myśl o nich poczuła nagle silne wzruszenie. Wdzięczna świętemu Franciszkowi, że zechciał ją do tej modlitewnej pustelni usytuowanej w centrum zgiełkowego miasta przyprowadzić, długo trwała w milczącej modlitwie.

Kuzynka Celina czekała na Bolesię ze smutną wiadomością. W Moskwie, podczas koncertowego *tournee*, zmarł nagle na serce Henryk Wieniawski, wirtuoz skrzypiec, wielki polski kompozytor.

– *Mon Dieu!* Opowiadają o jego śmierci straszne rzeczy – obwieszczała Bolesi drżącym głosem. – Podobno jakaś litościwa hrabina wyciągnęła go z przytułku dla ubogich po tym, jak go ci dranie, Moskale, okrutnie w tej Moskwie oszukali i bez grosza zostawili na ulicy. Taka sława! Toż on naszego poloneza do największych koncertowych sal na świecie wprowadził. Już widzę, co się będzie działo, kiedy trumna przyjedzie do Warszawy...

Nie omyliła się. Pogrzeb Henryka Wieniawskiego, w którym obie, ona i Bolesia, uczestniczyły, stał się jeszcze jedną patriotyczną manifestacją. Odbył się także pogrzeb Bogusława Hersego. Ale firma przy Senatorskiej nadal nosiła imię swego założyciela. To w niej właśnie zobaczyła Bolesia po raz pierwszy słynne paryskie żurnale: „La Mode” i „Le Journal des Dames” oraz polskie pisma dla kobiet: „Dziennik Mód Paryskich” i „Tygodnik Mód”. Wszystkie one były zgodne co do tego, że strój kobiecy należy uczynić wygodniejszym i skończyć raz na zawsze z największą zgorzą, jaką było noszenie gorsetów. I chociaż tradycjonalistek opowiadających się za sznurowaną talią nie brakowało, na ulicach coraz częściej pojawiały się panie ubrane w praktyczne dwuczęściowe suknie bądź kostiumy składające się ze spódnicy, żakietu i kamizelki.

Znalazłszy się nagle w wielkim świecie szybko zmieniającej się mody, Bolesia nie przestraszyła się wcale, a pan Kłodziński już po pierwszych wykonanych przez nią pracach mógł się przekonać, że nowa praktykantka jest szybka i dokładna, w zachowaniu natomiast koleżeńska i miła. A że była do tego jeszcze uosobieniem skromności, zdobyła niebawem sympatię również innych osób zatrudnionych w firmie, nie wyłączając pani Filipiny Herse.

Maszyny do szycia, których używano w firmie Hersego, a było ich wiele, sprowadzano z zagranicy. Posiadały markowy znak Singera i były nowoczesne i wielofunkcyjne. Jednak posługiwanie się taką maszyną przez kilka godzin dziennie nie należało bynajmniej do przyjemności. Głośny, miarowy stukot słyszała Bolesia niekiedy nawet przez sen. Dostyc szybko też uzmysłowiła sobie jak małym jest ogniwem w tej szalonej machinie biznesu, żerującej na próżności ludzi bogatych. Ogniwem, od którego wymagano wyłącznie zdyscyplinowania i perfekcji. Tego też starała się dowieść codzienną mozolną pracą.

Po zajęciach w szwalni zaglądała najczęściej do kościoła przy Senatorskiej albo robiła sobie spacer na Miodową, do kościoła Przemienienia Pańskiego, gdzie jej duch doznawał równie głębokiej pociechy. Kościół ten, stanowiący niegdyś własność ojców kapucynów, związany był również z osobą króla Jana III Sobieskiego. Stanowił wotum dziękczynne za jego zwycięstwa w bitwach pod Chocimiem i Wiedniem. W nim też spoczywało serce króla.

Bywając na Miodowej dosyć regularnie, zauważyła Bolesia grupkę młodych kobiet gromadzących się przy jednym z bocznych ołtarzy. Ich ciche modlitewne spotkania nie tylko wzbudziły jej zainteresowanie, ale coraz bardziej ją intrygowały. Wspomniała o nich któregoś dnia kuzynce Celinie, lecz ta westchnęła tylko:

– Dobrze, że pozwalają nam się jeszcze modlić w naszych kościołach.

A zaraz potem dodała:

– Widziałaś może... Też na Miodowej, ale pod numerem 16, niemal naprzeciwko? Mieli tam swój klasztor i cerkiew ojcowie bazylianianie...

– Prawosławni?

– A gdzie tam! Grekokatolicy! Nie słyszałaś o grekokatolikach? – spytała zaskoczona. – Też katolicy, tyle że obrządku wschodniego. Otóż... Co to ja chciałam powiedzieć? Aha, już wiem. Car kazał ich klasztor zlikwidować, a cerkiew grekokatolicką zamienić na prawosławną. To ja się pytam: gdzie te biedaki mają się teraz modlić? Gdzie mają odprawiać swoje nabożeństwa? Ech, diabli nadali nam tych Moskali!

To mówiąc, podniosła się z wygodnej otomany i wyjęła z kredensu pudełko czekoladek.

– My jednak nie będziemy się smucić! – zawołała. – Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my...

Nie dokończyła, gdyż w tej samej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju. Honorka, służąca, którą Celina trzymała bardziej z litości niż z rzeczywistej potrzeby, wybiegła z kuchni, by otworzyć. W chwilę później rozległy się głośne słowa powitania i okolicznościowych uprzejmości.

– Fredziu, *mon amie*, a ciebie cóż do mnie sprowadza? – zdziwiła się Celina na widok bratanka, który zbliżał się do niej w przesadnie niskich ukłonach.

– Cóż? – powtórzył, patrząc jej przeciągle w oczy. – Tęsknota! Tęsknota, droga cioteczko!

Celina machnęła mu chustką przed nosem.

– Znowu błaznujesz – skrzywiła się. – Ach, ty ladaco! A tak naprawdę?

– A tak naprawdę – odezwał się, zezując w stronę Bolesi – bezsenność! Od kiedy zobaczyłem u twego boku, ciotuniu, pewną uroczą panienkę, dalibóg, nie śpię po nocach! Czy pozwolisz, że przedstawię jej moją niegodną osobę?

To powiedziawszy, skłonił się przed Bolesią, stukając zamaszycie obcasami.

– Alfred Koniecpolski – oznajmił, podnosząc jej rękę do blond wąsa, po czym dodał prawie szeptem: – Pani z bliska jeszcze piękniejsza...

Bolesia zmieszała się, słysząc komplement z ust przystojnego młodzieńca, jednak nie straciła pewności siebie.

– Bolesława Lament – odparła, śmiało patrząc mu w oczy.

– Lament? Och! – zawołał z tragicomicznym grymasem na twarzy. – Nie lamentujesz, mam nadzieję, waćpanna, dniem i nocą?

Zamiast roześmiać się na to błaznowanie, na co miała wielką ochotę, odpowiedziała tym samym żartobliwym tonem:

– A waćpan? Chcesz nam może swoim nazwiskiem przepowiedzieć, nie daj Boże... koniec Polski?

Kuzynka Celina śmiała się i klaskała, dawno już bowiem nie widziała równie ładnego przedstawienia. Tymczasem Alfred, nie spodziewając się tak błyskotliwej riposty, skłonił się ponownie, stuknął obcasami i stwierdził:

– Panna Bolesława, widzę, nie tylko urodziwa, ale i celna w słowie. Ogłaszam zatem remis: jeden do jednego!

A żegnając się po wypiciu tradycyjnej herbaty, nie omieszkał zapytać:

– Czy będę mógł liczyć na dalsze, równie intrygujące słowne pojedynki?

Bolesia pożegnała gościa grzecznie, ale unikała odtąd jego towarzystwa. Poza błaznowaniem, o czym dowiedziała się od kuzynki, młodzieniec ten, nie uznający rozsądku za cnotę, niczego więcej nie potrafił. Studia przerwał, pracy unikał, umiał za to, i to z dużym powodzeniem, trwonić pieniądze swego ojca. Biedna Celina załamywała ręce nie widząc w nim nawet cienia skruchy i słała w jego intencji nieustanne modły do nieba.

Rok 1881 zaczął się od zamachu bombowego na cara Aleksandra II, który to zamach okazał się tym razem skuteczny. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że rozwiązał on jakieś polskie problemy. Miejsce zmarłego cara zajął Aleksander III, który zasłynął już wkrótce jako jeszcze większy despota.

W Warszawie przeważały ponure nastroje, choć życie przynosiło i pogodne wieści. Z Ujazdowa wyleciał w powietrze balon, którego widok zgromadził tłumy gapiów. Czekało z zaciekawieniem na mające się pojawić na ulicach pierwsze konne tramwaje. Wielbicielki Henryka Sienkiewicza roniły łzy na wiadomość o jego ożenku, a Bolesia... Bolesia najchętniej czytała w wolnych chwilach listy z Łowicza. Te same, po kilka razy. Także ten ostatni, w którym Sta-

sia donosiła o narodzinach jeszcze jednego braciszka. Dostał na imię Stefan i był ponoć bardzo podobny do mamy.

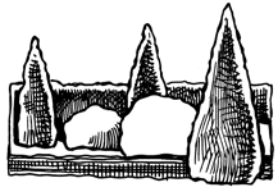
Ogromnie tęskniła już za domem. Codzienna praca, towarzyszenie kuzynce w wycieczkach po mieście, ciągłe wizyty obcych ludzi, wszystko to stawało się dla niej coraz bardziej męczące.

Przeglądając kiedyś przyniesione przez Celinę pisma, znalazła w jednym z nich wiersz Marii Konopnickiej, który tak pięknie mówił o tym, co czuła. Wiersz nosił tytuł „Czym jesteś” i był w nim taki jeden fragment, który szczególnie przypadł jej do serca.

*Lecieć bym chciała tam, gdzie olchy rosną,
Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,
Gdzie się porwoje, jak baśń dziwna plotą...
Czym jesteś, szczęście?... Tęsknotą?*

W lipcu skończyła dziewiętnaście lat. Inne dziewczęta w jej wieku wychodziły za mąż.

„A moje szczęście? – myślała niecierpliwie. – Czym okaże się moje szczęście?”...



Fałszywy alarm

W Ogrodzie Saskim dzieci grały w serso, biegały po trawie, karmiły kaczki i łabędzie. Zakochane pary zatrzymywały się przy barokowych rzeźbach muz i cnót, szepcząc sobie czułe słówka. Panie ściśnięte gorsetami sunęły majestatycznie, z rzadka rozsiewając uśmiechy, a starsi panowie w czarnych cylindrach zerkali w stronę rozbawionych podlotków. Najwięcej osób gromadziło się jak zwykle przy fontannie. Ogród Saski był dla warszawiaków w upalne dni prawdziwie rozkosznym schronieniem.

Wybrała się tam także pewnej niedzieli Bolesia z kuzynką Celiną. Patrzyły na bawiące się maluchy, gdy nagle usłyszały tuż obok znajomy głos Alfreda.

– Cioteczka zdrowa?! O, jakże się cieszę! Doszły mnie słuchy, że się cioteczka rozłożyła na amen i doktorów trzeba było wzywać!

Ucałował szarmancko ręce ciotki, a następnie obsypał komplementami Bolesię. Ciotka obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem i stwierdziła z przekąsem:

– Martwisz się o moje zdrowie, jakbyś liczył na mój spadek.

– Niech Bóg broni! A, fe! – zaprotestował żywo. – Co za krzywdzące posądzenie! Ciotunia chłoscze mnie, jakby wcale nie widziała mojego szczerego przywiązania do niej. Ale jeszcze serce kochanej cioci zatęskni za mną! Tak, tak. Wyjeżdżam, i to na dłużej.

– Coś takiego! A dokąd to, jeśli można wiedzieć?

– Do Wiednia ciotuniu, do Wiednia! – wykrzykiwał w radośnym uniesieniu. – Poszedłem po rozum do głowy i stwierdziłem, że warto chyba jednak zaliczyć jakieś studia...

– Jakież! – ofuknęła go. – A więc to znowu nic konkretnego!..

– Ciotunia wie przecież, że mam problemy z powołaniem – odparł z niewinną miną, po czym dodał: – Ach, jak zazdroszczę tym, którzy mają przed sobą jasno wytyczony cel. Tak jak na przykład... panna Bolesława.

W tym miejscu westchnął głęboko, by podkreślić jeszcze dobitniej, w jak niewdzięcznym znajduje się położeniu. Niestety, ten nieoczekiwany akt skruchy okazał się nader krótkotrwały. Już po chwili biegł w szalonych podskokach w kierunku stojących z boku i zaśmiewających się głośno kamratów.

Na twarzy Bolesi pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

„Jasno sprecyzowany cel – powtórzyła w myśli. – Czy istotnie jest on dla mnie tak do końca jasny?”. Serce podpowiadało jej, że nie. Jednego była pewna: nie mógł być nim wyłącznie zakład krawiecki. „Ach, żeby móc już wreszcie porozmawiać ze Stasią...” – myślała gorączkowo. Wiedziała, że i ona przeżywa podobny dylemat. Pisała o tym niedawno w liście.

Niedzielną przechadzkę po parku panie zakończyły degustacją wód mineralnych w pijalni, w której Celina spotkała jeszcze kilka znajomych osób. Wracały orzeźwione i pełne miłych wrażeń. Jedyne przy Pałacu Saskim posmutniały nagle. W dawnej rezydencji polskich królów urzędowała armia rosyjska, a na placu przed pałacem wznosił się w niebo szyderczo obelisk hańby upamiętniający bohaterstwo siedmiu polskich oficerów, którzy polegli w powstaniu listopadowym walcząc po stronie cara.

Gorzki smak carskiej niewoli czuć było w stolicy na każdym kroku. Tajna policja i żandarmeria czuwały nad utrzymaniem w ry-

zach okupowanego miasta. Szerzyło się donosicielstwo i zdrada. Dochodziło do jawnych aktów przemocy.

Bolesia, która od dziecka wychowywana była w duchu patriotycznym, wiedziała czym jest miłość Ojczyzny. Wiedziała, a jednak dopiero tu, w Warszawie, zrozumiała jak bardzo miłość ta jest zagrożona. Jak pilnie potrzeba serc gorących, nieustrudzonych i zdolnych do wyrzeczeń, by ocalić polskiego ducha. Ocalić go w sobie i w tych, którzy tracą go tak bezmyślnie i bezpowrotnie. Sprawa ta wydała jej się tak ważną, że wprost najważniejszą ze wszystkich. „O, gdybym mogła pomóc mojej Ojczyźnie w jej zmartwychwstaniu” – przemknęło jej przez myśl.

Była tak podniecona, że nawet kuzynka Celina, która z reguły nie odrywała wzroku od witryn sklepowych, nie omieszkała tego zauważyć.

– Coś mi się zdaje, kochaneczko, że ci to dzisiejsze słońce nie całkiem wyszło na dobre – odezwała się zaniepokojona. – A tak prosiłam, żebyś założyła kapelusz...

Któregoś dnia odwiedził je pan Leopold Koniecpolski, ojciec Alfreda, a zarazem brat Celiny, wyraźnie czymś zaaferowany. Jego wizyty należały do rzadkości i, jak słusznie zauważyła Bolesia, zawsze związane były z jakimiś szczególnymi wydarzeniami.

– Nie chcę być złym prorokiem – stwierdził tym razem – ale wszystko wskazuje na to, że mogą być kłopoty. W Rosji zaczęły się pogromy Żydów. Propaganda rosyjska oskarża ich o odpowiedzialność za zamach na cara Aleksandra II.

– To absurd – zdumiała się Celina. – W gazetach pisali przecież wyraźnie, że sprawcą był jakiś Białorusin.

– Zgadza się – przyznał Leopold. – Ale tuż przed nim pewna Żydówka, Hesia Helfman bodajże, podjęła się nieudanej próby.

Widać Moskalom to wystarczyło i wypowiedzieli Żydom otwartą wojnę. Wszystkie gazety trąbią, że to był żydowski spisek!

Celina postawiła przed bratem talerzyk z marcepanowymi ciasteczkami, które w sposób cudowny koily zazwyczaj jego zszarpane nerwy.

– Co to jednak ma z nami wspólnego, Leopoldzie? – spytała, nie bardzo rozumiejąc. – Polska przecież, odkąd tylko pamiętam, nazywana była rajem dla Żydów...

Leopold wyjął pospiesznie cygaro i zapalił je, mimo protestów gospodyni.

– To było dawno – stwierdził krótko. – Teraz jest inaczej.

Taka odpowiedź nie zadowoliła Celiny.

– Owszem, jest ich u nas dużo – zgodziła się. – Może nawet jest ich coraz więcej, ale...

– W tym właśnie rzecz – podchwycił. – W biznesie to się nazywa: konkurencja. Rzecz w tym, że im jest coraz lepiej, a my – schodzimy na psy! A skąd się biorą ci wszyscy wielcy bankierzy i bogaci przemysłowcy, jak myślisz, a? – wołał zdenerwowany. – Skąd się wziął taki Natanson i jego synowie? Toż to jeden z najbogatszych finansistów w Królestwie Polskim!

– *Mon cher* – westchnęła Celina z czarującym uśmiechem. – Widać, że przemawia przez ciebie gorycz. Zrzedzisz, doprawdy, jak stary nietoperz. A cóż przeszkadza tobie i twojemu synowi...

Leopold poderwał się z krzesła.

– Proszę, nie wspominaj mi tego wałkonია! – wykrzyknął. – Potrafi się tylko włóczyć po knajpach i pannom wiatr w głowach robić, nic więcej!

W tej samej chwili spostrzegł przy oknie Bolesię, zajęta wyszywaniem. Pohamował więc szybko gniew i skłonił się w jej stronę z szacunkiem.

– Proszę wybaczyć, panno Bolesławo, te przykre słowa – powiedział. – Bóg mi świadkiem, że kocham mego syna.

Celina zadowolona, że nastąpiła wreszcie zmiana tematu, zawołała radośnie:

– *Magnifique!* I na tym zakończmy mówienie o rzeczach przykrych. Bo czyż warto martwić się na zapas?

Niestety, jeszcze tego samego roku, w samo święto Bożego Narodzenia, doszło w stolicy do poważnego starcia z Żydami. Rzeczą zaczęła się w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Podczas Mszy Świętej, w której uczestniczyła także Bolesia z kuzynką Celiną, rozległ się nagle przeraźliwy krzyk:

– G o r e! G o r e!

Wiść o pożarze wywołała ogólne przerażenie. Ludzie ogarnięci paniką rzucili się natychmiast w stronę wyjścia. Zrobiło się takie zamieszanie, że podczas gwałtownych przepychanek doszło do stratowania dwudziestu osób, z których dwie zmarły. Zaraz potem okazało się, że alarm był fałszywy, a jego sprawca – Żyd kieszonkowiec – przyłapany w kościele na kradzieży, chciał jedynie w ten sposób odwrócić od siebie uwagę.

Bolesia zdążyła wraz ze swoją kuzynką dotrzeć szczęśliwie do domu, kiedy na Krakowskim Przedmieściu zaczęły się sypać w odwiecie szyby w żydowskich sklepach.

– *Mon Dieu!* Co za czasy! – westchnęła Celina, sięgając po flakonik z walerianą. – Takie nieszczęście! I to w święto Bożego Narodzenia!

Bolesia podeszła do okna.

W oddali słychać było głośne okrzyki i nawoływania. Okrzyki te wzmagaly się, rosły, stawały się coraz groźniejsze. Stała przy oknie i czuła jak z jej oczu, po policzkach, płyną łzy.

Każdy kolejny dzień przybliżał ją do tego upragnionego, w którym miała się spotkać z rodziną. Kiedy dzień ten nadszedł wreszcie, lato było w pełni, a na dworcu w Łowiczu czekał na nią ojciec. Dostrzegł ją już wcześniej w oknie pociągu, podszedł więc, by pomóc jej zejść na peron.

– Więc tak wygląda teraz moja córka – powiedział, nie kryjąc podziwu.

Uśmiechnęła się, szczęśliwa, i poprawiła dyskretnie włosy. Słowa ojca, wypowiedziane z dumą, sprawiły jej przyjemność, a jego siwiejące skronie wzruszyły ją niezmiernie. Szła, trzymając go pod ramię, i z niemalym zainteresowaniem odnotowywała zmiany, jakie zaszły w mieście. Na ulicach panował znacznie większy ruch, przybyło zakładów rzemieślniczych i sklepów.

– Tłoczno prawie jak w Warszawie – zażartowała.

Uwaga ta nie ucieszyła go wcale.

– Tam też tyle żydostwa? – zapytał głucho. – Przegnał ich car z Rosji, to teraz u nas ich pełno. Mówią, że już jedna trzecia Łowicza to Żydzi, jak tak dalej pójdzie...

– A co u pana Zelmiana? – wtrąciła, chcąc sprowadzić rozmowę na bardziej przyjazny grunt.

– U Zelmiana? – roześmiał się niespodziewanie. – Nie zgadniesz! Joachimek zrobił go niedawno dziadkiem!

– No coś takiego! – zawtórowała mu serdecznym śmiechem. – Nic nie wiedziałam! To dobra nowina – ucieszyła się. – Znaczący Joachimek żonaty?

– Rok minął jak się ożenił z Sarą Lipszman, taką jedną Żydówką z Glinek, ale... – zamilkł niespodziewanie.

– Coś z nimi nie tak? – zaniepokoiła się.

– Z nimi wszystko w porządku, tyle że do Ameryki chcą jechać. Tak jak pojechali już wcześniej starsi bracia Joachimka z rodzinami. Sara bardzo męża do tego namawia...

– Słyszałam, że i z Rosji wyjeżdżają tam masowo – wtrąciła. – To po tych pogromach, wie tatko...

– W Warszawie też, zdaje się, było gorąco – ożywił się.

– Oj gorąco, tatuśku, gorąco! Dwa dni trwały walki. Dopiero trzeciego interweniowała policja i żandarmeria. Jak już ofiary były i wielkie szkody... – urwała nagle. – Chcą jechać s a m i?! A pan Jakub? – zaniepokoiła się. – Zostanie tu, gdzie pochował żonę?

Ojciec milczał. Żal mu było starego.

Tymczasem Bolesia teraz dopiero zorientowała się, że ojciec prowadzi ją do domu jakąś inną drogą. Zwróciła mu na to uwagę, ale on uśmiechnął się tylko wymownie i podkręcił wąsa.

– Jeszcze chwila cierpliwości – powiedział. – To niespodzianka.

I rzeczywiście. Po przejściu kilkunastu kroków miała już tę niespodziankę przed sobą.

– Ależ, tatku! – zawołała, nie wierząc własnym oczom. – Tatko jest po prostu szalony!

Tabliczka z wygrawerowanym napisem: PRACOWNIA KRAWIEC-KA SIÓSTR LAMENT stwierdzała jednoznacznie, kto jest właścicielem mieszczącego się pod tym adresem zakładu. Szybko weszła do środka, a tam czekała już na nią – Stasia. Natychmiast padły sobie w objęcia, stęsknione i szczęśliwe.

Pracownia była nieduża, ale już prawie całkiem wyposażona.

– Chcę, żebyś to ty, jako starsza, odpowiadała za sprawy organizacyjne – odezwał się ojciec do Bolesi, zadowolony. – Rozejrzyj się dobrze. Jeśli stwierdzisz, że czegoś brakuje, mów śmiało, a jakoś to załatwimy.

Bolesia roześmiała się.

– Tatko mówi zupełnie tak, jakby miał w domu worki pełne złotych monet!

– Worków ze złotem nie mam – odparł skromnie. – Ale złote ręce, owszem! Wy też je macie. Jedną po matce, a drugą po mnie – dodał z dumą.

Tego dnia cała rodzina Lamentów zebrała się w domu przy stole.

Marysia, która miała już sześć lat, nie odstępowała Bolesi na krok. Tuliła się do niej jak kocię. Roczny Stefcio spoglądał nieśmiało z kolan matki. Łatek, mocno już wyleniały, leżał u jej stóp, dysząc ciężko. Jeden Antoś nie mógł usiedzieć i co chwila zrywał się z krzesła. Podbiegał do okna, to znów wyglądał z sieni na drogę, jakby kogoś wypatrywał. I faktycznie. Kiedy po jakimś czasie rozległo się przeciągłe gwizdnięcie, pędem wybiegł z domu.

Pani Łucja popatrzyła na Bolesię ze smutkiem.

– Ach, ten Antoś! – westchnęła zmartwiona. – Wieczny ambaras z tym chłopakiem. Ma już dziewięć lat, a uczyć się nie chce, szewcem zostać nie chce, całymi dniami bąki zbija. A do tego jeszcze szczególne sobie wymyślił zajęcie: ściąga na podwórko bezpańskie psy z całej okolicy.

– Znaczy, ma dobre serce – uśmiechnęła się Bolesia.

– A czy ty wiesz, jak on na te swoje przybłędy woła? „Moskał”! Czy muszę ci tłumaczyć, czym to się może skończyć? Ciągłe słychać: „Moskał, do nogi”, „Moskał, waruj”, „Moskał, daj głos”... Ojciec nieraz już sięgał po pas, żeby mu wybić z głowy ten proceder, ale on nawet pasa się nie boi! Martwię się, co z niego wyrośnie, jak tak dalej pójdzie.

Bolesia, którą historia z Antkowymi „moskałami” szczerze rozbawiła, przytuliła matkę i, chcąc ją jakoś udobruchać, powiedziała:

– Damy sobie z nim radę, mamó, zobaczysz. Nic się nie martw. Twarz matki rozpozodziła się.

– Bardzo nam ciebie brakowało – wyznała wzruszona. – Dobrze, że znowu jesteśmy razem.

Bolesia także cieszyła się z powrotu.

Tęskniła za znajomymi kątami, za rodzinną rozmową, za wspólną modlitwą przed posiłkiem. Ksiądz German miał rację, nazywa-

jąc rodzinę Lamentów – Rodziną Nazaretańską. Zarówno matka, jak i ojciec żyli wyłącznie dla swoich dzieci i życie to starali się uczynić świętym.

Jakub Zelman siedział na ławce przed domem, kiedy nazajutrz zdążyła w stronę rynku. On także ją spostrzegł. Przez malwy rosnące przy parkanie. I bardzo się jej widokiem ucieszył. Podeszła więc, by się przywitać i pochwalić dyplomem.

Skubał siwą brodę i słuchał tego, co mówiła, poruszony, zwłaszcza gdy starała się podkreślić jego zasługi.

– Panna Bolesia to ma serce dobre dla każdego – powiedział nagle, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Tak, tak. Ja to wiem. Ja to widzę. Panna Bolesia to musi mieć w niebie wielu możliwych przyjaciół.

Uśmiechnęła się, zaskoczona.

– Panu Jakubowi też ich nie brakuje – stwierdziła z przekonaniem. – Pan Jakub to i śpiewać z nimi pięknie potrafi, nieraz słyszałam.

Popatrzył na nią z jakąś szczególną czułością.

– Psalmi są po to, żeby je śpiewać – odparł z prostotą. – Bo wtedy cała nasza dusza śpiewa Najwyższemu. Cała dusza...

Dłuższą chwilę siedział nieruchomo z zamkniętymi powiekami. Chciała odejść, kiedy zapytał nieoczekiwanie:

– Panna Bolesia zna herb Łowicza?

– Oczywiście – odparła bez namysłu. – Na błękitnym polu dwa pelikany zwrócone do siebie grzbietami, a między nimi...

– Zielone drzewo życia – dokończył. – Według Księgi Rodzaju drzewo to rosło w samym środku rajskiego ogrodu Eden.

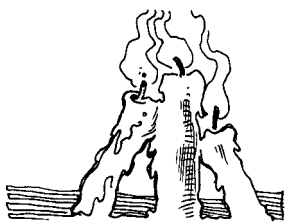
– Tak, wiem – wtrąciła. – W ogrodzie tym żyli Adam i Ewa. Pan Bóg stworzył ich z miłości, a oni odpowiedzieli niewdzięcznością.

– A pelikany? – zapytał. I nie czekając, wyjaśnił: – Pelikany, panno Bolesiu, są symbolem poświęcenia. Powiadają, że kiedy nastawał głód samica pelikana otwierała sobie pierś dziobem i karmiła pisklęta własną krwią.

Historia ta wzruszyła Bolesię głęboko.

– Tego nie wiedziałam – wyznała szczerze. – Pan Jakub to zna takie śliczne opowieści, że można by ich słuchać bez końca.

– Szkoda, że moje wnuki ich nie usłyszą – odparł z żalem. – Tam, w Ameryce, kto im takie historie opowie? A tu – i pelikany są, i drzewo życia, i... panna Bolesia – dodał z dobrotliwym uśmiechem. – To ja się pytam: czy może być piękniejszy Eden?



Dwie kule z wosku

O księdzu Antonim Chmielowskim, duszpasterzu kolegiaty łowickiej, dowiedziała się Bolesława od Stasi, która oczarowana jego kazaniami cytowała z pamięci najbardziej porywające fragmenty. Ten świątobliwy kapłan, absolwent akademii duchownych w Warszawie i Petersburgu, był autorem żywotów świętych i tłumaczem licznych dzieł teologicznych, był także gorliwym spowiednikiem i rekolekcjonistą. Rekolekcje prowadził w duchu ćwiczeń ignacjańskich, opierając się na naukach świętego Ignacego Loyoli oraz na ćwiczeniach duchowych polskiego jezuitę księdza Tomasza Młodzianowskiego, nad przekładem których z łaciny na język polski pracował już od jakiegoś czasu.

Każdy, kto znał księdza Antoniego, musiał przyznać, że jest on osobowością nieprzeciętną, toteż wszyscy mocno liczyli się z jego zdaniem. Nikomu nie przeszkadzał jego surowy wygląd ani ascetyczny tryb życia. Dla parafian był z reguły łagodny i wyrozumiały, tym jednak, którzy zdecydowali się poddać pod jego kierownictwo duchowe stawiał wysokie wymagania. Oczekiwał od nich przede wszystkim postępowania zgodnego z Ewangelią.

Bolesława przyrzekła sobie, że poprosi księdza Chmielowskiego o spowiedź, skoro tylko uporządkuje sprawy związane z zakładem krawieckim, ale spraw tych, jak na złość, ciągle przybywało. Zaczęły się też sypać zamówienia, gdyż wśród przyjaciół i znajomych szyb-

ko rozniosła się wiadomość o pracowni krawieckiej sióstr Lament. Wreszcie przed urodzinami, które obchodziła 3 lipca, udało jej się w końcu zrealizować to ciche, a tak ważne dla życia wewnętrznego pragnienie serca.

Spowiedź, która przerodziła się w dłuższą poufną rozmowę, wywarła na Bolesławie niezatarte wrażenie i dała jej dużo do myślenia. Jeszcze większe wrażenie wywarły na niej odprawione niedługo potem ośmiodniowe rekolekcje. Dały one tym razem dużo do myślenia również księdzu Antoniemu, który oświecony światłem z nieba odgadł bez trudu, że ma do czynienia z duszą wybraną i przez Boga szczególnie umiłowaną. Z duszą, która wymaga kierownictwa duchowego.

Zaproponował to kierownictwo Bolesławie, na co ona przystała z wdzięcznością, choć z początku nie bardzo wiedziała, na czym ma ono właściwie polegać. Dopiero kiedy poczuła oparcie w mądrym i doświadczonego kapłanie, doceniła w pełni ten Boży dar i odważnie weszła na drogę świętości. Nie tylko na nią weszła, ale się nią od pierwszej chwili zachwyciła. Nie miała bowiem wątpliwości, że jest to droga, której zawsze gorąco pragnęła.

Któregoś dnia powiedziała do Stasi:

– Pan Bóg podarował mi w tym roku na urodziny niezwykły prezent. Prezent, którym mnie zaskoczył i uszczęśliwił.

I rzeczywiście czuła się szczęśliwa. Był obok niej nareszcie ktoś, kto potrafił wszystko, co się w niej dzieje, nazwać, objaśnić i oświecić Bożym światłem. Jej życie nabrało głębszego sensu, a serce nappełniła nieznana dotąd radość.

– Stasiu kochana – opowiadała innym razem. – Pomyśl tylko, jak piękne jest to porównanie świętego Jana Vianney’a: wola człowieka i wola Boga stopione ze sobą jak dwie kule wosku. Czy może być coś wspanialszego, niż rozpuścić się w wiecznej miłości dobrego Boga?

Czuła się szczęśliwa także dlatego, że miała siostrę, z którą mogła dzielić się swoimi przemyśleniami. A przemyśleń miała coraz więcej, gdyż w jej życiu nastąpił prawdziwy przewrót. Odnosiła wrażenie, że tak jak przed wiekami Pan Bóg wyprowadził Izraelitów z Egiptu, tak teraz ją wyprowadza z niewiedzy o sobie. Wyprowadza na swoje zielone pastwiska. Był to więc dla Bolesławy czas wyjątkowy, czas wielkich odkryć.

– Ukochać wolę Bożą... – powiedziała pewnego dnia do siostry. – Tyle razy myślałam o niej, ale teraz dopiero wiem jak bardzo powinnam ją kochać. Stasiu najmilsza, przecież to – najprostsza droga do świętości!

Stasia, choć mniej wylewna od siostry, miała podobne odczucia. Ona także pragnęła żyć wyłącznie sprawami ducha. Nic więc dziwnego, że zarówno w domu, jak i w pracowni krawieckiej coraz częściej można było usłyszeć ignacjańskie zawołanie:

– Wszystko na większą chwałę Bożą!

Siostry Lament były młode i atrakcyjne. Nie unikały towarzystwa, a jednak to ich obcowanie z innymi ludźmi było odmienne od tego, jakie proponował świat. Było po prostu na wskroś chrześcijańskie. Nosiły skromne suknie i stroniły od próżnych rozrywek, regularnie chodziły do kościoła i gorliwie oddawały się modlitwie. Do wszystkich odnosiły się życzliwie, a ofiarnością okazywaną ubogim budziły powszechny szacunek. Jeśli zwracano na nie jakąś szczególną uwagę, to chyba dlatego, że obie były w wieku stosownym do zamążpójścia. Niejedna zaprzyjaźniona z Lamentami rodzina zainteresowana była tym, by ożenić swego syna z jedną z panien, o których zaletach charakteru i godnej podziwu przedsiębiorczości ćwierkały w Łowiczu wszystkie wróble.

Ci, którzy zaglądali do pracowni, nieraz zastawali Bolesławę zanurzoną we własnych myślach, jakby nieobecną. Jednak w rozmowie zawsze była pogodna, a spod jej ręki wychodziły kreacje, które potrafiły zadowolić nawet najbardziej wybredne elegantki. Chwalono jej gust i nowatorskie wyczucie, a grono stałych klientek nieustannie się powiększało.

Marcin Lament był dumny z córek. Mijał rok odkąd się usamodzielnili i wszystko wskazywało na to, że zakład i jego właścicielki czeka wspaniała przyszłość. Sukces zakładu był niewątpliwą zasługą Bolesławy. Wielu osobników płci męskiej uważających się za ekspertów w sprawach biznesu, chyliło czoło w szczerym zdumieniu przed jej zmysłem praktycznym i zdolnościami organizacyjnymi.

Sierpień roku 1883 mienił się barwami narodowymi białych i czerwonych róż. Wszyscy z utęsknieniem czekali na święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Czekwały na ten dzień także siostry Lament. Tego bowiem dnia, po osiemnastu latach, miał przybyć do Łowicza biskup, by nazajutrz udzielić wiernym Sakramentu Bierzmowania. By udzielić go również Bolesławie i Stasi. Musiało upłynąć aż osiemnaście lat, aby władze carskie wydały w końcu odpowiednie zezwolenie i Archidiecezja Warszawska odzyskała na nowo urząd biskupi. Przeszło sześć tysięcy wiernych przygotowywało się na tę chwilę, oblegając okoliczne konfesjonały.

Byli tacy, którzy na widok wjeżdżającego do miasta arcybiskupa Wincentego Chościak-Popiela płakali ze szczęścia. I tacy, którzy żalowali, że tym arcybiskupem nie jest Zygmunt Szczęsny Feliński. Wrócił on już wprawdzie z dwudziestoletniego wygnania, lecz władze carskie zabroniły mu wstępu na teren Królestwa Polskiego i musiał osiedlić się w Galicji. Fakt ten komentowano z oburzeniem, wskazując na godność i święte życie arcybiskupa. Również

Bolesławę przejął mocno los tego niezłomnego człowieka. Podziwiała go przede wszystkim za niezachwianą wolę trwania przy krzyżu.

– Chciałabym umieć trwać tak jak on – powiedziała do Stasi. – O to będę prosić dziś Ducha Świętego...

Sakrament Bierzmowania pobudził do aktywności apostołskiej obie siostry, lecz Bolesławie przypadł w udziale jeszcze jeden szczególny dar: wrażliwość na dzieci zaniedbane moralnie. Ich bieda stała się nagle jej biedą. Dzielili z nimi od tej chwili zarobiony grosz, reperowała ich podarte ubrania, albo szyła nowe z resztek materiałów pozostawionych przez klientki.

Zdarzało się, że gdy ścisnął mróz, odważniejsze stukały do drzwi i pytały:

– Psze pani, czy możemy się trochę ogrzać?

A potem wpadały rozkrzyczaną gromadą, niczym stado wróbli. Jednak któregoś zimowego dnia wpadł do pracowni niespodziewanie – Antoś. Utyłany jak nieboskie stworzenie.

Stasia na jego widok okropnie się wystraszyła. Była zima, a on był kompletnie przemoczony i trząsał się jak w febrze.

– Antosiu! Coś ty znowu zrobił?! – zawołała przerażona.

Bolesława także się przerażyła, lecz w przeciwieństwie do siostry nie dała tego po sobie poznać. Wstała spokojnie od maszyny do szycia i zapytała:

– Kąpałeś się w rzece? Świetny pomysł, gratuluję!

– Łód się zarwał! – wykrzyknął, dygocząc z zimna. – Skąd mogłem wiedzieć, że akurat w tym miejscu jest taki cienki!

– A teraz, co? Mamy cię przebrać w suche ubranko, żebyś się znowu wyprawił nad Bzurę? I może jeszcze zachować wszystko w tajemnicy przed rodzicami? – pytała z niewzruszonym spokojem.



Spojrzał na nią spode łba wzrokiem winowajcy.

– Owszem, możemy się na to zgodzić – stwierdziła. – Ale pod kilkoma warunkami. Po pierwsze: koniec z „moskalami”, po drugie: koniec z kręctwem, a po trzecie: zabieramy się od jutra do nauki!

Antoś przyjął warunki bez szemrania, wobec czego Bolesława kazała mu zdjąć ubranie, owinąć się kocem i siąść przy piecu. A kiedy ubranie już wyschło, wysłała go natychmiast do domu. Jednak w głębi serca bardzo martwiła się, czy ta nieszczęsna kąpiel nie odbije się tragicznie na jego zdrowiu. Kupiła więc w aptece pana Oleńskiego specjalną maść i natarła go porządnie na noc. W efekcie jej siostrzanych starań Antoś obudził się nazajutrz nie tylko wesolutki jak skowronek, ale i bez odrobiny kataru. Tylko rodzice nie mogli się nadziwić, co to się stało, że sprzed domu znikły nagle wszystkie bezpańskie psy, a ich swawolny syn nabrał nieoczekiwanie ochoty do nauki.

Czasem odwiedzały Bolesławę w pracowni jej dawne koleżanki. Emilka, która wyszła za mąż w karnawale, i Anka, która zaczęła grywać drobne role w amatorskim teatrze.

Wczesną wiosną 1884 roku zajrzała do pracowni również pani Oleńska, aby zamówić suknię na ślub syna.

– To Janek się jeszcze nie ożenił? – zdziwiła się Bolesława. – Myślałam, że...

– Janek jest rozsądnym chłopcem – przerwała jej pani Oleńska. – Postanowił poczekać z tym do czasu, aż skończy studia.

– Zatem... skończył farmację? – ucieszyła się.

– I to jako jeden z najlepszych – oznajmiła z dumą pocziwa aptekarzowa.

O Jadwisi wolała nie wspominać.

Po mieście krążyły już od pewnego czasu plotki, że córka państwa Oleńskich, będąc śmiertelnie zakochana, porzuciła rodzinny dom i uciekła do Lwowa z jakimś młodym malarzem. Czy istotnie była we Lwowie, i czy była szczęśliwa, nikt nie wiedział.

Kiedy wkrótce po Wielkanocy ksiądz Antoni Chmielowski zapytał Bolesławę, czy nie zastanawiała się nigdy nad życiem zakonnym, ta stwierdziła, że musi chyba czytać w jej myślach. Pragnienie takie odzywało się w jej sercu wiele razy, zwłaszcza podczas pobytu w Warszawie, przypominało ono jednak raczej jakieś senne marzenie. Tak dalece nie wyobrażała sobie jego realizacji. Niewiele też wiedziała o życiu zakonnym. Znacznie częściej mówiło się o zamknięciu klasztorów, aniżeli o przyjmowaniu do nich nowych kandydatek, a nakazy cara Aleksandra III sytuację tę jeszcze bardziej zaostrzyły.

Pytanie księdza Antoniego, tak zupełnie nieoczekiwane, poruszyło nagle czułą strunę serca Bolesławy do tego stopnia, że zaczęło ono bić mocniej i goręcej. Ogromnie pragnęła znaleźć się w gronie kobiet żyjących wyłącznie dla Chrystusa, porzucić dla Niego wszystko.

Zawołała więc bez namysłu:

– Ależ pragnę takiego życia! Pragnę z całej duszy, tylko... czy to możliwe?

Ksiądz Antoni spojrzał na nią badawczym wzrokiem. Na jej skromnie zaczesane włosy, suknię spiętą pod szyją gustowną broszką, oczy roziskrzone przedsmakiem radości. Miał przed sobą młodą, ładną kobietę, która, jak wszystko na to wskazywało, wcale nie chciała korzystać z atrybutów swojej atrakcyjności. Która gotowa była tę swoją atrakcyjność i talenty ofiarować Bogu natychmiast i bez reszty.

– Pytasz, czy to możliwe? – powtórzył. – O to się nie martw. Ale też nie wspominaj o tym na razie nikomu. Potrzebna jest wielka ostrożność, by rzecz całą pomyślnie przeprowadzić. Mam na myśli siostry Rodziny Maryi.

Bolesława miała uczucie, że oto otwierają się przed nią bramy nieba. Chłonęła każde słowo księdza Antoniego, a on mówił nie o jakiejś mglistej perspektywie, ale o czymś bardzo konkretnym.

– To wspólnota zakonna, którą założył ksiądz Zygmunt Szczęsny Feliński jeszcze w Sankt Petersburgu, a sprowadził do Warszawy, kiedy został arcybiskupem i metropolitą warszawskim. Sprowadził i zaraz potem – osierocił. Po jego zesłaniu na Sybir siostry same musiały troszczyć się o to piękne dzieło. Robiły to przez dwadzieścia lat i robią nadal. Wyciągają dzieci z nędzy, ratują dziewczęta przed demoralizacją, a swój zakonny charyzmat ukrywają pod szyldem dobroczynności, nosząc na co dzień świeckie ubrania. To dzielne i odważne niewiasty. Nie tak jak niektóre kapryśne panie z towarzystwa, które zajmują się ubogimi jedynie od czasu do czasu, czyniąc przy tym dużo szumu. One, widzisz, wyszukują tych biedaków i otaczają ich prawdziwie rodzinną atmosferą. Jest też coś, co może zainteresuje cię szczególnie – zwrócił się do Bolesławy z zagadkowym uśmiechem. – Prowadzą szkołę elementarną i... szwalnię.

Odpowiedziała uśmiechem. Była w tej chwili zanadto wzruszona, by zdobyć się na jakieś sensowne słowa.

– Zastanów się nad tym spokojnie – powiedział na pożegnanie. – Najlepiej w obecności Ducha Świętego. Ja też będę Go prosił w twoim imieniu. Znam matkę przełożoną i jej ostrożność w przyjmowaniu kandydatek, ale zapewniam cię, że w razie czego możesz liczyć na moją protekcję.

Niedługo po tym spotkaniu ksiądz Antoni przeprowadził podobną rozmowę ze Stasią.

Już od dawna był przekonany o jej powołaniu do życia zakonnego. Jeśli nie mówił z nią o tym wcześniej to tylko dlatego, że widział jak bardzo potrzebna jest matce w gospodarstwie. Teraz Antoś miał już jedenaście lat, Marysia dziewięć. Bez problemu mogli zająć się małym Stefkim i pomagać rodzicom, one zaś – Stasia i Bolesława – mogły rozpocząć życie, do którego Pan Bóg od dawna już je przygotowywał.

Drzewa pokryły się świeżą zielenią, pachniał bez, a w ogrodach kwitły narcyzy i tulipany. Nad tym wszystkim unosiły się barwne motyle, słowiki wyśpiewywały rzewne melodie. Przebudzony po długiej zimie świat piękniał z każdym dniem. Bolesława patrzyła na te Boże cuda, patrzyła na cud własnego powołania, które jak te kwiaty rozkwitło nagle po długiej zimie i nie mogła uwierzyć. „Byłoby to więc aż takie proste? – myślała. – Opuścić dom, matkę, ojca, rodzeństwo, tę ziemię ukochaną, i iść w nieznaną na twarde życie, na ciężko zapracowany chleb?”. I czuła, jak serce podpowiada jej: „Tak, tak! To jest proste! Jest proste z Bogiem, bo On jeden wystarczy za wszystko!”.

Dzieliła się tą radością ze Stasią, która podobnie jak ona nie posiadała się ze szczęścia. Pozostawała już tylko jedna niepewność: czy zostaną przyjęte? Czy ich radość nie jest przedwczesna. Tłumiły zatem zbyt gwałtowne porwy serca pokorną modlitwą i narażały się, jak powiedzieć o tym rodzicom. W końcu, aby nie narażać ich na niepotrzebne emocje, gdyby rzecz okazała się z jakichś względów niemożliwą do przeprowadzenia, postanowiły nie mówić im na razie o niczym. Uznały, że rozsądniej będzie, jeśli wyjadą pod pretekstem przeniesienia pracowni krawieckiej do Warszawy, o czym zresztą już wielokrotnie wspominały, a dopiero potem, kiedy zostaną przyjęte do zakonu, poinformują ich o swojej decyzji.

Zamysł ten, w istocie swej wielce litościwy i pochodzący jak by nie było z Bożego natchnienia, kosztował je mimo wszystko sporo wewnętrzznego zaparcia.

Pani Katarzyna Pomorska, matka chrzestna Bolesława, za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego dziewczęta zamierzają przenieść pracownię do stolicy.

– Przecież nikt was tam nie zna – perswadowała. – I w dodatku ta szalona konkurencja! Tymczasem tu, w Łowiczu, macie już wyrobioną markę, stałą klientelę i, jak miemam, niemałe apanaże!

Słowo „apanaż”, brzmiące z francuska, a oznaczające dochody, pani Katarzyna powtarzała w czasie tej rozmowy kilkakrotnie, jak by wierzyła, że ma ono jakąś niezwykłą moc.

– Liczymy się z trudnościami, to prawda – przyznała Bolesława. – Zwłaszcza na początku. Gdyby jednak nasz plan się nie powiódł, zawsze możemy szyć dla Hersego...

– Dla Hersego? – chętnie podchwyciła pani Katarzyna. – Nooo, jeśli miałybyście szyć dla Hersego, to całkiem inna sprawa. Może przy tej okazji same zaczęłybyście się lepiej ubierać. Ładne z was panny, a wyglądacie jak zakonnice. Taaak, to może być całkiem dobry interes – stwierdziła uspokojona.

– I niemałe apanaże – dodała Bolesława z pogodnym uśmiechem. Rodzice również dali się w końcu przekonać.

Ojciec nie chciał bowiem w pierwszej chwili nawet słyszeć o wyjeździe córek. Ich pomysł burzył jego plany. Stał się zrzędlivy, stracił apetyt, do domu wracał późno. Zgodził się na ich wyjazd dopiero wówczas, gdy obiecały nie likwidować łowickiej pracowni, lecz umieścić na jej drzwiach wywieszkę z napisem „Zamknięte do odwołania”. W głębi duszy żywił nadzieję, że wrócą po miesiącu i wszystko będzie tak jak do tej pory, a zainwestowany kapitał nie zostanie zaprzepaszczony.

Matka patrzyła na swoje dorosłe córki z wyraźnym niepokojem. Bolesława miała już prawie dwadzieścia dwa lata, Stasia dwadzieścia. Myśląc o ich przyszłości, widziała je zawsze w roli przykładowych żon i matek. „Czy tam, w Warszawie, uda im się znaleźć odpowiednich kandydatów na mężów? – martwiła się po nocach. – W tej Warszawie tak zepsutej, gdzie roi się od lekkoduchów...”

– Napiszcie przynajmniej, jak tylko się tam urządzicie – prosiła przy pożegnaniu. – Chociaż kilka słów...

Mimo swoich czterdziestu trzech lat nadal była piękną kobietą. Patrząc w jej twarz, szlachetną i pełną dobroci, można było pomyśleć, że wiodła życie usłane różami.

Oboje, matka i ojciec, długo jeszcze stali na peronie wpatrując się w odjeżdżający pociąg. Przy nich, równie zasmuceni, stali: Antoś, Marysia i Stefcio. Stali nie przeczuwając, że w tej właśnie chwili także i w ich życiu dokonuje się wielka zmiana.



Dom Rodziny Maryi

Jadąc pociągiem, siostry Lament miały wiejskie chaty udekorowane pięknie zielonymi gałązkami tataraku, brzozy i leszczyny oraz przystrojone kwiatami krzyże i przydrożne kapliczki. Skąpane w późnoczerwcowym słońcu krajobrazy uśmiechały się do nich swojsko, napelniając serca nadzieją.

Jednak Warszawa, jaką Bolesława zobaczyła tym razem, bardzo różniła się od tamtej, którą zachowała w pamięci. I wcale nie dlatego, że – jak informował z dumą poczciwy dorożkarz – na ulicach pojawiły się pierwsze elektryczne latarnie. Uwagę jej zwróciły niepokojące, nasmarowane pospiesznie na murach kamienic i ogrodzeniach napisy wzywające do walki i zdarte częściowo groźne odezwę partii „Proletariat”.

– Rewolucji im się zachciewa, paniedziejku – skomentował ten fakt dorożkarz z wyraźną dezaprobatą. – Nadzieja w Bogu, że do tego nie dopuści.

Dorożka wjeżdżała w ulicę Żelazną, kiedy obejrzał się za siebie, by raz jeszcze rzucić okiem na pasażerki.

– Panienki do sierocińca zapewne w odwiedziny – zagadnął. – Bo chyba nie do pracy? Ładny tam mają dzieciaczkę pałacyk, oj ładny. Wojciech Bogusławski go sobie postawił, ten co to nam teatr wysztyftował narodowy, jak się patrzy, ale tak się biedaczysko przez to zadłużył, że go, paniedziejku, zaraz i sprzedać musiał. Znaczy,

ten pałacyk musiał sprzedać. Młody byłem, ale to pamiętam, że go z całą posesją arcybiskup Feliliński na nazwisko swego brata Juliana zakupił, a zaraz potem sierociniec w nim urządzili obaj i szkołę. Miał ci ten arcybiskup serce dobre i myślenie jak trzeba, to go car zesłał na długie lata do Jarosławia nad Wołgę... Taki kawał życia! Prrr!... – wykrzyknął nagle ściągając lejce. – A tośmy i na miejscu. Żelazna 97, jak sobie panienki życzyły.

Przyjął zapłatę, a na odchodnym raz jeszcze powtórzył:

– W odwiedziny, bo chyba nie do pracy...

Budynek był okazały i rozległy. Przed nim, skąpana w kwiatach, stała biała figura Matki Bożej Niepokalanej. Ona pierwsza powitała zatem siostry, sprawiając im tym powitaniem szczególną radość.

Bolesława pociągnęła śmiało za metalową rączkę zamocowaną przy drzwiach wejściowych. Rozległ się miły dźwięk dzwonka i już po chwili pojawiła się młoda dziewczyna w ciemnej sukni, z wesołymi rumieńcami na twarzy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odezwała się Bolesława. – Przyjechałyśmy z Łowicza do matki przełożonej.

– Do... matki przełożonej? – powtórzyła tamta, bacznie obserwując nieznaną.

– Do pani Florentyny Dymman – poprawiła się szybko Bolesława. – Z listem polecającym od księdza Chmielowskiego.

Dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie.

– W takim razie zapraszam – powiedziała, otwierając szeroko drzwi.

Matka Florentyna Dymman wychodziła akurat z kaplicy, kiedy Bolesława ze Stasią przystanęły na korytarzu. Słyszając, że są zapowiadane przez księdza Antoniego Chmielowskiego kandydatkami, wprowadziła je do swego gabinetu, po czym z uwagą zaczęła czytać list, który przywiozły ze sobą.

Jej twarz, poważna i pełna skupienia, pozbawiona była emocji. Była to twarz kobiety, która miała już za sobą wiele bolesnych doświadczeń, a w życiu zakonnym musiała zmierzyć się z niejednym trudnym wyzwaniem. To ona – na prośbę arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego – opuściła przed dwudziestoma dwoma laty Sankt Petersburg z kilkoma siostrami, by założyć w Warszawie filię domu zakonnego Sióstr Rodziny Maryi. Miała wówczas trzydzieści parę lat i mnóstwo zapału. W krótkim czasie zorganizowała szkołę elementarną i sierociniec, otworzyła szwalnię oraz pracownię szat liturgicznych. Dzieło, choć prowadzone w ukryciu, rozwijało się doskonale. Nadszedł jednak trudny czas. Po upadku powstania styczniowego i zesłaniu arcybiskupa Felińskiego do Jarosławia nad Wołgą, troska o dom warszawski i zakłady w Sankt Petersburgu spoczęła nagle wyłącznie na jej głowie. Ciężka to była próba, a przecież nie ulękła się. Zawierzyła całe dzieło Bożej Opatrzności i po jakimś czasie, mimo rosnącego zagrożenia ze strony władz carskich, udało jej się otworzyć dwa kolejne domy zakonne.

Bolesława przyglądała się matce Florentynie z wyraźnym upodobaniem. Cała jej postać, a szczególnie regularne rysy twarzy, łagodne spojrzenie i upięte gustownie jasne włosy tchnęły jakimś niepowtarzalnym urokiem.

Matka Dymman złożyła w pewnej chwili list i ogarnęła przybyłe życzliwym spojrzeniem.

– Charyzmatem naszej wspólnoty – zaczęła, przechodząc od razu do rzeczy – jest, mówiąc najkrócej: szerzenie chwały Bożej, praca nad własnym udoskonaleniem i służba bliźnim. Więcej powiemy sobie o tym innym razem. Teraz mamy – stan alarmowy. Spieszymy z pomocą powodzianom. Woda wprawdzie już znacznie opadła, ale straty są ogromne. Nie wiem, czy jesteście zorientowane, ale Wisła zalała Saską Kępę, Park Wilanowski, Praski i całą

ulicę Targową. Jeszcze kilka dni temu statki parowe dopływały do ludzi odciętych od świata aż na Gocław. My tu, na Woli, nie ucierpialiśmy na szczęście, ale tam... Wiele osób utraciło całe swoje mienie, było też sporo ofiar. Cały czas modlimy się w ich intencji i przygarniamy osierocone dzieci.

Przerwała na chwilę, by na nowo zebrać myśli.

– Cieszę się z waszego przyjazdu – wyznała z uśmiechem. – Każde gorące serce i każda para rąk znaczą bardzo dużo w Bożej winnicy, a wasze ręce i serca, z tego co wyczytałam, stać na wiele.

Po tym powitaniu, które Bolesławie wydało się ucztą istic niebiańską, siostry udały się najpierw do kaplicy na modlitwę, a następnie do izby, w której, oddzielone białymi parawanami, urządzone były posłania dla *postulantek*. Tam zostawiły swoje bagaże i przeszły do *refektarza* na posiłek.

Życie zakonne według rad ewangelicznych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa rozpoczęła Bolesława w Domu Rodziny Maryi z wielką radością. Miała jedno tylko pragnienie: aby radość ta trwała już zawsze.

„Na zawsze... Na zawsze... – powtarzała w duchu, obejmując zachwyconym wzrokiem surowość klasztornych wnętrz i przedmiotów codziennego użytku. – Na zawsze”... – myślała, stojąc przy stacjach Drogi Krzyżowej i klęcząc przed Jezusem ukrytym w Najświętszym Sakramencie.

Rodzice przyjęli wiadomość o wstąpieniu obu córek do klasztoru jako wolę Bożą. Tak przynajmniej donosiła matka. Pismem starannym, równiutko stawianymi literami. To, ile łez polało się w domu przy tej okazji, przemilczała, żeby nie sprawiać im bólu. Zresztą te łzy, tak gorzkie z początku, po rozmowie z księdzem Antonim Chmielowskim przynosiły im już tylko ulgę. Uprzytomnili

sobie bowiem, jak wielka łaska spotkała ich rodzinę, z której to łaski cieszyć się powinni wyłącznie zamiast smucić. Cieszyli się więc na swój sposób, a nawet przyjechali pod koniec wakacji do Warszawy, żeby się na miejscu we wszystkim rozejrzeć. A gdy już się rozejrzeli, zapisali Marysię do szkoły prowadzonej przez siostry.

Marysia była niezmiernie dumna ze swoich sióstr, które w tym czasie rozpoczęły już pierwszy etap życia zakonnego, zwany *postulatem*. Widywała się jednak z nimi rzadko. Dużo rzadziej, niż tego pragnęła. Bo chociaż szkoła mieściła się również przy ulicy Żelaznej, każda z nich miała mnóstwo własnych, całkiem odmiennych zajęć i obowiązków.

Drugą ważną osobą, z którą zetknęła się Bolesława w klasztorze była siostra mistrzyni. Zajmowała się ona formacją sióstr. W postulacie formacja ta odnosiła się niemal wyłącznie do tego, co zewnętrzne. Mistrzyni instruowała dziewczęta, jak powinny zachowywać się w różnych sytuacjach i jak mają się zwracać do przełożonych i innych sióstr. Zaznajamiała je z terenem i wprowadzała w rozmaite prace. Przygotowywała je także do odmawiania wspólnych modlitw, zwłaszcza odprawianego przez wszystkie siostry uroczystego Oficjum, będącego modlitwą brewiarzową Kościoła, a o którym mówiono, że jest modlitwą Aniołów. Sprawy natury duchowej siostry rozwiązywały w konfesjonale bądź podczas okresowych rozmów z przełożoną.

W czasie krótkiego postulatu, a następnie *nowicjatu* obie siostry Lament wykonywały różne czynności, w zależności od potrzeb. Dopiero po złożeniu ślubów czasowych powierzono im bardziej odpowiedzialne zajęcia. Stasię, która przyjęła imię zakonne Leonarda, skierowano do szwalni. Bolesławę, która pozostała przy swoim imieniu, do szkoły w charakterze nauczycielki oraz instruktorki krawiectwa w kilku placówkach.

Oprócz szkoły dla dziewcząt przy ulicy Żelaznej, do której chodziła Marysia, siostry prowadziły również szkołę przy ulicy Hożej. Zdarzało się, że i tam udawała się siostra Bolesława na zajęcia. Pieszko, gdyż tak nakazywał duch ubóstwa. Drogą najkrótszą, by nie marnować czasu. Chcąc zaś uniknąć pokus na widok mijanych ludzi czy wystaw sklepowych, odmawiała w drodze Różaniec. Szła wtedy krokiem pewnym, a tak była skupiona, że zdawała się nie zauważać nawet trzepotu gołębic skrzydeł nad głową.

Była wiosna 1886 roku, a ona, tak właśnie rozmodlona, zbliżała się do ulicy Hożej, gdy nagle usłyszała z naprzeciwka roześmiany głos.

– Bolesia!...

Podniosła wzrok.

Nie mogła uwierzyć. Przed nią stał – Kazik. Rozpromieniony, w sutannie, z uśmiechem od ucha do ucha.

– Że ja tu jestem, to nie dziwota – odezwał się. – Ale ty? Mów prędko, co robisz w Warszawie?

Podzieliła się z nim swoją radością.

Teraz on nie mógł uwierzyć.

– A ja posługuję od niedawna w Częstochowie, wyobraź sobie – opowiadał ożywiony. – Do Warszawy przyjechałem tylko na jeden dzień i właśnie pędzę na pociąg. Takie spotkanie, no popatrz! – cieszył się. – Gdybym wiedział...

Nagle sięgnął do kieszeni sutanny.

– Weź chociaż to – poprosił.

– Co to jest? – zdziwiła się, przyjmując z jego rąk małą książeczkę.

– „O naśladowaniu Chrystusa”. Nie słyszałaś? Napisał ją Tomasz á Kempis, a święty Ignacy Loyola tak był w niej rozmiłowany,

że czytał ją dwa razy dziennie. Przyjmij, proszę i... pomódl się za mnie czasem, siostrzyczko!

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Wszystko na większą chwałą Bożą – odparła z zapałem.

Jeszcze tego samego roku siostra Bolesława wyjechała na polecenie przełożonej do Iłkukszy, niewielkiej miejscowości w Kurlandii, która to kraina od czasu pierwszego rozbioru Polski, a więc od stu czterdziestu lat znajdowała się w granicach Imperium Rosyjskiego. Tereny wcześniej germanizowane, poddawane były teraz bezwzględnej rusyfikacji. Cierpiały na tym bardzo polskie rodziny, którym przyszło żyć w tamtych stronach.

Siostry Rodziny Maryi pracowały w Iłkukszcie w szpitalu i przy parafii, a jako panie z towarzystwa dobroczynności prowadziły także sierociniec i dwie szkoły elementarne. Uczyły dzieci religii, pisanie i czytania w języku ojczystym oraz rachunków, a dzieci nazywały je paniami albo ciociami.

Ciekawa to była szkoła. Jesienią i zimą dzieci przebywały w niej chętnie od rana do wieczora i pilnie przykładały się do nauki. W pomieszczeniach było ciepło, a siostry miały dla nich zawsze smaczny posiłek. Kiedy jednak lód topniał i nadchodziła wiosna, dzieciaki natychmiast zapomniały o nauce i biegly pomagać rodzicom w gospodarstwie. Latem przychodziły już wyłącznie te, które przygotowywały się do Pierwszej Komunii Świętej.

Była też spora grupa dziewcząt w wieku od dziewięciu do dwunastu lat, które mieszkaly w sierocińcu na stałe. Miały one oprócz zwykłych lekcji także zajęcia dodatkowe – uczyły się rozmaitych prac ręcznych i zgłębiały tajniki gospodarstwa domowego.

Do takiej właśnie grupy dziewcząt trafiła siostra Bolesława zaraz po przyjeździe do Iłkukszy. Natychmiast też, jako ta „nowa”,

poddana została ostrej krytyce, w której celowały zwłaszcza starsze, mniej zdyscyplinowane panienki.

Wiedząc, że jest obserwowana, starała się być miłą szczególnie w stosunku do tych, których docinki i kąśliwe uwagi były najbardziej przykre. „Krytyka, rzecz normalna – mówiła sobie. – Ważne, żeby te krytyczne obserwacje miały chwalebny finał”. Ucieszyła się więc, kiedy któregoś razu, gdy modliła się w kaplicy, ujrzała nagle obok siebie najpierw jedną klęczącą panienkę, potem drugą, a wreszcie – całą niesforną trzódkę.

Bo też była siostra Bolesława wyjątkową wychowawczynią dziewczęcych serc. W krótkim czasie potrafiła rozbudzić w nich pobożność, sumienność i umiłowanie porządku. A pociągając do wyższych celów, wpajała im niepostrzeżenie zapał do robienia wszystkiego z myślą o Bogu. Dziewczęta prześcigały się już niebawem nie tylko w gorliwym wypełnianiu obowiązków, ale i w świadczeniu sobie uprzejmości. Odkryły też z niemałym zdziwieniem, że nawet przykre i całkiem prozaiczne zajęcia mogą zyskać na atrakcyjności, jeśli tylko wykonuje się je z myślą o miłującym Ojcu w niebie.

Niestety, rok później władze carskie nakazały siostrom zamknąć prowadzone przez nie placówki, a im samym – opuścić Iłkuksztę.

Siostra Bolesława wracała do Warszawy spragniona ciszy i spokoju. W kaplicy klasztornej starała się być zawsze pierwsza, by jeszcze przed wspólnym Oficjum mieć czas na rozmyślanie Męki Pańskiej przy stacjach Drogi Krzyżowej. Często można ją było także zastać adorującą Pana Jezusa obecnego w tabernakulum. Praktykując cnoty Najświętszej Maryi Panny, czyniła to w cichości, stając się z czasem przykładem dla innych sióstr.

„Im kto biedniejszy, im bardziej opuszczony, tym bliższy sercu waszemu być powinien, bo taki Sercu Maryi jest najbliższym” –

powtarzała za matką Florentyną udając się, zgodnie z jej poleceniem, na kolejne placówki. Mijały lata, a ona miała już za sobą pobyt w Sankt Petersburgu na dalekiej północy i w Odessie nad Morzem Czarnym.

To właśnie przed wyjazdem do Odessy zauważyła nagle pewne niepokojące zmiany, jakie zaszły w warszawskiej wspólnoty. Pytała o nie kilkakrotnie siostrę Leonardę, swoją ukochaną Stasię, ale ta milkła za każdym razem albo w inny sposób uchylała się od udzielenia jednoznacznej odpowiedzi.

– Coś się chyba popsulo między naszą Matką a Ojcem Założycielem – wyznała w końcu, mając na myśli arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. – Od pewnego czasu całkiem przestała się z nim kontaktować. Podobno poszło o tę regułę zakonną, którą wydrukował właśnie we Lwowie. O to, że jest ona korzystna dla sióstr z Galicji, nad którymi sprawuje obecnie bezpośrednią opiekę, lecz całkiem niemożliwa do wprowadzenia u nas w Kongresówce, a tym bardziej w placówkach na terenie carskiej Rosji...

– A ja słyszałam - przerwała jej siostra Bolesława - że nasza wspólnota w ogóle nie jest jeszcze zatwierdzona. Ojciec Założyciel otrzymał jedynie ustne przyzwolenie arcybiskupa Petersburga, a sam dał je w Warszawie, ale bez żadnego pisma.

Siostra Leonarda zamyśliła się.

– To może dlatego matka Florentyna wybiera się do Rzymu – powiedziała z nadzieją w głosie. – Żeby to załatwić...

Istotnie. Wiosną 1888 roku matka Florentyna Dymman wraz z matką Marią Drzewiecką udały się do Rzymu w celu zatwierdzenia nowej wspólnoty zakonnej. Papież Leon XIII przychylnie przyjął prośbę obu matek, poradził im jednak, aby przyłączyły swoje Zgromadzenie do Reguły jednego z wielkich Zakonów Kościoła.

Wybór padł na Zgromadzenie Braci Mniejszych Obserwantów w Rzymie, z którymi matka Florentyna była już od dawna zaprzyjaźniona. Wkrótce potem Zgromadzenie Sióstr Rodziny Maryi przyjęło Regułę III Zakonu św. Franciszka, a tym samym uniezależniło się od wspólnoty kierowanej przez arcybiskupa Felińskiego w Galicji.

Posunięcie to pod wieloma względami korzystne, sprawiło jednak sporo zamieszania i wywołało niezadowolenie wielu sióstr. Bezpośrednią przyczyną niezadowolenia stała się konieczność wprowadzenia – wzorem innych wspólnot franciszkańskich – podziału sióstr na dwa chóry. Do pierwszego chóru miały należeć te bardziej wykształcone, będące kandydatkami do ważniejszych urzędów, a do drugiego pozostałe, wykonujące prace pomocnicze, najczęściej gospodarskie. Bardziej wykształcone miały odprawiać uroczyste Oficjum w języku łacińskim w imieniu całego Zgromadzenia, pozostałe natomiast zobowiązane były jedynie do odmawiania prostych modlitw w języku ojczystym.

Tę niefortunną zmianę odczuły boleśnie niestety wszystkie siostry, nie tylko te, które zostały zakwalifikowane do drugiego chóru. Odczuła ją boleśnie i siostra Bolesława, chociaż znalazła się w pierwszej, uprzywilejowanej grupie. I chociaż na zewnątrz siostry starały się zachowywać dawną jedność, w ich duszach nastąpiło wyraźne rozdzielenie. Atmosfera stała się tak ciężka, że niekiedy wprost trudna do zniesienia. Znikła gdzieś dawna serdeczność i pogodny nastrój.

Siostra Bolesława, pragnąc temu jakoś zaradzić, kilkakrotnie wypowiadała swoje zdanie, a nawet zgłaszała konkretne propozycje reform. Propozycje te, choć wynikały z jak najlepszych pobudek, nie zyskały jednak akceptacji przełożonych.

Do Odessy wyjeżdżała w podłym nastroju.

– Módl się za mnie, siostró Leonardo – prosiła Stasię przy pożegnaniu. – Bardzo cię o to proszę.

A zaraz potem zawołała zakłopotana:

– No i widzisz! Z tego wszystkiego zapomniałam zapytać o naszą Marysię. Co z nią teraz?

– Nie wiesz? Ukończyła pensję i wróciła do domu. Siostra Matylda twierdzi, że niezwykle bystre z niej stworzenie. Ja od siebie mogę dodać także to, że świetnie sobie radzi również z szyciem!

Siostra Bolesława uśmiechnęła się mimo woli. Był to jednak uśmiech zabarwiony smutkiem.

Na próżno próbowała skontaktować się z księdzem Germanem, swoim chrzestnym ojcem. Napisała więc do niego list, który wysłała w ostatniej chwili, będąc już na dworcu. Tak bardzo potrzebowała duchowego wsparcia i mądrej rady. Czuła się jak motyl pozabawiony skrzydeł.



Spotkanie na plaży

Skąpana w jaskrawym słońcu Odessa przeniknięta była zapachem słonego wiatru wiejącego od morza. Miasto – najważniejszy port handlowy Imperium Rosyjskiego – sprawiało wrażenie rozległej metropolii. Jednak tym, co zwróciło uwagę siostry Bolesławy nie były ani monumentalne schody prowadzące do portu, ani słynny pałac Woroncowa, ani nawet wspaniały i wyniosły *sobór* Preobrażeński, lecz – ludzie. Prości, handlujący na ulicach i na targu. Rozkrzyczani, rozgadani i radośni, siedzący w barwnych chustach, czapkach i kaftanach wśród stert dojrzałych arbuźów, dyń, kabaczków i ananasów, wśród skrzynek winogron, fig i daktyli.

Tylko nieliczni przypominali Rosjan. Większość posiadała charakterystyczne rysy mongolskie albo semickie. Nic dziwnego. Miasto powstało na miejscu starożytnej greckiej osady i przechodziło z rąk do rąk, stając się kolejno własnością Słowian, Tatarów i Turków. Rosja carska zdobyła je dopiero pod koniec XVIII wieku. Nawet nazwę Odessa, zawdzięczało leżącemu tu niegdyś greckiemu portowi Odessos.

Siostra Róża, która wyszła po siostrę Bolesławę na dworzec kolejowy, prowadziła ją do domu zakonnego przez plac targowy wypełniony takimi właśnie malowniczymi sprzedawcami warzyw, ryb i owoców. Nagle zatrzymała się. Odrzuciła na plecy kasztanowy warkocz i zapytała:

– A siemienieczki siostra lubi?

– Siemienieczki?

– No tak, inaczej: pestki słonecznika.

I nie czekając na odpowiedź, podniosła z ziemi ładny, duży słonecznik.

– Trzeba przecież uczcić jakoś przyjazd siostry – wyjaśniła zadowolona.

W Odessie siostry prowadziły szwalnię i internat dla dziewcząt. Do szwalni, co szczególnie zainteresowało siostrę Bolesławę, przychodziły dziewczęta różnych wyznań: katoliczki, prawosławne i mużłmanki. Internat przeznaczony był już wyłącznie dla katoliczek. Te, oprócz nauki szycia, uczyły się także przedmiotów ogólnych.

Mieszanina kultur, religii i tradycji widoczna w mieście na każdym kroku, tworzyła niezwykle barwną mozaikę. Siostrę Bolesławę zdumiewało zwłaszcza to, że ludzie ci, mimo tak wielorakich różnic, zdawali się żyć ze sobą w zgodzie.

– Żyją w zgodzie? – podchwyciła z powątpiewaniem siostra Kazimiera, pełniąca obowiązki przełożonej. – To się tylko siostrze tak wydaje. Co i raz dochodzi do bójek, i to z byle powodu, jak to zwykle bywa wśród prostych ludzi. Niekiedy nawet noże idą w ruch. Wiemy o tym od naszych dziewcząt.

Siostra Róża przerwała krojenie dyni.

– Nie to jest jednak najgorsze – wtrąciła, przysuwając się bliżej Bolesławy. – Strach nas przejmuje na myśl o rewolucji. Coraz głośniej o niej. Mówią, że w Odessie powstała pierwsza organizacja robotnicza, która do niej wzywa. Pierwsza w całym Imperium Rosyjskim. Idą niespokojne czasy...

– Słyszałam i ja o tym w Warszawie – odezwała się siostra Bolesława. – Oby nie skończyło się to znowu przelewem niewinnej krwi.

Siostra Kazimiera ściągnęła nagle roboczy fartuch.

– Światu potrzeba modlitwy – stwierdziła rzeczowo. – A to już nasza specjalność. Zostawmy więc na chwilę to krojenie i... chodźmy do kaplicy!

Dni płynęły na pracy i modlitwie. Mijały tygodnie i miesiące. Siostra Bolesława wstawała o świcie i kładła się spać późno w nocy. Ta ciągła dyspozycyjność wiązała się z nieustannym zapieraniem się siebie, odrywaniem serca od własnych spraw, własnych pragnień. Czasem pojawiało się zmęczenie, a nawet zniechęcenie.

Spostrzegłszy, że któraś z siostr pracuje ponad siły, siostra Kazimiera wysyłała ją natychmiast na krótki odpoczynek.

– Siostra idzie dziś na spacer – powiedziała któregoś dnia do siostry Bolesławy. – Taka siostra blada. I zmizerniała nam chyba ostatnio...

„Spacer”... Słowo to wydało się siostrze Bolesławie w pierwszej chwili czymś zupełnie egzotycznym. Wygrzebane z zapomnienia niczym droga pamiątka ze starej łowickiej skrzyni, odżyło jednak szybko i zapachniało świeżo skoszoną trawą, zaszumiało znajomą wierzbą nad rzeką, rozlało się barwną smugą maków, chabrów i kąkoli pośród dojrzewającego zboża.

Zaraz po wyjściu z domu skierowała swoje pierwsze kroki w kierunku kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Lubiła modlić się w tej niedużej świątyni o białych ścianach, która swoim wyglądem tak bardzo przypominała jej rodzinne strony. Dopiero potem udała się nad morze.

Jego widok nie przyniósł niestety spodziewanego ukojenia. Lato spakowało już najwyraźniej walizki, porywisty wiatr wzbijał wysoko groźne fale, łoskot mieszał się z przeraźliwym wyciem, a chmary ptactwa krążyły nad tym wszystkim krzykliwe i niespokojne. Zza

ciężkich obłoków wyglądał co pewien czas promień słońca, który rozjaśniał wprawdzie tę ponurą scenerię swoim światłem, ale i on zniknął niemal natychmiast jak zdmuchnięty ze świecy płomyk.

Długo stała i wpatrywała się w ten żywioł, w jego mroczną głębię i niezmierną dal. Ileż to razy sama sobie wydawała się takim żywiołem. A przecież nie miała wątpliwości, że Pan Bóg panuje nad tym wszystkim. Że jednym skinieniem może uspokoić wzburzone fale. Te, które miała przed sobą, i te w głębi jej własnej duszy.

Przesiewała w palcach piasek w poszukiwaniu muszelek, gdy niespodziewanie poczuła na sobie czyjś wzrok. Czyjeś uporczywe spojrzenie.

Odwróciła głowę. Przed nią, oddalona zaledwie o kilkanaście kroków, stała młoda kobieta okryta czarną chustą. Obecność jej sprawiła siostrze Bolesławie niewyobrażalny ból. Podniosła się i nagle... muszelki wypadły jej z rąk. Ruszyła na oślep pewna, że zna tę kobietę, że ją poznaje, że jest to przecież...

– Jadwisia?! – zawołała zaskoczona.

W tym samym momencie kobieta osunęła się na ziemię.

– Jadwisiu... – powtórzyła siostra Bolesława, czując na policzkach łzy.

Ale kobieta trwała nadal w jakimś dziwnym odrętwieniu milcząca, ze zwieszoną głową. Dopiero po dłuższej chwili i jej oczy napełniły się łzami. Popatrzyła na Bolesię i zapytała:

– Jesteś aniołem?

– Przecież wiesz, że nie.

Nie dowierzała.

– To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe – stwierdziła ze smutkiem. – Zbyt piękne i zupełnie nierealne.

– A jednak to prawda.

Mówiąc to, siostra Bolesława uśmiechnęła się i pomogła przyjaciółce wstać.

– Zabieram cię ze sobą do domu – oznajmiła, widząc w jak opłakanym znajduje się stanie.

Jej propozycja została przyjęta bez cienia sprzeciwu. Perspektywa spędzenia choćby krótkiego czasu w normalnym domu, wydała się Jadwisi rajem w porównaniu z noclegownią dla bezdomnych kobiet, w której mieszkała od kilku miesięcy.

– Sądziłam, że wyjechałaś do Lwowa – odezwała się siostra Bolesława, kiedy znalazły się na ulicy.

– Wyjechałam – przytaknęła, z trudem łapiąc oddech. – I nawet wyszłam tam za męża. Wiem, zawsze byłam szalona... Jednak szczęście trwało krótko. Wicio miał już mocno zaawansowaną gruźlicę... Ktoś polecił nam uzdrowisko w tych stronach. Sprzedaliśmy wszystko i... Kiedy zmarł... Nie, nie skarzę się na swój los... Znalazłam się nagle bez środków do życia. Zostało mi jedynie kilka jego obrazów, ale z nimi nie mogę się przecież rozstać...

Nasunęła chustę bardziej na czoło, jakby chciała ukryć przed światem zapuchniętą od płaczu twarz. W jej oczach nie było już spojrzenia porcelanowej lalki. Siostrę Bolesławę przeszedł dreszcz na myśl, ile musiała wycierpieć.

– Dlaczego nie napisałaś do rodziców? – spytała.

– Wyobrażasz to sobie? – Jadwisia roześmiała się gorzko. – Przecież tak bardzo ich zawiodłam! Tyle zadałam im bólu... A mój Wicio... Tego jeszcze nie wiesz, to... Witia. Wyszłam za Rosjanina, Bolesiu! Za Rosjanina! Wyobrażasz sobie, co dla państwa Oleńskich oznaczałoby wydać córkę za Moskala? Nie, ty sobie tego nie możesz wyobrazić...

– Mylisz się – zaprotestowała. – Chociaż, faktycznie. Mówienie pustych słów jest zwykle mało przekonujące. Pozwól zatem, że przynajmniej teraz zajmę się tobą i wezmę twoje sprawy w swoje ręce.

I na to otrzymała zgodę.

Siostry przyjęły Jadwisię ogromnie jej współczując i udostępniły jej w internacie dla dziewcząt oddzielny pokój. Kilka tygodni trwało, zanim doszła do siebie. Potem, chcąc się jakoś odwdziżyć, zaczęła im pomagać. Głównie w kuchni, czym szybko zaskarbiła sobie ich wdzięczność, gdyż przygotowywanie posiłków zabierało zawsze sporo czasu.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a ona ciągle nie wykazywała chęci powrotu do Łowicza. Chociaż siostra Bolesława wystarała się dla niej o potrzebne fundusze na podróż i bardzo ją do tego wyjazdu namawiała. Jadwisia odpowiadała za każdym razem, że nie chce wyjeżdżać, bo czuje się u nich jak w kochającej rodzinie.

– Wybacz, Bolesiu – powiedziała któregoś dnia. – Tyle dla mnie zrobiłaś... Nie chcę być niewdzięczna. Wiem, że to nasze spotkanie na plaży to był cud, ale... – zawahała się – pragnę tu pozostać. Tu, gdzie leży Wicio. Czuję, że moje miejsce jest tutaj, przy nim. Siostry też mnie polubiły, może zechcą z czasem przyjąć mnie do swojej wspólnoty? Nie dziw się, proszę! Mogę chyba uczyć dzieci, skoro ukończyłam z twoją pomocą słynne łowickie gimnazjum? – uśmiechnęła się przyjaźnie.

Uśmiech ten, tak nieoczekiwany, wydał się siostrze Bolesławie uśmiechem nieba.

– Jak miłosierny jest Bóg – odezwała się, obejmując przyjaciółkę.

– A ty naprawdę jesteś Jego aniołem – stwierdziła Jadwisia z przekonaniem.

Z nastaniem nowego 1890 roku siostra Bolesława otrzymała trzy listy: od siostry Leonardy, od księdza Germana i od matki Florentyny. Najpierw przeczytała ten ostatni. Wynikało z niego, że powinna udać się jak najprędzej na Krym, do Symferopola, by zająć

się tam swoimi „niesfornymi siostrzenicami”. Zasztyfrowana w ten sposób, w obawie przed carską cenzurą, informacja oznaczała, że ma poprowadzić tam szkołę dla dziewcząt.

Ksiądz German zachęcał ją do wytrwania w powołaniu. Pisał:

Pomyśl tylko, Bolesławo, jak wielka jest rola ludzi powołanych. To oni, dzięki wierze i wierności dokonywali w przeszłości wielkich dzieł. A chociaż ich droga życiowa była często trudna i wymagała wielu wyrzeczeń, przecież wytrwali na niej z miłości do Chrystusa. Ich życie, patrząc po ludzku, było przegrane. Byli skazywani na śmierć, na wygnanie. Chcąc jednak wypełnić wyznaczone im przez Boga zadanie, stawali się nieraz żywym znakiem zwycięstwa...

Przerwała czytanie.

Zastanowił ją początek ostatniego zdania. „Chcąc jednak wypełnić wyznaczone im przez Boga zadanie...” Pragnęła życia zakonnego. Pragnęła tak bardzo, że skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, aby zaspokoić to swoje pragnienie. „Swoje – ale czy i Boże? – zaspokoiła się. – Czy to, co robię, jest rzeczywiście zadaniem wyznaczonym mi przez Boga?” ...

List księdza Germana zamiast utwierdzić ją na drodze, którą szła ostatnio z takimi oporami, wzbudził w niej dodatkowe wątpliwości.

Wątpliwości te nasiliły się jeszcze bardziej po przeczytaniu listu Stasi. Wprawdzie matka Florentyna robiła, co mogła, aby przywrócić w Zgromadzeniu dawną siostrzaną atmosferę, ale niezadowolenie siostrzycy rosło, a kilka z nich opuściło nawet klasztor. Wzmogło się także szemranie po kątach. Stasia, jak zwykle szczerą i zatroskaną, pisała w zakończeniu swego listu:

Żal mi naszej Mateczki, która jest prawdziwie świętą, tak niełatwym wyzwaniom stawiając czoła z anielską wprost cierpliwością i spokojem...

Symferopol, położony malowniczo na Półwyspie Krymskim, nie zrobił na siostrze Bolesławie specjalnego wrażenia. Po pierwsze dlatego, że przybyła na Krym zimą, a po drugie, że dom zakonny prowadziły wyłącznie dwie, mocno przeciążone pracą siostry, tak więc o zwiedzaniu okolicy nie mogło być mowy. Do tego doszła jeszcze sprawa, która od pewnego czasu całkowicie zaprzętała jej umysł. Sprawą tą była jej dalsza obecność w Zgromadzeniu.

Męczył ją chaos organizacyjny i nadmiar obowiązków. Tęskniła za życiem zakonnym, lecz takim, które miałoby charakter bardziej kontemplacyjny. Z rozkoszą wracała myślą do kościoła Panien Wizytek na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, do którego zaprowadziła ją kiedyś kuzynka Celina. Tęskniła za tym miejscem, za modlitwą sióstr klauzurowych, która sączyła się łagodnie zza żelaznych krat. Tęskniła w osamotnieniu, a jedyną powiernicą jej najskrytszych tajemnic była mała symferopolska kaplica. Tu, przed Zmartwychwstałym Panem, czasem do późnej nocy trwała na modlitwie w nadziei na znak z nieba. Tu niejedną raz, ulegając wrodzonej porywczności, wołała z głębi serca: „Jezu, ratuj! Jezu, nie odrzucaj! Jezu, ukaż drogę...”

Mijał rok. Dwanaście długich miesięcy spędzonych w trudzie i zapomnieniu o sobie, a myśl o opuszczeniu Zgromadzenia nie gasła. Przeciwnie, stawała się coraz bardziej natrętna. „A jeśli to pokusa?” – pojawiało się czasem pytanie. Wówczas jej bezradność zdawała się nie mieć granic. Pozbawiona kierownictwa duchowego, czuła się w tym obcym i odległym miejscu niczym na pustyni.

Zazdrościła Stasi, że z taką łatwością przyjmuje wolę przełożonych i trwa wiernie w cichej uległości. Stan ducha, w jakim się

znajdowała, nie pozwalał jej złożyć ślubów wieczystych. Czuła, że nadszedł czas, by podjąć ostateczną decyzję. Więc – ją podjęła.



Pracownia Krawiecka Sióstr Lament

Lato roku 1892 pachniało jabłkami. Gałęzie w sadach uginały się pod ciężarem owoców. Także u Lamentów jabłkonki obrodziły wyjątkowo. Młodzi cieszyli się najbardziej ze słodkich koszteli, a pani Łucja przerabiała w specjalnym kociołku antonówki i złote renety na pyszną marmoladę. Stefan przynosił jej co pewien czas kosz tych aromatycznych i pełnych słońca owoców z ogrodu.

Miał już jedenaście lat, lecz nadal odczuwał silną potrzebę pozostawania w bliskości matki. Wyręczał ją chętnie w różnych pracach domowych, a spiesząc z pomocą zdawał się czytać w jej myślach. Ona także z podobną łatwością odgadywała jego myśli, będąc mu zawsze najlepszym przyjacielem. Ich rozmowy, prowadzone zazwyczaj przy nader prostych czynnościach, były tak interesujące i głębokie duchowo, że stanowiły dla Stefana ulubiony i najmilszy sposób spędzania czasu.

Marcin Lament nieraz przygadywał żonie twierdząc, że Stefan przez to kurczowe trzymanie się matczynej spódnicy do reszty zniewieścieje. I choć Antoni doprowadzał go czasem do szewskiej pasji z powodu nadużywania samodzielności, lepiej się z nim jakoś dogadywał niż z wrażliwym i skłonny do marzeń Stefanem.

W ogrodzie, na huśtawce zrobionej z deski, siedziała Marysia, szesnastoletnia już panienka o ciemnych, lekko falujących włosach, z jabłkiem – w jednej, a książką – w drugiej ręce. Od czasu do czasu, dla zabawy, wprawiała huśtawkę w ruch delikatnym majt-



nięciem nóg i znowu zastygała w nieruchomej pozie, nie odrywając oczu od książki. Jadła jabłko i czytała książkę, kiedy nagle zaskrzypiała drewniana furtka. Zerknęła przez gałęzie i – oniemiała. Przy furtce stała... Bolesia. Jej ukochana siostra. Nie namyślając się zeskoczyła na ziemię i pędem pobiegła, aby ją przywitać.

W tym samym momencie, tknięta zapewne matczynym przezcuciem, wyszła przed dom pani Łucja. Spojrzała i – zamarła w bezruchu.

– Dziecko!... – zawołała, wycierając ręce w kuchenny ręcznik. – A ty skąd się tu wzięłaś?

Bolesława zbliżyła się do niej z oczyma pełnymi cierpienia.

– Nie pytaj, mamó – wyszeptwała. – Proszę, nie pytaj, dobrze?... Wszystko ci opowiem, ale nie teraz. Nie teraz... Teraz chcę się tylko do ciebie... przytulić.

Przyłgnęły do siebie, z trudem hamując łzy.

– Więc już nie jesteś w zakonie? – zapytała pani Łucja nieco później, gdy siedziały przy stole zajadając ze smakiem owoce z kompotu.

– Nie.

To „nie”, wypowiedziane przez Bolesławę tym razem bez śladu wcześniejszej czułości, także na niej samej zrobiło wrażenie. Wydarzenia ostatnich dni – męcząca podróż z Symferopola, niełatwa rozmowa z matką Florentyną, a potem rozstanie ze Stasią – wyczerpały ją, godząc w i tak już nadwątlone siły. Jednak teraz, gdy znowu znalazła się w rodzinnym gnieździe, w domu szczęśliwego dzieciństwa, poczuła, że w miejsce tamtych utraconych sił dostaje nowe, i że są one wielkim, niewyobrażalnym skarbem.

– Był z tobą Pan Bóg, dziecko, przez osiem lat w klasztorze, będzie i przez następne – usłyszała nagle z ust matki krzepiące słowa.

„A więc i ona wierzy, że nie były to lata zmarnowane” – pomyślała Bolesława i fala wdzięczności zalała jej serce.

– Tak, mamó. I ja ufam, że tak właśnie będzie – powiedziała z przekonaniem.

Niedługo potem nadszedł ojciec. Zdążył dowiedzieć się już wszystkiego od Marysi, która pognęła do niego z nowiną.

Bolesława wstała na jego widok od stołu dziwnie blada.

– Tatku... – zaczęła, ale on nie dał jej dokończyć.

Spojrzał na nią z radością i zapytał:

– To jak to będzie w końcu z tą obiecaną pracownią krawiecką w Warszawie?

I przytulił ją mocno do ojcowskiej piersi.

Wszystkie następne dni były dla Bolesławy dniami pełnymi wesela.

Cieszył się z jej obecności Stefan, którego interesował zwłaszcza jej pobyt nad Morzem Czarnym. I Antoni, który od dawna już myślał o tym, by przenieść się do Warszawy i tam poszukać sobie pracy. Cieszyła się Marysia z jeszcze jednej słuchaczki swoich wieczornych recytacji.

– Tym razem będzie to wiersz Teofila Lenartowicza „Czego nam potrzeba” – zapowiedziała zaraz po kolacji pierwszego dnia.

Jej młodzieńczy głos brzmiał mocno i odważnie. Nawet ojcu zakręciła się łza w oku, kiedy zakończyła deklamację słowami:

*Nic by nie potrzeba
Do naszego nieba
Jak tylko swobody,
Równości i zgody.*

*O, dajże to, Panie,
Niechaj się tak stanie
Dla polskiej krainy,
Mój Boże jedyny!*

Uczestnicząc w codziennej Mszy Świętej w kościele Świętego Ducha, Bolesława zauważyła młodego kapłana, który wywarł na niej wyjątkowo korzystne wrażenie. Był nim ksiądz Zygmunt Mścichowski, którego parafianie określali jednym słowem: wzorowy. Zwróciła się do niego któregoś dnia z prośbą o odprawienie dłuższych rekolekcji, na co on zgodził się chętnie, wysłuchawszy przedtem relacji z jej pobytu w zakonie. Kiedy jednak już przy pożegnaniu wspomniała mimochodem o tym, że zamierza wstąpić ponownie, tyle że do klasztoru Panien Wizytek, pokręcił przecząco głową.

– Nie sądzę, aby to było możliwe. Klasztor warszawski dawno już otrzymał zakaz przyjmowania nowych kandydatek, a krakowski leży w zaborze austriackim. Musiałaby się pani wystarać o dokument na przekroczenie granicy, a z tym mogą się wiązać spore trudności, mnóstwo formalności, no i znaczne wydatki...

Słowa te zaskoczyły Bolesławę, ale plan nadal uważała za dobry. Miała już trzydzieści lat i czuła jak nieznośną jest każda chwila, która oddala ją od upragnionego celu. Rozzłościło ją szczególnie to, że ktoś usiłuje zniszczyć ten jej dobry plan już na samym początku, a jeszcze bardziej, że tym kimś jest kapłan uchodzący za „wzorowego”. Tłumiąc wewnętrzne wzburzenie, wysłuchiwała jednak do końca wszystkiego, co miał jej do powiedzenia.

Wtedy on popatrzył na tę jej zagniewaną minę i niecierpliwie błyski w oczach, i nagle – roześmiał się w głos.

– Trwanie w uporze nie jest dobrym rozwiązaniem – stwierdził. – Bo gdy człowiek wyłącznie we własnych planach pokłada nadzieję, to Pan Bóg się stuka w czoło i z człowieka śmieje!

I ona roześmiała się.

A kilka dni później rozpoczęła dziewięciodniowe rekolekcje. Drugie rekolekcje, które miały tak bardzo zawazyć na jej dalszym

życiu. Ksiądz Mścichowski poznawszy bowiem lepiej Bolesławę, nie tylko zaczął odradzać jej myśl o klasztorze klauzurowym, lecz wręcz wezwał ją do zapomnienia o takiej myśli.

– Proszę posłuchać: Ojczyzna znajduje się w niebezpieczeństwie utraty katolickiego ducha – mówił z zapałem. – Liczy na tych, którzy wydzwigną ją z moralnego dna, przygarną sieroty, otoczą opieką biedaków. Kto ma się tego podjąć, jeśli nie dusze prawe, szlachetne i pobożne, dusze takie jak pani dusza, Bolesławo?...

Siedziała ze spuszczoną głową. Słowa księdza brzmiały przekonująco, a jego odwołanie się do posiadanych przez nią kwalifikacji było jak najbardziej uzasadnione. Mimo to czuła wyraźny opór. „Mam porzucić myśl o życiu zakonnym? – myślała zrozpaczona. – Przecież to niemożliwe!... Niemożliwe...”

– Wszystkie niepokoje biorę na siebie – zapewnił szczerze. – Proszę mi zaufać. I proszę bezzwłocznie rozpocząć – nowe życie.

I – stało się. Ona, która nie dopuszczała dotąd myśli o życiu w stanie świeckim, po odprawieniu rekolekcji uznała zalecenie kapłana za przejaw woli Bożej. Zgodziła się, a przylgnąwszy sercem do Niepokalanej, Ją obrała sobie za wzór na to nowe życie.

Marcin Lament odzyskał dobry humor. Nie dość, że jego trzewiki coraz częściej trafiały do warszawskich sklepów, i to tych najliczniej odwiedzanych, to jeszcze w najbliższym czasie miał zostać otwarty w stolicy zakład krawiecki noszący jego nazwisko.

Bolesława rzeczywiście powzięła taki zamiar. Pragnąc poświęcić się służbie bliźnim, potrzebowała pełnej samodzielności, a zawód krawcowej znakomicie jej to umożliwił. Wysłała zatem list do kuzynki Celiny, aby się dowiedzieć, czy ktoś z jej znajomych nie posiada lokalu do wynajęcia. Odpowiedź nadeszła nadspodziewanie szybko, jednak jej treść była mocno zasmucająca. Kuzynka Celina,

o czym lakonicznie donosił jej bratanek, zmarła nieoczekiwanie z początkiem czerwca, a on sam wolał oddawać się znacznie przyjemniejszym zajęciom, niż szukanie lokalu na pracownię dla dalekich krewnych z prowincji. Nie wyraził tego wprawdzie dosłownie, ale taki był sens jego mętnej wypowiedzi, czym nawet pani Łucja, osoba nadzwyczaj wyrozumiała, poczuła się urażona.

W tej sytuacji nie pozostawało Bolesławie nic innego, jak skorzystać z propozycji chrzestnej matki i zamieszkać przez kilka pierwszych dni u jej krewnych, również Pomorskich, na Powiślu. Szykowała się już powoli do drogi, kiedy pani Łucja wpadła na pomysł, by zabrała ze sobą do Warszawy także Marysię.

– Nie jest już dzieckiem i zna się na krawiectwie – przekonywała. – A poza tym we dwie będzie wam zawsze raźniej.

Marysia, która faktycznie nie była już dzieckiem, dowiedziawszy się o takiej perspektywie, piszcziała z podniecenia. Życie w stolicy u boku ukochanej siostry wydało jej się nagle czymś tak fantastycznym i wspaniałym, że gotowa była zaprzysiąc się nawet z igłą.

Na krótko przed wyjazdem do Warszawy Bolesława zajrzała jeszcze do państwa Oleńskich. Pani Oleńska przyjęła ją herbatą z wiesienkami i kazała sobie powtarzać kilka razy relację z jej spotkania z Jadwisią. Jedwabna chusteczka obszyta brabancką koronką, którą często podnosiła do oczu, szybko powilgotniała od łez. Wzruszył się mocno także pan Oleński, zwłaszcza kiedy Bolesława wspomniała o śmierci Wicia i jego malarskim talencie.

– Więc ona się teraz nazywa Sojecka? Mój Boże... – westchnęła aptekarzowa. – Jadwiga Sojecka? A może już... siostra Jadwiga Sojecka? Moja Jadwisia – zakonnica...

Nagle zwróciła na Bolesię żywsze spojrzenie.

– Zaraz, zaraz – powiedziała, a oczy jej na nowo napełniły się łzami. – To ty, moja droga, opuściłaś klasztor, a ona – zamierza do niego wstąpić?!

Pytanie to zostało zagłuszone nagłym wejściem Janka. Ujrawszy Bolesię z okna, zamknął aptekę i, zaciekawiony, pospieszył do mieszkania rodziców. Musiała więc po raz kolejny opowiedzieć wszystko, co się wydarzyło na odeskiej plaży.

– A ty – zagadnął Janek, kiedy zbierała się już do odejścia – co zamierzasz teraz robić?

Opowiedziała w paru słowach, a on ucieszył się, że o wyjeździe do Warszawy mówi z entuzjazmem. Miał wrażenie, że nie zmieniła się nic a nic. Była wciąż tak samo zdecydowana i odważna. Ten sam, co kiedyś, stanowczy podbródek ostrzegał innych przed zbytnią poufałością, a wesołe iskierki w oczach zdradzały skłonność do żartów.

– Jeśli mogę ci coś doradzić – powiedział – proponowałbym szukać lokalu na pracownię na Pradze, najlepiej w okolicy ulicy Targowej. Pan Julian Różycki, którego miałem okazję niedawno poznać, organizuje tam luksusowy bazar. To wielki przedsiębiorca, choć z zawodu jest, podobnie jak ja, tylko skromnym farmaceutą – uśmiechnął się. – Przejdźmy jednak do rzeczy: otóż przy tym bazarze powstaje coraz więcej zakładów rzemieślniczych. Miejsce staje się modne i chętnie odwiedzane przez warszawiaków, a to przecież najpewniejsza klientela...

Podziękowała mu za tę przyjacielską radę.

– Słyszałam, że masz dwoje uroczych dzieci – powiedziała, gdy odprowadzał ją do wyjścia.

– Raczej: dwoje urwipółciów! – roześmiał się. – Aż strach pomyśleć, że i my kiedyś tacy byliśmy...

Rada Janka okazała się ogromnie przydatna, o czym Bolesława mogła przekonać się wkrótce po przyjeździe do Warszawy.

Praga, której dotąd nie znała, wydała jej się bez porównania mniej atrakcyjną, aniżeli zachowany w pamięci Trakt Królewski ciągnący Krakowskim Przedmieściem. Jednak i tu nie brakowało luksusowych domów, wykwintnych powozów i ludzi obnoszących się ze swoim bogactwem. Była Praga przede wszystkim bardziej ruchliwa, a to ze względu na znaczną liczbę ludzi zajmujących się handlem. Dwa dworce: Petersburski przy ulicy Targowej i Terespolski przy ulicy Kijowskiej, będące ważnymi miejscami przeładunku towarów, przyciągały biedotę z bliższych i dalszych miejscowości.

Widok tej biedoty, a wśród niej brudnych i głodnych dzieci był tym, co uderzyło Bolesławę najbardziej, nigdy bowiem wcześniej nie spotkała w jednym miejscu tak wielu nędzarzy. Jedno z tych dzieci, dziewczynka z cienkimi warkoczykami, której Bolesława ofiarowała drobny pieniążek, towarzyszyła jej i Marii aż do rogu ulicy Kępczej, znajdującej się niemal naprzeciwko Bazaru Różyckiego. Patrzyła zaciekawiona jak skręcają, jak zatrzymują się przed jednym z domów.

Bolesława wyjęła z torebki „Kurier Codzienny” i dla pewności raz jeszcze sprawdziła adres zakreślony w rubryce ogłoszeń.

Pani Wardejska, właścicielka lokalu przeznaczonego do wynajęcia, wydała się Bolesławie osobą niezbyt sympatyczną, jednak pomieszczenie, które miała im do zaoferowania było jakby wymarzone dla ich działalności. Mieściła się w nim wcześniej pracownia kapeluszy, nie brakowało więc miejsca na ustawienie maszyn do szycia i stołu do prasowania, a także oddzielnego stołu do sporządzania wykrojów. Miało ono ponadto tę zaletę, że zaopatrzone było w okno wystawowe. W głębi pracowni, za ciężką kotarą, znajdowało się dwupokojowe mieszkanie. Skromne bardzo, z odlatują-

cym tynkiem na ścianach, ale za to w cenie, która nie przekraczała możliwości finansowych siostr Lament.

Jeszcze tego samego dnia sprowadziły się do niego i wysłały do rodziców depeszę z pomyślną wiadomością. Przystąpiły też do gruntownego sprzątnięcia i zakupu niezbędnych przedmiotów codziennego użytku, które to czynności sprawiły im obu wielką przyjemność.

Po upływie tygodnia wszystko lśniło i pachniało czystością. Wówczas zjawił się ojciec z Antonim, a z nimi – pełne wyposażenie pracowni.

– Ogromniasty kościół macie tu niedaleko – zauważył ojciec, delektując się kawą zakupioną specjalnie dla niego przez córki. – Wieże będą miały z siedemdziesiąt metrów wysokości!

– Dokładnie: siedemdziesiąt pięć – wtrąciła Maria, która zdążyła się już tego i wielu innych rzeczy dowiedzieć od Poli Drużbickiej, córki nauczycielki mieszkającej w tym samym domu. – Parafianie postanowili pokazać na co ich stać i teraz widać już z daleka nie tylko cerkiew Świętej Równnej Apostołom Marii Magdaleny, ale i nasz kościół Świętych Michała Archanioła i Floriana Męczennika!

– To aż tylu tu prawosławnych, że trzeba było tak potężną cerkiew stawiać? – zdziwił się.

– Dwa rosyjskie garnizony wojska z rodzinami, tatusiu! – zawołała Maria, stawiając przed ojcem ciastka z miejscowej cukierni. – A następni ciągle przybywają i podobno całkiem się tu nieźle mają – dokończyła ze smutkiem.

Bolesława usiadła przy ojcu.

– Kościół zaczęto budować niedługo po tym, jak Rosjanie, zakreślając granice koszar, zajęli także świątynię Matki Bożej Loretańskiej – oznajmiła. – Tak to wówczas ludzi wzburzyło i dotąd

naciskali, aż im w końcu władze carskie wydały zgodę na budowę nowej świątyni. Podobno cała Ojczyzna śle dary na ten cel...

Wiadomość ta ucieszyła Marcina Lamenta.

– Piękna odpowiedź – przyznał, wycierając wąsy. – Bo i sprawa honorowa. Znaczący: jeszcze duch mocny w narodzie!

Odsapnął nieco i chciał już wracać do Łowicza, kiedy nagle Antoni zaszedł mu drogę.

– Wie tata co? – powiedział. – Ja to bym został tu, w Warszawie, jeszcze kilka dni. Siostrzom może bym się na coś przydał, a i pracę jakąś sobie znalazł.

– Już mi to twoja matka przed naszym wyjazdem przepowiedziała! – roześmiał się ojciec. – I co mam ci na to odpowiedzieć? Masz dziewiętnaście lat, zostań z Bogiem, synu. Tylko „moskali” tu siostrzom do domu nie przyprowadzaj! – zażartował.

Następnie obejrzał go ze wszystkich stron.

– A buty dobre wzięłeś? – zapytał niespodziewanie. – Te, com ci ostatnio uszył? Bo to wiesz, przysłowie mówi: poznać pana po cholewach. A ty – p a n L a m e n t jesteś, jak by nie było!

Wyszedł na ulicę, by po raz ostatni ogarnąć spojrzeniem pracownię i swoje dorosłe dzieci, po czym wolnym krokiem ruszył w kierunku dworca.

Siostry odstąpiły Antoniemu jeden pokój, a same urządziły się w sąsiednim. Zaraz też poczuły się jakoś bezpieczniej. Zwłaszcza gdy młody i przystojny mężczyzna, jakim był bez wątpienia Antoni, towarzyszył im odtąd w wyprawach na miasto. A że i powagi szybko zaczęło mu przybywać, dostał niebawem posadę woźnego w szkole, czym obie siostry ogromnie ucieszył.

Tabliczka z napisem PRACOWNIA KRAWIECKA SIÓST LAMENT znowu znalazła zastosowanie i, trzeba przyznać, w dość krótkim czasie została zauważona. Podobnie jak witryna, w której stanął

manekin zakupiony po okazyjnej cenie. Przyodziały w garsonkę w kolorze *ecru*, ostatni krzyk paryskiej mody, przyciągał wzrok i sprawiał, że niejedna warszawianka dobywała binokli na jego widok.

Pojawiły się też pierwsze klientki. Ich każdorazowe wejście do pracowni oznajmiał wesoły dźwięk dzwonka przy drzwiach, który cieszył szczególnie Marię. Niekiedy, dla żartu, drzwi otwierały dzieci mieszkające w sąsiedztwie. Uciekały potem co sił w nogach nie wiedząc, że panny Lament – z myślą o nich właśnie – trzymały stale w pogotowiu... pudełko z cukierkami.



Tercjarka

Zbliżała się jesień. W pogodniejsze dni w powietrzu unosiły się srebrne nitki babiego lata. Przybywało jednak i tych mglistych, deszczowych, a ludzie na ulicach coraz bardziej kulili się z zimna. Ich widok szybko uprzytomnił Bolesławie właściwy cel, dla którego przyjechała do Warszawy.

Pewnego ranka wybrała się na ulicę Miodową do kościoła Przemienienia Pańskiego, by – jak to sugerował ksiądz Mścichowski – nawiązać kontakt z ojcem Honoratem Koźmińskim, kapucynem. Święty ten zakonnik prowadził już od dawna, bo od czasu wejścia w życie nieszczęsnego ukazu cara Aleksandra o kasacie zakonów, ożywioną działalność apostolską, a służył mu do niej – konfesjonał. Podczas spowiedzi kontaktował się z wybranymi penitentami i tak kształtował ich duchowe wnętrza, aby potem oni sami mogli odnawiać w duchu Ewangelii środowiska, w których żyli. Zakładał też, co wydało się Bolesławie szczególnie interesujące, nowe wspólnoty zakonne, których członkowie, choć zewnętrznie niczym nie wyróżniali się z tłumu, odgrywali znaczącą rolę w życiu publicznym. W ten sposób zainicjował całkiem nowy styl życia poświęconego Bogu. To, gdzie ten niezwykły konfesjonał się znajdował, miała właśnie ustalić.

– Mogę panience powiedzieć, bo to żadna tajemnica – odparł ksiądz, którego zastała na miejscu. – Ojciec Honorat przebywa

wraz z pozostałymi zakonnikami w Nowym Mieście nad Pilicą. I dobrze go w tamtejszym klasztorze pilnują – dodał z przekąsem. – Żandarmi wchodzą podobno, kiedy tylko chcą, o każdej porze dnia, i to nie tylko do klasztoru, ale i do *refektarza* w czasie posiłków. Mimo to ludzie i tak do niego jeżdżą. Choć ich tam legitymują i śledzą jak jakichś przestępców. Jeżdżą, bo czują instynktownie, że to święty człowiek, bo chcą pogłębić swoje życie religijne, a niekiedy i całkiem poświęcić się Bogu. A pani, przepraszam, do których się zalicza?

– Do tych drugich – odparła bez namysłu, ośmielona miłym przyjęciem.

Pokiwał głową trochę ze zrozumieniem, a trochę ze współczuciem.

– W takim razie trzeba jechać do Nowego Miasta. Tylko ostrożnie, bo niebezpiecznie się zrobiło w ostatnim czasie.

– Wiem. To pewnie w związku z tym zamachem na generała gubernatora Hurkę...

– To był zamach bombowy – objaśnił z nagłym ożywieniem. – A zdarzył się dwa kroki stąd, w cerkwi Uspieńskiej, o tam! – wyciągnął przed siebie rękę. – Gdzie się przedtem bazylianie modlili... Zamach się nie udał, gdyż bomba została prawdopodobnie źle skonstruowana. Ale hurgotu narobiła co niemiara. Zdaje się, że nawet kilku wyższych urzędników gubernatora uczestniczących w nabożeństwie odniosło obrażenia. Szukają teraz tego młokosa, który zrobił tę piekielną machinę. Nazywa się, jeśli dobrze pamiętam... Ignacy Mościcki.

Raz jeszcze spojrzął na Bolesławę.

– Życzę pani szczęścia – powiedział. – A przy okazji proszę pozdrowić ojca Honorata.

Dotrzeć do Nowego Miasta nad Pilicą wcale nie było łatwo, choć leży ono niecałe sto kilometrów od Warszawy. Bolesława zostawiła pracownię pod opieką rodzeństwa i udała się, tak jak jej poradzono, najpierw koleją do Skierniewic. Tam czekała przeszło godzinę na konie pocztowe do Rawy Mazowieckiej, a kiedy i ten odcinek trasy przebyła szczęśliwie, zostało jej do pokonania już tylko trzydzieści kilometrów. Dobrze, że trafił się furman, który zawiózł ją na miejsce swoim rozklekotanym wozem.

Aby nie wzbudzać podejrzeń żandarmów od razu skierowała się w stronę konfesjonału, w którym, jak zdążyła się zorientować, spowiadał ojciec Honorat.

Ten z wielką uwagą wysłuchał jej spowiedzi oraz wszystkiego, co miała do powiedzenia, po czym zapytał:

– To gdzie teraz mieszkasz? Na Pradze? To dobrze. To bardzo dobrze... Jest tam w kościele świętego Floriana tercjarstwo franciszkańskie. Zgłoś się do nich. To – na początek. O resztę zatroszczy się Duch Święty. O ile oczywiście postawisz modlitwę na pierwszym miejscu... Niech całe twoje życie będzie odtąd: zdążaniem do Chrystusa, wychodzeniem z Chrystusem i wracaniem do Chrystusa. Zapamiętasz? Iść masz do Niego – przez modlitwę, wychodzić z Nim – przez działanie, a powracać do Niego – przez skupienie... Jesteś krawcową? Co? I nauczycielką?... To doskonale. Podziękuj za to Bogu i bądź dobrej myśli. Będę się modlił w twojej intencji... Teraz żałuj za grzechy. Dam ci rozgrzeszenie i wyznaczę pokutę.

Ściemniało się, kiedy wyszła z kościoła. Wiał silny wiatr i najwyraźniej zanosilo się na burzę.

– Pani idzie za mną – usłyszała nagle czyjś mocno schrypnięty głos.

Obejrzała się. Stara kobiecina owinięta w zgrzebną kraciatą chustę powtórzyła wezwanie raz jeszcze, dodając ze zniecierpliwieniem:

– Dzisiaj i tak pani stąd nie wyjedzie. Prześpi się pani u mnie, a rano mąż zawiezie panią, dokąd trzeba. Zmachana pani niemożliwie, przecież widzę. Chodźmy już!

To powiedziawszy, ruszyła przodem.

Bolesława uśmiechnęła się w myśli do swojego Anioła Stróża. Była tak zmęczona, że woda nie zdążyła się zagotować na herbatę, jak zasnęła kamiennym snem na posłaniu wskazanym przez starszkę.

Po powrocie do Warszawy udała się niezwłocznie do kościoła Świętych Michała Archanioła i Floriana Męczennika i została tercjarką franciszkańską. Znalezienie się we wspólnocie bratnich dusz podziało na nią niczym ożywcza kąpiel, a wezwanie świętego Franciszka: „Kochajcie miłość, bo miłość nie jest kochana”, towarzyszyło jej odtąd każdego dnia.

Reguła tercjarska nie zobowiązywała Bolesławy ani do nadzwyczajnych praktyk, ani do spełniania jakichś wielkich dzieł. Być tercjarką znaczyło: być w świecie zakonnicy żyjącą w ukryciu na wzór Jezusa z Nazaretu. Znaczyło: prowadzić życie pełne prostoty i ubóstwa. Znaczyło: żyć Ewangelią i przybliżać ją innym.

Żyła więc Ewangelią, wiodła życie pobożne, a na skromne utrzymanie zarabiała szyciem. Jednak o tym, by zgodnie z zaleceniem księdza Mścichowskiego podjąć również pracę apostolską wśród dzieci i młodzieży, myślała ciągle z dużą rezerwą. Czuła instynktownie, że jej miejsce jest pośród ludzi bezdomnych i odrzuconych, ludzi zepchniętych na margines społeczny. Liczba ich ciągle rosła, tymczasem towarzystwa dobroczynne działające przy parafiach nie były w stanie uporać się z ludzką nędzą. Żebractwo, o czym mogła się przekonać na własne oczy, stało się dla niektórych zawodem. Przepelnione były także przytułki dla bezdomnych.

W pięciu z nich, o sympatycznej nazwie „Przytulisko”, zatrudnione były siostry franciszkanki od cierpiących, które tworzyły jedno z owych ukrytych zgromadzeń założonych przez ojca Honorata.

Kiedy przy kolejnym spotkaniu Bolesława zwierzyła się ojcu Honoratowi z chęci podjęcia pracy w takiej właśnie placówce, ten polecił jej, by jako osoba świecka poczyniła odpowiednie kroki w tym kierunku. Widząc zaś jej szybki postęp w życiu duchowym, wyznaczył ją na przełożoną tercjarek w kościele świętego Floriana.

Zachęta ojca Honorata stała się dla Bolesławy bodźcem do niezwłocznego działania. Postanowiła znaleźć jak najszybciej przytułek, w którym mogłaby rozpocząć pracę. Będąc od początku dobrej myśli ustaliła z Marią, że od jesieni do wiosny będzie zajęta wyłącznie bezdomnymi, natomiast w miesiącach letnich, kiedy noclegownia będzie nieczynna, dołoży starań, aby jej z kolei dać odpocząć od zajęć krawieckich.

Maria zgodziła się, chociaż w głębi duszy nie bardzo wierzyła, że siostrze uda się zrealizować ten „dziwaczny”, jak to określiła, plan. W przekonaniu tym utwierdziła się jeszcze bardziej, gdy do tych pierwszych obaw dołączyły wkrótce odmowy, z jakimi Bolesława spotkała się w stołecznych urzędach.

– Nie od razu Kraków zbudowano. W końcu i do mnie uśmiechnie się los, przekonasz się – zapewniała Bolesława, nie tracąc nadziei. – To tylko kwestia czasu.

Jednak po upływie dwóch tygodni i ona zaczęła mieć wątpliwości. Trudno zresztą było ich nie mieć. Wszystkie instytucje dobroczynne znajdowały się pod zarządem generała Klejgelsa, szefa rosyjskiej policji, i wszystkie informowały zgodnie, że nie potrzebują pracowników.

Jakże się więc zdumiała, kiedy pewnego dnia „Gazeta Warszawska”, którą obie z Marysią czytały dosyć regularnie, zamieściła

wiadomość o mającym nastąpić niebawem ponownym otwarciu jednego z przytułków dla bezdomnych.

– Przy ulicy Petersburskiej 7? – zdziwiła się. – Ależ to bardzo blisko!

Narzuciła płaszcz i nie namyślając się ani chwili wybrała się do zarządu Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Oferta pracy, którą tam zostawiła musiała spełniać stawiane wymagania, a ona sama wyrzuciła korzystne wrażenie na członkach zarządu, bowiem już kilka dni później powierzono jej obowiązki kierowniczkę domu noclegowego.

Maria długo nie mogła ochłonąć z wrażenia.

– No wiesz, nigdy bym nie pomyślała – mówiła, spoglądając na siostrę z podziwem. – Chyba i ja zacznę zwracać się do ciebie... pani kierowniczo!

Dom noclegowy przy ulicy Petersburskiej 7 był, o czym Bolesława wówczas jeszcze nie wiedziała, jedną z najtrudniejszych placówek w Warszawie. Sąsiedował z parkiem Aleksandrowskim, ulubionym miejscem spotkań najgroźniejszych przestępców stolicy, gdzie nawet w biały dzień dochodziło do krwawych bójek. Zamieszani w te bójki bandyci, poszukiwani niejednokrotnie przez policję, już samym swoim wyglądem budzili odrazę, często też nosili przy sobie broń.

Wśród takich właśnie ludzi – cuchnących, upośledzonych i prowadzących rozwiązłe i przestępcze życie – podjęła pracę Bolesława. Ta, która jeszcze nie tak dawno marzyła o zaszczytnym miejscu w klasztornej celi. Troszczyła się o niezbędne środki utrzymania i opała na zimę, starała się o pożywienie i odzież. Zdarzało się, że pracowała fizycznie, doprowadzając do ładu pomieszczenia, które pozostawiano zwykle w straszliwym stanie.

Fundusze, jakie otrzymywała na prowadzenie noclegowni od oberpolicmajstra Klejgelsa były znikome. Podobnie znikome okazały się dotacje pochodzące z Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Sytuację ratowały zbiórki prowadzone przez tercjarzy, lecz ich działalność napotykała na coraz większe trudności ze strony władz carskich, które we wszystkim dopatrywały się podstępny i w każdej tego typu akcji wietrzyły spisek.

Trudności te nie zniechęciły Bolesławy. Nie poprzestała też wyłączenie na potrzebach doczesnych swoich podopiecznych. Działalność apostolską rozpoczęła od chrztu kilkuletniego Pawełka, który zjawił się kiedyś w środku nocy z wycieńczoną i ciężko chorą matką. Jeśli przeżyli, to tylko i wyłącznie dzięki troskliwej i serdecznej opiece Bolesławy. Potem przyszła kolej na spowiedź kilku młodych kobiet, które udało się jej zachęcić do rozpoczęcia lepszego życia. Od tej pory coraz więcej osób zwracało się do niej ze swoimi problemami, coraz więcej też przystępowało do sakramentów świętych.

Bywało, że powiadomiona o czyjejs biedzie, odwiedzała chorych w ich mieszkaniach. Te mieszkania, przypominające najczęściej nędzne spelunki, były dla wielu prawdziwym rajem. Zanosila ludziom przykutym do łóżka jakąś zupę, czasem lekarstwa i cierpliwie słuchała ich smutnych zwierzeń.

Maria podziwiała Bolesławę. Któregoś dnia porównała ją do świętej Róży z Limy.

– Ona też była tercjarką, tyle że dominikańską – oznajmiła z przymilnym uśmiechem. – Spędzała dużo czasu na postach, umartwieniach i modlitwie. Żyła surowo i podobnie jak ty, siostrzyczko, pomagała chorym i ubogim. A jednak... trudno mi ją sobie jakoś wyobrazić w twojej noclegowni! – roześmiała się, chyląc przed siostrą głowę w pełnym szacunku ukłonie.

Bolesława przerwała prasowanie żakietu, po który nazajutrz miała się zgłosić jedna z klientek, i spojrzała na Marię zdziwiona.

– A czemuż to nie miałabym robić tego, co robili przede mną święci? – zapytała w nagłym ożywieniu. – Czyż nie jesteśmy wszyscy stworzeni do świętości?

Była już późna pora, a ona czuła się wyjątkowo zmęczona. Pomimo tego zmęczenia przytuliła Marię i wyczarowała specjalnie dla niej na dobranoc prawdziwie radosny, siostrzany uśmiech.

Nadeszły pierwsze przymrozki. W noclegowni obydwu pomieszczenia, zarówno to dla kobiet, jak i to dla mężczyzn, były przepełnione. Na starych siennikach, zasłanych słomą pryzach i wokół nich pełno było ludzi zarośniętych, zawszonych, zalatujących nieznośnym odorem brudu. Niektórzy, odziani w łachmany, mieli na nogach zamiast butów onuce zrobione ze szmat.

Kiedy pojawiał się ktoś obcy, zachowywali się na ogół spokojnie. Inaczej było, gdy zostawali sami. Wówczas nieraz dochodziło do kłótni, a nawet do ostrej walki o lepsze miejsce do spania, skradziony węzełek czy kromkę chleba zagrzebaną w słomie. Bolesława czuwała nad utrzymaniem porządku. Gorąco też pragnęła przywrócić tym na wpół zdziczałym istotom poczucie godności i skierować ich myśli ku Bogu.

Dla mniej zdemoralizowanych, których zwykła bieda wygnała na ulicę, zaczęła prowadzić wspólne modlitwy, przeplatając je krótkimi pouczeniami. Byli tacy, którym te słowa trafiały do serca, większość jednak słuchała ich z tępym wyrazem twarzy, obmyślając kolejne szachrajstwa. Martwiło ją to, ale nie rezygnowała. Nawet wówczas, gdy ktoś rzucił pod jej adresem jakieś przykre słowo.

– Słusznie mówi Księga Przysłów, że lenistwo jest matką głodu – powiedziała kiedyś, gdy wróciła do domu po całodniowej harów-



ce. – Większość z nich tak się już przyzwyczaiła do żebractwa i występnej życia, że słyszeć nie chce ani o uczciwej pracy, ani o porzuceniu nałogów.

Był wśród tych typów spod ciemnej gwiazdy jeden, który sprawiał jej szczególnie dużo kłopotu. Mówiono o nim: Waluś-nożownik. Miał na swoim koncie już niejednen wyrok zakończony pobyt w więzieniu, dlatego wszyscy omijali go z daleka. Woleli odstąpić mu porcję chleba albo zdatniejszy koc do przykrycia, byle tylko nie mieć z nim do czynienia. Waluś miał trzech synów, takich samych jak on bandziorów, którzy trudnili się złodziejstwem i włamaniami. Wszyscy spędzali noce grzecznie w przytułku, a skoro świt szli do „pracy”, czyli na rozbój.

Do Bolesławy zwracał się pogardliwie „jaśnie paniusiu” albo „brelantowa szefowa”. Drażniła go jej delikatność i pobożność, najbardziej zaś to, że nie reaguje na jego zaczepki. Spluwał więc za siebie z obrzydzeniem ilekroć na nią patrzył, albo klął szpetnie, tak żeby wszyscy słyszeli. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, że to czysta miłość bliźniego każe jej ponosić te i inne ofiary dla takich jak on wykolejeńców.

Nadszedł jednak dzień, kiedy Pan Bóg dał mu zobaczyć Bolesławę w całkiem innym świetle. Było to tuż przed świętami Bożego Narodzenia, gdy wrócił z „pracy” paskudnie pobity i pocięty nożem. „Jaśnie panusia” nie tylko opatrzyła mu wszystkie rany, ale jeszcze ukryła go przed żandarmem. A kiedy dostał wysokiej gorączki, sprowadziła lekarza i pielęgnowała go dotąd, aż całkiem wyzdrowiał.

Waluś-nożownik tak się tą opieką Bolesławy przejął, że o swoim cudownym uzdrowieniu za jej przyczyną zaczął wszystkim wokoło głośno rozpowiadać. Nawet pacierze sobie przypomniał i synów

migiem wyuczył, a „brelantową szefową” chciał odtąd nosić na rękach. Ona jednak poprosiła go, żeby raczej przestał nosić przy sobie nóż. Na to zgodzić się nie chciał, przynajmniej nie tak od razu.

Ojciec Honorat, z którym Bolesława dzieliła się swoimi niełatwymi doświadczeniami, bardzo zachęcał ją do dalszego odważnego pełnienia woli Bożej.

– Wola Boża – mówił – tak mocno nas czasami krzyżująca, nigdy nie przestaje być aktem miłości, gdyż to Bóg jest miłością.

Dobrze zapamiętała te słowa.

Kiedy więc Maria, która nie mogła się nadziwić jak przedziwną drogą Bóg ją prowadzi, zapytała pewnego razu, co właściwie jest jej powołaniem, odparła:

– Moim powołaniem jest pełnienie woli Bożej. W niej jest wszystko i ja w niej jestem.

Zaraz na początku 1893 roku przyjechał z Łowicza Stefan, przystojny szatyn o nieco marzycielskim spojrzeniu. Miał się przygotować do rozpoczęcia nauki w warszawskim gimnazjum. Naukę finansował ojciec, dumny z syna gimnazjalisty. O tym, że Stefan zamierza po ukończeniu szkoły wstąpić do seminarium, nic na razie nie wiedział. Stefan powiedział o tym jedynie siostrze, i to w tajemnicy. Bolesława ogromnie się tym wyznaniem brata przejęła i postanowiła wspierać go odtąd codzienną modlitwą i ofiarą. Myśl o bracie kapłanie dodawała jej sił i pozwalała patrzeć w przyszłość z jeszcze większym optymizmem.

Gimnazjum Praskie, będące klasycznym gimnazjum męskim, mieściło się u zbiegu ulic Moskiewskiej i Aleksandrowskiej, a więc bardzo blisko pracowni panien Lament. Powstało z inicjatywy Juliana Różyckiego, tego samego, który organizował słynny na całą Warszawę bazar, a nauka trwała w nim osiem lat. Lekcje

odbywały się trzy razy w tygodniu. Chłopcy już od pierwszej klasy uczyli się łaciny, a w następnych klasach także greki, języka staro-cerkiewno-słowiańskiego oraz niemieckiego albo francuskiego, do wyboru.

Stefan, któremu w gimnazjalnym mundurku było wyjątkowo do twarzy, po pierwszych dniach spędzonych w szkole wyglądał na lekko sfrustrowanego.

– Ledwo nas przyjęli – opowiadał siostrze – a już nas kwalifikują: jedni na dodatkowe lekcje śpiewu, drudzy na dodatkowe lekcje muzyki. A jak ja nie mam ani głosu ani słuchu, to co? Możecie sobie wyobrazić, jak się zdenerwowałem. Tylko że zaraz potem okazało się – dodał z uśmiechem – że moi koledzy okropnie zazdrościli mi tych defektów. A co sprytniejsi, żeby wymigać się przed tymi dodatkowymi zajęciami, specjalnie śpiewali baranym głosem...

Słyszając to Maria, parsknęła śmiechem.

– I ty chcesz zostać księdzem?! – zawołała. – Nie mając głosu? Ani słuchu? To jak w takim razie zaśpiewasz *In saecula saeculorum*, żeby ci wierni mogli odpowiedzieć: „Amen”?

Stefan poczerwieniał.

– Nic nie rozumiesz – odparł. – Kiedy śpiewam w kościele, wydaje mi się, że robię to nie najgorzej, ale przed komisją... Im przecież chodziło o występ! O chór! O zespół muzyczny! Wyobrażasz sobie mnie w chórze, w orkiestrze dętej albo w zespole smyczkowym?

– No nie – przyznała. – Tego wolałabym raczej oszczędzić i sobie, i naszym kochanym rodzicom.

Rodzice zamierzali przyjechać do Warszawy jak tylko zrobi się trochę cieplej, ale nie przyjechali. W kraju wybuchła niespodziewanie epidemia cholery. Zbliżała się także do Łowicza. Ludziom

zabroniono przemieszczać się z miasta do miasta. Zabroniono nawet pisać listy.

Z nastaniem wiosny, gdy noclegownia została czasowo zamknięta, Bolesława ze zdwojoną energią zabrała się do szycia. Zamówień nie brakowało, więc z opłaceniem lokalu nie było problemu. Nie brakowało też pieniędzy na skromne utrzymanie. Zwłaszcza po ukazaniu się ogłoszenia na łamach „Kuriera Codziennego”, w którym panny Lament zapraszały eleganckie panie do swojej pracowni. Bolesława służyła fachową radą, podpowiadała rodzaj materiału i przekonywała cierpliwie, że suknie powinny nieco bardziej odsłaniać stopy. A czyniła to w sposób tak uprzejmy i taktowny, że panie nie tylko odchodziły zadowolone, ale jeszcze polecały jej usługi znajomym.

Również rodzeństwo cieszyło się, że Bolesława więcej czasu spędza w domu. Maria miała nareszcie z kim paplać o swoich dziewczynskich sprawach, Stefan miał się komu poskarżyć na surowych i wymagających nauczycieli. Jedynie Antoni był od jakiegoś czasu dziwnie tajemniczy i milczący. Coraz częściej też wracał z pracy dopiero pod wieczór, kiedy zaczynało się już ściemniać.

– Mam zamiar się ożenić – powiedział wreszcie pewnego dnia przy kolacji.

Wiadomość ta wywarła na wszystkich piorunujące wrażenie. Głównie dlatego, że nikt się jej nie spodziewał.

– Ale chyba nie z Polą Drużbicką? – zapytała nieśmiało Maria, przypomniawszy sobie jak zaraz po przyjeździe smalił do niej cholewki.

– Z Polą? – roześmiał się. – Gdzie mi tam do niej! Albo to ja jaki profesor czy inny doktor? Z Helenką chcę się żenić, Jachimską, która w mydlarni pracuje na Ząbkowskiej. Z matką we dwie mieszkają, mógłbym się więc przenieść do nich po ślubie. Dobra

z niej dziewczyna, a do tego – z duszą! Na pewno wam się spodoba...

– U Lamentów, Antosiu, wszystko jest z duszą! Nawet żelazko! – przerwała mu Maria, zadowolona z żartu.

Antoni pogroził jej na znak, że starszym się nie przerywa, po czym spoglądając na Bolesławę dokończył:

– Chyba nie będziecie mi mieli za złe, że was opuszczę?

Bolesława nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż Maria i tym razem okazała się szybsza.

– Za złe?! – wykrzyknęła. – Antosiu złoty, co też ci przyszło do głowy! Powiedz lepiej, kiedy wreszcie zobaczymy tę twoją cud-Helenkę?

Do spotkania doszło nawet dosyć szybko, jednak ze ślubem młodzi postanowili wstrzymać się do czasu, aż minie zaraza i rodzice będą mogli przyjechać do Warszawy.

Czekali cierpliwie, tymczasem zewsząd dochodziły niepokojące wiadomości o kolejnych ofiarach tej strasznej choroby. Minęła jesień i zima. Zaczął się nowy 1894 rok, a zaraza nadal szalała. Zabrała wielu zacnych ludzi. Zabrała też Marcina Lamenta. Zmarł 22 lipca, mając pięćdziesiąt osiem lat.



Rodzinna fotografia

Utrata ukochanego męża była dla pani Łucji niezmiernie bolesnym ciosem. Odkąd dzieci przeniosły się do Warszawy, mieszkali w Łowiczu już tylko we dwoje i czuli się ogromnie szczęśliwi. Przeżywali, jak powiadali, swoją drugą młodość. Po śmierci Marcina, przedwczesnej i poprzedzonej długą chorobą, w czasie której pani Łucja pielęgnowała go z narażeniem własnego życia, nagle została sama. Dom wydał jej się zimny i pusty. W żaden sposób nie mogła sobie znaleźć w nim miejsca. Wszystko, czego się tylko dotknęła, przypominało jego drogą osobę i odnawiało boleść.

W tej sytuacji Bolesława postanowiła sprowadzić matkę do Warszawy. Jeszcze tego samego roku pomogła jej zlikwidować zakład szewski i sprzedać dom. Czuła się odpowiedzialna za nią i za młodsze rodzeństwo, zwłaszcza za Stefana.

Znalazszy się blisko dzieci, pani Łucja nadspodziewanie szybko odzyskała siły i radość życia. Od tej pory Maria zajmowała się wyłącznie krawiectwem, Bolesława pomagała siostrze w miarę możliwości i prowadziła noclegownię, ona zaś przejęła obowiązki gospodyni – zarządzała kuchnią i dbała o porządek. A ponieważ cała jej dorosła trójka – Bolesława, Maria i Antoni – udzielała się w tercjarstwie, i ona włączyła się wkrótce w tę działalność z wielkim zapałem.

W domu trwała jeszcze żałoba, kiedy któregoś dnia zaproponowała dzieciom, aby wybrały się wraz z nią do fotografa. Nie mo-

gła odżałować, że pomysł ten nie przyszedł jej do głowy wcześniej, gdyż brak fotografii męża potęgował tylko cierpienie jej kochającego serca.

Rodzinna fotografia, wykonana w pracowni artystycznej Libnika przy ulicy Targowej 33, na której oprócz niezwykle pięknej mamy znaleźli się także w dystygowanych pozach: Bolesława, Antoni, Maria i Stefan, stała odtąd na kredensie w ozdobnej ramce. Brakowało na niej jedynie Stasi, tak się bowiem złożyło, że przebywała akurat w tym czasie w jednej z odległych placówek Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi.

Warszawa rozrastała się i tętniła życiem. Przybywało mieszkańców, powstawały nowe dzielnice. Po ulicy Targowej jeździły wprawdzie nadal tramwaje konne, ale za to coraz głośniej mówiło się o elektrycznym oświetleniu. Kobiety domagały się praw równych mężczyznom, a „Emancypantki” Bolesława Prusa czytane były z zapartym tchem zarówno przez dorastające panienki, jak i przez sędziwe matrony. Nędza mieszała się na każdym kroku z dobroczynnością. Do tego jeszcze ogarnął warszawiaków istny szal spirytystyczny, a seanse z wywoływaniem duchów stały się jedną z głównych atrakcji spotkań towarzyskich. Ludzie masowo odchodzili od Boga, mieli więc księża o czym mówić w swoich kazaniach.

Bolesława przypatrywała się temu wszystkiemu z zainteresowaniem i zadumą. Świat zmieniał się na jej oczach. Po śmierci cara Aleksandra III do Zamku Królewskiego zjechał nowy rosyjski gubernator – hrabia Paweł Szuwołow. Jego zgoda na budowę pomnika Adama Mickiewicza, podobnie jak hojny dar nowego cara Mikołaja II na budowę politechniki zaskoczyły warszawiaków, ale ich na szczęście nie omamiły. I bardzo dobrze, ponieważ zaledwie rok później władze carskie postawiły inny, tym razem haniebny

pomnik w Wilnie. Był to pomnik rosyjskiego generała Michaiła Murawiewa, słynnego „wieszatiela”, który zasłynął ze szczególnego okrucieństwa i nienawiści wobec Polaków.

Stefan, który zbliżał się powoli do matury, był tak jak Bolesława zaniepokojony sytuacją w Ojczyźnie. Niepokojące były zwłaszcza nastroje rewolucyjne, które wyraźnie przybierały na sile. Zamieszki na uniwersytecie, czy te pod pomnikiem Mickiewicza, wynikały z pobudek patriotycznych, ale kończyły się zawsze tak samo: wzywały młodych Polaków do solidarności z rewolucyjnym ruchem w Rosji. Stefan nie chciał rewolucji. Marzył o wolnej Polsce i gotów był oddać za nią życie, ale nie u boku rosyjskich rewolucjonistów.

– Nikt mnie nie przekona, że w rewolucji jest nasze wybawienie – mówił rozdrażniony. – Wszystkie nasze idee wolnościowe i zrywy powstańcze zawsze były Rosji na rękę, może nie? Ubywało najszlachetniejszych synów Ojczyzny, a oni, Moskale, mieli tylko dodatkowy pretekst, żeby jeszcze mocniej zacisnąć nam pasa, ograniczyć swobody i dotkliwiej prześladować Kościół.

Maria podzielała zdanie Stefana.

– Masz rację – powiedziała. – Odwaga musi wyrastać z mądrości.

I przytoczyła fragment wiersza Adama Asnyka:

*Miejcie odwagę!... Nie tę tchmącą szalem,
Która na oslep leci bez oręza,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża...*

– Sama widzisz! – ucieszył się Stefan. – A co te typki proponują? Do czego nas to tałatajstwo, z przeproszeniem, ciągnie?!

– Może nie będzie tak źle – odezwała się matka, przytulając do serca rozgorączkowaną głowę syna. – Nie trzeba się tak wszystkim martwić na zapas. Pomyśl lepiej, jaką piękną przyszłość masz przed sobą. A właśnie, czy złożyłeś w końcu te papiery do seminarium?

Stefan jęknął żałośnie.

– Nie, ale na pewno zdążę – odparł zniecierpliwiony. – Mam teraz na głowie egzaminy z greki i francuskiego.

Pani Łucja spojrzała na syna z miłością.

– Jestem pewna, że dasz sobie radę – uśmiechnęła się. – A tymczasem... Proszę zabrać mi ze stołu te podręczniki. Pora na podwieczorek.

Dogadzała mu jak tylko potrafiła, przekonana, że wszedłszy na drogę kapłańską dosyć będzie miał okazji do umartwienia.

Siedzieli przy stole, kiedy nadeszła Bolesława. Była ożywiona i upojona pierwszymi podmuchami wiosny. Po śniegu nie było już śladu, słońce świeciło jak w środku lata, a na ulicach pojawiły się babacie sprzedające pierwiosniki.

– W noclegowni prawie pusto – powiedziała siadając obok Stefana. – Za to zwiększyła się liczba amatorów talerza darmowej zupy. Nawet pan Bolesław Prus, który zafundował sobie wycieczkę po warszawskich przytułkach, załapał się na nią dzisiaj...

– Pan Prus?! – zawołała Maria, zaglądając siostrze w oczy z niedowierzaniem. – Widziałas go?

– Tak jak ciebie. Talerz z zupą też wręczyłam mu osobiście, jeśli chcesz wiedzieć.

– A on?! Co o n na to? – pytała dalej Maria.

– Podziękował i uśmiechnął się do mnie.

– Szczęściara!

– Owszem, szczęściara, bo dla wszystkich starczyło i nikt nie odszedł głodny – stwierdziła rzeczowo. – Pieniądze się kończą,

a nieczęsto zdarzają się tak hojne osobistości jak pan Jan Ignacy Paderewski, który ofiarował ostatnio dla biedaków 500 rubli!

Nagle spojrzała na Stefana. Chmurne czoło brata przypomniało jej natychmiast o jego maturalnych zmaganiach.

– I co tam w szkole? – zagadnęła wesoło. – Jak się miewa żyjąca w zgodzie i miłości gimnazjalna klasa mojego braciszka, która, jak mi wiadomo, składa się z katolików, prawosławnych i protestantów?

Stefan rozpogodził się.

Był to jeden z tematów, które oboje lubili najbardziej. On dlatego, że zdążył się już zaprzyjaźnić z paroma chłopakami innych wyznań, choćby z Erykiem, Lonią czy Borysem. Bolesława – ponieważ sprawa chrześcijan odłączonych od Kościoła interesowała ją od dawna, i to coraz bardziej.

– Ach, gdyby tak ci, którzy się odłączyli, zechcieli znowu powrócić do Kościoła – westchnęła głośno. – Gdyby tak można było p o z s z y w a ć to, co zostało rozdarte. Jaka wielka byłaby wówczas radość w niebie! Jaka radość na twarzy Pana Jezusa...

Te ostatnie słowa wypowiedziała patrząc na Stefana wzrokiem pełnym nadziei.

Ale Maria roześmiała się.

– Mówisz jak krawcowa! – zawołała. – Ciekawe, jakim ściegiem chciałybyś dokonać tej sztuki?

– Nieważne, jakim ściegiem – odparła Bolesława bez namysłu. – Ważne, żeby to szycie robione było... serdeczną nitką.

– Serdeczną nitką? – powtórzyła Maria zaskoczona.

Nie śmiała się już jednak, gdyż i do niej dotarł z wielką mocą głęboki sens słów Bolesławy.

Myśl o pojednaniu podzielonych chrześcijan nie odstępowała odtąd Bolesławy na krok. Towarzyszyła jej w przytułku i podczas

tercjarskiej kwesty, w drodze do wegetujących w cuchnących rudkach nędzarzy, i gdy ślęczała nocami przy maszynie do szycia.

– Gdybym tylko wiedziała, jak się do tego zabrać – zwierzyła się ojcu Honoratowi podczas kolejnego pobytu w Nowym Mieście. – Gdybym wiedziała, doprawdy, nie szczędziłabym sił!

Ojciec Honorat przyjął wyznanie Bolesławy do wiadomości, ale jak ma się zabrać do dzieła, o którym mówiła z takim zapałem, nie powiedział. Skierował ją w tej kwestii do Pana Jezusa.

– Jeśli Pan Jezus zechce powierzyć ci to zadanie, z pewnością ci to oznajmi – oświadczył podekscytowanej penitencie.

Nasłuchiwała więc Bożego głosu i z nadzieją spoglądała na cerkiew Świętej Równiej Apostołów Marii Magdaleny, do której każdej niedzieli ciągnęli prawosławni, a jej wiara rosła z każdym dniem.

Zbliżało się lato 1900 roku. W niedzielę, 6 czerwca, pani Łucja przygotowała szczególnie wykwintny obiad. Upiekła nawet sernik wiedeński, za którym przepadały wszystkie jej dzieci, nie tylko ła-such Antoni. Ten ostatni miał się zjawić tego dnia z żoną i córeczką Kazią. Dziewczynka była tak rozkoszna, że zdążyła już zawojsować babcię i obie ciotki, które stroiły nieustannie małą elegantkę.

Goście przybyli punktualnie i tak się zrobiło gwarno i wesoło, że nikt jakoś nie zauważył nieobecności Stefana. Dzień był upalny, a on, zaliczywszy już wszystkie egzaminy, wybrał się z przyjaciółmi zaraz po Mszy Świętej nad Wisłę. Lubił pływać i był, trzeba przyznać, niezłym pływakiem, co stanowiło niewątpliwą zasługę ojca, który nieraz zabierał swoich synów nad Bzurę, gdzie mieli ulubione miejsca do kąpiei. Nurkowali wtedy namiętnie, albo urządzali sobie zawody pływackie. Stefan pielęgnował te wspomnienia w sercu ze szczególną troską, należały bowiem do nielicznych, jakie łą-

czyły go z surowym i raczej szorstkim w stosunku do niego ojcem.

Dopiero gdy zasiedli do stołu, a miejsce Stefana okazało się puste, pani Łucja powiedziała:

– No i proszę. A mówił, że się nie spóźni. I jak tu takiemu wierzyć? Ale Antoni szybko stanął w obronie brata.

– Bo to, proszę mamy, już kawaler jak się patrzy – odezwał się ze znaczącym uśmiechem. – Nie ma się co dziwić, że z młodymi woli przestawać. Ja w jego wieku...

– Ty w jego wieku – przerwała mu Bolesława karcącym tonem – myślałeś o wielu rzeczach, ale na pewno nie o tym, żeby wstąpić do seminarium.

– No nie – przyznał uczciwie. – Jakoś mi to nie przyszło do głowy. Ale dzięki temu macie teraz taaaki skarb! – zawołał, unosząc Kazię.

Dziewczynka roześmiała się rozkosznie, a zaraz potem złapała tatę mocno za szyję obiema rączkami.

W tej samej chwili przy drzwiach od ulicy rozległo się znajome brzęczenie dzwonka.

Bolesława wstała od stołu i spojrzała przez uchyloną kotarę, pewna, że to Stefan. Spojrzała i – struchlała. Na progu stał Eryk. Przerażony i ociekający wodą.

– Coś się stało? – zapytała, utkwiwszy wzrok w jego nieruchomych źrenicach. – Z e S t e f a n e m?!

Erykowi łzy puściły się z oczu.

– Stefan... u t o n ą !!... – wydusił w końcu z siebie, łkając głośno. – Chciał ratować Lonię i obaj poszli na dno!

Zbladła.

Jakiś straszliwy ból przeszył jej serce. Wszystkie myśli zdawały się wołać: „Nie! To niemożliwe! To tylko koszmarny sen!...”

Nie był to jednak sen.



Zaskakująca propozycja

Tragiczne wydarzenie, jakim była śmierć Stefana, Bolesława przeżyła w wewnętrznym spokoju. Bóg dał jej tę łaskę, mogła więc i tym razem stać się oparciem dla pogrążonej w rozpacz matki, która momentami zdawała się odchodzić od zmysłów. Odmawiała spożywania posiłków, dzień i noc siedziała przy trumnie. Tymczasem Stefan leżał w niej w woskowym blasku świec z delikatnym uśmiechem na ustach i wyglądał zupełnie tak, jakby chciał uspokoić ją i wszystkich, których kochał, że nie ma powodu do łez, że śmierć wcale nie jest końcem życia, że życie zmienia się, ale się nie kończy, trwa nadal i to – wiecznie.

Było już dobrze po północy, kiedy Bolesława zajrzała do pokoju i zastała matkę śpiącą w fotelu. Także Maria, znużona całodzienną krzątaniną, szykowała się już powoli do spoczynku. Przygotowania do pogrzebu zostały zakończone i następnego dnia w kościele Świętych Michała Archanioła i Floriana Męczennika miała zostać odprawiona Msza Święta żałobna.

Korzystając z ciszy, jaka zapanowała nagle w domu, Bolesława uklękła i zatopiła się w modlitwie. Płomyki świec drgały łagodnie, rozświetlając mrok. Zdziwiła się spokojem, jaki ją zewsząd otaczał. Zdziwiła się jego siłą. Był to ten sam spokój, który miała w sercu, a który, czuła to wyraźnie, mógł być jedynie pokojem samego Boga. Trwając w kontemplacji tak blisko ukochanego brata, ujrzała

nagle całe swoje dotychczasowe życie. Ujrzała je w widzeniu wewnętrznym z szybkością błyskawicy. Zobaczyła drogę, którą przeszła i swoje niezrealizowane powołanie zakonne. Zobaczyła je, gdy kierując wzrok na Stefana odczuła ból z powodu jego niezrealizowanego powołania kapłańskiego. Wówczas to, poruszona ogromnie, usłyszała w duszy Boży głos. Głos pełen dobroci, ale i pełen mocy, który zawierał słowa tak niezwykle i zaskakujące:

– Nie jego, ale t w e g o powołania pragnę...

Rozejrzała się, ale w pokoju oprócz śpiącej matki nie było nikogo. Wzruszona, ukryła twarz w dłoniach i jeszcze goręcej zaczęła się modlić. Tej samej nocy złożyła Bogu obietnicę, że powróci na drogę życia zakonnego.

Nie było to jednak takie proste. Złamana bólem matka potrzebowała wsparcia bardziej niż kiedykolwiek. Śmierć Stefana, z którym wiązała tak wielkie nadzieje, całkiem pozbawiła ją sił, a żałoba po nim odbiła się ciężko na jej zdrowiu.

Powrót na drogę życia zakonnego okazał się dla Bolesławy trudny także z innego powodu – wiązał się z wyborem zgromadzenia zakonnego. Jakie to miało być zgromadzenie, nie wiedziała. Jednego była pewna: ma jednoczyć chrześcijan. Słowa Pana Jezusa wypowiedziane przez Niego podczas Ostatniej Wierzerzy i Jego pragnienie, „aby wszyscy stanowili jedno” (J 17,21) rozpały jej serce niewyobrażalną chęcią działania.

„Panie Jezu – powtarzała w ufnej modlitwie – jeśli jest to rzeczywiście Twoją wolą, uczyni mnie swoim narzędziem. Uczyni mnie nim Ty sam. Wiesz przecież, że nic nie potrafię”...

Ojciec Honorat przypatrywał się powołaniu Bolesławy z nieślabnącym zainteresowaniem. Podtrzymywał ją także w wysiłkach zmierzających do powrotu na drogę życia zakonnego, ale zgromadzenia, w którym mogłaby to swoje powołanie w pełni zrealizować,

nie potrafił jej wskazać. Na terenie Imperium Rosyjskiego działało wprawdzie w tym czasie kilka założonych przez niego zgromadzeń o zbliżonym profilu, żadne jednak nie stawiało sobie za cel podstawowy pojednania zwaśnionych chrześcijan, jak tego pragnęła i przy czym tak zdecydowanie obstawała Bolesława.

Sytuacja okazała się na tyle skomplikowana, że postanowiła czekać. Czekać cierpliwie na znak z nieba, który byłby kolejnym nieomylnym zwiastunem woli Bożej.

Upalne lato 1902 roku dawało się we znaki najbardziej mieszcuchom. Mijały już dwa lata od śmierci Stefana, a pani Łucja ciągle niedomagała i coraz bardziej narzekała na duszności. Tęskniła za Łowiczem, za widokiem tamtejszych łąk, pól i ogrodów. Marzyła, by wybrać się chociaż na kilka dni do Katarzyny Pomorskiej, matki chrzestnej Bolesławy. Miała przecież w Łowiczu tylu przyjaciół i znajomych, których mogłaby przy okazji odwiedzić. Tych żyjących, i tych spoczywających na cmentarzu. I chociaż wyjazd ten pozostawał ciągle w sferze marzeń, cieszyła się nim ogromnie w głębi serca.

Odkurzała pewnego dnia rodzinne pamiątki i obmyślała, jak też ten jej pobyt w Łowiczu miałby wyglądać, kiedy nagle rozległ się dzwonek. Ponieważ Bolesława z Marią kwestowały od rana w mieście, zdjęła pospiesznie fartuch i przeszła do pracowni, by rozmówić się z niespodziewanym gościem. Okazała się nim wysoka brunetka, której paryska suknia, wyniosła postawa i sposób bycia pozwały przypuszczać, że jest to osoba z tak zwanych wyższych sfer.

– Mam przyjemność z panią Lament? – zapytała po zdawkowym powitaniu i obrzuciła gospodynię uważnym spojrzeniem.

– Tak, ale jeśli chodzi o uszycie sukni, to...

– Nie przysłam w sprawie sukni – przerwała nieznajoma. – Przysłam do panny Bolesławy.

– Do Bolesławy? Przykro mi, ale wróci dopiero wieczorem.

Nieznajoma była najwyraźniej rozczarowana.

– Nazywam się Leontyna Sianożęcka i przyjechałam z Mohylewa – oznajmiła. – Sądziłam, że uda mi się załatwić moją sprawę z ojcem Honoratem Koźmińskim, on jednak skierował mnie do pani córki.

Zdumienie na twarzy pani Łucji sprawiło, że roześmiała się i dodała z jeszcze większą swobodą:

– Ta pani córka to musi być nie byle kto! Dawno już nie słyszałam, żeby mówiono o kimś w tylu superlatywach...

Pani Łucja uśmiechnęła się na te miłe słowa i serdecznym gestem zaprosiła gościa do pokoju.

– Bolesia istotnie zasługuje na uznanie – przyznała. – Choć prawdę powiedziawszy, wszystkie moje córki są dla mnie powodem do dumy.

To mówiąc włączyła samowar, aby zaparzyć herbatę. Samowar był wyjątkowo ładny, toteż zwrócił natychmiast uwagę pani Sianożęckiej.

– Bolesia przywiozła go z Rosji – objaśniła pani Łucja. – Tam również robiła wielce pożyteczne rzeczy. W Sankt Petersburgu uczyła dziewczęta krawiectwa. Teraz uczy je tam moja córka Stasia. Najmłodsza, Maria, też jest krawcową.

Pani Sianożęcka zsunęła z palców ażurowe rękawiczki.

– No proszę – odezwała się. – Aż trzy krawcowe w rodzinie. Nic dziwnego, że wszystko dopięte na ostatni guzik. Nie to, co u mnie... Moje córki, hrabiny Potocka i Mielżyńska, choć talentów mają pod dostatkiem, przysparzają mi niestety wielu zgryzot. Zazdroszczę pani. Zgodna i udana rodzina to wielkie szczęście.

Pochwaliła herbatę z samowara, poczęstowała się cynamonowym ciasteczkiem i przeszła do głównego celu swojej wizyty.

– Droga pani – zaczęła, przybierając nieco bardziej oficjalny ton. – Sprawa wygląda następująco: posiadam w Mohylewie znaczny majątek ziemski i pragnę przeznaczyć pewne środki finansowe na szerzenie w tamtych stronach polskiej kultury i oświaty. Dwory ziemiańskie, jak zapewne pani wie, zawsze były ostoją polskości, a dwór Sianożęckich, mogę panią zapewnić, nigdy nie pozostawał w tyle. Otóż... Myślę o zorganizowaniu placówki dla dziewcząt, która łączyłaby charakter religijny z wychowawczym i patriotycznym, i potrzebuję kogoś, kto mi ją dobrze poprowadzi.

W sercu pani Łucji pojawił się nagle dziwny niepokój.

– Sądzi więc pani, że moja córka... – zaczęła niepewnie.

– Ojciec Honorat uważa, że nikt bardziej niż ona się do tego nie nadaje.

– Jednakże Bolesia nie należy do żadnego zgromadzenia zakonnego – zauważyła pani Łucja. – Jest osobą świecką.

– Mimo to bardzo na nią liczę – odrzekła stanowczym tonem pani Leontyna.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej wizytówkę hotelu Bristol, w którym mieszkała od kilku dni.

– Oto mój warszawski adres – oświadczyła. – Czekam na pannę Bolesławę jutro o dziesiątej.

Wizyta, choć krótka, wywarła na obu paniach duże wrażenie.

Pani Łucja z wielkim podnieceniem czekała na powrót córek. Była tak rozkojarzona, że nie tylko przesoliła zupę, ale całkiem zapomniała o ugotowaniu ziemniaków.

Wkrótce jej podniecenie udzieliło się także Bolesławie. Na próżno usiłowała dociec, dlaczego ojciec Honorat skierował panią Sianożęcką właśnie do niej. Wiedział przecież, że złożyła Bogu obietnicę, że zobowiązała się wrócić do życia zakonnego... „Ach, co robić? Co robić? – powtarzała raz po raz, by dodać sobie od-

wagi. – Czy ten nieoczekiwany wyjazd nie odsunie na dalszy plan myśli o klasztorze? – rozpamiętywała z trwogą. – Czy nie odsunie jej – na zawsze!?”

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Jednak modlitwa i zaufanie, jakim darzyła swego kierownika duchowego sprawiły, że udała się na wyznaczone spotkanie spokojna i pełna dobrych myśli.

Hotel Bristol, mieszczący się przy Krakowskim Przedmieściu już prawie od roku, był najbardziej luksusowym hotelem w Warszawie. Wynajęcie apartamentu na jedną tylko dobę łączyło się z niebagatelnym wydatkiem 24 rubli, na co przeciętny zjadacz chleba musiał pracować półtora miesiąca. Wprawdzie ceny pokoi na czwartym piętrze, gdzie zamieszkała pani Sianożęcka, kształtowały się na poziomie trzeciej części tej kwoty, nie zmieniało to faktu, że był to ten sam luksusowy hotel.

Przekraczając jego próg Bolesława miała uczucie, jakby wchodziła do całkiem innego świata. Portier, nazywany z angielska boyem, przyjął z jej rąk wizytówkę i z szerokim uśmiechem poprowadził do windy. Winda była kryształowa i miała ozdobną balustradę wykładaną mosiądzem, tymczasem ona, Bolesława, miała duszę na ramieniu, kiedy ta kryształowa klatka zaczęła się nagle unosić razem z nią.

Pani Sianożęcka niezmiernie ucieszyła się z przybycia gościa. Wprawnym okiem ogarnęła sylwetkę Bolesławy i stwierdziła z zadowoleniem, że wygląda na kobietą bystrą, inteligentną i niezwykle młodą jak na swoje czterdzieści lat. Sama była już dobrze po pięćdziesiątce i z niemałym niepokojem odkrywała na twarzy każdą pojawiającą się zmarszczkę.

– Przyznaję otwarcie – zaczęła, gdy usiadły na sofie wyściełanej aksamitem – że myślałam początkowo o zatrudnieniu sióstr za-

konnych. Jednak ojciec Honorat polecił mi, i to bez namysłu, właśnie panią. Pani też jest zdziwiona? – roześmiała się.

– Owszem, jestem zdziwiona – odparła szczerze. – Ale tak to już z Panem Bogiem jest.

– Nie rozumiem.

– No, że zaskakuje nas i zadziwia nieustannie.

– A zatem... pani się zgadza?! – domyśliła się pani Sianożęcka. Bolesława spoważniała.

– Ojciec Honorat nie poleciłby mnie, gdyby nie miał takiego światła od Boga – odparła. – Wie, że od dawna pragnęłam pracować na Kresach Wschodnich i zajmować się młodzieżą zagrożoną wynarodowieniem i utratą wiary..

– Wspaniale! – wykrzyknęła z zachwytem pani Leontyna. – O to mi właśnie chodzi! Ale uprzedzam: czeka panią mnóstwo pracy. Przede wszystkim trzeba zorganizować zakład wychowawczy dla dziewcząt. Chcę, żeby uczyły się w nim rzeczy najpotrzebniejszych i zdobywały zawód krawcowej.

Bolesława uśmiechnęła się.

– Mam w tym względzie pewne doświadczenie – przyznała, spoglądając mimo woli na śliczne diamentowe kolczyki swojej rozmówczynie.

– Znakomicie! Musimy się jednak spieszyć, gdyż zaborcy nie przebierają w środkach. Słyszała pani o tej akcji w zaborze pruskim? O tym, co wydarzyło się we Wrześni? Biedne dzieci, ile musiały wycierpieć. Nawet modlić kazano im się po niemiecku! Żeby nie Maria Konopnicka, żeby nie Władysław Bełza... Ale wróćmy do naszej sprawy. My będziemy ratować polskie dzieci przed – rusyfikacją!

Stanowczość i determinacja pani Sianożęckiej spodobały się Bolesławie. Śmiało można powiedzieć, że obie panie już od pierwszej chwili połączyła silna nić przyjaźni i wzajemnego porozumienia.

– Mamy w Mohylewie również tercjarstwo franciszkańskie – oznajmiła pani Sianożęcka, gdy omówiły już sprawy związane z zakładem i kursami krawieckimi. – Niestety, od dawna pozbawione jest kierownictwa.

– Jestem przełożoną tercjarek...

– I to wiem od ojca Honorata! – roześmiała się pani Leontyna serdecznie, po czym otwierając szeroko ramiona zawołała: – O, moja droga! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Przyjeżdżaj! Przyjeżdżaj do nas jak najprędzej! Mogę ci chyba mówić... po imieniu?

Bolesława skinęła głową, a następnie bez większych oporów dała się namówić na filiżankę kawy i wyborne tortowe ciastka z Cukierni Lourse’a, mieszczącej się naprzeciwko hotelu, przy ulicy Ossolińskich.

– Postaram się przyjechać w możliwie krótkim czasie, chociaż... – zawahała się – muszę uporządkować przedtem trochę spraw. Przede wszystkim powinnam znaleźć kogoś, kto poprowadzi za mnie noclegownię. To może potrwać...

– Nie wątpię, że świetnie sobie z tym poradzisz – usłyszała w odpowiedzi. – Ach, tak bym chciała, żebyśmy już rozpoczęły tę naszą tajną misję w Mohylewie!... Wiesz oczywiście, gdzie leży Mohylew? Nie? Siedemset kilometrów stąd, nad Dnieprem, na ziemi białoruskiej. Jakaż ona piękna!... Zresztą, sama zobaczysz. A tymczasem – daję ci czterdzieści rubli zadatku.

Bolesława przyjęła pieniądze bez słowa.

W drodze do domu kilkakrotnie otwierała torebkę, by sprawdzić, że są tam rzeczywiście. „A więc to prawda... Stało się! – myślała. – Przede mną – nieznane. Twoje nieznane, Jezu, a zatem – prowadź!...”.



W Mohylewie

Jak szeroko, jak serdecznie i jak smutno.

To Białoruś! To jej równiny,

Wsie, rozsiane dłonią skąpą, nie rozrzutną,

I znów pola, aż po borów rąbek siny.

(z wiersza Leonarda Podhorskiego-Okołowa)

Mohylew, który już w XIV wieku był potężnym grodem warownym, ujrzała Bolesława sześć miesięcy później, w Uroczystość Objawienia Pańskiego, czy jak kto woli w Uroczystość Trzech Króli, w pięknej zimowej szacie. Z drewnianej w większości zabudowy wznosiły się ku niebu okazałe kopuły cerkwi i strzeliste wieże kościołów. Widok był imponujący. Stojąc przed budynkiem postawionego niedawno dworca kolejowego, który stanowił dumę mohylewskiej guberni, patrzyła z uczuciem radości na te wieże i kopuły, i na ludzi okutanych w ciepłe kufajki, poruszających się z zadziwiającą zręcznością wśród wysokich zasp. Czekwała na obiecane sanie, a tymczasem ustawione obok bagaże znikwały powoli pod puszystą warstwą opadającego śniegu.

W pewnej chwili otoczyła ją grupa chłopców. Biegali hałasując i obrzucając się śnieżkami, i – co bardzo ją rozśmieszyło – zajadali przy tym sople lodu, jakby to były landrynki. Niewiele myśląc sięgnęła do ukrytej w mufce kieszeni i zawołała:

– *Chadźcie bliżej, rebiata!*

Stanęli jak wryci.

– Jeszcze bliżej...

Przez chwilę spoglądali nieufnie to na nią, to na siebie. Wreszcie najmniejszy z nich, chudy jak patyk, burknął pod zasmarkanym nosem:

– *Kab jeść dała...*

W tym samym momencie Bolesława otworzyła dłoń. Na widok cukierków w kolorowych papierkach chłopcy rzucili się w jej kierunku.

– *A ciebia kak zawarut?* – zapytała cienkiego jak patyk.

Wsadził cukierek do ust, po czym odpowiedział z godnością:

– Fiedka. A ciebia?

– Bolesława.

Wkrótce okazało się, że także pozostali chłopcy pragną zawrzeć z nią bliższą znajomość. Przekrzykiwali się wymieniając swoje imiona, co wywołało spory harmider, kiedy nagle dotarło do niej głośne wołanie z sań:

– Pochwalony Jezus Chrystus! Czy pani Bolesława?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ubrany w barani kozuch i futrzaną czapę woźnica zerwał się, by ją przywitać i przenieść bagaże. Ale chłopcy okazali się szybsi. Schwycili walizkę i pozostałe pakunki i zadowoleni w mgnieniu oka umieścili je w saniach.

– Za uczciwie wykonaną pracę należy się uczciwa zapłata – stwierdziła Bolesława, podając Fiedce dziesięć kopiejek.

Gwizdnął z zachwytu na ich widok, a zaraz potem pognał na złamanie karku wraz z resztą chłopaków do dworcowego bufetu.

– Rozpuszcza ich pani – stwierdził woźnica. – Już ja dobrze znam tych ancymonów!

Pomógł Bolesławie usadowić się w saniach, po czym zagadnął:

– Piękny mamy dworzec, widziała pani? Ze szklanym dachem. Sam Mohylew też piękny. Król Stefan Batory nadał mu prawa miej-

skie... Pani pewnie zmęczona? – zapytał nagle zakłopotany. – Mam panią zawieźć do *ochronki* panny Górczyńskiej. Pani Sianożęcka spotka się z panią jutro.

– Dziękuję panu – odezwała się, wdzięczna za miłe powitanie.

– Tylko nie panu, tylko nie panu! – roześmiał się. – Wiem, że pani mogę to powiedzieć: jestem bratem zakonnym, *dolorystą*. Mam na imię Józef, a apostołuję w tych stronach już od kilku lat. Ojciec Honorat założył nasze zgromadzenie, pewnie słyszała pani o ojcu Honoracie? Oficjalnie pracuję przy kościele jako zakrystian, ale dzisiaj ksiądz Mirski zlecił mi inny apostołat... – chrząknął znacząco, dając jej do zrozumienia, że to ona jest właśnie tym „innym apostołatem”. – O księdzu Mirskim to pewnie pani jeszcze nie słyszała? Jest u nas od niedawna wikariuszem, a przy okazji opiekunem prawie wszystkich patriotycznych przedsięwzięć. A pani... nie jest przypadkiem siostrą zakonną? – zagadnął niespodziewanie.

– Nie – zmieszła się.

Spojrzał na nią i znowu się roześmiał.

– Dziwne – powiedział. – Gotów bym przysiąc, że wiozę siostrę zakonną! A może okaże się dobrym prorokiem?

Tym razem i ona się roześmiała.

W ochronce, która mieściła się prawie na peryferiach miasta w niedużym domczku niemal całkiem zasypanym śniegiem, powitała Bolesławę niewysoka, szczupła kobieta o wyrazistych oczach. Nazywała się Leokadia Górczyńska i była młodsza od Bolesławy o cztery lata. Nie wyglądała jednak na młodszą, a jej drobna anemiczna twarz i związane z tyłu niedbale ciemne włosy sprawiały raczej smutne wrażenie. Tym bardziej zdumiewającą okazała się przemiana, jaka dokonała się na jej twarzy zaraz po wejściu Bolesławy. Na policzkach pojawiły się niespodziewanie



delikatne rumieńce, a w piwnych oczach prawdziwie radosny uśmiech.

Pomogła przenieść Bolesławie bagaże do ciasnego pokoiku, w którym poprzedniego dnia dostawiono w pośpiechu drugie łóżko i zaprosiła gościa do jadalni. Tam podgrzała zupę, będącą dość zaskakującym połączeniem krupniku z czerwonym barszczem, po czym przysiadła nieśmiało z boku na brzegu długiej ławy. Nikt z jej bliskiego otoczenia nie domyślał się, jak wiele spodziewa się po przyjeździe tej, tak niecierpliwie oczekiwanej już od pewnego czasu, osoby. Wszak i ją pięć lat temu sprowadziła do Mohylewa pani Leontyna Sianożęcka... „Pięć lat... – myślała nie mogąc się nadszwić. – Mój Boże, jak to szybko zleciało...”

Nagle w drzwiach stanęło kilkoro zaciekawionych dzieci. Leokadia uśmiechnęła się do nich i dała każdemu po mokrej skórce chleba umoczonej w cukrze, a następnie poprosiła jedną ze starszych dziewczynek, aby zajęła się maluchami. Gdy sobie poszli, przymknęła drzwi i usiadła znowu obok Bolesławy. Na jej twarzy malowało się dziwne napięcie. Pragnęła rozmowy, jednak zupełnie nie wiedziała jak ma ją zacząć. Tyle ważnych wątków wirowało równocześnie w jej skołatanej głowie.

– Skoro mamy mieszkać pod jednym dachem – odezwała się w końcu – muszę pani koniecznie coś wyznać.

Słowa te, w których łatwo można było wyczuć napięcie, zaniepokoiły w pierwszej chwili Bolesławę. Podniosła wzrok niepewna, czy chce to wyznanie usłyszeć. Przed sobą miała całkiem obcą kobietę, której oczy błyszczały jak w gorączce. Nie ulegało wątpliwości, że to co chce powiedzieć wiele ją kosztuje, że stanowi może nawet jakąś od dawna noszoną w sercu zgryzotę.

– Jestem niedoszłą zakonnice – wyrzuciła wreszcie z siebie.

Czas jakiś obserwowała Bolesławę ciekawa jej reakcji, a wyczuwając ciche przyzwolenie, dodała spokojniej:

– Myślałam początkowo o szarytkach, ale nie przyjęły mnie ze względu na słabe zdrowie. Zwróciłam się więc do franciszkanek od cierpiących...

– Tych od ojca Honorata? – zainteresowała się Bolesława.

Przytaknęła z wyraźną ulgą.

– Odbyłam u nich nawet nowicjat. Ale do profesji czasowej już mnie nie dopuściły.

– Też z powodu zdrowia?

– Niestety. Ale i tak pracowałam u nich przez dwa lata. Tyle że jako osoba świecka – oznajmiła bezbarwnym głosem. – Robiłam różne rzeczy, najczęściej pielęgnowałam chorych po domach.

Umilkła nagle, by już po chwili zawołać z przekonaniem:

– Przecież jak Pan Bóg daje komuś powołanie, to daje je na całe życie, tak czy nie?!

Słowa te mocno poruszyły Bolesławę.

Zapewniła Leokadię, że rozumie jej udrękę, podzieliła smutek i myśli podobnie jak ona. Nie spodziewała się jednak, że to grzecznościowe w pewnym sensie zapewnienie, wynikające ze zwykłego ludzkiego współczucia, wywoła tak nieoczekiwany skutek.

Twarz Leokadii rozpromieniła się, a drżące usta wypowiedziały słowa, których Bolesława nie spodziewała się zupełnie.

– Czy mimo tego mojego słabego zdrowia, zechce mnie pani, to znaczy... siostra... przyjąć do swojego zgromadzenia?

Bolesława znieruchomiała.

– Nie jestem zakonnicą – odparła. – Skąd ten pomysł? A poza tym nie jestem żadną „panią”. Jestem – Bolesławą!

I uściskała serdecznie osłupiałą Leokadię.

Twarz Leokadii skurczyła się gwałtownie, do oczu napłynęły łzy. Nie mogła uwierzyć.

– Ale przecież... pani Sianożęcka wyraźnie mówiła księdzu Mirskiemu – tłumaczyła zawiedziona – że jedzie do ojca Honorata,

żeby sprowadzić siostry zakonne. Słyszałam to na własne uszy! Słyszałam, chociaż... wiem, nie powinnam była podsłuchiwać.

Naraz nowa myśl rozbłysła jej w głowie. Myśl, która natychmiast przywróciła jej siły.

– Ale po co się martwić? – zwróciła się do Bolesławy. – Nie ma zgromadzenia? I cóż z tego! T y j e z a ł o ż y s z!

To powiedziawszy, wytarła oczy i zabrała Bolesławę do świetlicy.

Znajdowało się w niej kilkanaścioro dzieci, które zbiegły się natychmiast do swojej opiekunki niczym stado piskląt do kwoczej matki.

– To moje najukochańsze skarby – mówiła, przygarniając te najbardziej naburmuszone z powodu jej przydługiego siedzenia w kuchni.

Tuliły się do niej, ale z oczu nie spuszczały Bolesławy. Z wyraźną rezerwą odnosiły się do nieznanym pani z Warszawy, która miała taki miły uśmiech, śliczną suknię w kolorze czekolady, migdałowe oczy i zgrabne buki. Dopiero kiedy pani z Warszawy usiadła z nimi na podłodze i pomogła im zbudować zamek z klocków, o które postarał się brat Józef dolorysta, a następnie wycięła im z papieru wspaniałą kolekcję zwierzątek, Leokadia mogła spokojnie wziąć się za szykowanie kolacji.

– Też byłam kiedyś taką sierotą – powiedziała, gdy Bolesława zajrzała po jakimś czasie do kuchni. – Urodziłam się w Koninie, pod Kaliszem. Jeśli nie trafiłam, jak one, do ochronki, to tylko dlatego, że zajęli się mną krewni. Ale życie bez mamy i taty dla wszystkich dzieci ma zawsze ten sam gorzki smak. Uczę je mówić ładnie po polsku i przygotowuję do Pierwszej Komunii Świętej.

Nagle przerwała krojenie chleba i pociągnęła Bolesławę za sobą w głąb niedużego korytarzyka. Mieścił się tam składzik różności, a obok niego drzwi, do których przyczepiona była kartka z napi-

sem: PRACOWNIA. Szybkim ruchem przekręciła klucz, nacisnęła klamkę i oświadczyła z dumą:

– A oto nasza tkalnia!

Bolesława ucieszyła się.

– Doskonale! – zawołała. – Wiele słyszałam o białoruskich kilimach. Ale czemu tu tak pusto? Krosna zakurzone, nie używane chyba od stu lat.

– Od stu może nie – westchnęła Leokadia. – Ale że zakurzone, to prawda. Trudno do nich jakoś zachęcić tutejsze dziewczęta. Stroiliłyby się wyłącznie od rana do wieczora. Warkocz zapleciony dokoła głowy, najlepiej w kłosek, albo przerzucony zalotnie na piersi, wyszywana bluzka, kolorowe wstążki, gdzie im tam do krosien! Za mężami się oglądają, a tymczasem ręce im leniwieją z nieróbstwa. Gdybyśmy się jednak tak obie za nie wzięły...

Bolesława spojrzała na nią z uwagą.

– Więc w ochronce oprócz ciebie nie ma więcej nikogo? – zdziwiła się. – Jesteś sama? Do wszystkiego?

Leokadia roześmiała się.

– No wiesz, tak całkiem sama to nie jestem – odparła. – Jest tu ze mną jeszcze... Pan Jezus!

Pani Leontyna Sianożęcka nie zamierzała pozostawiać Bolesławy w ochronce Leokadii Górczyńskiej. Miała wobec niej inne, ambitniejsze plany. Jeśli skierowała ją tam zaraz po przyjeździe to tylko dlatego, że miejsce to wydało jej się najlepsze do zamieszkania na pobyt czasowy. Już następnego dnia przybyła do Mohylewa ze swojej niedalekiej posiadłości, by omówić najpilniejsze kwestie ich wzajemnej współpracy. Po tym spotkaniu Bolesława udała się na miasto i wynajęła wskazany przez panią Sianożęcką drewniany dom przy ulicy Szklowskiej 4. W domu tym miała zorganizować

zakład przyuczający do zawodu krawcowej oraz internat dla dziewcząt.

Dom podobał się Bolesławie. Chcąc w nim jednak cokolwiek zorganizować, należało przeprowadzić w nim najpierw gruntowny remont. Tak więc, chociaż miejsce pracy miała już zapewnione, nadal zmuszona była mieszkać w ochronce z Leokadią i spać w tym samym co ona ciasnym i kiepsko ogrzewanym pokoiku.

Bardzo pragnęła, aby nowa placówka, za którą czuła się odpowiedzialna, spełniała oczekiwania pani Sianożęckiej. Wiązała z nią także własne ciche nadzieje. Chciała przede wszystkim, by oprócz krawiectwa znalazły się tam również dwa inne działy: hafciarski i dziewiarski. Ucieszyła się zatem, gdy pani Sianożęcka chętnie przyklasnęła temu pomysłowi. Okazało się bowiem, że wyroby dziewiarskie w postaci różnego rodzaju *trykotaży* już od dawna były poszukiwane w tych stronach i miały szansę stać się dla zakładu istotnym źródłem dochodów.

Ucieszyła się także, kiedy Maria, do której zwróciła się w tej sprawie, przysłała jej po pewnym czasie krótki, lecz mocno obiecujący list.

Najdroższa Bolesiu! – pisała. – Nawet nie wiesz, ile sprawiłaś mi radości! Nie mogę wprost uwierzyć, że taka tam jesteś ważna, i że – jeśli tylko dobry Bóg pozwoli – znowu będziemy mogły być razem. Ach, robić rzeczy wielkie i wspaniałe na chwałę Bożą! A do tego jeszcze robić je z Tobą. Rzeczy wielkie, które tak naprawdę biorą się przecież z wielkiej małości naszej, postuszeństwa i pokory. Czyż nie tego uczyli nas zawsze nasi Kochani Rodzice?

Kochana moja, niepotrzebnie martwisz się o Mamę. Od dawna już nosiła się z zamiarem zamieszkania u Antosia i z miejsca pobłogosławiła naszym planom. Spodziewam się, że do końca tego roku, a najpóźniej do wiosny przyszłego uda mi się wywiązać z zamówień i zwolnić lokal, a wtedy, z wiosną...

Ach, czy tam w Mohylewie też bociany żyją w gniazdach tak blisko ludzi, jak te nasze, pamiętasz, w Łowiczu? Nie dziw się, że bredzę. To ze szczęścia... Mam jedną znajomą trykotarkę, znasz ją, to Lusja Janicka, taka sama jak my szalona niewiasta. Czuję, że uda mi się ją namówić.

Na koniec zupełnie nieoczekiwana wiadomość: nasza Stasia w czasie pobytu w Petersburgu opuściła dom siostrzany i założyła tam własną pracownię krawiecką. Nie mieści mi się to na razie w głowie, ale mam nadzieję, że pomożesz mi to zrozumieć, gdy już do Ciebie przyjadę.

Uściski od Mamci i Antosia, któremu rodzina znowu się chyba niedługo powiększy.

*Pamiętająca o Tobie w modlitwie i szczerze Ci oddana
Manusia*

Bolesława musiała przeczytać kilka razy wiadomość odnoszącą się do Stasi, zanim dotarła do niej w końcu jej bolesna treść.

„A więc i ona także?” – pomyślała ze smutkiem.

Chciała odsunąć tę myśl jak najdalej, ona jednak, natrętna i krzyżująca serce ostrym kolcem bliżej nieokreślonej winy, krążyła w jej głowie jeszcze przez kilka następnych dni niczym drapieżny ptak.



Jednomysłne

Ksiądz Eugeniusz Światopełk-Mirski, o którym brat Józef dolorysta powiedział, że jest opiekunem niemal wszystkich patriotycznych przedsięwzięć w Mohylewie, pochodził z rodziny książej. Miał dwadzieścia siedem lat i był mężczyzną przystojnym, energicznym i pełnym inwencji.

Bolesławę poznał wkrótce po jej przyjeździe, jednak okazją do dłuższej z nią rozmowy stał się dopiero niedzielny obiad na plebanii kościoła katedralnego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i świętego Stanisława, wydany przez proboszcza i dziekana, księdza Piotra Zielińskiego. W obiedzie tym uczestniczyła także pani Leontyna Sianożęcka, którą w Mohylewie, czego bardzo nie lubiła, nazywano niekiedy „hrabiną”. Czyniono to, jak łatwo się domyślić, w dobrej wierze, ze względu na córki, które wraz z zamążpójściem weszły w posiadanie hrabiowskich tytułów, ona jednak opędziała się od tych przesadnych grzeczności jak od natrętnych much, rada ze swego ziemiańskiego pochodzenia.

Rozmowa, jaka toczyła się przy stole, była niezwykle ożywiona. Ksiądz Mirski zainteresowany był zwłaszcza nastrojami patriotycznymi panującymi w stolicy. O pracy Bolesławy w noclegowni i jej działalności tercjarskiej słuchał z uwagą, uprzedził ją jednak od razu, że i praca na Białorusi nie należy do łatwych i trzeba się nieraz wiele natrudzić, aby zarobić na kawałek razowego chleba.

– Dziwny ten lud białoruski – stwierdził w pewnym momencie, odgarniając bujną czuprynę ciemnych włosów. – Trudno go porużyć, trudno mu trafić do serca. Podejrzliwy jest, nie ufa nikomu. Nie ma w nim przywiązania ani do Kościoła, ani do kapłanów...

– To prawda – przyznał ze smutkiem proboszcz. – Kościoły mają tutaj dwa, bo nie tylko nasz, ale i kościół farny świętego Kazimierza, nabożeństwa uroczyste, często z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, i co z tego? I tak świecą najczęściej pustkami. Jedynie znikoma część parafian przychodzi na niedzielne Msze Święte. Chociaż... – tu zwrócił pełne wdzięczności spojrzenie w stronę pani Sianożęckiej – muszę przyznać, że kaplica świętego Antoniego ma od niedawna, dzięki naszej nieocenionej fundatorce, jakby większe powodzenie.

Pani Leontyna przyjęła słowa proboszcza z zadowoleniem.

– Cieszę się, że kopia cudownego obrazu Matki Bożej Białynickiej, którego oryginał zaginał po nasileniu się carskich represji, została umieszczona w tej właśnie kaplicy. Ufundowanie jej było od dawna moim pragnieniem. Myślę jednak, że prawdziwe ożywienie pobożności będziemy niezadługo zawdzięczali w parafii komuś innemu...

To mówiąc, uśmiechnęła się wymownie do Bolesławy.

Ksiądz Mirski przekonał się stosunkowo szybko, że w słowach pani Sianożęckiej nie było przesady. Obserwował Bolesławę i widział jak wszystko czego się tylko dotknęła, nabierało natychmiast pożądanego kształtu. Posiadała przy tym nieoceniony dar, jakim była łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, zwłaszcza młodymi, oraz wyjątkowe zdolności kierownicze i organizacyjne. Nie miał wątpliwości, że pani Sianożęcka powierzając jej swoje ambitne plany przywrócenia upadłego ducha w tutejszej społeczności, nie mogła dokonać lepszego wyboru.

Miała Bolesława jeszcze jedną ważną zaletę, którą bystre oko księdza Mirskiego wypatrzyło z łatwością, a którą wyniosła z rodzinnego domu. Była nią zdolność przyjaznego i pełnego szacunku obcowania z ludźmi o odmiennych poglądach, także z wyznawcami innych religii. Nie unikała ich, przeciwnie, zdawała się świadomie wychodzić im naprzeciw. Tego rodzaju postawa była czymś niezwykle rzadkim w czasach tak boleśnie najeżonych antagonizmami, w jakich przyszło im żyć. Nic więc dziwnego, że w oczach księdza Mirskiego zaleta ta miała wyjątkową wartość. Uważał, że zdolną do takiej postawy jest wyłącznie dusza czysta i przepiękna prawdziwie Bożą miłością.

W Mohylewie, mieście liczącym około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, katolikami było zaledwie trzy tysiące. Większość, bo aż dwadzieścia siedem tysięcy stanowili prawosławni. Niewiele mniej, bo dwadzieścia tysięcy – Żydzi.

Bolesława już od pierwszych dni stała się w swoim środowisku apostołką uśmiechu, serdecznej rozmowy i ofiarnej pomocy. A będąc taką właśnie, pociągała innych do podobnej postawy. Jednego była pewna: Jezus chciał, aby opuściła dla Niego wszystko i wypłynęła na głębię. Chciał, by znalazła się tam, gdzie On sam będzie czuwał nad każdym jej krokiem. Więc – wypłynęła. Hojnie obdarzona duchem misyjnym, nie wahała się osiąść na tych odległych terenach, by świadczyć życiem o dobroci Boga. Z niecierpliwością czekała na otwarcie zakładu i na moment, kiedy pierwsze wychowanki przekroczą jego próg.

Była wczesna wiosna, a w domu przy ulicy Szklowskiej trwały intensywne porządki po ukończonych właśnie pracach adaptacyjnych. Bolesława nie tylko czuwała nad ich sprawnym przebiegiem, ale sama brała w nich udział. Zdarzało się, od świtu aż do późnej

nocy. Czasem pomagały jej w tym miejscowe dziewczęta przysyłane przez panią Sianożęcką albo księdza Mirskiego.

Ksiądz Mirski czekał właśnie na taką osobę poleconą przez jedną z parafianek, kiedy do drzwi plebanii zastukała nieoczekiwana inna, nieumówiona z nim młoda kobieta. Nazywała się Łucja Czechowska i pochodziła ze średniozamożnej rodziny ziemiańskiej z okolic Mohylewa. Miała dwadzieścia jeden lat i, jak się wkrótce okazało, pragnęła prowadzić życie zakonne.

Panna była inteligentna i sprawiła na księdzu korzystne wrażenie. Chcąc poddać ją próbie, przedstawił jej kilka innych, równie atrakcyjnych możliwości służenia Panu Bogu, lecz spotkał się z jej strony z tak gwałtownym sprzeciwem, że szybko zaniechał dalszego testowania. W zamian zaproponował jej odprawienie kilkudniowych rekolekcji w intencji głębszego poznania woli Bożej.

– Sądzę, że byłoby dobrze – powiedział z ujmującym uśmiechem – aby Pan Jezus sam wypowiedział się w sprawie pani powołania. A że zgłosiły się do mnie już wcześniej dwie inne osoby, z chęcią odprawię rekolekcje dla was trzech.

To powiedziawszy, zapisał jej na kartce adres, pod którym miała odnaleźć Bolesławę Lament i ustalić z nią dogodny termin.

Świeciło jasne słońce, a kołujące wysoko jaskółki wróżyły piękną pogodę, kiedy Łucja szła ulicą lekkim krokiem, nucąc w myśli ulubioną piosenkę. Jej włosy, wystające zalotnie spod niedużego niebieskiego kapelusika, lśniły złościście, a mocno dopasowany płaszczyk w tym samym kolorze znakomicie podkreślał zgrabną figurę. Cała jej sylwetka tchnęła niezwykłą swobodą. I nie było w tym nic dziwnego. Wrodzona pewność siebie i oparcie, jakie miała od dziecka w zapobiegliwych rodzicach, pozwalały jej podążać przez życie niejako przebojem. Pragnienia i plany także

miała śmiałe, a rozbudzone stosunkowo wcześniej zainteresowania pociągały ją do zdobywania wiedzy znacznie szerszej niż ta, którą byli w stanie przekazać jej sprowadzani do dworu guwernerzy. Marzyła o studiach, i to o studiach przyrodniczych, na które kobiety przyjmowano niezwykle rzadko. Widziała się już nawet w auli uniwersyteckiej, gdy oto nagle wkrótce po ukończeniu rosyjskiego gimnazjum pojawił się w jej sercu inny – Boży plan. Zapragnęła zostać misjonarką.

Zaskoczeni rodzice nie chcieli nawet słyszeć o takiej perspektywie dla ukochanej córki, ale Łucja nie ustępowała. Myśl o wstąpieniu do zakonu była dla niej na tyle pociągająca i tak mocno poruszyła jej wnętrze, że postanowiła zwrócić się z nią w końcu do księdza Mirskiego. Wszyscy liczący się w Mohylewie obywatele, w tym także jej rodzice, cenili go i przepowiadali mu wspaniałą przyszłość. Doszła więc do słusznego wniosku, że pozyskanie przychylności tak wysoce poważanej osoby przechyli ostatecznie szalę zwycięstwa na jej stronę i zakończy wreszcie jej duchową udrękę.

Po rozmowie z księdzem Mirskim, którą oceniła jako udaną, szła na spotkanie z Bolesławą radosna i pełna nadziei. Zrobiła przecież najważniejszy krok: powiedziała o powołaniu osobie duchownej. Następny krok, na który bardzo liczyła, należał już do Pana Boga. Szła też na to spotkanie z Bolesławą mocno zaintrygowana jej osobą. Po pierwsze dlatego, że była kobietą znacznie od niej starszą, a więc bardziej doświadczoną, a po drugie, że ksiądz Mirski wyrażał się o niej z jakimś szczególnym szacunkiem, dając delikatnie do zrozumienia, że w sprawach zakonnych zorientowana jest chyba nawet lepiej od niego.

Ta subtelna wskazówka dała Łucji wiele do myślenia. „Czyżby była zakonnicą? – rozważała, skręcając w ulicę Szklowską. – A może przełożoną zakonnic?!”. Była tak podekscytowana, że nie

zauważyła kiedy minęła kilka domów, kilka parkanów porośniętych dzikim winem i znalazła się pod wskazanym adresem.

Głośne skrzypnięcie furtki sprawiło, że z okna na piętrze wyjrzała w tej samej chwili szczupła ciemnowłosa kobieta ubrana w roboczy fartuch.

– Dzień dobry, ja od księdza Mirskiego! – zawołała Łucja, zasłaniając twarz przed ostrymi promieniami słońca.

Minęło trochę czasu, zanim kobieta z okna na piętrze stanęła w drzwiach z pytającym spojrzeniem.

– Mam ustalić z panią Bolesławą Lament termin rekolekcji powołaniowych. Ustalić tak, żeby ksiądz mógł je odprawić dla nas trzech – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Dla nas trzech? – powtórzyła tamta zaskoczona.

– Tak powiedział.

Wymieniły uśmiechy.

– Z „panią Bolesławą”, znaczy: ze mną – stwierdziła gospodyni. I zaprosiła Łucję do środka.

Dom był stary, ale sprawiał przyjemne wrażenie. Przez otwarte okna napływało ciepłe powietrze, którego wiosenność mieszała się z zapachem wybielonych ścian i wymytych ługiem podłóg, świeżo heblowanych desek i stolarskiego kłajstru.

Bolesława oprowadzała Łucję po pokojach z nieukrywaną przyjemnością. Cieszyła się, że oto nagle pojawił się ktoś, kto w sposób tak naturalny potrafi dzielić jej radość. Łucja tymczasem była oszołomiona. Pomysł otwarcia w Mohylewie zakładu, który uczyłby dziewczęta krawiectwa i jednocześnie by je wychowywał, wydał się jej wprost zachwycającym. O tym, czy było przypadkiem, że i ona sama posiadała świadectwo ukończenia kursu kroju i szycia, na razie nie myślała.

Najbardziej była jednak urzeczona Bolesławą, którą otaczała jakaś tajemnicza aura niezmiernej ludzkiej przychylności. Bolesławą

pełną entuzjazmu, która mimo swoich czterdziestu lat odznaczała się tak niesamowicie młodzieńczym zapałem.

Ośmielona, powiedziała jej, że pragnie zostać zakonnica.

– Ksiądz Mirski chce, żeby Pan Jezus potwierdził to moje powołanie w rekolekcjach – roześmiała się. – Ale ja i bez tego wiem, że On tego chce. Po prostu: wiem.

Jej szczerą, zdradzającą domieszkę krwi rosyjskiej twarz, zuchwałość fiołkowych oczu i stanowczość wypowiedzanych słów spodobały się Bolesławie. Świadczyły o odwadze, determinacji i żywej wierze.

– Gdyby tak jeszcze znaleźć odpowiednie zgromadzenie zakonne – dodała nagle z westchnieniem. – A może... Może pani przyjmie mnie do swojego?

Bolesława zareagowała zdziwieniem.

– To niemożliwe – powiedziała łagodnie. – Niemożliwe, ponieważ nie jestem zakonnica.

Po czym, chcąc ostudzić nieco rozentuzjasmowaną pannę, oprowadziła ją po tej części budynku, gdzie było jeszcze dużo niedokończonych prac.

– Myślałam o rekolekcjach, to prawda – przyznała w pewnej chwili – ale dopiero po urzędzeniu zakładu. A tu, jak widać, pozostało jeszcze sporo do zrobienia. Trzeba doprowadzić do ładu niektóre pomieszczenia, postarać się o brakujące sprzęty, trzeba... Och, doprawdy, nie jest to chyba najodpowiedniejszy moment. Może za miesiąc, może...

Nie dokończyła. W tej samej bowiem chwili Łucja stanęła przy oknie i na widok wysokiego parkanu, który otaczał dom na podobieństwo klasztornej muru, zawołała niespodziewanie:

– Och, proszę pani! Po co daleko szukać? Załóżmy t u t a j klasztor!

Spontaniczność Łucji była tak zachwycająca, że Bolesława mimo woli uśmiechnęła się. Czyż i ona nie myślała o tym po rozmowie z Leokadią? Czy nie o tym rozmawia od tamtej pory z Panem Jezusem? Czy nie prosiła Go o znak? Tymczasem już po raz drugi – i to w tak krótkim czasie – ktoś zwraca się do niej tu, w Mohylewie, z prośbą o przyjęcie do zgromadzenia. O przyjęcie do j e j zgromadzenia... „Miałby to więc być t e n czas i t o miejsce?” – myślała w cichości serca i czuła instynktownie, że chwila z którą wiąże tak wielkie nadzieje nadchodzi, że jest już blisko.

Tym bardziej więc ucieszyła się, kiedy Łucja oświadczyła przy pożegnaniu, że chętnie pomoże jej w urządzaniu domu.

I rzeczywiście. Panienska ta, nielubiąca najwyraźniej siedzieć z założonymi rękami, już następnego dnia zgłosiła się do pracy. W ten sposób zaskarbiła sobie sympatię nie tylko Bolesławy, ale i Leokadii, która od pewnego czasu coraz częściej zaglądała na ulicę Szklowską ze swoimi podopiecznymi pod pretekstem zdrowotnych spacerów.

Wyjątkowość Łucji polegała również na tym, że miała ona w sobie autentyczną iskrę Bożą. Uśmiech prawie nigdy nie schodził z jej twarzy, a praca paliła jej się po prostu w rękach, co powolną z natury Leokadię wprowadzało za każdym razem w niemy zachwyty.

Łucja pracowała szybko, szybko też mówiła, a jej opowieści miały zawsze jakiś niepowtarzalny czar.

– Ach, dzieciństwo! Dzieciństwo!... – zawołała kiedyś niespodziewanie przy myciu szyb. – Szczęśliwe moje lata... Nigdy nie zapomnę jak tatuniek wrócił kiedyś z *rezurekcji* i tym swoim niskim, basowym głosem powiada do nas: „Chrystus Zmartwychwstał”! Pięć lat miałam wtedy, nie więcej, a taka jakaś szalona radość wstąpiła we mnie, że omal sama nie wyskoczyłam w powietrze – śmiała się. – A potem, przy bierzmowaniu... Duch Święty tak mnie ogar-

nał, że jeszcze po tygodniu miałam w uszach szum Jego skrzydeł. Cudowne lata, lata minione! Ależ byliście niezwykle...

Wspominała z rozrzewnieniem prawosławne niańki, które śpiewały jej do snu tęskne pieśni i zasłużonych przodków, którzy polegli na polu chwały z miłości do Ojczyzny. Kreśliła obrazy, w których przejażdżki konne mieszały się z łażeniem z kuzynami nocą po cmentarzu i odwiedzinami wyfiokowanych ciotek. Barwne to były wspomnienia i pełne humoru. Niekiedy znowu przychodziły jej na myśl wspomnienia pobożne, które tak wiele mówiły o jej głębokiej duchowości.

– Dostałam kiedyś od księdza obrazek – opowiadała. – Przedstawiał Trójcę Świętą. Do tej pory noszę go przy sobie. Bo czyż może być coś wspanialszego od Trójjedynego Boga? – pytała z oczami pełnymi wzruszenia. – Coś wspanialszego od Ojca, Syna i Ducha Świętego?

I porwana nagle duchem miłości, zaczynała wychwalać Trójcę Świętą po polsku, to znów po rosyjsku, wołając:

– Sława Otcu i Synu i Swiatomu Duchu, i nynie i prisno, i wo wieki wiekow. Amin!

Leokadia kiwała w takich chwilach głową i wpatrywała się w Łucję swoimi smutnymi oczami jak w tęczę. Jej wspomnienia nie były tak kolorowe, a dzieciństwo takie radosne. Cieszyła się więc wspomnieniami Łucji, jakby to były jej własne, i dziękowała za nie Bogu całym sercem.

Dzięki zaangażowaniu Łucji i kilku innych równie gorliwych i zaprzyjaźnionych osób, udało się Bolesławie w stosunkowo krótkim czasie przystosować dom do potrzeb zakładu. Udało się, chociaż fundatorka przeznaczyła ostatecznie na ten cel znacznie mniejsze fundusze. Bolesława przyjęła ten smutny fakt z pokorą.

Zakupiła po prostu większą ilość używanych mebli i, nie oglądając się na nikogo, przystąpiła do ich przerabiania przy pomocy młotka i gwoździ. W pracowni krawieckiej ustawiono już niebawem maszyny do szycia, wyposażono internat i kuchnię. Urządzono także skromną kaplicę, w której honorowe miejsce zajął obraz przedstawiający Pana Jezusa, podarowany przez panią Leontynę.

Sama przeniosła się do zakładu, kiedy skończyły się roboty stolarskie i wynajęci do tych robót pracownicy przestali w nim nocować. Zamieszkała na parterze, w pokoju sąsiadującym z kaplicą. Spędzała w niej każdą wolną chwilę, a zdarzało się, że i noce. Wpatrywała się wówczas w oblicze Pana Jezusa i czuła wyraźnie jak ją przyzywa i pociąga do siebie. Wpatrywała się w Niego i miała wrażenie, że i On – przybliży się do niej. Przybliży się, żeby się nad nią pochylić i oświecić ją co do dalszych swoich zamiarów.

Przy drogach kwitły już czeremchy, a ich intensywna woń wabiła ptaki i owady, gdy nadszedł w końcu czas na rekolekcje. Stało się to możliwe wkrótce po poświęceniu Zakładu Krawieckiego pani Sianożęckiej, które odbyło się niezwykle uroczyście z udziałem wielu mohylewskich znakomitości.

Bolesława, Leokadia i Łucja z niecierpliwością czekały, by po trudach intensywnych zajęć fizycznych przystąpić wreszcie do niemniej mozolnych zajęć duchowych. Były gotowe do podjęcia takiego trudu i mocno spragnione ożywczego tchnienia łaski. Jednak ksiądz Mirski przygotował dla nich pewną niespodziankę. Niespodzianka ta odnosiła się w szczególności do Bolesławy. Chcąc najwidoczniej upewnić się co do jej wewnętrznej dojrzałości, postanowił podzielić się z nią zadaniami rekolekcyjnymi. Sobie zostawił głoszenie konferencji, jej natomiast zlecił samodzielne prowadzenie rozmyślań.

Była zaskoczona, lecz i tym razem przyjęła wolę Bożą bez cienia sprzeciwu. Rozmyślania czytała najpierw z książki „Ćwiczenia duchowne”, której autorem był święty Ignacy Loyola, a następnie dodawała do nich własne przemyślenia. Zorientowała się też dosyć szybko, że zadanie powierzone jej przez księdza nie tylko nie przekracza jej możliwości, ale sprawia jej jakąś niewysłowioną radość. On także nie krył zadowolenia, słysząc jak z przekonaniem i w sposób porywający przekazuje głębokie duchowo treści. Efekt tego porywającego przekazu był w konsekwencji taki, że współtowarzyszki Bolesławy już od pierwszych dni poczuły ze sobą niezwykle silną więź duchową. Więż, która została wkrótce ubogacona pragnieniem realizacji tych samych ideałów w życiu zakonnym.

Zdumiały się, odkrywszy tę prawdę, każda w swoim sercu.

– Czy czujecie to samo co ja? – zapytała w pewnym momencie Łucja, szczerze wzruszona. – Zbliżamy się do siebie j e d n o m y ś l ą c. Czy to nie wspaniałe?

Bolesława uśmiechnęła się.

– Tak... – przyznała. – Jednomyślność to wspaniały dar Ducha Świętego. Jestem przekonana, że takiej właśnie jednomyślności pragnął Pan Jezus, gdy mówił podczas Ostatniej Wieczerzy: „Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojciec we Mnie, a Ja w Tobie”. Że do takiej jedności ducha wzywa nas, byśmy pociągały do niej innych ludzi...

Była pewna: to początek ich wspólnej drogi.

Bóg dawał jej oto te dwie dusze, by zapoczątkować istnienie nowej wspólnoty zakonnej. Miała zorganizować takie apostołskie zgromadzenie zakonne, które będzie pracowało na rzecz jednoczenia chrześcijan i ratowania katolików przed utratą wiary. To miało stać się odtąd treścią jej powołania.

Pewność ta umocniła ją do tego stopnia, że zapragnęła przystąpić do podjęcia niezbędnych kroków w tym kierunku natychmiast, tymczasem ksiądz Mirski tuż po rekolekcjach odesłał niespodziewanie Łucję do domu pod pretekstem opieki nad chorą babką. Ta dziwna i niezrozumiała decyzja kapłana, spowodowana najprawdopodobniej naciskami ze strony państwa Czechowskich, rodziców Łucji, wywołała w gronie trzech żytych już ze sobą pańien niemalą konsternację.

Łucja, żegnając się z Bolesławą, miała w oczach łzy.

– To niesprawiedliwe – mówiła rozżalona. – Mam wracać? I to akurat teraz, kiedy Pan Jezus utwierdził mnie w powołaniu i dał poznać swoją wolę?

Bolesława myślała podobnie. Pragnąc złagodzić jej cierpienie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Może ksiądz Mirski chce cię tylko poddać jeszcze jednej próbie? Zamiast się więc martwić, ciesz się i – wracaj do nas jak najprędzej!

Słowa te podziały na zbolełą duszę Łucji niczym ożywczy eliksir. Jeszcze tego samego dnia pojechała do domu i z samarytańskim oddaniem zajęła się babką. Kiedy jednak po śmierci staruszki ponownie zwróciła się do księdza Mirskiego, a ten wysłał ją z kolei do pracy w zaścianku Punczyno, gdzie miała uczyć dzieci i dorosłych języka polskiego i katechizmu, cierpliwość zaczęła ją powoli opuszczać.

– Czemu mam pracować w jakimś zaścianku, a nie z wami? – pytała Bolesławę wzburzona. – Zakład potrzebuje przecież nauczycielek i instruktorek krawiectwa!

Jej żywy temperament i bezkompromisowość w dążeniu do celu raz jeszcze pozwoliły Bolesławie wnikać w głębię jej gorącej duszy. Odkryła też przy okazji z zadowoleniem, że Łucja, mimo daleko

posuniętej samodzielności, potrafi podporządkować się woli przełożonych.

– Musisz pamiętać – zwróciła się do niej serdecznie – że krawiectwo jest jedynie przykrywką dla naszej właściwej działalności, która ma polegać...

– Przecież wiem!... Na jednoczeniu chrześcijan i umacnianiu polskości na Kresach Wschodnich – wyrecytowała jednym tchem.

Bolesława wzięła niespokojne ręce Łucji w swoje i spojrzała jej w oczy.

– Tak więc twoja praca w Punczynie – powiedziała stanowczym głosem – nie będzie wcale mniej ważną od tej, którą wykonywałaś z nami w Mohylewie. Obiecuję jednak – dodała na pociechę – porozmawiać z księdzem Mirskim przy najbliższej okazji o tobie i naszej j e d n o m y ś l n o ś c i.

Oczy Łucji nabrały nagle blasku.

– Dziękuję – szepnęła wzruszona. – Dziękuję i obiecuję, że będę posłuszna.



Z motyką na słońce

Pani Leontyna Sianożęcka miała rację. Bolesława wniosła do mohylewskiej wspólnoty zapal i wiarę, która zdawała się budzić ją z długiego uśpienia. Widzieli to mieszkający w pobliżu sąsiedzi, widziała także Leokadia. A przeczuwając, że dzięki Bolesławie i w jej życiu nastąpi już wkrótce poważna zmiana, oddała prowadzenie ochrony w inne troskliwe ręce, a sama przeniosła się do zakładu.

Kursy kroju i szycia, o których w Mohylewie zrobiło się nagle głośno, przyciągały dziewczęta z różnych rodzin. Tych zamożniejszych, i tych, które z trudem wiązały koniec z końcem. Z rodzin katolickich i prawosławnych. Przyjmowanie bowiem wszystkich chętnych, bez względu na wyznawaną przez nich wiarę, odróżniało zakład krawiecki, który prowadziła Bolesława od innych tego typu placówek. Na naukę zawodu przychodziły początkowo wyłącznie miejscowe panny, które po zajęciach wracały do swoich domów. Z czasem jednak zapełnił się także internat, a cały dom rozbrzmiewał od rana do wieczora radosnym gwarem.

W dzień, zgodnie z tym, co ustalono oficjalnie z miejscowymi władzami, Bolesława uczyła dziewczęta krawiectwa, wieczorami zaś, w ramach tajnych kompletów, religii, języka polskiego i historii Polski.

Ile płacili rodzice za naukę córek i za ich pobyt w internacie, dokładnie nie wiadomo. Nie były to chyba jednak zbyt duże kwo-

ty, skoro dosyć szybko pieniędzy zaczęło brakować. Także zasoby pani Sianożęckiej skurczyły się niespodziewanie. Hojna w obietnicach, przeznaczająca na prowadzenie zakładu coraz mniejsze sumy, aż w końcu przybrały one formę nadzwyczaj skromnej zapomogi.

Któregoś dnia wyznała Bolesławie, że sytuacja jest dramatyczna. Przyznała, że nie wszystko zdołała przewidzieć i że nie pozostaje jej już nic innego, jak liczyć na pomoc zięcia, sparaliżowanego hrabiego Potockiego. Pewna, że zdoła poruszyć jego serce i sumienie, przygotowała rejentalny akt darowizny określonej sumy pieniędzy, która mogła jej zdaniem uratować zakład, i udała się w drogę. Niestety, hrabia okazał się nieczuły jak głaz. Jeszcze przed wysłuchaniem argumentów podarł dokument w strzępy, nie szczędząc zawiedzionej teściowej przykrych słów.

Zachowanie hrabiego, tak gwałtowne i nieoczekiwane, doprowadziło panią Leontynę w pierwszej chwili do omdlenia, a w dalszej konsekwencji do ciężkiej choroby. Żyła jeszcze rok. Tuż przed śmiercią podarowała Bolesławie w prezencie złoty zegarek z kuran-tami.

– Tylko tyle mogę ci ofiarować – powiedziała z żalem. – A tak wiele ci obiecywałam. Czy mi wybaczysz?

Bolesława uśmiechnęła się smutno.

– Zrobiła pani, co było możliwe – stwierdziła. – Reszta należy do Boga.

– Masz rację – przyznała z wyraźną ulgą. – Reszta należy do Boga. Ale i ja, kiedy już tam u Niego będę, nigdy o was nie zapomnę...

Nastaly trudne czasy. Zakład utrzymywał się już wyłącznie z symbolicznych wpłat dokonywanych przez uczennice oraz ze sprzedaży wykonanych przez nie wyrobów. Mimo to panowała w nim

atmosfera optymizmu i twórczego zapału. Dziewczęta zachwycone pierwszymi osiągnięciami, chętnie przyuczały się do zawodu. Były przekonane, że zawód ten zapewni im nie tylko utrzymanie, ale i godne życie.

Tymczasem Bolesława, która od początku była dla nich autorytetem w sprawach kroju i szycia, szybko stała się nim także w sprawach wiary. Z przyjemnością patrzyła jak chłoną Boże prawdy i czuła, że ziarno, które sieje, pada na grunt podatny, że będzie z niego kiedyś plon. Gorąco pragnęła, aby jej uczennice były apostołkami Pana Jezusa w swoich rodzinach. W rodzinach, w których żyły, i w tych, które założą w przyszłości.

Odtąd kształtowała ich serca na wiele różnych sposobów, a jej własna bogata i twórcza osobowość ogromnie jej to ułatwiała. Mając jeszcze żywo w pamięci jasełka wystawiane w łowickim kościele, postanowiła urządzić takie właśnie przedstawienie zaraz po świętach Bożego Narodzenia w Mohylewie. Śmiało sięgnęła po pióro i napisała całkiem zgrabny jasełkowy scenariusz, urozmaicając go pięknymi kolędami.

Wiadomość o przedstawieniu sprawiła, że w zakładzie zapano wało jeszcze większe ożywienie. Zwłaszcza gdy doszło do przydziałania ról i okazało się, że pretendentek do ról niewieścich nie brakuje, trudniej natomiast znaleźć kandydatkę na świętego Józefa, diabła czy króla Heroda. Ale i z tym jakoś sobie Bolesława poradziła. Zgłaszały się bowiem na próby także panienki spoza zakładu, które słysząc od koleżanek o „teatrze pani krawcowej” tak bardzo chciały się w nim znaleźć, że gotowe były wystąpić nawet w roli dwugarnego wielbłąda.

Wszystkie uczyły się ról, szyły kostiumy. Wyglądało na to, że twórczy duch na dobre połączył ich serca siostrzaną miłością. Cieszyła Bolesławę ta wspólnota serc. Cieszyła ją także uśmiechnięta



twarz Leokadii, która od kiedy zamieszkała w zakładzie najwyraźniej nabierała sił.

Jednak pewnego dnia zdarzył się przykry incydent. Jedna z dziewcząt, Olesia, która miała grać anioła, cisnęła nagle w kąt swój śliczny kostium i podeszła do Bolesławy zagniewana, wołając ze złością:

– Idę stąd! Idę i nie wrócę, dopóki Swieta tu będzie! Nikt mnie nie zmusi, żebym grała razem z nią w jednym przedstawieniu!

Bolesława przerwała upinanie szaty przeznaczonej dla Matki Boskiej i spojrzała na nią zaskoczona.

– Olesiu... Ale... dlaczego? – zapytała.

– Dlaczego?! Bo do cerkwi chodził! Jak ci co nam Polskę zabrali! Jak ci, co mi tatkę hen, za Ural wywieźli! Dlatego!

Bolesława posmutniała.

– Więc chcesz, żeby było: oko za oko, ząb za ząb? – odezwała się zatroskana. – A nie tak jak chce Pan Jezus? Nie wierzę. Jesteś przecież mądrą panienką. I bardzo zdolną. Wiesz, jak na ciebie liczę. A Swieta?... Chodzi do cerkwi, ponieważ chce, podobnie jak ty, spotkać się z Bogiem. Chodzi tam sama, bo jej tatę zaciągnięto do carskiej armii, kiedy była jeszcze malutka, a jej mama zmarła niedługo potem ze zgrzyzoty... Cóż takiego zrobiła ci Swieta, że aż tak jej nie lubisz?

Zagniewane policzki Olesi zaczęły powoli blednąć. Znikły złe błyski z oczu.

– Ona?... Nic mi nie zrobiła! – wykrzyknęła ostatkiem sił i rozpłakała się.

Siedziała na stołku z twarzą ukrytą w mokrych dłoniach i czuła się tak okropnie zawstydzona i bezradna, że nie śmiała podnieść wzroku. Siedziała tak, gdy nagle ktoś dotknął delikatnie jej włosów. Ręka była ciepła, a jej dotyk kojący. Spojrzała. To była ręka Swiety.

– Pokażesz mi, jak zamocować skrzydła anioła? – zapytała nieśmiało.

W zapłakanych oczach Olesi zajaśniała tęcza. W chwilę później oba anioły – ten Bogu ducha winny i ten chwilowo zbuntowany – ostro zabrały się do pracy.

Jasełka zostały wystawione w kościele katedralnym świętego Stanisława, i to nawet kilka razy. Duma rozpieła aktorki, szczerze radowała się z powodzenia jasełek Bolesława. Przekazywały przecież w prosty sposób tak ważne prawdy wiary, mówiły o przychodzącym na świat Zbawicielu. Mówiły o tym wszystkim mieszkańcom Mohylewa. Nie tylko katolikom, ale i ludności prawosławnej, która ogromnie polubiła te barwne i uśmiechnięte widowiska.

Dzieło Bolesławy, choć nadal zagrożone ze względu na brak odpowiednich funduszy, zdawało się promieniować jakimś wewnętrznym światłem, a o niej samej wyrażano się wszędzie z najwyższym szacunkiem. Wysyłali więc swoje córki na kursy kroju i szycia do panny Lament nie tylko rodzice o polskich i katolickich korzeniach, ale i wyznający prawosławie Białorusini i Rosjanie. Zakład Bolesławy, stając się w rękach Opatrzności szczególnym Bożym magnesem, przyciągał coraz to nowe gorące dziewczęce serca.

Jednym z takich serc była Maria Chrzanowska, piętnastoletnia uczennica prywatnego gimnazjum pani Kosowicz w Mohylewie. Pochodziła ze średniozamożnej rodziny mieszczańskiej, wywodzącej się ze szlachty. Rodziny powszechnie znanej, gdyż jej ojciec posiadał w mieście ekskluzywną restaurację, w której chętnie zbierało się ziemiaństwo. Ta inteligentna i urocza panienska o wrażliwym sercu, która nieraz pomagała Leokadii w ochronce, teraz całą duszą przyłgnęła do zakładu panny Lament. Brała udział w imprezach i uroczystościach przygotowywanych przez nią, a ponieważ

obdarzona była pięknym głosem, chętnie uświetniała te artystyczne spotkania solowymi występami.

Ksiądz Mirski, przy okazji jednego z takich właśnie występów, powiedział do Bolesławy:

– Ta będzie kiedyś w a s z ą śpiewaczką!

Ponieważ słowa te zabrzmiały niczym proroctwo, Bolesława postanowiła skorzystać ze sposobności i czym prędzej skierowała rozmowę na temat zgromadzenia, które zamierzała założyć. Chciała zainteresować księdza tą sprawą, gdy nagle on – zupełnie nieoczekiwanie – przerwał jej w pół zdania i oddalił się, by złożyć gratulacje ojcu panny Chrzanowskiej.

Zabolało to Bolesławę. Ogromnie liczyła na jego pomoc. Potrzebowała rady kogoś życzliwego i za kogoś takiego uważała księdza Mirskiego. Tymczasem on... „Zlekceważył mnie – myślała zrozpaczona, czując w sercu ogromny żal. – Zlekceważył mnie i moje zgromadzenie”. Dopiero kilka dni później zrozumiała, czym spowodowany był ten zaskakujący unik ze strony kapłana i to jego dziwne zachowanie. Ksiądz Mirski, o czym wcześniej nie wiedziała, dostał właśnie przeniesienie do innej parafii, tym razem do Tobolska na dalekiej Syberii.

Opiekę duchową nad zakładem przejął po jego wyjeździe ksiądz Aleksander Giedroń, katecheta z miejscowego gimnazjum męskiego. Do niego zatem zwróciła się niezwłocznie ze swoją sprawą. Przedstawiła mu zamiysł powołania zgromadzenia zakonnego, podkreślając z zapałem jego szczególny charakter, to jest pracę ukierunkowaną na jednoczenie chrześcijan, i pełna nadziei czekała na kapłańskie błogosławieństwo. Ale ksiądz Giedroń odniósł się do jej projektu wyjątkowo sceptycznie.

– Z tym jednoczeniem chrześcijan to chyba lekka przesada – odezwał się, marszcząc brwi. – W obecnych czasach to zupełnie tak, jakby się porywać z motyką na słońce.

Bolesława była innego zdania.

– Według mnie to sprawa pierwszej wagi – stwierdziła stanowczo. – To sprawa, od której należy zacząć, żeby przywrócić Boży porządek.

Ksiądz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A ja uważam, panno Lament, że nam, Polakom, dużo bardziej od przyciągania do Kościoła braci odłączonych potrzebna jest w tej chwili organizacja o charakterze patriotycznym. I taką właśnie zamierzam założyć. Będzie to, proszę tylko posłuchać... Świeckie Stowarzyszenie Królowej Korony Polskiej. Przyzna pani, że ładna nazwa. I co pani na to? A może połączylibyśmy siły i zaczęli współpracować?

Spuściła głowę.

„A więc... kolejny zawód” – pomyślała ze smutkiem. Jednak w tej samej chwili inna, Boża myśl dodała jej otuchy: – „Kolejny, lecz może nareszcie... ostatni”.

Podniosła się z krzesła. Dalsza rozmowa wydawała się bezcelowa. Wstał także ksiądz, rozkładając ręce na znak, że nic więcej nie może dla niej uczynić.

Znajdowała się już w drzwiach, kiedy zapytał jeszcze z pewnym niedowierzaniem:

– Więc to ojciec Honorat natchnął panią taką pionierską ideą?

Spojrzała mu w oczy z zadziwiającą śmiałością.

– Nie – odparła spokojnie. – To sprawa wyłącznie między mną i Panem Bogiem. Proszę się zatem nie dziwić, że pragnę dochować Mu wierności.

Bolesława istotnie płonęła ogniem Bożym według własnej, otrzymanej od Boga łaski i nawet ktoś tak sceptycznie nastawiony do jej planów jak ksiądz Giedroń, nie mógł tego nie zauważyć. Żadne trudności nie były w stanie powstrzymać jej przed wypełnieniem

woli Bożej, a jej wysiłki i żywa wiara miały coś z wiary Abrahama. Odkrycie Bożego planu było dla niej równoznaczne z zobowiązaniem nie podlegającym żadnym ludzkim kalkulacjom. Wezwanie Boże potraktowała jako nieodwołalne i przyjęła je z pełną pokorą.

Któregoś wieczoru kończyła zajęcia z wychowankami, kiedy nagle rozległ się dzwonek i w progu domu stanęła – Łucja Czechowska. Z niezbyt dużym bagażem, za to z wielkim uśmiechem i pałającym gorącą miłością sercem, na którym szybko poznały się zaciekawione jej przybyciem dziewczęta. Stała się im bliska z wielu powodów, najbardziej chyba jednak z tego, że pochodziła z tych samych co one białoruskich stron, znała ich język, zwyczaje i sposób żartowania. A chociaż za pracą pedagogiczną nie przepadała, podjęła się jej bez zastrzeżeń, czym ogromnie ucieszyła Bolesławę, ujmując jej tym samym obowiązki.

Wkrótce po przybyciu Łucji zaczęły pojawiać się przy ulicy Szklowskiej także inne sympatyczne osoby płci żeńskiej, które nie zważając na trudności finansowe zakładu, chętnie deklarowały gotowość współpracy z Bolesławą. Jedną z pierwszych była inna Łucja – panna Wieliczkiewicz – *konwertytka* z prawosławia, która objęła odpowiedzialny urząd zakładowej kucharki. Potrawy przyrządzane przez nią, o czym wszyscy mogli się już niebawem przekonać, nie miały sobie równych, szczególnie gdy trzeba było je zrobić z niczego. A że zdarzało się to dosyć często, mówiono o Łucji po latach, że była „weteranem z okresu walki z głodem”.

Problemy, z jakimi Bolesława musiała zmierzyć się w owym czasie wyzwoływały w niej jeszcze większą potrzebę ufności i zawierzenia Bogu. Trudno zresztą było Mu nie ufać. Każdy kolejny dzień świadczył o tym, jak bardzo upodobał sobie ten ich mohylewski adres i jak nie przestaje się o wszystko troszczyć. Identyczne odczu-

cia towarzyszyły Leokadii i Łucji. Nieraz dawały temu wyraz podczas wspólnych rozmów, które prowadziły przeważnie nocą, gdy cały zakład pogrążony był już w głębokim śnie. Były przekonane, że zgromadzenie powstanie, że Pan Bóg dokona tego, muszą tylko nadal mocno w to wierzyć.

– Jak to było z ziarnkiem gorczycy? – spytała kiedyś Łucja. – Małeńkie, że prawie go nie widać, a jego wzrost – niewiarygodny. Tak i z naszej małej trzódki wyrosnie kiedyś ogromna owczarnia. Niech no tylko to ziarno łaski, które Pan Bóg wlał w nasze dusze rozrośnie się w potężne drzewo, a na pewno zlecą się do niego niebiescy ptaszki!

Jednym z tych ptaszek, w dodatku śpiewającym i grającym na fortepianie, okazała się Anna Czerniłowska-Sokół. Jej azjatyckie rysy twarzy odziedziczone po matce od początku intrygowały wychowanki. Twierdziła, że wywodzi się z rodu gruzińskich książąt, na dowód czego zademonstrowała im któregoś dnia strój księżniczki czerkieskiej wykonany z czarnej wełny kaukaskich owiec, czym już kompletnie podbiła ich serca.

Urodzona w Chersoniu na Ukrainie, była wprawdzie córką pułkownika wojsk carskich, ale luksusów w rodzinnym domu nie zaznała. To właśnie ze względu na szybkie ubożenie, rodzina Anny przeniosła się do Mohylewa i zakupiła w nim nieduży domek. Anna zapewniała, że w jej żyłach płynie również polska krew, ale nie potrafiła powiedzieć po polsku ani jednego słowa. Z łatwością natomiast porozumiewała się w innych językach: francuskim, angielskim, niemieckim i włoskim.

Bystra, elokwentna i ruchliwa nieraz opowiadała dziewczętom egzotyczne historie znane ze wspomnień matki, które w jej ustach brzmiały niczym baśnie z tysiąca i jednej nocy. Były to historie o szmaragdowych toniach kaukaskich wód, płaczących dźwię-

kach *zurny* i wędrownych grajkach śpiewających przy akompaniamencie *cziumgury*, o miodowych piernikach babki Saleme, która do wszystkich zwracała się z tatarską „dżanym”, „duszyczko”, i o żyjącej w górskiej grocie czarownicy, która wróżyła z ziarenek kukurydzy.

Kochała Anna ojczyste strony matki, żeby więc zrobić jej przyjemność nazywała ją czasem z gruzińska „deda”. W duchu obiecywała sobie, że pojedzie kiedyś do tej odległej, podbitej przez carską Rosję krainy jako apostołka Pana Jezusa, a zachwyconym dziewczętom śpiewała w wolnych chwilach stare kaukaskie śpiewki, jak choćby tę, w której młody chłopak żegna ukochaną przed zaciągnięciem się do oddziału powstańczego, by walczyć w obronie ojczyzny:

*Gdy wyjdę na szczyt Kaukazu,
Gdzie Boski wyrok zażąda,
Może zginę tam od razu
I nie będziesz mnie oglądać...*

Życie kulturalne rozwijało się w zakładzie krawieckim panny Lament niejako samoistnie, a mowa białoruska przeplatała się w nim w sposób harmonijny z mową polską i rosyjską. Ksiądz Aleksander Giedroń, który w ramach swoich opiekuńczych obowiązków odwiedził któregoś dnia zakład, był wyraźnie zaskoczony i zbudowany poziomem artystycznym występów, jakie mu przy tej okazji zaprezentowano.

Łucja Czechowska widząc jego zdumienie, roześmiała się serdecznie.

– Proszę wielbnego księdza – zawołała – nie ma się co dziwić! Przecież tu, na białoruskiej ziemi, prawie każdy jest artystą. Takie

tu już powietrze, taka tradycja! Najczystsza białoruska mowa po wsiach, najdumniejsza polskość po dworach i miastach. Naprawdę, nie ma się co dziwić...

Nadszedł w końcu dzień, kiedy do Mohylewa przyjechały dawno oczekiwane: Maria Lament, siostra Bolesławy, oraz jej przyjaciółka Lusja Janicka. Maria, która miała już dwadzieścia dziewięć lat, sprawiała wrażenie osoby nad podziw rozważnej i powściągliwej. Zdziwiło to Bolesławę, która na próżno usiłowała odnaleźć w niej dawną roztrzepaną i skłoną do gadulstwa panienkę. Spędzały ze sobą dużo czasu ciesząc się swoją obecnością, a dziewczęta z internatu przypatrywały się im ukradkiem. Największą frajdę miały wówczas, gdy panny Lament zwracały się do siebie po imieniu. Bolesława była bowiem wtedy znowu – Bolesią, a Maria – Maniusią.

Przyjazd Marii i Lusi Janickiej sprawił, że w zakładzie uruchomione zostały dwie nowe pracownie: hafciarska, którą prowadziła odtąd Maria, i dziewiarska, której nieocenioną instruktorką okazała się Lusja.

W tej sytuacji Bolesława mogła zająć się spokojnie wprowadzaniem w życie kolejnego pomysłu, który wiązał się tym razem z uroczystością Bożego Ciała. Zabiegając w ramach swoich tercjarskich powinności o uświetnienie nabożeństw kościelnych, postanowiła zorganizować w tym dniu – procesję. Zwyczaj ten, zachowany już tylko w pamięci nielicznych mieszkańców, zdawał się całkowicie zanikać na mohylewskiej ziemi, z tym większą zatem energią zabierała się do tego przedsięwzięcia.

– Każdy sposób jest dobry, aby pozyskać uśpione serca – mówiła do swoich duchowych towarzyszek. – Powinnyśmy robić wszystko, co w naszej mocy, aby oddalone od Boga owieczki odkryły na nowo, że posiadają nieśmiertelną duszę i serdecznie się tym ucieszyły.

Już wcześniej, w jednym z listów, prosiła Marię o wyhaftowanie chorągwi procesyjnej z wizerunkiem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Wiedziona wewnętrzną intuicją, słusznie upatrywała w tym właśnie wizerunku, tak bliskim również wyznawcom prawosławia, skutecznej pomocy w inauguracji swojej pojednawczej misji wśród podzielonych chrześcijan.

2 czerwca 1904 roku od rana świeciło słońce, a cała ziemia zdawała się trwać w jakimś szczególnie radosnym oczekiwaniu. Tego dnia, jak przed laty, szedł znowu po białoruskiej ziemi Pan Jezus. Szedł pod baldachimem, w monstrancji. Ożyły eucharystyczne pieśni, bielanki sypały kwiaty, chwiały się na wietrze barwne chorągwie. Także ta z Matką Bożą Nieustającej Pomocy. A ludzie wychodzący na drogę, bez względu na wyznawaną wiarę, zdejmowali ze czoła czapki, klękali i pozdrawiali Zbawiciela i Jego Matkę znakiem krzyża.

Bolesława, która w przygotowanie mohylewskiej procesji Bożego Ciała włożyła całe swoje serce, żyła tym świętem, stając się jakby jego duszą. Tak mocno była złączona z Bogiem i z ludźmi.

– Wiesz, czułam się dzisiaj prawie jak w Łowiczu – powiedziała Maria, gdy udawały się już na spoczynek.

– A ja – uśmiechnęła się Bolesława – całkiem jak w niebie!



Towarzystwo Świętej Rodziny

Wiadomość o tym, że nowym opiekunem duchowym zakładu będzie ksiądz Józef Chrucki, wikariusz kościoła katedralnego, bardzo Bolesławę ucieszyła. Ksiądz Chrucki miał wprawdzie dopiero trzydzieści lat, ale wszystkie jego kazania były głęboko przemyślane i mocno poruszające, a on sam, pragnąc zapewne jak najwierniej naśladować Chrystusa, prowadził nader ascetyczny tryb życia, oddając się surowym pokutom i umartwieniom.

Rozmowa z nim, do której doszło już wkrótce, a którą poprzedziła żarliwa modlitwa Bolesławy przed obrazem świętego Andrzeja Boboli w mohylewskiej katedrze, trwała prawie dwie godziny i zmierzała najwyraźniej w pomyślnym kierunku. Ksiądz Chrucki zainteresował się bowiem od pierwszej chwili zamierzeniem Bolesławy i z wielką uwagą słuchał szczegółów dotyczących przyszłego zgromadzenia. Uspokojona i wdzięczna za okazaną przychyłność, kreśliła z zapałem obraz tego, co od dawna nosiła w sercu, gdy oto nagle, bez żadnych triumfalnych fanfar i uroczystych wstępów, usłyszała słowa, których tak bardzo pragnęła:

– Chętnie podejmę się kierownictwa duchowego pani i jej współtowarzyszek. Najpierw jednak chciałbym zobaczyć ten słynny... zakład krawiecki.

To powiedziawszy uśmiechnął się znacząco, pragnąc w ten sposób podkreślić, że znana mu jest właściwa idea przyświecająca tej placówce.

Zakład, pomimo kłopotów finansowych, jakie przeżywał z mniejszym bądź większym natężeniem, prezentował się zupełnie nieźle. Było to niewątpliwą zasługą zatrudnionych w nim zapalonych entuzjastek, które w niedalekiej przyszłości miały stać się trzonem nowej wspólnoty zakonnej.

Ksiądz Chrucki, poznawszy bliżej kandydatki na zakonnice oraz ich misyjne ideały, wziął sprawę w swoje ręce i zajął się nią energicznie. Zaprosił przede wszystkim do Mohylewa swego przyjaciela, ojca Feliksa Wiercińskiego, jezuitę i wybitnego znawcę spraw zakonnych, posługującego na terenie Moskwy. Zaproszenie musiało zawierać niemało pozytywnych opinii na temat Bolesławy i jej towarzyszek, skoro ojciec Wierciński, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące mu ze strony władz carskich, zdecydował się na odbycie tak dalekiej i ryzykownej podróży.

Czasy były rzeczywiście trudne, sytuacja religijna w Rosji niejasna, a wydarzenia, które miały miejsce w Petersburgu w styczniu 1905 roku budziły grozę. „Krwawa niedziela”, której widmo unosiło się ciągle w powietrzu, stała się nieoczekiwanie początkiem rewolucji. Nikt z demonstrantów przybyłych tamtej niedzieli przed Pałac Zimowy z ikonami i portretami cara nie przypuszczał, że ten ich „batiuszka”, ten ukochany „ojczulek”, wyda wojsku tak okrutny rozkaz. Że każe otworzyć ogień do bezbronnego tłumu, że będzie tylu zabitych i rannych.

Stasia, zwykle ostrożna w słowach, donosiła Bolesławie o tych wydarzeniach z przerażeniem.

Straszliva i złowroga burza szaleje wokół nas, Bolesiu, od tamtej nieszczęsnej niedzieli – pisała. – Nie ma już ani jednego spokojnego i bezpiecznego miejsca. Tak wielu ludzi żyje tutaj w poniewierce i cierpi głód. W którą by stronę nie spojrzeć, wszędzie pełno krwi. Nie rozumiem tego! Nie rozumiem... Heroizm rewolucji, o którym tu coraz głośniejszy, zupełnie do mnie nie przemawia...

Nie przemawiał także do Bolesławy. Ucieszyła się zatem słysząc, że car Mikołaj II wydał specjalne zarządzenie, które zwiększało swobody obywateli. Liczyła na to, że ustępstwa cara doprowadzą do polepszenia warunków życia ludności i powstrzymają dalszy rozwój rewolucji.

Była połowa kwietnia. Niebo zachmurzyło się niespodziewanie, a koguty coraz głośniejszy piał na deszcz, kiedy przed zakładem pojawił się ksiądz Chrucki. Wracił ze świętymi olejami od chorych i postanowił wstąpić, by ustalić z Bolesławą termin spowiedzi wielkanocnej. Ledwo przekroczył próg domu, lunęło tak, jakby oberwała się chmura. Bolesława, uznając tę okoliczność za wymarzoną sposobność do usłyszenia z ust księdza czegoś więcej na temat ostatnich wydarzeń, zaprosiła go na filiżankę herbaty.

– Tyle się ostatnio dzieje – mówiła podekscytowana, zgarniając ze stołu papiery, nad którymi siedziała do późnej nocy. – Co ksiądz sądzi na przykład o tym „ukazie tolerancyjnym” cara?

– Co sądzi? – powtórzył z dziwnym grymasem na twarzy. – Sądzę, że to wyłącznie działanie pozorne. Przestraszył się batiuszka car niepomyślnych układów politycznych i napięcia rewolucyjnego, więc udaje, że się ludowi kłania.

Jego słowa zainteresowały Bolesławę.

– O ile wiem – odezwała się – przejście z prawosławia na inne wyznanie chrześcijańskie nie będzie już podlegało prześladowaniu. Czy to prawda?

– W „ukazie” taki zapis jest – odparł bez entuzjazmu, zajmując miejsce przy stole. – Jak to jednak będzie wyglądało w praktyce, dopiero się okaże. Podobnie zresztą jak ów szumny zapis zezwalający na naukę religii w ojczystym języku.

I ona zaczęła mieć wątpliwości.

– Skoro jednak car zezwoli łaskawie uczyć nasze dzieci religii po polsku – powiedziała z lekką ironią – to może zezwoli także zakonnikom na powrót do klasztorów?

Roześmiał się jak z dobrego żartu.

– Tu muszę panią rozczarować – stwierdził z żalem. – W „ukazie” nie ma ani słowa o zgromadzeniach zakonnych.

Przyjęła ten fakt dosyć obojętnie.

– No cóż – odparła. – W takim razie będziemy działały w ukryciu.

Przyjazd ojca Feliksa Wiercińskiego do Mohylewa nastąpił w drugiej połowie października pod pretekstem „odwiedzenia kuzyna”, co zostało odnotowane skrzątnie w urzędowym dokumencie. Tym „kuzynem” był oczywiście ksiądz Józef Chrucki, który zaofiarował przyjacielowi gościnę w domu parafialnym.

Pora była wyjątkowo ciepła, a ojciec Wierciński, przywykły do obcowania z przyrodą i wrażliwy na jej piękno, zachwycał się głośno na sposób szczerzy i wzniosły zarazem tą rozległą, na wpół dziką naddnieprzańską krainą. Lasy i bory, które podziwiał z okna pociągu, tonęły w jesiennych barwach, a ozłoczone słońcem, sprawiały, jak powiadał, wrażenie żywego, pulsującego światłem urokliwego malowidła.

On sam także nie był pozbawiony uroku, choć trudy życia uczyniły z niego człowieka jakby przedwcześnie postarzałego. Wąsy i broda harmonizowały wprawdzie z niską i nieco matową barwą jego głosu i uważnym spojrzeniem mędrca, ale lat mu bynajmniej nie ujmowały. Podobnie rzecz się miała z lekko pochyloną sylwetką, w której trudno się było jakoś doszukać męzczyzny zbliżającego się dopiero do pięćdziesiątki. Był wielkim erudyta, człowiekiem wszechstronnie wykształconym, znał wiele języków. Mówił piękną

polszczyzną i doskonale władał piórem w języku polskim, jednak urodzony na zgermanizowanym Pomorzu, czuł się Niemcem.

Bolesława szybko zorientowała się, że ojciec Feliks Wierciński jest kapłanem danym jej przez Boga. Także on, mając za sobą doświadczenie dwudziestu lat kapłaństwa, już po kilku spotkaniach z nią nie miał żadnych wątpliwości.

– Odnoszę wrażenie, droga pani, że nie przyjechałem tu na próżno – stwierdził któregoś dnia z wyraźnym zadowoleniem. – Mogę z całą odpowiedzialnością potwierdzić pani powołanie zakonne, a co się tyczy planowanej działalności – tylko przyklasnąć. Tak się składa, że znam dobrze problemy katolików rozproszonych na terenie Rosji i muszę powiedzieć, że macie tu wielkie pole do pracy misyjnej. Wielkie pole... Jeśli zaś chodzi o pozyskanie dla Kościoła odłączonych braci wschodnich, uważam, że to cel apostołski wielce pożądany. Ten kraj potrzebuje gorliwych misjonarek. Rozumiem, że zgromadzenie miałoby charakter...

– Wychowawczo-misyjny – dopowiedziała chętnie. – Chcemy objąć działalnością zwłaszcza młodzież i dzieci.

Po czym przynaglana duchem Bożym, dodała jeszcze dla pełnej jasności:

– Widzę naszą pracę jako wyłącznie religijną, z pominięciem celów świecko-politycznych. Chcę, aby siostry wystrzegały się zwłaszcza tej skłonności, jaką mają jedne narody do sądzenia i mówienia źle o drugich. Uważam, że wszelkie stosunki między narodami powinna normować miłość w Panu, a my – mamy właśnie być tą miłością.

– Pięknie powiedziane – przyznał i zamyślił się, obserwując majestatyczny taniec opadających liści za oknem.

Bolesława poczuła przyspieszone bicie serca. Chwila była przełomowa i tak wiele od niej zależało. Oddała Bogu siebie i całe dzieło. Teraz czekała już tylko na Jego odpowiedź, na Jego – pieczęć.

– Posiadam odpowiednie uprawnienia – odezwał się po namyśle, aby ją uspokoić – i z zawiązaniem zgromadzenia nie będzie trudności. Jeśli zaś chodzi o konstytucje zakonne, to, jako jezuita, proponowałbym ułożenie ich według reguł świętego Ignacego z Loyoli.

Wiadomość ta ogromnie ucieszyła Bolesławę. Ujrzała bowiem nagle jak prostą i klarowną drogą prowadził ją Bóg aż do tej chwili. Na pamięć przyszły jej pierwsze rekolekcje ignacjańskie w Łowiczu... „Więc już wtedy przygotowywał mnie Pan do tego dzieła?” – pomyślała zdumiona.

Podzieliła się tym odkryciem z ojcem Wiercińskim, a on przyznał, że to bardzo możliwe, ale też zaraz zapytał z przekornym uśmiechem:

– A nie obawia się pani zdziwienia pewnych osób, kiedy dowiedzą się, że tercjarka franciszkańska zakłada nie franciszkańską wspólnotę zakonną?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie – odparła z prostotą. – Umiłowałam franciszkańskie ubóstwo, to prawda, ale ignacjańskie posłuszeństwo jest mi równie drogą. Gdyby tak jeszcze – dodała z pewnym wahaniem – to nasze zgromadzenie mogło nosić, podobnie jak zakon jezuitów, nazwę: Towarzystwo Jezusowe...

Ojciec Wierciński wyprostował się gwałtownie, a jego twarz przybrała nagle surowy wygląd.

– To wykluczone – powiedział z dziwną, nie pasującą do niego oschłością. – Po pierwsze dlatego, że Towarzystwo Jezusowe jest w Rosji szczególnie napiętnowane, a po drugie, co znacznie ważniejsze, święty Ignacy nie życzył sobie... jezuitk.

Przez chwilę szukała w myśli jakiejś zastępczej nazwy.

– Może zatem... Towarzystwo Świętej Rodziny? – zaproponowała i nagle poczuła w sercu dziwne drgnienie. – Mamy przecież

naśladować Świętą Rodzinę z Nazaretu. Mamy prowadzić życie zakonne w ukryciu...

Ta propozycja nie budziła już zastrzeżeń ojca Wiercińskiego.

A kiedy po kilku dniach również Leokadia Górczyńska i Łucja Czechowska wypowiedziały przed nim pragnienie życia zakonnego w Towarzystwie Świętej Rodziny, deklarując całkowite poddanie się jego decyzjom, zgodził się poprowadzić dla nich trzech specjalne trzydniowe rekolekcje.

Po tych rekolekcjach – 29 października 1905 roku – Bolesława, Leokadia i Łucja rozpoczęły trzymiesięczny nowicjat, inaugurując tym samym działalność nowego Zgromadzenia zakonnego. I chociaż w zakładzie nic praktycznie się nie zmieniło, a one wróciły natychmiast do swoich codziennych obowiązków, w ich życiu wewnętrznym nastąpiła fundamentalna zmiana. Stało się ono bowiem odtąd życiem w pełnym tego słowa znaczeniu – zakonnym.

W połowie stycznia 1906 roku ojciec Feliks Wierciński przybył ponownie do Mohylewa.

Przybył, aby w ścisłej tajemnicy, przy zamkniętych drzwiach katedry, których pilnował wierny zakrystian dolorysta, wygłosić tym razem trzem nowicjuszkom przy ołtarzu świętego Józefa konferencje, które miały jeszcze bardziej przybliżyć im ogrom Bożego daru i wyjątkowy charyzmat otrzymanego powołania.

Świadome łaski, jaka spływała w tych dniach na nie i na pozostałych mieszkańców domu przy ulicy Szklowskiej, podążały codziennie, już po zapadnięciu zmierzchu, ośnieżoną drogą do katedry, zawsze pojedynczo, by nie wzbudzać podejrzeń. Szły, aby napełnić się Bożą mądrością i Bożą mocą, aby odprawić spowiedź generalną z całego życia. Słowa kapłana wypowiedziane podczas tych wyjątkowych konferencji, zapadły głęboko w rozmiłowane

w Bogu serca sióstr. Leokadia poczuła się nagle uzdrowiona na duszy, Łucja zdolna do największych poświęceń, a Bolesława... Bolesława była przede wszystkim szczęśliwa. Śpiewała Bogu hymn wdzięczności i czuła, jak Boży duch przenika jej ludzkie serce ogniem swojej miłości.

Wkrótce okazało się, że podobny ogień odczuwa w sercu także Łucja.

– A wiecie, co to takiego „ahmień”? – zapytała niespodziewanie pewnego wieczoru. – Na pewno nie wiecie... – roześmiała się. – Tak po białorusku nazywa się żar pozostawiony na palenisku pieca na noc, żeby rano nie trzeba było w nim na nowo rozpalać. Otóż... taki właśnie „ahmień” – czuję w sobie. „Ahmień” Bożej miłości, który pali się w moim sercu – cały czas!

Nadszedł wreszcie dawno oczekiwany dzień złożenia ślubów zakonnych.

W święto Świętej Rodziny, które wypadło w niedzielę 22 stycznia, Bolesława wysłała wychowanki wraz z pozostałymi domownikami do katedry na sumę, najdłuższą i najbardziej uroczystą Mszę Świętą. Kiedy dom opustoszał i umilkły ostatnie odgłosy młodzieńczego gwaru, nowicjuszki zebrały się w małej kaplicy przed obrazem Świętej Rodziny z Nazaretu. Skromna to była kapliczka i suknie nowicjuszek też bardzo zwyczajne, lecz nastrój tak podniosły i pełen skupienia, że słychać było niemal modlitewny śpiew aniołów.

Ojciec Wierciński rozpoczął Mszę Świętą.

Tuż przed Komunią, wpatrzona w Hostię spoczywającą w jego rękach, wypowiedziały Bogu słowa ślubowania.

– Ślubuję Boskiemu Majestatowi Twemu wobec całego dworu niebieskiego na jeden rok ubóstwo, czystość i posłuszeństwo w To-



warzystwie Świętej Rodziny i postanawiam za łaską Twoją w tym Towarzystwie wytrwać aż do końca, wszystko rozumiejąc według ustaw tegoż Towarzystwa... – powtarzały wzruszone.

Po tej uroczystej ceremonii, uświetnionej pachnącymi gałązkami jedliny, wielka nadprzyrodzona radość wypełniła serca misjonarek. Szczęśliwe, że mogły odpowiedzieć Bogu na Jego wezwanie i spełnione Jego miłością, gotowe były pójść wszędzie, dokąd tylko je pośle. Wszędzie, gdzie wiara katolicka była prześladowana, a dusze ludzkie zagrożone. Dla ratowania dusz gotowe były poświęcić własne życie.

Bolesławie – jako Założycielce i pierwszej przełożonej Zgromadzenia – przysługiwał odtąd tytuł: matki. Ona też została mistrzynią nowicjatu. Na jej zastępczynię wybrano siostrę Łucję, natomiast siostra Leokadia miała czuwać nad sprawami gospodarskimi i finansami Zgromadzenia.

Ojciec Wierciński podziwiał hart ducha i silną wiarę matki Bolesławy.

Była świadoma czekających ją trudów, a przecież wcale się ich nie bała. Musiała wiedzieć, że nie zawsze będzie mogła liczyć na kierownictwo duchowe kapłana, że rosnące napięcia rewolucyjne mogą przysporzyć Zgromadzeniu wielu cierpień, a niepewny los zakładu może pozbawić siostry środków do życia, a jednak i to zdawało się nie stanowić dla niej żadnej przeszkody. Jej pragnienie powołania nowej wspólnoty zakonnej wolne było od próżnych myśli i własnych ambicji. To, czego była pewna, sprowadzało się wyłącznie do trudu i ofiary.

Wiedząc, jak bardzo jest niedoskonała, całą ufność złożyła w Bogu.

– Wybrał Pan Bóg kłoc na narzędzie swoje – mówiła o sobie żartobliwie – niech zatem użyje go do dzieła swego...



Trudna decyzja

Luty tego roku był wyjątkowo mroźny. Zwierzęta z okolicznych lasów podchodziły na obrzeża miasta w poszukiwaniu pożywienia, a ludzie niemal wcale nie ruszali się ze swoich domostw. Także dziewczęta zapisane na kurs kroju i szycia nie zawsze docierały na zajęcia w komplecie.

Snieg utworzył przed zakładem takie zaspę, że trzeba było w końcu męskiej ręki, żeby się z nimi uporać. Jedna z dziewcząt namówiła do tej pracy swego brata Anatola, który nieraz już pomagał im przy rąbaniu drewna, paleniu w piecach czy obsłudze wyzmaczki podczas comiesięcznego prania. Miał przyjść w sobotę przed południem. Kiedy więc w sobotę przed południem rozległo się głośnie stukanie do drzwi, matka Bolesława była przekonana, że to właśnie on. Dla pewności zerknęła przez podłużną szybkę w drzwiach, ale po drugiej stronie zamiast Anatola ujrzała rewirowego Jermycyna, carskiego policjanta, pełniącego nadzór w tej okolicy.

Zdziwiła się, a nawet trochę się przestraszyła. Zdarzyło się bowiem już kilka razy, że znajdowała w pobliżu domu rozrzucone rewolucyjne ulotki wzywające do strajków, które to ulotki, nie uprzątnięte w porę, mogły narazić ją i zakład na poważne kłopoty. Ksiądz Chrucki od dawna już uczył ją na tego typu prowokacje, którymi władze carskie posługiwały się w stosunku do polskiej

inteligencji, chcąc ją w ten sposób obciążyć winą za działania spiskowe.

Ponieważ pukanie rozległo się ponownie, szybko odsunęła zasuwę. Policjant wszedł do przedpokoju, nanosząc przy okazji mnóstwo śniegu. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, niewysoki, barczysty, o lisim spojrzeniu. Przez chwilę przyglądał się matce Bolesławie podejrzliwie, po czym zapytał z wyszukaną grzecznością:

– Wy zdies’ dyrektorom?

– Tak, a o co chodzi?

– Niszto... – uśmiechnął się. – Znacit, przechodził ja tuda i podumał: chołodny dzień, tak i – wejdu! – mówił łamaną polszczyzną, cedząc z wolna każde słowo.

Od drzwi istotnie ciągnęło chłodem. Mroźny wiatr wciskał się szparami do wnętrza domu. Matka Bolesława mocniej otuliła się chustą.

– Będzie ze trzydzieści stopni – zauważyła.

– Trzydzieści? – roześmiał się, wycierając ośnieżone wąsy. – E, to wy, dyrektor, chyba dziś nosa nie wystawiali za dwier!

Co do tego, że rozmowa o pogodzie nie mogła być celem wizyty Jermycyna, matka Bolesława nie miała wątpliwości. Czekwała zatem cierpliwie na dalszy jej przebieg. I faktycznie. Już po chwili zaczęło się niewinne przesłuchanie.

– Wy iz Warszawy?

– Owszem – odparła.

– I nie skuczno wam?

– Jakoś nie mam czasu tęsknić – odparła na odczepnego.

– Nu, ale Mohylew to nie to samo, co Warszawa...

– Byłam krawcową w Warszawie, mogę być i tutaj – stwierdziła, siląc się na uśmiech. – Mohylewskie kobiety też chcą chodzić pięknie ubrane. Ale... – wtrąciła, aby jak najprędzej zmienić temat –

mamy w naszym zakładzie nie tylko pracownię krawiecką, lecz również dziewiarską, w której wyrabiamy bardzo ciepłe damskie reformy. Doskonałej jakości, zapewniam! Klientki ogromnie je sobie chwala. Czy zatem... nie zechciałby pan przyjąć od nas w podarunku jednej pary dla małżonki? Mróz może jeszcze potrwać...

Rewirowy zmieszał się okropnie na te słowa.

– Niet u mnie żeny – wyznał zawstydzony. – *Nu dla mamasy... s udawolstwajem.*

Natychmiast przywołała jedną z wychowanek i poleciła jej przynieść takowe dla mamusi *gaspadina* policjanta. Schował je w mgnieniu oka za pazuchę służbowego płaszcza, po czym, nie zadając już więcej pytań, odmaszerował zadowolony.

Po jego odejściu siostra Łucja podeszła do matki Bolesławy zaniepokojona.

– Ciekawe, kto go nasłał i po co – powiedziała, z trudem opanowując drżenie głosu. – Bo nie przyszedł chyba tylko po te głupie gacie?!

– Tego się już raczej nie dowiemy – odparła matka Bolesława. – Cieszę się jednak, że ojciec Wierciński wyjechał już z Mohylewa...

Nadeszła wiosna, a z nią nowe nadzieje. I chociaż matka Bolesława nieraz tęskniła za mazowiecką ziemią, z czasem pokochała i tę białoruską. Niezmierzone przestrzenie łąk, ciemne bory i prześwietlone słońcem brzozowe zagajniki, gąszcze leszczyn i głogów, przydrożne kapliczki. Pokochała wiejskie chaty i rzewne dźwięki liry, dudek i *zalejek*, dochodzące z oddali. Pokochała zwykłych, prostych ludzi – wiejskie kobiety, chodzące po domach z płóciennymi ręcznikami, wyszywanymi krzyżykowym ściegiem w czerwone koguty, i rybaków siedzących nad Dnieprem z wędkami z jałowca, u których można było zawsze kupić świeże płocie, okonie, a czasem nawet suma.

Miała słuszość siostra Łucja Czechowska, kiedy mówiła, że ziemia ta wzdycha wprawdzie po białorusku, ale śpiewa po polsku. Matka Bolesława czuła to polskie śpiewanie białoruskiej ziemi całą sobą.

Tymczasem dla Łucji Wielickiewicz, zakładowej kucharki, Białoruś była przede wszystkim królestwem ziemniaków. Czegoż to z nich nie przyrządzano. Pierożki i bliny, draniki, czyli placki ziemniaczane, i gałuszki, to jest kopytka smażone z boczkiem i cebulą, zaś w specjalnych glinianych werteskach wypiekano wyśmienite ziemniaczane babki. Zajadano się także kołdunami litewskimi, które w tych stronach nosiły nazwę pielmieni. To od Łucji kucharki nauczyła się matka Bolesława przyrządzać kwas żurawinowy i tak popularne na Kresach Wschodnich potrawy, jak: wielkanocna pascha i wigilijna kutia.

Dziewczeta mieszkające w internacie nazywały Łucję szumnie: królową patelni. Słyszac ich pochwały, promieniała za każdym razem jak słońce w czasie zniw, a następnie oddawała je wszystkie pokornie Duchowi Świętemu.

– A cóż ja bym, kochaneńkie, bez Jego pomocy zrobiła – mówiła z prostotą. – Żeby nie Jego boskie natchnienia, poumieralybyście, duszyczki moje, już dawno z głodu.

Emanowało z niej przy tym takie ciepło, że dziewczeta lgnęły do niej niczym zmarznięty w stepie wędrowiec do rozpalonego pieca w gościnnej chacie. Ona też jako jedna z pierwszych wstąpiła do Towarzystwa Świętej Rodziny. Zaraz po Marii Lament, rodzonyj siostrze matki Bolesławy. Po nich dołączyły dwie inne pobożne panny: Anna Czerniłowska-Sokół, czerkieska księżniczka, oraz Ludwika Grochowska, osiemnastoletnia szlachcianka, jeszcze jedna zdolna krawcowa.

Zgromadzenie liczyło siedem sióstr, a wszystkie wstępujące do niego kandydatki przechodziły trzy etapy formacyjne: postulat,

nowicjat i okres profesji czasowej zakończony złożeniem ślubów wieczystych. Matka Bolesława organizowała siostrom wykłady i konferencje. Zapalała ich serca do ofiarnej pracy i apostołskich ideałów. Przede wszystkim jednak wychowywała je przez przykład własnego życia, zwracając szczególną uwagę na przestrzeganie karności zakonnej.

Cieszyła się ze swojej małej trzódki i chętnie rozsiewała uśmiechy, a przecież zmartwień jej nie brakowało. Zakład wymagał inwestycji, na które nie było pieniędzy. Już samo to, że jeszcze istniał graniczyło z cudem. Wpłaty z tytułu kursów i pobytu dziewcząt w internacie nie pokrywały ponoszonych kosztów. Nie było też w Mohylewie nikogo, kto zechciałby zająć miejsce zmarłej fundatorki.

Sytuacja finansowa zakładu stawała się z dnia na dzień coraz trudniejsza. Przyszedł w końcu czas na podjęcie decyzji o jego likwidacji. Nie była ona łatwa dla matki Bolesławy, która jako przełożona czuła się odpowiedzialna za dalszy los Zgromadzenia. Nie była łatwa do przyjęcia przez siostry, które dopiero co rozpoczęły życie zakonne. Nie była też łatwa dla wychowanek, zwłaszcza tych, które żyły się z zakładem i nawet po ukończeniu kursów często zaglądały do „panien krawcowych”, tak jak zagląda się do Kochającej rodziny.

A jednak...

Z początkiem czerwca 1906 roku siostry zamknęły zakład i powierzyły dalszy swój los Bożej Opatrzności.

Na pomoc z nieba wcale nie musiały długo czekać. Szczęśliwym jego wysłannikiem, nie bez udziału życzliwego proboszcza, stała się niejaka pani Natalia Zołotilowa, pobożna wdowa o gołęmbim sercu, która zaoferowała matce Bolesławie pobyt w swoim domu przy Dnieprowskim Prospekcie, niedaleko dworca kolejowego.

Dom był obszerny i panowała w nim niemal klasztorna cisza, gdyż właścicielka, żyjąc po śmierci męża samotnie, niezwykle rzadko przyjmowała gości. Matka Bolesława uznała ten fakt za wyjątkowo sprzyjający jej planom i z miejsca zabrała się za gruntowną formację duchową sióstr. Postarała się także o pracę przynajmniej dla niektórych, aby zapewnić Zgromadzeniu choćby skromne środki do życia. Siostry nadal zajmowały się więc krawiectwem, szyciem szat liturgicznych i katechizacją, angażowały się także w rozmaite dzieła parafialne.

Matka Bolesława pochwałała ich spontaniczne angażowanie się w różne pożyteczne akcje, jednak troska o wzrost duchowy Zgromadzenia kazała jej powstrzymać siostry przed nadmierną aktywnością.

– Nie zanurzajmy się – mówiła – w tych codziennych zajęciach tak, jakby były one wszystkim. Owszem, trzeba wypełniać jak najlepiej swoje obowiązki, ale wypełniać je z miłości do Boga i dla Jego większej chwały. Wtedy dopiero praca jaką wykonujemy, posłuży do uświęcenia naszych dusz. A zatem? Posiadając energię do czynu, musimy pamiętać o tym, aby żyć – w równowadze ducha.

Ksiądz Józef Chrucki nadal pełnił rolę kierownika duchowego sióstr. Przejęty tą szczególną misją wygłaszał im regularnie konferencje, najczęściej o wymowie ascetycznej, a dla pogłębienia ducha wyrzeczenia wyznaczał surowe pokuty: czuwania i dyscypliny. Siostry, kierując się gorliwością, wypełniały je skrupulatnie, jednak matka Bolesława nie do końca była przekonana, czy te surowe praktyki mają jakiś większy wpływ na ich duchową formację.

Rok 1907 wcale nie zapowiadał się lepiej. Siostry podejmowały się różnych prac, jednak ich zarobki były niezwykle skromne. Sytuacja Towarzystwa Świętej Rodziny po upływie kilku miesięcy

stała się znowu poważnie zagrożona. Nie widząc w Mohylewie perspektyw dla dalszego rozwoju Zgromadzenia, matka Bolesława zwróciła się pewnego wiosennego dnia do księdza Chruckiego o poradę w tej niezwykle kłopotliwej sprawie.

– Podzielam obawy matki – stwierdził ze smutkiem po wysłuchaniu jej relacji. – To rzeczywiście przykra sytuacja. Ale cóż mogę? Chyba jedynie doradzić siostrom przeniesienie się do Sankt Petersburga. Tak, do Petersburga! – powtórzył z naciskiem, dostrzegając jej zdziwienie. – Tam, jak sądzę, znajdą siostry nie tylko lepsze warunki rozwoju, ale będą mogły, co niezmiernie istotne, poczynić starania o uzyskanie aprobaty biskupiej dla Zgromadzenia...

– Z tego, co wiem – wtrąciła zaniepokojona – nastroje rewolucyjne nie milkną. Przeciwnie, nasilają się, i to właśnie w Petersburgu.

– Nastroje może nie milkną – przyznał – ale terror jakby trochę zelżał. Moim zdaniem, chwila wydaje się odpowiednia.

Ksiądz Chrucki nie mylił się. Również matka Bolesława po głębszym zastanowieniu uznała zasadność jego rady. Ojciec Feliks Wierciński założył wprawdzie Zgromadzenie, ale jedynie w sensie prawnym. Będąc misjonarzem apostołskim nie mógł wyznaczyć mu ani ostatecznego celu, ani terenu działalności, gdyż nie wchodziło to w zakres jego kompetencji.

Im bardziej zastanawiała się nad dalszym losem Zgromadzenia, tym bardziej była przekonana, że wyjazd do Sankt Petersburga jest słusznym i najlepszym rozwiązaniem. Pragnęła bezpośredniego zwierzchnictwa biskupa i jego duchowej opieki. Pragnęła kształcić siostry. A plany – miała śmiałe. W czasach, gdy kobiety na uczelniach nadal należały do rzadkości, zamierzała umożliwić studia na Uniwersytecie Petersburskim siostrze Łucji Czechowskiej, a siostrę Annę Czerniłowską-Sokół, urodzoną poliglotkę, wysłać na filologię francuską do Wyższej Szkoły Języków Obcych.

Wyjazd do Sankt Petersburga został zatem przesądzony.

Wkrótce pojawił się jednak pewien problem. Łączył się on z koniecznością podjęcia znacznego trudu, tymczasem siostry, co nie uszło uwagi matki Bolesławy, znajdowały się w nie najlepszej kondycji. Były zmęczone i osłabione zarówno z powodu niedożywienia, jak i wyniszczających postów. W najbardziej opłakanym stanie znajdowała się siostra Leokadia, która chociaż nigdy się nie skarżyła, ledwo trzymała się na nogach.

I tym razem modlitwy kierowane do Bożej Opatrzności za wstawiennictwem świętego Andrzeja Boboli nie zawiodły. Wakacje przed podróżą do Sankt Petersburga miały siostry spędzić w uroczym majątku ziemskim państwa Drybuszewskich w okolicy Mohylewa. Słyszając z ust matki Bolesławy tę zachwycającą nowinę, siostry miały ochotę śpiewać z radości. Niektóre robiły to zresztą całkiem głośno:

*Radujsia, Marija, blagodati połnaja!
Gospod's Taboju;
blagosłowienna Ty miezdu żonami,
i blagosławien płod czriewa Twójego Jisus.
Swiataja Marija, Matier' Bożija,
molis' o nas, griesznych,
rynje i w czas smierti nasziej. Amin.*

– wyśpiewywała z głębi ogrodu „Pozdrowienie Anielskie” siostra Anna Czerniłowska-Sokół, buszująca w porzeczkach i agreście.

Państwo Drybuszewscy bardzo byli radzi, kiedy wieczorem zasiadała do fortepianu. W salonie zapalano wówczas lampy, których ciepłe światło odbijało się tęczowym migotaniem w kryształowych wazonach pełnych kwiatów. Z ogrodu, przez uchylone okno, docho-

dziło delikatne cykanie świerszczy, które mieszało się z przyjemnym zapachem maciejki, mięty i macierzanki, a spod palców siostry Anny unosiły się na przemian dźwięki utworów Fryderyka Chopina, Piotra Czajkowskiego i jej własne wariacje na temat tańców kaukaskich.

Spacery do lasu, przejażdżki bryczką, zdrowe powietrze i dobre odżywianie na koszt wielkodusznych gospodarzy, którzy nie chcieli nawet słyszeć o rekompensacie, dały niebawem rezultaty. Siostry nabrały sił, wzmocniły się też ich siły duchowe.

– Czuję, że mogłabym nie tylko przenieść teraz jakąś górę – śmiała się siostra Łucja Czechowska – ale i sama poszybować do Petersburga na własnych duchowych skrzydełkach!

Szykowały się już do podróży, kiedy nagle rozchorowała się siostra Leokadia. Choroba okazała się na tyle poważna, że wyjazd trzeba było przesunąć na dalszy termin. Matka Bolesława widząc, że stan chorej nie rokuje szybkiej poprawy, zgodziła się, aby siostry pochodzące z okolic Mohylewa udały się na pewien czas w odwiedziny do swoich krewnych.

– Sprawiam tyle kłopotu – biadoliła któregoś dnia siostra Leokadia żalosnym głosem.

– Kłopotu? – zdziwiła się matka Bolesława. – Od kiedy to wola Boża jest kłopotem? Ja widzę to inaczej. Myślę, że Pan Bóg dobrze wkalkulował tę chorobę siostry w nasze plany. A dając nam łaskę dłuższego pozostania u państwa Drybuszewskich, pokazuje nam jedynie jak bardzo nas kocha, i jak bardzo się o nas troszczy.

To powiedziawszy, pomogła chorej usiąść, przysunęła krzesło do łóżka i zaczęła ją karmić przyrządzonym przez siebie kleikiem. Siostra Leokadia otwierała posłusznie usta i bez słowa skargi przełykała to paskudztwo, ciesząc się w cichości serca, że nie jest dla Zgromadzenia aż takim ciężarem, jak to sobie wyobrażała.

Matka Bolesława karmiła chorą, lecz zajęta była najwyraźniej własnymi myślami. Świadczyła o tym pionowa kreska między brwiami, która czyniła jej twarz w takich chwilach nieco bardziej surową. Czy była taką w istocie? Była, owszem, stanowcza, budziła respekt... O ile jednak stanowczość i zmysł praktyczny pomagały jej budować Zgromadzenie od zewnątrz, to tym, co scalało je od środka były niewątpliwie uczucia serdeczne i jej wielka dobroć serca.

Spotkawszy nagle utkwiony w sobie ufny wzrok siostry Leokadii, uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Rozesłałam siostry do domów – oznajmiła. – Nic tu teraz po nich, niech przynajmniej ucieszą swoje rodziny. A może i z jakimś darem ofiarnym powrócą? – dodała z cichą nadzieją. – Dałby Bóg, bo koszty podróży jaka nas czeka znaczne, a fundusze, jak sama siostra najlepiej wie, mizerne.

Policzki siostry Leokadii zaróżowiły się od ciepłego posiłku.

– Więc jest tu teraz matka ze mną sama? – spytała zatroskana, wyrażając jej w ten sposób swoją bezgraniczną wdzięczność.

– Jest ze mną jeszcze siostra Maria. Będziemy przychodziły na zmianę i, wierzę głęboko, szybko postawimy siostrę na nogi.

Twarz chorej napełniła się bezmiarem szczęścia.

– Nigdy bym nie pomyślała, że to moje paskudne choróbsko jest przejawem woli Bożej – wyznała z ulgą, a zaraz potem dodała: – Matka to chyba bardzo kocha wolę Bożą...

Matka Bolesława zaciągnęła firankę w oknie, by osłonić chorą przed nadmiarem słonecznego światła i spojrzała na nią z miłością.

– Kocham wolę Bożą – przyznała. – Kocham bezgranicznie, bo tylko wtedy, kiedy się ją kocha całym sercem, można być pewnym, że dzieło, którego się człowiek podjął posuwa się we właściwym kie-

runku. Kocham ją, bo to najpewniejsza droga do świętości. Nasza świętość dopiero wówczas zajaśnieje pełnym blaskiem, kiedy nasza wola złączy się ściśle z wolą Bożą...

Siostra Leokadia posmutniała niespodziewanie.

– Tymczasem my – powiedziała – zamiast dążyć do tego zjednoczenia, ciągle przystajemy i rozglądamy się, ulegając chwiejnym uczuciom, roniąc łzy i skarżąc się na brak pociech...

– Uczucia, łzy i pociechy – podjęła matka Bolesława z przekonaniem – nie są niestety znakiem wielkiej miłości. Podobnie jak oschłość wcale nie świadczy o jej braku. Przeciwnie, jest oznaką miłości doskonałej, dojrzałej, wolnej od zmysłów i dziecinnych wyobrażeń...

Siostra Leokadia przymknęła powieki.

Miała teraz sporo czasu na rozmyślanie. Minęło lato, a ona ciągle pozostawała w łóżku. Siostry modliły się o jej wyzdrowienie, ale dopiero z końcem września nastąpiła poprawa.

Liście na drzewach zaczęły zmieniać już barwę, a rosnące dziko na miedzach wybijały krzewy berberysów pokryły się krwawą purpurą lśniących jagód, kiedy matka Bolesława zarządziła przygotowania do wyjazdu.



Sankt Petersburg

Sankt Petersburg – stolica i największe miasto Cesarstwa Rosyjskiego – przywitał siostry deszczem i słońcem. Na dworcu, na którym pełno było podróżnych i gdzie roilo się od tragarzy, czekała Stasia. Szczupła, niewysoka, w lekko dopasowanym szarym płaszczu i kapeluszu.

Matka Bolesława, ujrawszy siostrę na peronie, ruszyła natychmiast w jej kierunku, zostawiając resztę towarzystwa daleko w tyle. Ścisnęły się, to znów spoglądały na siebie przez łzy. „Stasia! Kochana Stasia!”... Tyle wspomnień, tyle głębokich przeżyć. I tyle lat, które minęły od ostatniego spotkania. Teraz mogły sobie nareszcie spojrzeć w oczy, wyczytać z nich to, czego nie dało się wyrazić w korespondencji objętej carską cenzurą.

Tak były sobą zajęte, że dopiero po dłuższej chwili usłyszały zniecierpliwiony głos siostry Marii.

– Stasiu! A ja? – wołała z wyrzutem, dopominając się siostrzanych pocałunków. – Zapomniałaś o mnie?!

Stasia patrzyła to na jedną, to na drugą siostrę, nie mogąc się naziwić, tak bardzo się obie zmieniły. Ona także była odmieniona. Dawniej stroniąca od wypowiedania własnego zdania, teraz sprawiała wrażenie osoby światowej. Miło było na nią patrzeć i słuchać jej barwnej i niewymuszonej mowy. Można się też było domyślić na podstawie wtrącanych od czasu do czasu francuskich słów, że i w tym języku miałyby sporo do powiedzenia.

Tak. Stasia była odmieniona i nie było w tym nic dziwnego. Dyscyplina klasztorna, twarde życie i ciężka praca, a po odejściu z klasztoru konieczność borykania się z niełatwą rzeczywistością uczyniły z niej osobę samodzielną i samowystarczającą. Satisfakcję z pozycji, jaką udało się jej osiągnąć w Sankt Petersburgu, jednej z największych metropolii w Europie, manifestowała dumnie podniesioną głową i pewnością siebie, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna hrabianka.

Mijały właśnie cztery lata, od kiedy pożegnała się z klasztorem i zaczęła prowadzić samotne życie. Zamieszkała w dzielnicy Piaski, na peryferiach rozległej parafii świętej Katarzyny. Tam też otworzyła prywatną pracownię krawiecką. Słyszając, że i Bolesława zamierza przenieść się do Petersburga, postarała się o mieszkanie w tej samej dzielnicy dla niej i towarzyszących jej osób.

Mieszkanie, choć niewielkie, było dosyć przyjemne. Składało się z dwóch pokoi i kuchni. Opłata, jak na tutejsze warunki, też nie była zbyt wysoka. Wynajęła je więc, uiszczając czynsz za miesiąc z góry, i sprowadziła się do niego wraz z sześcioro „kuzynkami”. Tak bowiem, dla uniknięcia niepotrzebnych podejrzeń, określiła ich stopień pokrewieństwa przy zawieraniu transakcji.

Zaraz po nadejściu bagaży z dworca kolejowego, z czym było trochę zachołu, siostry przystąpiły do rozpakowywania skrzyń, koszy i tobołków. Przeszwanie z miejsca na miejsce sporej ilości pakunków i wyjmowanie z nich mnóstwa większych i mniejszych przedmiotów wywołało zamieszanie, które uświadomiło nagle wszystkim ciasnotę nowego miejsca.

Grymas niezadowolenia, jaki matka Bolesława spostrzegła w pewnym momencie na twarzy siostry Ludwiki sprawił, że przerwała na chwilę układanie bielizny w szafie.

– Być może niektóre z was – odezwała się stanowczym głosem – inaczej wyobrażały sobie ten nasz dom w Petersburgu. Rozumiem

to. Chcę jednak, żebyście przyjęły stan obecny jako kolejne doświadczenie. Chcę też, abyście zapamiętały, że wszelkie doświadczenia są jakby drabiną do nieba. Jeśli więc któraś z was, dla kaprysu, chciałaby pominąć jakiś szczebel tej drabiny – tu spojrzła wymownie na siostrę Ludwikę – niech wie, że w pewnym momencie może zabraknąć jej nogi, by wznieść się na kolejny, wyższy szczebel. Nie mówiąc już o bolesnej konsekwencji ewentualnego upadku. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno?

Siostry przyjęły naukę w milczeniu, ale zaraz potem wybuchły serdecznym śmiechem. Najpierw zachichotała siostra Łucja Wieliczkiewicz, później zawtórowała jej siostra Anna, wreszcie dołączyła naburmuszona jeszcze przed chwilą siostra Ludwika. Śmiały się i pozostałe, gdyż nauka matki Bolesławy okazała się na tyle obrazowa, że każda bez większego trudu zobaczyła siebie na owej nieszczęsnej drabinie z przykrótką nogą do nieba.

Ale sytuacja sióstr wcale nie była do śmiechu. Po opłaceniu czynszu, a wcześniej kosztów podróży, transportu mebli, wyposażenia zakładu krawieckiego i rzeczy osobistych, zostało im do dyspozycji zaledwie 30 rubli. Z taką mizerną kwotą, nie posiadając żadnych wpływowych znajomości, znalazły się w obcym mieście wśród dwóch milionów innych jego mieszkańców. W mieście pięciokrotnie większym od Warszawy.

Matka Bolesława знаła trochę Sankt Petersburg. Spędziła w nim jakiś czas będąc zakonnicą Domu Rodziny Maryi. Położony na czterdziestu wyspach nad Zatoką Fińską, spowity był o tej porze roku mrokiem i szarością sinych mgieł. Pełno w nim było pałaców, mostów i kanałów, a górowała nad nim pozłacana iglica soboru świętych Piotra i Pawła, symbol władzy cara, z figurą anioła trzymającego krzyż. Sobór, nie przypominający w niczym tradycyjnej

cerkwi, był jednocześnie głównym budynkiem ponurej Twierdzy Pietropawłowskiej, w której trzymano więźniów politycznych. To do niej trafił swego czasu, wzięty do niewoli pod Maciejowicami, generał Tadeusz Kościuszko.

Chodząc wzdłuż Newy, rozległej rzeki przepływającej przez Sankt Petersburg, nazywany również Wenecją Północy, lubiła wyobrażać sobie w tamtych odległych czasach, że znajduje się w tej prawdziwej Wenecji, leżącej nad Adriatykiem, o której słyszała od swojej chrzestnej matki. W obu tych miastach domy zdawały się wyrastać z wody, nie były jednak wcale do siebie podobne. Tamte, weneckie, skąpane w słońcu, przywoływały na pamięć postać świętego Marka ewangelisty i kierowały myśli ku Jezusowi z Nazaretu. Te petersburskie, skąpane w złocie, o intensywnych pastelowych barwach – różowych, żółtych, zielonych i niebieskich – sławiły potęgę cara.

Co jeszcze wiedziała o Sankt Petersburgu? Wiedziała, że żyje w nim około sześćdziesięciu tysięcy Polaków, głównie w dzielnicy Narwskiej i Wyborgskiej, w pobliżu metalurgicznych Zakładów Putiłowskich. Że istnieje w nim kilka parafii katolickich, z których najstarszą i największą jest parafia świętej Katarzyny Aleksandryjskiej przy Newskim Prospekcie, i że Newski Prospekt jest najdłuższą ulicą, liczącą, bagatela, 4 kilometry. Że mieści się w nim słynna Akademia Duchowna oraz rezydencja Arcybiskupów Mohylewskich. Na tym się jej wiedza kończyła.



Również następnego dnia deszcz padał od rana, a ciężkie chmury nie zapowiadały szybkiej zmiany pogody. Po Mszy Świętej w ko-

ściele świętej Katarzyny, którą odprawił proboszcz, ksiądz Konstanty Budkiewicz, założyciel towarzystwa Polska Macierz Szkolna, matka Bolesława wybrała się do arcybiskupstwa, by przedstawić sytuację Zgromadzenia i szukać pomocy.

Miała już mocno przemoczone trzewiki, kiedy udało się jej wreszcie dotrzeć do pałacu Arcybiskupów Mohylewskich. Obok pałacu, oddzielone parkiem, mieściły się: Akademia Duchowna i Seminarium – jedyne w całym Imperium Rosyjskim uczelnie, które przygotowywały duchowieństwo katolickie do zadań duszpasterskich. Jak te przygotowania miały wyglądać, nietrudno zgadnąć. To że nie odbywały się one, na szczęście, w duchu całkowitej uległości carowi, było niewątpliwą zasługą mądrych i doświadczonych arcybiskupów.

Ksiądz prałat Stefan Denisewicz, który zarządzał akurat Archidiecezją Mohylewską, przyjął matkę Bolesławę niezwykle serdecznie. Mimo przekroczonej siedemdziesiątki, nadal cieszył się dobrym zdrowiem, a swoją niezłomną postawą wobec zaborcy przypominał wiernym niestrudzenie, co znaczy być gorliwym naśladowcą Chrystusa.

Usczęśliwiona, że zastała tak ważną osobę i że osoba ta ma dla niej czas, przedstawiła pokrótce historię własnego powołania i powołania Towarzystwa Świętej Rodziny, a następnie przedłożyła Jego Ekscelencji jedyne posiadany egzemplarz konstytucji, które opracowała wspólnie z ojcem Feliksem Wiercińskim. Przekonana, że zatwierdzenie ich to zwykła formalność, czekała spokojnie w wygodnym fotelu i, podczas gdy ksiądz prałat kartkował z uwagą materiał, patrzyła z żalem na mokre fałdy sukni, która po tej deszczowej eskapadzie nadawała się do gruntownej renowacji.

Minęło kilka długich minut, i jeszcze kilka, zanim ksiądz prałat uniósł w końcu siwą głowę i spojrzał na matkę Bolesławę tym

samym co wcześniej, życzliwym wzrokiem. Sądząc, że rezultat jest pozytywny, odpowiedziała mu równie życzliwym uśmiechem. Jednak przyjaznemu spojrzeniu księdza prałata nie towarzyszyły wcale słowa, jakich się spodziewała. Owszem, przyjął siostry do diecezji i udzielił im błogosławieństwa, ale konstytucji zatwierdzić nie zamierzał.

– To trudna sprawa – stwierdził zakłopotany. – Proszę mnie zrozumieć. Zgromadzenie istnieje od niedawna, nie wykazało się jeszcze żadnymi większymi osiągnięciami. Trzeba poczekać – przekonywał.

Nie mogła uwierzyć.

„Więc dwa lata to mało? – myślała gorączkowo. – Dwa lata katechizacji i tajnego nauczania, dwa lata nauki zawodu, ofiarnej służby dla parafii, życia w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie, dwa lata wyrzeczeń o głodzie i chłodzie, to wszystko – mało?!” ...

Głodziła nerwowo fałdy mokrej sukni i zdawało jej się, że to nie deszcz, ale jej własne łzy zmoczyły ją tak dokładnie, nie zostawiając ani jednej suchej nitki.

Ksiądz Denisewicz dostrzegł najwyraźniej jej zawód, bo wychylił się zza biurka i zapytał głosem pełnym ojcowskiej troski:

– Ile właściwie ma pani lat?

– Czterdzieści pięć – odparła bez namysłu.

Uśmiechnął się dobrodusznie.

– To pani jeszcze młoda – stwierdził. – Bardzo młoda... – i raz jeszcze powtórzył: – Trzeba poczekać.

„Młoda?” – pomyślała i poczuła nagle ciężar przeżytych lat. Trzymała się, owszem, prosto, zachowała szczupłą sylwetkę i młodzieńczy wygląd, a jej oczy płonęły, jak powiadano, niegasnącym zapalem, lecz o kobietach po czterdziestce mówiło się powszechnie, że są już... w podeszłym wieku. – „Młoda! Mój Boże!...”

Ponieważ ksiądz prałat wstał z fotela, i ona szybko uczyniła to samo.

– Zachęcam do kontynuowania życia wspólnego według rad ewangelicznych i przedstawionych mi konstytucji. Proszę też nadal zajmować się dobroczynnością, spełniać uczynki miłosierdzia i w żadnym wypadku się nie zniechęcać – zakończył z naciskiem, na próżno usiłując tym razem wywołać uśmiech na jej twarzy. – A na spowiednika... – dodał, szukając w myślach właściwej osoby – wyznaczę wam chyba księdza Augustyna Łosińskiego. Jest rektorem Seminarium Duchownego. Będziecie zadowolone.

Matka Bolesława skłoniła się. Audiencja była zakończona.

Deszcz wprawdzie ustał i pokazały się nawet nieśmiałe promienie słońca, ale ona wracała do domu z sercem pełnym żalu. „Więc znowu wszystko na próżno?!” – pytała Pana Boga, a pytanie to było jednocześnie wyzwaniem i nadzieją, że On sam osobiście jej odpowie, wytłumaczy, pocieszy. Że zrobi to zaraz, natychmiast, zanim zada Mu to pytanie po raz drugi, i trzeci. Jakże dręczącą była niewiedza w chwili, gdy ważyły się tak ważne sprawy... Kiedy znowu stała na rozdrożu... „Dlaczego Pan Bóg milczy?! Dlaczego nie przystawił pieczętki? Przecież chce tego dzieła! Wiem, że chce...” – mnożyła niecierpliwe pytania, wycierając ukradkiem słone łzy. Jakże wiele kosztowało ją to ciągle powstrzymywanie wrodzonej niecierpliwości, mocowanie się nie tylko z przeciwnościami, jakie spotykały Zgromadzenie, ale i z brakami własnego niedoskonałego charakteru.

Szła szybkim krokiem, nie zważając na błotniste kałuże ani na ukradkowe spojrzenia mijanych przechodniów. Prawda była smutna, a siostry... „Czy zechcą taką właśnie prawdę przyjąć?” – zapytywała siebie i nie znajdowała odpowiedzi. Władca z natury i tak jeszcze niedawno pewna, że uda jej się z Bożą pomocą osiągnąć

upragniony cel, poczuła się nagle bezbronna jak małe osieroczone dziecko.

Dopiero kiedy otworzyła drzwi mieszkania i zastała w nim siostry zgromadzone na wspólnej modlitwie, błoga nadzieja na nowo wypełniła jej duszę.

– Siostry kochane – powiedziała wzruszona. – Proszę was, ufajmy!

Zwróciły ku niej rozmodlone twarze.

Nie było ani jednej, która nie domyśliłaby się nowiny, jaką przynosi. Mówił o tym smutek w jej oczach i pożałowania godny wygląd. Przypominała jednego z tych nieszczęsnych, ociekających wodą biedaków snujących się po petersburskim bulwarze. Nie zdejmując płaszcza, usiadła zmęczona na krześle w pobliżu drzwi, zsunęła z nóg mokre buty i przez jakiś czas wpatrywała się w każdą z sióstr oddzielnie, w milczeniu.

Słowa, jakie wypowiedziała zaraz potem, zadziwiały spokojem.

– W łodzi, którą płyniemy po wzburzonych falach tego świata – mówiła pod wpływem nagłego natchnienia – jest z nami Chrystus. I chociaż może się nam wydawać, że chwilowo zasnął i nie obchodzi Go nasz los, wcale tak nie jest. On, Bóg, jednym aktem swojej boskiej woli może powstrzymać fale!... Czy wierzycie w to?

Wierzyły.

Jakże była szczęśliwa. Chcąc jak najszybciej przystąpić do działania, otworzyła przede wszystkim w ich niedużym mieszkaniu – pracownię krawiecką. Plan był taki, że pracownię poprowadzi matka Bolesława z siostrą Leokadią i siostrą Marią, siostra Łucja Wieliczkiewicz zajmie się kuchnią, natomiast siostra Łucja Czechowska, siostra Anna i siostra Ludwika rozpoczną naukę, by przygotować się do przyszłej pracy nauczycielskiej. Był to oczywiście plan tymczasowy. Matka Bolesława liczyła na to, że Zgroma-

dzenie zadomowi się w Petersburgu, przyciągnie nowe powołania i będzie mogło podjąć szerszą działalność.

Niestety, i tym razem spotkał ją zawód. Pracownia krawiecka usytuowana na peryferiach miasta i prowadzona przez nikomu nieznaną krawcową nie przynosiła oczekiwanego dochodu. W konsekwencji siostra Łucja Wieliczekiewicz nie miała czego wrzucać do garnka. Siostry zmuszone do jeszcze większych oszczędności, zrezygnowały z gotowanych obiadów. Zamiast nich przynosiły sobie z pobliskiej restauracji wrzątek w imbryku, a ich codziennym posiłkiem stał się kawałek chleba i parę plasterków najtańszej kiełbasy.

Dni były coraz krótsze, noce chłodniejsze. Przytakiwały smętnie, gdy sąsiedzi ostrzegali przed mroźną zimą i doradzali, gdzie najlepiej zaopatrzyć się w opał. Ostatnie 30 rubli, jakie posiadały, rozeszły się szybko. Nie miały już pieniędzy ani na zakup opału, ani na opłacenie komornego. Sytuacja stawała się dramatyczna.

Stasia pomagała jak tylko potrafiła ze swego niedostatku, ale jej pomoc była jedynie przysłowiową kroplą w morzu potrzeb. Tymczasem wilgotny klimat Sankt Petersburga, nieogrzewane pokoje i złe odżywianie zaczęły odbijać się niekorzystnie na zdrowiu sióstr, zwłaszcza i tak już schorowanej siostry Leokadii. Cierpiącą fizycznie z powodu reumatyzmu, matka Bolesława leczyła cierpliwie okładami z gorącego końskiego nawozu, wszystkim zaś siostrom kazała pić napar z rumianku i dolewać do wrzątku sok z malin przysłany wraz z innymi cennymi wiktuałami przez zacną panią Drybuszewską. W końcu i ona rozchorowała się, i musiała leżeć w łóżku. Nie traciła jednak nadziei.

– Skąd będą pieniądze, nie wiem – powtarzała. – Nie wiem, ale ufam, że jeżeli Bóg zechce, to ześle ratunek. W przeciwnym razie... W przeciwnym razie wypadnie nam się rozejść.

○ takim rozwiązaniu siostry nie chciały słyszeć.

Wierzyły podobnie jak ich przełożona, że dzieło któremu służą pochodzi z woli Bożej, i że czuwa nad nim Boża Opatrzność. Prosiły więc Boga o łaskę przetrwania i nie wypuszczały z ręki różańca. W kuchni nieraz można było usłyszeć siostrę Łucję Wieliczekiewicz, jak szepce z wiarą, po białorusku:

– ...Chleba naszaga sztodzionnaga daj nam siońnia. I adpuści nam prawiny naszyja, jak i my adpuskajem winawatym naszym. I nia uwodz nas u spakusu, ale zbau nas ad złoga. Amen.

Szczególnym pokarmem, który pomógł siostrom przetrwać ten niezwykle ciężki okres, okazały się konferencje ascetyczne matki Bolesławy. Karmiła nimi swoje duchowe córki w tej czarnej godzinie z tak wielką miłością, że zapamiętały je sobie na całe życie jako wyjątkowo pożywną strawę.

Nadszedł jednak dzień, w którym siostry wydały ostatnie posiadane kopiejki.

Listopad miał się już ku końcowi, śnieg z deszczem zaczął bezlitośnie, a zaraz potem temperatura spadła tak gwałtownie, że zamrzł atrament w kałamarzu stojącym na stoliku w pobliżu okna. Siostra Anna spostrzegłszy to pierwsza, schwyciła kałamarz i wymachując nim na wszystkie strony dla rozweselenia sióstr, śmiała się jak z najlepszego żartu. Na widok jej zgrabiących z zimna rąk i zapadniętych policzków matka Bolesława poczuła nagły skurcz serca. Nie miała wątpliwości. Dalsze pozostawanie w tych warunkach mogło mieć już tylko tragiczne konsekwencje.

Nazajutrz po rannej Mszy Świętej poprosiła swoje doradczynie, aby zechciały się z nią spotkać na osobności i wypowiedzieć w sprawie ostatecznego losu Zgromadzenia. Zasiadły przy pustym stole nie patrząc na siebie, milczące, przejęte i blade. Siostra Łucja, jeszcze nie tak dawno pełna życia i wspaniałych planów na

przyszłość, i siostra Leokadia, gotowa zapomnieć o najbardziej przykrych dolegliwościach, byleby tylko się Panu Bogu przysłużyć. Siedziały w ciszy trudnej i bolesnej, unikając wzajemnych spojrzeń. Cóż zresztą mogłyby z nich wyczytać? Chyba to jedynie, że znikąd nie ma już ratunku, że nadszedł czas, by rozstać się ze sobą i z tym wszystkim co tak bez pamięci ukochały, co było sensem ich życia.

W ciszy, która zdawała się być przeniknięta jakimś rozpaczliwym krzykiem protestu a zarazem niemocy, odezwał się nagle głos matki Bolesławy. Głos silny i opanowany, a jednocześnie serdeczny.

– Tak więc, moje siostry – zaczęła, jakby zamierzała wygłosić im kolejną naukę – dusza prawdziwie wewnętrzna zdaje się zawsze na upodobanie woli Bożej. Przyjmuje z tym samym usposobieniem rzeczy miłe, jak przykre. Z czasem dochodzi nawet do tego, że potrafi radować się w cierpieniu i czuje się szczęśliwa, mogąc nieść krzyż...

Oczy siostry Leokadii zaszklily się łzami.

Ona, która z takim świętym uporem dążyła do stanu zakonnego, która ukochała ten stan ponad wszystko na świecie, nie mogła wyobrazić sobie powrotu do życia świeckiego. Taki krzyż wydał jej się zbyt ciężki. Mówiły o tym jej zaciśnięte usta i łzy na policzkach.

– Pan Jezus dając krzyż – mówiła dalej matka Bolesława – prosi o współdziałanie. Także teraz. Staje przed nami i prosi o przyjęcie go, bo chce, aby Jego życie pogłębiło się w nas, aby...

Dyskretne pukanie przerwało podjętą myśl.

– W imię Boże – zwróciła się głośno w stronę drzwi.

Siostra Anna, która otworzyła je natychmiast, zbliżyła się do matki Bolesławy z niedużą szarą kopertą.

– Proszę wielbnej matki, posłaniec przyniósł ją przed chwilą – oznajmiła z ożywieniem. – Pomyślałam, że może to coś ważnego...

Matka Bolesława podziękowała siostrze Annie. Czas jakiś wpatrywała się w gołębią szarość koperty i wykaligrafowane na niej ładnym pismem swoje nazwisko. Wreszcie uczyniła znak krzyża świętego i zdecydowanym ruchem rozerwała zaklejone starannie brzegi.

List był krótki i brzmiał następująco:

*Wielce Szanowna i Zacna Pani,
dowiedziałem się od jednego z zaprzyjaźnionych kapłanów o Pani umiejętnościach administracyjnych i wychowawczych oraz o doświadczeniu w prowadzeniu działalności społecznej i byłbym mocno zobowiązany, gdyby zechciała Pani objąć kierownictwo podległego mi sierocińca w dzielnicy za Narwską Bramą Triumfalną.*

Jeżeli moja propozycja wyda się Pani godną uwagi, proszę o rychłe osobiste skontaktowanie się ze mną.

Z Bożym błogosławieństwem

*Proboszcz Parafii św. Kazimierza
Ks. Antoni Około-Kułak*

Oczy sióstr zajaśniały niezwykłym blaskiem.

Siostra Łucja, która z trudem nosiła dłuższe milczenie, i tym razem odezwała się pierwsza, nie kryjąc radości.

– Jak to matka powiedziała przed chwilą? – zapytała z uśmiechem. – Dusza prawdziwie wewnętrzna przyjmuje tak samo cierpliwie rzeczy przykre, jak i... miłe?

Siostra Leokadia szybko otarła zroszone łzami policzki.

– Więc to c u d?! – zapytała kompletnie oszołomiona.

Nie miały wątpliwości.



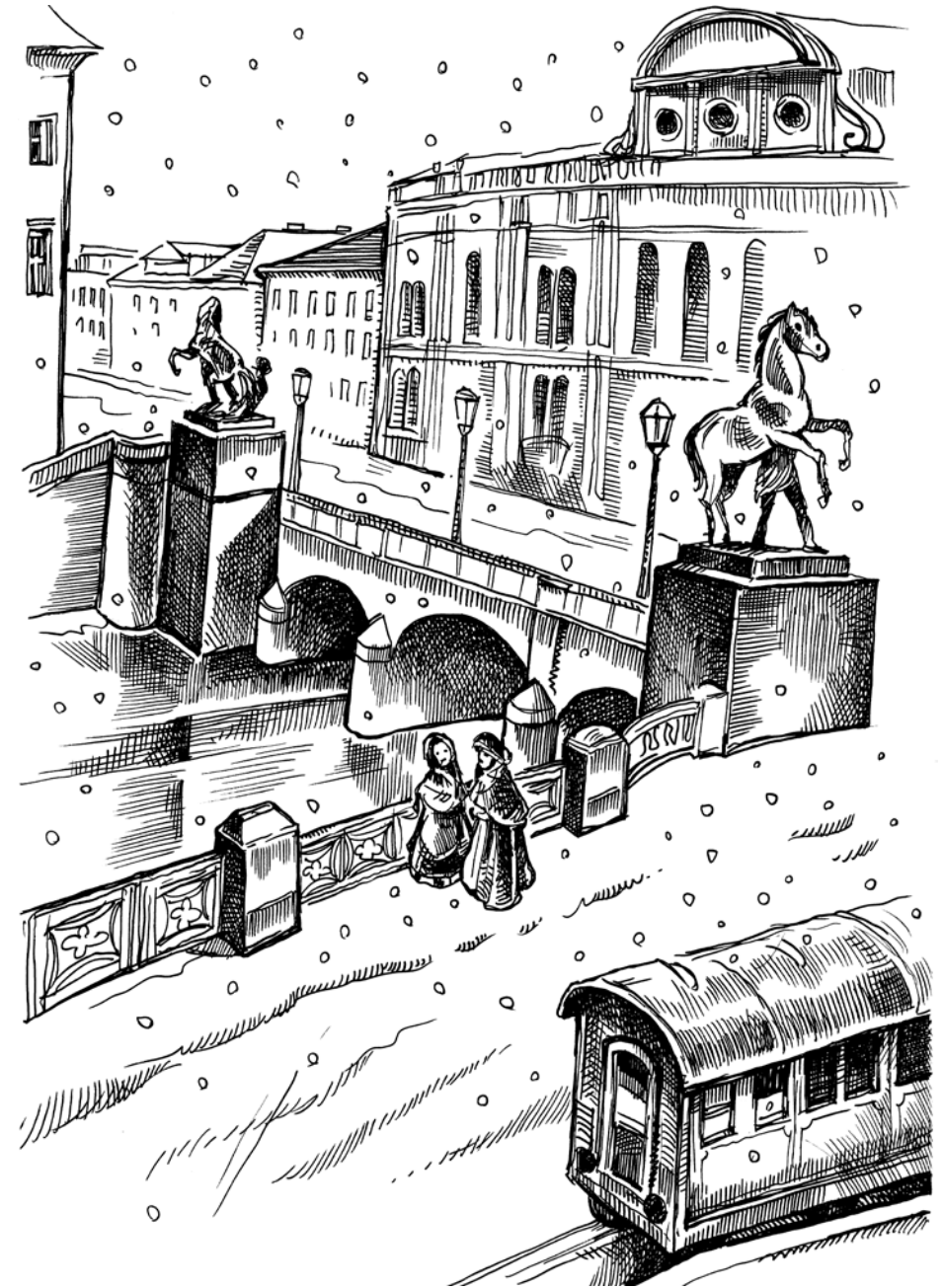
Pani przełożona

Na ulicę Uszachowską 22, gdzie mieściła się parafia świętego Kazimierza, matka Bolesława wybrała się następnego dnia wraz z siostrą Lucją Czechowską. Wyruszyły wczesnym rankiem, gdyż miały przed sobą daleką drogę. Szły oblodzonym chodnikiem, mijając oszronione drzewa i skutą lodem Newę. Śniegu było niewiele, a ten, który spadł w nocy został już pozamiatany przez wiatr w bardziej zaciszne uliczki. Mróz nie przekraczał dwudziestu stopni, powietrze było rześkie i czyste.

– Świeżyj, morski wazduch! – roześmiała się siostra Lucja, odychając pełną piersią.

Radość na jej twarzy, będąca wynikiem pomyślnego obrotu spraw oraz dobrze przespanej nocy, cieszyła matkę Bolesławę. Ona także spała tej nocy twardym snem. Nie odczuwała zimna, nie słyszała awanturniczych okrzyków dochodzących z ulicy. Sen też miała ładny. Przyśnił jej się zmarły tatko w łowickim ogrodzie, w opadających na ziemię białych płatkach jabłoni. Siedział na huśtawce zrobionej z dębowej deski i uśmiechał się, powtarzając: „Moja krew... Moja krew...”, i patrzył na nią uradowany, szczęśliwy.

Niebo zasnutę dotąd chmurami, pojaśniało nagle od słońca. Zaśniły złotem w jego promieniach stare cerkiewne kopuły, rozsrebrzyła się w gałęziach drzew koronkowa szadz. Czy Sankt Petersburg istotnie był tak piękny zimą, czy to raczej jej oczy widziały go od wczoraj inaczej, nie umiała powiedzieć.



Mimo uciążliwej drogi, którą z braku kopiejek na tramwaj musiały odbyć pieszo, serce matki Bolesławy, podobnie jak siostry Łucji, pełne było radości. Podążały, rozpytując przechodniów o drogę i zerkając co pewien czas z utęsknieniem na elektryczne wagoniki, które postukiwały wesoło na stalowych szynach. Cóż mogli wiedzieć o ich trudzie i zmaganiu się z zimnym wiatrem uśmiechnięci i zadowoleni pasażerowie? Ich stopy były już prawie całkiem skostniałe z zimna, a liche bučki ślizgały się nieznośnie po wyboistej drodze.

„Ach, gdyby żył tatko... – westchnęła matka Bolesława, mając jeszcze w pamięci miły sen. – Na pewno sprawiłby nam wszystkim ciepłe botki. Ciepłe, wygodne i najpiękniejsze na świecie!”...

Do kościoła świętego Kazimierza w dzielnicy zwanej Narwską Stroną dotarły już po zmroku. Ksiądz proboszcz Antoni Około-Kułak, dwudziestopięcioletni przystojny blondyn o poważnej twarzy, zdziwił się tak późną wizytą, ale i ucieszył. Sierociniec zarządzany formalnie przez Towarzystwo Dobroczynności, od dłuższego już czasu spędzał mu sen z powiek, a przyczyną tego stanu rzeczy była nieprawdopodobna nieudolność zatrudnionego w nim świeckiego personelu. Ludzie ci, nie tylko doprowadzili placówkę do katastrofalnego zadłużenia, ale, co wydawało się szczególnie oburzające, stosowali w niej metody niegodne zakładu wychowawczego, z karami cielesnymi włącznie.

Idealną okazją, aby sprawę wziąć w swoje ręce, stało się dla księdza Antoniego wypowiedzenie, jakie złożyła niedawno dotychczasowa kierowniczka sierocińca. Sprawę w swoje ręce wziął, ale ze znalezieniem następczyni miał poważne problemy. Z tym większą wdzięcznością przyjął zatem – on, jezuita – poufną informację innego jezuitę, o działającej w ukryciu wspólnocie zakonnej oraz jej doświadczonej założycielce. Uważając tę wiadomość za wymo-

dlony dar z nieba, otworzył szeroko i bez wahania drzwi plebanii przed matką Bolesławą Lament.

Miło było siostronom znaleźć się po tak długim marszu w przyjaznym, ciepłym domu. Rozgrzewały się aromatyczną herbatą, słuchały burzliwej relacji księdza i z każdą chwilą czuły się coraz bardziej związane z dziećmi z sierocińca, które, tak jak one, czekały na odmianę swego niełatwego losu.

– Teraz już matka rozumie – powiedział ksiądz Antoni, kończąc swoją nieco przydługą opowieść – że dalsze pozostawianie sierocińca w rękach ludzi tak skrajnie nieodpowiedzialnych, byłoby po prostu szaleństwem. Mam nadzieję, że sytuacja się odmieni, i to niebawem, i że stanie się on dla tych biednych istot prawdziwie Bożym schronieniem.

Matka Bolesława, przejęta do głębi słowami proboszcza, chętnie zaoferowała swoją pomoc. I nie tylko swoją. Zaproponowała mianowicie zatrudnienie w sierocińcu także innych znajomych „pań”, przede wszystkim zaś towarzyszącej jej siostry Łucji Czechowskiej.

Ksiądz Antoni nie dał się długo namawiać. Zgodził się nie tylko na „pannę” Łucję, ale powziął nagle decyzję o wymianie całego personelu sierocińca i zastąpieniu go siostrami Towarzystwa Świętej Rodziny. Sprawę postanowił zresztą załatwić od ręki. Przedstawił matce Bolesławie konkretne warunki płacowe, a w domu parafialnym obiecał udostępnić siostronom oddzielne pomieszczenie.

Tego wieczoru wszystkie latarnie w Sankt Petersburgu świeciły jaśniej niż zwykle, a księżycowa poświata wydała się siostronom jakby bardziej srebrzysta. Matka Bolesława i siostra Łucja nie musiały wracać do dzielnicy Piaski piechotą. Zadowolone z otrzymanej zaliczki, jechały po królewsku, tramwajem. Jechały, by siostronom czekającym na drugim końcu miasta w zimnym, nieogrzewanym mieszkaniu, oznajmić dobre nowiny.

– „Jeśli Bóg zechce, ześle ratunek”... – uśmiechnęła się siostra Łucja. A cytując prorocze słowa wypowiedziane niedawno z wielką ufnością przez matkę Bolesławę, wywołała również na jej twarzy jeszcze jeden promienny uśmiech.

Siostry opanowała nagle wielka radość. Głos siostry Anny znowu górował nad innymi, chociaż ona sama nie miała bynajmniej ambicji górowania nad kimkolwiek. Dobrze rozumiała charyzmat Zgromadzenia. A wpatrując się w Świętą Rodzinę z Nazaretu, w tych pierwszych misjonarzy Królestwa Bożego na ziemi, robiła pod okiem matki Bolesławy, wraz z innymi siostrami, coraz większe postępy w życiu duchowym. Sprzyjał tym postępom zwłaszcza ten ostatni okres, tak dotkliwie naznaczony ubóstwem, który siostry ofiarowały Bogu wraz z modlitwami w intencji jedności Kościoła i nawrócenia grzeszników.

Matka Bolesława często zachęcała siostry do odważnej modlitwy. Modlitwy, która nie waha się prosić o wiele. Wierzyła, że na taką właśnie modlitwę, śmiało szturmującą niebo, Bóg czeka ze szczególnym upodobaniem.

– Módlmy się, siostry, o wiele – prosiła. – Módlmy się o wiele, lecz niech nasza modlitwa będzie modlitwą serca, które oddaje się Bogu z ufnością. Tylko wówczas zdobędziemy niebo. Tylko wówczas uratujemy wielu ludzi, którzy toną w grzechach. Dusza lekomyślna, stale rozproszona, która nie czyni wysiłków, by ukrócić wałęsającą się wyobraźnię, nigdy nie będzie duszą modlitwy...

Siostry utwierdzone tak wyraźnym znakiem Bożej Opatrzności, znowu mogły patrzeć w przyszłość bez lęku. Ich los odmienił się. Nadciągała sroga zima, a one miały zapewnioną pracę i bezpieczny dach nad głową. Bóg sam wskazał im adres.

Znowu zaczęło się pakowanie. Odbywało się ono jednak dużo sprawniej, niż poprzednie. Wszystkim spieszyło się, by jak najprę-

dzej zająć się dziećmi, włączyć się w życie nowej parafii i przyciągnąć do niej jak najwięcej katolików, także tych, którzy oddalili się od wiary bądź całkiem o niej zapomnieli.

W tym pakowaniu pomagała siostrze Stasia – pilna, skrupulatna i jak zwykle dobrze zorganizowana. Odwiedzając je przy różnych okazjach, bardzo się z nimi zaprzyjaźniła, a w miarę upływu czasu doszła do wniosku, że jej miejsce jest przy nich. Jeśli nie wspominała o tym do tej pory, to jedynie ze względu na niepewną sytuację Zgromadzenia. Obecnie, kiedy sprawa przybrała tak pomysłny obrót, czekanie nie miało już sensu.

Skoro tylko znalazła się w pokoju sama z matką Bolesławą, wyznała jej natychmiast swoje gorące pragnienie. Oznajmiła je głosem zdecydowanym, choć nie pozbawionym obawy, czy prośba zostanie wysłuchana, gdyż wyrzuty sumienia związane z opuszczeniem wcześniejszej wspólnoty ożyły niespodziewanie na nowo. Nigdy do tej pory nie zwierzała się nikomu z podjętej wówczas decyzji.

– Tamto moje odejście z klasztoru... – zaczęła z widoczną skrućką. – Wiem, może rzucić cię na obecną kandydaturę i podważyć moją wiarygodność. Odeszłam, bo... bo... – duknęła jak uczeń z spuszczoną głową.

Matka Bolesława otoczyła siostrę ramieniem.

– Rozumiem, że Pan Bóg zna powód – powiedziała. – A to wystarczy. Zostawmy więc Jemu tę sprawę, dobrze?

Stasia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– A co usłyszę od matki na dobry początek? – spytała uspokojona, z nadzieją w głosie.

Matka Bolesława spoważniała.

– Cóż ci mogę powiedzieć – odezwała się trochę zaskoczona. – Chyba to jedynie, żebyś dążąc dalej do doskonałości nie przestawała żyć jak ofiara złożona Bogu. Spalanie się we wspólnej ofierze na

ołtarzu Bożego upodobania jest przecież istotą życia zakonnego. Czyż nie tak?

– To prawda – przyznała Stasia. – I tego właśnie pragnę najbardziej.

– W takim razie i ja cieszę się, siostrzynie... Leonardo?

– Chciałabym zachować to imię, jeśli matka pozwoli.

Pozwoliła.

Przedstawiła też zaraz nową kandydatkę pozostałym siostrzynom, które, jak można się było tego spodziewać, wcale nie okazały zdziwienia. Stasia, wyściskana serdecznie, pomogła najpierw siostrzynom spakować do końca ich bagaże, a następnie pognęła rozpromienioną, by spakować własne.

Bóg jeden wiedział, jak bardzo już tęskniła za życiem zakonnym, za wspólną modlitwą i pracą. Brakowało jej tego siostrzanego rytmu radości i zmęczenia. I oto nagle – jej tęsknota nabrała rzeczywistego kształtu. Była we wspólnocie zakonnej, i były w niej także jej dwie rodzone siostry. „Czy można wyobrazić sobie większe szczęście?” – myślała, spiesząc ulicą do swego mieszkania wśród opadających płatków śniegu. Płatków, które muskając delikatnie jej rozpalone policzki, zdawały się być dotykiem samego Boga.

Nie zdejmując płaszcza, usiadła przy stoliku i napisała długi list do matki. Cieszyła się, że może przegnać nim troskę z jej czoła o swój dalszy los, że może wywołać nim uśmiech na jej drodze.

Sierociniec, o którym mówił ksiądz Antoni, liczył prawie setkę dziewcząt i chłopców w różnym wieku i przedstawiał istotnie obraz nędzy i rozpacz. Panujący w nim brak dyscypliny sprawił siostry w pierwszej chwili w osłupienie. Zewsząd dochodziły wrzaski i krzyki. Starsi rozzuchwaleni chłopcy bez przeszkód terrory-

zowali pozbawione należytej opieki maluchy. Niezbędne było natomiast przeciwdziałanie i anielska cierpliwość. Dobrze, że w zakładzie pojawił się w porę cały zastęp świętych i cierpliwych opiekunów.

Matka Bolesława, obejmując obowiązki kierowniczkę, zaleciła siostrzynom, by poskramianie agresji najbardziej aktywnych chłopców odbywało się w duchu dobroci i rozumnej karność. Od starszych wychowanków, którzy chętnie manifestowali swoją dorosłość, wymagała dbałości o porządek i opiekowania się młodszymi dziećmi. Bardziej uzdolnionych zachęcała do nauki, a wszystkim bez wyjątku wpajała od samego początku zasady kulturalnego zachowania.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Dzieci były czyste i zadbane, nikt nie chodził głodny. Chłopcom uszyto jednakowe bluzy, a dziewczynkom oprócz wstążek do włosów sprawiono szykowne białe fartuszki. Tak odmienione towarzystwo nabierało pod okiem siostrzynie należytej ogłady i coraz chętniej klękało do wspólnej modlitwy. Wszyscy też inaczej niż do tej pory, na sposób bardziej rodzinny, przeżywali tego roku Wigilię i święta Bożego Narodzenia. W domu rozbrzmiewały polskie kolędy, a na stole – obok tradycyjnych potraw – czekały na dzieci kolorowe paczuski ze słodyczami.

Ksiądz Antoni uśmiechał się coraz częściej. A uśmiech zagościł już na dobre na jego twarzy, gdy po jakimś czasie niedobory kasowe sierocinca się skurczyły i placówce przestało grozić widmo upadłości.

Nie było tajemnicą, czyją zasługą była ta korzystna zmiana. Matka Bolesława osobiście czuwała nad wszystkim. Osobiście też prowadziła, i to w sposób wzorowy, skomplikowaną rachunkowość. Nieraz widziano, jak pochyłona nad stertą papierów zapisanych

drobnymi cyframi, przesiadywała do późnej nocy przy bladym świetle lampy. Wydawała się być wówczas pochłonięta tym zajęciem bez reszty, a jednak było to tylko wrażenie pozorne. W rzeczywistości odrywała się dosyć często od tej żmudnej pracy, by wznieść choć na krótką chwilę myśli do Boga, tak w aktach strzelistych, jak i w cichej modlitwie serca. To dzięki tym wzlotom duszy właśnie na jej twarzy prawie nigdy nie było widać zmęczenia.

Chodziła zwykle szybkim, energicznym krokiem, a z jej wyprostowanej sylwetki emanowała szczególna godność. Suknie nosiła na ogół ciemne, wpadające w czerń. Bujne lśniącobrazowe włosy upinała z tyłu według obowiązującej mody. Przemierzała sierociniec od wczesnych godzin rannych, sprawdzając czy przepisy są należycie przestrzegane, dzieciom niczego nie brakuje, a opiekunki nie są przytłoczone nadmiarem obowiązków. Była obecna w salkach, gdzie odbywała się nauka i w kancelarii, gdzie przyjmowała interesantów i załatwiała korespondencję. Zaglądała do świetlicy i do kuchni. A że podobna pracowitość i ofiarność cechowała także pozostałe siostry, szybko spotkały się z sympatią otoczenia.

Zadowolona, że sierociniec funkcjonuje bez zarzutu, matka Bolesława zapisała siostry na specjalne kursy dokształcające. Dzięki nim mogły już niebawem rozpocząć również pracę nauczycielek w miejscowej szkole parafialnej. Składała się ona z trzech klas, a uczęszczało do niej sto pięćdziesięcioro dzieci.

Pojawienie się w szkole uśmiechniętych „pań” o gorących sercach ucieszyło nie tylko uczniów, ale i ich rodziców. Parafia istniała bowiem od niedawna, tymczasem wierni – Polacy, Litwini i Łotyże – od dawna już spragnieni byli ożywczego ducha.

Matka Bolesława, którą wychowankowie nazywali z szacunkiem „panią przełożoną”, potrafiła wprawdzie karcnąć już samym spoj-

rzeniem, lecz cała jej surowość zniknęła, gdy na twarzy pojawiał się uśmiech. Chętnie chwaliła uczniów za postępy w nauce i z wielką troską odnosiła się do ich problemów. Z zapalem też zabrała się do przygotowania dzieci do Pierwszej Komunii Świętej, uznając to za zadanie najpilniejsze.

Na lekcjach religii omawiała z nimi dzieje biblijne i rozbudzała w nich miłość do Boga. A robiła to tak obrazowo i przystępnie, że dzieciaki siedziały cicho jak przysłowiowe myszy pod miotłą.

– Kiedy więc Apostołowie zgromadzili się, by spożyć wieczerzę paschalną – opowiadała im któregoś dnia – Pan Jezus wziął chleb, pobłogosławił go i połamał, a potem podawał im po kawałku i mówił do nich bardzo dziwne słowa. Jakie? „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało Moje”... Jak myślicie, czy Apostołowie zdziwili się, słysząc takie polecenie?

– Taaak – ryknął natychmiast zgodny chór.

– Dziwili się także potem – mówiła – kiedy wziął kielich z winem, odmówił dziękczynienie i podawał im, mówiąc: „Pijcie, to jest Krew Moja, która będzie wylana za wielu na odpuszczenie grzechów”. Dziwili się i – mieli do tego prawo. Ale my... już się nie dziwimy, prawda? Wiemy, że ten sam Pan Jezus, który spożywał wówczas swoją Ostatnią Wieczerzę z Apostołami, jest obecny podczas każdej Mszy Świętej i karmi nas swoim Ciałem i swoją Krwią. Karmi nas, abyśmy byli do Niego podobni. Abyśmy trwali w jedności z Nim i ze sobą nawzajem. A w jaki sposób nas karmi, kto wie?

– W Eucharystii! – wykrzyknął ktoś z pierwszej ławki.

– I mieszka w takiej właśnie postaci na stałe, gdzie...? – pytała dalej.

– W tabernakulum!

– Tak. Mieszka w tabernakulum i jest – Królem Miłości.

– Jest królem? Chociaż siedzi tam jak w więzieniu? – odezwała się nagle jakaś mocno zdziwiona dziewczynka.

– Wyobraź sobie – uśmiechnęła się matka Bolesława. – Bo chociaż tabernakulum jest zamknięte i dobrze pilnowane, Jego królewska miłość – nie ma granic!

Wielkanoc roku 1908 wypadła pod koniec kwietnia, miały więc siostry dosyć czasu, by włączyć się w przygotowania do uroczystego Triduum Paschalnego. Matka Bolesława przystąpiła z zapałem do urządzania Grobu Pańskiego, ale myślą wybiegała znowu daleko w przyszłość. Martwiło ją, że w tej robotniczej dzielnicy, w której przyszło im żyć, nie ma ani jednej szkoły średniej dla dziewcząt. Myśl ta nie dawała jej spokoju do tego stopnia, że wkrótce po świętach wielkanocnych rozpoczęła oficjalne starania w Kuratorium Petersburskiego Okręgu Szkolnego o udzielenie koncesji na otwarcie w Narwskiej Stronie takiego właśnie gimnazjum.

Ksiądz Antoni nie ukrywał zdumienia, kiedy poinformowała go o tym pewnego dnia.

– Czy byłoby księdzu bardzo nie na rękę – dodała nieśmiało – gdyby to gimnazjum, przynajmniej na początku, mieściło się w budynku parafialnym?

– Czuję się, doprawdy, zawstydzony – odparł szczerze. – Jest tu matka zaledwie od kilku miesięcy, a zrobiła tak wiele.

– Więc zgadza się ksiądz? – przerwała mu niecierpliwie.

Uśmiechnął się.

– Ale to nie będzie takie proste – uprzedził ją, znając już trochę petersburskie zwyczaje.

Nie miała co do tego najmniejszych złudzeń.

Pilnowała sprawy gimnazjum w kwietniu i w maju, pilnowała z nastaniem czerwca. Wszelkie trudności tłumaczyła ślamazarno-

ścią urzędników, powtarzając za każdym razem z niezachwianą pewnością:

– Dzieła Boże klęsk nie znają.

Czasem dodawała:

– Tylko lenistwo gubi wiecznie. Jeśli nie będziemy się lenić i wykażemy odrobinę dobrej woli, Pan Bóg na pewno pomoże.

Czuła, że Bóg chce tej szkoły i bardzo liczy na Towarzystwo Świętej Rodziny. Widząc zaś, że siostry i bez tego są już mocno zmęczone, oszczędzała ich siły biorąc na siebie, jak każda kochająca matka, bardziej uciążliwe obowiązki.

Tak właśnie było podczas kolonii, które zorganizowała latem dla najbiedniejszych dzieci z Petersburga. Dzieci te, wyciągnięte niejednokrotnie z rynsztoku, znajdowały się w tragicznym stanie, toteż pobyt dla wielu z nich zaczął się od anginy i dyfterytu. Dyfteryt uchodził za groźną chorobę zakaźną, dlatego trzeba było chorych jak najszybciej odizolować, a ich odzież poddać dezynfekcji. Tę dezynfekcję matka Bolesława przeprowadzała sama, a dopiero potem przekazywała ubrania siostrom, aby je porządnie wyprały. Często też, chcąc dać im odpocząć po całodziennych trudach, brała za nie nocne dyżury przy chorych.

Dzieci przyglądały się z ciekawością, kiedy poprawiała im posłania i podawała lekarstwa. Nikt nigdy dotąd nie chodził koło nich, nie przejmował się ich zawszonymi głowami, suchotniczym kaszlem ani pustym żołądkiem. Musiały radzić sobie same, więc sobie radziły – klnąc, kradnąc i oszukując. Nie spodziewały się, że może istnieć jakiś inny świat. Że ktoś zamiast kopniaka czy tęgiego lania, może podarować im miłe słowo albo uśmiech. Że może przytulić, pogłaskać po głowie. Nie wiedziały o istnieniu Boga. Teraz było inaczej.

Którejś nocy, kiedy część dzieci spała, a część majaczyła jeszcze w gorączce, matka Bolesława podeszła do Saszki. Chłopak kręcił

się niespokojnie, w końcu usiadł na łóżku. Uśmiechnęła się wówczas do niego i powiedziała:

– Wot i przykrość. Chorować, gdy tak pięknie na świecie. Ale nie martw się, za dwa dni i ty będziesz szalał w ogrodzie.

Spojrzał na nią, żeby się upewnić, czy nie żartuje. Ale ona nie żartowała, cieszyła się razem z nim.

– Zuch z ciebie, Saszka – stwierdziła. – Walczyłeś z chorobą i odniosłeś zwycięstwo. A złapałeś to paskudztwo pewnie grzebiąc w jakimś śmietniku, mam rację? – dodała ze współczuciem.

– Nie, nie! – zaprzeczył żywo. – *Czestne słowo*, że nie!

Opadł na poduszkę i czas jakiś leżał nieruchomo, z błyszczącymi oczami. Myślał o ukochanym dziadku, o swoim „liubimym deduszce”, który teraz, kiedy byli od siebie daleko, sam musiał chodzić na żebrzy.

– Proszę pani? – zapytał nagle. – A pani ma synka?

– Nie – odparła zaskoczona.

– A gdyby to pani synek leżał tu, na tym łóżku, zamiast mnie, to co by mu pani powiedziała?

Poczuła pod powiekami łzy.

– Powiedziałabym mu – odezwała się, patrząc chłopcu w oczy – że bardzo go kocham. Że kocham go, ponieważ jest kimś ważnym, niepowtarzalnym i jedynym na świecie. Że kocham go, ponieważ jest – dzieckiem Boga.

– Tak samo jak ja?! – zdziwił się.

– Tak samo – przyznała, głaszcząc go po płowej czuprynie. – A teraz śpij.

Po tych koloniach, które na długo pozostały w pamięci sióstr nie tylko z powodu zażartej walki z bakteriami, ale i z powodu smakowitych chereśni rosnących w położonym nieopodal sadzie, matka

Bolesława przygotowała dla nich miłą niespodziankę. Mając na względzie jak najszybsze zregenerowanie ich nadwątłych sił, wynajęła na pewien czas kilka pokoi w niedalekim, bo położonym zaledwie 25 kilometrów od Sankt Petersburga – Carskim Siole.

Modna ta miejscowość słynęła głównie z kąpiącej złotem letniej rezydencji rosyjskich carów, o której opowiadano niestworzone historie. Otaczały ją parki, a w nich nie brakowało takich dziwów jak rzymskie ruiny czy łaźnia turecka w formie meczetu. Jednak dom, w którym zamieszkały siostry, położony był z dala od tych luksusów, na terenach wioskowych. Tam, niczym mniszki na odciętej od świata pustyni, mogły oddawać się bez przeszkód modlitwie i rozmyślaniam.

W czasie gdy siostry nabierały sił do kolejnych zadań, matka Bolesława urzędowała w Petersburgu, czuwając nad sierocińcem i nad losem złożonego w Kuratorium podania.

Wreszcie nadeszła odpowiedź.

– Mamy koncesję! – wołała już z daleka, wkraczając triumfalnie na plebanię. – Koncesję na siedmioklasowe gimnazjum żeńskie przy ulicy Uszachowskiej 22! I co ksiądz na to?

– Co ja na to? – powtórzył śmiejąc się. – Widzę, że matka zaczyna w Petersburgu czynić cuda!

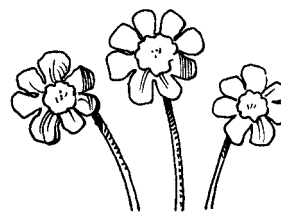
– Co też ksiądz mówi! To Pan Bóg czyni wszystko – odparła bez namysłu. – Ja jestem tylko marnym narzędziem w Jego rękach. A wracając do sprawy.. Językiem nauczania będzie oczywiście język rosyjski, co się zaś tyczy polskiego, francuskiego i niemieckiego mogą być prowadzone na zasadzie przedmiotu dodatkowego w wymiarze 3-4 godzin tygodniowo..

– Trzy godziny polskiego tygodniowo! – wykrzyknął z ironią. – To ci dopiero łaska!

Matka Bolesława nie przejęła się tą uwagą.

– Damy sobie radę, niech się ksiądz nie martwi – uspokoiła go szybko. – Najważniejsze, że mamy koncesję!

Było w tym urzędowym piśmie jeszcze jedno zalecenie, które zachowała w sercu jako szczególnie Boży znak. Uczennice, tak jak tego pragnęła, miały być przyjmowane do gimnazjum bez żadnych ograniczeń, zarówno pod względem narodowościowym, jak i wyznaniowym.



Gimnazjum Łucji Czechowskiej

Dyrektorką Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego przy ulicy Uszachowskiej 22 została siostra Łucja Czechowska. Ona jedna spełniała bowiem wymagane warunki: pochodziła z terenu Cesarstwa Rosyjskiego i posiadała odpowiednie wykształcenie. Posiadała też, co z pewnością nie uszło uwagi wnikliwych urzędników Kuratorium, doskonałą znajomość języka rosyjskiego oraz typowo rosyjską urodę. Dyrektorka Czechowska reprezentowała gimnazjum na wszelkich oficjalnych spotkaniach i uroczystościach, jednak w rzeczywistości jego zarządzaniem zajmowała się matka Bolesława, która z tak godną podziwu determinacją zabiegała u władz oświatowych o otwarcie tej placówki.

Siostra Łucja pomagała matce Bolesławie w miarę swoich możliwości, lecz były one ograniczone ze względu na studia, które odbywała na wydziale przyrodniczym. Wydział ten, uważany jeszcze do niedawna za wysoce nieodosowny dla kobiet, podobnie jak medycyna czy biologia, po sukcesach Marii Skłodowskiej-Curie na paryskiej Sorbonie, zyskał wyraźnie na atrakcyjności. Niestety, wybór siostry Łucji, wynikający głównie z zafascynowania pięknem przyrody, okazał się niezbyt trafny. Matka Bolesława próbowała namówić siostrę do zmiany kierunku studiów, ale ona stanowczo się temu sprzeciwiła. Taka postawa nie była zgodna z jej zasadami. Wrodzone poczucie odpowiedzialności nie pozwalało jej zbaczać z raz wytkniętego celu. Studiowała więc nadal na wydziale przy-

rodniczym, ciesząc się, że już niedługo będzie mogła podzielić się swą wiedzą z wychowankami.

Gimnazjum Łucji Czechowskiej miało charakter rozwojowy. Oznaczało to, że w momencie jego otwarcia dziewczęta przyjmowane były wyłącznie do klasy pierwszej i dopiero w miarę upływu lat uruchamiano następne. Wieść o egzaminach do pierwszej gimnazjalnej rozeszła się w dzielnicy Narwskiej błyskawicznie, a zaraz potem zaczęły napływać kandydatki, by wykazać się przed komisją posiadaną wiedzą. Różne to były panienki. Pewne siebie, z kokieteryjnym uśmiechem na ustach, i lekko wystraszone, z równym przedziakiem i warkoczami zawiązanymi w pętelki. A ponieważ zgłaszały się wyłącznie Polki, w szkole zapanował od początku prawdziwie polski i katolicki duch.

Proboszcz, ksiądz Antoni, patronował nowej placówce z zadowoleniem, ale pokazywał się w niej raczej rzadko. Miał na głowie masę spraw związanych z parafią, w tym również z gimnazjum dla chłopców. Miał też sporo własnych pomysłów, które realizował z dużym powodzeniem. W czasie swojego krótkiego pasterzowania zdążył zorganizować bibliotekę i powołać do życia towarzystwo dobroczynne pod nazwą Konferencja św. Wincentego a Paulo. Zaczął także tworzyć tajne czasopismo „Wiara i życie”, a w przyszłości, o czym wiedziało na razie tylko nieliczne grono wtajemniczonych osób, zamierzał utworzyć stowarzyszenie dla katolickich robotników.

Domyślał się, ile samozaparcia musi kosztować matkę Bolesławę dzieło, które tak odważnie wzięła na swoje kobiece barki, nigdy jednak nie wtrącał się i nie komentował jej decyzji. Nawet wówczas, gdy ofiara na jaką godziły się siostry wydawała mu się zbyt wielka i nie do końca zrozumiała. Tak było już na samym początku, gdy zaczęło się wyznaczanie pokoi na sale gimnazjalne. Dom parafial-

ny nie był z gumy, chcąc więc urządzić w nim szkołę, siostry postanowiły zrezygnować z zajmowanych przez siebie pomieszczeń. Przeraził się wówczas nie na żarty. One tymczasem sypiały odtąd w salach lekcyjnych, w kancelarii albo na korytarzu, a jego witały tym samym co zawsze pogodnym uśmiechem. O tym, że ćwiczenia duchowe odprawiały z konieczności w małym przechodnim pokoiku matki Bolesławy, który był zarazem korytarzem łączącym budynek parafialny z chórem kościelnym, nic na szczęście nie wiedział.

Życie w takich warunkach na dłuższą metę nie było oczywiście możliwe, toteż matka Bolesława i tym razem wypatrywała z ufnością pomocnej dłoni Bożej Opatrzności. Pomoc ta istotnie nadeszła. Jeszcze tego samego roku Pan Bóg skierował jej kroki na teren budowy domu przy ulicy Lewej Tientielewskiej 14. Dom ten – piętrowy, solidny, drewniany – spodobał się matce Bolesławie. Ona z kolei, co mocno ją zaskoczyło, spodobała się właścicielowi posesji, który był Rosjaninem i miał, jak twierdził, słabość do Polaków. Spodobała mu się zwłaszcza jej handlowa żyłka i talent do interesów.

– Żal, że jestem żonaty – westchnął w pewnej chwili wyraźnie zafasowany. – Zaraz bym się z panią ożenił. Zrobilibyśmy we dwoje wielki majątek! Serio, nie wierzy mi pani?

Roześmiała się na to jego bezpardonowe wyznanie.

– Pani się nie gniewa, to dobrze – ucieszył się. – Ludzie teraz nie są skorzy do żartów, obrażają się o byle co. A w tym domu – szybko powrócił do głównego tematu rozmowy – miałoby się znajdować, mówi pani, żeńskie gimnazjum?

– Gimnazjum już jest – oświadczyła nie bez dumy. – Brak mu jedynie dachu nad głową.

Zdjął czapkę, podrapał się za uchem, potem znowu ją założył i zaczął kalkulować.

– Właściwie... – odezwał się w końcu – mógłbym pani udostępnić ten dom na jakiś czas. Aż tak mi się nie pali. Co pani myśli o umowie dzierżawnej, powiedzmy, na pięć lat?

– Doskonale – stwierdziła bez namysłu.

– Ale pod jednym warunkiem – dorzucił szybko. – Komorne za pierwszy rok płatne z góry.

– Zgoda, ale... pod jednym warunkiem.

Czekał z zainteresowaniem.

– Wykończy pan dom tak, by odpowiadał potrzebom gimnazjum. Ściśle według moich wskazówek.

Jego śmiech był donośny i szczer.

– Żal, naprawdę żal, że jestem żonaty!

Kiedy po powrocie na ulicę Uszachowską matka Bolesława zebrała siostry, by naradzić się z nimi w sprawie wydzierżawienia domu i wymieniła kwotę, jakiej zażądał właściciel tytułem opłacenia komornego za pierwszy rok z góry, siostra Anna Czerniłowska-Sokół nie mogła powstrzymać się od uczynienia drobnej uwagi.

– Proszę wybaczyć, wielebna matko, ale to dokładnie tyle, ile wniosłam w posagu, wstępując do Zgromadzenia – powiedziała.

– Cieszyłabym się, gdyby te pieniądze mogły się przysłużyć tak pięknej sprawie. Pan Czerniłowski, jak sądzę, też nie posiadałby się z radości – dodała, nazywając w ten żartobliwy sposób swego zasłużonego tatę pułkownika.

Nastała jesień. Zimna petersburska jesień roku 1908.

Zajęcia w budynku parafialnym odbywały się według ściśle ustalonego harmonogramu: gimnazjalistki miały lekcje przed południem, natomiast po południu odbywały się kursy krawieckie

prowadzone przez panny Lament: siostrę Marię i siostrę Leonardę. Nauka i praca szły zatem pełną parą, a zapal rozgrzewał serca dziewcząt i nauczycielek do tego stopnia, że dopiero na uwagę zwróconą któregoś dnia przez księdza Antoniego zaczęły rozpalać ogień w piecach. Faktycznie, chłód stawał się coraz dotkliwszy, głównie z powodu panującej mgły. Siostry skarżyły się, że w żaden sposób nie mogą przewietrzyć sal lekcyjnych. Ilekroć bowiem otwierały okna, zaraz musiały je zamykać z powrotem, gdyż gęsta i mroźna mgła wyiębiała pomieszczenia jeszcze bardziej.

Matka Bolesława czuwała nad gimnazjum, czuwała też nad Zgromadzeniem, którego była przełożoną. Szczególną uwagę zwracała siostronom na wierne wypełnianie praktyk zakonnych i mocno je w tym względzie strofowała.

– Siostry muszą często przestawać z ludźmi – mówiła na przykład – i jest to całkiem zrozumiałe, niech jednak przestają z nimi tak jak osoby, które wyrzekły się świata i już do niego nie należą...

Niezwykle ceniła sobie posługę spowiednika, księdza Augustyna Łosińskiego, który z wielkim zaangażowaniem pracował nad właściwą formacją serc i sumień zakonnic Towarzystwa Świętej Rodziny. Ten wybitny kapłan i kaznodzieja miał dopiero czterdzieści lat, ale przepowiadano mu w niedługim czasie sakrę biskupią. Matka Bolesława szczerze życzyła księdzu Łosińskiemu tej zaszczytnej godności, chociaż myśl o utracie tak znamienitego kierownika duchowego nie napawała jej zbyt radością. Zdając się i tym razem na wolę Bożą, czekała ze spokojem serca, zajęta sprawami natury bardziej przyziemnej.

Na naukę do gimnazjum zgłaszały się przeważnie córki robotników zatrudnionych w pobliskich Zakładach Putiłowskich. Był to największy kombinat metalurgiczno-maszynowy w Cesarstwie

Rosyjskim i trzeci co do wielkości w Europie. Produkowano w nim broń, armaty, czołgi i samochody pancerne, ale także wagony i parowozy. To właśnie z tych zakładów wyruszył w roku 1905 pochód strajkujących pod Pałac Zimowy. Do nich strzelało wojsko na rozkaz cara. Niedawne te wydarzenia ciągle jeszcze pobrzmiewały w rozmowach. Byli tacy, którym po tej tragicznej strzelaninie marzył się już tylko święty spokój i względna poprawa warunków bytowych, ale byli i tacy, którzy niesieni rewolucyjnym szaleńcem, z jeszcze większą desperacją rozrzucali ulotki, wykrzykując, że „lepsza śmierć niż kajdany!”.

Nietrudno się domyślić, że i dziewczęta pochodzące z tak różnych środowisk miały często odmienne poglądy. Trzeba było niemałej kultury osobistej, aby różnice zdań w porę łagodzić, a poglądom nadawać właściwy kierunek. Matka Bolesława, jak zwykle taktowna i dyskretna, szybko nawiązała kontakt z wychowankami. Szybko też stała się dla nich autorytetem. Zjawiały się punktualnie, zawsze z odrobionymi zadaniami. W skromnych sukienkach, na które zakładały jednakowe, ale za to wyjątkowo twarzowe białe fartuchy. Atmosfera w szkole była bez zarzutu nawet wówczas, gdy do tej zgranej już całkiem nieźle gromadki dołączyło kilka prawosławnych Rosjanek. Nowe dziewczęta tak mocno wrosły we wspólnotę, że chętnie brały udział zarówno we wspólnych modlitwach, jak i w imprezach o zdecydowanie polskim charakterze, co matce Bolesławie zawsze znakomicie poprawiało humor.

Czesne za naukę wynosiło 70 rubli rocznie. Nie była to kwota zbyt duża, zważywszy że w niektórych prywatnych gimnazjach, jak na przykład w gimnazjum przy kościele świętej Katarzyny, kwota ta była znacznie wyższa, a były i takie, w których dochodziła do 200 rubli rocznie. Większość pracowników Zakładów Putiłowskich wpłacała na kształcenie córek regularne składki, jednak

w szczególnych przypadkach szkoła udzielała zniżek bądź całkiem zwalniała ich z opłat. Trudno było bowiem wymagać czesnego od ludzi żyjących w nędzy, a do takich należeli robotnicy zarabiający 18 rubli miesięcznie, co stanowiło połowę minimalnej kwoty niezbędnej do utrzymania rodziny.

Poza siostrą Łucją Czechowską, siostrą Anną Czerniłowską-Sokół i siostrą Ludwiką Grochowską zatrudnione były w gimnazjum także świeckie nauczycielki, wśród nich kilka Rosjanek, *konwertetek* z prawosławia. Katechezy głosił młody i ogromnie lubiany przez dziewczęta ksiądz Edward Szwejnic, a matka Bolesława prowadziła godziny wychowawcze i uczyła robót ręcznych we wszystkich klasach oraz religii w klasach początkowych.

Władze szkolne, jak można się było tego zresztą spodziewać, wizytowały gimnazjum często i gruntownie. Ta wzmożona gorliwość rosyjskich wizytatorów połączona była ze słusznym skądinąd przekonaniem, że wszystkie polskie szkoły zajmują się podsycaniem uczuć patriotycznych. Żeby nie dać się zaskoczyć i zapobiec ewentualnym wpadkom, siostra Leokadia, najbardziej przemyślna w tym względzie konspiratorka, uprzedzała pojawienie się w budynku niepożądanych gości umówionym znakiem. Na odgłos jej dzwoneczka uczennice chowały podręczniki do historii Polski i wyjmowały zeszyty do kaligrafii, albo, jeśli miało to miejsce podczas zajęć robót ręcznych, przerywały czytanie dzieł literatury polskiej. Po każdej takiej „udanej” wizytacji dziewczęta ogarniała nieopisana radość. Solidarność, jaka łączyła ich młode serca rosła z dnia na dzień, przeradzając się w trwałe i głębokie więzy przyjaźni.

Bo też wspaniała i prawdziwie demokratyczna atmosfera panowała w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Łucji Czechowskiej. System nagród zachęcał do zdrowej rywalizacji nie tylko w zakresie

wiedzy, lecz i w zakresie wewnętrznego doskonalenia, kary natomiast stosowano jedynie w formie zasłużonych upomnień, zawsze na osobności.

Przewinienia były różne, niekiedy dosyć zabawne. Zdarzyło się na przykład któregoś dnia, że jedna z wychowanek, Władzia Chudzińska, bystra i inteligentna panienka, zbuntowała się i za nic nie chciała zaczesać sobie włosów za uszy, jak nakazywał to szkolny zwyczaj. Uparła się nosić je obcięte według ostatniej mody, tak aby zakrywały połowę policzka. Jej upór rósł i stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu dotarł do matki Bolesławy.

Wezwała Władzię, a znając już temperament tego dziewczęcia z wcześniejszych drobnych ekscesów, spojrzała jej w oczy i zapytała:

– I co tam nasza Władzia znowu nabroiła?

Panienka poczerwieniała jak wiśnia, a jej ośli upór znikł natychmiast pod przenikliwym i przyjaznym zarazem wzrokiem matki Bolesławy.

– Bo... ja... – bąkała, skubiąc wykrochmalony brzeg fartucha. – Ja... tak się tylko przekomarzałam, proszę pani przełożonej.

Innym znowu razem wykryto, że jedna z dziewcząt, Ada Majerówna, przez sześć tygodni opuszczała lekcje, tłumacząc się chorobą, tymczasem prawdziwą jej chorobą było lenistwo. Winnej nie wydano ze szkoły, chociaż na to zasługiwała, lecz zorganizowano dla niej pomoc koleżeńską w celu nadrobienia zaległości.

Uczennice obdarzone talentami artystycznymi angażowały się w różnego rodzaju imprezy kulturalne. Najczęściej były to deklamacje w językach: polskim, rosyjskim i francuskim, połączone z występami szkolnego chóru. Wielkim powodzeniem cieszyły się również przedstawienia o charakterze patriotycznym, na które oprócz rodziców zapraszano stałe grono przyjaciół.

Podczas jednego z takich występów Władzia Chudzińska, kto by się tego po niej spodziewał, rozplakała się ze wzruszenia przy recytowaniu wiersza Teofila Lenartowicza „Jak to na Mazowszu”. Nic nie było w stanie pohamować jej łez, kiedy doszła do przepelnionych smutkiem strof poety:

*Lasy nasze, lasy, mazowieckie lasy,
Coście przeszumiały nasze sławne czasy –
Gdzie się to podziła nasza dawna chwala?
Wiatrem się rozwiła, śniegiem roztopniała.*

...

*Taka wielka ziemia – o mój mocny Boże!
I że też z przemocy otrząść się nie może...*

Jej łzy pomieszały się ze łzami osób zgromadzonych na widowni. Wszystkich ogarnęła tęsknota za Polską.

Nie mniejsze wzruszenie ogarnęło zebranych podczas jasełek, które matka Bolesława wystawiła rok później, wkrótce po Bożym Narodzeniu 1909 roku. Najpierw wystawiła je w parafii świętego Kazimierza, a następnie w sali parafialnej kościoła świętej Katarzyny przy Newskim Prospekcie. Stroje, jakie powstały wówczas pod jej kierunkiem, były prawdziwymi dziełami sztuki, a wykonały je same aktorki: Fela Sylwanowicz, Weronika Sargiewicz, Władzia Chudzińska i inne uzdolnione dziewczęta.

Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Jednak tym, co zdecydowało o powodzeniu jasełek i przyciągnęło do kościoła świętej Katarzyny niezliczone tłumy, nie były wyłącznie piękne kostiumy i zdolności aktorskie gimnazjalistek. Sukces zapewniła im rosyjska wersja tego przedstawienia, o którą postarała się, wiedzona

niezawodną Bożą intuicją, matka Bolesława. Dla Rosjan prawosławnych i tych, którzy przeszli na katolicyzm, ale nie znali jeszcze jasełkowej tradycji, widowiska te stały się wielkim i niezapomnianym przeżyciem.

Liczna widownia ucieszyła przede wszystkim proboszcza parafii świętej Katarzyny, księdza Konstantego Budkiewicza. Ten niezwykle pracowity i świątły kapłan, widząc, że mu w parafii zaczyna przybywać rosyjskich katolików, zaczął im nawet głosić jedno niedzielne kazanie w ich ojczystym języku. Rosjanie byli zachwyceni, ale nowy metropolita mohylewski, arcybiskup Apolinary Wnurowski, wyraźnie kręcił nosem na te nowatorskie poczynania księdza Budkiewicza. Zapowiedział nawet, że wprowadzi zakaz kontynuowania tego rodzaju praktyk.

Entuzjazm publiczności zgromadzonej w kościele świętej Katarzyny był rzeczywiście zdumiewający. „Żeby tak jeszcze przełożył się na konkretne owoce tego apostolskiego trudu” – myślała matka Bolesława, spoglądając co pewien czas dyskretnie na urodziwą, choć podobnie jak ona niemłodą już kobietę, siedzącą z drugiej strony księdza Budkiewicza.

Kobieta ta zjawiała się już po rozpoczęciu przedstawienia, jednak puste miejsce zarezerwowane specjalnie dla niej świadczyło o tym, że była osobą oczekiwaną. Ubrana w skromną, ale wyjątkowo piękną czarną suknię, wyróżniała się rzadko spotykaną dystynkcją. Ona także oklaskiwała spektakl i była najwyraźniej pod jego wrażeniem.

– To *hrabina Ledóchowska* – odezwał się szeptem siedzący obok matki Bolesławy młody wikariusz, odgadując jakby jej myśli. – Podobnie jak pani zatroskana o losy polskiej młodzieży w Sankt Petersburgu. Przyjechała właśnie z Galicji i mamy nadzieję, że pomoże nam podźwignąć nasze gimnazjum i internat dla dziewcząt. Dałby Bóg, żeby tak się stało.

– Nic nie wiedziałam o kłopotach waszego gimnazjum...

– My też nie wiedzieliśmy. Do niedawna – uśmiechnął się znacząco. – Dobrze, że hrabina Ledóchowska tak szybko przyjęła nasze zaproszenie.

– Hrabina Ledóchowska... – powtórzyła matka Bolesława. – Znam to nazwisko. Nosił je nasz prymas, Mieczysław Ledóchowski.

– To stryj pani hrabiny, zmarł w Rzymie kilka lat temu. Ale pani i hrabina Ledóchowska powinnyście się koniecznie poznać – dorzucił z zapałem. – Takie wspańałe kobiety, i do tego patriotki...

Miał zamiar zaaranżować to spotkanie bezpośrednio po jasełkach, ale okoliczności sprawiły, że do niego nie doszło. Matka Bolesława, otoczona tłumem widzów, z których każdy pragnął osobiście złożyć jej gratulacje i wyrazy wdzięczności, nie spostrzegła jak wszyscy zaczęli się rozchodzić i sala parafialna opustoszała prawie całkiem. Znikła także hrabina Ledóchowska.

Sięgnęła po płaszcz, założyła kapelusz, po czym skierowała się do wyjścia, gdzie czekały już na nią ustawione parami wychowanki. Dziewczęta, widząc jak się zbliża i jak pięknie wygląda, zaczęły wymieniać między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Nasza pani przełożona to dopiero szykowna kobieta – mówiły jedno do drugich. – Aż dziw, że nie wyszła za mąż...



Powołane do świętości

Wiosna roku 1910 zaczęła się z opóźnieniem. Kwietniowe słońce pokazywało się rzadko, a skulone w pąkach liście czekały niecierpliwie na pierwsze podmuchy ciepłego wiatru, pierwszy wiosenny deszcz. Skutki długiej i mroźnej zimy odczuła tym razem nie tylko cierpiąca na reumatyzm siostra Leokadia, ale i matka Bolesława. Nie przyznawała się wprawdzie do swoich dolegliwości, jednak siostry zauważyły i tak, że ma od pewnego czasu problemy z sercem.

– Moje serce w Sercu Jezusa – odpowiadała za każdym razem na czynione przez nie uwagi, bagatelizując całą sprawę. – On załatwia wszystkie moje problemy.

I jak te skulone w pąkach liście, z utęsknieniem czekała na wiosnę.

Kończył się powoli rok szkolny. Zakończyła się także szczęśliwie budowa domu przy ulicy Lewej Tientielewskiej 14. Siostry, zachwycone, nie mogły się już doczekać, by w nim zamieszkać. Mniej zachwycony ich nagłą przeprowadzką był proboszcz parafii świętego Kazimierza, ksiądz Antoni Około-Kułak.

– Nie chcę nawet myśleć, co będzie, kiedy was tu zabraknie – stwierdził w rozmowie z matką Bolesławą. – Kto mi teraz poprowadzi sierociniec? Kto się zajmie szkółką parafialną?

– Z tym nie powinno być kłopotu – uspokoiła go szybko. – Znam co najmniej kilka osób, które chętnie podejmą się tego za-

dania. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko działa idealnie jak w zegarku. Mam na myśli choćby panią Jazłową czy panią Drogicką – dodała celem uściślenia.

– To już nie to samo...

– Nie to samo – podjęła matka Bolesława – wcale nie znaczy, że gorzej. To solidne i uczciwe kobiety.

Ale ksiądz Antoni zdawał się być niepokieszony.

– Kto mi Grób Pański uszykuje za rok przed Wielkanocą? – narzekał. – Kto zadba o śpiew w kościele? O przystrojenie ołtarzy?

Matka Bolesława, daleka jak zawsze od załamywania rąk, uśmiechnęła się pogodnie.

– Nie wszystko w życiu jest po naszej myśli – powiedziała. – Nie wszystko jesteśmy w stanie przewidzieć, zaplanować. W takich sytuacjach pozostaje ufać, że Pan Bóg ma dla nas inny, lepszy plan. Zresztą, po co to mówię? Przecież ksiądz dobrze o tym wie. Ja mogę jedynie zapewnić o swojej serdecznej modlitwie.

Napięcie ustąpiło, a twarz kapłana rozpogodziła się, przybierając dawny przyjemny wygląd.

– Modlitwa – wyznał – jest mi teraz szczególnie potrzebna. Nic matce dotąd nie mówiłem, ale... byłem niedawno przesłuchiwany w Departamencie DDD II.

– Ksiądz?! W jakiej sprawie?

– W jakiej? W swojej. Ktoś doniósł, że wydaję „Wiarę i życie”.

– „Wieru i żizń”?

– Ich zdaniem to jeszcze jeden dowód antypaństwowej działalności jezuitów. Gdyby mogli, wytępiliby nas jak karaluchy! Ale to nie wszystko – spojrzała jej w oczy. – W tym doniesieniu musiało być też coś o siostrach...

Matka Bolesława zaniepokoiła się.

– Pytano księdza o nas?

– Pytano o siostry Kongregacji Świętej Rodziny według konstytucji świętego Ignacego.

– I co im ksiądz odpowiedział?!

– Że o ile wiem, kongregacja taka istnieje, owszem, ale w Belgii, i to jako jedyna tego rodzaju na świecie – odparł. – Chyba uwierzyli.

– Bogu dzięki! Ale dlaczego mi ksiądz tego od razu nie powiedział? Zaraz po przesłuchaniu? Dlaczego zwlekał aż do tej chwili? – pytała niecierpliwie.

– Po co miałem się z tym spieszyć, skoro wiedziałem, że i tak siedzicie już spakowane na walizkach? Zaoszczędziłem wam przynajmniej trochę dodatkowych emocji. Trzeba jednak bardzo uważać, bo wszędzie roi się od szpiclów.

– Będziemy pamiętały o księdzu...

– I ja będę wspierał modlitwą to matki dzieło – odparł, odwzajemniając przyjacielski uścisk dłoni. – A może i zajrzę czasem na Lewą Tientielewską, żeby posłuchać mądrej rady – dokończył, wyrażając tym samym uznanie, jakim darzył ją od początku znajomości.

Przeprowadzka do nowego domu nastąpiła w czerwcu, zaraz po zakończeniu roku szkolnego, i przebiegła nadzwyczaj sprawnie, a towarzyszyły jej wyjątkowo radosne nastroje związane z wiadomościami, jakie dotarły z Watykanu.

Matka Bolesława przekazując je siostrze, nie przestawała się uśmiechać.

– Posłuchajcie tylko, moje drogie – mówiła – papież Pius X ofiarował właśnie Matce Bożej z Jasnej Góry – nowe korony! Dla Niej i dla Jej Syna. Nowe, w miejsce tamtych, skradzionych w zeszłym roku z Cudownego Obrazu. Pomyślcie tylko: Królowa Korony Polskiej – państwa, które zaborcy wykreślili z mapy Europy – otrzy-

mała koronę od następcy świętego Piotra w Rzymie. Czy nie jest to szczególnie znak dla naszej Ojczyzny?

– Podobno to arcybiskup lwowski Józef Bilczewski uprosił je u papieża – wtrąciła siostra Łucja Czechowska, także zadowolona z nowiny. – Jak tylko się zorientował, że car Mikołaj II zamierza je ufundować, żeby pozyskać sympatię Polaków...

– Tego by jeszcze brakowało! – oburzyła się siostra Ludwika. – Dopieroż by to było bluźnierstwo! A tamte korony – mówiła dalej wzburzona – wiecie przez kogo zostały skradzione? Przez carskich oficerów! Tych, co stacjonują na Jasnej Górze. Robotnicy z Zakładów Putiłowskich otrzymali tę rewelacyjną informację od swoich przyjaciół z Królestwa Polskiego. A bodajby tym oficerom, co się takiej zbrodni dopuścili, Pan Bóg sprawiedliwie za to wynagrodził!...

Matka Bolesława, chcąc powstrzymać zapalczywość młodej patriotki, potraktowała rwący potok jej słów karcącym spojrzeniem, po czym powiedziała ze spokojem:

– A ja myślę, moje siostry, że Królowa z Jasnej Góry dawno już ten bluźnierczy czyn tym nieszczęsnym oficerom zapomniała. My też nie pamiętajmy zła, jakie wyrządzają nam inni. Cieszymy się raczej, bo dar papieża wydał już, jak powiadają, pierwsze owoce. Pobudził patriotyzm, ożywił ducha narodu. Polacy znowu zaczęli podnosić wysoko głowy...

Umilkła nagle, ogarnięta wzruszeniem. Wówczas, jakby na komendę, rozległy się słowa hymnu. Niezbyt głośno, ale za to radośnie, z głębi gorących siostrzanych serc:

– Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy...

W domu przy ulicy Lewej Tientielewskiej siostry od pierwszej chwili poczuły się jak u siebie. Miały nareszcie pokoje do wypo-

czynku i przestronną kaplicę na wspólne modlitwy. Niemal całe wakacje upłynęły im na urządzaniu pomieszczeń mieszkalnych, pracowni i sal lekcyjnych. To urządzanie wiązało się znowu z nie- małymi wydatkami, a stało się możliwe tym razem dzięki posago- wi siostry Łucji Czechowskiej.

„Siostra Łucja...” – matka Bolesława myśląc o niej uśmiechała się za każdym razem z uczuciem szczególnej wdzięczności. Tak- że teraz, wpatrzona w słoneczne błyski na okiennej szybie, myślała o jej pogodnym usposobieniu i trafnych sądach, o tym jak wiel- kim jest darem dla Zgromadzenia, i jak niezawodną podporą i po- ciechą dla niej samej w trudnych chwilach. Tak dobrze się z nią ro- zumiała. Dużo lepiej niż z własnymi siostrami. Ileż to razy Maria wypowiadała się w ostrych słowach, kwestionując jej decyzje. A Sta- sia? Ledwo odbyła nowicjat, już była pierwsza do rządzenia. Obie płonęły duchem apostołskim, to prawda, ale... „Łatwiej z obcymi się uporać, niż z własnymi siostrami” – wzdychała nieraz z bólem serca. Siostra Łucja nigdy nie była obcą. Od pierwszego dnia stała się jej ukochaną duchową córką.

Wspólne urządzanie domu przyniosło siostronom mnóstwo rado- ści, dużo bardziej jednak były pochłonięte przygotowaniem do otwarcia kolejnej, trzeciej już klasy gimnazjalnej. Żeby sprostać wygórowanym wymaganiom stawianym przez Kuratorium, pogłę- biały gorączkowo wiedzę, zaliczały kursy i egzaminy.

Atmosfera ogólnej krzątaniny i zabiegania nie przeszkadzała matce Bolesławie w prowadzeniu intensywnej formacji duchowej siostr. Nawiązując do Konstytucji, które siostry świetnie znały już na pamięć, a których jedyny egzemplarz przechowywały niczym relikwię w tajnym schowku, szczególnie często odnosiła się do praktykowania rad ewangelicznych: czystości, ubóstwa i posłu- szeństwa.

– Pamiętajmy, że zawsze i we wszystkim powinniśmy być wier- ne posłuszeństwu – przypominała. – Wszelka nasza działalność ma być oparta na posłuszeństwie i jemu ma podlegać. Siostra, która przekroczyłaby powyższy artykuł Konstytucji, nie tylko na- raża własną duszę na poważne szkody, i to łącznie z utratą łaski powołania, ale może narazić również na znaczne szkody ducho- we i materialne całe Zgromadzenie. Proszę, byście o tym pamię- tały i były zawsze posłuszne i ubogie na wzór Świętej Rodziny z Nazaretu...

Siostra Maria, wychodząc kiedyś z sali po takiej nauce, zwróciła się do siostry Leonardy dziwnie rozdrażniona:

– Czy nie za dużo już tego mówienia o posłuszeństwie? Strasze- nia utratą łaski powołania? Uważam, że to lekka przesada...

Nagle urwała. Widok przechodzącej tuż obok siostry Łucji Cze- chowskiej sprawił, że jej głos zawisł w próżni.

– Siostra znudzona słuchaniem o posłuszeństwie? – usłyszała w tej samej chwili. – Mam na to radę: jak najszybciej zacząć wpro- wadzać je w życie.

Twarz siostry Marii spłonęła rumieńcem.

– Siostra... źle zrozumiała! – próbowała ratować się wymówką. – Siostra... nie powie o tym matce przełożonej?!

Praca nad przewycięzaniem własnych słabości, choć uciążliw- sza czasem od przenoszenia ciężkich pak czy szorowania okopco- nych garnków, dla osiągnięcia postępu na drodze duchowej dosko- nałości okazywała się wręcz nieodzowna. Mogły się o tym siostry dowiedzieć nieco więcej podczas wakacyjnych rekolekcji.

Po ich zakończeniu wszystkie odnowiły śluby zakonne, a trzy z nich: matka Bolesława Lament, siostra Leokadia Górczyńska i siostra Łucja Czechowska złożyły – jako pierwsze w Towarzystwie Świętej Rodziny – śluby wieczyste.

Ksiądz Augustyn Łosiński gratulował siostron i składał im życzenia, przyjmując w zamian ich szczodre podziękowania. Nagle stwierdził:

- A jednak przyjdzie nam się niebawem rozstać...
- Rozstać? – zdziwiła się matka Bolesława.
- Mam objąć biskupstwo kieleckie.

Siostry otworzyły usta z zachwytem.

– A więc przepowiednie się spełniły! – zawołały szczerze uradowane. – Musiał ksiądz o nich słyszeć?

– Muszę się przede wszystkim spakować – odparł wymijająco. – I załatwić wam w arcybiskupstwie jakieś porządne zastępstwo. A wy, pomódlcie się czasem za nowego biskupa...

Do duchowych rozmyślań najlepiej służyła siostron kaplica, którą matka Bolesława poleciła urządzić w oddalonej od zgiełku zachodniej części budynku. Sama zjawiała się w niej o świcie, jeszcze przed dzwonkiem obwieszczającym pobudkę. To w niej siostry wypowiadały każdego ranka podczas wspólnej modlitwy znamienne słowa:

– „Pragnę wszystko czynić z miłości dla większej chwały Twojej i spełnienia Twej świętej woli, a szczególnie w tej intencji, aby stała jedna Owczarnia i jeden Pasterz”...

Pewnego sierpniowego dnia, kiedy o takiej właśnie wczesnej porze trwała na modlitwie, rozległ się niespodziewanie dzwonek przy drzwiach wejściowych. Otworzyła je i zdumiała się widokiem roześmianej zielonookiej dziewczyny z walizką w ręce. Dziewczyna miała na głowie luźno zawiązaną kwiecistą chustkę, spod której wystawały tu i ówdzie kosmyki jasnych, złotych niemal w poranym słońcu włosów.

– Nazywam się Monika Sianita – odezwała się po rosyjsku. – Przyjechałam z Siguldy.

Ta wiadomość ucieszyła matkę Bolesławę. Uśmiechnęła się i bez namysłu poprowadziła przybyłą do szkolnej kancelarii.

- Bardzo zmęczona?
- E, nie. Raczej szczęśliwa!... – odparła. Ściągnęła chustkę i usiadła na krześle.

– Udało się przekonać rodzinę?

– Niestety – spochmurniała. – Wyjechałam po kryjomu, bo chcieli mnie wydać za mąż.

– Więc jednak?

– Ale ja jestem przecież już pełnoletnia! – wykrzyknęła rozzalona. – Mam prawo decydować o swoim losie!

– Umawialiśmy się listownie... – zaczęła matka Bolesława, ale dziewczyna nie dała jej dokończyć.

– Tak, wiem – przyznała ze skruchą. – Miałam przyjechać dopiero po wakacjach. Jednak sprawy tak się ułożyły, że nie mogłam dłużej zwlekać. Po prostu nie mogłam!...

Matka Bolesława przyjęła i ten wybuch żalu ze zrozumieniem. Mimo to zapytała z nutą niedowierzania:

– I nie szkoda ci było opuszczać Siguldy? Tam podobno pięknie. Prastare zamki, przepastne jaskinie i szmaragdowe jeziora. Szmaragdowe, jak twoje oczy. Jesteś Łotyszką?

– Tak – przyznała, rumieniąc się.

– I chcesz wstąpić do Towarzystwa Świętej Rodziny?

– Bardzo – odparła bez namysłu. – A za ojca Feliksa Wiercińskiego to do końca życia będę Bogu dziękować! I modlić się za niego, że był łaskaw polecić mnie wielebnej matce.

Przypomnienie ojca Wiercińskiego również matce Bolesławie sprawiło przyjemność.

– Od dawna myślałaś o wstąpieniu do zakonu? – zapytała.

– Od czterech lat, pisałam o tym w liście – uśmiechnęła się, a jej lśniące białe zęby uczyniły ten uśmiech jeszcze ładniejszym. – Mia-

łam wówczas siedemnaście lat. Zastanawiałam się, co mogę ofiarować Jezusowi, a wtedy usłyszałam w duszy głos: „A może ofiarujesz mi czystość?”... Od tamtej pory nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o tym, by ofiarować się Jezusowi w ślubach zakonnych.

Matka Bolesława zamyśliła się. Czyż podobnego wezwania nie kierował Jezus do każdej z sióstr? Czy nie kierował go kiedyś także do niej?

Poleciła przybyłej zostawić walizkę w kancelarii i udała się wraz z nią do kaplicy, by podziękować Bogu za dar powołania.

Pojawienie się Moniki Sianity, osoby tak niezwykle spontanicznej i żywiołowej, ogromnie ubogaciło Zgromadzenie. Okazało się przy tym, że siostra Monika świetnie potrafi łączyć czynności domowe z pracą apostołską, a w wykonywaniu różnorodnych zajęć gospodarskich wykazuje niebywałą pomysłowość i spryt. Siostry nie tylko szybko przyjęły ją do swego grona, ale i szczerze polubiły. Podobnie jak siostrę Teklę Milewską, jeszcze jedną kandydatkę, której inteligencja i wyjątkowo radosne usposobienie przysłużyły się Zgromadzeniu już niebawem, i to niezwykle owocnie, w dziele jednoczenia podzielonych chrześcijan.

Jesień przyszła nagle i niespodziewanie. Nie różowiła jednak wieczornego nieba zapamiętanym przez matkę Bolesławę z dzieciństwa słonecznym światłem i nie zaglądała do domu przez czerwone liście dzikiego wina. Była szara i smutna jak wszystkie petersburskie jesienie.

Kończył się jeden z takich właśnie ponurych jesiennych dni, kiedy do drzwi gimnazjum zastukał nieoczekiwany gość. Była nim – Maria Chrzanowska. Ta sama, która swego czasu tak chętnie uczestniczyła w imprezach organizowanych przez matkę Bolesławę w Mohylewie. Ładna dziewczyna o regularnych rysach i jasnym

spojrzeniu, niegdyś zapalona społeczniczka, obecnie dziewiętnastoletnia studentka pedagogiki.

Siostra Anna Czerniłowska-Sokół ujrzawszy Marię w progu domu, porwała ją natychmiast w ramiona i zaczęła wykrzykiwać z radości:

– Lodziu! Łucjo! Pani przełożona! Chodźcie prędko i zobaczcie, kogo nam niebo zesłało!

Zbiegły się zaciekawione.

– Nasza Marysieńka! – wołały już po chwili, dołączając własne radosne słowa powitania.

Marysieńka zdjęła przemoczone buciki i z wdzięcznością przyjęła ciepłe bambosze, przyniesione przez siostrę Leokadię.

– Jak tylko usłyszałam od znajomych o Prywatnym Gimnazjum Łucji Czechowskiej, od razu wiedziałam, kogo w nim zastanę – oznajmiła, uśmiechając się niebiesko spod ciemnych rzęs. – Tak się cieszę! Macie w Petersburgu wspaniałą opinię.

Matka Bolesława patrzyła na Marię z miłością i z zainteresowaniem słuchała jej pełnych zachwyty słów, lecz w duchu dziękowała już Bogu za kolejną kandydatkę do Zgromadzenia. Była przekonana, że Maria okaże się nie tylko wspaniałą misjonarką, ale i nauczycielką. Obdarzona wieloma talentami, w tym także rzadką u dziewcząt iskrą matematyczną, zdawała się być, bez żadnej przesady, nieocenionym skarbem.

– Czy studentka pedagogiki szuka może pracy? – zapytała w pewnym momencie z nadzieją w głosie.

– Studentka pedagogiki szuka w tej chwili przede wszystkim jakiegoś kąta do spania – wyznała Marysieńka szczerze. – Liczy więc bardzo na wasze kochające serca i na miejsce w internacie.

Z tym nie było akurat problemu.

Maria zamieszkała zatem pod jednym dachem z poznanymi przed laty mohylewskimi krawcowymi, z którymi łączyło ją tak



wiele wspomnień. Promienna i radosna, biegła odtąd codziennie na wykłady, a w wolnym czasie gawędziła z dziewczętami z internatu i przypatrywała się ciekawie wszystkiemu, co dzieje się w szkole.

Podobała jej się serdeczna atmosfera i zaangażowanie nauczycielek, pragnących zapewnić uczennicom wszechstronne wychowanie. Nieraz też spotykała się ze swoimi dawnymi znajomymi przy herbacie, by powspominać mohylewskie akademie i własne solowe występy. Im bardziej jednak zbliżała się do nich, tym bardziej nabierała przekonania, że nie są to takie zwykłe panie nauczycielki. Intrygowało ją to ogromnie. Jakież było więc jej zdziwienie, gdy pewnego dnia odkryła, że te urocze i pełne wdzięku niewiasty, te ubrane tak zwyczajnie panie, są osobami poświęconymi Bogu i stanowią niezwykle zgraną – rodzinę zakonną.

Imponowała jej zwłaszcza matka Bolesława, która nawet w chwilach największego zmęczenia wydawała się być szczęśliwą. A przecież powodów do zmęczenia miała mnóstwo. Maria zastawała ją przy sporządzaniu rachunków i lepieniu pierogów, przy dekorowaniu kaplicy, cerowaniu bielizny i przy maszynie do szycia. Z podziwem patrzyła, z jaką łatwością potrafi zdobywać zaufanie i przyjaźń wychowanek, i z jaką odwagą i słodyczą umie rozbijać ich zbuntowane dusze. Odkrycie tego wszystkiego sprawiło, że Maria zaczęła się nagle zastanawiać głębiej nad własnym powołaniem. Wreszcie, po paru kiepsko przespanych nocach, zdecydowała się na poważną rozmowę.

Matka Bolesława, niezrównana znawczyni dziewczęcych serc, już od pierwszej chwili spostrzegła zmianę w zachowaniu Marysieńki. Widziała także, jak wielką walkę toczyła ostatnio ze sobą. Cierpliwie wysłuchiwała jej duchowych rozterek, po czym, żeby nie przyspieszać zbyt szybko biegu wydarzeń, sprowadziła nieoczekiwanie rozmowę na temat studiów.

– Wiedza, którą teraz zdobywasz na uczelni jest niezwykle pożyteczna i w naszej pracy niezmiernie przydatna... – zaczęła, ale Maria przerwała jej, jakby nieco zawiedziona.

– Wiem – przyznała. – Ale mi chodzi bardziej o pracę wewnętrzną nad sobą. O to, że czuję potrzebę podjęcia takiej właśnie pracy. Pracy, która prowadzi do... świętości – urwała nagle, zaskoczona własnym śmiałym wyznaniem.

Twarz matki Bolesławy rozjaśnił uśmiech.

– Świętość... – powtórzyła. – Cóż, tylko ona pozwoli nam kiedyś złączyć się z Bogiem. Wszystko inne przeminie niczym mgła. Ale można się uświęcać na wiele sposobów – zauważyła. – Rozważ to. Chyba że chcesz to swoje pragnienie świętości realizować właśnie w Towarzystwie Świętej Rodziny. Jeśli tak, chętnie wrócę za jakiś czas do tej naszej dzisiejszej rozmowy.

„Czy odczuwam pragnienie świętości? – myślała Maria mocno podekscytowana, wracając do swego pokoju. – Przecież zawsze je odczuwałam! Czy nie dlatego biegałam jak głupia do ochronki w deszcz i mróz, wycierałam zasmarkane nosy obcym dzieciakom i uczyłam je pacierza? Czy nie dlatego uciekałam od różnych idiotycznych rozrywek i spieszyłam na spotkania z pobożnymi krawcowymi?”...

Uzmysłowienie sobie tej prawdy było dla niej niemałym wstrząsem, a przecież wcale jej nie przestraszyło. Przeciwnie, omal nie oszalała z radości. Była pewna, że Pan Bóg sam wzbudził w niej to święte pragnienie i postawił ją na drodze przeznaczonej jedynie dla wybranych.

Wstąpiła do Towarzystwa Świętej Rodziny i podjęła pracę nauczycielki w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Łucji Czechowskiej. A ponieważ od czasu jej wstąpienia zaczęło nagle przybywać kandydatek do Zgromadzenia i wychowanek do gimnazjum, żartowano sobie, mówiąc:

– Trzeba było Marysieńki, żeby ruch się zrobił wielki!



Zamach w Sarajewie

Dwa lata po przeprowadzce na ulicę Lewą Tientielewską odwiedził matkę Bolesławę niespodziewanie ksiądz Piotr Janukowicz. Młody energiczny kapłan, będący od niedawna proboszczem parafii Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w najbiedniejszej dzielnicy miasta, na Wyborgskiej Stronie. Przerażony stanem szkółki parafialnej przy ulicy Arsenalnej 8, którą otrzymał w spadku po swoim poprzedniku, przyszedł prosić matkę Bolesławę, aby zechciała się nią zająć.

– To rzecz niecierpiąca zwłoki – przekonywał zaaferowany. – Bardzo na matkę liczę. Ksiądz biskup mówił mi o doświadczeniu matki w prowadzeniu tego typu placówek. Był łaskaw napomknąć także o jej wyjątkowym talencie w załatwianiu spraw beznadziejnych. Jeśli tak jest w istocie, w co nie mam prawa wątpić, powiem krótko: ta sprawa taka właśnie jest. Beznadziejna!

Podenerwowany, z trudem składał słowa.

– Szkoła jest czteroklasowa i mieści się przy Cmentarzu Wyborskim – objaśniał tym samym zatroskanym tonem. – Płakać się chce na jej widok! Jeśli nie uratuje się jej natychmiast, te biedne dzieciaki pozostaną już do końca życia analfabetami. Proszę, niech mi matka pomoże!

Spojrzała na krucyfiks stojący na stole.

– Przejdę się jutro na Arsenalną i dam księdzu znać, co postanowiłam – odparła spokojnie.

– Całą noc przeleżę krzyżem w tej intencji – jęknął w odpowiedzi zboliałym głosem. – Ufam, że Pan Bóg mnie wysłucha...

Zbierał się już do odejścia, kiedy zapytała:

– Nie ma ksiądz żadnych wiadomości o księdzu Antonim?

Przez chwilę obracał w rękach czapkę, jakby chciał ukryć wzburzenie.

– Ksiądz Antoni Około-Kułak... – zaczął – został usunięty ze swojej parafii jeszcze w zeszłym roku, to matka zapewne wie? Oskarżono go wówczas o „niedozwolone propagowanie katolicyzmu” i wydawanie pisma „Wiera i żizń”. Dostał za to pół roku więzienia. Karę odsiedział w klasztorze dominikanów w Agłonie, na Łotwie. Ale zaraz potem wysłał go chyba ksiądz biskup na studia do Rzymu...

– O tym, że znalazł się w więzieniu, wiedziałam – przyznała ze smutkiem. – A z tego, że już je opuścił i studiuje w Rzymie – bardzo się cieszę.

– Jednak polowania na jezuitów i ukryte zakonnice trwają nieprzerwanie – wtrącił nieco ciszej. – Słyszała matka, jaką nagonkę urządzono na hrabinę Ledóchowską? W całej Rosji odbywają się masowe rewizje katolickich placówek w poszukiwaniu „jezuickiej propagandy”. Departamentem DDD II nadal trzęsie Charuzin, ale w gorliwości zdaje się go ostatnio prześcigać niejaki Tiażelnikow, zaledwie kierownik, a już taka, z przeproszeniem, kanalia! Hrabina Ledóchowska określiła go żartobliwie „spowiednikiem księży”, dobre, co? A „Nowoje Wremia”? Nie ma numeru, by nie zamieściło czegoś przeciwko jezuitom. O ojcu Feliksie Wiercińskim matka już wie?

Struchlała słysząc nazwisko ojca, któremu tak wiele zawdzięczała.

– W Moskwie toczy się właśnie śledztwo w jego sprawie...

Sprawą szkółki parafialnej, o której mówił ksiądz proboszcz Piotr Janukowicz trzeba było się zająć i matka Bolesława nie miała co do tego wątpliwości. To, co ją trapiło, dotyczyło reakcji sióstr. Wszystkie były przeciążone pracą. „Jak zareagują, kiedy dowiedzą się o jeszcze jednej placówce?” – myślała z niepokojem.

Długo modliła się, zanim przedstawiła im w końcu prośbę zdesperowanego kapłana.

– Naszym zadaniem, jak dobrze siostry wiedzą – rozpoczęła tytułem wprowadzenia – jest pomaganie duchownym w ich działalności apostołskiej. Głównie przez pracę w szkołach i zakładach wychowawczych. Praca ta wymaga niejednokrotnie dużego samozaparcia, poświęcenia i ofiary... Pomyślcie jednak, moje drogie, jak wielkim zaufaniem obdarzył nas Zbawiciel, godząc się, aby zbawienie dusz zależało od tych naszych ofiar, od naszej miłości? Czy na tę Jego hojność nie powinniśmy odpowiadać zawsze naszą hojnością? Zawsze, a więc i wówczas, gdy rzecz zdaje się po ludzku przekraczać nasze skromne możliwości? Stać nas chyba na to, abyśmy były apostołkami hojnej miłości?...

Biedne siostry już po pierwszych słowach ognistego wywodu matki Bolesławy, ba, po samym brzmieniu jej głosu domyśliły się, jakie będzie jego zakończenie. Trzeba było znowu zapomnieć o niewyspaniu, opuchniętych nogach i bolącym kręgosłupie. Czekał na nie przecież – Jezus. Czekał w tych najbiedniejszych i opuszczonych. Czekał w dzieciach pozbawionych miłości.

Pod adres wskazany przez księdza Janukowicza matka Bolesława udała się nazajutrz z siostrą Marią Chrzanowską. Tam trafiły na zajęcia, które z nauką nie miały nic wspólnego. Dzieciarnia stłoczona w ciasnym i od dawna niesprzątanym pomieszczeniu, rozrabiała w najlepsze nic sobie nie robiąc z zagapionej w okno

nauczycielki. Była nią niezbyt młoda i niezbyt zadbana kobieta, która chcąc najwyraźniej wytłumaczyć się przed gośćmi ze swojej biernej postawy wobec uczniów, zawołała:

– Och, doprawdy szkoda zdrowia dla tej h o ł o t y! To zakute łby! Kompletne tumany! Skaranie boskie z tymi bachorami! Prze-gnać by je najlepiej na cztery wiatry..

Tym obraźliwym, pełnym nonszalancji słowom towarzyszył osoblivi śmiech. Szorstki i gardłowy, w którym drwina mieszała się z szyderstwem, bezdusność z pogardą.

Matka Bolesława utkwiła w mówiącej surowy wzrok.

– Proszę zatem nie przychodzić tu więcej – powiedziała z naci-skkiem. – Zwalniam panią od jutra od ich widoku.

Nauczycielka zacisnęła wąskie wargi.

– Od jutra?! Ani chwili dłużej tu nie zostanę!

Złapała ze złością płaszcz i wybiegła, głośno zatraskując za sobą drzwi.

W sali zapanowała cisza. Nawet największe nygusy stały teraz grzecznie, patrząc spode łba na przybyłe, zwłaszcza na „groźną” matkę Bolesławę.

Tym bardziej zdziwiło wszystkich, kiedy w tej pełnej napięcia ci-szy odezwał się nagle nadzwyczaj rezolutny chłopięcy głos:

– Psze pani? A co to jest „hołota”?

Pytanie padło z ust niedużego blondasa o jasnoniebieskich oczach i skierowane było najwyraźniej do matki Bolesławy, lecz odpowiedziała na nie siostra Maria.

– Pytasz o słowo, które pochodzi z języka czeskiego – podchwyciła – a oznacza: g o ł o t ę, czyli...

– G o ł c ó w?! – zaperzył się. – Ale my przecież mamy ubrania!

– Bo to nie o takich golców w tym słowie chodzi – uśmiechnęła się – ale o takich, którym łobuzerka do tego stopnia odebrała ro-

zum i tak ich o g o ł o c i ł a ze wszystkiego co dobre, że potrafią już tylko rozrabiać i szkodzić innym.

Dzieci stały nadal nieruchomo, wpatrując się w nieznajome.

– Mam nadzieję, że żadne z was nie chce być w przyszłości takim golcem? – odezwała się znowu siostra Maria. – A może się mylę?

Nikt się nie zadeklarował. Wszyscy natomiast zgodzili się bez szemrania wziąć udział w uprzątnięciu sali lekcyjnej i przygotowa-niu jej do rozpoczęcia normalnych zajęć szkolnych.

Matka Bolesława była zadowolona.

– Brawo, siostro! – gratulowała siostrze Marii w drodze na ple-banię, gdzie czekał na nie ksiądz Janukowicz. – Połowa roboty za nami.

A gdy siostra Maria, nieco zakłopotana, okazała zdziwienie, wy-jaśniła:

– Nie zauważyła siostra? Te rozrabiaki już siostrę polubiły. A za miesiąc gotowe jeszcze za siostrą w ogień skoczyć!

I rzeczywiście. Niespełna miesiąc później sytuacja została opa-nowana, a łobuzerski duch parafialnej szkółki całkowicie okiełzna-ny. Mogła się więc siostra Maria, która studia pedagogiczne zakoń-czyła w tym czasie wspaniałym dyplomem, poszczycić również pierwszymi osiągnięciami natury praktycznej.

Matka Bolesława przystąpiła ze zdwojoną energią do zorganizowa-nia nauki w szkole, szczególnie tej katechetycznej. W efekcie jej sta-rań do Pierwszej Komunii Świętej zaczęły przystępować dosłownie setki dzieci. Ksiądz Janukowicz nie musiał się już zamartwiać. Na-wet wówczas, gdy liczba uczniów wzrosła gwałtownie ze stu do pię-cuset, mógł oddawać się spokojnie innym ważnym obowiązkom.

– Biskup miał rację – kiwał głową pełen podziwu. – Niespotyka-ny talent do załatwiania beznadziejnych spraw...

W czasie gdy przemiliły proboszcz oddychał wreszcie pełną pierśią, uwolniony od szkolnych zmartwień, matka Bolesława zdążyła już spenetrować okolicę i zorientować się, że i w tej dzielnicy, na Wyborgskiej Stronie, przydałoby się, i to bardzo, czteroklasowe gimnazjum dla dziewcząt.

„Wprawdzie nasze Zgromadzenie nadal nie jest zbyt liczne – myślała – ale można przecież zatrudnić świeckie nauczycielki” ... Nie zwlekając wystąpiła do Kuratorium Petersburskiego Okręgu Szkolnego o takie pozwolenie i – znowu je otrzymała.

Gimnazjum zostało otwarte w porozumieniu z księdzem Janukowiczem dwa lata później w domu parafialnym przy kościele Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. A ponieważ kościół i dom parafialny usytuowane były na terenie Cmentarza Wyborgskiego, uczennice śmiały się, mówiąc jedna do drugiej:

– Nigdy bym nie uwierzyła, gdyby mi ktoś powiedział rok temu, że będę chodziła do szkoły... na cmentarz. Nawet teraz, gdy mówię o tym innym, mam na plecach gęsią skórę. Brrr!...

Dyrektorką gimnazjum została tym razem siostra Maria Chrzanowska, natomiast siostra Anna Czerniłowska-Sokół, która ukończyła wyższe kursy nauczycielskie, prowadziła w nim lekcje języka francuskiego. Obie siostry, radosne i pełne osobistego uroku, mocno przypadły do serca wychowankom, a Prywatne Gimnazjum Żeńskie Marii Chrzanowskiej przyciągało coraz to nowe, spragnione wiedzy dziewczęta. Jedynie warunki lokalowe pozostawiały wiele do życzenia. Spały więc znowu w klasach na składanych łóżkach i uprzątały je rano przed nadejściem uczennic.

Matka Bolesława, mimo przekroczonych pięćdziesięciu lat, nie przestawała emanować energią i zapałem. Zaangażowana w prowadzenie dwóch gimnazjów i szkoły parafialnej, włączyła się rów-

nie aktywnie w działalność charytatywną, zostając wiceprezeską dobroczynnego towarzystwa pań, noszącego nazwę Konferencja Świętego Wincentego a Paulo. Zdziwiła inteligencją, duchem inicjatywy i niezwykłą, wprost inżynierską zdolnością planowania. Potrafiła na przykład tak wykorzystać środki finansowe tej szacownej instytucji, by zyskały one podwójnie dobroczynny cel: pozwoliły na zorganizowanie w niedalekiej Finlandii kolonii dla najuboższych dzieci i zapewniły siostronom możliwość zasłużonego letniego wypoczynku. Osobiście udała się w tamte malownicze strony, by wynająć willę w letniskowej miejscowości Terioki koło Wybarga nad zatoką Fińską.

Wspaniałe to były wakacje. Dzieci kąpały się w morzu, wyprawiały się do wodospadu Imatra i do wzniesionego przez Szwedów warownego zamku, a przy okazji, czego na próżno by szukać w oficjalnym programie zajęć, poznawały język polski i uczyły się katechizmu.

Radosny duch apostołski siostr szybko został dostrzeżony przez młodego proboszcza tamtejszej parafii, księdza Gustawa Karlinga, jezuitę, który był z pochodzenia Rosjaninem.

Któregoś dnia powiedział im:

– Ależ byłbym szczęśliwy, gdybyście tak zechciały zająć się również moimi dziećmiakami, tu, przy parafii świętego Jacka. Gdybyście poprowadziły na przykład – internat dla dziewcząt!

Propozycja księdza Karlinga wydała się matce Bolesławie interesująca.

„Fiat voluntas Tua” – odpowiedziała Bogu odważnym sercem. – „Bądź wola Twoja”...

Przejęta losem dziewcząt z rodzin katolickich, którym przyszło żyć w tym na wskroś protestanckim kraju, wysłała rok później do Wybarga siostrę Leokadię Górczyńską i siostrę Ludwikę Grochowską, które założyły tam internat. W urzeczywistnieniu tego poży-

tecznego przedsięwzięcia pomogły matce Bolesławie dwie majątne i gorące patriotki: hrabina Weronika Plater-Zyberk oraz pochodząca z Galicji pani Anna Posejpol.

Myliłby się jednak ten, kto myślałby, że matka Bolesława poprzestanie na internacie. Sprowadziwszy siostry do Wyborga, zorganizowała tam już wkrótce, a konkretnie na tamtejszym cmentarzu katolickim, także – dom zakonny Towarzystwa Świętej Rodziny.

Dzieło matki Bolesławy cieszyło się dużym uznaniem, zwłaszcza w środowisku robotniczym. Ona sama cieszyła się nie mniejszym uznaniem w kręgach katolickiego duchowieństwa Sankt Petersburga. Nie zmieniało to jednak faktu, że Zgromadzenie nadal nie posiadało pisemnej zgody nie tylko Stolicy Apostolskiej, ale nawet ordynariusza diecezji mohylewskiej, na terenie której już od prawie dziewięciu lat prowadziło pracę apostołską. Niełatwo było siostronom żyć ze świadomością, że śluby składane przez nie w Towarzystwie Świętej Rodziny mają w świetle obowiązujących przepisów jedynie charakter prywatny.

Matka Bolesława podejmowała co pewien czas rozmowy na ten temat w arcybiskupstwie, ale odpowiedź była zawsze taka sama:

– Proszę pracować, modlić się i ufać. A z formalnym zatwierdzeniem... czekać na lepsze czasy. Egzemplarz konstytucji ukryć koniecznie, by nie trafił podczas rewizji w niepożądane ręce, no i... zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Ci panowie z departamentu DDD II, tak zajadle walczący z Kościołem, zachowują się ostatnio, jakby się najedli *szaleju*. Mają swoich agentów nawet we wspólnotach zakonnych!...

Taka odpowiedź padła, niestety, również z ust biskupa Jana Cieplaka, administratora Archidiecezji Mohylewskiej, który objął ten urząd w sierpniu 1914 roku, zaraz po odejściu arcybiskupa Wincentego Kluczyńskiego.

Biskup Cieplak znał doskonale nie tylko matkę Bolesławę, ale i pozostałe siostry. Współpracował z nimi przy okazji różnych akcji dobroczynnych i był im bardzo przychylny, a jednak i on powstrzymał się od wyrażenia pisemnej zgody.

– Ten zamach w czerwcu, w Bośni, słyszała matka o nim? – zagadnął podczas ostatniej rozmowy. – Serbski nacjonalista, niejaki Gawriło Princip, zabił w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, austriackiego następcę tronu, no i – zakotłowało się! Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, sojusznicze Rosji, a odpowiedzią Rosji było wypowiedzenie wojny Cesarstwu Austro-Węgierskiemu. Nie minęło kilka tygodni, a kolejne państwa europejskie przyłączyły się do wojny. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, stąd w Rosji powszechna mobilizacja do armii carskiej i tysiące uchodźców z Królestwa Polskiego...

– I ja zauważyłam ich nagły przyływ – przyznała matka Bolesława. – Są często w tak pożałowania godnym stanie, że...

– Ta wojna dopiero się zaczęła – przerwał jej mocno przejęty. – Mówią, że przybiera coraz większe rozmiary, rozmiary wprost przerażające. Powtarzam więc jeszcze raz: proszę nie myśleć teraz o formalnościach, lecz pracować dalej ofiarnie dla dobra bliźnich. Resztę już Pan Bóg sam ułoży...

Rozmowa była zakończona, ale ona wcale nie chciała odchodzić. Tyle ważnych spraw miała jeszcze do omówienia. Z kim miała o nich rozmawiać, jeśli nie z ojcem najlepszym, za jakiego uważała tego światłego człowieka o szlachetnej twarzy i lekko posiwiiałych skroniach, który siedział teraz naprzeciw niej tak zwyczajnie, i tak zwyczajnie, jak ojciec, ją rozumiał.

– Podobno Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz wydał jakiś dekret, w którym obiecuje Polakom, że po zakończeniu wojny zjednoczy ziemie polskie ze wszystkich trzech zaborów pod berłem

carów i nada im autonomię, czy to prawda? – zapytała zaniepokojona.

Ksiądz biskup uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wydał, owszem, m a n i f e s t – odparł z przekąsem. – Jako członek carskiej dynastii Romanowów i główny dowódca armii rosyjskiej może sobie roić w głowie różne plany, także i taki, ale... zaraz mu na to odpowiedział nasz Józef Piłsudski, organizując legiony polskie i powołując tajny Rząd Narodowy! Wiem to z pewnego źródła.

– A więc... wyzwolenie Ojczyzny bliskie? – zapytała pełna nadziei.

– Bóg jeden to wie – usłyszała w odpowiedzi. – Bóg jeden wie.

Po czym, patrząc tam, gdzie wzrok nie sięga, powiedział w zamyśleniu:

– Nasz naród zahartowany, trudu się nie ulęknie. A skoro Bogu ufa, od gromu wroga nie pęknie...

Dłuższa modlitwa, której oddała się zaraz po tej rozmowie w arcybiskupiej świątyni sprawiła, że wróciła do domu umocniona. „Jeżeli milczenie jest złotem – myślała – to pokora jest prawdziwym brylantem”. O tę pokorę bardziej jeszcze postanowiła zabiegać. Do niej także z jeszcze większym zapałem zachęcała siostry.

– Kiedy jest nam ciężko – przekonywała – stajemy się miłsze Bogu, bośmy w cierpieniu bardziej podobne do naszego Oblubieńca. Dlatego nie smućmy się. Pamiętajmy raczej, że naszym celem jest szerzyć chwałę Bożą i służyć Kościołowi i zbawieniu dusz. Służyć w każdej sytuacji. Po to opuściliśmy świat i wszystko, co było nam drogie... Niech więc gorliwość o chwałę Bożą i zbawienie dusz towarzyszy nam zawsze i wszędzie, a zawołanie świętego Ignacego Loyoli: „Pomagać duszom”, niech dodaje nam sił. W górę serca, siostry! Przed nami ogrom pracy i nowe zadania...

Istotnie. Do Sankt Petersburga zaczęli napływać już wkrótce całymi rodzinami wygnańcy i uchodźcy z Królestwa Polskiego. Aby ulżyć ich doli, katolicy mieszkający w Petersburgu przystąpili natychmiast do tworzenia komitetów pomocy społecznej. Także matka Bolesława, działająca aktywnie w Konferencji Świętego Wincentego a Paulo, uruchomiła w kilku miejscach Petersburga punkty opieki, a w dzielnicy Narwskiej i Wyborgskiej kierowała akcją osobiście. Na ulicach roiło się od bezdomnych sierot, starców i kalek. Wałęsające się dzieci można było spotkać nawet w nocy.

„Wojna... Dla jednych nadzieja na odzyskanie wolności, dla innych gwałt i przemoc. Tułaczka ludzi pozbawionych dachu nad głową, wynędzniałe twarze, płacz kobiet i dzieci, jęki rannych. Wojna... Co przyniesie tym razem? Komu odbierze władzę, komu ją przywróci?”... – zastanawiała się matka Bolesława.

Dowiedziawszy się, że niedaleko Sankt Petersburga znajduje się szpital wojskowy dla rannych polskich żołnierzy, zaczęła i tam kierować pomoc. W mieście powstawały spontanicznie schroniska, szkoły i garkuchnie. Jednak w miarę upływu czasu i zwiększającej się liczby ubogiej ludności, sytuacja, zwłaszcza żywieniowa, zaczęła się gwałtownie pogarszać. Ceny żywności poszły w górę, zaczął dokuczać głód. Na ciepły posiłek do sióstr przychodziło coraz więcej ludzi. Nikt nie pytał ich o to, jakiej są narodowości czy wyznania. Na wszystkich bez wyjątku czekał zawsze talerz zupy, słowo pociechy i uśmiech.

Mając nadzieję, że w innych miejscowościach ceny nie są aż tak drakońskie jak w Petersburgu i że łatwiej w nich będzie o zakup żywności, matka Bolesława postanowiła zorganizować kolonie letnie w niedalekim Pargałowie. Miejscowość była urocza, a dzieci, najbiedniejsi wychowankowie i grupa dziewcząt z gimnazjum, naprawdę szczęśliwe. Niestety i tam nie obeszło się bez kłopotów.

Zgromadzone zawczasu zapasy żywności szybko zaczęły się kurczyć, a zakupienie do jedzenia czegokolwiek graniczyło z cudem. Siostry wysyłały więc dzieci na pole po szczaw albo po jagody i grzyby do lasu, a one, przejęte swoją nową misją, znosiły do kuchni z dumą zebrane dary, dziękowały za nie dobremu Bogu i nieraz jeszcze po powrocie do rodzinnych domów wspominały niezrównane pargałowskie pierogi z jagodami!



Nowe nadzieje

Stolica Rosji, nazywana z niemiecka Sankt Petersburgiem, została w efekcie narastających wrogich nastrojów wobec Niemiec przemianowana 1 września 1914 roku na Piotrogród. Miesiąc później Niemcy wkroczyli na teren Królestwa Polskiego, będącego pod zaborem rosyjskim, a wojska rosyjskie z kolei zaatakowały twierdzę w Przemyślu, znajdującą się pod zaborem austro-węgierskim. Zawierucha wojenna ogarnęła Europę.

Nadeszła wigilia świąt Bożego Narodzenia.

Matka Bolesława wzięła w ręce biały opłatek.

– Siostry – powiedziała. – Mówią, że Legiony Piłsudskiego walcą o Polskę. Walczą o jej niepodległość. Życmy sobie, aby było to już ostatnie nasze Boże Narodzenie w niewoli. Życmy sobie – wolnej Ojczyzny...

Łzy, które popłynęły w tej uroczystej chwili, przerodziły się niebawem w żarliwą modlitwę za walczących i za ofiary tych krwawych wydarzeń.

Siostry z uwagą śledziły odtąd wiadomości z frontu podawane w gazetach. Zdarzały się wśród nich również zaskakujące informacje nie dotyczące wojny. „Piotrogradskij listok” z 1 lutego 1915 roku donosił na przykład o wybraniu na generała zakonu jezuitów ojca Włodzimierza Ledóchowskiego, brata hrabiny Urszuli Ledóchowskiej, a „Nowoje Wremia”, podawało jako nie lada sensację,

że obie siostry ojca Ledóchowskiego: Urszula i Teresa, są „kierowniczkami” polskich zakonów żeńskich w Galicji.

– Wiedziała matka o tym, że hrabina Ledóchowska jest przełożoną zakonu? – spytała siostra Łucja po przeczytaniu tej wzmianki.

Matka Bolesława uśmiechnęła się.

– Wiedzieć nie wiedziałam, bo mi nikt nie powiedział, ale czuć czułam...

Cztery dni później „Ruskoje znamia” pytało z kolei z trwogą na pierwszej stronie: „Czy istnieją w Kijowie jezuici i czy ktokolwiek przeciwdziała ich zgubnej, zaraźliwej działalności?”. Autor tego artykułu wymieniał wśród wielu nazwisk także nazwisko ojca Feliksa Wiercińskiego.

– Biedny ojciec – westchnęła matka Bolesława. – Nie ma ani chwili spokoju.

Tocząca się wojna przybrała już niebawem, jak słusznie przewidywał biskup Jan Cieplak, rozmiary wojny światowej. Walki toczyły się nie tylko w Europie, ale także w Azji i Afryce. W polskim szpitalu w pobliżu Petersburga (Polacy nadal używali nazwy Petersburg zamiast Piotrogradu) przybywało jeńców.

Matka Bolesława wysyłała do szpitala siostry z lekami i materiałami opatrunkowymi w miarę regularnie. Sama też jeździła tam od czasu do czasu. Żal jej było ogromnie tych biedaków. Wielu z nich cierpiało z powodu rozległych ran i trwałych okaleczeń. Wielu zwracało się do niej z prośbą o modlitwę albo modliło się razem z nią w tym zgłębionym miejscu, w którym krzyki operowanych mieszały się z jękami umierających.

Była wiosna roku 1915, a ona modliła się akurat przy posłaniu jakiegoś umierającego chłopaka, kiedy podeszła do niej niespodziewanie siostra Monika Sianita.

– Jeden z żołnierzy chce z matką pilnie rozmawiać – odezwała się półgłosem.

– Kto? – zdziwiła się.

– Nie wiem, ale bardzo nalega.

Matka Bolesława dokończyła odmawianie modlitwy i uczyniła chłopakowi znak krzyża na czole.

– Pan Jezus czeka na ciebie – powiedziała łagodnie. – Czeka z otwartymi ramionami tam, gdzie nie ma już bólu, gdzie wszyscy się kiedyś...

W tej samej chwili chłopak utkwiał wzrok w górze, uniósł się jakimś nadludzkim wysiłkiem, po czym opadł bezwładnie na poduszkę.

– Takie młode życie... Szkoda – westchnęła z bólem. – Jeszcze dzieciak, a już bohater.

Szła za siostrą Moniką wzdłuż długiej sali wypełnionej rannymi, przy których uwijały się sanitariuszki. Zaduch niewietrzonego pomieszczenia zmieszany z ostrym zapachem leków przyprawiał o mdłość.

– Bolesiu!... – usłyszała nagle radosny okrzyk.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Znała ten głos.

Spojrzała na owiniętą bandażem głowę. Tak, to były te same jasne oczy. Te same, chociaż należały już do całkiem dojrzałego mężczyzny.

– Janku... – powiedziała ze współczuciem. – Więc i ty tutaj?

– Zachciało mi się wojować, to i oberwałem! – zaśmiał się, jakby chodziło o błahostkę. – Ale nie w byle jakim wojsku, nie myśl sobie – dodał z dumą. – W Legionach Piłsudskiego!

Nagle ból wykrzywił mu usta.

– Już poprzednim razem cię zauważyłem – odezwał się znowu. – Ale za daleko miałem do telefonu – żartował. – Ty też, widzę, robisz nielichą robotę! I na pewno jak zwykle w sposób doskonały.



Tym razem i ona uśmiechnęła się.

– Głowa cała – stwierdziła rzeczowo – więc za parę dni pewnie będziesz zdrow.

– Głowa cała, to prawda – przytaknął. – Gorzej, że jedna noga utknęła na polu bitwy!

To mówiąc odwinął koc, którym był przykryty.

– O, Boże!... – wyszeptała. – Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– Nie wiesz? – roześmiał się. – Ty – nie wiesz? Ależ to do ciebie niepodobne! Powiem ci, co powinnaś powiedzieć: Janku, rozumiem twój ból, ale Ojczyzna cierpi stokroć więcej. Bądź więc rozumnym chłopcem i ofiaruj jej z radością swoje cierpienie.

Okryła go z powrotem kocem.

– Ojczyzna cierpi stokroć więcej, Bolesiu – powtórzył z naciśkiem. – Cierpi tyłu niewinnych ludzi. Bo to straszna wojna. Na polach bitew pojawiły się nieznane dotąd samoloty i czołgi, zaczęto używać broni chemicznej. A Polacy, pomyśl tylko, walczą czasem – przeciwko sobie! To prawda! Są przecież wcielani do armii we wszystkich trzech zaborach, do armii, które walczą ze sobą! Ojczyzna cierpi, a będzie cierpiała jeszcze bardziej, kiedy w Rosji wybuchnie rewolucja.

– Rewolucja? Co też ty mówisz, Janku! Chyba masz gorączkę...

– Kiedy w Rosji wybuchnie rewolucja – mówił, nie zważając na jej słowa – runie dotychczasowy porządek i nie spełni się już, Bolesiu, nasze marzenie o Ojczyźnie z dawnych czasów, przekonasz się.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

– Będę się za ciebie modliła – powiedziała na pożegnanie. – Żebyś wrócił szczęśliwie do Łowicza, do swoich...

Tego samego dnia otrzymała list z Warszawy.

Antoni donosił o śmierci mamy. Pani Łucja Lament, zmęczona chorobą i przygnębiona toczącą się wojną, zmarła w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Kilka miesięcy później dotarła do niej inna wiadomość: Rosjanie, pod naporem wojsk niemieckich, opuścili Warszawę. Warszawa, zniszczona i spustoszona, znalazła się teraz pod okupacją niemiecką.

Trwała wojna, a z nią, w miarę zmieniających się wydarzeń, zmieniało się również nastawienie Rosjan do Polaków żyjących w Petersburgu. Nastawienie to, początkowo przychylne i pełne zrozumienia, zdawało się być nacechowane coraz większą niechęcią.

Siostry nie poświęcały tym zmieniającym się nastrojom początkowo zbytnej uwagi. Nadal prowadziły dwa gimnazja i ratowały miejscową ludność przed głodem. Ucieszyły się natomiast, i to bardzo, kiedy matka Bolesława zezwoliła im, mimo tak licznych obowiązków, na wzięcie udziału w Wyższych Kursach Polonistyczno-Humanistycznych, które w gmachu gimnazjum świętej Katarzyny zorganizowało niespodziewanie znamienite grono polskich uchodźców. Ogromnie były już spragnione wiedzy i polskiej mowy.

Nadzieją na lepsze powiało w lutym 1917 roku, kiedy to w wyniku następujących po sobie błyskawicznie rewolucyjnych zdarzeń został w Rosji obalony carat. Masowa demonstracja, którą poprzedził strajk w Zakładach Putiłowskich i w innych fabrykach Petersburga, przerodziła się w ogólnonarodowe powstanie, do którego przyłączyli się również żołnierze. Car Mikołaj II został zmuszony do abdykacji. Władzę przejął demokratyczny Rząd Tymczasowy, a rodzinę carską osadzono w areszcie. Skończyły się rządy carskich urzędników. Przestał działać zniechęcony departament DDD II. Kościół otrzymał przywileje, o jakich do tej pory mógł jedynie marzyć.

Zmiany te sprawiły, że w krótkim czasie nastąpiło niespotykane dotąd ożywienie ducha religijnego. Do siostr zgłaszało się coraz

więcej osób prawosławnych z prośbą o przygotowanie ich do przejścia na katolicyzm. Działo się to nie bez udziału polskich duchownych, którzy – wtajemniczeni w misyjną działalność Towarzystwa Świętej Rodziny – podsyłali im ze swoich parafii zainteresowanych kandydatów. Wśród tych osób było także kilka Rosjanek, *konwertytek* z prawosławia, które wyraziły pragnienie wstąpienia do Towarzystwa Świętej Rodziny.

Matka Bolesława nie posiadała się z radości. A odczytując znaki czasu i uważając, że nadeszła stosowna pora, przedstawiła biskupowi Janowi Cieplakowi bardzo konkretny projekt utworzenia w Zgromadzeniu odrębnej gałęzi, którą miały stanowić siostry obrządku wschodniego. Była przekonana, że tego rodzaju formacja ułatwiłaby znacznie prowadzenie zamierzonej przez nią działalności apostolskiej.

Biskup Jan Cieplak pochwalił inicjatywę matki Bolesławy i zgodził się bez zastrzeżeń na jej propozycję. Propozycja ta, co było nie bez znaczenia, pozostawała ponadto w zgodzie z instrukcją wydaną niedawno przez watykańskiego sekretarza stanu Merri del Vala dla polsko-łacińskiego duchowieństwa w Rosji, która mocno popierała rozwój Katolickiej Cerkwi Rosyjskiej.

Biskup służył sprawie całym sercem i bardzo się w nią zaangażował, zwłaszcza po spotkaniu z charyzmatycznym kapłanem rosyjskich katolików *ojcem Leonidem Fiodorowem, studytą*, który wrócił właśnie z Tobolska, z wygnania. Ten czterdziestoletni, naznaczony cierpieniem zakonnik cieszył się niezwykle poważaniem. Wkrótce po przyjeździe do Petersburga odprawił wiernym – w zamkniętej dotąd na skutek carskich restrykcji cerkiewce Zesłania Ducha Świętego przy ulicy Barmalajewej – uroczystą liturgię z okazji Zmartwychwstania Pańskiego, a niedługo potem został wybrany na synodzie *egzarchą* Kościoła greckokatolickiego. Był za-

tem zwierzchnikiem całego, organizującego się na nowo po latach carskich prześladowań Kościoła katolickiego obrządku wschodniego w Rosji.

Ojciec Fiodorow, ascetyczny i nieco srogi z wyglądu, odznaczał się wyjątkowo radosną pokorą i był człowiekiem głębokiej wiary, a sprawowane przez niego nabożeństwa mocno poruszały serca wiernych. Pragnąc zbliżyć Rosjan do katolicyzmu, doprowadził do powstania Związku Powszechnego Zjednoczenia Kościelnego. Na zebrania tego związku przychodzili duchowni katoliccy i prawosławni. Przychodził także biskup Jan Cieplak.

Również na matce Bolesławie ojciec Fiodorow wywarł duże wrażenie. Szczęśliwa, że sprawa, która tak bardzo leżała jej na sercu ruszyła wreszcie we właściwym kierunku, szybko uzupełniła dotychczasowe konstytucje Towarzystwa Świętej Rodziny przepisami odnoszącymi się do członkiń obrządku wschodniego.

Siostry rozpoczęły naukę języka starocerkiewno-słowiańskiego, pierwotnego języka Słowian, oraz wschodnich śpiewów liturgicznych. Całe Zgromadzenie brało odtąd udział w życiu religijnym katolików obrządku wschodniego, ubogacając się wzajemnie w duchu chrześcijańskiej jedności.

*Dostojno jest jako woistinu blaziti Tia, Bogorodicu...
Sławniejsziju biez srawnienia Serafim...
Biez istielija Boga Słowa roźdsziju...*

– rozbrzmiewały słowa pieśni, które nagle nabierały szczególniego blasku.

*Zaprawdę godne to jest błogosławić Ciebie, Bogurodzico...
Chwalebniejsza od Serafinów...
Któraś bez zmazy Boga Słowo zrodziła...*

Podeksycytowana stojącymi przed nią nowymi zadaniami, matka Bolesława odmłodziła niespodziewanie o co najmniej dziesięć lat. Wyglądała przy tym godnie i szykownie, jak przystało na kobietę powszechnie znaną, z której zdaniem bardzo się liczone.

Ten szykowny wygląd zawdzięczała w znacznej mierze własnemu zmysłowi praktycznemu i umiejętnościom krawieckim. Obserwując zmieniającą się co chwila modę, bez przerwy coś przerabiała, jeśli nie sobie, to którejsz z sióstr.

– O, jak to dobrze, że sukienki znowu krótsze! – śmiała się. – Wystarczy ciachnąć postrzępiony dół, zmienić trochę górę i już sukienka jak nowa!

W jej oczach nawet podniszczony materiał stawał się bezcennym Bożym darem.

Jednak tym, co zajmowało ją najbardziej, była myśl o misjonarkach, które wyprawi już w niedługiej przyszłości w różne rejony Rosji dla pozyskania nowych wyznawców Chrystusa.

– Zakonnica, która jest misjonarką – mówiła – musi pamiętać, że miliony dusz żyją w tej chwili w pogaństwie, *herezji* i *schizmie*. Musi pamiętać, że niewiara szerzy się także w krajach jeszcze niedawno katolickich, a szatan ma miliony swoich własnych sprytnych misjonarzy, którzy nie próżnują, ale robią wszystko, aby zdobywać ludzkie dusze dla piekła. Powtarzajmy zatem, siostry, często te słowa: Jezus będzie panował, a ja będę narzędziem w Jego rękach...

Wrażliwa na ludzkie biedy, z wielkim zaangażowaniem popieszyła z pomocą odradzającemu się w Petersburgu Kościołowi katolików obrządku wschodniego. Lata carskich prześladowań sprawiły, że nie posiadał on własnych świątyń, ułatwiała zatem odprawianie nabożeństw w którymś z kościołów parafialnych albo w pomieszczeniach zajmowanych przez siostry. Rosło też grono przyjaciół matki Bolesławy. Odwiedzały ją tak znaczące osobisto-

ści jak ojciec Aleksy Zierzczaninow – konwertyta z prawosławia, czy ojciec Jan Deubner – duchowny obrządku wschodniego.

Niemalą jej zasługą stała się procesja Bożego Ciała, która przemaszzerowała w czerwcu alejkami Cmentarza Wyborskiego. Procesja zgromadziła katolików obu obrządków, wschodniego i łacińskiego, a uroczystej liturgii przewodniczył ojciec Leonid Fiodorow.

Okazała oprawa czterech ołtarzy, przy których odczytywano kolejno słowa czterech Ewangelii, piękne śpiewy i podniosły nastrój sprawiły, że do wiernych podążających za Chrystusem ukrytym w Najświętszym Sakramencie dołączyło wielu przechodniów, w tym również osoby wyznania prawosławnego. Wśród pieśni, jakie rozbrzmiewały tego dnia unosząc się wysoko nad cmentarnym murem, była także ta jedna, tak bliska matce Bolesławie, a śpiewana przez dziewczęta z gimnazjum:

*Miłość świat ten cały w niebo zamieniła,
gdy w tej Hostii małej Serce Boże skryła...*

Radość matki Bolesławy i siostr Towarzystwa Świętej Rodziny nie trwała jednak długo. Kolejne miesiące doprowadziły do wybuchu w Rosji kolejnej rewolucji, w wyniku której obalony został demokratyczny Rząd Tymczasowy, a władzę przejęli – bolszewicy. Rozpoczęła się otwarta walka z religią. Nadzieje Zgromadzenia na prowadzenie działalności jednoczącej chrześcijan zostały w jednej chwili przekreślone, a kandydatki obrządku wschodniego – wobec nasilających się prześladowań – opuściły Zgromadzenie.



Czerwony terror

Ciemne chmury już od tygodnia wisiały nad miastem. Wiatr rozwiewał je, a one wracały ołowiane, ciężkie, złowrogie. Jedni spodziewali się ulewy, inni, wobec nagłego spadku temperatury, śnieżyca, jeszcze inni jakiejś zarazy.

Nadszedł w końcu dzień 25 października 1917 roku.

Matka Bolesława długo klęczała wieczorem w swoim pokoju zapatrzona w smutne, bezgwiazdne niebo. Przykry ból w okolicy serca i niewiarygodne zmęczenie sprawiły, że zasnęła niemal natychmiast. Tymczasem to właśnie tej nocy nastąpiły wydarzenia, które tak bardzo zaważyły na losach Rosji i całej Europy. Z krążownika „Aurora” padł strzał, który stał się sygnałem do szturm na Pałac Zimowy.

Przewrót dokonany w Petersburgu przez bolszewików pod wodzą rosyjskiego rewolucjonisty Włodzimierza Lenina odbył się niepostrzeżenie, w ciągu zaledwie dwóch dni. Początkowo nawet mało kto zauważył, że zaszła jakaś zmiana. Życie toczyło się bowiem tak jak zawsze. Czynne były teatry i kina, ulicami jeździły tramwaje, a kelnerzy w restauracjach prześcigali się w ukłonach, by zasłużyć na skromny napiwek.

Trwająca od trzech lat wojna światowa, w którą Rosja zaangażowała się na różnych frontach, niszczyła kraj, nie dając w zamian upragnionych zwycięstw. Niewyobrażalne koszty związane z wyposażeniem i zaopatrzeniem wojska, porażki armii rosyjskiej w kolej-

nych krwawych starciach oraz nasilający się głód sprawiły, że Rosjanie z utęsknieniem czekali już na koniec wojennego koszmaru i niecierpliwie wypatrywali zmian na lepsze.

Zmiany te zaczęły obiecywać im – w imię nowych, rewolucyjnych idei – bolszewicy. Sami będąc pod wpływem tych idei, kreślili przed znękanym narodem wizję szczęśliwej i dostatniej przyszłości, posługując się zręcznie hasłami zaczerpniętymi z dzieł Karola Marksa, niemieckiego filozofa, który w sposób zdecydowany negował istnienie Boga. To one właśnie miały doprowadzić uciemiężony lud rosyjski do krainy szczęścia. One też unosiły się odtąd w powietrzu niczym tęczowe bąbelki nad szklanką upragnionej lemoniady, a spragnieni dostatniej przyszłości prości ludzie, nieświadomi zgubnych konsekwencji nowej ideologii, garnęli się zewsząd coraz liczniej do tego orzeźwiającego napoju.

Zaraz na początku grudnia odbył się w Petersburgu uroczysty *ingres* nowego metropolity mohylewskiego arcybiskupa Edwarda Roppa. Kapłan ten, zbliżający się już powoli do siedemdziesiątki, znany był z patriotyzmu i nieugiętego ducha. Zasłynął także, co w sposób szczególnie ucieszyło matkę Bolesławę, a niemało krwi napsuło władzom carskim walczącym z Kościołem, charyzmatem jednania ludzi zwaśnionych, często różnych narodowości.

Niedługo po tej oficjalnej uroczystości matka Bolesława postanowiła osobiście pokłonić się nowemu pasterzowi. Nie tylko pokłonić się, ale i prosić go o urzędowe zatwierdzenie Zgromadzenia, by móc wreszcie wystąpić do Rzymu o aprobatę papieską. Znaczącym argumentem w tej sprawie miał być niedawny jubileusz dziesięciolecia pobytu sióstr w Petersburgu, który to jubileusz siostry Towarzystwa Świętej Rodziny obchodziły radośnie, choć nader skromnie, we własnym gronie.

Arcybiskup Edward Ropp mocno zainteresował się dziełem matki Bolesławy, zwłaszcza przyświecającą mu ideą jednania chrześcijan. Uznał ją za rzecz niezwyklej wagi i szczerze pogratulował matce Bolesławie wytrwałości i pięknych owoców dotychczasowej pracy.

– To, co powiem – odezwał się w pewnym momencie – może się wydać dziwne, a nawet zaskakujące, ale... nic tak nie dzieli ludzi jak właśnie różnice wiary.

Serce matki Bolesławy zalało uczucie szczęścia. Słowa zrozumienia ze strony tak znamienitego hierarchy podziałały kojąco na jej zbolałą duszę. Słala już w myśli psalmy pochwalne przed Boży tron, kiedy arcybiskup zaczął nagle skubać niespokojnie rozchrzoną białą brodę.

– Proszę mnie posłuchać – odezwał się po namyśle. – Tak się składa, że w najbliższym czasie spodziewam się w Petersburgu delegata Stolicy Apostolskiej, który ma się zająć stanem prawnym wszystkich zgromadzeń zakonnych w Rosji. Ojciec Święty uznał to za rzecz niecierpiącą zwłoki. Czy nie byłaby to zatem idealna okazja, żeby załatwić pomyślnie również waszą sprawę? Czekacie tak długo, zaczekajcie jeszcze trochę...

Więc czekała.

Ale zapowiadany przez Stolicę Apostolską delegat nie zjawił się w Petersburgu.

Tymczasem w styczniu 1918 roku bolszewicy przystąpili do wprowadzania w Rosji obiecanych zmian. Jedną z pierwszych stało się – oddzielenie Kościoła od państwa. Usunięto religię z programów szkolnych, odebrano Kościołowi prawo prowadzenia ksiąg metrykalnych. Zagrożony został również los poszczególnych parafii. Szansę przetrwania miały wyłącznie te, w których komitet dwudziestu wierzących osób był w stanie wydzierżawić od władz

bolszewickich, i to za niemałe pieniądze, swoje własne budynki kościelne.

Nie wszyscy Rosjanie byli zadowoleni z objęcia władzy przez bolszewików. Od samego początku istniała silna grupa pod wodzą rosyjskich generałów, która się im zdecydowanie sprzeciwiała. Sprzeciw ten doprowadził w końcu do trzyletniej wojny domowej, która nasiliła się w marcu 1918 roku. Rząd bolszewicki przeniósł się wówczas do Moskwy, która stała się odtąd stolicą Rosji.

Nowa władza – pod kierownictwem Włodzimierza Lenina – zaprowadziła w Rosji ustrój komunistyczny. Ustrój ten zakładał dominację jednej klasy społecznej nad pozostałymi. Klasą uprzywilejowaną byli robotnicy. Pozostałych obywateli, a więc: inteligencję, duchowieństwo, właścicieli fabryk, drobnych kupców i chłopów nowe władze traktowały jako swoich największych wrogów. Aby się z nimi rozprawić, powołali specjalny organ policyjnych represji zwany potocznie *CZeKa* albo *Czerezwyczajka*. Na ulicach pojawili się nagle uzbrojeni, budzący strach czekiści.

Mimo tak dramatycznych nastrojów, 30 maja ulicami Petersburga przeciągnęła procesja, która stała się wielką manifestacją wiary. Była to procesja Bożego Ciała, która wyruszyła z kościoła świętej Katarzyny, a zakończyła się odśpiewaniem dziękczynnego hymnu *Te Deum laudamus* w kościele Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny na Cmentarzu Wyborgskim. Najświętszy Sakrament niósł arcybiskup Edward Ropp. Obok szli duchowni obrządku łacińskiego i wschodniego. Szedł biskup Jan Cieplak i egzarcha Leonid Fiodorow. Szły dziewczęta z Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego Łucji Czechowskiej i Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego Marii Chrzanowskiej, niosąc haftowane przez siebie chorągwie. Szczególnie pięknie prezentowała się w majowym słońcu chorągiew z wizerun-

kiem Świętej Rodziny. Procesji towarzyszył nastrój skupienia i duchowej radości, a tłumy, które wyległy tego dnia na ulice, okazywały przechodzącym należny szacunek. Kiedy orszak znalazł się w pobliżu Litiejnego mostu, z cerkwi prawosławnej odezwał się koncert dzwonów. Jezus ukryty w Najświętszym Sakramencie szedł ulicami Petersburga. Szedł i łączył spragnione miłości ludzkie serca.

Niestety, już wkrótce można się było przekonać, że ta wspiana procesja, ta wielka manifestacja wiary, była w istocie jedynie takim radosnym „hosanna” przed mającym nastąpić bolesnym krzyżowaniem Kościoła.

Bolszewicy szybko zaczęli odsłaniać swoje prawdziwe oblicze.

Przede wszystkim wprowadzili w kraju dyktaturę jednej partii. Jej przewodniczącym, a zarazem najważniejszą osobą w państwie został Włodzimierz Lenin. To za jego przyzwoleniem doszło do rozstrzelania w lipcu 1918 roku cara Mikołaja II i całej jego rodziny.

Wolność obywateli została poważnie ograniczona. Bolszewicy zarządzili konfiskatę własności kościelnej, przejęli banki i fabryki, zakazali wydawania gazet, a tysiące ludzi zmusili do emigracji. Swoich przeciwników politycznych zabijali na miejscu bądź wysyłali do *łagrów*. W kraju wprowadzono bezwzględną cenzurę. Księgarnia Grendyszyńskiego, silny ośrodek polskości, została przez bolszewików rozgrabiona, a jej zacny kierownik, pan Ferdynand Heidenreich, rozstrzelany. Ksiądz Alfons Jędrzejewski, redaktor wydawanego przez księdza Konstantego Budkiewicza pisma „Czytanie Niedzielne”, poszukiwany przez *CZeKa*, musiał się ukrywać. Tak zaczął się w Rosji bolszewickiej czas nazywany okresem „czerwonego terroru”.

Matka Bolesława przybiegła któregoś dnia z miasta mocno wzburzona.

– Siostry, stała się rzecz straszna – oznajmiła z oczyma pałającymi gniewem. – Bolszewicy aresztowali arcybiskupa Edwarda Roppa. Widać, że nie cofną się przed niczym. Żyjemy w czasach okrutnego prześladowania...

Ochłonawszy zaś, dodała:

– Pamiętajmy jednak, że Kościół – zbudowany na opoce – nie lęka się prześladowań. Dziękujmy raczej Bogu za to, że pozwala nam żyć w takich czasach, bo to wielka łaska. Dziękujmy i prosimy o wytrwanie.

Aresztowany został również ojciec Leonid Fiodorow.

Kiedyś, przy jakiejś okazji, powiedział:

– Rosja nie nawróci się inaczej, jak przechodząc przez czerwone morze krwi swoich męczenników i przez wielkie cierpienia swoich apostołów...

Słowa te ogromnie poruszyły wówczas matkę Bolesławę.

„Czy wypowiadając je przeczuwał, że zostanie jednym z tych męczenników?” – zastanawiała się, zapatrzona w cierniową koronę Zbawiciela.

Jeszcze tego samego roku siostry zostały pozbawione wszystkiego, co posiadały. Władze rewolucyjne zajęły ich piękne gimnazjum przy ulicy Lewej Tientielewskiej. Nie pomogła interwencja dyrektorki, siostry Łucji Czechowskiej, ani uzyskany przez nią na piśmie dokument poświadczający, że w szkole uczą się nie tylko dzieci polskie, ale i rosyjskie. Całe wyposażenie gimnazjum, zdobyte przez siostry z tak wielkim trudem za cenę osobistych wyrzeczeń zostało skonfiskowane, a im samym pozwolono zabrać jedynie rzeczy osobiste.

Wychowanki ocierały łzy na widok sióstr opuszczających budynek szkolny. Były przerażone tym co się stało, co jeszcze może się stać.

– Więc jak to teraz będzie? – pytały jedna przez drugą. – Co będzie z nami? Co będzie z naszą dalszą nauką? Z marzeniami, planami i pięknymi ideami?

Siostra Łucja przygarnęła stojące najbliżej dziewczęta, obdarzając je macierzyńskim uśmiechem.

– Marzenia trzeba nadal pielęgnować – powiedziała z mocą. – Piękne idee wprowadzać w życie, a plany dostosowywać do istniejących warunków. Ot, i cała filozofia. A jeśli w tym wszystkim będzie jeszcze Pan Jezus, to i radość będzie w sercu. Co powiedział w Kazaniu na Górze? „Szczęśliwi, którzy są prześladowani z powodu niesprawiedliwości, ponieważ...”

– „do nich należy królestwo niebieskie” – dokończyły, teraz dopiero zdając sobie sprawę z właściwego sensu tych słów.

– Szatan będzie oczywiście straszyl i atakował na różne sposoby – tłumaczyła dalej – bo to jego stałe zajęcie. My jednak mamy oparcie w Bogu, który wszystko może. W s z y s t k o. Czy to nie cudowne?

Tak, to było cudowne. Znikły łzy. Serca w jednej chwili napełniły się Bożym pokojem. Zrozumiały. Przyszedł czas, kiedy to one miały przekazywać innym wartości zaszczipione im przez siostry. Same miały być odtąd siostrami dla swoich braci i sióstr.

Tymczasem bolszewicy nie ustawiali w okrutnym dziele niszczenia. Zlikwidowali szkoły parafialne. Zamknęli także Prywatne Gimnazjum Żeńskie Marii Chrzanowskiej na Cmentarzu Wyborgskim. Wywieźli z niego meble, sprzęty, pomoce naukowe. Siostry pozostały w niemal całkowicie ogołoconym budynku. A nie posiadając również niezbędnych środków do życia, znalazły się nagle, podobnie jak reszta mieszkańców Petersburga, w obliczu głodu.

Matka Bolesława z bólem serca patrzyła na swoje Zgromadzenie. Na czternaście dzielnych kobiet, które związane ślubami trwały przy niej zanurzone w żarliwej modlitwie.

Któregoś dnia powiedziała im na pociechę:

– Niech umocni was, moje drogie, ta prawda, że każde prześladowanie dopuszczone przez Boga zawiera w sobie jakieś przesłanie miłości. No bo posłuchajcie tylko: Mamy obumrzeć jak ziarno pszenicy? Tak, ale po to, aby przynieść obfity plon. Mamy stracić życie doczesne? Tak, ale po to, by zyskać życie wieczne. Idziemy za Chrystusem, niosąc krzyż? Tak, ale będziemy Go także naśladować w chwale. Tak więc doświadczając ucisku, poznajemy za każdym razem jeszcze dogłębniej prawdziwą miłość Boga...

Zewsząd dochodziły niepokojące wieści. Jakby tego było mało, do domu siostr wkradł się jeszcze strach przed *czekistami*. Mieszkały wprawdzie w miejscu ustronnym, położonym na peryferiach miasta i otoczonym murem, jednak i tam, na Cmentarz Wyborski, zapędzali się czasem czekiści. Chodzili zwykle we dwóch albo trzech, a ponieważ mówiono nieustannie o gwałtach, jakich dopuszczali się na dziewczętach, młode siostry panicznie bały się ich widoku.

Matka Bolesława i na to znalazła w końcu radę. Aby uchronić siostry przed natarczywością niebezpiecznych intruzów oraz zabezpieczyć się na przyszłość przed ich odwiedzinami, postanowiła uciec się do niewinnego podstępu. Zaaranżowała spektakl, w którym zagrała jedną z dwóch głównych ról. Drugą powierzyła siostrze Leokadii Górczyńskiej. Obie skończyły już pięćdziesiąt lat, były więc najstarszymi siostrami w Zgromadzeniu i najlepiej się do tych ról nadawały.

Na dzień premiery nie trzeba było długo czekać. Kiedy więc trzech podchmielonych czekistów zaczęło łomotać pewnego razu do drzwi wejściowych, siostra Leokadia, schorowana, przygarbio-

na i przyodziana w jakieś nędzne łachy, otworzyła je, zanosząc się żalonym płaczem. Wprowadziła mężczyzn do pustej izby, w której na żelaznym łóżku leżała obwiązana chustkami matka Bolesława i, wskazując na „umierającą”, zaczęła zawodzić jeszcze głośniej.

Jej rozpacz połączona z głuchymi, to znów przeraźliwymi jękami dochodzącymi z łoża boleści, wprawiły przybyłych w osłupienie.

– Co tu się, u diabła, dzieje?! Kto tu właściwie mieszka?! – zawołał groźnie jeden z mundurowych, ściągając podejrzliwie brwi.

– Siostra... matuszka... rewolucja... – bredziła drżącym głosem siostra Leokadia. – *Zdies' błahodzielnia staraszok!*

– Błahodzielnia staraszok?! – powtórzył trzeźwiejąc nagle jeden z jego towarzyszy.

– Da, da – zapewniała wśród łkań siostra Leokadia. – *U nas uże tolko smiert' w głazach...* Tolko smiert'!...

Spojrzeni z odrazą na jej wychudzoną twarz i ziemistą cerę, potem raz jeszcze na umierającą w straszliwych mękach „starowinę”, i stwierdzili:

– Chodźmy stąd, bo i my złapiemy jakiegoś parszywca!

I odeszli, strzepując mundury służbowymi czapkami, jakby chcieli chociaż w ten sposób uwolnić się od domniemanej zarazy.

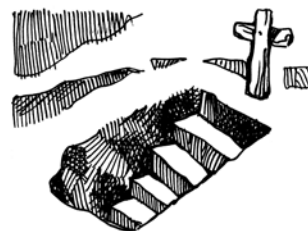
Obie „aktorki” odetchnęły z ulgą. Wieść o rozprzestrzeniającej się epidemii cholery uzupełniła scenariusz matki Bolesławy i kurtynę można było spokojnie opuścić. Śmiały się potem długo i serdecznie. Śmiały się także pozostałe siostry, szczerze zdumione tym dramatycznym, bądź co bądź, spektaklem.

– Nasza Matka Założycielka to ma dopiero zdolności aktorskie – chwaliła przełożoną siostra Leokadia, skromnie usuwając się w cień.

– Tak, tak – przytakiwała matka Bolesława ze śmiechem. – W najbliższych jasełkach tak wam zagra barana, że wygłodzeni mieszkańcy Petersburga zaraz go będą chcieli wziąć na rożen!

Dobrze było się śmiać.

Dobrze było żartować w tych smutnych czasach. W rzeczywistości jednak siostry chciały się pozbyć czekistów także dlatego, że – jak łatwo się domyślić – rozpoczęły już tajne nauczanie.



W obliczu głodu

Nikt nie wiedział, jak potoczą się dalsze losy rewolucji. Jesień 1918 roku straszyla głodem i bezrobociem. Matka Bolesława nie ustawała w wysiłkach, by znaleźć jakieś wyjście z trudnej sytuacji, jednak i jej pomysłowość zdawała się być już na wyczerpaniu. „Jak wyżywić siostry pozbawione nawet kartek na przydziałowy chleb z trocinami? – myślała po nocach. – Jak zapewnić przetrwanie im i sobie? Boże miłosierny, pomóż!”...

Kiszonki, które sporządzały naprędce ze zdobytych głąbów kapuścianych oraz z naci selerów i porów, nie wszystkim siostrom służyły. Wątlejsze zaczęły zapadać na zdrowiu.

– Usmażyłabym wam, kochaneńkie, placków ziemniaczanych – zawołała kiedyś siostra Łucja Wielickiewicz – ale jak, skoro nawet jednego ziemniaka w okolicy nie uświadczysz?

– Pyszniutkie były te twoje placki, siostrzyczko – westchnęła w odpowiedzi siostra Anna. – Oj, pyszniutkie! Ale i pierożki z wiśniami u państwa Drybuszewskich też sobie miło wspominam...

– A naleśniki z miodem u pani Natalii Zołotilowej pamiętacie? – wtrąciła siostra Maria Lament. – Albo knedle ze śliwkami?

Przyjemne to były wspomnienia. Nawet siostra Leokadia, najmniej chyba skłonna do tego typu zwierzeń, rozmarzyła się pod wpływem tych smakowitości.

– W kaliskich stronach, z których pochodzę – odezwała się nie spodziewanie – jadaliśmy prażuchy. Prażyło się najpierw na patelni

mąkę pyłową na złocisty kolor, potem się ją wsypywało do wrzącej osolonej wody, mieszając, żeby się grudy nie porobiły, a kiedy już masa elegancko odchodziła od garnka, wybierało się z niej prażuchy drewnianą łyżką na talerz i krasilo stopioną słoninką albo jeszcze lepiej boczkem ze skwarkami...

– Dałybyście już spokój z tym gadaniem o żarciu! – zgromiła je nagle siostra Ludwika ze łzami w oczach. – Jeść się tylko chce od tego jeszcze bardziej!

Trudno było nie przyznać jej racji.

Kroiły więc dalej w milczeniu kapuściane głąby i ze zdwojoną energią rozglądały się za pracą. Ale pracy w Petersburgu dla nich nie było. Nie pozostawało nic innego, jak szukać jej w innym mieście.

Rozpoczęły się zatem poszukiwania.

Wyprawa siostry Marii Chrzanowskiej i siostry Moniki Sianity do dalekiego, położonego hen, nad Wołgą, Saratowa, zakończyła się niepowodzeniem i poważną chorobą tej drugiej. Na drogach wciąż było niebezpiecznie z powodu trwającej wojny domowej, a w Saratowie, do którego udało im się w końcu dotrzeć, nie zastały ani biskupa, ani księży. Kościół też był zamknięty na cztery spusty.

Po tej podróży siostra Monika wyjątkowo długo dochodziła do siebie. Zatraskane o jej zdrowie siostry dzieliły się z nią swoimi skromnymi racjami żywności, ona zaś opowiadała im rzeczy niesłychane, których obie z siostrą Marią były niedawno świadkami. Opowiadała właśnie o tym, jak to bolszewicy zatrzymali pociąg i zaczęła się głośna strzelanina, kiedy nadeszła matka Bolesława – uśmiechnięta i niezwykle czymś ożywiona.

– Pan Bóg dając rzeczy smutne, daje też radosne – powiedziała z wesołym błyskiem w oczach. – Ta radosna wiadomość, to... Siostry kochane! Mamy w o l n ą O j c z y z n ę! Niepodległą po 123

latach niewoli! Gubernator Hans Beseler opuścił Warszawę. 11 listopada Niemcy uznali suwerenność Polski. Dożyliśmy historycznej chwili. Tak wiele pokoleń Polaków na nią czekało. Módlmy się, aby Bóg schylił się i ku naszej niedoli, tu, na tej obcej ziemi. By i tę ziemię uświęcił swoją łaską...

Następnego dnia o świcie trzy młode kobiety: siostra Anna Czerniłowska-Sokół, siostra Stefania Zambrzycka i całkiem już zdrowa siostra Monika Sianita, udały się w podróż do Żytomierza, na Ukrainę. Udały się tam na zaproszenie biskupa Ignacego Dubowskiego, ordynariusza łucko-żytomierskiego, który zaproponował im pracę na terenie swojej diecezji.

– Mamy pracę! – skakała z radości siostra Anna, usłyszawszy tę wspaniałą nowinę. – Znaczit, rabota u nas jest, *duszezki darogije!* Hura! – wykrzykiwała trochę po polsku, trochę po rosyjsku.

Zaraz też złapała za ręce zaskoczoną siostrę Stefanię i zaczęła kręcić z nią „drobną kaszkę” pośrodku izby.

– Wariatka! Słowo daję, wariatka! – śmiała się siostra Leokadia, obserwując te ich cudaczne wygibasy.

Dopiero głos matki Bolesławy przywołał siostry do porządku.

– No i tylko patrzeć, jak ściągniecie nam tu jakiś patrol – stwierdziła, uchylając zasłonkę.

Ale patrol się nie pojawił.

Siostry natomiast były tak uradowane, że nie zastanawiały się ani nad tym, jakiego rodzaju praca czeka je w Żytomierzu, ani jak zdolają pokonać tysiąc dwieście kilometrów, by do niego dotrzeć. Spakowały najpotrzebniejsze rzeczy, uściskały pozostające w domu towarzyski niedoli, po czym z chwacką miną i dreszczykiem emocji na plecach opuściły miasto carów. Miasto, w którym terror przybierał coraz straszliwsze rozmiary.

Również w poszukiwaniu pracy, tym razem do Warszawy, wyjechały z Petersburga obie rodzone siostry matki Bolesławy: siostra Maria i siostra Leonarda.

Matka Bolesława martwiła się trochę o siostrę Leonardę i do ostatniej chwili zwlekała z decyzją, nie była bowiem przekonana, czy powinna pozwolić jej na tak daleką, bo liczącą przeszło tysiąc kilometrów podróż.

– Boję się, czy nie będzie to dla siostry zbyt duży wysiłek – powiedziała podczas osobistej rozmowy tuż przed wyjazdem. – Taka siostra od jakiegoś czasu słabowita i osowiała, może chora?

– Ja?!... Chora?!... Słabowita?!... Osowiała?!... – obruszyła się gwałtownie siostra Leonarda, zapominając na moment o cnoście pokory.

Szybko też przeprosiła przełożoną za swoje niestosowne wykrzykniki, jednak duch przekory, tak przeciwny duchowi pokory, który zdążył już zawładnąć jej myśleniem, nie zamierzał zamilknąć.

– Nie chcę być niegrzeczna – odezwała się znowu, tym razem z lekkim uśmiechem – ale to raczej wielebna matka ma ostatnio kłopoty ze zdrowiem. Problemy z sercem, no a teraz jeszcze ta... głuchota.

– Głuchota?!

Matka Bolesława poczuła, jak zalewa ją fala gorąca.

– No tak... Głusi zawsze mówią głośniejsze od innych, a matka to niekiedy prawie krzyczy. Wszyscy to zauważyli. Nic dziwnego, że niektóre siostry, podobnie zresztą jak większość wychowanek, odbierają to pokrzykiwanie jako oznakę niezadowolenia.

Czegoś takiego matka Bolesława się nie spodziewała. Poruszona do głębi, wstała z krzesła i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju.

– Nic nie wiedziałam – wyznała w końcu szczerze zmartwiona. – To okropne... Dlaczego nie powiedziałas mi o tym wcześniej?

Siostra Leonarda nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Pragnąc natomiast załagodzić jakoś całą sprawę, dodała pojednawczym tonem:

– To pewnie skutek tamtej paskudnej ospy, pamiętasz, w dzieciństwie?...

Panujący głód sprawiał, że ludzie umierali nawet na ulicach. Nie nadążano chować zmarłych. Władze Petersburga, chcąc zmniejszyć skutki tragedii i zapobiec epidemiom, uruchomiły w mieście akcję dożywiania dzieci i młodzieży. Akcję tę podchwyciła natomiast matka Bolesława, traktując ją jako wymodlony ratunek dla Zgromadzenia. Szybko zorganizowała taki punkt dożywiania w dzielnicy Wyborgskiej, w świetnie nadającym się do tego budynku szkolnym na cmentarzu.

Rządy w kuchni, w której pojawiły się nagle takie rarytasy jak ziemniaki, mąka czy kasza, objęła siostra Łucja Wielickiewicz. Rządziła w sposób oszczędny i przemyślany, jak zresztą zawsze, a matka Bolesława często jej w tym rządzeniu pomagała, spoglądając ze współczuciem na gromadzących się przed bramą cmentarną biedaków. Z niektórych pozostały już niemal tylko szkielety.

– Komunizm to straszna siła – powiedziała któregoś dnia. – Siła niszczycielska. Tylko Bóg może ją ujarzmić. Musimy Go o to bardzo prosić...

Cieszyła się natomiast, i to ogromnie, na myśl o tym, że siostry przygotowując darmowe posiłki dla innych, same mogą się nareszcie nieco dożywić. Mogły też, zachowując oczywiście wyjątkową ostrożność, rozpocząć tajne nauczanie w zakresie szkoły podstawowej i czteroklasowego gimnazjum z tymi dziećmi, które przychodziły do stołówki. Wiedziały, że grozi im za to więzienie albo zesłanie w głąb Rosji, nie wahały się jednak ani chwili. Matka

Bolesława sama przyprowadzała im dzieci na naukę, nieraz prosto z ulicy.

Nauka zorganizowana była w ten sposób, że część dzieci, dla niepoznaki, bawiła się na placu przed kościołem, pozostałe zaś miały w tym czasie zajęcia w stołówce. Uczniowie byli pouczeni, że w razie pojawienia się czekistów mają ukryć zeszyty w schowkach znajdujących się w stolikach i zająć się czymś innym. Tak też postępowali, zdając sobie sprawę, że przez brak czujności czy niewłaściwe zachowanie mogą narazić na niebezpieczeństwo nie tylko życie sióstr i własne, ale również życie swoich rodzin.

Balansowanie na krawędzi życia i śmierci było dla wielu ludzi w tym czasie chlebem powszednim, nie wszyscy jednak wytrzymywali napięcie, jakie towarzyszyło temu balansowaniu. Byli tacy, którzy załamywali się psychicznie, a nawet tracili zmysły. Jedynie matka Bolesława zdawała się panować nad wszystkim mocą prawdziwie nieustraszonego ducha. Odważna i nieustępliwa, budziła podziw. W prostych słowach potrafiła umocnić słabych, pokrzepić tych, którzy tracili już nadzieję i przynieść pociechę najbardziej zastraszonemu. A opowiadano sobie niekiedy rzeczy przerażające. Krążyły pogłoski, że mieszkańcy Petersburga, powodowani śmiertelnym głodem, zjadali szczury, że otwierali groby w poszukiwaniu kosztowności, by zamienić je potem na łyżkę stawy.

Słyszała o tym straszliwym procederze matka Bolesława. Nie tylko słyszała, ale i widziała na własne oczy rozrzucone przy otwartych grobach ludzkie szczątki. Widzieli je również wychowankowie, kiedy nauka zamiast w stołówce odbywała się w głębi cmentarza, w obszernej kaplicy-grobowcu. Matka Bolesława zbierała wówczas z ziemi te nieszczęsne szczątki i chowała je na nowo, tym razem z udziałem dzieci, ucząc je w ten sposób szacunku dla zmarłych.

Większość uczniów stanowiły dziewczęta, dla których wymyśliła z czasem jeszcze inne odpowiedzialne zajęcie. Wysyłała je mianowicie po dwie do obozów, gdzie pracowali więźniowie, ludzie często niewinnie skazani przez bolszewików. Konspiracyjna działalność dziewczynek, choć przypominała dzieciinną zabawę, wiązała się z niemałym ryzykiem, a polegała na odegraniu wcześniej wyuczonej scenki. Kiedy bowiem młodsza dziewczynka odwracała uwagę pilnującego więźniów strażnika, zajmując go opowiadaniem jakiejś historyjki, zabawnej lub tragicznej, w zależności od sytuacji, starsza podawała któremuś z więźniów *gryps*, gazetę albo paczkę. Jedną z takich odważnych dziewczynek była Stasia Maksimowicz.

Ta drobna dziewczynka o wesołych oczach była wprost urodzoną aktorką. Nic dziwnego, że brała udział w przygotowaniach do występów, którymi matka Bolesława chciała chociaż trochę ucieszyć utrudzonych ciężką pracą rodziców. Wielu z nich przeklinało swój los, wielu nie potrafiło się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Bolszewicy nie tylko odebrali im prawo do strajków, ale wprowadzili wielogodzinne przymusowe prace. Tak było w przejętych przez nich Zakładach Pułiłowskich, tak było i w innych fabrykach.

Próby do występów odbywały się w budynku szkolnym na cmentarzu. Na scenie, która jakimś cudem ocalała z rewolucyjnego pogromu. Młodzi artyści, świadomi zagrożeń ze strony bolszewików, z reguły zachowywali wymagane środki ostrożności, mimo to nie obeszło się, niestety, bez poważnej wpadki. Któregoś razu ktoś czegoś nie dopilnował i w chwili, kiedy Stasia Maksimowicz weszła na scenę, by wygłosić wiersz Juliusza Słowackiego „Smutno mi, Boże”, w drzwiach stanęło nagle dwóch czekistów.

– A wot i szto eto takoje?! – wykrzyknął groźnie młodszy, z podłużną szramą na twarzy, poprawiając szeroki skórzany pas.



Siostra Łucja Czechowska, która zajmowała się tego dnia dziećmi w zastępstwie matki Bolesławy, odwróciła się gwałtownie.

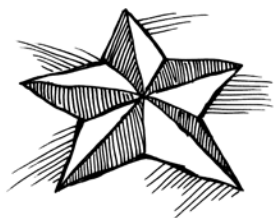
– *Eto... Eto, tawariszcz... buduszczije aktiory* – odparła pewnym głosem.

Stasia, odgadując w lot intencję nauczycielki, wyprostowała się, uniosła głowę i rozpoczęła deklamację. Nie był to jednak wiersz Juliusza Słowackiego, lecz rosyjskiego poety Michaiła Lermontowa:

*Buria mgłoju niebo kroit.
Wichry, snieżnyje krutia.
To kak zwier ona zarwojet,
to zapłaczet kak ditia...*

Jej deklamacja, niezwykle dramatyczna i sugestywna, sprawiła, że obaj funkcjonariusze poczuli się nieco zdezorientowani.

– *Aktiory, garwaritie?* – zwrócił się do siostry Łucji starszy, mniej rozgarnięty czekista, zsuwając czapkę na tył głowy. – Nu, ładno. *Aktiory toże nam nużny, darwajtie dalsze!*



Białe noce

Wczesna wiosna roku 1919 rozkwitła na Cmentarzu Wyborgskim świeżą zielenią. Na usypane w pośpiechu ubiegłoroczne mogiły wspinał się nieśmiało młodymi pędami bluszcz i barwinek z sąsiednich grobów, siadały ptaki. Dzień się dopiero zaczynał, a słońce rozświetlało świt różowym blaskiem.

Ksiądz Edward Juniewicz, nowy duszpasterz kościoła Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, szedł alejką w głąb cmentarza powoli, przesuając w palcach ziarenka różańca. Mimo usilnych starań, nie udawało mu się skupić myśli wyłącznie na rozważaniu tajemnic różańcowych. Wybiegały one co chwila do rodzinnych wileńskich stron, do niedawnych święceń kapłańskich, które przyjął z rąk biskupa Jana Cieplaka, do dzieci polskich uciekinierów, którym zaledwie kilka miesięcy temu głosił katechezę w moskiewskiej ochronce, do zmarłych spoczywających na cmentarzu.

Zbliżał się do miejsca, w którym pochowano niegdyś żonę i córkę generała Romualda Traugutta, dyktatora powstania styczniowego straconego przez Moskali przy Cytadeli Warszawskiej, kiedy nagle ujrzał siedzącą na ławeczce matkę Bolesławę.

Zatopiona w modlitwie, dopiero po dłuższej chwili spostrzegła z niemalym zdziwieniem jego obecność.

– Ksiądz tutaj? O tak wczesnej porze? – zapytała.

Chciał odpowiedzieć podobnym pytaniem, ale uznał to za niezbyt taktowne. Skłonił się więc z szacunkiem i miał już odejść, by nie zakłócać modlitewnej ciszy, kiedy usłyszał niespodziewanie:

– Ksiądz mi nie przeszkadza.

A zaraz potem:

– Ksiądz też myśli czasem o generale Traugutcie?

– Trudno o nim nie myśleć – odparł z młodzieńczym uśmiechem, zaciągając z wileńska. – Wiedział, że czeka go śmierć, a jednak nie zawahał się poświęcić życia dla ratowania honoru Ojczyzny.

– Tak... – przyznała. – To prawdziwie święty człowiek. Człowiek niezłomnego ducha. Trzeba nam i dzisiaj takich ludzi.

Wstała z ławki z zamiarem powrotu, a wtedy i on, rezygnując nieoczekiwanie z dalszego spaceru, ruszył za nią w kierunku kościoła.

Mieszkał przy parafii od niedawna, ale zdążył się już zorientować w jak trudnej sytuacji znajdują się wszyscy, którzy ją tworzą.

– Siostry bardzo się narażają – zauważył nieśmiało z wyraźną troską. – Prowadzić szkołę podczas takiego terroru...

Matka Bolesława spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

– Ksiądz też się naraża – odparła. – Myśli ksiądz, że nie domyślam się tych zebrań u biskupa Cieplaka albo tych spotkań z księdzem Budkiewiczem?

Młodzieńczy rumieniec pokrył niespodziewanie jego sympatyczną twarz.

– Jestem wdzięczny Bogu za to, że postawił na mojej drodze takich wspinających ludzi – wyznał szczerze. – Od wielebnej matki też wiele się uczę. A jeśli jej czegoś zazdroszczę, to chyba najbardziej tego doskonałego skupienia, które zdaje się być stałym usposobieniem duszy...

Spostrzeżenie to, uczynione przez tak młodego człowieka, nie mała ją zaskoczyło.

– Ksiądz przyjechał do Petersburga na studia? – zapytała, by skierować rozmowę na inny temat.

– I nawet zacząłem studiować – roześmiał się. – W Akademii Duchownej, tyle że ją bolszewicy zaraz zamknęli. Ale tu, w dzielnicy Wyborgskiej też mi się podoba.

– Dawniej nazywano cały ten obszar Kulikowym Polem – objaśniła. – Dopiero jakieś sześćdziesiąt lat temu wydzielono na nim miejsce na cmentarz katolicki, a od siedemnastu lat istnieje parafia, i to całkiem spora – prawie cztery tysiące dusz!

Wiadomość ta wprawiła młodego księdza w zdumienie.

– Nie spodziewałem się, że aż tyle – stwierdził. – Większość to zapewne rodziny robotników z Zakładów Putiłowskich? Zdążyłem się już z niektórymi zaprzyjaźnić. Ależ to twardzi ludzie! Gotowi do największych poświęceń. Niejeden z nich to taki właśnie Traugutt, tyle że bez generalskich dystynkcji, nie mam racji?

Uśmiechnęła się.

„Jak dobry jest Bóg, że daje światu takich kapłanów” – pomyślała z radością.

W tej samej chwili oczyma duszy ujrzała twarz Stefana, swego zmarłego brata, na widok której serce jej zalała dawna żalność.

Kilka dni później odwiedziła siostry niespodziewanie elegancka i niezwykle pewna siebie kobieta, która koniecznie chciała się widzieć osobiście z „panią Bolesławą Lament”.

Nieobecność matki Bolesławy nie zraziła jej wcale.

– Nic nie szkodzi, zaczekam – oznajmiła i, nie pytając nikogo o zgodę, usiadła na krześle, z góry dziękując za herbatę.

„Herbata?... – siostra Leokadia wzruszyła ramionami. – Ciekawe, skąd miałabym ją dla niej wziąć”...

Patrzyła jak nieznajoma wyjęła z torebki gazetę i okulary, a następnie zatonęła w lekturze.

„Co robić z takim kłopotliwym gościem?” – zastanawiała się.

Niezbym zachwycone były także pozostałe siostry, które musiały przerwać swoje tajne zajęcia. Aby pozbyć się nieznajomej, postanowiły sprowadzić matkę Bolesławę, i to jak najprędzej. W tym celu wysłały po nią niezawodną Stasię Maksimowicz. Do kościoła świętego Kazimierza, dokąd udała się jakiś czas temu na ważne spotkanie. Wysupłały dla niej w tym celu nawet kilka kopiejek na tramwaj.

Stasia z przejażdżki tramwajem bardzo się ucieszyła. Także misja, z jaką ją wysłano, wydała jej się interesująca. Lubiła kościół świętego Kazimierza. Lubiła nowego proboszcza, którym – w miejsce księdza Antoniego Około-Kułaka – był od pewnego czasu ksiądz Stanisław Ejsmont. Zauważyła też, że „pani Bolesława” mówiąc o nim prawie zawsze dodawała przymiotnik: odważny.

Faktycznie. Matka Bolesława szczerze podziwiała księdza Ejsmonta. Zwłaszcza determinację, z jaką zaangażował się w sprawę uwolnienia aresztowanego przez bolszewików arcybiskupa Edwarda Roppa. Podziw jej wzrósł jeszcze bardziej, kiedy dowiedziała się, że miał już wkrótce w przebraniu robotnika przewodniczyć delegacji petersburskich katolików udających się do Moskwy, by tam, na Kremlu, domagać się u naczelnych władz Rosji uwolnienia sędziwego hierarchy. Sprawa arcybiskupa Roppa stała się głośna w Europie, liczone więc powszechnie na jej szybkie i pomyślne zakończenie. Jednak ci, którzy się do Moskwy wybierali, a zdążyli już zakosztować bolszewickiej przemocy, musieli być przygotowani również na ewentualność znacznie bardziej dramatycznego przebiegu wydarzeń.

Przybycie Stasi przerwało mocno ożywioną dyskusję i zmusiło matkę Bolesławę do pożegnania zgromadzonych osób. Uczyniła to z wyraźnym żalem, zapewniając wszystkich o swojej wspierającej modlitwie.

W drodze do domu na próżno starała się domyślić, kim może być zagadkowa kobieta i jaka to ważna sprawa sprowadziła ją w ich ubogie progi. Sam widok nieznamojącej także niczego jej nie wyjaśnił.

– Mam przekazać pani list z Żytomierza – usłyszała niespodziewanie. – Od panny Anny Czerniłowskiej-Sokół, na jej szczególną prośbę. Ach, cóż to za czarująca osoba!...

– List od Anny?! – matka Bolesława pochwyciła nieznamoją w objęcia uradowana, lecz ta, nieprzywykła najwyraźniej do tak gwałtownego okazywania sobie uczuć, obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem, po czym oznajmiła tym samym co wcześniej chłodnym i nieco egzaltowanym tonem:

– Widzę, że i pani przepada za Anną. Trudno się dziwić. Prawdziwa czerkieska księżniczka, z krwi i kości. Od razu to wyczułam, bo też pochodzę z książęcej rodziny. Izadora Witalińska... – przedstawiła się wyniośle z lekko wibrującym „r”, po czym wręczyła matce Bolesławie zapowiedzianą przesyłkę.

– Jestem pani ogromnie zobowiązana – zapewniła matka Bolesława. – Zobowiązana i...

– Głupstwo – przerwała tamta. – To przyjemność móc oddać przysługę księżniczce Czerniłowskiej. Jakże ona pięknie śpiewa! Jak wzruszająco opowiada o górach Kaukazu!... – zakończyła z rzewnym westchnieniem.

„Ach, ta Anna – myślała matka Bolesława, śmiejąc się w duchu. – Bywa czasem niemożliwa. Co też musiała naopowiadać tej biednej kobiecie? Najważniejsze jednak, że dała znak życia. Pierwszy po tylu miesiącach”...

Ze zdwojoną uprzejmością zegnała księżnę Witalińską i do ostatniej chwili zapewniała ją o dozgonnej wdzięczności, przekładając nerwowo z ręki do ręki zaklejoną kopertę. Jakże chciała ją wreszcie otworzyć i zapoznać się z treścią listu.

List był długi i składał się z kilku luźnych kartek. Siostra Anna donosiła w nim, że do Żytomierza dotarła z siostrą Moniką i siostrą Stefanią szczęśliwie, ale dopiero 6 grudnia, gdyż w Mohylewie musiały czekać aż dwa tygodnie na otrzymanie kolejnej przepustki. Te dwa tygodnie spędziły przy trzaskającym mrozie w prawie nieogrzewanym baraku. Tam też dowiedziały się o bestialskim zamordowaniu księdza Eugeniusza Światopełka-Mirskiego.

– Ksiądz Mirski zamordowany?! – wykrzyknęły niemal równocześnie zrozpaczone siostry Łucja i Leokadia.

Matka Bolesława raz jeszcze przebiegła wzrokiem kartkę papieru i odczytała fragment odnoszący się bezpośrednio do tego tragicznego wydarzenia.

Ksiądz Eugeniusz Światopełk-Mirski, o czym wspominałam już wcześniej – pisała siostra Anna – był w Mohylewie od kilku lat dziekanem i administratorem parafii katedralnej. Wszyscy uważali go za kandydata na biskupa, ale nie było mu dane, niestety, dożyć tej chwili. W marcu 1918 roku, jak tylko bolszewicy przejęli rządy, został aresztowany i uwięziony z rozkazu trzech komisarzy ludowych: Aronowa, Goldmana i Goldberga...

– Z rozkazu Żydów? – zdziwiła się siostra Leokadia. – Jakże to? To i Żydzi przeciwko nam?!

Matka Bolesława pominęła milczeniem tę bolesną uwagę.

Ksiądz Mirski – czytała dalej – postawiony przez Goldmana, głównego komisarza, przed trybunałem rewolucyjnym, został skazany na śmierć za działalność kontrrewolucyjną, a tak naprawdę za to, że był Polakiem i sprzyjał polskiej sprawie.

Tutejsi ludzie twierdzą, że ci komisarze chcieli go po prostu zamordować. Jeden ze świadków opowiadał, że kiedy wprowadzono księdza na salę rozpraw nikt

go nie mógł poznać, tak był zmieniony. Wycieńczony, z siwą brodą, wyglądał niczym starzec. Okrutnie musieli się nad nim pastwić w tym więzieniu...

Po ogłoszeniu wyroku zebrani na sali mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli krzyżeć: „Wypustit ksiendza!”... Wówczas stała się rzecz straszna: bolszewicy otworzyli ogień z karabinów. Rozległy się krzyki i jęki ramnych. Wśród zabitych były dwie młode Polki. Jakiś młodzieniec zawołał: „Kak wam nie stydno w zenszczyzny strielat!”, i sam, przestrelony, upadł na ziemię. Zrobiło się okropne zamieszanie.

W czasie tej strzelaniny ksiądz Mirski zegnał zgromadzonych krzyżem trzymanym w ręce. Zaraz też jego i dwóch innych młodych Polaków wyrwieziono opancerzonym samochodem na peryferie miasta. Tam, po kilkugodzinnych torturach, wszyscy trzej zostali zamordowani.

Na pogrzeb katolicki Goldman się nie zgodził. Dopiero po długich staraniach udało się wiernym otrzymać od niego zezwolenie na uprzątnięcie ciała i pochowanie go, bez pogrzebu, w miejscu śmierci...

– Prawdziwi męczennicy... – wyszeptwała siostra Łucja zbielewały mi z przejścia wargami. – Trudno uwierzyć, że aż do tego stopnia można nienawidzić Boga i drugiego człowieka.

Sam Żytomierz, położony malowniczo we wschodniej części Wołynia, zachwyił siostry – jak informowała siostra Anna – niepowtarzalnym urokiem. Dawna starożytna osada słowiańskich Drewlan, przyłączona swego czasu do Wielkiego Księstwa Litewskiego, stała się – już jako Żytomierz – łupem carskiej Rosji po drugim rozbiórce Polski w roku 1793. Miasto liczyło siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, z czego dziewięć tysięcy stanowili Polacy, od lat poddawani systematycznej rusyfikacji.

Siostra Anna pisała w ciepłych słowach o dobroci biskupa Ignacego Dubowskiego i o pracy jaką siostry podjęły w szkole, a także

o księdzu Kazimierzu Nowinie-Konopce, jezuitcie, który z polecenia biskupa roztoczył nad nimi duchową opiekę.

Na ostatniej stronie znajdowała się jeszcze jedna pomyślna wiadomość. Matka Bolesława przeczytała ją najpierw sama, a dopiero potem oznajmiła siostronom.

– Biskup Dubowski – zaczęła z tajemniczym uśmiechem – wyraża zgodę na utworzenie w Żytomierzu... n o w i c j a t u naszego Zgromadzenia i zaprasza do swojej diecezji – następne siostry!

Wobec zrozumiałego aplauzu, jaki wywołały te słowa, musiały przerwać, i dopiero kiedy okrzyki radości już nieco przycichły, dołączyła z wyraźnym zadowoleniem:

– Otwiera się zatem przed nami, siostry, nowe pole do pracy misyjnej na Wschodzie. Dziękujemy za ten dar Bogu i prosimy świętego Andrzeja Bobolę, naszego patrona, aby pomagał nam kontynuować jego wielką misję.

Tym razem do wyjazdu przygotowywało się sześć siostr: siostra Leokadia Górczyńska, siostra Maria Chrzanowska, siostra Tekla Rutkowska, siostra Konstancja Selenis, siostra Michalina Zambrzycka i siostra Anna Bekker.

W czerwcu 1919 roku pozostały w Petersburgu już tylko: matka Bolesława, siostra Łucja Czechowska i siostra Łucja Wieliczekiewicz oraz jedna postulantka. One cztery prowadziły odtąd stołówkę i tajną szkołę.

Wojna wprawdzie już się zakończyła, a Polska odzyskała upragnioną niepodległość, jednak nie wszystkie ziemie polskie zostały tak od razu wyzwolone. Miesiąc po ogłoszeniu niepodległości, w grudniu 1918 roku, wybuchło powstanie w Wielkopolsce, które zakończyło się przyłączeniem jej do Rzeczypospolitej. Podrywali się do walki Ślązacy. Także sprawa wschodniej granicy ciągle nie

była zakończona. Dochodziły niepokojące informacje o walkach, jakie polskie oddziały zmuszone były toczyć z bolszewikami. Zaczęły się te walki z początkiem roku od ataków bolszewickiej Armii Czerwonej, która szykowała się na podbój Europy.

– Opowiadała mi taka jedna znajoma z Zakładów Putilowskich – mówiła siostra Łucja Wieliczkiwicz – że musowo całą Europę chcą podbić te czerwienice-komunisty! Żółtków sobie naściągali ze Wschodu do tej swojej Czerwonej Armii, rewolucja światowa im się w głowach roi, a niepodległa Polska – na zawadzie stoi! To ją i, zaprzańcy, na nowo kasać zaczęli! Słowo w słowo powtarzam, co usłyszałam – zapewniała. – Strach pomyśleć, co jeszcze z tego będzie. Obraza boska!

Matka Bolesława oderwała się od cerowania bielizny. Po jej spokojnej twarzy, na której łaska skutecznie zacierała zmarszczki związane z wiekiem, przebiegł smutny uśmiech.

– Bardzo obrażany jest Pan Jezus na świecie – powiedziała nagle w zamyśleniu. – Musimy Mu te obraźliwości nieustannie wynagradzać. Nikt na ziemi pojąć ani zgłębić nie może tego, co wycierpiał z miłości do nas. W wieczności dopiero będziemy mogły to pojąć.

Noc już nastąpiła, a mimo to za oknem nadal było widno.

Z początkiem czerwca światło w Petersburgu zawsze stawało się pod wieczór jakieś niesamowite, niebieskawe. Rozświetlone tym światłem wieczory przechodziły w równie jasne noce i trwało to niezwykle zjawisko aż do połowy lipca.

– Petersburskie białe noce... – uśmiechnęła się siostra Łucja Czechowska. – Dobrze, że chociaż one pozostały białe w tym czerwonym Petersburgu.

– Czy ja wiem, czy tak dobrze – burknęła siostra Łucja Wieliczkiwicz, odrywając się od obierania ziemniaków. – Przez nie nawet nocą człowiek nie może się ukryć przed tym drańskim CZeKa.

– A ja i tak się cieszę – upierała się siostra Czechowska. – Dzięki tym białym nocom nie musimy prawie wcale zapalać lampy. Właśnie! Mogę wam coś przeczytać... Na przykład tę nowelę pana Prusa, którą podarował nam kiedyś jeden z uchodźców, pamiętacie?

– „Katarynkę”? – zdziwiła się matka Bolesława. – To jeszcze nam jej nie skonfiskowano?

– Dobrze ją ukryłam – odparła siostra Łucja zadowolona. – Zrobiłam jej przede wszystkim nową okładkę. Z oryginalnej bolszewickiej ulotki!

Widok broszury z pięcioramienną czerwoną gwiazdą, którą siostra Łucja zaprezentowała w chwilę później, wprawił siostry nie spodziewanie w wyjątkowo dobry humor.

Radość z rzeczy drobnych jak wielką była radością w tych okrutnych czasach komunistycznej zawieruchy. W czasach, kiedy w tak nikiemny sposób deptano ludzką godność, niszczone wszystko, co nosiło znamię prawdziwej kultury i świętości.



Cud nad Wisłą

Arcybiskup Edward Ropp został wprawdzie uwolniony z moskiewskiego więzienia i przewieziony bezpiecznie do Ojczyzny, jednak już 1 kwietnia 1920 roku, w Wielki Czwartek, bolszewicy aresztowali w Petersburgu biskupa Jana Cieplaka, najstarszego rangą duchownego katolickiego na terenie Rosji.

Przy ołtarzu ustawionym przed katedrą trwała akurat Msza Święta rozpoczynająca uroczyste *Triduum Paschalne*, kiedy na placu zjawił się niespodziewanie brodaty konwojent z nakazem aresztowania. Nie czekając na zakończenie liturgii podszedł do biskupa, który wygłaszał akurat homilię, i pokazał mu urzędowy dokument. Biskup skinął głową na znak, że przyjmuje informację do wiadomości, lecz homilii nie przerwał. Powiedział jeszcze wiernym na pociechę nieco krzepiących słów i dopiero potem zwrócił się do konwojenta:

– Jestem gotów. Możemy iść.

W tej samej chwili w tłumie rozległ się głośny płacz kobiet. Mężczyźni zaciskali pięści.

– Dziadzieńka, nie bieri! – błagały dzieci. – *Nie bieri, dziadzieńka, astaw!*

Barczysty brodacz rozpędził dzieciaki pałką, a zebranych zakomunikował:

– *Koniec spektakla! Iditje damoj!*

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Wszyscy stali w milczeniu. Zdruzgotani i bezsilni, jakby zostali przybici do krzyża. Wówczas w tej pełnej napięcia ciszy rozległ się głos matki Bolesławy. Głos jak zwykle mocny i odważny.

– Zabrali nam pasterza! – wykrzyknęła. – Zabrali go w Wielki Czwartek z naszego Ogrójca! Ale my go nie opuścimy!

Na te słowa ludzie podnieśli zwieszane głowy, otarli zapłakane twarze. Ktoś zaintonował „Boże, coś Polskę” i naraz wszyscy zaczęli odzyskiwać siły. Zjednoczeni, odczuli na nowo pełną mocy Bożą obecność.

– Być biskupem na Wschodzie to już teraz nie przywilej, lecz Golgota – stwierdziła ze smutkiem siostra Łucja, gdy wracały na Wyborską Stronę.

Jeszcze tego samego dnia siostry podjęły post i wykonały duży plakat. Znalazły się na nim słowa: KATOLICY ŻĄDAJĄ UWOLNIENIA BISKUPA!

Na miejsce zorganizowanej w pośpiechu manifestacji przybył niezliczony tłum wiernych. Do zebranych przemówiła siostra Łucja Czechowska. I oto – manifestacja odniosła pożądaný skutek. Bolszewicy wypuścili biskupa na wolność.

Wypuścili biskupa, lecz w odwecie zaostrzyli represje wobec tych, których określali jako „wrogów ludu”. Byli nimi przede wszystkim ludzie wykształceni, przepojeni Bożym duchem, kochający prawdę i dążący do niej: inteligencja, duchowni, ziemianie, studenci... Ludzie zdolni do obnażenia kłamliwej polityki bolszewików i uświadomienia innym jak wielkim jest ona zagrożeniem dla ludzkości.

Nasilającym się z dnia na dzień represjom towarzyszyła wyjątkowo krzykliwa i nachalna akcja propagandowa.

– Znowu widziałam na mieście te straszne plakaty – oznajmiła któregoś dnia matka Bolesława. – *Towariszcz Lenin oczyszczajet zemię ot nieczisti...* Pełno ich wszędzie. Okropność!

– Więc to my jesteśmy tym plugastwem?! – obruszyła się siostra Łucja Wieliczkiewicz. – Tfu, a niech ich wszystkich... Najświętsza Panienska raczy jak najszybciej nawrócić – zakończyła z pokorną miną.

Matka Bolesława uśmiechnęła się mimo woli.

– Przypominam siostrze, że naszym posłannictwem jest życie na krzyżu – powiedziała, starając się ukryć własne wzburzenie. – Kto bowiem jest prawdziwym apostołem? Ten, którego serce przeszły miecz cierpień.

Siostra Łucja przytaknęła tym słowom z głośnym westchnieniem. Nie obcy był jej ani miecz cierpień, ani życie na krzyżu.

Cierpiały siostry. Cierpiały miliony ludzi wierzących w Boga.

Tymczasem w Petersburgu rozpoczęło się kolejne upalne lato. Nieznośne, trudne do wytrzymania zwłaszcza dla kogoś, kto tak jak matka Bolesława miał jeszcze dodatkowo kłopoty z sercem. Kurz, zaduch i nadmiernie rozrzedzone powietrze, którym nie sposób było oddychać, mocno osłabiły jej siły. Wiadomo – sześćdziesiąty równoleżnik.

W połowie lipca siostry otrzymały wiadomość, która potwierdziła niestety ich wcześniejsze obawy. Niepodległość odrodzonej tak niedawno Rzeczypospolitej znowu została poważnie zagrożona. Bolszewicka Rosja, zamierzając podbić Europę, zapowiedziała, że w pierwszej kolejności zetrze na proch znienawidzoną Polskę. W tym celu szykowała wielomilionową armię. Widmo wojny polsko-bolszewickiej zawisło nad krajem, przybierając coraz bardziej niepokojące rozmiary.

W tej dramatycznej sytuacji biskupi polscy wystosowali list do papieża Benedykta XV, w którym pisali: „Ojczyźnie naszej”...

Z oddzielnym apelem zwrócili się do narodu.

Matka Bolesława odczytując ten apel siostronom, czuła drżenie rąk. Ale jej serce było spokojne. Spokojny był jej głos.

Biskupi informowali:

Oto wróg zebrał wszystkie swe siły, ażeby zagrozić nasze granice, zetrzeć naszą bohaterską armię i odebrać Polsce na nowo przecenny skarb wolności. Wróg jest tym groźniejszy, bo łączy okrucieństwo i żądzę niszczenia z nienawiścią wszelkiej kultury, szczególnie zaś chrześcijaństwa i Kościoła... Bo gdy niektóre mocarstwa zeszyły ze swej pierwotnej drogi, aby zawierać z tym wrogiem umowy, własnego niepomne niebezpieczeństwa, Polska jedna oparła się pokusnym wołaniom tego wroga i jakby murem stanęła, aby mu wstępu do siebie i zachodu Europy zagrozić. Dlatego to wróg ów poprzysiągł jej zniszczenie i zemstę...

Skończywszy czytać, czas jakiś trwała w milczeniu.

– Nasi biskupi – odezwała się zaraz potem przejęta – modlą się w Częstochowie na Jasnej Górze o cud zwycięstwa nad bolszewikami. Marszałek Józef Piłsudski dokonuje na polu bitwy wielkich rzeczy. Wesprzyjmy naszych pasterzy modlitwą i ofiarą...

I stał się cud.

„Cudem nad Wisłą” została nazwana Bitwa Warszawska, która zakończyła się wspaniałym zwycięstwem pod Ossowem 15 sierpnia 1920 roku, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Polska została ocalona. Ocalona została Europa. Rozgromieni bolszewicy uciekali z pola bitwy w panicznym strachu, opowiadając o jakiejś świetlistej kobiecej postaci, która zbliżała się do nich na czele polskiego wojska. Polacy wiedzieli: tę bitwę pomogła wygrać Marszałkowi Piłsudskiemu ich Królowa – Pani Jasnogórska.

Niedługo po tym wydarzeniu, o którym głośno się zrobiło na świecie, matka Bolesława otrzymała z Warszawy list od swoich rodzonych sióstr: siostry Marii i siostry Leonardy.

Siostra Maria pisała w nim o pobycie u brata Antoniego i o tym, jak to ich dobry znajomy, ksiądz Antoni Około-Kułak, który wrócił właśnie ze studiów w Rzymie, wystarał się dla nich o pracę w zakładzie opieki społecznej. Pisała, jak to obie nie szczędziły sił, by swoim podopiecznym, których w zakładzie mają, bagatela, blisko tysiąc, zapewnić religijne wychowanie, a na koniec jeszcze o pewnym proboszczu z Wołynia, który zainteresowany prowadzoną przez nie działalnością, zaprosił siostrę Marię do Berezna, a siostrę Leonardę do Równego.

Tak więc, Kochana Mateczko, znowu Boża Opatrzność wzywa nas na Kresy, w te piękne i bliskie naszym sercom strony – donosiła z zapałem siostra Maria. – Aż się nie mogą doczekać słodkich owoców, które przyjdzie nam tam kosztować z łaski naszego Pana...

Matka Bolesława otarła ręką zroszone potem czoło.

„Maria... – uśmiechnęła się, przywołując na pamięć twarz siostry. – Ciągłe młoda, a przecież i ona ma już swoje lata. Skończyła... zaraz... zaraz... czterdzieści pięć? Tak, równo czterdzieści pięć lat. Młoda jeszcze... A ja? Czy Pan Bóg pozwoli mi dokończyć bieg i zdobyć wieniec chwały, doprowadzając do końca rozpoczęte dzieło?...”

Myśląc o tym, ani się spostrzegła jak zasnęła.

Marzec 1921 roku przyniósł wprawdzie straszne roztopy oraz nową falę infekcji i ciężkich zachorowań, ale były one niczym wobec dawno oczekiwanych pomyślnych wiadomości z kraju. Na

mocy traktatu pokojowego w Rydze przywrócone zostały nareszcie stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską a jej wschodnim sąsiadem. Ustalona została granica i zagwarantowany powrót do kraju obywatelom narodowości polskiej, którzy zamieszkiwali tereny przyznane obecnie Sowieciom. Sowieciami bowiem nazywano powszechnie państwo bolszewików, które oprócz Rosji obejmowało również Republikę Ukraińską i Republikę Białoruską.

Żytomierz znalazł się nagle na terenie będącym pod władzą Sowieciom. Przestała istnieć diecezja łucko-żytomierska. Biskup Ignacy Dubowski, dotychczasowy ordynariusz tej diecezji, przygotowywał się do opuszczenia miasta. Miał się przenieść do Łucka, leżącego także na Wołyniu, tyle że już po stronie polskiej.

Słyszając o tym, siostra Anna Czerniłowska-Sokół i siostra Florentyna Ikaniewicz wyraziły gotowość towarzyszenia mu w tej podróży. Miały nadzieję wybrać się stamtąd w swoje rodzinne strony i odszukać dawno niewidzianych krewnych. Biskup na ich towarzystwo chętnie się zgodził, jednak poszukiwaniom krewnych stanowczo się sprzeciwił. Uznał tego rodzaju eskapadę za zbyt niebezpieczną dla dwóch samotnych kobiet. Poleciał im natomiast podjąć pracę w zaniedbanym sierocińcu w Żydyczynie niedaleko Łucka.

Udały się tam zawiedzione i rozżalone. Razem z siostrą Teklą Milewską, która dojechała do nich z Żytomierza z pewnym opóźnieniem. Od dawna już nie miały żadnych wiadomości od swoich najbliższych. Nie wiedziały czy udało im się przeżyć wojnę, czy bolszewicy nie skonfiskowali ich majątków, czy nie zesłali ich do obozów pracy. Ciężko było o tym myśleć, a nie myśleć nie sposób. Ale polecenie biskupa zobowiązywało do posłuszeństwa.

Tymczasem w Żydyczynie wszystkie trzy przeżyły prawdziwy szok. Miejscowość, którą zamieszkiwali niemal wyłącznie Żydzi,

zostały zniszczoną i doszczętnie rozgrabioną. Z trudem wyszukały dla siebie jakiś znośny kąt. Poczwały się zagubione i opuszczone.

List wysłany do Petersburga, gęsto skropiony łzami, oddawał najpełniej stan ich ducha. Pozbawione jakiegokolwiek nadziei, błagały matkę Bolesławę, by przyjechała i pomogła im stanąć na nogach w tej nowej, niezrozumiałej i całkiem obcej rzeczywistości.

Nielatwo było matce Bolesławie znaleźć sobie miejsce po przeczytaniu tego listu. Wydało jej się czymś zupełnie niedorzecznym, że można czuć się obco na ojczyźnej ziemi. Ziemi tak drogiej, odzyskanej za cenę krwi.

– Siostra Anna lubi koloryzować – powiedziała w końcu do siostry Łucji Czechowskiej. – Może wcale nie jest tak źle. Pierwsze wrażenia często bywają mylące.

Jednak siostra Łucja była odmiennego zdania.

– Siostra Anna lubi koloryzować, to prawda – odezwała się znad talerza wodnistej zupy – i robi to z właściwym sobie wdziękiem, ale nie wtedy, gdy sprawy wyglądają poważnie. Nie jest też płaczką. Przeciwnie. Ileż to razy mobilizowała innych, by nie tracili ducha? Jeśli list jest skropiony łzami, znaczy, że stan siostr jest faktycznie opłakany, a sytuacja ciężka.

Tej nocy matka Bolesława nie mogła zasnąć. Przed oczami stało jej nagle całe dotychczasowe życie.

„Mam wyjechać z Petersburga?” – myślała zrozpaczona i czuła jak bolesna jest dla niej ta ofiara, jak bardzo dotyka serca. Przekreślone plany misyjne, niewyobrażalne straty materialne... A jednak wola Boża – tak wyraźna.

Kiedy tylko latem akcja darmowego dożywiania mieszkańców Petersburga została zakończona, a stołówka prowadzona przez siostry zamknięta, zdecydowała się na powrót do Polski.

12 sierpnia, w dniu wyjazdu, odwiedziła księdza dziekana Konstantego Budkiewicza, wielkiego przyjaciela Zgromadzenia.

– Przychodzę prosić księdza o opiekę nad naszym domem i siostrami, które zostają w Petersburgu – zaczęła z niezbyt wesołą miną, ale zaraz dodała optymistycznie: – Może Pan Bóg sprawi, że niebawem to małe grono się powiększy, a okoliczności sprawią, że siostry będą mogły znowu pracować normalnie, bez przeszkód...

Ksiądz Budkiewicz podjął się opieki chętnie, jednak optymizmu wyrażonego przez matkę Bolesławę najwyraźniej nie podzielał.

– Sądzi matka, że bolszewicy, którzy zostali przez nas tak mocno upokorzeni przed światem, zechcą nam to zapomnieć? Ośmielim się wątpić.

– Istnieją jednak uzgodnienia międzynarodowe – zauważyła. – Muszą je respektować.

– Respektować będą – uśmiechnął się – ale po swojemu. A to znaczy, że możemy się spodziewać jeszcze większych prześladowań.

– Trudno – stwierdziła. – Duch misjonarki musi być przygotowany na każdą ofiarę.

Nadszedł w końcu czas rozstania z siostrą Łucją Czechowską i siostrą Łucją Wieliczkiewicz, najboleśniej dla matki Bolesławy. Zostawały w Petersburgu już tylko one dwie z całego Zgromadzenia. One dwie i przyjęta jakiś czas temu postulanka.

Ustalono, że siostra Łucja nadal będzie prowadziła tajną szkołę. Miał jej w tym pomagać Konsulat Polski w Petersburgu, który zobowiązał się dostarczać uczniom podręczniki i udzielać niezbędnych zapomóg. Wsparcie deklarował także działający od dwóch lat Polsko-Amerykański Komitet Pomocy. Mimo tych zapewnień w powietrzu unosiła się jakaś ciemna, trudna do określenia chmura niepewności.

Matka Bolesława spakowała niewielki bagaż podróżny. Na jej twarzy nie było już śladu wcześniejszej rozterki. Znowu sprawiała wrażenie osoby silnej i gotowej do twórczego działania. Jak żołnierz szykujący się do kolejnej bitwy, tak ona gotowa była przyjąć to nowe wyzwanie z dumnie podniesionym czołem.

Żegnając siostry, powiedziała:

– Nie wiemy jak długie będą dni naszej doczesnej pielgrzymki, ani gdzie rzuci nas los. Bez względu na to, co się z nami stanie, proszę was, korzystajcie dobrze z każdej łaski udzielonej przez Boga. Od współpracy z łaską i od naszej osobistej świętości zależy przecież tak wiele, zależy przetrwanie całego Zgromadzenia...

Pustka i smutek zapanowały w domu sióstr po rozstaniu z matką Bolesławą.

Zaraz potem, zgodnie z przewidywaniami księdza Konstantego Budkiewicza, wzmogły się prześladowania katolików. Bolszewicy pod pozorem walki z głodem walczyli z Kościołem za pomocą bezwzględnych dekretów. Jeden z nich dotyczył konfiskaty przedmiotów wartościowych znajdujących się w kościołach. Odnosił się on również do Cerkwi prawosławnej, a wprowadzenie go w życie przerodziło się w masową i brutalną grabież. Osoby, które stawiały jakikolwiek opór, skazywano na śmierć. W sierpniu 1922 roku bolszewicy rozstrzelali biskupa prawosławnego Beniamina Kazanckiego, metropolitę petersburskiego Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Jego męczeńska śmierć mocno poruszyła chrześcijan i niezliczoną rzeszę biedaków z dzielnicy Wyborskiej, którzy nie raz doświadczali jego dobroczynnej pomocy.

„Wiara prawosławna jest podstawą i fundamentem Rosji – przekonywał jeszcze niedawno swoich rodaków. – Trzeba wszelkimi siłami bronić i strzec duszy narodu rosyjskiego. Inaczej naród ten zginie”...

Obce były bolszewikom sprawy związane z duszą ludzką.

W grudniu 1922 roku z rozkazu Lenina zamknięto w Rosji wszystkie kościoły. Przestały istnieć miejsca kultu, zaczynało brakować kapłanów. Nabożeństwa odprawiano początkowo na plebaniach i w domach parafialnych, a gdy i to zostało zabronione, potajemnie w mieszkaniach wiernych. W tej sytuacji siostra Łucja postanowiła zamknąć szkołę. Pograżone w smutku wychowanki ułożyły wówczas z kwiatów napis: ŻEGNAJ SZKOŁO! Kwiaty były piękne, napis wykonany z artystycznym zacięciem, ale chwila dla wszystkich niezwykle bolesna.

Matka Bolesława korespondowała z siostrą Łucją w sposób zaszyfrowany, nazywając ją w listach: Lusią. Wiedziała o ponownym aresztowaniu biskupa Jana Cieplaka i egzarchy Leonida Fiodorowa, a także kilkunastu księży, wśród nich: księdza prałata Konstantego Budkiewicza, księdza Edwarda Juniewicza, księdza Piotra Janukowicza i księdza Stanisława Ejsmonta.

W procesie, jaki odbył się w marcu 1923 roku w Moskwie, oskarżono ich o działalność kontrrewolucyjną, nie respektowanie dekretów i rozporządzeń władz sowieckich, nauczanie religii i stawianie oporu przy konfiskacie dóbr kościelnych.

Dowiedziawszy się o wykonaniu wyroku śmierci na księdzu prałacie Budkiewiczu, matka Bolesława namawiała gorąco siostrę Łucję do wyjazdu z Rosji, lecz ona, czując się tam nadal potrzebna, postanowiła zostać jeszcze przez jakiś czas.

Lubiłam kiedyś, dawno temu – pisała do matki Bolesławy w jednym z ostatnich listów – patrzeć na klucze odlatujących żurawi. Tak bardzo chciałam być zawsze jednym z nich. Teraz moje pragnienie się spełniło. Czuję, że jestem takim właśnie Bożym żurawiem. Żurawiem, podążającym wraz z moimi siostrami w tym samym kierunku – do nieba...



Tułacze życie

Opuszczając Petersburg latem 1921 roku matka Bolesława nie przypuszczała, że wyjeżdża, by zebrać swoje rozproszone Zgromadzenie. Zanim jednak przekroczyła granicę i znalazła się na polskiej ziemi, zboczyła nieco z trasy i udała się do Żytomierza.

Siostry uprzedzone telegraficznie o jej odwiedzinach, czekały z niecierpliwością. Czekał także ksiądz Kazimierz Nowina-Konopka, jezuita, ich opiekun i kierownik duchowy, oraz zaprzyjaźniona nauczycielka, panna Antonina Kibildisówna.

Ksiądz Konopka, niewysoki blondyn o pełnej twarzy i wysokim czole, liczył czterdzieści dwa lata i miał ukończone studia geograficzno-historyczne. Wyglądał na człowieka o silnym charakterze i był takim w rzeczywistości, o czym mogli zaświadczyć żołnierze II Brygady Legionów Polskich, którym w czasie wojny polsko-bolszewickiej posługiwał jako kapelan. Wymagający i bezkompromisowy wobec najmniejszych nawet przejawów zła, prowadził powierzone sobie dusze ręką mocną i zdecydowaną.

Siostrami Towarzystwa Świętej Rodziny zajął się na prośbę biskupa Ignacego Dubowskiego. Z pierwszą grupą sióstr, która przyjechała do Żytomierza na czele z siostrą Anną Czerniłowską-Sokół, nie miał problemów. Zostały one w mieście niezwykle sprzyjające warunki zarówno do prowadzenia działalności wychowawczej, jak i misyjnej. Gorzej przedstawiała się sytuacja drugiej, liczniejszej

grupy, którą doholowały szczęśliwie do celu siostra Leokadia Górczyńska i siostra Maria Chrzanowska. Przyjazd tej grupy nastąpił z końcem zimy, w chwili, gdy miasto zostało już zajęte przez wojska sowieckie, a szkoła, główne miejsce pracy sióstr, zamknięta.

Na wspomnienie tamtych pamiętnych dni twarz księdza Kazimierza pokryła się nagle falą wzburzenia.

– Co to się wtedy działo – mówił, relacjonując matce Bolesławie przebieg wydarzeń. – Co to się działo! Trzeba było widzieć, co bolszewicy z naszym biskupem wyprawiali! Przez osiem miesięcy prześladowali go i grozili śmiercią, tak że się musiał ukrywać. Potem zagnali go do robót publicznych, a kiedy i to go nie złamało, zorganizowali zamach na jego życie!... Zamach na szczęście się nie udał, jednak przed katedrą świętej Zofii, gdzie rzecz miała miejsce, zebrał się zaraz taki tłum rozjuszonych ludzi, że omal nie doszło do linczu na zamachowcu. Jak nic byłoby już po tym nędzniku, gdyby go litościwy biskup własną pierśią nie osłonił...

– Jakże trzeba nam wszystkim brać przykład z naszych pasterzy – wtrąciła matka Bolesława, pełna podziwu dla szlachetnej postawy biskupa.

– Przez dwa miesiące – ciągnął dalej ksiądz – strzegło go od tamtej pory kilkuset uzbrojonych mężczyzn. Katolików, prawosławnych, nawet Żydów. Ci ostatni robili to z wdzięczności. Pamiętali jak ich biskup kilka razy przed pogromami bolszewickimi skutecznie ocalił...

– Znaczy: nie jest źle – wtrąciła znowu – skoro ludzie zdolni są wdzięcznym sercem odpłacać za doznane dobro.

– To prawda – przyznał. – Dwa lata temu, w sierpniu, kiedy aresztowano biskupa, protestowali dotąd, aż go uwolniono.

– I dzięki temu mógł wyjechać do Łucka? – domyśliła się. – A ksiądz... nie obawia się represji ze strony Sowietów?

Zaśmiał się serdecznie.

– Czy się nie obawiam? Oczywiście, że się obawiam, i to jak! Ale co z tego? Mam tu widać, podobnie jak siostry, coś jeszcze do zrobienia.

Pomimo tak jednoznacznego zapewnienia, w jego spojrzeniu nie było lęku. Obdarzony dociekliwym umysłem i żywiołowym temperamentem, chętnie podejmował się ryzykownych zadań i nieustannie stawał w obliczu śmierci. Tak było i tym razem. Został na żytomierskiej ziemi, choć nie było już na niej ani biskupa, ani Seminarium Duchownego, w którym wykładał. Został, aby dodawać otuchy tym, którzy na niej żyli, modlili się i kochali po polsku.

„I znalazł siostrom pracę w ochronce... – pomyślała z ulgą matka Bolesława. – W ochronce? Ech, nie. Wszak Sowieci przemianowali teraz sierocińce na *dietdomy*. Jak jednak dzieci mogą czuć się w nich ‘jak w domu’, skoro we wszystkich obowiązują *ateistyczne* formy wychowania”...

Dom dziecka, w którym pracowały siostry znajdował się przy ulicy Dziewiczej 4, w budynku należącym jeszcze niedawno do hrabiego Chodkiewicza. Była to obszerna piętrowa kamienica z dużym ogrodem owocowo-warzywnym. Kierowniczką domu była siostra Maria Chrzanowska, a przebywały w nim dzieci dotknięte chorobą wzroku, u których stwierdzono jaglicę. Spotkanie z nimi sprawiło matce Bolesławie ogromną radość. Dzieci śpiewały piosenki i recytowały wiersze, ona zaś brała je na kolana, tuliła i obсыpywała pieśczołami.

Kilkudniowy pobyt w Żytomierzu i związany z nim wypoczynek wpłynął korzystnie na zdrowie matki Bolesławy. Upewniona, że siostry nie przymierają głodem i mają przed sobą piękne pole do ewangelizacji, postanowiła jechać dalej, do Łucka.

Łuck, położony na wąskim przesmyku wśród terenów bagiennych nad Styrem i Głuszcem, zastała matka Bolesława mocno zniszczony. W mieście będącym niegdyś dumną stolicą Wołynia, niemal na każdym kroku widać było ślady bitew. Dopiero od niedawna, to znaczy od czasu, gdy zaczął w nim stacjonować 24. Pułk Piechoty, w okolicy zapanował względny spokój. Ale ludzie i tak mówili ciągle o przeżytej gehennie i ze łzami w oczach wspominali wydarzenia sprzed trzech lat, które miały miejsce w leżącym nieco bardziej na południu Lwowie. Jak został podstępnie zajęty przez Ukraińców, jak był przez nich ostrzeliwany, i jak pod nieobecność polskich żołnierzy walczących na froncie obroniły go polskie dzieci i młodzież, bohaterskie Lwowskie Orleża.

Szczegółów tej obrony matka Bolesława dowiedziała się od siostry Leonardy, której widok w Łucku niezmiernie ją zaskoczył. Zastała ją w starej zrujnowanej szkole wraz z trzema innymi siostrami i gromadką głodnych dzieciaków.

– A siostra co tu robi?! – wykrzyknęła zdziwiona. – Miała siostra przecież jechać do Równego!

Siostra Leonarda poderwała się na te słowa, z trudem powstrzymując łzy.

– To długa historia – odparła i poprowadziła przełożoną do uprzątniętego już nieco pomieszczenia, które służyło im za mieszkanie. – Z Warszawy rzeczywiście pojechałam do Równego. Pracowałam tam jako kierowniczka ochronki. Kiedy jednak zaczęła się ta straszna wojna, ewakuowano nas do Łomży. W Łucku jesteśmy od niedawna, lecz tu, sama matka widzi, jedna wielka ruina. Biedne dzieci... Biskup obiecał umieścić je w Szpanowie, w siedzibie ksiąząt Lubomirskich, ale co z tego wyjdzie, zobaczymy.

Nagle ożywiła się.

– Nasz biskup to wielki bohater – zakomunikowała z dumą. – Za odwagę w wojnie polsko-bolszewickiej został odznaczony Krzyżem Walecznych!

Biskup Ignacy Dubowski – ciemnowłosy, krzepki mężczyzna o krzaczastych brwiach i bystrym spojrzeniu – zbliżał się do pięćdziesiątki, a urzędował przy kościele katedralnym Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Zarówno kościół, jak i sąsiadujący z nim dwupiętrowy budynek należały niegdyś do ojców jezuitów. Mieścił się w tym budynku klasztor i słynne kolegium jezuickie, elitarna szkoła dla synów magnackich.

Matka Bolesława podążała w kierunku katedry ulicą Jagiellońską, główną ulicą miasta. Zaczynała się ona niedaleko prowizorycznego drewnianego dworca kolejowego, a kończyła na Starym Mieście, gdzie znajdowały się dobrze zachowane ruiny potężnego zamku Lubarta. Idąc, mijając nieładne piętrowe i parterowe zabudowania zamieszkałe w większości przez Żydów, którzy tuż obok mostu na Styrze mieli okazałą synagogę. A spoglądając na wyłaniające się w oddali trzy ocalałe baszty zamku, myślą biegła do Józefa Ignacego Kraszewskiego, który właśnie tu, w Łucku, pisał przed pół wiekiem swoje przepelnione miłością Ojczyzny powieści historyczne.

Staromiejskie zaułki były tak zdewastowane i brudne, że widok katedry – pięknej trzynawowej budowli – którą ujrzała nagle przed sobą, wydał jej się w pierwszej chwili jakimś nierealnym zjawiskiem. W niej też zatrzymała się na dłuższą chwilę, zanim udała się na spotkanie z biskupem Dubowskim.

Rozmowa z biskupem pokrzepiła ją na duchu, nie uwolniła jednak ani trochę od niepokoju o dalsze losy Zgromadzenia. Sytuacja była beznadziejna, należało więc znowu zawinąć rękawy i przystąpić energicznie do pracy. Tak też uczyniła, ochłonawszy nieco po

trudach podróży. Zabrała się przede wszystkim do zorganizowania domu zakonnego w zniszczonej szkole.

– Luksusów tu wprawdzie nie mamy – powiedziała do sióstr – ale mamy za to wolną Ojczyznę i względny pokój na świecie.

„Pokój!... – myślała. – Cóż to za wspaniały Boży dar. Zgoda, ład, bezpieczeństwo. I ani śladu lęku, że otworzą się nagle drzwi, że ktoś wpadnie i zaaresztuje”...

Jesień roku 1921 była w Łucku, podobnie jak na całym Wołyniu, wyjątkowo ciepła i słoneczna. Drzewa zmieniały barwę, złociły się trawy. Pod purpurą liści dzikiego wina drzemały poorane kulami ocalałe z pożogi domostwa, budynki gospodarskie i ogrodowe altany. W nielicznych, mocno podupadłych zabudowaniach dworskich ludzie uwijali się wokół różnych zajęć.

Zabiegi biskupa Dubowskiego zostały uwieńczone powodzeniem i już wkrótce ochronkę, którą prowadziła siostra Leonarda, można było przenieść do Szpanowa. Do Łucka ściągnęły siostry z Żydyczyna, a pod koniec października przyjechało nieoczekiwanie jeszcze kilka sióstr z Żytomierza pod opieką siostry Leokadii Górczyńskiej.

Matka Bolesława zdrętwiała w pierwszej chwili na ich widok.

– Co się stało?! – wykrzyknęła zdenerwowana.

– Siostra Maria Chrzanowska i dwie inne siostry zostały uwięzione przez Sowieców – objaśniła siostra Leokadia. – Aresztowano je, ponieważ sprzeciwiły się ateizacji dzieci. Ksiądz Konopka poradził, żebyśmy się tutaj przenieśli.

– Dobrze wam poradził – odparła nieco uspokojona. – Ufam, że i w sprawie tamtych sióstr podejmie jakieś kroki. Mój Boże, tyle cierpienia!...

Nagle zatrzymała wzrok na jednej z przybyłych.

– Nowa? – zapytała z ciekawością. – Jak się nazywasz?
Dziewczyna skłoniła się nieśmiało.
– Brygida Kaczoruk – odparła.
– Z polecenia księdza Konopki... – dodała szybko siostra Leokadia.

Matka Bolesława uśmiechnęła się. Nie było to pierwsze powołanie z polecenia księdza Konopki i, jak się miało okazać, nie ostatnie.

Każda nowa siostra była dla matki Bolesławy wielkim darem i radością. Gorzej przedstawiała się sprawa z zapewnieniem im stałej pracy. Siostry podejmowały się przeważnie zajęć dorywczych, za które otrzymywały niewielką zapłatę. Próbowaly zarabiać haftem i drobnymi przeróbkami krawieckimi, nauką języka francuskiego i udzielaniem korepetycji. Próbowaly, ale wokół panowała taka bieda, że prawie nikt nie myślał ani o lekcjach francuskiego, ani o haftowanych makatkach czy obrusach.

Marne zarobki zmuszały siostry do znacznych wyrzeczeń, ale zdarzało się i tak, że Pan Bóg uśmiechał się do nich przez życzliwych ludzi. Skromne i pracowite szybko zaskarbiły sobie sympatię okolicznych mieszkańców. Ceniono je za katechizowanie dzieci i wychowawczy wpływ na młodzież, a w dowód wdzięczności przynoszono niekiedy nieco ukopanych w ogrodzie warzyw, koszyk jaj czy bochenek chleba okraszony pocziwym słowem. Miłe to były wizyty. Znacznie częściej jednak zaglądały do ich ubogiej siedziby wędrownie dziady, z którymi dzieliły się własnym niedostatkiem.

Nadciągała zima. O ogrzaniu pokrytych grzybem pomieszczeń, w których bez przeszkód hulał wiatr, można było jedynie marzyć. Siostry nie mogły sobie pozwolić na zakup opału, nie posiadały też niezbędnych środków do życia.

W grudniu całe miasto znalazło się nagle pod grubą warstwą śniegu. Mróz tężał z każdym dniem, a szalejące zamiecie sprawiły, że ruch w okolicy zamarł prawie całkiem. Wichur wiskał się w szpary między deskami, świstał w nieszczelnych oknach. Aby chociaż co pewien czas zjeść ciepły posiłek, siostry wyzbywały się lepszej odzieży, sprzedając ją dosłownie za grosze. Osłabione z niedożywienia, szybko zaczęły zapadać na zdrowiu. Kładły się jedna po drugiej z wysoką gorączką na skleconych z byle czego posłaniach. Przyszła w końcu kolej na matkę Bolesławę. Leżała nie skarżąc się, choć widać było, że bardzo cierpi. Męczył ją kaszel, dokuczały dreszcze.

– Nic to, siostry – mówiła nie przestając się uśmiechać. – Pan Jezus pozwoli, że kiedyś będzie lżej. Najważniejsze, żebyśmy żyły we wzajemnej miłości i jedności. O tę jedność prosił Zbawiciel, i ja was proszę. Wychwalajmy Boga jednym sercem i jedną wolą, i wiernie wypełniamy obowiązki naszego powołania...

Wypełniały więc obowiązki wiernie, wychwalały Boga gorącym sercem i prosiły o potrzebne łaski, ufne w Boże miłosierdzie.

Pewnego dnia, kiedy wichura nieco osłabła, a na niebie pojawiło się dawno oczekiwane słońce, siostra Anna Czerniłowska-Sokół wybrała się na miasto, by zakupić trochę żywności. Wracała zadowolona, gdyż w sklepie natknęła się na znajomą z Żydyczyna, która bez większych ceregieli wręczyła jej w prezencie główkę kapusty i dwie cebule. Obiad zapowiadał się więc królewski. Znajdowała się nieopodal kościoła Krzyża Świętego przy klasztorze ojców bernardynów, który za czasów carskich zamieniono na prawosławną cerkiew Świętej Trójcy, kiedy naraz ujrzała w oddali trzy znajome sylwetki.

Przystanęła, nie wierząc własnym oczom.

– O, święty Andrzeju Bobolo! Może to być?! Przecież to... nasze daragije siostry! Siostra Maria Chrzanowska!



Uwolnione z sowieckich łagrów żytomierskie więźniarki, choć zakapturzone i owinięte chustkami, zostały bez trudu rozpoznane przez sokolooką siostrę Annę.

Serdecznym uściskom nie było końca.

Także matka Bolesława zdziwiła się, słysząc przez okno dochodzące z podwórza głośne śmiechy i radosne okrzyki. Uniosła się na łóżku zaciekawiona, a wtedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich siostra Anna.

– *Wot i mamy prazdnik!* – wykrzyknęła wesoło, demonstrując zaskoczonej matce najpierw wspaniałą główkę kapusty, a następnie przybyłych na tę świąteczną ucztę gości.

Matka Bolesława wstała z posłania i zrobiła w ich kierunku kilka chwiejnych kroków.

– Zwolnili was?! – zawołała uszczęśliwiona, chwytając siostry w objęcia.

– Jak widać na załączonym obrazku – roześmiała się siostra Maria. – Ale też od razu zagrozili powtórny uwięzieniem, gdybyśmy miały zamiar nadal „zaszczepiać w umysłach dzieci wrogą propagandę”.

Po tych słowach zapakowała matkę Bolesławę z powrotem do łóżka, sama zaś usadowiła się przy niej gotowa do relacjonowania przebiegu ostatnich wydarzeń. Czyniła to jak zwykle w sposób barwny, popijając wrzątek z blaszanego kubka podany troskliwą ręką siostry Leokadii.

Nagle zawołała ze śmiechem:

– To niesłychane! Tam dopiero to zrozumiałam: oni walczą z Bogiem, bo się Go b o j ą! Boją się Go jak diabeł święconej wody!

Mimo trudnych więziennych doświadczeń siostra Maria tryskała entuzjazmem i zapałem do pracy misyjnej. Jechała do Łucka z nadzieją na taką właśnie pracę. Całą drogę myślała o tym, jak to będzie wspaniale, kiedy stanie wreszcie przed matką Bolesła-

wą, a ta powierzy jej znowu jakąś fantastyczną misję. Teraz, kiedy się już przed nią znalazła, poczuła w sercu ból. Matka Bolesława wyglądała na ciężko chorą, a siostra Tekla Milewska, która się nią opiekowała, najwyraźniej nie radziła sobie z tym obowiązkiem. Już te pierwsze spostrzeżenia sprawiły, że szybko zapomniała o własnych planach i marzeniach.

Wigilię świąt Bożego Narodzenia siostry spędziły przy barszczu i pierogach z serem, które nie mogły się jednak w żaden sposób równać z przyrządzanymi niegdyś przez siostrę Łucję Wieliczkiwicz. Myślą wędrowały do niej i do siostry Łucji Czechowskiej, spędzających swoje święta w Petersburgu, a także do innych sióstr. Było ich w Zgromadzeniu nadal piętnaście, ale do tej piętnastki dołączyło ostatnio sześć postulantek.

– Jezus, Maryja, Józef... – powiedziała w pewnej chwili matka Bolesława w zamyśleniu. – Wszyscy oni pracowali ciężko w Nazarecie, a przecież my wiemy, kto to był – Jezus, kto – Maryja, a kto – Józef... Już wcześniej, w raju, zapowiedziano Adamowi i Ewie, że będą w pocie czoła zdobywać pożywienie. Cieszymy się zatem z tego naszego barszczu i z tych pierogów, o które zatroszczyła się dla nas Boża Opatrzność, i ufajmy, że z czasem zatroszczy się także o jakąś godziwą pracę...

Nadszedł styczeń 1922 roku.

Na starej jarzębinie przed szkołą od rana buszowało ptactwo. W jej gałęziach pełno było jeszcze smakowitych przysmaków. Matka Bolesława podeszła do okna zainteresowana głośnym świergotem i przez szybę pokrytą cienką warstwą lodu obserwowała z upodobaniem rozkrzyczaną ptasią hałastę.

– Takim to dobrze – uśmiechnęła się siostra Anna, przystając obok. – Zawsze wypatrzą sobie jakąś stołówkę. Może i my wypatrzyłybyśmy jakąś dla siebie, gdybyśmy umiały latać jak te *pticy*?

– Właśnie o tym myślałam – stwierdziła poważnie matka Bolesława. – Wszystkie naraz nie polecimy, ale wysłać jedną na zwiady nie zawadzi.

Bardzo pragnęła już lepszych warunków dla Zgromadzenia. Na Wołyniu ich nie było. „Może więc... Warszawa?” – przemknęło jej przez myśl i nagle nowa otucha wstąpiła w serce.

Tego samego dnia oznajmiła siostrze, co postanowiła.

– Siostra Maria Chrzanowska z wszystkich nas najzdrowsza – zaczęła w nieco żartobliwy sposób zwracając się do zaskoczonej siostry Marii. – Pojedzie siostra do Warszawy. Trzeba nam koniecznie szukać pracy.

Więc pojechała.

Niedługo po jej wyjeździe nadeszła wiadomość o śmierci papieża Benedykta XV.

Jego miejsce zajął papież Pius XI. Był nim kardynał Achille Ratti, pełniący jeszcze nie tak dawno urząd nuncjusza apostolskiego w Polsce, który jako jedyny dyplomata nie opuścił oblężonej Warszawy w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Pełen podziwu dla rozmoldlenia, ducha walki i męstwa polskiego narodu doczekał wraz z nim historycznego Cudu nad Wisłą i rozgromienia Armii Czerwonej.

Wiadomość o wyborze na papieża tak wielkiego przyjaciela Polaków niezmiernie ucieszyła siostry. Nawet zimno przestało im dokuczać.

– Niezbadane są wyroki Boże – powiedziała matka Bolesława do siostry Leokadii. – Mam przecucie, że to dobry znak także dla naszej sprawy. Ach, żeby już siostra Maria z tej Warszawy jak najprędzej się odezwała...

Ale listu nie było.

Nadszedł dopiero pod koniec lutego, jednak nie z Warszawy, a z Chełmna. Wynikało z niego, że siostra dotarła do stolicy bez

problemu, lecz problem pojawił się i tak, gdy tylko uświadomiła sobie w jak wielkiej rzeszy osób poszukujących pracy się znajduje. Czas mijał, a ona – z braku innych możliwości – mieszkała w jakimś biurze, sypiała na workach z odzieżą przeznaczoną dla zakładów wychowawczych i pukała codziennie do drzwi różnych urzędów, po nocach zaś, żeby jakoś przeżyć, dziergała swetry na drutach. Zaczynała już powoli tracić nadzieję na znalezienie jakiegoś lepszego zajęcia, kiedy nagle znalazł się ktoś, kto w jednej chwili wybawił ją z kłopotu. Tym kimś była znajoma nauczycielka z Żytomierza, panna Antonina Kibildis. To właśnie dzięki niej siostra Maria poznała panią Orlikowską, prezeskę Towarzystwa Pomocy Dzieciom i Młodzieży z Kresów, a ta zgłosiła jej kandydaturę na stanowisko kierowniczkę zakładu opiekuńczego dla dziewcząt w Chełmnie na Pomorzu.

Siostry słuchały tych rewelacji z zapartym tchem i coraz bardziej podziwiała siostrę Marię.

– Jest kierowniczką? I umie robić swetry na drutach? I kąpie się w morzu? – pytały jedna przez drugą.

– Kierowniczką jest i swetry, z tego co pisze, robić potrafi – śmiała się matka Bolesława. – Nie kąpie się jednak w morzu, bo po pierwsze jest zima, a po drugie Chełmno nie leży nad Bałtykiem, lecz nad Wisłą, gdzieś w okolicy Torunia.

Z listu siostry Marii siostry dowiedziały się następnie, że zakładem opiekuńczym, który miała na myśli pani prezes Orlikowska był w rzeczywistości utworzony niedawno w Chełmnie – Internat Kresowy. Znalazło w nim dach nad głową dwieście dziewcząt w wieku od ośmiu do dwudziestu lat, które ewakuowano z zajętego przez Sowieców Kijowa. Dach nad głową miały, gorzej przedstawiała się natomiast sprawa opieki wychowawczej, gdyż personel świecki, któremu powierzono to zadanie, od początku pozostawiał wie-

le do życzenia. Pojawienie się siostry Marii było w tej sytuacji prawdziwym darem nieba, toteż pani Bronisława Bartoszevska, która była członkiem zarządu, z radością zaofiarowała jej w Chełmnie nie tylko gościnę, ale i obowiązki kierowniczkę internatu.

List kończyły słowa pozdrowień i nadziei na szybkie spotkanie.

– Jak dobry jest Bóg – powiedziała matka Bolesława z wyraźną ulgą po jego przeczytaniu. – Dziękujemy Mu za tę dobroć i idźmy z wdzięcznością wszędzie tam, dokąd nas skieruje, a na pewno sprawimy tym radość Maryi, pierwszej odważnej misjonarce..

Jej głos był spokojny, ale w oczach pojawiły się łzy. Zawsze była wzruszona, kiedy mówiła o Bogu. Jej zjednoczenie z Nim stawało się coraz ściślejsze i coraz bardziej widoczne.

Siostry, zachęczone ciekawymi perspektywami, niemal natychmiast opuściły Łuck i już 1 marca rozpoczęły pracę w Internacie Kresowym w Chełmnie. Jednak to, co zastały na miejscu, nie wyglądało wcale tak różowo, jak sobie wyobrażały. Internat mieścił się bowiem w trzech domach przy trzech różnych ulicach i na posiłki trzeba było doprowadzać wychowanki za każdym razem do jednego z nich. Zajmowało to mnóstwo czasu i wprowadzało niepotrzebne zamieszanie.

Przedsiębiorczość matki Bolesławy i tym razem okazała się nieoceniona. Dzięki jej staraniom wszystkie dziewczęta zamieszkały już wkrótce przy ulicy Parkowej 4, w dawnym szpitalu wojskowym, który został przystosowany do potrzeb internatu.

Większość dziewcząt pochodziła z niedużych wiosek i przysiółków. Nie brakowało jednak i takich, które zdążyły już poznać urok wielkomiejskich dzielnic. Te ostatnie miały niekiedy dość ekstrawaganckie pomysły, związane głównie z modą. Bo też wiele zmieniło się w ostatnim czasie. Kobiety w Polsce od trzech lat

posiadały powszechne prawo wyborcze na równi z mężczyznami, coraz częściej pokazywały się w miejscach publicznych bez męskiej asysty, podkreślały urodę wyrazistym makijażem, paliły papierosy.

Patrzyła na to matka Bolesława i zamyślała się głęboko. Martwiło ją, że tak wielu ludzi odchodzi od Boga. Że Bóg w kraju, który zawdzięcza Mu swój niepodległy byt tak mało jest kochany.

Martwiły ją także wieści dochodzące zza wschodniej granicy. W lutym 1922 roku *CzeKa* zostało przekształcone przez Sowietów w jeszcze bardziej zbrodnicze *GPU*, a w kwietniu Wszechrosyjska Partia Komunistyczna bolszewików wybrała na sekretarza generalnego – Józefa Stalina. Człowieka, który „krwawy terror” przekształcił w prawdziwe piekło na ziemi.



Misjonarki Świętej Rodziny

Uroczyste poświęcenie internatu i kaplicy przy ulicy Parkowej 4 odbyło się w sierpniu 1922 roku. Na tę szczególną uroczystość siostry po raz pierwszy przywdziały strój zakonny.

Najbardziej przeżywały to radosne wydarzenie te z nich, które czekały na tę chwilę już prawie dwadzieścia lat.

– Wciąż nie mogę ochłonąć z wrażenia – mówiła ze wzruszeniem siostra Leokadia. – Patrzę na was, patrzę na siebie, i nie wierzę własnym oczom!

Dzień był wyjątkowy dla wszystkich, zwłaszcza dla matki Bolesławy. Strój zakonny wyróżniał siostry z tłumu, stając się czytelnym znakiem Bożej obecności, lecz tylko ona jedna wiedziała, dlaczego był właśnie taki, a nie inny. Krój habitu i pozostałe jego elementy, takie jak welon, kołnierzyk czy *bindka* tak bowiem zostały przez nią pomyślane, by choć w części mogły zaspokoić młodzińcze marzenie dawnej Bolesi o Pannach Wizytkach.

Obecne marzenia matki Bolesławy miały charakter bardziej praktyczny i odnosiły się do niełatwej rzeczywistości. Najbardziej zaś palącym problemem było oczywiście jak najszybsze unormowanie sytuacji prawnej Zgromadzenia. W tym celu udała się do kurii biskupiej w Pelplinie, lecz tam czekała ją przykra niespodzianka: chłodne przyjęcie i stanowczy sprzeciw miejscowego ordynariusza.

Sędziwy, bo zbliżający się już do osiemdziesiątki biskup chełmiński Augustyn Rosentretter był nieprzejednany. Potrząsał przecząco głową i powtarzał w kółko:

– Nie ma mowy... Nie ma mowy...

Wstrząśnięta do głębi jego odmową, na próżno usiłowała zapamiętać nad sobą.

– To niesprawiedliwe – stwierdziła w końcu. – Ale Pan Bóg okaże nam jeszcze miłosierdzie.

Również siostry zdziwiła odmowa biskupa i argumenty, jakimi się posłużył. Matka Bolesława przytaczała je siostronom, z trudem ukrywając rozgoryczenie:

„Nikt was w Polsce nie zna... Nie zasłużyliście sobie jeszcze na zaufanie... Nie posiadacie żadnych listów polecających... żadnego materialnego oparcia... żadnego dekretu, niczego”...

Znacznie mocniejszych słów na określenie odmowy udzielonej siostronom, użył w swoim liście do matki Bolesławy ksiądz Kazimierz Konopka, dowiedziawszy się o jej kłopotach.

Ależ tam w Pelplinie pomatu myślą! – pisał. – No! Też ta odpowiedź jaką dali siostronom, że „zakonnice jest dość” bardzo ciekawa! Niby gdzie i kiedy ma Pan Bóg dość pracowników? Gdzie ich więcej nie potrzeba!...

Faktyczna przyczyna odmowy tkwiła jednak, jak się wkrótce okazało, zupełnie w czymś innym. W tym mianowicie, że w odrodzonej Polsce, a szczególnie na Pomorzu, z wielką nieufnością odnoszono się do wszystkiego, co pochodziło ze Wschodu.

– Wiem to z pewnego źródła – zwierzyła się któregoś dnia matce Bolesławie pani Marianna Wojtasiuk, wpływowa i niezwykle oddana siostronom osoba. – Biskup nie przyjął Zgromadzenia dlatego, ponieważ siostry przybyły z Rosji i są uważane za... Rosjanki!

Trudno wyrazić, jak bolesnym zaskoczeniem była dla matki Bolesławy ta wiadomość.

Jak niełatwą próbą wiary. Nawet w tak skomplikowanych i niesprzyjających warunkach religijnych jakie panowały w Rosji, Zgromadzenie cieszyło się zawsze pełnym zaufaniem biskupów i kapłanów. Tymczasem tu, na ojczystej ziemi... Zawód był tym dotkliwszy, że spotkał ją ze strony, z której najmniej się go spodziewała.

Mijały pracowite dni. Żeby sprostać wymaganiom nowego kodeksu prawa kanonicznego, matka Bolesława pisała listy do zaprzyjaźnionych biskupów, radziła się mądrych i doświadczonych ludzi i z ufnością patrzyła Jezusowi w oczy.

– Wierzmy, siostry. Wierzmy w niepojętą miłość Serca Jezusowego – powtarzała wciąż z tym samym niesłabnącym zapalem. – Módlmy się, aby spełniły się wszystkie Boże zamiary, a Jego chwała zajaśniała na ziemi, tak jak jaśnieje w niebie...

Jakże brakowało jej w tym trudnym okresie siostry Łucji Czechowskiej. Myślała o niej zawsze, ilekroć spoglądała na krzak polnej róży rosnący w ogrodzie. Krzak pokryty gęsto ostrymi kolcami i delikatnym bladoróżowym kwieciem. Kończył się właśnie ósmy miesiąc od dnia, kiedy otrzymała wiadomość o jej aresztowaniu. To było po tym, jak zaangażowana w sprawę uwolnienia biskupa Jana Cieplaka, nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo, udała się wraz z delegacją petersburskich katolików do Moskwy. Tam dotarła jakimś sposobem do kancelarii samego Michaiła Kalini-na, uchodzącego w Rosji za głowę państwa, gdzie spisano jej dane personalne, a jakiś czas potem aresztowano i skazano na dziesięć lat więzienia.

Matka Bolesława nie ustawała w wysiłkach, aby wyciągnąć siostrę Łucję z więzienia. Miała nadzieję, że będzie to możliwe drogą wymiany zakładników, ale czas mijał, a siostra nie wracała. Przewożono ją z jednego więzienia do drugiego i poddawano niekończącym się przesłuchaniom.

Wobec niezliczonej ilości spraw, tak urzędowych jak i związanych z formacją nowych kandydatek wstępujących do Zgromadzenia, matka Bolesława postanowiła pozostawić kierownictwo Internatu Kresowego w całości siostrze Marii Chrzanowskiej.

Internat znajdował się pod zarządem Towarzystwa Pomocy Dzieciom i Młodzieży z Kresów, ale finansowany był przez *Polski Biały Krzyż*. Był on wielkim dobrodziejstwem zarówno dla sióstr, jak i wychowanek. Siostry miały dzięki niemu zapewnione mieszkanie i stałe wynagrodzenie, wychowanki natomiast możliwość kształcenia, wychowania i lepszego poznania Ojczyzny. Zadowolone z opieki i licznych atrakcji dziewczęta, czuły się coraz bardziej jak u siebie w domu. Nie znaczy to, że nie tęskniły do rodzinnych stron i zapamiętanych z dzieciństwa ukraińskich stepów, *porohów* i *chutorów*. Tęskniły, i to ogromnie, a w ich pokojach nieraz rozbrzmiewały tęskne śpiewki i rzewne dumki.

*Hej, hej, hej sokoły,
omijajcie góry, lasy, pola, doły...*

– śpiewały często na kilka głosów popularną kresową balladę Tomasza Padurry, który podobnie jak one pochodził z Kijowszczyzny.

Wśród tych miłych i sympatycznych pańienek była też niestety grupa starszych, częściowo zdemoralizowanych dziewcząt. Te, ulegając zgubnym wpływom bolszewickiej propagandy, nie tylko patrzyły krzywym okiem na siostry zakonne i stroniły od religii, lecz wręcz obnosiły się ze swoim ateizmem. Szczyciły się tym, że w nic nie wierzą i namawiały inne dziewczęta, by poszły za ich przykładem. Dla tych zbuntowanych i pewnych siebie pańienek matka Bolesława poleciła zorganizować specjalne trzydniowe rekolekcje.

Początek nie był zbyt obiecujący. Posypały się skargi, zarzuty, a nawet pogrożki. Wkrótce jednak atmosfera poprawiła się, a nieprzyjemne nastroje przycichły.

– Widzą siostry – cieszyła się matka Bolesława. – Starsze pańienki nie tylko gorliwie uczestniczą w ćwiczeniach, ale i uśmiechają się coraz częściej. Będzie dobrze.

I rzeczywiście. Po rekolekcjach pańienki były już całkiem nie te same. Znikły zaczepki, umilkły wyzwiska. Miejsce buntu zajęła uprzejmość. W internacie zapanowała atmosfera zgody i harmonii, a nieskrępowany i radosny duch uskrzydlał młode umysły, skłaniając je do jeszcze większej twórczej aktywności.

Dziewczęta przerabiały program szkoły podstawowej bądź gimnazjum. Każda klasa miała własną sypialnię, jadalnię i „uczelnię”, czyli pokój do nauki. Ubrane w jednakowe sukienki, chodziły na wspólne nabożeństwa i niedzielne Msze Święte, a świąteczne popołudnia spędzały na spacerach. Szły wtedy do „parowu” albo parku położonego za miastem.

Wieczorem, gdy przebrzmiały już wszystkie zapamiętane piosenki i niejednej dziewczynie łzy zakręciły się w oczach na wspomnienie rodzinnego domu, w sypialni zjawiała się niepostrzeżenie siostra wychowawczyni, która z wielką delikatnością potrafiła osuszyć mokre policzki i ukoić smutki. Nic dziwnego, że większość dziewcząt uważała czas spędzony w internacie za prawdziwie radosny i beztroski, a o siostrze Marii, która im matkowała, i za którą przepadały wszystkie bez wyjątku, mówiły z entuzjazmem:

– Matka Chrzanowska to opieka Boska!

I nie było w tych słowach przesady ani chęci przypodobania się, bowiem siostra Maria samą już swoją obecnością wprowadzała wszędzie atmosferę rodzinnego ciepła i dobroci.

Także matka Bolesława, choć bardziej wymagająca i rygorystyczna, zezwalała dziewczętom na znaczną swobodę, w tym także na posługiwanie się ulubionym żargonem uczniowskim. Uwielbiała młódzież i doskonale się z nią rozumiała, dlatego, jeśli tylko czas jej na to pozwalał, z przyjemnością zaglądała do internatu.

– Bierzesz się do czegoś – zwracała się czasem do którejś z dziewcząt. – A czy myślisz, co ci to przyniesie?

Nie znosiła bezmyślności i ślepego naśladownictwa. Ćwiczenie się w odpowiedzialności i przewidywanie skutków własnych decyzji uznawała za cnotę i cieszyła się, gdy wychowanki wykazywały postępy w tym względzie.

Korzystne warunki, jakie siostry zastały w Chełmnie, nie zmieniły faktu, że czasy były ciężkie i niespokojne. W październiku 1922 roku premierem Włoch został Benito Mussolini i władzę w tym na wskroś katolickim kraju przejęli nagle faszyci. W grudniu zginął z rąk zamachowca pierwszy prezydent niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej – Gabriel Narutowicz.

W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości prawie wszyscy Polacy zmagali się z poważnymi trudnościami. Panował powszechny niedostatek i drożyzna. Matka Bolesława, która przywykła ograniczać własne potrzeby do minimum, nie pozostawiała nikogo bez wsparcia. Nikt też nie wiedział jak to się dzieje, że najmniejszy nawet pieniążek mnożył się w jej rękach z pożytkiem dla wielu. Jej ufność w Boże miłosierdzie nie miała granic.

Przejawem takiej właśnie bezgranicznej ufności był choćby szpitalik, który otworzyła w internacie, chcąc ratować dziewczęta cierpiące z powodu anemii. Wkrótce po jego uruchomieniu, kiedy kasa świeciła już pustkami, zjawił się nagle z uroczystą wizytą minister resortu Wyznań Religijnych i Oświecenia, pan Tadeusz

Łopuszański, i złożył na jej ręce dar w postaci piętnastu milionów polskich marek, do których niedługo potem dołożył następne dziesięć milionów. Pieniądze te nie miały wprawdzie tak oszałamiającej wartości, jak można by sądzić po imponującej ilości zer figurujących na banknotach (stanowiły równowartość co najwyżej sześciuset par sznurowanych bucików), mimo to dar okazał się prawdziwym skarbem. Sprawił, że z internatu znikło widmo niedożywienia, a wszystkie chore na anemię dziewczęta powróciły szybko do zdrowia.

Pozostawienie internatu w rękach siostry Marii Chrzanowskiej pozwoliło matce Bolesławie zająć się w większej mierze sprawami Zgromadzenia. A jego sytuacja przedstawiała się dramatycznie, i to wcale nie z powodu braku formalnego zatwierdzenia. Przyczyną znacznie bardziej zaskakującą i wymagającą natychmiastowego rozwiązania był wyjątkowo duży napływ kandydatek, który sprawił, że internat pękał po prostu w szwach. Trzeba było pomyśleć o szybkim przeniesieniu sióstr w inne miejsce, o znalezieniu dla nich osobnego domu zakonnego.

Siostra Leokadia, która nadal zajmowała się finansami, westchnęła tylko, kiedy matka Bolesława poruszyła któregoś dnia w jej obecności ten drażliwy temat.

– Wydałyśmy dopiero co znaczną kwotę na stroje zakonne... – zaczęła żałośnie, ale matka Bolesława przerwała jej gwałtownie.

– Co też siostra! Dzieła Boże klęsk nie znają!

I stosując się do tej zasady, zakupiła kilka miesięcy później, w sierpniu 1923 roku, gdy dziewczęta wyjechały na wakacje, dwupiętrową kamienicę w bliskim sąsiedztwie internatu, przy ulicy Łożyńskiego 3. Nabyła ją na własne nazwisko, zaciągając dług *hipoteczny*.

Zgromadzenie miało więc nareszcie swój własny dom zakonny. W nim odbyła się już niebawem pierwsza uroczysta kapituła generalna z udziałem księdza Kazimierza Konopki. Zapadło na niej wiele ważnych decyzji, także ta o zmianie nazwy Zgromadzenia. Dotychczasową – Towarzystwo Świętej Rodziny, zastąpiono nową – Misjonarki Świętej Rodziny, a powtórne zredagowanie konstytucji powierzono jezuitcie, księdzu Janowi Rothowi, wybitnemu znawcy prawa kościelnego.

Cieszył matkę Bolesławę liczny napływ kandydatek, choć zdarzały się i takie sytuacje, które potwierdzały, niestety, obiekcje nieprzychylnego siostrzemu biskupa Rosentrettera. Niektóre z kandydatek, na wiadomość, że siostry przybyły z Rosji, wpadały nagle w popłoch.

– Jak to?! Więc to nie jest zgromadzenie k a t o l i c k i e?! – wołały histerycznie.

Były i takie, które nie chcąc się „zaprzedać”, jak powiadały, albo „wpaść we wrogie sidła”, wycofywały się, nie zważając na wcześniejsze poruszenia serca.

Zgromadzenie, chociaż nadal nie zatwierdzone, rozwijało się szybko, głównie dzięki niespożytej energii matki Bolesławy. Nic nie zdołało zachwiać jej ufności ani zniechęcić do ofiarnej służby. Przeciwnie, każda przeszkoda zdawała się zagrzewać ją do jeszcze większego wysiłku, do jeszcze doskonalszego pełnienia woli Bożej.

– Starajmy się, siostry, wkładać we wszystko miłość – prosiła któregoś dnia nowicjuszek. – Niech miłość będzie duszą naszego życia, zasadą i pobudką wszystkiego, ale... zasadą – świętą, pobudką – silną, a wtedy – cóż to będzie za życie nasze! Uświęcone, pełne światła i zasługi, życie prawdziwie już błogosławione...

Tu przerwała nagle, gdyż za oknem mignęła jej dziwnie znajoma sylwetka. Kobieta, która szła w stronę domu miała jasną twarz i intensywnie fiołkowe oczy. Na jej widok matka Bolesława poczuła gwałtowne bicie serca.

– Siostry – wyszeptwała. – To jest właśnie... siostra Łucja Czechowska!

I natychmiast wybiegła z domu.

Długo nie mogły powiedzieć słowa, trwając w siostrzanym uścisku. Dopiero po pewnym czasie nastąpiło ogólne powitanie. Wprowadzono gościa do kuchni i posadzono na honorowym miejscu.

– Kiedy siostrę wypuścili? Jak się siostra czuje? Jak nas tu siostra znalazła? – pytała niecierpliwie matka Bolesława.

Odląła z kociołka nieco zupy do metalowego kubka i ustawiła naczynie na gorącej blasze.

Siostra Łucja ściągnęła z głowy chustkę, odsłaniając krótko obcięte włosy.

– Nie było to takie trudne. Duch Święty mnie prowadził.

Trud podróży i wcześniejsze bolesne przeżycia wycisnęły na jej twarzy trwałe ślady, jednak w spojrzeniu był ten sam co zawsze blask, a w sercu – gorący płomień.

– Niełatwo było czekać na powrót siostry – wyznała z ciężkim westchnieniem matka Bolesława. – O ileż jednak trudniej musiało być siostrze tam, w więzieniu, czekać na upragnioną wolność. Czternaście miesięcy, mój Boże...

– Trzykrotnie skreślano mnie z listy osób przeznaczonych do wymiany – uśmiechnęła się siostra Łucja ze smutkiem. – Przeszłam w tym czasie, nie zgadniecie, przez dziewięć więzień i obozów. Byłam na moskiewskich Butyrkach, w Jekaterynburgu na Uralu i w Tobolsku... Wszystkie one tak samo straszne. Ale w jednym z nich – ożywiła się nagle – poznałam rosyjskie siostry dominikan-

ki, członkinie pierwszej wspólnoty zakonnej Kościoła katolickiego obrządku wschodniego. Tak, tak!... – zapewniła, widząc zdziwienie matki Bolesławy. – Ich założycielka, Anna Abrikosowa, a właściwie matka Katarzyna Abrikosowa, okazała mi wiele serca, a nawet wsparła materialnie. Bez jej pomocy zginęłabym z kretesem. Bo chociaż siostra Łucja Wieliczkiewicz jeszcze przed swoim wyjazdem z Petersburga przekazała mi pewną sumę pieniędzy, szybko się one rozeszły. Lecz tu... – urwała, rozglądając się dokoła – całym sobie siostry miło mieszkają!

Matka Bolesława roześmiała się, słysząc tę nieoczekiwaną pochwałę.

– Czyżby siostra zapomniała, że zaczynanie wszystkiego od początku jest już od dawna moją specjalnością? – zapytała żartobliwie.

Jesień przyniosła kolejne niespodzianki.

Biskup Romuald Jałbrzykowski, który znał siostry jeszcze z czasów petersburskich, a teraz zarządzał polską częścią diecezji augustowskiej, przedstawił matce Bolesławie bardzo konkretną propozycję zatrudnienia kilku sióstr w Łomży. Wdzięczna za okazane zaufanie, wysłała tam trzy siostry: siostrę Leonardę Lament, siostrę Mariannę Stachurską i siostrę Brygidę Kaczoruk.

Pod koniec roku starała się raz jeszcze o przychyłność biskupa Augustyna Rosentrettera, jednak i tym razem nie uzyskała zgody na otwarcie w Chełmnie macierzystego domu Zgromadzenia. Wobec tak nieprzejednanej postawy chełmińskiego hierarchy, postanowiła spróbować szczęścia w diecezji płockiej. W tym celu wynajęła od wojska murowany dom na terenie koszar w miejscowości Różan nad rzeką Narwią, czternaście kilometrów od stacji Pasieki.

Zapisała wtedy z bólem:



Zgromadzenie mając dom własny w Chełmnie, musiało szukać lokalu na dom macierzysty i nowicjat. A były to czasy, że trudno było nie tylko o duży lokal, ale nawet o jeden pokój, gdyż tysiące ludzi napłynęło do Polski z bolszewickiej Rosji. W diecezji płockiej, w Różanie niedaleko Ostrołęki, otrzymano od wojska szpital po byłym wojsku rosyjskim, na użytek czasowy. W braku innego było to wielkie dobrodziejstwo...

Nie zważając na mróz i wyjątkowo śnieżną zimę, matka Bolesława wysłała do Różana niezwłocznie cztery siostry i dwie postulantki. Napracowały się przy sprzątaniu budynku solidnie, jednak jego właściwy remont rozpoczęto dopiero na wiosnę.

Matka Bolesława przyjechała do Różana latem 1924 roku. Przebywały już tam na wakacjach dzieci z ochronki prowadzonej przez Misjonarki Świętej Rodziny w Brześciu. Zdrowe powietrze, smaczne zupy, pierogi i kisiele z uzbieranych jagód smakowały wszystkim i posłużyły znakomicie do nabrania sił. Zadowolona z efektów kilkumiesięcznej wyteżonej pracy, matka Bolesława ze spokojem czekała na odpowiedź z kurii biskupiej w Płocku.

Jej nadzieja, że ordynariusz płocki, biskup Antoni Nowowiejski, przyjmie Zgromadzenie, była tym większa, że siostry misjonarki prowadziły już od jakiegoś czasu w jego diecezji, i to z wielkim oddaniem, Sierociniec Powiatowy w Pułtusku. Zorganizowały w nim wspaniałą pracownię haftu i pracownię oprawiania książek.

Niestety. I tym razem jej plany zostały przekreślone.

– „Brak stałych dochodów... Zbytne oddalenie domu zakonnego od urzędów diecezjalnych... Trudności w zapewnieniu Zgromadzeniu opieki i kierownictwa duchowego... – odczytywała siostrom następujące po sobie zastrzeżenia i czuła jak krew odpyływa jej ze skroni, jak słabnie serce. – Brak możliwości kontroli nad nowo

przybyłym i nieznanym jeszcze w Polsce młodym Zgromadzeniem”... – czytała dalej, i dalej.

Kiedy skończyła, była bardzo blada.

Po dłuższym milczeniu powiedziała:

– Krzyże utrwalają jedynie dzieła, których Bóg chce. Czynią je bardziej boskimi. A przy okazji – uświęcają narzędzia. Zbawiciel szuka serc ofiarnych i wspaniałomyślnych. Serc, których nie złamia chwilowe niepowodzenia...

Jej wspaniałomyślne serce i tym razem wzniosło się ponad małość chwilowej potyczki. Ponieważ jednak odmowna odpowiedź biskupa nadeszła akurat w czasie, kiedy siostry odprawiały rekolekcje, ćwiczenia duchowe zostały natychmiast przerwane, a kandydatki na nowicjuszkę musiały opuścić Różan i udać się do innych placówek.

Siostra Maria Chrzanowska dowiedziawszy się o tym smutnym zajściu, przybyła niezwłocznie do Różana. Przybyła pod pretekstem zobaczenia nowej placówki, lecz tak naprawdę pragnęła wesprzeć matkę Bolesławę i podtrzymać ją na duchu. Bardzo martwiła się zwłaszcza o jej zdrowie. Odetchnęła więc z ulgą, zastając ją uśmiechniętą i pogodzoną z zaistniałą sytuacją.

Przechadzały się po terenie przylegającym do budynku rozmawiając, kiedy matka Bolesława zatrzymała się nagle i wyjęła z kieszeni kopertę.

– Ksiądz Konopka jest zdania – odezwała się po namyśle – że odmowa biskupa może mieć związek z działalnością niejkiej Feliksy Kozłowskiej, która tu, w Płocku, narobiła podobno niedawno sporo zamieszania, dając początek *mariaawitom*.

– To jakieś nowe zgromadzenie?

– Zgromadzenie, które założyła nosiło początkowo nazwę Sióstr Ubogich od świętej Matki Klary, ale afera zaczęła się, gdy po

swoim rzekomym objawieniu przystąpiła do zakładania zgromadzenia księży mariawitów.

– Ona?

– Ojciec Honorat Koźmiński, który był jej spowiednikiem, bardzo się podobno wówczas tym zaniepokoił. Już samo to, że księża oddali się tak łatwo pod duchowe kierownictwo kobiety, wydało mu się mocno podejrzane. Kiedy zaś księża mariawici zaczęli oficjalnie uważać Kozłowską za świętą i wprowadzać praktyki zakonne bez porozumienia z władzami kościelnymi... No, w każdym razie, Stolica Apostolska wzywała ją kilkakrotnie do zaprzestania dalszej działalności, a gdy to nie pomogło Kongregacja Świętego Oficjum nałożyła ekskomunikę na nią i na księdza Jana Michała Kowalskiego, który ściśle z nią współpracował.

Niebieskie oczy siostry Marii napęłniły się łzami.

– Być wykluczoną z Kościoła – podchwyciła. – Cóż to za niewyobrażalna męka dla duszy...

– A co powiedzieć o tych, którzy nadal trwają w błędzie? – odezwała się rzeczowo matka Bolesława. – Bo choć oboje zostali wyłączeni z Kościoła, zwrócili się do władz carskich i bez żadnych przeszkód otrzymali statut sekty z prawem do swobodnego rozwijania działalności i budowania świątyń.

Siostra Maria uczyniła znak krzyża i zapytała z niedowierzaniem:

– I znaleźli się tacy, którzy się do nich przyłączyli?

– Szatan nie od dzisiaj zwodzi człowieka – stwierdziła matka Bolesława ze smutkiem. – I pomyśleć, że ta nieszczęsna kobieta, która trzy lata temu odeszła z tego świata, zanim założyła własne zgromadzenie była bardzo pobożną zakonnicą w jednym z ukrytych zgromadzeń ojca Honorata. Czy w tej sytuacji można się dziwić biskupowi Nowowiejskiemu, że nie pilno mu do zatwierdzania nowych zgromadzeń zakonnych?

Siostra Maria spuściła głowę.

– Podobno władze carskie – ciągnęła dalej matka Bolesława – mocno popierały mariawitów, i to nawet materialnie, na osobisty rozkaz cara. Ksiądz Konopka uważa, że może to świadczyć o prowadzeniu przez jej członków równoczesnej działalności agenturalnej. Trudno nie przyznać mu racji, zwłaszcza gdy patrzy się na owoce tej działalności: szerzenie zamętu wśród katolików i w całym Kościele.

Naraz jej twarz wykrzywił ból.

– Biedna Rosja... – wyszeptwała, patrząc daleko, poza horyzont. – Biedni wszyscy, którzy w niej żyją. Ludzie mówią, że Stalin to straszny człowiek.

– Mówią też, że Sowieci mają znowu poważnych sprzymierzeńców w Niemczech. Co to dla nas znaczy, wiadomo. Wszak znajdujemy się w ich kleszczach i znamy dobrze te ich przyjacielskie uściski.

– Widzę, że siostra świetnie zorientowana – stwierdziła matka Bolesława z uznaniem. – To dobrze. Trzeba nam się modlić za Rosję, ale trzeba też znać prawdę o niej.

Lato było w pełni. Zapach żywicy, dochodzący z pobliskiego lasu, mieszał się z zapachem lubinu i macierzanki. Wilga gwizdała na deszcz, a one stały przed domem i obserwowały gromadkę dzieci bawiących się pod opieką jednej z sióstr. Dzieci bawiły się na ogół spokojnie, tylko od czasu do czasu niektóre z nich, chcąc najwidoczniej prześcignąć się w pomysłowości, wykonywały jakieś niebezpieczne ruchy. Widząc, że jeden z chłopców chce zadać cios innemu, stojącemu obok, siostra Maria podbiegła i ujęła go delikatnie za rękę.

– Ej, nie rób tak, to nieładnie – powiedziała prosząco. – Przecież to twój kolega. Chłopiec, którego Pan Jezus kocha tak samo jak ciebie... – przekonywała, głaszcząc jego jasne, mocno wzburzone loki.

Matka Bolesława klęczała w pustej kaplicy, w środku upalnej sierpniowej nocy. Skromny ołtarzyk z obrazem przedstawiającym Pana Jezusa przykryty był cienkim białym obrusem. Siostry wypisały na nim białym haftem napis: „Miłości Serca Jezusa Ogarnij Moje Serce”...

– Tyle bólu na świecie, tyle niesprawiedliwości – skarżyła się Jezusowi. – Jeśli taka jest Twoja wola, chcę cierpieć jeszcze więcej, chcę być ofiarą całopalną. Chcę wynagradzać Bogu za wszystkie zniewagi i bluźnierstwa, jakich dopuszczają się ludzie... Spraw, proszę, bym Cię kochała coraz goręcej. Coraz goręcej...

I tym razem nie załamała rąk.

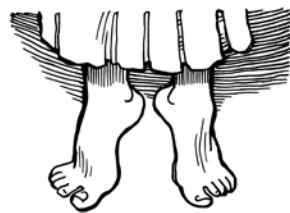
Licząc na życzliwość biskupa Romualda Jałbrzykowskiego, złożyła petycję o pozwolenie na założenie macierzystego domu Zgromadzenia na ziemi łomżyńskiej. Jej prośba została wysłuchana. Biskup Jałbrzykowski polecił wyszukać stosowny obiekt i zapewnił, że pozwoli na otwarcie nowicjatu Misjonarek Świętej Rodziny w swojej diecezji nawet wówczas, gdyby siostry nie posiadały stałych dochodów.

Uszczęśliwiona, wydzierżawiła już wkrótce od wojska opuszczone baraki na fortach we wsi Piątница, niecałe trzy kilometry od Łomży. W grudniu pojechały tam dwie siostry: siostra Magdalena Lipińska i siostra Marta Bojanowska. Miały dopilnować prac porządkowych i pomóc przy wstępnym remoncie.

Ksiądz Kazimierz Konopka słysząc o tym nowym przedsięwzięciu matki Bolesławy, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Czy to znaczy – zapytał ją przy najbliższej okazji – że siostry będą co roku inny budynek wojsku odnawiać?!

Jakże ceniła sobie przyjaźń i pomoc tego kapłana. Jakże ceniła sobie jego poczucie humoru.



Boso, ale w habcie

W połowie stycznia 1925 roku matka Bolesława opuściła zasypany śniegiem Różan i udała się do Piątницы w towarzystwie szesnastu nowicjuszek. Tyle ich bowiem ściągnęło do Różana z różnych placówek jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia w charakterze postulantek. *Oblóczyły* tej sporej gromadki nastąpiły 6 stycznia, w uroczystość Objawienia Pańskiego, a poprzedzone zostały ośmiodniowymi rekolekcjami, które poprowadził jezuita, ksiądz Józef Konopiński.

Widok szesnastu młodych dziewcząt w białych *kornetach*, zmierzających w kierunku stacji kolejowej wśród wirujących płatków śniegu, choć malowniczy, stał się dla mieszkańców wioski sensacją z zupełnie innego powodu. Z tego mianowicie, że siostry oprócz pakunków z rzeczami osobistymi niosły przedmioty dość osobliwe, takie jak: siekiery, młotki czy piły.

– Takiego zgromadzenia to chyba jeszcze ludzie nie widzieli! – pokrzykiwały ze śmiechem, spoglądając jedna na drugą.

Wiozły cały ten majdan pociągami do Łomży, a potem taszczyły do Piątницы przez zasypane śniegiem drogi. Jedynie cięższe bagaże umieszczono na furmankach.

Wioska sprawiała przygnębiające wrażenie. Składały się na nią trzy potężne forty połączone systemem wałów i fos. Dawniej nale-

żała do miejscowej parafii, ale po upadku powstania styczniowego odebrano ją Kościołowi, podzielono na działki i rozdano carskim żołnierzom. W największym z dworów jeszcze do pierwszej wojny światowej mieszkał rosyjski generał.

Barak wydzierzawiony przez matkę Bolesławę był wprawdzie zbudowany z solidnych drewnianych bali, jednak jego ponury wygląd i widoczne z daleka obmurowania dla dział nie kojarzyły się bynajmniej z obiektem zakonnym.

Zorientowawszy się, że stał się on powodem żartów niektórych sióstr, powiedziała:

– My, na szczęście, będziemy używały innych dział.

Spojrzały na nią zaciekawione.

– Naszymi działami będzie miłość Chrystusa, a pociskami słowa Ewangelii i ich jednocząca moc – wyjaśniła z uśmiechem.

Barak był pusty i składał się z dwóch olbrzymich hal wyłożonych kamienną posadzką. Grudniowy remont, ograniczony do tego, co niezbędne, został zakończony. Wybielono ściany, zainstalowano kuchnię i kocioł pralniczy, ustawiono piece. Mimo to w baraku było przeraźliwie zimno. Pojedyncze szyby w oknach nie chroniły w żaden sposób przed chłodem.

Siostra Magdalena Lipińska i siostra Marta Bojanowska przywitały matkę Bolesławę i nowicjuszkę z radością i z psem przybłądą, którego przezwały Wisus. Z dumą też prezentowały owoce swojej ciężkiej pracy. Dopiero gdy przyszło do spożycia wspólnego posiłku, bezradnie rozłożyły ręce. Okazało się, że nie miały ani wystarczającej ilości sztućców, ani naczyń stołowych. Miały jednak matkę Bolesławę, a ta zarządziła natychmiast prawdziwie żołnierską musztrę. Stosując się do jej poleceń, siostry pożyczyły zastawę kuchenną od mieszkającej w sąsiedztwie rodziny pewnego sympatycznego majora, a z żywności przywiezionej z Różana ugotowały

wyjątkowo smaczną piątnicką polewkę. Jadły ją kolejno, w miarę zwalnających się nakryć stołowych, a po tej niebiańskiej uczcie i wspólnych pacierzach zasnęły niemal natychmiast na zasłanej słomą kamiennej posadzce.

– Dobra psu i mucha – przypomniała sobie matka Bolesława dawne ojcowskie porzekadło, dziękując Bogu za szczęśliwą podróż i ten z trudem wyżebrany kąs.

Tego wieczoru szczęście uśmiechnęło się także do Wisusa. Poczciwy kundel dotąd skomlał, łasił się i przymilał, aż w końcu pozwoliła mu zająć na czas zimy uprzywilejowane miejsce przy drzwiach kuchennych.

Nazajutrz wiatr świstał od rana, padał na zmianę śnieg, to znowu grad. Koło południa nadszedł z Różana transport z przedmiotami codziennego użytku i sprzętem: kilka łóżek, trochę pościeli, parę stołków i krzeseł. Zaczęło się – urządzenie domu. Nowicjuszkom przypadło w udziale niełatwe zadanie polegające na przegrodzeniu wielkich hal w taki sposób, by z każdej powstało kilka mniejszych pomieszczeń. Traktując tę pracę jako okazję do szczególnie radosnej twórczości, zaangażowały w nią cały swój młodzieńczy spryt i zapał, a w wyczarowanych „pudełeczkach”, jak je dla zabawy przezwały, urządziły: sypialnię, *refektarz*, kaplicę i *westiarnię*, a także oddzielny pokój dla przełożonej.

Matka Bolesława zapomniała podczas tej krzątania nie tylko o swoim chorym sercu, ale i o innych dolegliwościach, które zwykły trapić ludzi po sześćdziesiątce. Uwijała się wraz z młodymi i jak one tryskała humorem.

Dni mijały, ale pracy nie ubywało. Łóżek starczyło jedynie dla nielicznych sióstr, dlatego pozostałe, dopóki nie wykonały ich sobie własnoręcznie, zmuszone były spać na słomie. Te ubogie lego-

wiska nazywały szumnie „pryczami”. Ze słomy wyplatały również pod kierunkiem matki Bolesławy maty, którymi zakrywały kamienną posadzkę, by chociaż trochę ocieplić wnętrze i zatuszować przykre wrażenie koszarowości.

Skromnym warunkom mieszkaniowym towarzyszył równie skromny jadłospis. Na śniadanie był to talerz zupy mlecznej z kałką suchego chleba, na kolację kartofle albo kasza z kwaszonym ogórkiem. Obiady wyglądały podobnie. Żeby natomiast cokolwiek ugotować dla tej niemałej, bądź co bądź, gromadki, trzeba było najpierw nanieść wody ze studni oddalonej o pół kilometra.

Mimo tak znacznego ubóstwa w domu panował radosny duch. Było to zasługą matki Bolesławy, która będąc przełożoną generalną Zgromadzenia pełniła równocześnie urząd mistrzyni nowicjatu. To ona przyjmowała kandydatki, na niej spoczywał obowiązek czuwania nad ich formacją zakonną i właściwym rozwojem duchowym. Ona też nie ustawała w wysiłkach, by nawet w tak niesłychanie trudnych warunkach w jakich przyszło im żyć, regulamin był zawsze ściśle przestrzegany, a ćwiczenia duchowe i praktyki zakonne odbywały się regularnie.

Z rzeczy praktycznych wymagała od sióstr zdobycia przede wszystkim tych umiejętności, które wiązały się z prowadzeniem domu, głównie zaś z gotowaniem posiłków i szyciem.

Za wszelkie uchybienia, zwłaszcza nieposłuszeństwo i brak karności, wyznaczała pokuty. Najczęściej stosowaną pokutą było ucałowanie ziemi. Siostra, która dopuściła się przewinienia przykłękała i przez ucałowanie ziemi wyznawała przed Bogiem swoją winę i pragnienie lepszego życia.

Mając w pamięci własne doświadczenia matka Bolesława zważała, by przy wyznaczaniu pokuty kierować się zawsze miłością. Zależało jej, aby winowajczyni nie tylko uznała swoje niedbalstwo,

lecz także z pełną świadomością naprawiła jego zgubne skutki. Wymagała zaparcia się siebie, pokory i umartwienia, i konsekwentnie ćwiczyła siostry w tych cnotach. Największy ból sprawiał jej widok zakonnicy, która nie współpracowała z łaską Bożą i nie rozwijała otrzymanego daru powołania.

– Z pokory – mówiła któregoś dnia do nowicjuszek – płynie doskonałe posłuszeństwo, a zakonnica posłuszna to klejnot w zakonie. Jakże bym chciała, żeby nasz dom jaśniał takimi właśnie klejnotami. Żeby wypełniała go miłość na wzór tej, jaka panowała kiedyś w domku w Nazarecie. Wierzę, że jest to możliwe i że się to stanie, jeśli tylko będziemy usilnie naśladowały posłuszeństwo Jezusa, Maryi i Józefa...

W uroczystość świętego Józefa, Oblubieńca Najświętszej Maryi Panny, przybył do Piątnicy szczególnie oczekiwany gość. Był nim biskup Romuald Jałbrzykowi, wielki przyjaciel Zgromadzenia. Szczupły, niewysoki, emanujący łagodnością i spokojem.

– I co tam dobrego słysząc u moich sióstr lamentek? – zagadnął po ojcowsku matkę Bolesławę, po czym wytargał za uszy ciągnącego go za sutannę Wisusa i z uznaniem popatrzył na poczynione przeróbki.

– No, no... Takich cudów nie dokonuje się bez łaski Bożej. Takie cuda pochodzą wyłącznie z nieba – mówił, przestępując próg skromnego domostwa, będącego jednocześnie główną siedzibą Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny.

Obecność biskupa, człowieka tak bezpośredniego i pełnego pogody ducha, była wielkim przeżyciem dla wszystkich sióstr, choć najbardziej poruszyła chyba serca nowicjuszek. Zapamiętały dobrze nie tylko uroczyste poświęcenie domu zakonnego i znajdującą się w nim kaplicę, ale także obfitość wody święconej, jaka spadła na nie tego dnia z biskupiego kropidła.

– Warto było przeżyć wcześniejsze lata dla tej jednej chwili – odezwała się siostra Łucja, kiedy pojazd biskupa oddalał się na wyboistej drodze.

– Warto przeżyć o wiele więcej dla chwili, która czeka nas w wieczności – dodała matka Bolesława, sięgając odruchowo po różaniec.

Wiosna, choć jeszcze bardzo wczesna, odmieniała powoli niezbyt malowniczy krajobraz. Smutne wojskowe forty przysłoniła zieleń drzew, do wsi przyleciały bociany, sady pokryły się kwieciami, a okoliczne mokradła kobiercem kaczeńców.

Na Mszę Świętą w dni powszednie siostry chodziły do kościoła Przemienienia Pańskiego w Piątnicy. Natomiast każdej niedzieli zrywały się o czwartej rano, by zdążyć na pierwszą Mszę Świętą do kościoła świętego Michała Archanioła w Łomży, który to kościół awansował właśnie do miana katedry. Czekał tam już na nie w konfesjonale biskup Romuald Jałbrzykowski, a w nawach bocznych: Matka Boska Nieustającej Pomocy namalowana przez Wojciecha Gersona i Matka Boska Pięknej Miłości w słynącym cudami szesnastowiecznym wizerunku.

Matka Bolesława, jeśli tylko zdrowie jej na to pozwalało, towarzyszyła siostram w tych niedzielnych eskapadach. Tak właśnie było 5 kwietnia, w Niedzielę Palmową. Dzień budził się dopiero ze snu, kiedy siostry wyszły na drogę z kolorowymi palmami, wyśpiewując „Godzinki ku czci Najświętszej Maryi Panny”. Po jakimś czasie zaczęły dołączać do ich rozśpiewanego orszaku okoliczni mieszkańcy: przygarbione babiny, wyelegantowane dryblasy, wystrojona dzieciarnia, a nawet jakiś wioskowy muzykant ze skrzypcami. Ciągnął ten barwny korowód w stronę łomżyńskiej katedry po błotnistej drodze, a nad nim unosiły się ptaki i gromkie okrzyki: „Hosanna!”.

Zaraz po Mszy Świętej, dłuższej niż zazwyczaj z racji obszernych czytań Męki Pańskiej i święcenia palm, siostry zebrały się w jednym z ustronnych zakątków przykościelnego parku wokół koszyka z prowiantem. Śniadanie było skromne, ale radość wielka. Także matka Bolesława, która przepadała wprost za takim cygańskim życiem, posilała się z apetytem uśmiechnięta i zadowolona.

Nie było chyba miesiąca, aby na piątnickiej stacyjce jakaś młoda panienka nie pytała zawiadowcy w pięknej kolejarskiej czapce o drogę do domu sióstr misjonarek. W samym tylko kwietniu Zgromadzenie powiększyło się o trzy postulanki. Jedną z nich, Aleksandra Wójcicka, obdarzona szczególnym poczuciem humoru, zawołała po przyjeździe:

– No i proszę, jechałam do klasztoru, a znalazłam się – w koszarach!

Matka Bolesława wiedziała doskonale, że są to nadal warunki tymczasowe. Wiedziała i czekała cierpliwie na kolejny znak Bożej Opatrzności.

I oto w połowie kwietnia, z racji roku jubileuszowego, wybrała się w towarzystwie siostry Łucji Czechowskiej i siostry Anny Czerniłowskiej-Sokół na pielgrzymkę do Rzymu. Wszystkie trzy były obecne na audiencji u papieża Piusa XI, a nawet zostały mu osobiście przedstawione przez arcybiskupa Jana Cieplaka, który tytułem arcybiskupa cieszył się już od roku, to znaczy od kiedy został zwolniony z sowieckiego więzienia.

Arcybiskup dobrze pamiętał pełną poświęcenia służbę sióstr w Petersburgu. Słyszał też o heroicznej postawie siostry Łucji Czechowskiej, która starania o jego uwolnienie w Moskwie przepłaciła zesłaniem. Dowiedziawszy się, w jak trudnych warunkach znajdują się obecnie, obiecał skontaktować się w ich sprawie ze swym przyjacielem, biskupem Antonim Nowowiejskim.

Powiedział:

– W diecezji płockiej biskupem jest Jego Ekscelencja Antoni Nowowiejski. Ponieważ jednak on i ja stanowimy jakby jedną duszę w dwóch ciałach, pomówię z nim o was, a wy postarajcie się złapać go jeszcze w Rzymie. Jestem pewien, że roztoczy nad wami opiekę i będzie dla was najlepszym ojcem.

I stała się rzecz niezwykła.

Biskup Antoni Nowowiejski, który jeszcze przed dziewięcioma miesiącami udzielił matce Bolesławie odpowiedzi odmownej, okazał jej tym razem wiele serdeczności. Obiecał także, czym już kompletnie ją rozbroił, przekazać Zgromadzeniu na własność jeden z opuszczonych i niezagospodarowanych dotąd klasztorów na swoim terenie.

Po kilku wyjazdach i wnikliwej debacie zarząd Zgromadzenia wybrał jednogłośnie osiemnastowieczny klasztor pobernardyński we wsi Ratowo, położonej trzydzieści kilometrów od Mławy. Klasztor wymagał gruntownego remontu, jednak samo miejsce wydało się siostronom niezwykle atrakcyjne. Cieszyło się sławą pielgrzymkową, a tym, co przyciągało liczne rzesze pielgrzymów, był obraz świętego Antoniego Padewskiego umieszczony w przyklasztornym kościele. Uratowany, jak powiadano, z odsieczy wiedeńskiej, stanowił prawdziwą perełkę i słynął wieloma cudami.



Matka Bolesława od pierwszej chwili pokochała Ratowo. Widok ciężkich klasztornych furt i zacisznych krużganków ożywił w niej nagle młodzieńczą tęsknotę za życiem klauzурowym, a okoliczna przyroda, panująca wokół cisza i spory kawałek ziemi uprawnej

wydały jej się dawno upragnionym rajem. Do tego rajy Pan Bóg dorzucił wkrótce kolejny dar. Sprawił, że biskup Romuald Jałbrzykowski, mianowany właśnie pierwszym ordynariuszem nowo utworzonej diecezji łomżyńskiej, zatwierdził obszerne konstytucje Zgromadzenia opracowane przez księdza Jana Rotha. Zatwierdził wprowadzić na siedem lat, ale powód do radości i tak był wielki.

Oznajmiając matce Bolesławie osobiście tę wiadomość, podobnie jak ona był wzruszony i uradowany.

– Prowadźcie dalej to wasze piękne dzieło – zachęcał. – Niech przybywa dzięki wam młodych szlacheckich Polaków, młodych szlacheckich Polek. Bo, jak powtarzał często zmarły niedawno arcybiskup Józef Bilczewski: „Jaki Polak, taka będzie i Polska”...

Niecały rok później, w czerwcu 1926 roku, biskup Romuald Jałbrzykowski został arcybiskupem metropolii wileńskiej, a matka Bolesława miesiąc później, 22 lipca, przybyła z nowicjuszami do Ratowa, by zamieszkać w wyremontowanej już częściowo frontowej części klasztornej budynku. W chwili gdy zbliżały się do murów klasztoru, uderzono w dzwony i zaintonowano dziękczynny hymn *Te Deum laudamus*.

Moment był tak podniosły, że z niejednych oczu popłynęły łzy.

Kiedy po Mszy Świętej matka Bolesława stanęła przy ołtarzu i ogarnęła matczynym wzrokiem całkiem już spore grono swoich duchowych córek, ich piękne zakonne stroje i blask świętości bijący z twarzy, poczuła się naprawdę szczęśliwa.

– Życzę wam – odezwała się po dłuższym namyśle – abyście szły na skinienie Ducha Świętego bez wahania. Abyście za podmuchem Jego łaski wznosiły się coraz wyżej i wyżej, aż na szczyty świętości... Pracujcie pilnie i gorliwie nad własnym uświęceniem. Pracujcie z całkowitym wyrzeczeniem się siebie, a Bóg nie odmówi

wam łaski i niezadługo wszystkie znajdziemy się w orszaku Świętych otaczających Jezusa, Maryję i Józefa. Co niech da Bóg. Amen.

Sytuacja Zgromadzenia zdawała się stabilizować. Siostry poza Ratowem miały placówki także w Chełmnie, Pułtusk, Brześciu, Pruzanie i Ostrołęce. W tej ostatniej siostra Łucja Czechowska zdążyła już nawet otworzyć gimnazjum z internatem.

Dziewczęta napływające do ratowskiego nowicjatu pochodziły z różnych środowisk. Jedne przystosowywały się do obowiązujących zwyczajów szybko, inne potrzebowały na to więcej czasu. Jedne wykonywały polecenia chętnie, inne z ociąganiem. Bywały i takie, którym praca po prostu paliła się w rękach. Do nich należały z pewnością siostra Romualda Siemaszko, siostra Benigna Kowalkowska i siostra Paula Kamińska, które z własnej inicjatywy wymalowały wszystkie pomieszczenia klasztorne, pozwalając Zgromadzeniu zaoszczędzić kilkanaście tysięcy *złotych*.

Te i inne oszczędności, o które siostry starały się prowadząc życie skromne i ubogie, umożliwiły im wykonanie wielu niezbędnych prac, lecz wydatków ciągle przybywało.

– Ciekawe, skąd matka Bolesława bierze pieniądze na te wszystkie remonty i utrzymanie domu – zastanawiała się któregoś dnia siostra Romualda w drodze do studni. – Musi przecież wyżywić nieraz blisko siedemdziesiąt osób. A tym naszym murarzom to i koń z kopytami byłby pewnie za mało, tacy wciąż głodni!

– Może ktoś jej pomaga – wtrąciła rezolutnie towarzysząca jej siostra Benigna.

– Ciekawe, kto?! – obruszyła się siostra Romualda. – Widziała siostra, żeby ktoś miał dzisiaj za dużo pieniędzy? Bo ja nie.

– Miałam na myśli kogoś... w niebie.

– To już lepiej. I ja o tym myślałam. A może ona sama jest już ś w i ę t ą?!
s w i ę t ą?!

Przyspieszyły kroku i po krótkiej chwili znalazły się przy studni. Obie, niby od niechcenia, spojrzały niemal równocześnie w nieruchome lustro wody. Miło było zobaczyć w nim swoje odbicie, zachwycić się swoją urodą. Miło było, choć pozostawało to w jawnej sprzeczności z zakonnym duchem umartwienia. Na szczęście umartwień i tak miały pod dostatkiem. Już z samą wodą był spory kłopot. Wybierało się ją bowiem ze studni zwykle do dna, a potem trzeba było czekać nieraz i pół dnia, zanim znowu przybrała.

Także inne zajęcia wymagały znacznego trudu. Zwłaszcza wydobywanie torfu, który zimą miał służyć do ogrzania klasztoru. Siostry już o świcie wyruszały do tej pracy na podmokłe łąki.

Wracały pewnego razu z torfowiska podśpiewując wesoło, kiedy przed domem pojawiła się matka Bolesława.

– A czemuż to siostry chodzą boso?! – zapytała tonem przygany, spoglądając na ich ubłocone stopy.

– Żeby nie niszczyć bucików – odparła bez namysłu siostra Romualda.

A siostra Benigna dodała:

– Ja to bym mogła i cały czas chodzić boso, byleby tylko w habicie!

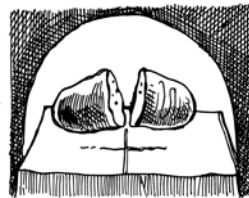
Matka Bolesława uśmiechnęła się na te słowa.

Dobrze pamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzała siostrę Benignę, wtedy jeszcze – Ewę Kowalkowską. Panienska ta napisała do Ratowa list z prośbą o przyjęcie do Zgromadzenia, martwiąc się bardzo brakiem wymaganego *posagu*. Wówczas matka Bolesława, która często w takich sytuacjach korzystała z możliwości dyspensy, odpowiedziała jej:

Co masz, to weź i przyjeżdżaj! A nie opóźniaj przyjazdu, gdyż zwłoka do-wodzi, że ktoś waha się w powołaniu...

Po otrzymaniu tego listu Ewa już nazajutrz zjawiła się w Ratowie. Nieduża, bystra i elokwentna, miała w sobie coś z ruchliwej i wszędobylskiej sikorki.

– Takie szybkie posłuszeństwo zapowiada dobrą misjonarkę – stwierdziła matka Bolesława nie kryjąc podziwu, a gorliwa Ewcia została już niebawem siostrą Benigną.



Boża gospoda

Wokół klasztoru w Ratowie panował nieopisany ruch. Wzbudzał on coraz większe zainteresowanie zarówno okolicznych mieszkańców, jak i pielgrzymów. Zastanawiał widok robotników na rusztowaniach, intrygowało pojawienie się siostr zakonnych. Matka Bolesława czuwała nad wszystkim i pilnie doglądała spraw związanych z remontem, a jako przełożona generalna zważała również, niezależnie od starań przełożonej ratowskiego domu, na przestrzeganie regulaminu oraz praktyk zakonnych, pobudzając siostry do jeszcze gorliwszej służby i apostołstwa, czego sama była wciąż nie- doścignionym wzorem.

Pierwszymi odbiorcami jej apostołowania w Ratowie stali się robotnicy zatrudnieni przy pracach remontowych. Byli to w większości ludzie prości i nieokrzescani, mający nadmierny pociąg do alkoholu. Matka Bolesława bolała nad stanem ich ducha i wielokrotnie nalegała, aby zerwali ze złymi przyzwyczajeniami. Stanowczo natomiast domagała się uszanowania terenu klasztornego. Robiła to jednak z tak wyjątkową delikatnością, że żadnemu z nich nawet do głowy nie przyszło, aby się jej sprzeciwić.

– Przez wzgląd na bliskość Pana Jezusa w Najświętszej Eucharystii proszę o to panów – mówiła do nich uprzejmie, a oni otwierali szeroko usta ze zdziwienia.

Tytułowanie ich „panami” robiło za każdym razem wrażenie i odnosiło podwójny skutek: uświadamiało im, że mogą być trak-

towani przez innych z szacunkiem, i podnosiło ich osobistą godność we własnych oczach. Tytułem tym obdarzał ich bowiem nie byle kto, lecz osoba, o której autorytecie i niezwykłej dobroci przekonywali się nieustannie. Kiedy dowiedziała się, że jeden z murarzy ma na utrzymaniu chorą psychicznie żonę i sześcioro dzieci, bez wahania pozwoliła im wszystkim zamieszkać na pewien czas w klasztorным budynku, aby mogli spokojnie wykończyć swój własny dom. Zatrzaszczyła się o ich codzienny posiłek, a siostrą poleciła pracować ich bieliznę i pomagać w wychowaniu potomstwa.

Przyjazny kontakt z robotnikami umożliwił matce Bolesławie lepsze poznanie ich rodzin i wiosek, z których pochodzili. Nie raz wysyłała siostry, które mieszkającym tam dzieciakom wpajały prawdy wiary, uczyły pisania i czytania. Rodziny żyjące w nędzy, podobnie jak każdego, kto przychodził „po prośbie” do furty, wspomagała zawsze mimo własnego ubóstwa. Wsparcie to było możliwe głównie dzięki kweście, którą siostry prowadziły co pewien czas za zgodą biskupa. Ludzie zamożni, ujęci pokorą i gospodarnością zakonnic, chętnie ofiarowywali im pieniądze albo dary w naturze. Dzięki tym ofiarom, na herbatę i darmową zupę mogli zawsze liczyć również pielgrzymi przybywający do Ratowa na słynne odpusty świętego Antoniego. Przychodzili do sióstr jak do Bożej gospody, pewni, że nie odejdą z pustym żołądkiem.

Był czerwiec i trwał właśnie taki ruchliwy, rozmodlony i rozspiewany odpust, któremu towarzyszyły barwne stragany pełne słodyczy, świecidełek i cudeniaków wypiekanych z ciasta, kiedy matka Bolesława znalazła się w tłumie pożywających się na placu klasztorным pielgrzymów. Siedzieli na trawie zdrożeni, ze stopami opuchniętymi i pokrytymi bąblami, a jednak ich twarze rozjaśniał bezmiar szczęścia. Przystawała, by zamienić z nimi choć kilka

słów, zapytać skąd przybyli i czy mają gdzie przenocować. Rozmawiała właśnie z rodziną, która dotarła pieszo aż z Zamościa, kiedy nagle uwagę jej przyciągnął osobliwy, jakby z Biblii wyjęty obrazek. Ujrzała mianowicie siostrę Romualdę karmiącą ubogiego staruszka z długą siwą brodą. Biedak próbował najpierw sam się nakarmić, ale skutek był opłakany, ponieważ okropnie trzęsła mu się ręka. Wtedy siostra pospieszyła mu z pomocą. Nie odstraszył jej ani odrażający wygląd, ani przykry zapach potu i głośne siorbanie nieszczęśnika. Podawała mu zupę cierpliwie, nie okazując zniechęcenia. Zupa musiała być smaczna, a towarzystwo szczególnie miłe, gdyż staruszek uśmiechał się raz po raz, zerkając na siostrę z wdzięcznością bielmem pocziwych oczu.

Poruszona do głębi tym widokiem, matka Bolesława powiedziała nazajutrz do siostry Romualdy:

– Widziałam, jak siostra karmiła wczoraj C h r y s t u s a.

I uśmiechnęła się tak, jak tylko niebo potrafi się uśmiechać.

Energiczna i bezceremonialna, nieraz zadziwiała łagodnością, a jej takt i dyskrecja sprawiały, że siostry darzyły ją całkowitym zaufaniem. Zaufaniem darzyli ją także mieszkańcy Ratowa, którym często przychodziła z pomocą. Wiele osób korzystało z dobrego skutkiem z jej porad, zwłaszcza medycznych. Również siostry odwiedzające chorych stały się z czasem świetnie wyszkolonymi pielęgniarkami. Ludzie z pobliskich wiosek szybko przyzwyczaili się do ich posługi i mocno ją sobie cenili. Bywało, że sami przywozili chorych do klasztoru.

Któregoś jesiennego wieczoru zajechał przed furte taki właśnie wóz. Na nim, pod zszarzałą derką, leżała dziesięcioletnia dziewczynka cała pokryta strupami. Matka Bolesława spojrzała na umęczone chorobą ciało dziecka, po czym poleciła siostrą, by przeniosły dziewczynkę do jednego z klasztornych pomieszczeń. Tam,

do późnych godzin nocnych obmywała rany małej, czyściła je i zakładała opatrunki, modląc się i przemawiając do niej najczulszymi słowami dla ukojenia bólu. Dziewczynka zносиła wszystko z heroiczną cierpliwością, tymczasem jedna z siostr asystujących przy zabiegu, poczuła nagle dziwną słabość.

Zauważywszy to, matka Bolesława zwróciła się do niej prosząco:

– Więcej ufności, siostr. Niech nam zawsze i wszędzie pokora towarzyszy, a z nią ufność w Bożą pomoc. Bo tam, gdzie ufność i pokora, tam wszystko prostym jest i Bogu przyjemnym...

Późnym wieczorem, kiedy utrudzona licznymi obowiązkami wracała do swego pokoju, brała czasem do ręki małą niepozorną książeczkę, którą dawno temu podarował jej Kazik, przyjaciel z lat dziecięcych. Jej autorem był Tomasz à Kempis, a tytuł brzmiał: „O naśladowaniu Chrystusa”.

Bardzo pragnęła upodobnić się do Chrystusa. Kochała zwłaszcza ubóstwo, i to całym sercem. Posiadała jeden tylko habit, kilka sztuk płóciennej bielizny i palto, które wypożyczała zimą siostrom udającym się w podróż. Dary, jakie otrzymywała przy różnych okazjach, z reguły oddawała innym. Będąc sama ubogą, wymagała ubóstwa i mocno ćwiczyła siostry w tym względzie. Jeśli któraś dostała na przykład od rodziny nowy materiał na habit, umyślnie zatrzymywała go, a dawała inny, gorszy. Niejedna siostra miała do niej o to żal, póki nie rozumiała, jak wielkie łaski spływają na duszę poddającą się z pokorą takiemu ćwiczeniu. Mówiąc zaś o pokorze, objaśniała między innymi na czym polega pokorne spożywanie posiłków.

– Na głos dzwonka – tłumaczyła – idziemy do refektarza. Czy pamiętamy jednak, że i tam nasz Zbawiciel jest z nami? A On nie tylko mówi do nas: „Jedzcie wszystko, cokolwiek przed wami poło-

żą”, ale obserwuje, z jakim usposobieniem to czynimy. Bada, czym zajęte są nasze serca, gdy spożywamy dary otrzymane z Jego ręki. Tej samej ręki, która niegdyś nakarmiła do syta pięciotysięczny tłum pięcioma jęczmiennymi chlebami i dwiema rybkami. Cud ten powtarza się, moje drogie, także dzisiaj. Powtarza się we wszystkich refektarzach zakonnych na świecie, a duszom, które poszły za Chrystusem – niczego nie brakuje...

Jej słowa krzepiły serca siostr i pobudzały do bardziej zdecydowanego pokonywania własnych słabości. Ćwiczyły się więc z zapalem w ubóstwie, posłuszeństwie i czystości. Dbały, aby w klasztorze panował idealny porządek. Szorowały do białości podłogi, ławki i drewniane stoły na krzyżakach, starannie cerowały bieliznę. Aby uchronić habitę przez szybkim zniszczeniem, nie prasowały ich, lecz pozwalały im schnąć na wieszakach, a cienkie wełniane welony prostowały pod ciężarem walizek. Maglowały natomiast bieliznę pościelową i osobistą.

Dążąc do zjednoczenia z Chrystusem, matka Bolesława nie szukała nigdy niezwykłości i ustawicznie ostrzegała siostry przed takimi pragnieniami. Kiedyś wydalila ze Zgromadzenia kandydatkę, która przypisywała sobie przeżywanie jakichś nadzwyczajnych, urojonych najwyraźniej łask. Raz też uniosła się gniewem. To było wtedy, kiedy siostra Benigna – zapędziwszy się nieopatrznie w gorliwości szerzenia dzieła intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa – obiecała pewnej ziemiańskiej rodzinie uzdrowienie chorej córki pod warunkiem, że wszyscy jej członkowie złożą przed Bogiem uroczysty akt intronizacyjny.

– Nigdzie mi nie pójdziecie! – wykrzyknęła wówczas mocno zagniewana. – Co siostra za *herezje* chce głosić!? Jakim prawem obiecuje siostra coś, co jest wyłącznie w mocy Bożej!

Biedna siostra Benigna. Całą noc korzyła się przed majestatem Najwyższego, błagając o miłosierdzie. Niewiele brakowało, a i ona

zostałaby wydalona z klasztoru. Na szczęście ujęła się za nią siostra Leonarda, która akurat w tym czasie pełniła w Ratowie urząd mistrzyni nowicjatu.

Matka Bolesława wymagała absolutnego posłuszeństwa i upominała siostry niekiedy dosyć ostro. To surowe upominanie wpływało w znacznej mierze z jej gwałtownego temperamentu i chyba właśnie dlatego niektóre siostry zaczęły nazywać ją Córką Gromu, nawiązując w ten sposób do świętych apostołów Jakuba i Jana, których Pan Jezus nazwał Synami Gromu.

Były siostry, które zwyczajnie się jej bały, większość jednak lubiła ją i szanowała, nie zważając na surowe traktowanie. Siostrę Gemnę Wołoszyn zganiła któregoś dnia za rozmowy w nieprzewidzianym czasie, innym zaś razem za to, że nie zakupiła w terminie potrzebnego lekarstwa. Siostrę Leonardę, mistrzynię nowicjatu, upominała za samowolne przedłużenie czasu adoracji. Upominała siostry za zmarnowaną przez niedopatrzenie żywność, za wyrzucenie czegoś, co nadawało się do użytku, za głośne zamykanie drzwi i rozewanie zahaczonego w biegu różańca. W przypadku różańca, aby oduczyć siostry biegania, długo nie pozwalała wydać nowego, co było dla sióstr szczególnie dotkliwą przykrością.

Poza ucałowaniem ziemi, najczęściej stosowaną pokutą w klasztorze była pokorna prośba o modlitwę, którą winowajczyni – klęcząc przy drzwiach *refektarza* – kierowała do wchodzących sióstr, albo jedzenie na klęczkach. Najbardziej dojmującą karą był natomiast widok zasępionej twarzy matki Bolesławy i bezdeny smutek w jej oczach.

Utrzymując siostry w karności, matka Bolesława nigdy nie dawała pokuty bez wyraźnych oznak winy. Kiedy pewnego razu siostra Romualda poprosiła ją o ukaranie w związku ze stłuczoną niechcący glinianą miską, matka Bolesława odparła z humorem:

– No cóż... Gdyby siostra była świętą, powiedziała by tej misce, żeby się naprawiła i tak by się zapewne stało, nie mam racji? Skoro jednak siostra świętą jeszcze nie jest, to... proszę wyrzucić te skorupy do śmietnika!

Prawdziwym odprężeniem była dla sióstr codzienna wspólna rekreacja. Pozwalała ona spojrzeć na siebie i na wiele spraw bardziej obiektywnie, a czasem nawet śmiać się w głos. We wszystkich żartach i rozmowach obowiązywała jednak żelazna zasada: o nikim nie wyrażamy się źle i nie nadstawiamy uszu na obmowy. O siostrach, które chętnie słuchały obmów mówiono, że mają... diabła w uszach. Kiedy natomiast którąś poniosły nerwy i zaczynała przyganiać innej tracąc miarę, należało zwrócić się do niej słodko:

– Siostrzyczko, proszę o więcej. To mi się bardzo przyda!...

Matka Bolesława wykorzystywała różne okazje, aby pouczać nowicjuszek. Służyły do tego przede wszystkim konferencje i rozmowy indywidualne, które zawsze kończyła w taki sposób, by w sercu rozmówczyni pozostała iskierka nadziei. Pamiętała też o sprawianiu im od czasu do czasu przyjemności. W uroczystość Zesłania Ducha Świętego zorganizowała na przykład wyprawę do pobliskiego lasu. Frajda była ogromna, a siostry skakały wprost z radości, gdy po jakimś czasie na horyzoncie pojawiła się furmanka z gorącym i pożywnym obiadem. W lesie spędzały również niekiedy czas przeznaczony na rekreację. Mogły wówczas odpocząć na świeżym powietrzu, zjeść zabrane ze sobą kanapki i odprawić przy śpiewie ptaków oficjum albo odmówić modlitwę różańcową. Modlitwę różańcową siostry odmawiały również z młodzieżowym kołem Żywego Różańca, które matka Bolesława założyła w Ratowie. Przychodziły na te modlitewne spotkania nie tylko dziewczęta, ale i chłopcy, a matka Bolesława chętnie brała w nich udział, ubogacając je pięknymi rozważaniami.

Kończył się rok 1927. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i myśli sióstr wędrowały jak co roku do rodzinnych domów, rozsianych w różnych zakątkach kraju. Z klasztoru wyjeżdżały rzadko. Za uzasadnione uznawano dwa powody: śmiertelna choroba rodziców bądź konieczność uregulowania spraw majątkowych. Zdarzało się jednak, że przełożona godziła się na pobyt siostry w okresie świątecznym w rodzinnych stronach, gdy miało to związek ze stanem jej zdrowia i mogło być zakwalifikowane jako kuracja lecznicza.

Minęły święta Bożego Narodzenia, minęła Wielkanoc, a odpowiedź z Kongregacji Spraw Zakonnych w Rzymie, na którą matka Bolesława czekała z wielką nadzieją, ciągle nie nadchodziła.

Nadeszła w lipcu 1928 roku, za pośrednictwem biskupa Antoniego Nowowiejskiego.

Matka Bolesława otworzyła kopertę energicznym ruchem.

Kongregacja uznała za rzecz odpowiednią wstrzymać się jeszcze z wydaniem dekretu pochwalnego... – przeczytała, a na jej czole pojawiła się nagle charakterystyczna pionowa zmarszczka.

Dalsza część listu odnosiła się do uzasadnienia powziętej decyzji.

...Kongregacja jest z całym uznaniem dla pracy Zgromadzenia... Posyła jednak pewne uwagi i poprawki do konstytucji...

Załącznik zawierał trzynaście stron, a biskup Nowowiejski kończył swój list słowami:

Sądzę, że na wstrzymanie zatwierdzenia papieskiego wpłynął także fakt niejasnego postawienia kwestii, w jakim obrządku Zgromadzenie ma zamiar działać, w łacińskim czy wschodnim...

– Niejasnego? – powtórzyła patrząc w okno.

Tak długo już żyła nadzieją, że Zgromadzenie będzie miało charakter jednoczący, że znajdzie się w nim miejsce zarówno dla sióstr

pracujących w obrządku łacińskim, jak i wschodnim. Wszystko było dokładnie przemyślane: siostry obrządku łacińskiego miały zajmować się szerzeniem wiary katolickiej i wychowaniem młodzieży, siostry obrządku wschodniego natomiast pracą misyjną wśród chrześcijan wschodnich, dorosłych i młodzieży.

Wiedziona wewnętrzną intuicją była przekonana, że powrót wiernych prawosławnych do jedności w Kościele nastąpi, jeśli tylko umożliwi się im daleko idące zachowanie dotychczasowego obrządku wschodniego, jeśli wyjdzie się im w tym względzie na przeciw. Do tego właśnie potrzebne były misjonarki, posiadające dogłębną znajomość wyznawanej przez nich wiary.

Już w Petersburgu udało jej się zainteresować tą piękną ideą biskupa Jana Cieplaka, jednak wybuch rewolucji bolszewickiej i krwawe prześladowania, jakie po niej nastąpiły, udaremniły dalsze wysiłki. Tymczasem trzy lata temu – co za niezwykły przejaw Bożej Opatrzności – papież Pius XI ustanowił specjalną komisję Pro Russia, której celem było między innymi przygotowanie duchowieństwa do pracy w Rosji.

Jakże ucieszyła ją wówczas ta wiadomość. Nie tylko ucieszyła, ale i utwierdziła w przekonaniu o słuszności podjętej drogi. Jakby tego było mało, zakonem, który szykował się jako pierwszy do tej odpowiedzialnej misji było Towarzystwo Jezusowe, a więc księży jezuitów, szczególnie bliscy Misjonarkom Świętej Rodziny.

Ksiądz Kazimierz Konopka żywo popierał zamysł matki Bolesławy.

– Trzeba trzymać się przede wszystkim biskupa Michała d'Herbigny – radził jej przed kolejną podróżą do Rzymu. – To francuski jezuita, jestem pewien, że będzie potrzebował kogoś, kto dałby początek pracy misyjnej wśród kobiet w Rosji. Tak samo kwestię dwuobrzędowości trzeba by próbować tam koniecznie załatwić.

Rozmawiała zatem w Rzymie z biskupem d' Herbigny.

– Nasze dzieło misyjne rozpoczęliśmy w Rosji już przeszło dwadzieścia lat temu – oznajmiła mu wówczas z niemałą satysfakcją. – Niektóre z naszych siostr tam się urodziły, znają język, kulturę i zwyczaje tego kraju...

Biskup, mile zaskoczony, ucieszył się perspektywą współdziałania z matką Bolesławą i zaproponował jej, aby siostry podjęły na początek pracę na Łotwie. Poradził też, aby po powrocie do Polski zwróciła się do któregoś z księży jezuitów zaangażowanych w tego rodzaju działalność o pomoc w pokierowaniu przygotowaniem do przyjęcia przez Zgromadzenie również obrządku wschodniego.

Tak też uczyniła. Zaraz po powrocie do Ratowa zwołała specjalną naradę. Ustalono na niej, że potrzebny będzie nowy dom zakonny, ukierunkowany na obrządek wschodni, i że dom ten zostanie założony w Wilnie. O pomoc w kwestiach organizacyjnych postanowiła poprosić, za namową księdza Kazimierza Konopki, pochodzącego z Ukrainy – księdza Pawła Macewicza.

– On was bardzo posunie w dobrem – zapewniał ksiądz Konopka. – To niezwykle gorąca dusza.

Faktycznie, ksiądz Macewicz był doskonale zorientowany w temacie. Był też, o czym matka Bolesława mogła się już wkrótce przekonać, zaangażowany mocno w organizowanie własnego zgromadzenia żeńskiego obrządku wschodniego o nazwie: Misjonarki Serca Jezusowego. W tej sytuacji zwróciła się do księdza Włodzimierza Piątkiewicza, przełożonego klasztoru jezuitów obrządku wschodniego w Albertynie koło Słonimia, niedaleko Baranowicz. Tak bardzo wierzyła, że tym razem wszystko się uda. Rozmowy były już zaawansowane, tymczasem...

Niestety. Kongregacja Spraw Zakonnych w Rzymie wstrzymała się z zatwierdzeniem Zgromadzenia w przedstawionym kształcie

i matka Bolesława musiała tę gorzką prawdę przyjąć. Musiała też, choć niezbyt chętnie, przyznać rację biskupowi Nowowiejskiemu. Zaprowadzenie dwuobrzędowości na szerszą skalę było w danej chwili zamysłem nierealnym również dlatego, że wiele środowisk w Polsce otwarcie sprzeciwiało się wprowadzeniu obrządku wschodniego do liturgii katolickiej. Negatywne stanowisko zawierały w tej sprawie wytyczne Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Powszechna niechęć do wszystkiego, co miałoby związek z Rosją, i lęk przed kolejną rusyfikacją stały się murem nie do pokonania.

– Może kiedyś to się zmieni – pocieszała siebie i siostry. – Tyle rzeczy się zmienia... Prezydent Ignacy Mościcki zmienił dopiero co odcień czerwieni na fladze narodowej z karmazynu na cynober, Kościół zmienił przysięgę ślubną dla kobiet i żony nie muszą już ślubować mężowi posłuszeństwa... Może i zjednoczenie chrześcijan, które teraz budzi tyle niezdrowych emocji, stanie się z czasem możliwe. A skoro wolą Bożą jest, byśmy do Rosji na razie nie szły, trzeba nam się starać, aby chociaż ci, co żyją na Kresach w granicach naszej Ojczyzny – byli jedno.



Manaszka za trzy grosze

Kiedy po przybyciu na Pomorze nie wszystkie sprawy układały się po myśli sióstr, ksiądz Kazimierz Konopka nieraz kręcił głową i mówił:

– Widać wola Boża, aby Zgromadzenie na Kresy szło...

Nie inaczej myślała matka Bolesława.

Ciągnęło ją na Kresy, i to bardzo. Dziękowała Bogu za internat w Chełmnie i za liczne powołania, za nowe placówki i piękniejący z każdą chwilą dom zakonny w Ratowie, ale do Kresów wzdychać nie przestawała.

– Dzieła Boże klęsk nie znają – powtarzała niestrudzenie. – Jeśli Bóg zechce, pójdziemy i na Kresy.

I robiła co mogła, by Panu Bogu jakoś w tym pomóc.

Tak więc, gdy część sióstr zajęta była urządzaniem ratowskiego domu, inne zakładały na jej polecenie placówki na terenach wschodnich, głównie na Wileńszczyźnie i Polesiu, by tam prowadzić dzieło apostołskie i misyjne. Paliły się do takiej pracy zwłaszcza siostry, które kończyły właśnie nowicjat. Roznosiła je energia, a własna wyobraźnia podpowiadała jak wdzięczne i owocne będzie to zajęcie. Ich szczery i gorący entuzjazm wywarł niemałe wrażenie na kapłanach, którzy przybyli do Ratowa z okazji uroczystości *obłóczyn* kolejnego zastępu nowicjuszek.

Jeden z nich spytał wówczas dla pewności:

– Wiecie oczywiście, że wasza praca obejmuje także chrześcijan wschodnich?

Jego pytanie nie ostudziło bynajmniej zapалу świeżo upieczonych misjonarek.

– Taaak! – odpowiedziały radośnie.

Wówczas roześmiał się głośno i stwierdził:

– Oj, nie wiecie, nie wiecie. Bo gdybyście wiedziały, niejedna z was zawróciłaby z tej drogi...

Do Wilna zaprosił Misjonarki Świętej Rodziny arcybiskup Romuald Jałbrzykowski. Zaraz po tym, jak został mianowany nowym metropolitą wileńskim. Pierwsze zjawiły się tam siostry z Brześcia. Wydzierżawiły od kurii biskupiej dom przy ulicy Wielkiej 40 i prowadziły w nim pensjonat dla ludzi w podeszłym wieku. Dopiero po kilku latach, w roku 1933, Zgromadzenie zakupiło piękną drewnianą willę „Betania” przy ulicy Konarskiego 33, w której urządzono drugi dom zakonny.

Pracowały w żłobkach i przedszkolach, organizowały kursy krawieckie i jadłodajnie, głównie w miejscowościach obwodu grodzieńskiego: Słonimie, Rosi, Albertynie, Konstantynowie, Oszmianie i Holszanach. W tej ostatniej miejscowości udało im się nawet wyremontować klasztor pofranciszkański, dar księdza arcybiskupa, i urządzić w nim dom zakonny.

Docieranie do znacznie oddalonych od siebie wiosek wymagało nie lada kondycji, ofiarności i poświęcenia. Kierownik szkoły w Oszmianie powiedział kiedyś do siostry Romualdy:

– W wojsku się tyle nie namaszerowałem, co siostra do tych swoich punktów katechetycznych!

Uśmiechnęła się wówczas i odparła z dziarską miną:

– Wszystko na większą chwałę Bożą!

Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy w chwilę później na drodze pojawiła się furmanka, a uprzejmy woźnica zaprosił ją na konną przejażdżkę.

Wileńszczyzna odpłacała siostram za ich ciężką pracę wdzięcznym sercem. Cieszyły się tam szacunkiem i uznaniem, korzystały z pomocy licznych dobroczyńców. W Albertynie wspierała je hrabina Pusłowska, w Rosi hrabina Branicka, wiele zawdzięczały także rodzinie Potockich.

Inaczej przedstawiała się sytuacja sióstr, którym przyszło pracować bardziej na południu Kresów, na Polesiu, w okolicach Brześcia i Pińska. Tereny te, będące kolebką Słowian, stanowiły najbiedniejszy i najbardziej zacofany region Rzeczypospolitej. Brakowało tam wszystkiego, nie tylko przejezdnych dróg i kanalizacji. Nie brakowało jedynie analfabetów.

Większość ludzi żyła w identycznych chałupach jak przed wiekami. Z każdej sterczał dymnik zamiast komina, każdą otaczał krzywy płot i błotniste podwórko zapchane chlewikami. Do sieni, w której zasobniejsi gospodarze trzymali krowę albo wieprza, biedniejsi zaś kilka sztuk drobiu, prowadziła wydeptana ścieżka. Z niej dopiero wchodziło się przez wysoki próg do izby. Miała ona wybielone ściany, a zamiast podłogi klepisko. Poza dużym piecem do spania znajdowały się w niej: drewniane ławy i stół, czasem krosno, prawie zawsze kołyska. W kącie, z dala od przeciągów, stała pod świętym obrazem albo ikoną dzieża, w której wyrabiano ciasto na chleb. Nad drzwiami wisiał krzyż. Krzyże wisiały także nad małymi oknami, przez które sączyło się do wnętrza nagle światło. Umieszczano przy nich wystrugane z drewna pogańskie symbole bądź wiązki roślin dla odpędzenia złych duchów.



Ze zwyczajów pogańskich najbardziej żywy był na Polesiu kult przodków. Mieszkańcy tych bezkresnych i bagiennych terenów, często zagubieni i osamotnieni, chętnie zwracali się do swoich zmarłych „dziadów”, zwłaszcza w chwilach zagrożenia. Wierzyli, że przebywając za chmurami nadal się tam nimi opiekują.

Siostry nieraz słyszały dochodzącą z pola śpiewkę:

*Popod lasem ciemna chmura,
a w tej chmurze mój tatulek.
Popod chmurą chodzi, do chmury powiada:
Oj, ty chmurko, oj matenko, obejdz czyste pole
I me dziecię w czystym polu, na cudzym zagonie...*

Poleszucy – rdzenni mieszkańcy Polesia – utrzymywali się poważnie z pracy na własnych zagonach, czasem wynajmowali część. Siali głównie proso, znacznie mniej kartofli, lnu czy pszenicy. Kobiety chodziły zwykle boso, dzieci biegały półnagie, a mężczyźni, czymkolwiek by nie byli zajęci, nigdy nie rozstawiali się z fajką.

Z natury nieufni i nieskorzy do rozmowy, na widok siostry zakonnej natychmiast się rozpogadzali.

– Dobry dzień! – pozdrawiali je twardo z rusińska, bądź miękko z charakterystycznym białoruskim akcentem. – Ot kuda wy?

Cieszyli się, gdy siostra przystawała i opowiadała im o Pomorzu, Kurpiach czy Mazowszu, o pięknie ojczystej ziemi, o dobrych ludziach, o Bogu. Sami jednak pytani o swoją przynależność narodową, odpowiadali ze zdziwieniem:

– My są... tutejsi.

Wśród tych „tutejszych”, Polaków było stosunkowo niewiele. Języka polskiego używali już tylko nieliczni, pochodzący zazwyczaj ze szlachty zaściankowej. Oni też jako jedyni wyznawali katolicyzm i otwarcie przyznawali się do swojej polskości.

Misjonarki przybywające na Polesie rzadko mieszkaly we własnym domu. Najczęściej wynajmowały jedną lub dwie izby u obcych. Wędrując zaś od wioski do wioski, nocowały u przygodnych gospodarzy, którzy udostępniali im we własnej izbie jakiś skromny kąt, odgradzony jedynie wzorzystą *dzieruszką*. Szły wtedy spać z kurami, zaraz po zapadnięciu zmroku, a budziły się z paniem kogutów i ruszały w dalszą drogę.

Drogą tą była przeważnie długa grobla, nazywana przez miejscowych „nakotem”. Otaczały ją z obu stron przepastne błota, z których sterczały grube i szorstkie trawy. Tylko gdzieś tam bielili się między nimi smukłe kielichy kwitnących czermieni. Idąc groblą i oddychając zapachem bagiennych roślin, można się było natknąć na węża, usłyszeć krzykliwe wołanie bekasa, czuśzykanie cietrzewia albo żałobne popiskiwanie czajki. Zimą, gdy cała poleska ziemia, zmarznięta i zawiana śniegiem, stawała się jedną wielką pustynią, trzeba było uważać na ciągnące z lasów wilki.

W pokonywaniu dalekich tras pomagały siostrzom zaprzęgi zwane *drezynami*. Ale zdarzało się i tak, że jeździły po królewsku kolejką wąskotorową, a uprzejmi konduktorzy, niezależnie od wyznawanej wiary, nigdy nie pobierali od nich zapłaty.

Przygotowując siostrę Cecylię Dynewską na taki właśnie wyjazd do Lachowicz w okolice Pińska, matka Bolesława powiedziała do niej bez większych ceregieli:

– Pojedzie siostra na placówkę, gdzie nie ma kościoła. Mówię o tym dwa dni naprzód, żeby siostra miała czas się wypłakać.

Siostra Cecylia nie płakała.

A na Polesiu wysłużyła sobie dwa zaszczytne tytuły: „duszochwata”, czyli „łowcę dusz”, jak święty Andrzej Bobola, oraz „księdza

Kaweckiego”, któremu w Lachowiczach pod względem gorliwości nikt przed nią nie mógł dorównać.

Zanim jednak to się stało, musiała przyjąć pokornym sercem to, co zastała wkrótce po przyjeździe. A sytuacja wyglądała niespecjalnie, czyli dokładnie tak jak to przepowiedziała matka Bolesława. W pobliżu nie było świątyni, a do oddalonej o kilkanaście kilometrów nikt nie chodził. Nie było też kapłanów. Zaczęła więc sama organizować nabożeństwa – w chatach, stodołach, w kolejowej poczekalni. Były to przeważnie nabożeństwa wieczorne, które w każdą niedzielę przybierały charakter bardziej uroczysty, a składały się ze wspólnych modlitw, pieśni, czytania Ewangelii i krótkiej katechezy.

Odwykli od praktyk religijnych mieszkańcy Lachowicz i innych okolicznych miejscowości, szybko zasmakowali w tych modlitewnych spotkaniach. Po powrocie do domu wyciągali leżące w zapomnieniu święte obrazki, zapalali nabożnie świece i z nowym zapalem odmawiali stare zdrowaśki. Wiara niejednego z nich przeżywała w tym czasie takie swoje małe zmartwychwstanie. Jednak w większości przypadków rodziła się ona dopiero powoli w ludzkich sercach pod wpływem ofiarnej i pełnej miłości pracy młodej misjonarki. Jednej z wielu misjonarek, które rzucone na te bezkresne tereny zdobywały cierpliwie i wytrwale dusze dla Chrystusa.

Myśl, że życie wielu ludzi zmienia się dzięki jej wysiłkom i staje się piękniejszym, cieszyła siostrę Cecylię i dodawała jej skrzydeł. Udało się jej nawet kiedyś ściągnąć jakimś cudem na to pustkowie kapłana, który odprawił uszczęśliwionym wiernym Mszę Świętą. Aby cuda takie były możliwe, musiały siostry niestrudzenie, na wzór świętego Andrzeja Boboli, docierać z Ewangelią do najbardziej odległych miejsc, przemierzając codziennie wiele kilometrów nieprzystępnych poleskich bagien.

Brnęła przez nie i siostra Cecylia, zapadając się co chwila w błoto po kostki, kiedy nagle ktoś zyczliwy zawołał do niej litościwie:

– Ej, siostrzyczko! A czy to już siostrze życie zbrzydło?

Zatrzymała się zaskoczona.

– A czemu to miałoby mi zbrzydnąć? – odkrzyknęła przekornie, przytrzymując rękoma uniesione brzegi habitu. – Czy zbrzydło choćby jednemu Poleszukowi? Tak i mi nie zbrzydnie! A jak Pan Bóg pozwoli, to nie tylko do niego przywyknę, ale jeszcze je na dobre polubię!

Pragnąc stać się, jak miejscowi, Poleszukiem, siostra Cecylia pokonywała rozmiękłe łąki i bagniste drogi, nauczyła się wypiekać korowaj, specjalny drożdżowy placek, a nawet podśpiewywała jak oni: „A pójdź ja w *Horodec...*”. Przed zimą natomiast, aby się do niech jeszcze bardziej upodobnić, sprawiła sobie kozuch barani i pokryła go czarnym poleskim sukniem.

Poleszucy, ludzie prości, mieli własne, często dosyć ciasne poglądy na wiele spraw. Mieli je również odnośnie tego, jak powinna wyglądać kobieta ucząca ich dzieci w szkole. Musiała to być przede wszystkim niewiasta okazała i postawna. Musiała mieć silny głos i trzymać dzieci w karności mocną ręką. O niskiej i mizernej mówiono z lekceważeniem:

– Ot i manaszka za trzy grosze...

Siostra Cecylia przypominała wprawdzie z wyglądu raczej manaszkę, ale wszyscy tak ją od samego początku polubili, że nikomu do głowy nie przyszło, żeby wybrzydzać. Nawet prawosławni twierdzili zgodnie, że o Panu Bogu dowiadują się od niej więcej, niż od swego *batiuszki*. A pewne małżeństwo prawosławne, będąc pod wrażeniem jej pobożności, poprosiło kiedyś, aby została matką chrzestną ich córeczki. Umierały im wszystkie dzieci, postanowili więc za czyjąś radą ochrzcić córkę w kościele katolickim. Siostra

Cecylia szczerze obojgu współczuła, lecz do prośby przychylić się nie mogła. Modliła się za to gorąco w intencji dziewczynki i ta nie tylko nie umarła, ale, jak się później okazało, stała się dla rodziców wielkim skarbem i wyjątkową pociechą.

Siostry misjonarki udawały się czasem z pogadankami religijnymi do rodzin prawosławnych, jednak częściej to oni, prawosławni, przychodzili na organizowane przez nie nabożeństwa albo prosili siostry o modlitwę. Bywało i tak, że prosili o odprawienie nabożeństwa w jednej ze swoich chat. Nabożeństwo takie odbywało się wówczas niezwykle uroczystie, a poprzedzała je ściśle określona ceremonia. Po uprzednim urządzeniu i przyozdobieniu ołtarzyka, wysyłano po siostrę kilka ubranych odświętnie dziewcząt, które prowadziły ją potem przez wioskę śpiewając nabożne pieśni. Nie wszystkim to się podobało. Zdarzało się, że tuż obok misjonarki kroczącej w tak radosnym orszaku świsnął nagle kamień wyrzucony czyjąś nienawistną ręką. Zdarzało się, że trzeba było ratować się ucieczką przed rozjuszonymi napastnikami. Na szczęście tego rodzaju nieprzyjemne czy wręcz niebezpieczne sytuacje należały do rzadkości.

Prawosławni z wielką ochotą pomagali siostram, szczególnie przy budowie kapliczek poświęconych Matce Bożej, a jeśli tylko w okolicy znajdował się kościół, chętnie zamawiali w nim Msze Święte, które siostry uświetniały zawsze pięknym śpiewem. Niemalą rolę integracyjną odgrywały jak zawsze przedstawienia o charakterze religijnym. W pewnej wiosce, zamieszkałej niemal wyłącznie przez prawosławnych, siostry urządziły dwie inscenizacje z udziałem miejscowej ludności. Jedna z nich nosiła tytuł „Chusta świętej Weroniki”, druga „Emaus”. Obie odniosły wielki sukces, a na trzydziestu trzech występujących w nich aktorów tylko jedna osoba była katoliczką.

Matka Bolesława cieszyła się swoim Polesiem, ale też się o nie martwiła. Odwiedzając siostry co jakiś czas wiedziała dobrze, za jaką cenę stają się Poleszuczkami wśród Poleszuczków. Mówiąc o ich ubóstwie i duchu wyrzeczenia, nieraz stawiała je siostram z Rato-
wa za wzór do naśladowania.

– Trzeba umieć czasem opuścić Boga dla Boga – tłumaczyła. – Trzeba umieć opuścić świat własnych wygod, także tych pobożnych, by odnaleźć Boga w pełni w drugim człowieku, w jego nędzy i opuszczeniu...

W okresie przedświątecznym odbywało się zawsze szykowanie paczek żywnościowych dla siostr z Polesia, chętnie też odczytywano przychodzące od nich listy.

W jednym z nich, bardziej radosnym, siostra Cecylia pisała:

Najprzewielebniejsza i Najdroższa Mateczko.

W poczuciu swej niegodności z sercem pełnym wdzięczności dziękuję, że raczyła mnie Mateczka użyć do tak wielkich rzeczy. Oto wróciłyśmy już ze wsi Malinowo położonej 10 km za miastem Bielskiem po pięcioletniej pracy szczęśliwie na miejsce. Ludność tej wioski katolicka odnosi się z szacunkiem do sukni zakonnej. Przygotowałam trzydzieścioro dzieci do Pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Dzieci przychodziły z sześciu polskich wiosek. Miejscem nauki, a zarazem mojego zamieszkania, był dom jednej pobożnej wdowy tercjar-ki. Po codziennej nauce odprowadzałam dzieci parami do domów, a potem odmawiałam oficjum lub przygotowywałam się do wieczornych konferencji. Przychodziły bowiem starsze panienki i niewiasty, z którymi miewałam codziennie dłuższy wykład. Dwa razy zabrano mnie w tym celu nawet do innej wioski. Ostatnim razem zebrało się w niej co najmniej pięćdziesięcioro ludzi, w tym aż dwudziestu mężczyzn. Byłoby tam takiej pracy jeszcze na kilka tygodni...

Dostałam też jako wynagrodzenie: 7 ręczników, 4 metry płótna i serwetowy obrus do kaplicy.

Najdroższa Mameczko, szczęśliwą się czuję, że mogłam jak te matki ewangeliczne tyle dzieci poprowadzić do Pana Jezusa. Dzień ich Pierwszej Komunii był śliczny. Kościół przepelniony ludźmi, bo był to właśnie odpust. Dzieci były przyjęte do Szkaplerza, do Różańca i dostały śliczne obrazki, które same wypisywałyśmy. Słowem – radosne wspomnienie zostanie mi z tego czasu w pamięci...

Wdzięczna Jej córka duchowa,

s. Cecylia

– Byłoby tam pewnie pracy jeszcze na długo – powtórzyła matka Bolesława z głębokim westchnieniem po przeczytaniu listu siostry Cecylii.

I rzeczywiście.

Toteż biskup piński Zygmunt Łoziński nie przestawał zwracać się do matki Bolesławy o kolejne misjonarki, kończąc za każdym razem swoje prośby słowami: „Z pracy sióstr tu, w Pińsku, jak i gdzie indziej, jestem bardzo zadowolony i za nią wdzięczny”...

Siostry dostawały zwykle trudne placówki peryferyjne. Były nimi: Raczkany, Paszkowce, Krzywoszyn, Łachiszyn czy Derewna. Wizytując Raczkany, zanim jeszcze powstała w nich kaplica, biskup Łoziński spowiadał wiernych siedząc na pieńku lub na kamieniu. Prześladowany i więziony przez Sowietów, już za życia cieszył się opinią świętości.

W podobnie trudnych warunkach pełniło posługę kapłańską wielu polskich księży. Żyjąc na terenach zamieszkałych głównie przez prawosławnych, często byli szykanowani i zastraszani. Jednym z takich prawdziwie Bożych kapłanów był ksiądz Leopold

Aulich, proboszcz Krzywoszyna w diecezji pińskiej, gdzie przez pewien czas pracowała siostra Romualda Siemaszko. Kochał wszystkich, zwłaszcza biedotę. Na siostry czekał czasem do północy, aż wróciły z katechizacji, a budzić kazał się skoro świt, żeby im jeszcze przed wymarszem udzielić Komunii Świętej. Ogromnie cenił ich pracę apostolską i razem z nimi się radował, gdy wiarę katolicką przyjmowały nieraz całe rodziny. W samym tylko Krzywoszynie w czasie pobytu siostry Romualdy rzymskokatolickie wyznanie wiary złożyło aż... sto osób!

Innym niezwykle gorliwym kapłanem był młody jeszcze bardzo ksiądz Jan Zieja, proboszcz parafii w Łahiszynie koło Pińska. Najpierw sam energicznie zabiegał o pracę w diecezji pińskiej, a potem, gdy się już w tej diecezji znalazł, równie usilnie zabiegał o sprowadzenie sióstr Misjonarek Świętej Rodziny. Przytaszczył im nawet któregoś dnia na plecach... manekin do pracowni krawieckiej! Wysoki, szczupły, niebieskooki, wyróżniał się nie tylko szlachetnymi rysami twarzy, ale i prawdziwie Bożym szaleństwem. Wrażliwy na ludzką krzywdę, nieraz grzmiał w duchowym uniesieniu:

– Jeżeli komuś brakuje chleba to dzieje się tak wyłącznie dlatego, że ktoś inny ten chleb s k r a d ł, gromadząc go dla siebie w nadmiarze! Biada tym złodziejom, co nie z głodu, lecz z c h c i w o ś c i okradają bliźnich! Nie znajdą miłosierdzia u Pana!...

Mocne jego słowa działały krzepiąco na pokrzywdzonych. Trafiły także najwidoczniej do sumień krzywdzicieli, gdyż coraz więcej ludzi prosiło księdza Zieję o spowiedź i rozgrzeszenie, coraz więcej też można było zauważyć w parafii wzajemnej życzliwości.

Tymczasem liczba powołań do Zgromadzenia Misjonarek Świętej Rodziny nieustannie się powiększała. Jedno z nich pochodziło z terenów prawosławia. Powołaną przez Boga osobą okazała

się tym razem panna Tatiana Malichtarowicz. Najpierw przypatrzyła się w Lachowiczach posłudze siostry Cecylii Dynewskiej i pracującym z nią siostrom, a potem sama postanowiła wstąpić na drogę życia zakonnego. Ojciec Tatiany, wyznawca prawosławia, mocno oponował, ale Pan Bóg przyszedł dziewczynie z pomocą. Sprawił, że po nagłej śmierci jej matki, która była katoliczką, ojciec ożenił się powtórnie, także z katoliczką, i... sam przeszedł na katolicyzm. Tatiana zaczęła szturmować wówczas niebo nowenną do Matki Bożej Ostrobramskiej i oto serce ojca zmiękło. Wstąpiła do Zgromadzenia i została – siostrą Albertą.



Podróż do Rudki

Z początkiem września 1933 roku matka Bolesława wyruszyła w podróż do Rudki, niewielkiej wioski na Podlasiu. Siostra Łucja Czechowska prowadziła tam już od pewnego czasu szeroką i ożywioną działalność, której ona, jako matka generalna, ogromnie była ciekawa.

Pierwszy etap podróży odbyła koleją, ale dalej musiała już jechać furmanką. Droga wiodąca do Rudki, piaszczysta, porośnięta zieliskiem i pełna wybojów, sprawiała, że wóz toczył się po niej niespiesznie, kołysząc się z boku na bok. Dzień był wyjątkowo piękny. Cieszyła się więc widokiem nadciągającej jesieni i ciepłymi promieniami słońca. Radością napełniał ją każdy mijany kościółek, każda cerkiewka, każda przydrożna kapliczka i dzwon na świątynnej wieży.

Im bardziej oddalała się od różnych pilnych spraw, wyczerpujących obowiązków i zwyczajnej mozolnej pracy, tym bardziej dusza jej zatapiała się w Bogu, doświadczając upragnionego odpoczynku. Nawet milczący woźnica zdawał się być wymarzoną towarzyszem tej podróży pełnej zamyśleń i słonecznej kontemplacji. Jedyne od czasu do czasu przerywały ją głośne ujadania okolicznych burków i nawoływania ludzi pracujących w obejściach. Patrząc na ich niełatwe życie, zastanawiała się mimo woli nad własnym, które zbliżało się powoli do celu przeznaczenia.

Siedemdziesiąte urodziny, które obchodziła przed rokiem, uświadomiły jej aż nadto dobitnie, że zaczyna się oto w jej życiu okres nowy, naznaczony krzyżami choroby i cierpienia. Krzyże te postanowiła przyjmować z pokorą i uśmiechem, tymczasem miłosierny Bóg i tak opromieniał je niekiedy chwilami takiego szczęścia, jakie tylko niebo zesłać może. Tych szczęśliwych chwil nie brakowało zwłaszcza w dniu srebrnego jubileuszu Zgromadzenia.

„Srebrny jubileusz... – już na samo wspomnienie miłych doznań, jakie stały się jej udziałem tamtego pamiętnego dnia, oczy matki Bolesławy zabłyśły radośnie, a serce wypełniło uczucie niewysłowionej wdzięczności. – Mój Boże, cóż to była za przepiękna uroczystość”...

Pamiętała ją doskonale:

To był czwartek, 22 stycznia... O szóstej rano zjawilo się w jej pokoju sześć sióstr, które śpiewając *Kto się w opiekę odda Panu swemu* zaprowadziły uroczyste ją oraz pozostałe jubilatki do kaplicy. Matkę Leokadię Górczyńską, którą zwykła nazywać „pierwociną” Zgromadzenia, gdyż jako pierwsza się o nie upomniała, i matkę Łucję Czechowską, która od samego początku była jej prawą ręką w tym dziele. W kaplicy, przed ołtarzem, czekały już trzy klęczniki udekorowane kwiatami. Rozległ się hymn *Veni Creator Spiritus*... Kapelan, ksiądz Rojewski, wygłosił piękne kazanie, a po Mszy Świętej i błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem wszyscy odśpiewali uroczyste *Te Deum laudamus*...

Gwałtowne szarpnięcie i głośnie „prrr” woźnicy wyrwało ją nagle z zadumy. Furmanka zatrzymała się, by przepuścić stado krów wlokących się niedbale w poprzek drogi. W tej samej chwili, w odległości zaledwie kilkunastu kroków, ujrzała przed sobą ubogą kobietę idącą poboczem z małym dzieckiem na rękach.

– Zabierzemy ją – powiedziała do woźnicy. – Jest na pewno bardzo zmęczona.

Kilka minut później byli już przy niej. Kiedy jednak przystanęli, kobieta odgarnęła ciemne włosy ze spalonej słońcem twarzy i popatrzyła na nich z niedowierzaniem. Dopiero po wyraźnej zachęce ze strony matki Bolesławy usiadła na wozie, tuląc do chudej piersi blade niemowlę.

– Byłam u doktora – odezwała się z pewnym wahaniem – ale ten nawet trzech dni dziecku nie daje. To już trzecie nasze niebożątko...

Matka Bolesława przymknęła powieki. Stanął jej nagle przed oczami cmentarz łowicki i jej zmarłe rodzeństwo: Helenka, Łozia, Marcinek... I ten ostatni, Stefan, który miał być księdzem. Nie było Stefana, nie było ojca i matki... Był – Antoni. Dawny nicpoń i ladaco, teraz gorliwy tercjarz i szczęśliwy ojciec sześciorga dzieci, z których syn Zygmunt przygotowywał się właśnie do kapłaństwa.

Miała jeszcze w pamięci ostatni, wakacyjny pobyt Zygmunta w Ratowie. Zgodziła się, aby przyjechał z kolegą, nie sądziła jednak, że przyjazd ten będzie miał tak opatrnościowy charakter. Kolega Zygmunta, Miecio Grabowski, przeżywał poważny kryzys wiary, przerwał nawet studia seminaryjne, tymczasem ona... Tymczasem Bóg przez nią sprawił, że młodzieniec odnalazł się i powrócił na drogę powołania.

Zadowolona z pomyślnego zakończenia tamtej trudnej sprawy, uśmiechnęła się najpierw w myśli do Miecicia, a następnie do dziecka, które nieświadome swego dalszego losu spoczywało ufnie w ramionach matki.

Mijali z wolna białe piaszczyste polanki z rudymi kępami traw, gęstwiny jeżyn i brzoźowe zagajniki. Dopiero kiedy zewsząd oto-

czyły ich polacie kwitnącego wrzosu, kobieta wyciągnęła rękę i wskazała jedną z chałup, spory kawał od drogi, hen, aż pod samym lasem.

– Tam trza mi iść – powiedziała, dziękując za okazaną przysługę.

Zsunęła się z wozu ostrożnie, tak by nie obudzić dzieciaka, ale widać było, że coś ją jeszcze powstrzymuje przed odejściem.

– A siostrze jak na imię? – spytała niespodziewanie.

– Bolesława.

– Bolesława... Ładnie. Tak i ten mój chłopaczek będzie Bolesław – oświadczyła. – Da Bóg, że przeżyje – dobrze, a da, że zabierze – Jego wola.

Matka Bolesława chciała dać jej jałmużnę, lecz kobieta na widok pieniędzy wzdrygnęła się.

– Uchowaj Boże! – zawołała. – Nam niczego nie brakuje, dziecka tylko. Ale siostra taka dobra, to może i dziecko nam wymodli...

Jechała dalej zatopiona w modlitwie, kiedy tuż przy drodze obsadzonej czerwoną jarzębiną ujrzała naraz gromadkę dzieci, a wśród nich dwie starsze dziewczynki z ciemnymi warkoczami. Ich widok przywołał kolejną falę wspomnień i zaprowadził matkę Bolesławę w dawne rodzinne strony, do ukochanych sióstr.

„Stasia... Ileż to razy robiły sobie bransoletki i korale z owoców jarzębiny, a potem chodziły takie wystrojone po podwórku. Korale Stasi były zawsze jednakowej wielkości i układały się na nitce równiutko, dużo ładniej, niż te na jej nitce... Dzisiaj Stasia, a właściwie siostra Leonarda była przełożoną domu zakonnego w Słonimie, w archidiecezji wileńskiej... Tylko dwa lata młodsza, a wciąż pełna sił – myślała matka Bolesława. – O, ho, ho, i to jeszcze jak! Albo to raz trzeba było poskramiać te jej siły i zapędy do dyrygowania

innymi i narzucania własnej woli?... Ale ksiądz Stanisław Śmiałowski, prezes Związku Dobroczynności, bardzo był rad, kiedy wysłałam mu do Słonimia siostrę Leonardę wraz z siostrami do prowadzenia żłobka...

A Maniusia?... Ta zamiast korali robiła z owoców jarzębiny – różańce. Wzruszało to za każdym razem matkę, gdyż Maniusia wybiegała zaraz potem przed furtkę i z wielką radością wręczała je pierwszym napotkanym osobom. Teraz Maniusia była siostrą Marią, i to w Rzymie...

To był słuszny pomysł, żeby umieścić tam kilka sióstr – cieszyła się matka Bolesława. – Dobrze też, że przeniosły się do parafii świętego Józefa na Zatybrze i wynajęły tańsze mieszkanie przy via Rodi 3... Siostra Maria Lament, siostra Helena Berman, siostra Teresa Stankiewicz... O ich pracy w przedszkolu i świetlicy słyszę same pochwały, a siostra Anna Czerniłowska-Sokół, ich przełożona... Ksiądz Konopka ma rację, brakuje jej zmysłu praktycznego i może rzeczywiście nie jest najlepszą organizatorką, ale za to doskonale włada kilkoma językami, w tym także włoskim... Znają ją tam już podobno wszystkie kancelarie i księża prałaci! Na pewno dopilnuje sprawy zatwierdzenia Zgromadzenia. Zresztą, to już tylko kwestia czasu. Wszystkie dokumenty konieczne do otrzymania dekretu papieskiego złożone i poparte licznymi argumentami...

Ksiądz Konopka... Jak dobrze, że wrócił już z tych misji w Ro-dezji – pomyślała na koniec z matczyną czułością. – Bardzo mi go brakowało przez te ostatnie dwa lata”...

Słońce rozświetlało zachód złocistym blaskiem. Przejżdżali w pobliżu niewielkiej rzeczutki, kiedy matka Bolesława poleciała woźnicy, aby znalazł jakieś dogodne miejsce na postój. Zabrał się

do tego niespiesznie przekonany, że to tylko taki zwykły postój dla rozprostowania nóg. Ożywił się dopiero, gdy sięgnęła po koszyk z prowiantem. Już od dłuższego czasu pachniała mu kielbasa z czosnkiem i chleb upieczony przed wyjazdem przez siostry. Szybko napoił konia, zawiesił mu worek z obrokiem, po czym sam zabrał się do jedzenia.

W miarę jak nabierał sił, jego twarz stawała się pogodniejsza, a on sam bardziej skory do rozmowy.

– Z siostry to twarda sztuka – stwierdził w pewnej chwili z uznaniem. – Ja dużo młodszy, a już tę jazdę w krzyżach czuję.

– Krzyże są po to, żeby je czuć – odparła z uśmiechem. – A chociaż każdy znaczy co innego, wszystkie mają wspólny cel: zbliżyć nas do Boga. Kiedy jeden krzyż się kończy, zaczyna się drugi, i tak już musi być.

– Oj, tak, tak – pokiwał głową. – Tyleśmy już tych krzyży na grzbiecie ponieśli. My i nasza Ojczyzna. Tyleśmy po grzbiecie dostali. A przecie mściwości w nas nijakiej nie ma, bośmy chrześcijanie. Jak kto nas kijem, to my mu chlebem, czy nie tak?

Dzwon na wieży kościelnej wzywał na wieczorny Anioł Pański, gdy po uciążliwej podróży dotarli w końcu do Rudki. Przed domem sióstr misjonarek, który to dom dobrzy ludzie wskazali im bez trudu, matka Bolesława ujrzała już z daleka matkę Łucję Czechowską konferującą z siostrami. Niektóre z nich, wróciwszy akurat z pola, ledwo trzymały się na nogach. Obciążone wieloma obowiązkami wychowawczymi i apostołskimi, prace gospodarskie wykonywały zwykle w pośpiechu, tuż przed wieczorem. Pośpiech ten konieczny był zwłaszcza teraz, gdy czas wykopków praktycznie już minął, a jesień tego roku miała być, jak przepowiadano, krótka i deszczowa.

Pojawienie się matki Bolesławy wywołało wielkie poruszenie wśród sióstr. Nawet te, które dopiero co ślaniały się na nogach, biegły radośnie, by ją powitać. Pospieszyła także z szeroko otwartymi ramionami matka Łucja.

– Dobrze matka generalna trafiła! – wołała uszczęśliwiona. – Mamy ziemniaki, mamy zsiadłe mleko, będzie uczta!

Na wzmiankę o uczcie woźnica ściągnął z uszanowaniem czapkę i chrząknął znacząco.

– Jak uczta, to oczywiście dla wszystkich! – roześmiała się matka Łucja na tę jego słuszną, choć może niezbyt dyskretną uwagę.

Zmierzch zapadał szybko, jednak matce Bolesławie wystarczyło w zupełności jedno spojrzenie, by ocenić rozmiary nowej placówki i wysiłek włożony w jej budowę. Dom był długi, parterowy, z poddaszem. Otoczony równym drewnianym płotem, sprawiał solidne wrażenie.

Zadowolenie, jakie pojawiło się na jej zmęczonej twarzy ucieszyło matkę Łucję.

– Ludzie są tu niezwykle życzliwi – powiedziała. – I wdzięczni za każde okazane dobro...

Ksiądz Ksawery Bobrowski, proboszcz parafii Trójcy Przenajświętszej w Rudce, liczył sobie czterdzieści sześć lat i wyglądał na okaz zdrowia. To właśnie pod jego kierownictwem ukończony został niedawno remont kościoła, finansowany przez hrabiego Franciszka Salezego Potockiego, on też sprowadził do Rudki siostry misjonarki.

Siostry kończyły śniadanie, kiedy zjawił się rozpromieniony z wielkim koszem grzybów, by pokłonić się matce Bolesławie.

– Same borowiki, jak mi Bóg miły! – zapewniał, stawiając przed nią swój hojny dar. – Ludziska pocziwe zebrały, do kościoła przy-

taszczyły, a proboszcz, leniwy, zamiast sam się wziąć do roboty, siostrą jej przysparza, jakby i bez tego nie miały jej dosyć.

Zastrzegł przy powitaniu, że wpadł tylko na minutkę, nie zaskoczył jednak sióstr, kiedy po trzech kwadransach poprosił o drugą szklankę herbaty.

– Powiem, że z początku trochę się bałem – przyznał się matce Bolesławie tonem skruchy. – Roboty był tu huk, a sióstr zaledwie garstka. Prowadzenie kancelarii, posługa w kościele i katecheza to miłe zajęcia, ale... harówka na 32 hektarach?! Bałem się okropnie, że jak zobaczą gospodarstwo rolne to się przestraszą i uciekną, ale one się nie przestraszyły. Już samo to uważałem za cud...

– To było półtora roku temu – wtrąciła matka Łucja. – Siostry mieszkały wtedy w starej drewnianej plebanii, którą hrabina Wanda Jabłonowska z Ossolińskich postawiła w ogrodzie przy kościele. Niby tylko półtora roku temu, a ile się od tego czasu zmieniło. I pracy przybyło... Doszło przedszkole, *ambulatorium*, no i odwiedzanie chorych po domach.

– I to są kolejne cuda, które nie podlegają żadnej dyskusji – podsumował ochoczo ksiądz Ksawery. – Ja jednak najbardziej cieszę się z tego, że mam nareszcie zakrystiankę i organistkę. Obie, jak to mówią, z prawdziwego zdarzenia. A odkąd jeszcze siostra Julia zaczęła organizować chór, do kościoła przychodzą nawet ci, którzy zjawiali się do tej pory wyłącznie raz w roku ze święconką.

Siostra Julia Sawukinas, organistka, której ksiądz proboszcz był łaskaw wystawić tak śliczną laurkę, spuściła skromnie oczy. I ona cieszyła się z tej pracy, która tak wyraźnie zbliżała ludzi do Boga i przynosiła wszystkim tyle duchowej radości.

– Czy hrabina Małgorzata Potocka nadal utrzymuje przedszkole? – spytała nagle matka Bolesława, która bardzo liczyła na tę pomoc.

– Hrabina Potocka wyposażyła nasze ambulatorium – odparła wymijająco matka Łucja. – Przekazuje też co jakiś czas pewną kwotę pieniędzy...

– Rozumiem, że nie jest to kwota wystarczająca – przerwała jej matka Bolesława.

– Niemniej, wiele zawdzięczamy pani hrabinie – zapewniła matka Łucja. – A na odczyty wychowawcze prowadzone zimą przez siostrę Stanisławę Derwiszyńską, przyjeżdżała nawet ze swoimi córkami.

Matka Bolesława przyjęła wiadomość o odczytach z zadowoleniem, jednak sytuacja przedszkola mocno ją zasmuciła.

– Jej mąż, hrabia Franciszek Salezy Potocki, to ciekawy człowiek – stwierdziła po chwili, nie kryjąc podziwu. – Słyszałam od biskupa, przepraszam, teraz już... arcybiskupa Antoniego Nowowiejskiego, że reprezentował nasz rząd podczas rozmów z Cerkwią prawosławną w Polsce. Utworzył też podobno Wydział Teologii Prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim. Ale nie wszyscy się z nim zgadzają w tych sprawach – zakończyła z rezygnacją.

Ksiądz Bobrowski, który znał hrabiego stosunkowo nieźle i wiele mu zawdzięczał, do niektórych jego pomysłów odnosił się z dużą rezerwą.

– Z tego, co wiem – odezwał się niepewnym głosem – domagał się, aby w rozgłośni Polskiego Radia nadawane było, w ramach równouprawnienia wyznań, także nabożeństwo prawosławne. Cenię hrabiego, ale... Czy to aby nie przedwczesny projekt?

– I ja o tym słyszałam – przyznała matka Bolesława. – Ale nie w radiu, bo go jak na razie w Ratowie nie mamy... – uśmiechnęła się dobrodusznie.

Wzmianka o radiu spodobała się księdzu Bobrowskiemu. Przede wszystkim dlatego, że pozwalała na zmianę niewygodnego tematu.

– Radio! – wykrzyknął z entuzjazmem. – To dopiero wynalazek, jak mi Bóg miły! Tylko patrzeć, a zaczniemy katechizować nasze owieczki siedząc wygodnie przy mikrofonie, zamiast ganiać gdzieś per pedes, to jest na piechotę, po wyboistych drogach!

Matka Bolesława roześmiała się serdecznie.

– Rzeczywiście, wspaniała perspektywa – stwierdziła szczerze rozbawiona. – Myślę jednak, że te wyboiste drogi i tak nas nie ominą. Są potrzebne i nam, i tym, którzy po nich z woli Bożej chodzą, a którzy ani Boga nie znają, ani radia nie słuchają...

Siostry, pragnąc w miarę swoich skromnych możliwości uprzyjemnić matce Bolesławie pobyt w Rudce, skwapliwie unikały poruszania spraw, które mogłyby stać się powodem jej troski czy niepokojem. Mimo tych wysiłków, bystre jej oczy i tak spostrzegły szybko, z jak wieloma problemami muszą się borykać każdego dnia. Aby pomóc im w rozwiązaniu przynajmniej niektórych, postanowiła pozostać w Rudce nie kilka tygodni, jak planowała początkowo, lecz kilka miesięcy.

Wzięła się przede wszystkim za sprawienie im cieplej odzieży na zimę i przebudowę poddasza. Wymyśliła, że można na nim urządzić dwa dodatkowe i całkiem sympatyczne pokoiki. Nikt nie miał wątpliwości, że znowu jest w swoim żywiole. Ze znanstwem dyrygowała robotnikami, udzielając im fachowych rad. Z zapalem siadała przy maszynie do szycia i ze zdobytych jakimś cudem materiałów wyczarowywała ciepłe kołdry, płaszcze i zimowe kapoty. Jej matczyzna troska i radosny duch poświęcenia zachwycaly siostry. Te, które znały się na krawiectwie, siadały w wolnych chwilach obok niej. Prosiły wówczas, by dała im coś do szycia, ale tak naprawdę wcale nie chodziło im o szycie, lecz o możliwość spędzenia choć paru chwil w jej obecności. Kiedyś pokazały jej wyhaftowany

przez siebie obrus ołtarzowy. Bardzo były ciekawe, co powie, ona tymczasem powiedziała im wierszyk:

*Haftuję Ci, Jezu, skromny ten obrusik,
a Ty Świętą Rodzinę wyhaftuj w mej duszy.*

Wierszyki i piosenki rozlegały się dosyć często w domu sióstr, szczególnie w tej jego części, gdzie znajdowało się przedszkole.

Pewnego dnia zastała tam przedziwny obrazek: dzieci pod okiem siostry Otylii Kwiatkowskiej budowały – kościół. Były tak pochłonięte tym zajęciem, że wcale nie zauważyły jej pojawienia się. W skupieniu wyklejały tekturową makietę kolorowym papierem, ozdabiały sreberkiem okna i wieżę, z maleńkich kawałków drewna układały dachówkę. Każde z nich miało w tej budowie swój udział, każde czuło się ważne i niezastąpione.

– Bóg nie chce owoców pozornych, lecz trwałych – pomyślała wtedy. – I te trwałe buduje często naszymi rękami.

Czas spędzony z matką Bolesławą był dla każdej z sióstr czasem błogosławionym. Rankiem, gdy wychodziły do swoich zajęć, ona stawała w oknie i kreśliła za nimi znak krzyża, oddając je w ten sposób Bożej Opatrzności. Ten sam znak czyniła późnym wieczorem, zwracając się ku czterem stronom świata i błogosławiąc wszystkie placówki Zgromadzenia. Czasem, gdy siostry wydawały się jej nazbyt utrudzone, robiła sobie wyrzuty, że może zbyt wiele od nich wymaga. Raz nawet zapytała wprost, co one same o tym myślą. Jedna z nich odparła wówczas z prostotą:

– Na chleb trzeba zapracować. Rodzice nieraz mi mówili, że chleb płacze, gdy go ludzie darmo jedzą...

Słowa te bardzo wzruszyły matkę Bolesławę.

Jakże wdzięczna była Bogu za każdą siostrę, którą On, w swojej niezmierzonej dobroci, powoływał na tę niełatwą misyjną drogę.

Zima rzeczywiście zaczęła się wcześniej i była mroźna. W połowie listopada wiatr kołował już po polach, wzbijając w górę śnieżne obłoki. Siostry cieszyły się z ciepłych ubrań i przytulnych pokoi na poddaszu. Jedynie myśl o wyjeździe matki Bolesławy i czekającej ją podróży napawała je coraz większym niepokojem. Matka Łucja Czechowska prosiła kilkakrotnie, aby została w Rudce do wiosny, jednak ona, podjąwszy raz decyzję, nie miała zamiaru z niej rezygnować. Spieszyła się, i to bardzo, tym razem – do Wilna.

Skutki tej podróży okazały się niestety fatalne. Wkrótce po przyjeździe do miejsca przeznaczenia, wystąpiły u matki Bolesławy pierwsze objawy ciężkiej choroby nerek. Matka Łucja, która przybyła niezwłocznie na jej wezwanie, zastała ją niemal umierającą.

– Dzieła Boże klęsk nie znają – uśmiechnęła się na jej widok. – Trzeba tylko być cierpliwym.

Była ufna i cierpliwa.

Pogodziła się z ciężką chorobą. A ta nie mijała. Pogłębiła się głuchota, kontakt z otoczeniem stał się jeszcze trudniejszy. Pobyt matki Bolesławy w gościnnym domu zakonnym „Betania” w Wilnie trzeba było przedłużyć aż do września następnego roku.

Pewnego dnia powiedziała do siostry Stanisławy Derwiszyńskiej:

– Nie mam już sił do kierowania Zgromadzeniem...



Młodzieńczy zryw

Rok później, 12 sierpnia 1935 roku miała miejsce w Ratowie kapituła, podczas której odbyły się wybory nowej przełożonej generalnej. Została nią tym razem matka Łucja Czechowska. Obie matki – przekazująca urząd matka Bolesława i przyjmująca go matka Łucja – były niezmiernie wzruszone.

Mijało trzydzieści lat od założenia Zgromadzenia i niewiele więcej od ich pierwszego spotkania w Mohylewie. Przez te trzydzieści lat była siostra Łucja dla matki Bolesławy najukochańszym dzieckiem, serdeczną przyjaciółką i duchowym wsparciem.

„Trzydzieści lat”... – matka Bolesława, przytulając do serca siostrę, tuliła jednocześnie tamte, dawno minione lata. Te lepsze, i te gorsze, wszystkie z woli Bożej.

– Życzę matce, od dziś: generalnej – zwróciła się do niej z uśmiechem – aby Duch Święty oświecał ją i prowadził, i aby, posłuszna natchnieniom łaski, była podatnym narzędziem do pełnienia woli Bożej we wszystkim i przez wszystko...

Przyjmując te z serca płynące życzenia, matka Łucja doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wielkie stoją przed nią zadania. Czy jednak Pan Bóg nie przygotowywał jej już od dawna na tę właśnie chwilę, pozwalając jej wzrastać u boku matki Bolesławy?... Była jedną z jej pierwszych duchowych córek, i była z tego dumna. Podziwiała inteligencję matki, jej silną wolę i wszechstronne uzdol-

nienia. Najbardziej jednak ujmowała ją zawsze jej pracowitość, szlachetność i wielkoduszność. Tak... W świecie matki Bolesławy nie było miejsca na dreptanie wokół miłości własnej. Promieniowała miłością Bożą, którą ludzie słusznie nazywają – świętością.

Kapitulę, w której wzięło udział dwadzieścia dziewięć delegatek z poszczególnych domów zakonnych, przewodniczył arcybiskup Antoni Nowowiejski. To z jego ust – w tym trudnym dla siebie dniu, kiedy pochylona wiekiem i chorobą przekazywała urząd przełożonej – usłyszała słowa listu Kongregacji Zakonów, mówiące o odroczeniu wydania dekretu papieskiego. Słowa bolesne, które przyjęła z wielkim spokojem.

Odroczenie nastąpiło tym razem z powodu zażalenia, jakie do arcybiskupa Nowowiejskiego złożyło pod jej nieobecność kilka zbuntowanych siostr *koadiuterek* z Ratowa, skarżąc się na rzekomo nierówne traktowanie przez nią siostr należących do drugiego chóru. Rozdrażnione tym, że odrywała czasem zdolniejsze siostry od prac gospodarskich i kierowała je do zajęć katechetycznych, dały temu wyraz w oficjalnym piśmie. Arcybiskup zażalenie przyjął, a do Stolicy Apostolskiej zwrócił się z sugestią zaprowadzenia jednego chóru.

Bardziej emocjonalnie aniżeli matka Bolesława, zareagowała na odroczenie dekretu matka Leokadia Górczyńska. Jej oczy napełniły się łzami, a twarz posmutniała jak po stracie bliskiej osoby. Także później, gdy siedziała w ogrodzie z nieodłącznym różańcem w ręce, smutku tego nie był w stanie rozwiać ani ciepły wiatr wiejący od pola, ani łagodne dźwięki muzyki organowej, sączące się z wnętrza kościoła. Trudno powiedzieć czy modliła się, czy siedziała tylko zamyślona, gdy miejsce obok niej zajęła niespodziewanie matka Bolesława.

Czas jakiś milczały, śledząc loty ptaków na niebie.

– Tak się cieszyłam, że dożyję tego zatwierdzenia – odezwała się w końcu matka Leokadia. – Ale widać, nie jest mi to sądzone.

Matka Bolesława, słysząc melancholię w jej głosie, ofuknęła ją za brak nadziei:

– Co też matka!... Co się odwlecze, to nie uciecze!

Zaraz jednak ulitowała się nad zasmuconą.

Ceniła matkę Leokadię, lubiła ją i szczerze podziwiała. Żadna z siostr nie mogła dorównać jej pod względem gospodarności, oszczędności i zamiłowania do porządku. Posiadała te ważne cnoty, tak istotne zwłaszcza przy sprawowaniu urzędów przełożenijskich, a przecież poważne kłopoty ze zdrowiem usuwały ją zawsze na dalszy plan. Na plan pogłębianej modlitwy.

– Matka ode mnie młodsza – próbowała podtrzymać zgnębioną na duchu. – Prędzej doczeka tej chwili, niż ja. Matka jest p i e r w o c i n ą naszego Zgromadzenia!...

Matka Leokadia uśmiechnęła się blade.

– I właśnie dlatego, że jestem pierwociną, mnie pierwszej wypada przygotować dla was dom w niebie – stwierdziła z przekonaniem. – O ten dom się modlę. Żeby był obszerny, dobrze ogrzany, żeby dach w nim nie przeciekał i do studni nie było zbyt daleko. Żeby się w nim zmieściły wszystkie misjonarki Świętej Rodziny, także te, które pracują teraz w Estonii.

Jej szczerą i serdeczną troską wzruszyła matkę Bolesławę.

– To się tam matka znowu natrudzi, zamiast sobie wreszcie wypocząć – odezwała się z humorem. – Mamy już przecież przeszło dwieście siostr! Dwadzieścia cztery domy zakonne! A większość na Kresach Wschodnich – dodała uradowana. – Co się zaś tyczy Estonii, to... Był to pomysł księdza Edwarda Profitlichy, jezuitę, pamięta matka? Siostra Maria Chrzanowska, która pojechała do tego protestanckiego kraju wraz z kilkoma siostrami, pisała, że

mieszkają w Tallinie, ale katechizują także w Kivioli. Nasi rodacy pracują tam w strasznych warunkach, głównie przy wydobywaniu benzyny do łodzi podwodnych. Młodszy znają język polski tak słabo, że siostry, łącznie z przełożoną, siostrą Marią Anajtis, uczą się teraz pilnie – estońskiego!

– Będą głosiły Ewangelię po estońsku? – uśmiechnęła się matka Leokadia. – A to się Pan Jezus ucieszy! Tak, tak... siostra Maria Chrzanowska to opieka Boska!

Matka Bolesława wdzięczna Panu Bogu za ten uśmiech na jej twarzy, także uśmiechnęła się w głębi serca.

– Dożyliśmy pięknych czasów, matko Leokadio... – powiedziała. – Cierpienia i podeszły wiek są złotym okresem dla naszych dusz. Obyśmy tylko umiały korzystać z tego złotego czasu...

W powietrzu unosiły się nitki babiego lata. Śpiew ptaków splatał się z wielobarwnym szumem liści. W koronach drzew poruszanych leciutkim wiatrem, błękitniało niebo. Wszystko to zdawało się stanowić wymarzoną scenerię dla tej chwili i tej pożegnalnej rozmowy dwóch sędziwych matek.

Matka Bolesława chłonęła niezmiernie piękno przyrody całą głębią swojej istoty. Jakże kochała Ratowo... „A jednak i z nim przyjdzie się niedługo pożegnać” – myślała z żalem. Postanowienie kapituły generalnej brzmiało jednoznacznie, a ona – się zgodziła. Rozumiała, dlaczego tak postanowiono. Jej wyjazd z Ratowa miał pozwolić nowo wybranej przełożonej generalnej działać z większą swobodą. „I słusznie – przyznała, trzeźwo oceniając sytuację. – Bo czyż umiałabym się nie wtrącać? Nie robić uwag? Nie zaglądać w każdy kąt? Eeech!... Czepiają się mnie, mówiąc, że mam coś z żołnierza, że wprowadzam wojskowy dryl – roześmiała się w duchu. – To ja się pytam: czy można zbliżyć się do Boga, nie poddając duszy i ciała codziennej musztrze? Nie przywdziewając

duchowej zbroi i nie walcząc jak żołnierz z tym, co od Niego oddala?”...

Powrót do zdrowia matki Bolesławy po tak długiej i ciężkiej chorobie okazał się opatrznościowym dla całego Zgromadzenia, przede wszystkim jednak dla nowej placówki zakonnej w Białymstoku, do której wyruszyła kolejną tydzień później. Siostry wysyłając tam matkę, miały wielką nadzieję, że swoją obecnością, autorytetem i doświadczeniem wydzwignie ją z trudności, z jakimi borykała się od samego początku.

– Podlasze... Ach, Podlasze... – powtarzała z rozrzwinięciem, przejeżdżając przez podlaską ziemię. – Pod Lachów tyś było zawsze władaniem. Perłą wśród lasów...

Białystok istotnie tonął w zieleni. Żyli w nim Polacy, Białorusini, Litwini i Żydzi. Okazałe pałace mieli w tych stronach Branicy i Lubomirscy.

Jednak samo miasto wydało się matce Bolesławie w pierwszej chwili niezbyt ciekawe. Panował w nim nadmierny zgiełk i pośpiech, którego tak nie lubiła. Domy, w większości drewniane, już na odległość czuć było grzybem i pleśnią. Na brudnych ulicach bawiły się brudne dzieci, młodzi chłopcy i dziewczęta trwonili czas na krzykliwych zalotach, a możni panowie i panie spoglądali z wyższością na wyzierającą zewsząd biedę ze swoich luksusowych samochodów.

Kierując się w stronę niedalekiego wzgórza, na którym położony był Cmentarz Świętego Rocha, stwierdziła z ulgą, że hałas stawał się coraz mniejszy, więcej natomiast było drzew i kwitnących krzewów w przepięknej sierpniowej szacie.

Siostry misjonarki mieszkały przy kaplicy cmentarnej w budynku dawnej organistówki, który nazwały Białym Domkiem. W bli-

skim jego sąsiedztwie znajdował się rozległy teren budowy. Ksiądz kanonik Adam Abramowicz, proboszcz tutejszej parafii, zwany nie bez racji „budowniczym kościołów”, wznosił na nim od kilku lat – na własną prośbę i za zgodą biskupa wileńskiego Jerzego Matulewicza – monumentalny kościół, który miał stanowić votum za odzyskanie przez Polskę niepodległości. Tuż przy nim stawiał dom parafialny – duży, składający się z czterech kondygnacji. Parafią zarządzał natomiast mieszkając podobnie jak siostry, przy cmentarnej kaplicy. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, zaprawiony w trudach, niezwykle pracowity i wymagający. Co zaplanował – to wykonał.

Cieszył się z ukończonej właśnie kopuły nad nawą główną i z optymizmem patrzył na zaawansowane prace przy budowie wieży, gdy nagle spostrzegł nadchodzącą matkę Bolesławę.

– Za rok wieża będzie gotowa! – zawołał uradowany, witając oczekiwanego już od kilku dni gościa. – I będzie miała... No, niech wielebna matka zgadnie... Siedemdziesiąt osiem metrów!

– O ho, ho! To o trzy metry więcej aniżeli katedra praska w Warszawie – powiedziała z uznaniem, sprawiając tym księdzu przyjemność.

– Ale to jeszcze nie wszystko – dodał z tajemniczym uśmiechem. – Na jej szczycie stanie trzymetrowa figura Matki Boskiej! Jak w Kamieńcu Podolskim!...

Nagle spojrzał na nią uważnie.

– To matka z dworca s a m a s z ł a?! – spytał w osłupieniu. – A gdzie bagaże?

– Chodzić sama, Bogu dzięki, jeszcze potrafię – odparła dobrodusznie. – A bagaże zostały w przechowalni.

Cmentarz Świętego Rocha, na którym już od dawna nie chowano zmarłych, był nieduży, zarośnięty i ogrodzony murem. Spoczy-

wali na nim najwybitniejsi i najbardziej zasłużeni obywatele, a ich piękne i okazałe nagrobki nadawały temu miejscu charakter nie tylko podniosły, ale i zabytkowy.

Matka Bolesława bez trudu odnalazła Biały Domek i mieszkające w nim siostry. Dwie rodzone: siostrę Marię i siostrę Leonardę oraz siostrę Serafinę Przybylską. Miały do swojej dyspozycji pięć małych pokoi i kuchnię. Przełożoną była siostra Maria. To ona – wkrótce po tym, jak zapadła decyzja o likwidacji domu zakonnego w Rzymie – przyjechała do Białegostoku, by zorientować się w możliwości utworzenia w nim nowej placówki. Wówczas też miała okazję poznać księdza kanonika Adama Abramowicza, który przyjął ją entuzjastycznie i wyraził chęć współpracy.

Jak ta współpraca miała wyglądać w rzeczywistości siostry dowiedziały się dopiero po przyjeździe i, trzeba przyznać, mocno się wystraszyły. Ksiądz chciał bowiem, by poprowadziły dom dla starców i otworzyły noclegownię dla bezdomnych. Widząc, że zaszło nieporozumienie – siostry nie zajmowały się bowiem tego rodzaju działalnością – siostra Maria postanowiła wracać do Rato-wa, ale ksiądz kanonik, który „co zaplanował, to wykonał”, za nic nie chciał do tego dopuścić. Zwrócił się do ordynariusza diecezji, arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, aby ten wpłynął jakoś na matkę Bolesławę, wówczas jeszcze przełożoną generalną, i wymógł na niej wprowadzenie tej „drobnej”, jak to określił, korekty w konstytucjach Zgromadzenia. Na odpowiedź nie czekał długo. A chociaż odbiegała ona zasadniczo od oczekiwań, pocziwego skądinąd, księdza kanonika, zastosował się do niej. Zadowolony był, że siostry kwestowały na budowę kościoła.

Tę kwestę siostry prowadziły także na pokrycie kosztów utrzymania przedszkola dla dzieci z ubogich rodzin, które zorganizowały zaraz po przyjeździe. Okazało się ono niezwykle potrzebne,

a mieściło się, z braku innych możliwości, w dość prymitywnym baraku.

Matka Bolesława uprzedzona o trudnej sytuacji białostockiej placówki, przywiozła ze sobą dwieście *złotych*, ale pieniądze te, warte raptem tyle, co dwadzieścia kilogramów cukru, rozeszły się błyskawicznie. Na zrobienie zapasów, zakup choćby ziemniaków czy kapusty na zimę, nie starczyło już środków. Sytuacja przedstawiała się groźnie, lecz nie dla matki Bolesławy. Patrząc na nią można było nawet odnieść wrażenie, że się z tego ubóstwa i niedostatku na swój sposób cieszy. Przejrzała skromny dobytek, oceniła stan spizarni i, przeżegnawszy nożem bochenek chleba, stwierdziła z wyraźną ulgą:

– Z łaski Bożej mamy ubogie warunki. A skoro jesteśmy ubogie, znaczy, że u Boga mamy wszystko.

Nie tylko w Białym Domku, także w innych polskich domach żyło się skromnie. Ludzie pocieszali się myślą, że i na świecie bieda. Zaledwie skończył się wielki kryzys finansowy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a już zaczęły dochodzić straszliwe wieści z Ukrainy o milionach śmiertelnych ofiar panującego tam głodu.

Matka Bolesława zamieszkała w jednym pokoju z siostrą Marią i od razu wzięła się energicznie do pracy. Dzięki jej staraniom wspólnota białostocka tak się rozrosła, że po miesiącu liczyła już piętnaście siostr i trzy postulantki. W wykończonym pięknie przez księdza Abramowicza domu parafialnym przy ulicy Dąbrowskiego siostry urządziły za jego zgodą dwa przedszkola, a kiedy w Białym Domku zrobiło się ciasno, przeniosły się tam również z kursami krawieckimi dla dziewcząt. Kursy te miały wyjątkowe powodzenie, bowiem dziewczęta oczarowane romantyczną i niezwykle kobie-

cą modą zapisywały się na nie nie tyle z chęci zdobycia zawodu krawcowej, co z chęci nabycia umiejętności, dzięki którym mogłyby uszyć sobie coś, na co dotąd spoglądały z utęsknieniem stojąc przed witryną sklepową.

Matka Bolesława obserwowała dziewczęta z przyjemnością, ale i z pewnym zaciekawieniem. Większość urodziła się już w niepodległej Polsce. Miały po szesnaście, siedemnaście lat. Były beztroskie i zupełnie inne od dziewcząt z czasów jej młodości. Roztańczone przy muzyce wydobywającej się z patefonów, oczarowane jazzem, zafascynowane kinem, śpiewające z Hanką Ordonówną „Miłość ci wszystko wybaczy”.

Niektóre, jak choćby Fela Sawicka, mieszkały u sióstr na zasadzie internatu. A zajmując niekiedy pokój sąsiadujący z pokojem matki Bolesławy, przychodziły do niej czasem na rozmowę. Przekonały się bowiem dosyć szybko, że wygląda na dużo bardziej surową, niż jest nią w rzeczywistości. Dzięki tym odwiedzinom matka Bolesława była nie najgorzej zorientowana w tym, co dzieje się na świecie. Wiedziała na przykład, że niejaki Christian Nelson wynalazł na drugiej półkuli lody na patyku, Jadzia Smosarska potrafi rozśmieszać widzów do łez, a Pola Negri, nasza słynna rodaczka, zarabia w Hollywood miliony dolarów jako gwiazda filmowa i lakieruje sobie paznokcie na czerwono.

Słuchała tego wszystkiego uważnie, lecz w duchu obmyślała już sposób, w jaki mogłaby skłonić te młode i czyste dusze do działalności apostołskiej. W końcu zaproponowała im, aby same sprawdziły się w roli aktorek. Przedstawiła im scenariusz na uroczystość Chrystusa Króla i zaprowadziła do sali, w której znajdowała się prawdziwa scena teatralna.

Młody duch, który zakręlował od tej chwili w domu parafialnym, zawładnął także matką Bolesławą. Organizowała próby, ob-

myślała rekwizyty i nieraz do późnej nocy szyła kostiumy, nie zważając na swoje słabe zdrowie.

Spektakl odbył się pod koniec października i spotkał się z gorącym przyjęciem.

Jedna z dziewcząt, Zula Siemiątkowska, tak przejęła się królewską godnością Zbawiciela, że zawołała w pewnej chwili podekscytowana:

- Ale byłoby pysznie mieć takiego króla jak Pan Jezus!
- Pysznie? – zdziwiła się matka Bolesława.
- No, tak się teraz mówi. Znaczy: fantastycznie.
- E..., stara już jestem – matka Bolesława machnęła ręką na swoje usprawiedliwienie. – I, jak widać, okropnie staroświecka.
- Matka stara?! – obruszyła się Zula. – A skąd! Nie widać prawie żadnej zmarszczki na twarzy! Niejedna gwiazda filmowa mogłaby matce pozazdrościć! A z nami to tak czasem matka żartuje, że dosłownie boki można zrywać!

Kilkakrotne powtórzenie przedstawienia ucieszyło nie tylko parafian, ale i księdza kanonika, gdyż przy tej okazji udało się siostrze zebrać znowu trochę pieniędzy.

Niestety, ten młodzieńczy zryw wiele matkę Bolesławę kosztował. Jej stan zdrowia pogorszył się tak bardzo, że zaczęto się poważnie obawiać o jej życie. Kryzys minął jednak szczęśliwie. Po miesiącu nastąpiła poprawa, a zaraz potem zabrała się do przygotowywania jasełek na Boże Narodzenie.

Dzieci z przedszkola, które także miały w nich występować, z przejęciem powtarzały układane przez nią wierszyki. Także ten „Do Świętego Mikołaja”:

*Spiesz się Święty Mikołaju,
zejdź z niebieskich wzgórz.
Grzeczne dzieci cię czekają,*

choć posnęły już.

Przy łóżeczku – anioł biały.

Czuwa Anioł Stróż...

On ci z lekka drzwi otworzy,

a ty – dary złóż.

Znacznie większą kwotę, aniżeli podczas jasełek, udało się siostrze zebrać podczas kolejnej kwesty, a to dlatego, że matka Bolesława szybko wyspecjalizowała się w metodach kwestowania. Zalecała siostrze przede wszystkim organizowanie zbiórek pieniężnych w dniu wypłat. Chodziły więc po fabrykach i urzędach. Starły się o resztki materiałów na ubranka dla dzieci, zbierały produkty żywnościowe. Ludzie dawali, co mogli, a one umiejętnie tym gospodarowały.

Wiosna 1936 roku pachniała tatarakiem. Na rzece Białej znowu pojawiły się zagłówki, nadleciały bociany, zakwitły kaczeńce. Ulice Białegostoku zaroily się od dzieciarni. Dziewczynki ćwiczyły wymyślne podskoki na skakankach, chłopcy grali zapamiętałe w zośkę. Ta nowa gra, wywodząca się z Kresów, zrobiła tak zawrotną karierę, że niemal co krok można było natknąć się na chłopaka podbijającego butem ołowiany krążek z pęczkiem kolorowej włóczki.

Matka Bolesława zajęta licznymi domowymi obowiązkami, rzadko wychodziła na miasto. Niewiele też miała czasu na przeglądanie codziennej prasy. Zdziwiła się więc, kiedy pewnego dnia ksiądz Adam Abramowicz przyszedł do niej w odwiedzinach wzburzony, przypisując ten swój niespokojny stan ducha wiadomościom wyczytanym w gazecie.

– Żle się dzieje... Oj, bardzo źle... – mówił, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. – We Włoszech faszyści, w Niemczech faszyści. Słyszała matka o Adolfie Hitlerze?

– Słyszałam, i co z tego? – odparła. – Czy mam jakikolwiek wpływ na to, co robi i do czego zmierza?

– Ależ to... fanatyczny dyktator! Człowiek opętany! Twierdzi, że Niemcy są „rasą panów”, głosi ich wyższość nad innymi narodami.

Pokiwała głową ze smutkiem.

– Coś mi to przypomina – powiedziała. – Komuniści też zaczęli od wprowadzenia dyktatury jednej partii. A głosili, co? Wyższość jednej klasy społecznej nad pozostałymi.

– Otóż to – podjął ksiądz. – A kto jest wrogiem faszystów? Kto jest wrogiem Adolfa Hitlera?

Popatrzyła na niego z niepokojem.

– Żydzi, Cyganie i Słowianie. Tak, Słowianie! Już teraz są likwidowani skrycie, albo wysyłani do obozów koncentracyjnych.

– To takie obozy jak w Rosji? – zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

– Nie, proszę matki. To są obozy śmierci. Pobudowali ich już w Niemczech podobno dziewięć. W Dachau, Oranienburgu, Berlinie...

Nie mogła uwierzyć.

– Wiele już przeżyłam – wyznała z bólem. – Wiele widziałam niesprawiedliwości. Ale teraz... Mamy przecież wolną Polskę. I traktaty pokojowe. I sojusze z największymi mocarstwami. Co nam może zrobić jakiś Adolf Hitler? Co nam mogą zrobić Niemcy?

– Co? Są naszym sąsiadem i mają wielki apetyt na poszerzenie sobie „przestrzeni życiowej”. To mało?

Jeszcze tego samego roku, latem, siostry zorganizowały półkolonie dla dzieci z ubogich rodzin. Uruchomiły także stołówkę dla bezrobotnej inteligencji przy ulicy Starobojarskiej 12 i dom noclegowy przy ulicy Lipowej 49, w którym znalazły schronienie dziewczęta przybywające do Białegostoku z okolicznych wiosek w po-



szukiwaniu pracy. Wiele z nich schodziło na złą drogę, więc siostry ratowały je wszelkimi możliwymi sposobami. Nie tylko zapomogą czy ciepłym posiłkiem, ale również wyszukaniem odpowiedniego zajęcia. Opiekowały się też chorymi i odwiedzały rodziny żyjące w nędzy.

Matka Bolesława coraz częściej niedomagała, ale nie traciła humoru.

– Cha, cóż począć! Zamiast mieć do czynienia z piekarzem, muszę się zadowalać a p t e k a r z e m – mówiła pogodnie.

Najchętniej jednak nie mówiła wcale o swoich chorobach. Zażywała przepisane lekarstwa, po czym podejmowała kolejne zadania apostolskie.

Szczególnie nowatorskie jak na owe czasy zadanie zleciła siostrze Benignie Kowalkowskiej. Tej samej, której przepowiedziała w Ratowie, że będzie z niej dobra misjonarka. Miała ona wraz z kilkoma innymi siostrami otoczyć opieką więźniarki, przebywające w miejscowym zakładzie karnym.

– I co siostra tak patrzy? – spytała, widząc jej zaskoczenie. – Czy Pan Jezus nie mówił, żeby nieść pomoc uwięzionym? Te kobiety trzeba ratować! A kto im pomoże, jeśli nie my?

Pierwsze pojawienie się siostr w celi było dla więźniarek prawdziwym szokiem. Jeszcze większym okazało się wspólne „święcone”, jakie siostry zorganizowały dla nich z udziałem kapelana więziennego w Wielką Sobotę przed Wielkanocą. Od tej pory przynajmniej raz w tygodniu jedna z sióstr udawała się do więzienia z paczką żywnościową, zabierając ze sobą przy okazji jakieś wartościowe książki albo czasopisma katolickie.

Nie wszyscy doceniali tę na wskroś chrześcijańską posługę sióstr. Byli tacy, których gorszyła ona w równej mierze, co widok więzionych kobiet. Matka Bolesława nie przejmowała się tego rodzaju

opiniami, a uszczypliwe docinki przypadkowych osób, których sama nierzadko była świadkiem, puszczała mimo uszu. Chętnie natomiast słuchała relacji siostry Benigny z tych więziennych spotkań. Okazało się bowiem, ku wielkiej radości sióstr, że wiele więźniarek odzyskało dzięki nim utraconą godność, skorzystało z sakramentów świętych i postanowiło zerwać z grzeszną przeszłością. Niemałą satysfakcję sprawił jej również niezwykle pochlebny artykuł, jaki o więziennej posłudze misjonarek Świętej Rodziny zamieściła „Jutrzenka Białostocka”.

Ograniczenia natury zdrowotnej, które sprowadzały matkę Bolesławę coraz bardziej do jednego tylko miejsca, nie uszczuplały ani trochę jej możliwości oddziaływania na Zgromadzenie. Nadal była osobą aktywną, czuwała nad wszystkim i udzielała instrukcji. To dzięki jej konsekwentnym zabiegom możliwe było przekształcenie dotychczasowych kursów krawieckich w Szkołę Zawodową Krawiecko-Bielizniarską na prawach placówki państwowej. Nadal pracowała intensywnie, a pracując tak właśnie nigdy nie wzniewała wokół siebie szumu, jakim chętnie otaczają się ludzie zabiegający o własną chwałę. Wiele osób, wśród nich także ksiądz Abramowicz, niekwestionowany tytan pracy, zdumiewali się jak to jest, że wszystko u sióstr działa jak w zegarku, tylko tego najważniejszego – zegarmistrza – w ogóle nie widać. Tego, który trybiki tego skomplikowanego mechanizmu nieustannie wprawia w ruch.

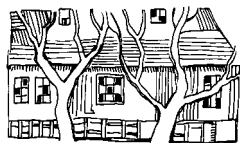
Gdy zaś jakieś siostry uskarżały się jej na którąś z postulantek, mówiła krótko:

– Przyślijcie ją do mnie, będzie dobra. U mnie wszystkie są dobre.

Pewnego dnia zjawiała się u matki Bolesławy pani Aleksandra Puchłowska, właścicielka drewnianego domku z ogrodem przy ulicy Stołecznej 5. Niedługo po tej wizycie pobożna ta niewiasta całą

swoją posiadłość przekazała siostram, sama zaś wstąpiła do Zgromadzenia wraz ze swoją kuzynką jako siostra Onufra.

W drewnianym domku przy ulicy Stołecznej urządzono wkrótce dom zakonny. Wchodziło się do niego przez werandę. Drzwi z prawej strony prowadziły do kaplicy pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa, gdzie przechowywany był Najświętszy Sakrament. Obok mieścił się pokój matki Bolesławy, a w nim zaledwie kilka niezbędnych sprzętów: stół, dwa krzesła, żelazne łóżko, szafka i krzyż z pasyjką. Ogromnie była zadowolona z tego sąsiedztwa. Zapatrzona w ubóstwo swego Mistrza i Oblubieńca, chodziła na co dzień w pocerowanym habicie, ale wyglądała tak, jakby niczego nie brakowało jej do szczęścia.



Pod koniec sierpnia 1939 roku przyjechała do Białegostoku matka Łucja Czechowska. Miała przeprowadzić egzaminy wstępne do Prywatnego Gimnazjum Ogólnokształcącego. Było to kolejne przedsięwzięcie matki Bolesławy, która licząc sobie już siedemdziesiąt siedem lat ciągle wszystkich zdumiewała.

– Pamiętajmy – mówiła, zwracając się do kadry nauczycielskiej tej nowej placówki – że mamy dążyć do tego, aby wyrobić w naszych wychowankach charakter i silne zasady życiowe oparte na miłości Boga i bliźniego. Aby rozbudzać w ich duszach poczucie obowiązku, zapalać je do wytrwałej i bezinteresownej działalności dla społeczeństwa i kraju. Aby rozwijać i utrwalać w ich sercach przywiązanie do Świętej Matki Kościoła i jego głowy, Ojca Świętego...

Wierzyła, że owocem tej pracy będą liczne zastępy młodych wykształconych Polek gotowych służyć Ojczyźnie. Myśl ta napełniała ją niewysłowioną radością. Ona, która w młodości poddawana była surowej tresurze w rosyjskim progimnazjum, teraz sama otwierała drzwi polskiej szkoły swoim rodakom.

Radość sprawiała matce Bolesławie przede wszystkim obecność matki Łucji. Mogła się od niej nareszcie dowiedzieć szczegółów śmierci matki Leokadii. Z wielkim wzruszeniem przyjęła wiadomość, że odchodząc do nieba w opinii świętości została wyróżniona przez Boga wizją Jezusa i Maryi. Ucieszyła się też słysząc, że w Ratowie jest znowu jeden chór, a w Estonii dzieją się rzeczy niezwykle.

– Naprawdę – zapewniała matka Łucja. – W Kivioli, gdzie jedynie nasze siostry mają kaplicę, prawosławni i protestanci zwrócili się do nich, aby także mogli w niej odprawiać swoje nabożeństwa, i co? Władze duchowne pozwolenie siostram wydały i teraz...

– Odprawiają nabożeństwa r a z e m?! – matka Bolesława aż poderwała się z miejsca.

– Razem nie – roześmiała się matka Łucja. – Ale w idealnej zgodzie i porządku, jedni po drugich, jak prawdziwi chrześcijanie.

– Słucham tego jak najpiękniejszej bajki – stwierdziła matka Bolesława. – „Aby wszyscy stanowili jedno”... Czy to już blisko?

– Z perspektywy Pana Boga, dla którego czas nie istnieje, pewnie blisko – odparła matka Łucja. – Nam jednak przyjdzie chyba jeszcze trochę poczekać...

– Pyszenie byłoby to zobaczyć – rozmarzyła się matka Bolesława.

– Pyszenie? – zdziwiła się matka Łucja.

– Tak się teraz mówi, nie wiedziała matka? Znaczący: fantastycznie.



Kochająca Ciotka

Ostatnie dni sierpnia 1939 roku były wyjątkowo upalne. Z kościoła świętego Rocha rozlegał się co pewien czas dzwon na modlitwę, a wówczas gołębie ukryte w cieniu kościelnej wieży zrywały się raptownie do lotu, trzepocąc szarobłękitnymi skrzydłami. W kościele kończono szklenie kopuły, wstawiano okna, tynkowano wewnętrzne ściany.

Siostry, korzystając z pięknej pogody, rozwieszały na sznurkach przed domem zakonnym upraną bieliznę pościelową i cieszyły się, że schnie szybko i pachnie słońcem. Uwijały się także w kuchni, gdyż nieoczekiwany urodzaj owoców przysporzył im sporo dodatkowej pracy. Ogród, będący dotąd oazą spokoju i ulubionym miejscem rekolekcji, stał się w jednej chwili terenem szczególnie radosnej rekreacji. Gruszki i śliwki wabiły bowiem słodkim aromatem nie tylko roje brzęczących owadów, ale i okoliczną dzieciarnię, dla której furka prowadząca do ogrodu sióstr przy ulicy Stołecznej zawsze była otwarta.

Ruch panował również wokół domu parafialnego przy kościele. Grzeczne przedszkolaki stawiały tam pod okiem sióstr babki z piasku, grały w „piłkę do dołka” i przytulały szmaciane lalki, mniej grzeczne natomiast wołały z pasją „skuś baba na dziada!”, żeby komuś nie udało się na przykład ustać zbyt długo na bocianiej nodze albo dobiec pierwszemu do mety. Wtedy do tych mniej grzecznych

podchodziła siostra i tłumaczyła, że nie wolno nikomu źle życzyć, a one patrzyły na nią zdziwione i zawstydzone.

Co jakiś czas uwagę dzieci i sióstr zwracały pojawiające się na horyzoncie sympatyczne panienki w odświętnych sukienkach. Każda pytała najpierw z miłym uśmiechem o internat dla dziewcząt, a następnie znikwała w głębi budynku.

Matka Bolesława, choć zmęczona już mocno upałem, była naprawdę szczęśliwa. Egzamininy do gimnazjum zdało pomyślnie aż osiemdziesiąt dziewcząt. One również wyglądały na zadowolone i nie mogły się wprost doczekać chwili, gdy rozlegnie się wreszcie pierwszy szkolny dzwonek.

I oto – kiedy już wszystko zdawało się być dopięte na ostatni guzik – stało się to, czego nikt się nie spodziewał. Nagle i zupełnie nieoczekiwanie Niemcy dokonali zbrojnej napaści na Polskę.

Był piątek 1 września 1939 roku. O świcie nad położonym dwadzieścia kilometrów od granicy polsko-niemieckiej Wieluniem pojawił się szyk niemieckich samolotów. Eskadra stukasów okrążyła miasto. Pierwsze bomby spadły na Szpital Wszystkich Świętych. Zaraz potem całe miasto legło w gruzach. W tym samym czasie stojący w gdańskim kanale portowym niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein” przystąpił do ostrzeliwania Westerplatte. Adolf Hitler, stosując się do wcześniejszych uzgodnień poczynionych z Józefem Stalinem, uderzył na Polskę, rozpoczynając tym samym – drugą wojnę światową.

W gruzy obracały się kolejne miasta i wioski, w garstkę popiołu plany i marzenia ich mieszkańców. Wszędzie pełno było zabitych i rannych. Nadlatujące co chwila niemieckie junkersy wywoływały za każdym razem śmiertelną panikę. Ludzie uciekali w popłochu przed wrogiem, a uciekając kierowali się instynktownie ku wschodniej granicy.

Białystok, znajdujący się stosunkowo daleko od frontu, był w owych pierwszych dniach wojny miejscem względnie spokojnym. Zaczęto zatem dowozić do niego pociągami rannych żołnierzy, których następnie lokowano w szpitalach. Podjęto też niezbędne działania obronne, uruchomiono system alarmowy na wypadek nalotów. Odtąd przeciągły dwuminutowy ryk syren fabrycznych miał ostrzegać wszystkich przed zbliżaniem się niemieckich bombowców.

Patrzyła na to Matka Boska z wieży kościoła świętego Rocha, patrzyli zaniepokojeni parafianie. Większość z nich była przekonana, że wojna nie potrwa długo. Piechurzy z 42. białostockiego pułku podjęli wprawdzie walkę z Niemcami w rejonie Myszyńca, ale wojewoda białostocki zapowiedział wyraźnie, że szkoły powinny już od 11 września działać „w miarę możliwości” normalnie.

– Nie bardzo chce mi się w to wierzyć – wyznał w rozmowie z matką Bolesławą zaprzyjaźniony z siostrami pan Maroszek, który wraz z żoną i synkiem Jasiem nieraz odwiedzał je, służąc życzliwą radą.

I rzeczywiście. Jego czarny scenariusz zaczął się już wkrótce sprawdzać.

15 września Niemcy wkroczyli do Białegostoku.

Na ulicach pojawiły się mundury żołnierzy Wehrmachtu i tajnej policji gestapo. Ludność w obawie przed represjami, zaczęła masowo uciekać z miasta.

Siostry pozostały, aby otoczyć opieką najbardziej potrzebujących. Szykowały właśnie kolejną porcję paczek żywnościowych i materiałów opatrunkowych dla ukrywających się rannych żołnierzy, gdy nagle drzwi domu zakonnego otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich siostra Benigna.

– Zabrali księdza Abramowicza! – wykrzyknęła zdyszana.

– Skąd ta wiadomość? – spytała matka Bolesława z niedowierzaniem.

– Od naszego kościelnego! Gestapowcy podjechali pod plebanię, zrobili u księdza rewizję i wywieźli go do lasu pod Choroszczą! Wraz z innymi! Żeby ich rozstrzelać!

Matka Bolesława pobladła.

– N a k o l a n a! – zawołała.

A gdy siostry pokłękaly, zaczęła się modlić.

– Boże, ratuj kapłanów... Ocal księdza Abramowicza...

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęły w intencji księdza nowennę do świętego Józefa.

Kiedy zjawił się nazajutrz na plebanii, siostra Jadwiga Sztrauch w pierwszej chwili go nie poznała. Tak strasznie był zmieniony.

– To ja, siostrzyczko... To ja... – odezwał się zeszywniałymi wargami. – Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Większość została tam, w lesie, już na zawsze... Mnie kulka ominęła. Dlaczego? Bóg jeden wie... Czy to nie c u d o w n e zrządzenie losu?

– Istotnie, cudowne – przyznała niezwykle poruszona. – Matka Bolesława bardzo się ucieszy.

Niemcy zajęli Białystok, lecz najwyraźniej nie zamierzali organizować w nim własnej administracji cywilnej. Spostrzeżenie to napełniło wszystkich nadzieją, że wojna rzeczywiście skończy się lada moment i okupant opuści granice państwa. Wierzone przede wszystkim, że Anglia i Francja, z którymi Polska związana była sojuszami, pospieszą jej z pomocą. Ale ani Anglia, ani Francja nie zamierzały pomóc Polsce. Wojska niemieckie wycofały się wprawdzie z Białegostoku, lecz ich miejsce zajęły niemal natychmiast wojska sowieckie. Wschodnie tereny Rzeczypospolitej sięgające aż po Bug znalazły się nieoczekiwanie pod okupacją Sowieców. Do-

szło do tego na mocy tajnego paktu Ribbentrop – Mołotow, który Niemcy zawarli z Sowietami niecały miesiąc wcześniej.

Rankiem 17 września na granicy polsko-sowieckiej zapanował nagle straszliwy chaos. Widok wojsk Armii Czerwonej wkraczających na teren Rzeczypospolitej Polskiej, wywołał w pasie przygranicznym konsternację i szok wśród okolicznej ludności. Bo też szczególnie był to najeźdźca. Zajmując obce terytorium, wmawiał jego obywatelom, że czyni to jako sojusznik w walce z Niemcami. Ludzie stali i patrzyli w osłupieniu na nadciągające nieprzebraną falą oddziały czerwonarmistów, ci zaś, działając przez zaskoczenie, bez przeszkód taranowali graniczne posterunki, wymachiwali białymi flagami i zapewniali, że przybywają w celach pokojowych. Nacierająca piechota, sunęły czołgi. Z otwartych wieżyczek rosyjskich *tanków* rozlegały się co jakiś czas okrzyki czołgistów, wzywające Polaków do podjęcia wraz z nimi walki z Niemcami.

– *Wpieriod, rebjata! Na Germanca!* – wykrzykiwali zapamiętane.

Zaskoczeni byli przede wszystkim polscy żołnierze i oficerowie zgrupowani w okolicznych miejscowościach. Nie otrzymawszy w porę hasła do walki obronnej, próbowali stawiać opór na własną rękę, ale przewaga wroga była druzgocąca. Niemal wszyscy trafili do sowieckich obozów jenieckich. Wkrótce tysiące polskich jeńców wypełniło sowieckie obozy w Charkowie, Katyniu, Starobielsku, Ostaszkowie, Miednoje...

Prawda okazała się porażająca.

Niemcy i Sowietci, działając w myśl własnych zbrodniczych interesów, dokonywali oto na oczach świata kolejnego – czwartego rozbioru Polski. Rzeczpospolita Polska, która zaledwie dwadzieścia lat cieszyła się niepodległością, znowu zniknęła z mapy Europy. Rząd Polski na czele z prezydentem Ignacym Mościckim, zmuszony zaistniałymi okolicznościami, opuścił kraj i przedostał się do Rumunii.

Tę ostatnią smutną wiadomość przyniósł matce Bolesławie ksiądz Abramowicz.

– Prezydent Ignacy Mościcki... – powtórzyła ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. – Taki wielki człowiek, uczonej, Polak... Czy ksiądz wie, że to on był owym zamachowcem, który przed laty skonstruował bombę i targnął się na życie rosyjskiego generała gubernatora Hurki? O, dawne to czasy. Byliśmy wtedy jeszcze pod zaborami...

– Teraz też jesteśmy – przerwał jej brutalnie. – Oby nie na kolejne sto dwadzieścia trzy lata.

Armia Czerwona wkroczyła do Białegostoku i natychmiast miejsce swastyki, symbolu III Rzeszy Niemieckiej, zajęła sowiecka pięcioramienna czerwona gwiazda. Władzę w mieście przejęli komuniści. Ich nadrzędnym celem była likwidacja państwa polskiego. Zaczęły się prześladowania, mordy i egzekucje. NKWD, naczelny sowiecki organ represyjny, miał pełne ręce roboty. Pierwszymi ofiarami enkawudzistów stała się polska elita. Znikali bez śladu polscy oficerowie, policjanci, sędziowie, uczeni, nauczyciele, działacze polityczni, urzędnicy i księża. Rozpoczęły się masowe wywózki na Sybir.

Kościół na wzgórzu świętego Rocha nie był jeszcze ukończony, ale to nie sprawa ukończenia jego budowy była przyczyną bezsensownych nocy księdza Abramowicza. Bał się, i to bardzo, aby bezbożny i barbarzyński okupant nie dokonał zbezczeszczenia tego świętego miejsca, przeznaczając go na cele świeckie. Oznajmił zatem pewnego dnia parafianom, że odprawianie nabożeństw przenosi z kaplicy cmentarnej, gdzie odbywały się do tej pory, do kościoła, w którym nadal miały być prowadzone prace wykończeniowe.

– Słuszna decyzja – przyznała matka Bolesława. – Szkoda tylko, że droga do kościoła pod górkę. Mnie to wprawdzie nie przeszkadza

dza, ale moim nogom coraz trudniej chodzić – uśmiechnęła się, wsparta na opiekuńczym ramieniu siostry Elekty.

Obawy księdza Abramowicza okazały się słuszne.

Sowieci zorientowawszy się, że w kościele jest już zbudowane pierwsze piętro wewnętrznych galerii, postanowili zabrać księdzu kościół i urządzić w nim – cyrk. Żeby odciągnąć ich od tego haniebnego zamiaru, parafianie wraz z księdzem zdecydowali się na podjęcie negocjacji. Wówczas padło groźne słowo: kontrybucja. Kwota, jaką wierni mieli złożyć okupantowi w zamian za ocalenie kościoła okazała się znaczna, mimo to nie oszczędzili ani pieniędzy, ani kosztowności. Sowieci tymczasem okup przyjęli, księdzu powiedzieli na odchodne „*czort s taboju*”!, a po jakimś czasie zaczęli domagać się kolejnej daniny.

Nowe władze zmieniały w pośpiechu wygląd miasta, zacierały jego polski charakter. Zmianie uległy przede wszystkim nazwy ulic. Na tablicach widniały teraz nazwiska działaczy partyjnych i wodzów rosyjskiej rewolucji. Nie było dnia ani godziny, aby Polacy nie czuli się boleśnie upokarzani przez okupanta.

Siostra Gemma Wołoszyn przybiegła któregoś dnia, trzęsąc się cała ze zdenerwowania.

– Rozbierają ratusz! Będą stawiać na jego miejscu p o m n i k S t a l i n a! – wołała już od drzwi. – Będą go stawiać n a s z y m i rękami!

Sowieci zezwolili początkowo na otwarcie szkół, ale już po czterech miesiącach Prywatne Gimnazjum Ogólnokształcące, którego dyrektorką była siostra Jadwiga Sztrauch, zamknięto. Wyposażenie szkoły zostało siostrom zabrane i przewiezione do państwowej dziesięciolatki.

Podobny los spotkał inne domy zakonne Zgromadzenia. Wojska sowieckie zajęły klasztor w Holszanach. Przestały istnieć placówki w Albertynie i Rosi.

Zaczęły się wywózki do obozów w głąb Rosji.

Siostra Jadwiga Sztrauch uniknęła więzienia tylko dlatego, że zdołała się w porę ukryć. Matka Łucja Czechowska z kolei wyruszyła do Rudki, by wesprzeć tam osamotnione siostry, lecz finał tej wyprawy okazał się dla niej tragiczny. Ciężko ranna w nogę, musiała uchodzić do *Generalnej Guberni*.

W tej sytuacji matka Bolesława przejęła znowu, tym razem z konieczności, ster rządów w Zgromadzeniu. W Zgromadzeniu, które już po raz trzeci utraciło całą swoją własność.

– Każą nam zdjąć habity i nosić świeckie ubrania? – mówiła, gdy Sowieci wprowadzili kolejne zaostżenia. – Wola Boża... Najważniejsze, żebyśmy Jezusa nie przestały nosić w sercu.

Siostry zmuszone do zamknięcia internatu i jadłodajni dla ubogich, zajmowały się odtąd głównie pielęgnacją chorych w ich mieszkaniach, choć nie najgorzej przedstawiała się także sprawa prowadzonego przez nie przedszkola w domu parafialnym przy ulicy Dąbrowskiego. Sowieci zgodzili się je zarejestrować pod warunkiem, że dzieci będą kierowali do niego sami, według własnych kryteriów. Utworzyli też specjalną grupę, składającą się z dzieci sowieckich wojskowych. Grupą tą opiekowała się siostra Ludmiła Bielicka. Z pracy sióstr byli zadowoleni. Oceniali ją wysoko i wynagradzali również stosunkowo nieźle, jednak i tak dochodziło do zatargów, gdy tylko pojawiał się temat wychowania religijnego. Siostra Benigna Kowalkowska, która odmówiła zdjęcia krzyża z przedszkolnej sali, została przez nich natychmiast zwolniona z pracy.

Matka Bolesława doceniała odważną i bezkompromisową postawę sióstr, ale też często przestrzegała je, by nie narażały się bez potrzeby. Te zaś, które były zatrudnione w przedszkolu musiały składać jej regularnie sprawozdania i stosować się ściśle do jej wytycznych.

Starala się także, i to z wyjątkowym uporem, o pracę przynajmniej dla kilku siostr w miejscowym szpitalu, ale zabiegi te, choć ponawiane wielokrotnie, speszły na niczym.

Widząc przygnębienie na jej twarzy z tego powodu, ksiądz Abramowicz zapytał kiedyś:

– Dziwi się matka? Naprawdę? Toż oni tam teraz swoje *miedsiestry* zatrudniają! Swoje *sowieckie żenszczyzny!* A nasze – na zsyłkę, ot co! Takich tośmy czasów doczekali.

– Straszne rzeczy ksiądz prałat mówi...

– Straszne? – zdziwił się. – Tylko patrzeć jak i nas posła w te ichnie *kazamaty!*

Nie były to słowa mogące przynieść pociechę. Jednak matka Bolesława wcale słów pociechy nie oczekiwała. Nie czuła się kimś przegranym, kimś kto stoi na straconej pozycji. Żyła nadzieją i była przekonana, że okrucieństwo też ma swoje granice. Zgromadzenie utraciło wiele placówek, to prawda. Siostry żyły w rozproszeniu, nie miały często pracy i dachu nad głową, to też prawda. Ale żadna z nich nie poddała się zwątpieniu, nie opuściła bezradnie rąk. Były więzione i wywożone na przymusowe roboty, lecz nie traciły ducha. Wszędzie, gdzie rzucił je los, zakładały nowe placówki. Dokonywały tego nie zważając na strach, zimno i głód. Dowiadywała się nieustannie o ich heroizmie z ustnych relacji bądź z nadchodzącej korespondencji. Niestety, i ta szybko została objęta cenzurą.

Pisząc do Ratowa, musiała już niebawem dokonywać nie lada sztuki, aby przekazać siostronom najważniejsze wieści w sposób nie budzący podejrzeń. Zwracała się do nich: „Drogie kuzynki” albo „Kochane panienki”, a ich imiona umyślnie zdrabniała, nazywając je Olesiami czy Anulkami. Jeden z listów podpisała: „Wasza Kochająca Ciotka MB”.

Ogromnie martwiła się o matkę Łucję Czechowską.

– Generalna Gubernia... – powiedziała kiedyś w zamyśleniu do siostry Gemmy. – Mówią, że Niemcy traktują ją jak kolonię, a mieszkających tam Polaków jak niewolników. Że zabijają ich w komorach gazowych. Tymczasem niemiecki gubernator Hans Frank urzęduje sobie w najlepsze w Zamku Królewskim na Wawelu... Mój Boże, tylu już ludzi zginęło, tylu ginie. Boję się, żeby i matce Czechowskiej nie przydarzyło się coś złego...

Wojna zdawała się ogarniać cały świat. Żołnierze walczyli na odległych, nierzadko egzotycznych frontach. Rosła potęga Niemiec. Doszło w końcu do sytuacji, której nikt wcześniej nie był w stanie sobie wyobrazić.

22 czerwca 1941 roku we wszystkich oknach Białegostoku zdarzały nieoczekiwane szyby, a całe miasto zerwało się na nogi. Na dworzec kolejowy zaczęły nagle spadać bomby. Ludzi na nowo ogarnęła panika. Nikt nie spodziewał się niemieckiej ofensywy, tymczasem – stała się ona faktem. Hitler, czując się panem Europy, postanowił puścić w niepamięć niedawną zażyłość ze Stalinem oraz zawarty z nim pakt pokojowy i pójść dalej, tym razem na wschód, wysyłając przeciw Sowietom trzy potężne armie.

Niemcy i Rosja sowiecka, dwa militarne giganty, które od prawie dwóch lat okupywały Polskę, toczyły teraz ze sobą wojnę na śmierć i życie.

Po pięciu dniach od opuszczenia miasta przez władze sowieckie, wkroczyły do niego ponownie niemieckie wojska. Władzę przejął zarząd cywilny, który ulokował się w pałacu Branickich. Rozpoczęła się bezwzględna okupacja. Likwidowano systematycznie polskie wioski, a ludność rozstrzeliwano masowo bądź wywożono do niemieckich obozów koncentracyjnych. W synagodze białostockiej Niemcy już w pierwszych dniach spalili prawie ośmiuset Żydów.

Pozostałych zamknęli w getcie, skąd wywozili ich koleją do obozu śmierci w Treblince. Siostrzom zezwolili wprawdzie na noszenie habitów, ale polskie szkoły pozamykali i zarządzili powszechną germanizację. Na takie zarządzenie okupanta misjonarki miały tylko jedną odpowiedź: tajne nauczanie.

– Trzeba mieć się mocno na baczności – przestrzegali ksiądz Abramowicz matkę Bolesławę. – To niezwykle niebezpieczna gra.

– Siostry przyzwyczajone – odrzekła, częstując go uzbieranymi w ogrodzie truskawkami. – Proszę lepiej uważać na siebie. Wiem, że Polska jeszcze nie zginęła, że mamy Polskie Państwo Podziemne, że Armia Krajowa walczy, i że ksiądz jest jej... kapelanem?

Skinął głową.

– Proszę zatem mieć się na baczności...

Niedługo po tej rozmowie siostry rozpoczęły kursy katechetyczne, przygotowujące dzieci i młodzież do przyjęcia sakramentów świętych. Kursy te, organizowane w domu parafialnym oficjalnie, stały się idealną okazją do uruchomienia zaraz po wakacjach nieoficjalnej, tajnej szkoły. Szkoła liczyła siedem klas, a nauczaniem objęto w sumie około trzystu uczniów. Wszyscy byli zobowiązani do zachowania nadzwyczajnej ostrożności, gdyż lekcje odbywały się w budynku na drugim piętrze, tymczasem na parterze mieszkał od jakiegoś czasu młody gestapowiec.

Jego kontrolne wizyty, choć przyprawiały dzieci o przyspieszone bicie serca, nie zdołały ostudzić ich gorącego pragnienia zdobywania wiedzy. Pragnienie to nie osłabło nawet wówczas, gdy siostra Benigna została któregoś dnia przyłapana przez niego na prowadzeniu zajęć szkolnych. Uratował ją wówczas błyskawiczny refleks i znajomość języka niemieckiego.

– To... w ramach akcji germanizacyjnej – oświadczyła z uśmiechem, nie tracąc zimnej krwi. – Zorganizowałyśmy właśnie dzieciom komplety języka niemieckiego.

Po tych słowach dała uczniom znak, a oni zaczęli wyliczać chórem:

– Eins, zwei, drei...

Gestapowiec ogarnął dzieciaki zimnym wzrokiem, po czym rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Polskie sztuczki!...

Po jego wyjściu w sali zapanowała śmiertelna cisza.

– Siostrzko – odezwał się nagle jeden z chłopców. – My się za siostry modlimy. Codziennie. Modlimy się i wierzymy, że Pan Bóg ocali nas i naszą Ojczyznę.

Matka Bolesława, już prawie osiemdziesięcioletnia, czuwała nad wszystkim z bolesnym drżeniem serca.

Pewnego ranka dotarła do niej wstrząsająca wiadomość z Majówki, wioski oddalonej o dziesięć kilometrów od Białegostoku. Personal świecki zatrudniony w tamtejszym sierocińcu opuścił dzieci na wieść o wkroczeniu wojsk niemieckich, okradając je uprzednio ze wszystkiego. Usłyszawszy o tym gorszącym incydencie i pozostawionych bez opieki sierotach, wysłała tam natychmiast furmanką cztery siostry z zaopatrzeniem.

Wróciły po dwóch tygodniach razem z dziećmi. Różne to były dzieci – polskie, rosyjskie i żydowskie. Ich dalszy los znalazł się nagle w rękach matki Bolesławy. A sprawa nie była prosta, zwłaszcza w kwestii wyżywienia. Od burmistrza, Niemca, siostry otrzymywały na potrzeby sierocińca niezwykle skąpe fundusze. Chcąc wykarmić siebie i sporą gromadkę dzieci, musiały chwycić się różnych sposobów. Siostrzko Benignie, w zamian za pieczone torty, udawało się czasem dostać z niemieckiej kuchni worek łbów i ogonów, na

których gotowały zupy. Niekiedy wrzucano jej do takiego worka coś z wędliny. Najpewniejszym ratunkiem okazywała się jednak kwesta i datki składane przez parafian.

Matka Bolesława z macierzyńską troską odnosiła się do wszystkich potrzebujących i z podziwem patrzyła na księdza Abramowicza, który z wielką ofiarnością pomagał Żydom, narażając często kroć własne życie. Równie macierzyńską troską i miłością otaczała siostry zakonne. Kiedy siostra Sabina Zajdzińska szykowała się do wyjazdu na inną placówkę, obejrzała dokładnie jej ubranie, a następnie powiedziała do siostry Benigny:

– Proszę dać jej moje, cieplejsze.

– Ależ... Mateczka już nawet wszystką swoją bieliznę siostronom oddała – próbowała oponować siostra. – Pozostała już tylko ta jedna, ostatnia sztuka...

– Proszę zatem dać tę ostatnią – zarządziła. – Ja jestem w domu, nie zginę.

Boleśnie przeżyła śmierć brata Antoniego.

Niedługo potem przyszła wiadomość o śmierci księdza Kazimierza Konopki. Zginął 26 czerwca we Lwowie od kuli sowieckiego żołnierza, jednego z wielu, którzy opuszczali to miasto w popłochu pod naporem nacierających wojsk hitlerowskich.

Siedziała pewnego dnia w pokoju i robiła porządek w szufladzie, bacząc, aby w razie rewizji nic cennego nie dostało się w niepożądaną ręce, gdy nagle spośród zapisanych odręcznie kartek wysunął się wyblakły arkusik z fragmentem „Psalmu wiary” Zygmunta Krasieńskiego. Widok równiutkich liter skreślonych dawno temu ręką matki, wzruszył ją niezmiernie.

Założyła okulary i zaczęła czytać:

*Takim jest naród Twój polski, o Boże!
Kto częścią jego – niech wie się Twój woli
Częścią na ziemi – a choć go świat boli
Tak, że aż zważyć o nadziei może,
Niech w tym cierpieniu wytrwa niestychanem,
Boć on, zaprawdę, w Twego ducha chrzczoney,
Boć on, zaprawdę, Twym ziemskim kapłanem,
Jeśli pojmuje, że kochasz bezmiernie
Synów tych, których koronujesz w ciernie,
Bo cierń, w krwi maczan – to kwiat wiecznotrwały –
I nim odmładzasz świat Ludzkości cały!*

Siostra Elekta Kęsicka, która już od kilku lat pełniła przy matce Bolesławie posługę pielęgniarską, zastała ją siedzącą przy stoliku nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Wielebna matka źle się czuje? – zapytała z serdeczną troską.

Ale matka Bolesława nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko tak jakoś inaczej niż zwykle.

Za to jesienią stan jej zdrowia uległ nagłemu pogorszeniu. Paraliż objął prawą stronę ciała, powodując usztywnienie ręki i nogi. Z powodu nasilającego się bólu często nie spała w nocy. Nie skarżyła się jednak, a siostrę Faustynę Boruto, która chciała okazać jej współczucie, powstrzymała kiedyś słowami:

– Nie mów nigdy, że jest za ciężko, że za dużo cierpienia. Pan Jezus nigdy nie daje za dużo. Daje tylko tyle, ile można znieść...



Do zobaczenia w niebie

Leżenie w łóżku, do którego zmusiła matkę Bolesławę ciężka choro-
ba, nie miało bynajmniej nic wspólnego z tym, co można by okre-
ślić mianem błogiej bezczynności. Nadal pozostawała mózgiem
i sercem Zgromadzenia. Siostry mogły wchodzić do jej pokoju
praktycznie bez żadnych ograniczeń, tak w sprawach ważnych, jak
i po to tylko, żeby z nią porozmawiać. Nie nadużywały jednak tego
przywileju, wiedziały bowiem, że nadal pracuje. Tym razem nad Dy-
rektorium, stanowiącym komentarz do Konstytucji Zgromadzenia,
które postanowiła ubogacić dodatkowo czytaniem duchowymi.
Opracowywała je w wielkim skupieniu, głównie z myślą o siostrach,
które przebywając na odległych placówkach pozbawione były często
dostępu do lektur o charakterze teologiczno-ascetycznym.

Dopóki to było możliwe, sporządzała notatki sama, lewą ręką.
Kiedy jednak czynność ta okazała się zbyt trudna, dyktowała po-
szczególne fragmenty siostrze Elekcie, która coraz sprawniej posłu-
giwała się maszyną do pisania.

W grudniu 1941 roku Niemcy podeszli aż pod Moskwę. Przez
ziemie polskie zdążyły na wschód tysiące żołnierzy Wehrmachtu,
ciągnąc ze sobą ciężki sprzęt wojskowy.

Za oknem wirowały drobne płatki śniegu, kiedy matka Bolesła-
wa, jakby wyrwana ze snu, zapytała:

– Czy ksiądz Jacewicz jest jeszcze u nas?

Siostra Elekta zbliżyła się do łóżka zaniepokojona.

– Ksiądz Marian Jacewicz wyjechał z końcem lipca – powiedzia-
ła do chorej głośno, tak by usłyszała, poprawiając jej przy okazji
koldrę.

– I ten kapłan, który był z nim też wyjechał?

– Tak, proszę matki – odparła i zaraz dodała z uśmiechem: – Za-
równo ksiądz Jacewicz, jak i ksiądz Stanisław Krawczyk odjeżdżali
z wdzięcznym sercem.

– Byli u nas rok? – usiłowała sobie przypomnieć.

– Nie, proszę matki. Dwa lata. Wybuch wojny zaskoczył ich w Bia-
łymstoku. Nie mieli wówczas ani pracy, ani środków do życia...

– Tak, tak – westchnęła.

Przez czas jakiś trwała w zamyśleniu, zapatrzona w płatki śniegu
kołujące w nierównych podmuchach wiatru.

– Miałyśmy wielkie szczęście, siostrze – odezwała się po chwili. –
Gościłyśmy w naszych skromnych progach neoprezbitera obrząd-
ku wschodniego. Mogłyśmy uczestniczyć w odprawianej przez nie-
go pierwszej Mszy Świętej, przyjmować Pana Jezusa pod dwiema
postaciami... A tamte cztery dziewczynki obrządku wschodniego,
które miałyśmy w internacie – przypomniała sobie nagle – są u nas
jeszcze?

– Są, proszę matki.

– One mają u nas zniżkę, pamięta siostrze – zauważyła stanow-
czym tonem.

– Pamiętam, proszę matki.

Czas jakiś leżała spokojnie. Ale zaraz nowa myśl zaprzętnęła jej
umysł.

– Siostrze?

– Słucham, proszę matki.

– Założyłam Zgromadzenie, aby uchronić naszych rodaków rozsianych po ziemiach wschodnich przed utratą wiary, ale i dla nawrócenia Rosji. Pracowałyśmy tam przez dwadzieścia lat i jeszcze tam powrócimy.

– Tak, proszę matki.

– Powrócimy, skoro tylko zaistnieją po temu odpowiednie warunki. Czy siostra uczy się rosyjskiego? – zapytała, patrząc na nią badawczo. – To dobrze. *Eto oczeń charaszo*, siostra Elekta...

Rosja zajmowała w myślach matki Bolesławy wciąż to samo szczególne miejsce. Powracała refrenem nieustannej modlitwy. Wszystkie cierpienia swojej ciężkiej choroby ofiarowywała za nią i za pojednanie chrześcijan w Kościele.

Zdarzało się czasem, że Mszę Świętą w kaplicy sióstr odprawiali wieczorem niemieccy księża. Siostry częstowały ich wtedy kolacją. Kiedy jednak w wieczór wigilijny przed świętami Bożego Narodzenia zastukał do drzwi kapłan w niemieckim mundurze, siostra Benigna poczuła się trochę nieswojo. Po pierwsze dlatego, że w wigilię, jak wiadomo, Mszy Świętej wieczornej się nie odprawia, a po drugie, że tym kapłanem był ksiądz Jurgens, ponurak o niezbyt sympatycznym wyglądzie.

Chciała zapytać go o cel wizyty, gdy nagle z pokoju matki Bolesławy, skąd dochodziły łagodne dźwięki śpiewanej przez siostry kolędy, wyjrzała siostra Elekta.

– Czyżby ksiądz miał ochotę zająć dzisiaj przy naszym stole miejsce przeznaczone dla niespodziewanego gościa? – zagadnęła z uśmiechem.

Odważemnił uśmiech i szybko zdjął płaszcz.

W pokoju unosił się zapach choinki i wigilijnych potraw. Matka Bolesława leżała na łóżku przysuniętym do stołu nakrytego bia-

łym obrusem. Przy stole, w migotliwym blasku świec, siedziały siostry i śpiewały „Cichą noc”. Zaniemógł na ten widok. W oczach zabłysły mu łzy. Była to ta sama kolęda, którą w dzieciństwie śpiewała mu matka, którą sam śpiewał tyle razy w gronie najbliższych, najbardziej kochanych osób.

Stille Nacht! Heilige Nacht!

Alles schläft, einsam wacht...

Miesiąc później Niemcy ponieśli pierwszą klęskę w rozpetanej przez siebie wojnie – nie zdobyli Moskwy. A rok później, w lutym 1943 roku zostali zmuszeni przez Sowietów do kapitulacji pod Stalingradem. Wojska niemieckie zaczęły wycofywać się z Rosji. Przesuwający się w kierunku okupowanej Rzeczypospolitej Polskiej front sprawiał, że Białystok był coraz częściej bombardowany.

Za każdym razem, kiedy rozlegał się ostrzegawczy głos syreny, wszyscy zbiegali do schronu. Matka Bolesława nie pozwalała, żeby ją tam przenoszono.

– Umrę, ale w swoim łóżku – powtarzała niezmiennie.

Zostawała z nią wówczas siostra Elekta, na której spoczywał również obowiązek pilnowania sąsiadującej z pokojem matki kaplicy.

Wiosna 1943 roku, po której spodziewano się szybkiego zakończenia wojny, nie różniła się specjalnie niczym od ostatnich polskich wiosen. Bzy pachniały wciąż tak samo intensywnie wśród ruin i zgliszcz, a w obozach koncentracyjnych wciąż tak samo ginęli niewinni ludzie. Jednak Polska, będąca już czwarty rok pod okupacją obcych mocarstw, nie rezygnowała z walki. Działał emigracyjny Rząd Polski w Londynie, działało Polskie Państwo Podziemne.

Na Białystok spadały bomby, lecz ksiądz Abramowicz zdawał się ich jakby nie zauważać. Ze spokojem układał posadzkę w kościele św. Rocha, instalował dębową ambonę. A będąc tak przykładowym i zapracowanym proboszczem, z równym zaangażowaniem i spokojem uczestniczył w życiu konspiracyjnym.

Była połowa kwietnia, kiedy zjawił się w domu sióstr po dłuższej przerwie. Siostra Elekta, widząc, że jest czymś mocno zdenerwowany, sprzeciwiła się kategorycznie jego rozmowie z matką Bolesławą, lecz ta, słysząc w pobliżu podniesione głosy, sama zaprosiła gościa do pokoju.

– Gdybym nie znał matki tak dobrze – zaczął, z trudem hamując wewnętrzne wzburzenie – nigdy bym się nie ośmielił jej niepokoić. Wiem jednak, co znaczy dla niej: Bóg, Honor i Ojczyzna...

– Niech więc ksiądz mówi z czym przyszedł – przynaglała zniecierpliwiona.

– Radio berlińskie podało wiadomość, że w lasach katyńskich w okolicy Smoleńska odkryto masowe groby polskich oficerów – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Groby t y s i ę c y polskich jeńców wojennych zamordowanych strzałem w tył głowy przez sowieckie NKWD...

Urwał nagle, szarpany bolesnym łkaniem.

Matka Bolesława zacisnęła powieki.

– Słyszałam od pana Maroszka – odezwała się po chwili – że generał Władysław Sikorski, premier naszego rządu w Londynie, już od dawna interesował się ich losem, ale Stalin zbywał go jakimiś bajkami twierdząc, że uciekli ponoć do Mandżurii...

– Bajki Stalina ociekają krwią, podobnie jak on sam – stwierdził ksiądz Abramowicz. – Ale teraz – odkryto groby! Są dowody zbrodni l u d o b ó j s t w a. Mimo to ostatnia bajka Stalina głosi, że to nie Sowieci, lecz... Niemcy jej dokonali! Generał Sikorski

zaządał zbadania tej sprawy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Milczeli chwilę, wpatrując się w Najświętszy Sakrament ustawiony nieopodal, w kaplicy.

Z ogrodu dochodziły popiskiwanie szybujących w powietrzu jaskółek.

– Biedna Rosja... – powiedziała nagle matka Bolesława w zamyśleniu. – Biedny nasz generał Sikorski.

– Myśli matka, że... – zaczął, ale nie dokończył.

Przypomniał sobie jednak to niedokończone zdanie, kiedy niecałe trzy miesiące później generał Władysław Sikorski zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w pobliżu Gibraltaru w katastrofie lotniczej, a on sam, wraz z innymi kapłanami i ludnością cywilną, znalazł się w niemieckim więzieniu w charakterze zakładnika.

Szczególnie niebezpiecznie zrobiło się, gdy latem 1944 roku sowiecka Armia Czerwona przystąpiła do generalnej ofensywy. Niemcy pod jej naporem przyspieszyli wycofywanie swoich wojsk, w wyniku czego linia frontu przesunęła się gwałtownie w kierunku Białegostoku. Dochodziły tragiczne wieści o kolejnych starciach, ziemia jęczała od ognia artyleryjskich dział. Matka Bolesława spodziewając się, że na wsi będzie bezpieczniej, postanowiła opuścić Białystok i wraz z siostrą Elektą udała się do domu zakonnego w Suchowoli. Pojechały tam samochodem wynajętym od Niemców, co suchowolskie siostry wprawiło w zrozumiąłą konsternację.

Ale w Suchowoli wcale nie było spokojniej. Krzyżowały się tam drogi, którymi wojsko niemieckie przewoziło amunicję. Fakt ten sprawiał, że znajdowały się one pod ciągłym ostrzałem sowieckich samolotów. Na domiar złego podczas bombardowania używano oślepiających reflektorów, których upiorne światła skutecznie za-

cierały różnice między dniem i nocą. Do cierpień matki Bolesławy wynikających z choroby, dołączyły jeszcze te, które niosła groza wojny.

– Matka nie powinna tu zostać – uradzono w końcu. – Może w sąsiedniej wiosce będzie bezpieczniej...

Nie zwlekając ułożono sparaliżowaną na konnym wozie i pod opieką siostry Elekty, siostry Alodii Matyskiel i siostry Edyty Kolażyńskiej przewieziono do Kolonii Dubasiewskiej. Tam ulokowano ją w piwnicy u znajomej tercjarki, pani Anieli Wysockiej. Ale i w tej wiosce trwały walki. Pojawiały się co chwila sowieckie patrole, huczały rozstawione w pobliżu działa przeciwlotnicze. Cała wieś otoczona była wojskiem. Wobec rosnącego zagrożenia, siostry zdecydowały się podjąć kolejną próbę i przetransportować matkę Bolesławę do wsi Hałodolina.

W wielkim pośpiechu umieścili chorą na skleconym naprędcie wozie, a następnie wyruszyły w kierunku szosy. Niestety, jazda szosą okazała się nie tylko niemożliwa, ale wręcz niebezpieczna, gdyż podążały nią w marszowym szyku wojska sowieckie atakowane z powietrza przez nadlatujące raz po raz niemieckie samoloty. Zewsząd słychać było straszliwy świst kul. Leciały bomby. Pociski rozrywały się tuż obok wozu, zasypując siostry odłamkami i pyłem. Boczna droga, na którą z konieczności musiały zjechać, pełna była nierówności. Nagle stała się rzecz straszna. Nie umocowane należycie koło oderwało się i wóz – przewrócił się z trzaskiem.

Żołnierze, będący świadkami tego tragicznego zajścia, natychmiast pospieszili siostrom z pomocą. Złożyli jakoś wóz i przeprowadzili go pod ostrzałem do najbliższej, niemal całkiem wyludnionej wioski, a po gruntownej naprawie wyprowadzili zaprzęg ogrodami na inną, oddaloną od strzelaniny drogę.

– *Budtie zdarowyy!* – zawołali na pożegnanie.

Wystraszone siostry nie zdążyły jeszcze dobrze ochłonąć z wrażenia, kiedy pojawiła się kolejna przeszkoda: zerwany mostek na rzece z potężną wyrwą w łożysku. Ludzie stojący w pobliżu szczerze odradzali przeprawę, uważając ją za zbyt niebezpieczną, siostry jednak postanowiły zaryzykować. Powierzyły się Bogu i – przejechały szczęśliwie na drugi brzeg.

Przez cały ten czas matka Bolesława modliła się gorąco, ściskając w ręce krzyż. Ona, której tak wiele razy przypominano nie bez nuty złośliwości jej żołnierskie przymioty charakteru, znalazłszy się na froncie nie tylko zdawała egzamin z odwagi, ale zdawała go w najwyższym stopniu.

Wieś Hałodolina przyjęła siostry serdecznie, lecz nader skromnie. Było w niej już pełno uchodźców. W domu, w którym ostatecznie się zatrzymały, gnieździło się około dwudziestu osób. Matka Bolesława zamieszkała wraz z siostrami w pokoju, który zajmowała niejaka pani Sieńko, nauczycielka z dwojgiem dzieci. Spędziła tam trzy tygodnie naznaczone ciężkim cierpieniem, nic prawie nie jedząc. Wszelkie niewygody zносиła jednak cierpliwie, bez słowa skargi.

– Cherlam wciąż i cherlam – mówiła ze śmiechem, gdy pytano ją, jak się czuje.

Skoro tylko front nieco się przesunął i umilkły odgłosy wystrzałów, siostry powróciły do Suchowoli. Tam – zastały straszny widok. Dom zakonny był splądrowany, dobytek rozkradziony. Ucieszyły się z reszty odnalezionych w piwnicy ziemniaków i pożyczonej krowy. Drugą, ofiarowaną przez dobrych ludzi, uznały za szczególny Boży dar.

26 lipca 1944 roku wojska sowieckie wkroczyły do Białegostoku. Wyparły Niemców i ruszyły za nimi, zamierzając dotrzeć aż do



Berlina. Na wiadomość o tym, że Niemcy opuścili Białystok matka Bolesława postanowiła wyruszyć tam jeszcze tego samego dnia.

– Trzeba wracać – nalegała. – Wracać natychmiast! Trzeba wznowić jak najprędzej działalność gimnazjum...

Wracać – ale jak, skoro nie było czym. Konia musiały sprzedać, żeby jakoś przeżyć. Sprawę utrudniał również fakt, że po przemarszu wojsk sowieckich w obiegu znalazły się wyłącznie rosyjskie ruble. O polskich złotówkach nikt nie chciał słyszeć. Pozostawał, niezawodny jak zwykle w takich okolicznościach, handel wymienny.

Matka Bolesława wiedziała o trudnościach, ale nie ustępowała. A swoją gotowość do natychmiastowego odjazdu manifestowała leżąc na wozie, ustawionym przy drodze wiodącej do Białegostoku. Wreszcie w wyniku usilnych starań, udało się suchowolskim siostrze spełnić jej życzenie. Po dobieciu targu z kierowcą, dezerterską Armią Czerwoną, miała wyruszyć wraz z siostrą Elektą i siostrą Ludmiłą Bielicką wynajętym sowieckim samochodem.

Jazda samochodem, królewska w porównaniu z ostatnimi jazdami, jakie odbywała wozem, wprawiła matkę Bolesławę mimo woli w wyjątkowo dobry nastrój. Każda chwila zbliżała ją teraz do upragnionego celu, do zadań, które na nią czekały. Myśl o tych zadaniach dodawała jej sił i rozjaśniała twarz nadzieją.

Do Białegostoku siostry dotarły szczęśliwie, jednak to co w nim ujrzęły – było przerażające. Niemal osiemdziesiąt procent budynków uległo zniszczeniu. Liczba mieszkańców zmniejszyła się o połowę. Pomimo tak straszliwego spustoszenia, dom sióstr misjonarek przy ulicy Stołecznej 5 pozostał nietknięty. Ksiądz Abramowicz, który przybył natychmiast usłyszawszy o powrocie matki Bolesławy, zastał ją uszczęśliwioną.

– Widzi ksiądz – cieszyła się. – Nasz domek drewniany, a przecież ogień go nie pochłoniął. I my jakoś przeżyjemy.

Jej pogodny nastrój i jemu szybko się udzielił.

– I znowu przyszło matce dużo wycierpieć – odezwał się, patrząc na nią litościwym wzrokiem.

– Nic się nie dzieje bez woli Bożej – odparła stanowczo. – Cierpienia są nieodzowne w życiu doczesnym, a tym bardziej w życiu zakonnym, które, jak wiemy, jest powolnym męczeństwem. Czy nie czeka nas jednak potem – wieczne wesele?

– Są tacy, którzy na to wesele bardzo się spieszą – stwierdził ponuro. – W powstaniu warszawskim już od kilku dni ginie nasza wspaniała młodzież, piękni chłopcy i dziewczęta... Oddają życie za Ojczyznę, za Polskę, a świat – ani drgnie, czeka aż się całkiem wykrwawia.

– Mój Boże, ileż tej krwi już przelano – westchnęła. – Żeby skończyła się już wreszcie ta straszna wojna...

Ale kapitulacja Niemiec nastąpiła dopiero 7 maja 1945 roku.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych zaczęły zjeżdżać do Białegostoku siostry ze wschodnich terenów Polski. Z terenów, które odtąd miały należeć do Sowiec.

Matka Bolesława witała je z uśmiechem, jednak jej serce przeszywał wciąż ten sam ból.

– To tylko tak na razie – mówiła. – Musicie nabrać sił... Potem znowu wróćcie... To tylko tak na razie...

Z zainteresowaniem słuchała ich opowieści o pracy misyjnej na Kresach i w milczeniu dzieliła z nimi ból wygnania. Dziękowała także księdzu Karolowi Żurawskiemu, który je w tej pracy wspierał, a teraz miał się z nimi udać do Ratowa w charakterze kapelana zakonnego.

Ogromnie była rada z poznania siostry Miriam Karwel, która spędziła trzy lata na przymusowych robotach w Niemczech.

– Siostrzo, trzeba nam to wszystko koniecznie opisać – nalegała całym sercem. – Dokładnie, z najmniejszymi szczegółami.

Cieszyła się przede wszystkim z obecności matki Łucji Czechowskiej, która jako przełożona generalna miała teraz ręce pełne roboty. Cieszyła się, a przecież czuła wyraźnie zbliżający się nieuchronnie koniec swojej ziemskiej wędrówki.

W poniedziałek 28 stycznia 1946 roku powiedziała do siostry Elekty:

– Dziś tak się modliłam, by mi żadna obca myśl nie przyszła...

Nazajutrz swoje uczestnictwo we Mszy Świętej ofiarowała w intencji szczęśliwej śmierci. Mimo znacznego osłabienia podpisała jeszcze kwit na węgiel, a o godzinie trzynastej zjadła na obiad trochę zupy i trzy plasterki jabłka. Mówienie sprawiało jej coraz większą trudność, nadal jednak ze spokojem udzielała siostrom wskazówek, zaleceń i przypomnień, a w rozmowie z matką Łucją – na dwie godziny przed śmiercią – śmiała się serdecznie.

– Tam, w niebie – mówiła – powiemy sobie więcej. Dużo więcej... Tam nie będzie już żadnych podziałów. Wszyscy będziemy stanowili jedno...

Epilog

W szpitalu w Mławie odezwał się nagle telefon. Dyżurujący pracownik odebrał smutną wiadomość, którą przekazał niezwłocznie pracującym w szpitalu siostram misjonarkom. Brzmiała ona: „Zmarła matka. Pogrzeb w Ratowie”.

Siostra Alojza Kocieniewska i siostra Augustyna Gutkowska, które zaraz o świcie wyruszyły z Mławy do Ratowa, przez dłuższy czas zastanawiały się, o którą matkę właściwie chodzi.

– Gdyby zmarła Matka Założycielka – rozumowała głośno siostra Alojza – wezwano by nas raczej do Białegostoku, a nie do Ratowa, mam rację?

– Może więc to nie Matka Założycielka zmarła – zgodziła się z nią siostra Augustyna. – Może inna matka?

Kończył się styczeń, sywał gęsty śnieg, a ołowiane niebo smagała straszliwa wichura. Szły naprzeciw tej śnieżycy skulone z zimna, nikt bowiem przy takiej pogodzie nie chciał im wynająć furmanki.

Były już mocno zmarznięte, a przed sobą miały jeszcze do przejścia przeszło dwadzieścia kilometrów, kiedy nagle siostra Augustyna przystanąła i zawołała zdesperowana:

– Jeżeli matka, która zmarła jest świętą, niech nam uprosi zmianę pogody!

I stał się cud.

Wichura ucichła, niebo się rozjaśniło, a na horyzoncie pojawił się wóz zaprzężony w kasztanka. Siostry aż się przelękły, tak nagle to wszystko się stało. Dopiero kiedy dotarły na miejsce dowiedziały się, że świętą, która uprosiła im tę zmianę pogody i pozwoliła zdążyć na swój pogrzeb, była – Matka Założycielka.

Spoczęła w Ratowie, które tak bardzo kochała. Tytuł błogosławionej przysługuje jej od 5 czerwca 1991 roku, co światu ogłosił papież Jan Paweł II. Wkrótce po beatyfikacji relikwie bł. Bolesławy Lament zostały przewiezione do Białegostoku, gdzie przy ulicy Stołecznej 5 – w miejscu dawnego drewnianego domku – wyrosło sanktuarium poświęcone jej pamięci.



Obecnie Siostry Misjonarki Świętej Rodziny pracują w wielu miejscowościach na terenie Polski jako wychowawczynie, katechetki, pielęgniarki, sekretarki i organistki. Opieką otaczają nie tylko dzieci i młodzież, ale także ludzi potrzebujących pomocy.

Prowadzą pracę misyjną w Zambii, Kenii i Tanzanii oraz posługę apostołską w USA i we Włoszech. Wznowiły działalność na terenie Białorusi, Litwy i Rosji. A wszędzie towarzyszą im słowa Pana Jezusa: „aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie... aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał” (J 17,21).

Zgromadzenie Sióstr Misjonek Świętej Rodziny

ul. Słowackiego 11

05–806 Komorów

tel. 22 759 13 71

e-mail: msfsekr@poczta.onet.pl

www.misjonarki-swietej-rodziny.org

Słownik

A ciebia kak zawut? – z jęz. rosyjskiego: A ty jak się nazywasz?

Aktiory, gawaritie? – z jęz. rosyjskiego: Aktorzy, powiadacie?

Aktiory tożę nam nużny... – z jęz. rosyjskiego: Aktorzy też są nam potrzebni. Pracujcie dalej!

Alfawit... – z jęz. rosyjskiego: Alfabet już znamy, już piszemy i czytamy, i wszystkie litery po kolei bezbłędnie nazywamy.

Ambulatorium – miejsce, gdzie chorzy mogą skorzystać z doraźnej pomocy.

Ateistyczne – odrzucające istnienie Boga.

Batiuszka – z jęz. rosyjskiego: ojczulek.

Bindka – element kobiecego stroju zakonnego; otok przy twarzy.

Budtie zdarowy! – z jęz. rosyjskiego: Bądźcie zdrowi/zdrowe.

Buria mgłoj... – z jęz. rosyjskiego: (w wolnym tłumaczeniu) Burza niebo mgłą zakrywa. Wichry śnieżne polem gna. To jak dziki zwierz za wyje, to jak małe dziecko łka.

Chadzicie bliżę, rebiata! – z jęz. rosyjskiego: Podejdźcie bliżę, dzieci!

Charaszo – z jęz. rosyjskiego: dobrze, w porządku.

Chliw – z jęz. rosyjskiego: chlew; pomieszczenie dla świń.

Chutor – niewielka posiadłość wiejska (folwark) położona w odosobnionym miejscu.

CzeKa albo Czerezwyczajka – w pełnym brzmieniu: Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy; organ przemocy, na czele którego stanął Feliks Dzierżyński, inicjator jego powstania.

Czestne słowo – z jęz. rosyjskiego: słowo honoru.

Cziungura – kaukaski instrument muzyczny; rodzaj gitary.

Czort s taboju! – z jęz. rosyjskiego: Idź do diabła!

Dietdomy – z jęz. rosyjskiego: domy dziecka.

Dolorysta – członek bezhabitowego Zgromadzenia Synów Matki Bożej Bolesnej, założonego przez o. Honorata Koźmińskiego w roku 1893 w Nowym Mieście nad Pilicą.

Drezyna – rodzaj lekkiego pojazdu szynowego.

Duszcзки darogije – z jęz. rosyjskiego: drogie duszyczki.

Dzieruszka – na Polesiu: dywanik własnej roboty.

Ecrú – (czytaj: ekri) odcień bieli wpadający delikatnie w róż pomieszany z jasnym beżem.

Egzarcha – z języka greckiego: przywódca; według wschodniego prawa kanonicznego osoba kierująca częścią ludu Bożego, która nie jest jeszcze w pełni diecezją.

Eto oczeń charaszo – z jęz. rosyjskiego: To bardzo dobrze.

Eto, towarzyszcz... buduszcziye aktiory – z jęz. rosyjskiego: To są, towarzyszu, przyszli aktorzy.

Feretron – obraz o tematyce religijnej namalowany obustronnie lub figura świętego, niesione w procesji przez cztery osoby.

Gaspadin – z jęz. rosyjskiego: pan.

Generalna Gubernia – część ziem polskich z ośrodkiem w Krakowie, które nie zostały wcielone do III Rzeszy Niemieckiej, lecz stanowiły

oddzielną jednostkę administracyjną pod rządami generalnego gubernatora Hansa Franka.

Gospody, pomyśl! – z jęz. rosyjskiego: Panie, zmiłuj się!

GPU – Państwowy Zarząd Polityczny (policja polityczna); powstał w roku 1922 z przekształcenia *CzeKa*; od roku 1934 włączony do *NKWD*, a następnie w roku 1954 przekształcony w KGB (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów Związku Sowieckiego), działający do roku 1991.

Gryps – krótki, często zaszyfrowany list przekazywany potajemnie przez więźnia lub dostarczany mu do więzienia.

Herezja - uporczywe, po przyjęciu chrztu, zaprzeczanie jakiejś prawdy, w którą należy wierzyć wiarą boską i katolicką, albo uporczywe powątpiewanie o niej.

Hipoteka – forma zabezpieczenia spłaty długu.

Horodec – wioska na Polesiu w obwodzie brzeskim nad Muchawcem.

Hrabina Ledóchowska – tu: matka Urszula Ledóchowska, późniejsza święta; w tym czasie była przełożoną siostr urszulanek i podobnie jak Bolesława Lament występowała jako osoba świecka, ukrywając przynależność zakonną.

Ingres – z jęz. łacińskiego: ingressus – wejście; uroczysty wjazd biskupa związany z objęciem przez niego diecezji.

In saecula saeculorum – z jęz. łacińskiego: Na wieki wieków.

I to wam skażu... – z jęz. rosyjskiego: I to wam powiem: prowokatorów nam nie potrzeba!

Izwinitie, wasze błagarodje... – z jęz. rosyjskiego: Przepraszam, wasza wielmożność. Myślę, że zaszło przykre nieporozumienie. Faktycznie,

śpiewaliśmy polskie pieśni, ale tylko dlatego, że Anatolij Siemiejko zapytał nas: „Jakich pieśni nie wolno wam śpiewać?”. Więc mu je... zaśpiewaliśmy, to wszystko!

Ja znaju, kto eto! – z jęz. rosyjskiego: Wiem, kto to jest!

Kab jeść dała – z jęz. białoruskiego: Żeby tak dała jeść.

Kazamata – z jęz. rosyjskiego: więzienie.

Koadiutorka – tu: siostra nie posiadająca wykształcenia, spełniająca w klasztorze prace pomocnicze, najczęściej związane z gospodarstwem.

Koniec spektakla! Iditje damoj! – z jęz. rosyjskiego: Koniec przedstawienia! Idźcie do domu!

Konwertyta – z jęz. łacińskiego: convertere – zmieniać; osoba zmieniająca wyznanie w ramach chrześcijaństwa bądź przechodząca na chrześcijaństwo z innej religii.

Kopiejka – drobna moneta rosyjska; była w obiegu również na terenach polskich znajdujących się pod zaborem rosyjskim.

Kornet – sztywny, biały czepiec noszony przez zakonnice.

Kto się w opiekę odda Panu swemu – początek pieśni do słów Jana Kochanowskiego.

Łagry – (z jęz. rosyjskiego: łagier – obóz) zwane także „gułagami” – sowiecki system obozów pracy przymusowej.

Ma cherie! – z jęz. francuskiego: Moja droga!

Magnifique! – z jęz. francuskiego: Wspaniale (cudownie)!

Małczy! – z jęz. rosyjskiego: Milcz! (zamilknij)

Mariawici – (nazwa od słów z łac. *Mariae vitam* (imitantes) - naśladowający życie Maryi) ruch zapoczątkowany przez Feliksę Kozłowską (1862-1921), która w 1887 roku założyła Zgromadzenie Sióstr Ubogich św. Matki Klary (późniejsze mariawitki, z których ostatnia zmarła w roku 2009); po objawieniach w 1893 roku (z których się później wycofała) założyła wspólnie z ks. Janem Kowalskim zgromadzenie księży mariawitów; w 1906 roku duchowni mariawicy wypowiedzieli posłuszeństwo biskupom polskim; tego samego roku Kongregacja Świętego Oficjum ogłosiła oficjalnie ekskomunikę wobec ks. Jana Kowalskiego i matki Marii Franciszki Kozłowskiej; od roku 1935 działają dwa kościoły mariawickie: Starokatolicki Kościół Mariawitów, który jest członkiem Polskiej Rady Ekumenicznej oraz Katolicki Kościół Mariawitów, który jest pseudokatolicką sektą o podłożu gnostyckim.

Miedsiestry – z jęz. rosyjskiego: pielęgniarki.

Mon amie! – z jęz. francuskiego: Mój kochany (przyjacielu)!

Mon cher – z jęz. francuskiego: Mój drogi.

Mon Dieu! – z jęz. francuskiego: Mój Boże!

Mufka – woreczek z otworami na ręce, uszyty z kawałka futra lub materiału podszytego watoliną, służący do ochrony przed mrozem.

N'est-ce pas? – z jęz. francuskiego: Nieprawdaż?

Nie bieri dziadziénka, astaw! – z jęz. rosyjskiego: Nie zabierajcie, dziadku, zostawcie!

Nie bojties'... – z jęz. rosyjskiego: Proszę się nie bać. Mam tylko jedną miłość: Bożą Matkę.

NKWD – (w jęz. rosyjskim: Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł) – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych; główny sowiecki organ

terroru i przemocy współpracujący z niemieckim gestapo przy przeprowadzaniu akcji zagłady Polaków.

Nowicjat – okres w życiu zakonnym przygotowujący kandydatkę do złożenia ślubów.

Nu dla mamasy s udawolstwjem – z jęz. rosyjskiego: Ale dla mamusi z przyjemnością.

Obłóczyny – uroczystość związana z przywdzianiem habitu bądź sutanny.

Ochronka – sierociniec, ale także miejsce dziennego przebywania dzieci z ubogich rodzin.

O. Leonid Fiodorow – (1879 – 1935) zakonnik (*studyta*), pierwszy egzarcha Kościoła greckokatolickiego; ogłoszony błogosławionym Kościoła katolickiego przez papieża Jana Pawła II 27 czerwca 2001 roku we Lwowie.

Polski Biały Krzyż – instytucja powstała w USA podczas pierwszej wojny światowej dzięki staraniom Heleny Paderewskiej, żony Ignacego Jana Paderewskiego.

Porohy – podłużne progi skalne przegradzające koryto Dniepru.

Posag – tu: kwota pieniężna wymagana od kandydatek do zakonu na mocy kodeksu prawa kanonicznego.

Postulantka – osoba przyjęta do klasztoru w celu rozeznania powołania; nie związana przyrzeczeniami, może w każdej chwili odejść.

Postulat – z jęz. łacińskiego: żądać, wymagać; pierwszy etap życia klasztornego, nie związany przyrzeczeniami.

Pticy – z jęz. rosyjskiego: ptaki.

Refektarz – pomieszczenie w budynku klasztorным służące do spożywania posiłków.

Rezurekcja – z jęz. łacińskiego: resurrectio – zmartwychwstanie; pierwsza Msza święta Uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego odprawiana o świcie i połączona z procesją.

Schizma – odmowa uznania zwierzchnictwa Biskupa Rzymskiego lub utrzymywania wspólnoty z członkami Kościoła, uznającymi to zwierzchnictwo..

Sobór – tu: bazylika prawosławna.

Sowieckie żeńszczyzny – z jęz. rosyjskiego: kobiety z terenów państwa sowieckiego.

Studyta – członek wspólnoty zakonnej kościoła greckokatolickiego działającej na terenie obecnej Ukrainy.

Szałej – cykuta; roślina rosnąca na bagnach, z korzenia której otrzymuje się truciznę.

Tank – z jęz. rosyjskiego: czołg.

Te Deum laudamus – z jęz. łacińskiego: Ciebie Boga wysławiamy; wczesnochrześcijański hymn modlitewny, śpiewany przy szczególnych okazjach.

Tournee – z jęz. francuskiego: objazd (artystyczny).

Towaryszcz Lenin oczyszczajet... – z jęz. rosyjskiego: Towarzysz Lenin oczyszcza ziemię z plugastwa.

Triduum Paschalne – (triduum – z jęz. łacińskiego: trzy dni); okres poprzedzający Wielkanoc: Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobota; najważniejsze wydarzenie w roku liturgicznym dla katolików, upamiętniające śmierć i zmartwychwstanie Pana Jezusa.

Trykotaże – wyroby wykonane z tkaniny bawełnianej sposobem pończosznym.

U nas uże tolko smert' w głazach – z jęz. rosyjskiego: My już tylko śmierć mamy w oczach.

Wasze błagorodje... – z jęz. rosyjskiego: Wielmożny Panie, proszę wybaczyć. Dlaczego pan nazywa naszą Polskę Nadwiślańskim Krajem? Przecież takiego nie ma na żadnej mapie świata.

Westiarnia – pomieszczenie w klasztorze, w którym szyje się habity.

Won! – z jęz. rosyjskiego: Precz!

Wot i mamy prazdnik! – z jęz. rosyjskiego: I oto mamy święto!

Wpieriod rebiata... – z jęz. rosyjskiego: Dalej, dzieci! Na Niemca!

Veni Creator Spiritus – „O Stworzycielu, Duchu, przyjdź” – uroczysty hymn do Ducha Świętego.

Voila! – z jęz. francuskiego: Oto proszę! (Proszę, spójrz!)

Zdies' błachodzielnia staraszok – z jęz. rosyjskiego: To zakład opiekuńczy dla staruszek.

Złoty – od 1924 roku w Polsce – po reformie walutowej Ministra Skarbu prof. Władysława Grabskiego – w obiegu znalazła się po raz pierwszy po latach niewoli polska złotówka; w tym czasie przeciętna miesięczna pensja robotnika wynosiła 150 złotych.

Zurna – instrument kaukaski; rodzaj kobzy.

Żalejka – instrument białoruski; trąbka klarnetowa.

Spis rozdziałów

Zimowy zmierzch	5
Niefortunny incydent	18
Anielska muzyka	26
Wigilijny wieczór	35
Ubłocone trzewiki	45
Wieczorek taneczny	59
Przyjaciółki	68
Ach, ta Warszawa	79
Fałszywy alarm	90
Dwie kule z wosku	100
Dom Rodziny Maryi	112
Spotkanie na plaży	123
Pracownia Krawiecka Sióstr Lament	132
Tercjarka	144
Rodzinna fotografia	158
Zaskakująca propozycja	165
W Mohylewie	173
Jednomyślne	183
Z motyką na słońce	196

Towarzystwo Świętej Rodziny	209
Trudna decyzja	219
Sankt Petersburg	230
Pani przełożona	242
Gimnazjum Łucji Czechowskiej	257
Powołane do świętości	268
Zamach w Sarajewie	281
Nowe nadzieje	293
Czerwony terror	303
W obliczu głodu	313
Białe noce	322
Cud nad Wisłą	332
Tułacze życie	342
Misjonarki Świętej Rodziny	357
Boso, ale w habicie	373
Boża gospoda	385
Manaszka za trzy grosze	396
Podróż do Rudki	409
Młodzieńczy zryw	421
Kochająca Ciotka	438
Do zobaczenia w niebie	452
Epilog	464
Słownik	466

